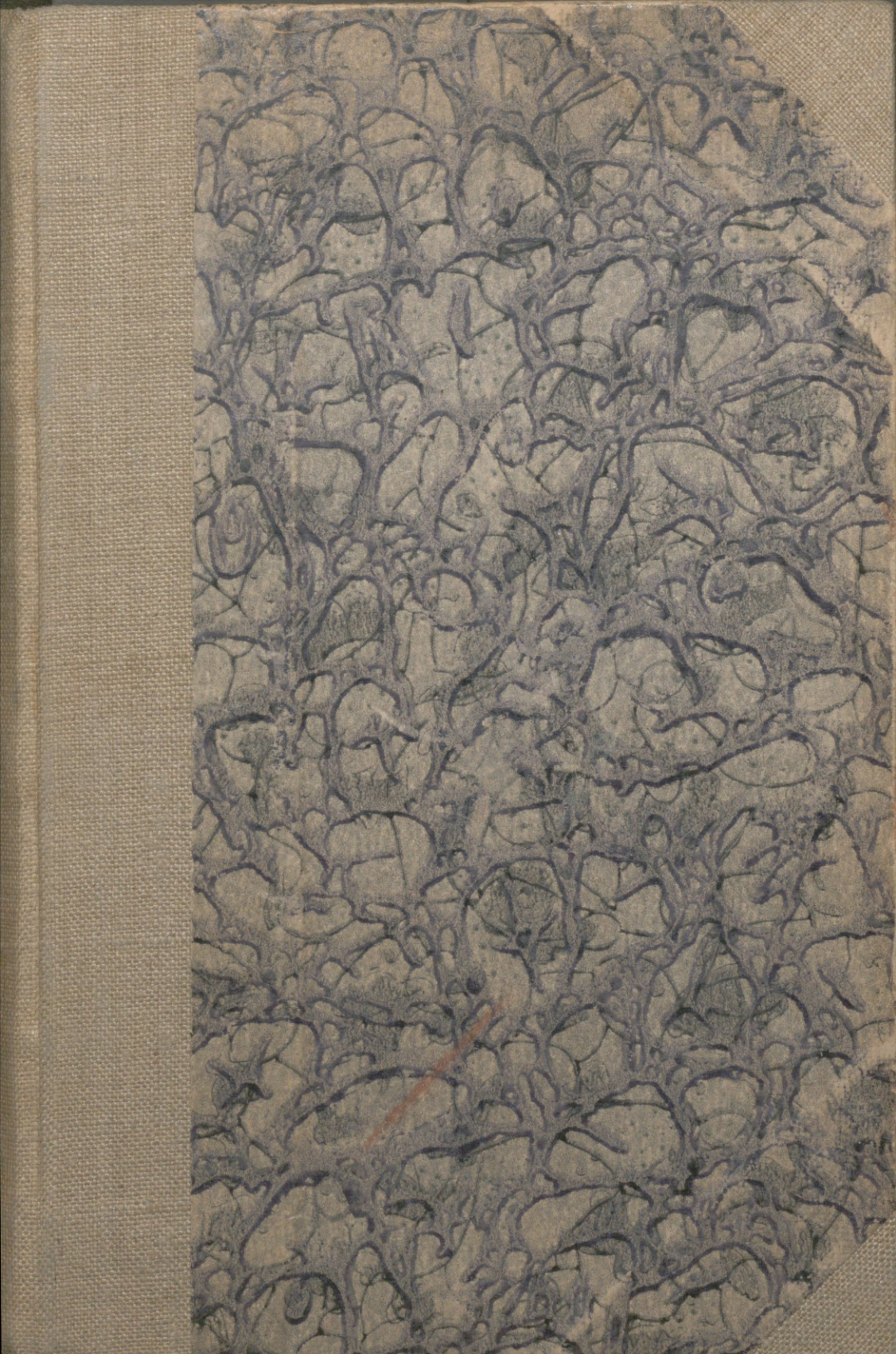


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Inches
Centimetres
1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19





207
910.

PAMIĘTNIK

NAPOLEONA SIERAWSKIEGO

WYDAWNICTWA I KOMISA

Księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA we Lwów.

	K 1
Aër. Pierwszy romantyk, powieść	5 20
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego, 2 tomy	8 40
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VII.: Zbrodnia kamie- niecka; Beatrice; Zakładnicy lwowscy; Fatyma; Babka; Spuści- zna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich	6 40
— Nowe opowiadania historyczne: Pod krzyżem; Losy kresowego miasteczka; Wartabiel; Zemsta Kozacza; Porwanie króla; Nie- doszłe legiony	6 —
— Ks. St. Chołoniewski: Opis podróży kijowskiej w 1840 r. odbytej	3 20
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński	1 20
— Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta	4 —
Hajota. Sni mi się. Nowele	3 60
Koźmian Ant. Ed. Listy od r. 1829 do r. 1854, 4 tomy	28 80
Koźmian St. Lysistrata, czyli wojna o pokój, komedia w czterech aktach podług Aristofanesa	3 60
Kraśiński Zygmunt. Listy, 3 tomy. I. Listy do Konstantego Gaszyń- skiego. II. Listy do Adama Sołtana. III. Listy do J. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Kajetana, Andrzeja i Stani- sława Koźmianów, B. Trentowskiego. Każdy tom	6 40
— Pisma. Wydanie z przedmową St. hr. Tarnowskiego, 4 tomy	14 40
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński, 2 tomy	15 —
Lenartowicz T. Pisma pośmiertne, 4 części, wydanie Dra W. Bruchnal- skiego, 2 tomy	5 20
Lityński M. Rys dziejów sztuki starożytnej, z rycinami	3 —
— 4 tygodnie we Włoszech, przewodnik podróży z planami opraw	5 —
Ludzie i wypadki z r. 1861—1865. Obrazki z powstania, 2 tomy	9 20
Łoś W. Intrygantka, powieść	4 —
Łoziński Wład. Nowe opowiadania J. M. C. Pana Wita Narwoja	6 40
Małecki A. Dr. Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem	2 60
— Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła, wydanie 3, powiększone przez Dra B. Gubrynowicza, 3 tomy	13 —
Mickiewicz A. Pisma, pierwsze wydanie zupełne i poprawne. 1898	13 —
— W oprawie płóciennej	14 40
Ostatnia wojewodzina Wileńska (Ks. Radziwiłłowa)	8 40
Pamiętniki Jana Ch. Paska. Wyd. przez Dra Br. Gubrynowicza	5 —
Pepfowski-Schnür St. Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa, 2 tomy	9 20
— Polacy i Węgrzy, opowieść r. 1848	5 —
Rojan K. Szczęście, powieść, 2 tomy	5 60
— Dusze artystyczne, powieść	3 60
Rolle M. Z przeszłości. Okręg Rawski. Starostwo Barskie do r. 1779	5 20
— Ateny Wołyńskie, szkice z dziejów oświaty w Polsce	8 40
Romanowski M. Pisma, 4 tomy	14 40
Sapieha X. P. Podróż na Wschód Azji, z rycinami	10 —
Urbanowska Z. Wszelchocni. Kartka z kroniki miasta powiat. 2 tomy	7 —
Wilczyński Alb. Nowe fotografie społeczne, 2 tomy	7 20
— Wycieczka na Krzyżne	4 20
Wybicki J. Pamiętniki	3 60
Wspomnienia Wołyńska	6 80
Zaleski Dr. Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego, tom III. i IV., po — V.	4 —
— V.	6 —
Zwilkoński. Pieprz. "Humoreski, "monologi i dialogi"	2 40

publ. 24.10.08 *910*

PAMIĘTNIK NAPOLEONA SIERAWSKIEGO

OFICERA KONNEGO PUŁKU GWARDYI

ZA CZASÓW W. KS. KONSTANTEGO.

Zygmunt
SOBIESZCZAŃSKI

Z PRZEDMOWĄ PROF. DR. STANISŁAWA SMOLKI.

LWÓW

NAKŁAD GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1907.

~~4096/5~~

~~1398~~

BIBLIOTEKA
HIST-WOJSK
MATEM.

Biblioteka Wojsk. Akad. Poln.
55405/2
Im. F. Dzierżyńskiego

Z DRUKARNI WŁADYSŁAWA ŁOZIŃSKIEGO WE LWOWIE
POD ZARZĄDEM J. NIEDOPADA.

110.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
WSTĘP	1
ROZDZIAŁ I. Moje przyjsie na ten świat. — Niedoszli ojcowie chrzestni. — Lata 1812 i 1813. — Koleżeństwo moje z Pawłuszką, synem W. Księcia Konstantego. — Książę Adam Czartoryski podejmuje się mego wychowania i edukacyi. — Wjazd do Krzemieńca na Wołyń. — Międzybórz, dworek księcia Czartoryskiego. — Czuła i troskliwa opieka nademną p. Piotra Puchalskiego. — Opis Krzemieńca. — Wspomnienia z tamiecznego Liceum. — Bunt więźni w Krzemieńcu. — Przepowiednia końca świata na rok 1821. — Powrót do Polski. — Pobieźny opis Puław ówczasowych. — Przyjazd do Warszawy. — Przesuwam się krótko przez Uniwersytet. — Jestem nakoniec żołnierzem. — Wspomnienie o Czarnomskim pułkowniku, dowódcy szkoły Podchorążych jazdy naszej. — Czem był ten zakład i jakie oddał usługi kawaleryi wojska polskiego.	5
ROZDZIAŁ II. Pobieźny pogląd na sprawy nowo-ukonstytuowanego Królestwa Polskiego od roku 1815. — Podział statystyczny jego. — Skład Senatu i Ciała prawodawczego w roku 1829. — Wymienienie władz rządowych. — Wojsko polskie i jego dowódcy. — Administracya wojskowa. — Umundurowanie i uzbrojenie wojska. — Duch jego i poważanie mu oddawane.	32

ROZDZIAŁ III. Zgon cesarza Aleksandra I. w Taganrogu. — Jego testament polityczny i wskazanie następstwa tronu. — Akt przysięgi wojska polskiego cesarzowi Mikołajowi I. — Obrzęd pogrzebu Aleksandra odbyty w Warszawie. — Zgon generała Zajęczka, namiestnika w Królestwie. — Sąd o nim historyka Teodora Morawskiego. — Akt egzekucyi wojskowej na majorze Łukasińskim, spiskującym przeciwko rządowi. — Sąd sejmowy przeciwko innym politycznie skompromitowanym i ich wymienienie. — Awans na oficera.

55

ROZDZIAŁ IV. Ranek, południe i wieczór 29. listopada 1830 roku w Warszawie. — Skład garnizonu w stolicy. — Spisek odkryty, przyspiesza wybuch rewolucyi wojskowej. — Alarm w koszarach konnego pułku gwardyi polskiej. — Pułk wychodzi za Złote Krzyże. — Rekonesans jego z tego punktu do zamku królewskiego. — Wiadomość, że to jest rewolucya przeciw rządowi rossyjskiemu. Deputacya oficerów żąda, aby pułk nie był czynnym przeciw powstańcom. — Niedostatek wiadomości z Warszawy. — Późniejszy przebieg rewolucyi. — Książę Konstanty zwalnia wojsko polskie od posłuszeństwa. — Powrót konnego pułku gwardyi do miasta. — Straszna scena przed gmachem Banku polskiego. — Narada i postanowienie oficerów pułku w koszarach. — Pogląd na ulice Warszawy. — Generał Chłapicki ogłasza się dyktatorem. — Poddanie się Wierdzy Modlina. — Konie cesarskiej stajni. — Pierwsze wiadomości, jak był prowadzony ruch rewolucyjny.

65

ROZDZIAŁ V. Szczegółowe opisanie działań wszystkich oddziałów wojsk polskich, zrewoltowanych w nocy 29. listopada. — Śmierć generałów, odmawiających przystąpienia do powstania. — Ogólne uwagi nad brakiem ostrożności W. Księcia Konstantego, posiadającego dowody już istniejącej zmywy. — Bezprzykładna śmiałość spiskowych rzucenia się w rewolucyę. — Duch żołnierza polskiego. — Czy mogła być rewolucya w swym zarodzie stłumiona? — Dlaczego polska konna gwardya nie należała do ruchu. .

90

ROZDZIAŁ VI. Co się działo w nocy 29. listopada i dni następnych w Alei Mokotowskiej i pod Ujazdowem. — Działania Władysława Zamoyskiego, adjutanta W. Księcia. — Rada generała Potockiego, podana W. Księciu. —

Jego odpowiedź. — Zamoyski zbiera członków Rady administracyjnej. — Deputacya jej do W. Księcia. — Rada wydaje dwie proklamacye do wojska i ludu Warszawy. — Odpis wierzytelny główniejszej. — Zamoyski żąda od cesarzewicza ogłoszenia niepodległości Polski. — Co odpowiedział? — Ojciec mój gubernatorem Warszawy. — Generał Chłopicki zjawia się. — Generałowie rossyjscy radzą Księżu uderzyć na Warszawę. — Powtórna deputacya Rady do W. Księcia. — Co wyjednano i co postanowiono? — Klub zbrojny rewolucyjny. — Jego żądania Radzie przedstawione. — Deklaracya W. Księcia. — Deputacya Rady do Chłopickiego, oddająca mu naczelne dowództwo wojska. — Chłopicki ogłasza się dyktatorem. — Ocenienie działań Zamoyskiego. — Opis osobistości W. Księcia Konstantego. — Rys jego charakteru. — Anegdota o nim. — Wojska rossyjskie powinny były być rozbrojone. — Czy można było to dokonać? — Korzyści, jakie odniosłaby rewolucya z ich rozbrojenia. — Słabość i wahania się Rady administracyjnej i przybranych kierowników rewolucyjnego rządu.

ROZDZIAŁ VII. Rewolucye francuska i belgijska r. 1830. — Cesarz Mikołaj zamierza iść uśmierzać te powstania. — Wojsko polskie otrzymuje rozkaz przejścia na stopę wojenną. — Ustęp uwag z tego powodu z historyi Teodora Morawskiego. — Rząd tymczasowy w Warszawie. — Chłopicki dyktatorem. — Sąd o nim Morawskiego. — Proklamacya dyktatora do narodu. — Formacya sił wojskowych powstania. — Generał Szembek. — Regimentarze wojskowi. — Zbrojenie się narodu. — Opinia ogólna żąda, aby wkroczyć na Litwę. — Misya Lubeckiego i Jezierskiego do Petersburga. — Groźby cesarza Mikołaja. — Chłopicki odkrywa się z swem usposobieniem. — Sejm uznaje powstanie za narodowe. — Nasi agenci dyplomatyczni. — Skład rządu tymczasowego. — Manifest cesarza. — Wiadomości z Petersburga. — Smutna kolizya dyktatora z członkami Rządu. — Chłopicki usuwa się od wszelkiego działania. — Książę Michał Radziwiłł obrany naczelnym wodzem wojska. — Pierwsi kosynierzy z Krakowskiego. — Nie ma Mikołaja! — Mowa księcia Czartoryskiego jako prezesa Rządu narodowego. — Uwagi nad nią. — Hołd oddany jego pamięci. — Legiony polskie w Poznańskiem i Galicyi. — Koniec miesiąca stycznia 1831 roku.

ROZDZIAŁ VIII. Co zawiera w sobie wyraz „wojna“? — Wy-
marsz mego pułku z Warszawy. — Smutne wiadomości
ze stolicy. — Przyjęcie wysłańców do pułku w Pułtusk. —
Założenie opisu wojny roku 1831. — Marsz do Wyżkowa. —
Rozłożenie wojsk naszych. — Dowódca wysłał mnie po
wiadomości na granicę do Ciechanowa. — Jak postąpi-
łem. — Powtórny marsz do tego miasta z oddziałem. —
Wkroczenie Rosssyan do Królestwa. — Pierwsze spotkania
i potyczki zwycięskie pod Stoczkiem i Dobrem. — Śro-
dek i skrzydła wojsk naszych cofają się ku Warszawie. —
Noc spędzona z dnia 18. na 19. lutego, na polach pod
Wawrem. — Opowieści przy ognisku obozowem. — Wigilia
bitwy. — Krajobraz jej położenia. — Antoni Dobrzelewski,
oficer artylerji. — Bitwa pod Wawrem. — Pięć dni przerwy
boju. — Krytyka rozporządzeń sztabu głównego polskiego. —
Potyczka pod Nową Wsią. — Opis bitwy pod Grocho-
wem. — Mordercza walka o lasek Olszyny i jego obrona. —
Generał Żymirski zabity. — Chłopi ranni. — Generał
Krukowiecki pod Białą Łęką. — Atak kirysyerów rossyj-
skich na nasz środek i ich zgromienie. — Wojsko pol-
skie w nocy na 26. lutego opuszcza plac boju. — Za-

ROZDZIAŁ IX. Wielkie zwycięstwo i rozbicie korpusów Gejsmara
i Rosena 31. marca. — Atak pułku 2. strzelców konnych
i jego dowódca pułkownik Czarnomski. — Potyczka pod
Domaniewiczami. — Wojsko polskie forsuje przeprawę przez
rzekę Kostrzyn. — Bitwa wygrana pod Iganiami 10 kwie-
tnia. — Niedołęztwo generała Stryjeńskiego osłabia jej
skutki. — Pomnik kapitana Hipolita Stokowskiego, poleg-
łego pod Iganiami. — Urywek wiersza Godebskiego. —
Bitwa pod Wronowem i Kaźmierzem. — Korzyści odnie-
sione przez generała Umińskiego. — Powstanie na Li-
twie. — Rzeź Oszmiany. — Nieczynność naczelnego wo-
dza. — Moje odznaczenie się pod wsią Trzebuczą na no-
cnym podjeździe. — Chlubne za powrotem przyjęcie
w pułku. — Obraz i widok obozu. — Uwagi. — Naczelný
wódz ozdabia mnie krzyżem wojskowym polskim. — Zaj-
ście z korpusem oficerów 3. pułku strzelców pieszych zgo-

dnie zakończone. — Generał Dwernicki wpędzony z swem wojskiem do Galicyi austryackiej. — Pułkownik Różycki. 170

ROZDZIAŁ X. Stagnacya w operacyach wojennych z winy wodza naczelnego. — Wyprawa na gwardye rossyjskie. — Korpus generała Łubieńskiego idzie pod Nur. — Pułk nasz rozbija saperów gwardyi, strzegących mostu na Bugu. — Śmierć kapitana Skarszewskiego w tej rozprawie. — Stanowiska gwardyj rossyjskich. — Dembiński bije Sakena i zdobywa most na Narwi pod Ostrołęką. — Chybiona wyprawa na gwardye. — Potyczka korpusu Łubieńskiego pod Nurem. — Korpus ten w nocy otoczony, przerywa się przez środek Rossyan. — Ciągłe jego potyczki w marszu do Ostrołęki. — Miejscowość bitwy pod Ostrołęką. — Bitwa. — Atak naszej artyleryi prowadzony przez generała Bema. na grenadyerów Szachowskiego. — Moja krytyka prowadzenia tej bitwy. — Odcięcie dywizyi Giełguda i pochód jego przymusowy na Litwę. — Ustępy mych zdań wojskowych. — Pułk odnawia się po swych stratach, kosztem ofiar żołnierzy. — Kolega Miłosz. — Działania generałów Chłapowskiego i Giełguda na Litwie. — Prusy ubocznie pomagają wojskom rossyjskim. — Wypis z dzieła Teodora Morawskiego, objaśniający kolizye Skrzyneckiego z Rządem narodowym, Sejmem i podwładnymi generałami. — Uwagi nad nim. — Niestosowność stosunków Lelewela z Rządem i Klubem patriotycznym. — Wyprawa na korpus Rüdigera pod generałem Jankowskim i przyczyny jej niepowodzenia. — Ja w obec generała Bukowskiego. — Wrzenie umysłów w Warszawie. — Generałowie Jankowski, Bukowski, Hurtig, Sałacki aresztowani. 206

ROZDZIAŁ XI. Feldmarszałek Paskiewicz obejmuje dowództwo wojsk rossyjskich. — Postanawia przebyć Wisłę pod samą granicą pruską. — Pomoc mu udzielona przez Prusaków. — Skrzynecki zaniedbuje bronić tej przeprawy. — Działania generała Giełguda na Litwie, która powstała. — Wilno nie wzięte przez jego opieszałość. — Przegrana pod Ponarami. — Różycki w pomoc mu posłany. — W Królestwie Chrzanowski zwycięża Gołowina pod Mińskiem i Kałuszynem. — Dywizya generała Milberga w Płockiem. — Potyczka pod Raciążem. — Paskiewicz przechodzi Wisłę pod Ciechocinkiem. — Na Litwie korpus Giełguda rozdziela się na oddziały. — Giełgud i Chłapowski wpędzeni

do Prus. — Zamordowanie pierwszego. — W Królestwie oburzenie i skargi na Skrzyneckiego. — Burzliwa rada wojenna. — Późne ale pomyślne wiadomości od Legacyi paryskiej. — Liczba wojsk naszych pod Warszawą. — Opis jej zewnętrznej i wewnętrznej obrony. — Dembiński przyprowadza 5.000 żołnierza z Litwy. — Nasz partyzant, Wincenty Jurewicz Gedroń i jego wydanie przez zdradę pod Radomiem. — Skrzynecki i inni dowódcy, układy z Moskwą za jedyny ratunek uważają. — Rząd i ludność Warszawy na nie nie pozwala. — Delegacya sejmowa w obozie. — Dembiński naczelnym wodzem. — Postąpienie generała Sierawskiego wobec tych wypadków. — Uwagi. — Posądzenia zdrady. — Dzień i noc 15. sierpnia i opis morderstw zdrajców i szpiegów przez lud warszawski spełnionych. — Uwagi.

242

ROZDZIAŁ XII. Wojska rossyjskie ze wszech stron otaczają Warszawę. — Wojsko polskie bez wodza. — Zatargi w łonie Rządu narodowego. — Wichrzenia Klubu patriotycznego. — Lista proskrypcyjna. — Generał Krukowiecki prezesem Rządu. — Rekonesans pułkownika Le Gallois i jego wzięcie przez Rossyan. — Liczebna ilość wojska polskiego. — Rada wojenna 19. sierpnia i jej postanowienie. — Korpus generała Ramorino wychodzi w Podlaskie. — Jazda Łubińskiego za Modlin. — Nieposłuszeństwo moje życzeniom ojca, odmienia zupełnie przyszły kierunek mego życia. — Zwycięzkie działania Ramoriny. — Jak zakreślone obronę Warszawy? — Parlamentarz rossyjski generał Dannenberg i jego rozmowa z Prądzińskim. — Obietnice jego i groźby. — Rząd narodowy pierwszym nie wierzy, drugich się nie obawia. — Zlecenie posłane Ramorino, by wracał pod stolicę. — Szturm Warszawy. — Uchybienie generała Bema. — Szturm szaniec Woli i jego wzięcie, oraz bohaterska śmierć generała Sowińskiego. — Krukowiecki jest za układami. — Prądziński jako parlamentar. — Widzenie się Krukowieckiego z Paskiewiczem. — Zdanie sprawy przed Sejmem Prądzińskiego. — Sejm chwyci w swych postanowieniach. — Drugi szturm na Warszawę. — Prądziński znów jedzie do obozu Rossyan. — Ich wybiegi przy układach. — Generał Berg w Warszawie. — Krukowiecki swym listem bez upoważnienia Sejmu, zdaje się na łaskę cesarza. — Sejm odbiera mu prezydenturę Rządu — Wojsko cofa się na Pragę. — Warszawa oddana warunkowo Rossyanom. — Pochód wojska

polskiego na Modlin, a za nim tłumy ludzi różnego stanu. — Uwagi, zdania i opisy. 266

ROZDZIAŁ XIII. Podpisanie kapitulacji Warszawy na Pradze. — Rossyianie na wstępie łamią warunki umowy. — Generał Rybiński pod Modlinem mianowany naczelnym wodzem. — Rząd i Sejm gromadzi się w Zakrocymiu. — Zliczenie wojsk polskich. — Straty Rossyan w szturmie Warszawy. — Brak wszystkich potrzeb w wojsku naszym. — Generał Ramorino nie łączy się z wojskiem, jak mu to rozkazano. — 18. września składa broń w Galicyi ze swym korpusem. — Dyplomacya zagraniczna milczy. — Rossyianie otaczają wojsko Rybińskiego. — Zmowa nocna oficerów nie dochodzi do skutku. — Przekroczenie granicy pruskiej i złożenie broni. — Kwarantanna przymusowa pod Brodnicą. — Marsz rozbrojonych wojsk ku Gdańskowi. — Moja kwatery na Żuławach w kolonii Mügenhall. — Rodzina niemiecka. — Moja choroba. — Ogólny opis Gdańska. — Propozycya mego gospodarza, oddania mi ręki jedynej swej córki. — Stryj mój Sabin. — Deklaracya oficerów naszego pułku, posłana cesarzowi Mikołajowi, prosząca o amnestyę i pozwolenie powrotu do Polski. — Moje w tym względzie postanowienie. 270

ROZDZIAŁ XIV. Rzut oka na przeszłość Królestwa Polskiego od roku 1815 do 1830 włącznie. — Polityka cesarza Aleksandra I. — Uwagi nad artykułem Kongresu Wiedeńskiego, dotyczącym Królestwa Polskiego. — Uwagi nad rządami jego. — Jak pojmować należy akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego? — Czy było na czasie powstanie roku 1830? — Zdanie Alfonsa de Lamartine. — Wzmianki o księciu Czartoryskim, generałach: Chłopickim, Skrzyneckim, Prądzyńskim, Chrzanowskim, Krukowieckim, Bemie, Szembeku, pułkownikowi Zielonce, Leluweli. — Czy właściwym był projekt wkroczenia do Litwy? — Treściwy przebieg wojny r. 1831 oraz dowodzenia, że Polska mogła Rossyan zwyciężyć. 287

ROZDZIAŁ XV. Dalszy ciąg pobytu pod Gdańskiem. — Ja i Malchen. — Cesarz Mikołaj udziela amnestyi pułkowi i pozwala wrócić oficerom do kraju. — Przybycie do granic Polski. — Bal prusko-rossyjski. — Podróż. — Zajście z żołnierzami rossyjskimi w Raciążu. — Przybycie do Radomia. — Co nastąpiło w Królestwie od chwili pod-

dania się Warszawy. — Cesarz udziela dożywotniego zasiłku oficerom polskim. — Stryj mój Sabin i jego żona. — Jak mnie przyjęli w swym majątku? — Ludwik Lewiński. — Odjazd do Radomia i zawiazane w tem mieście oraz w okolicach stosunki. — Rząd rossyjski ofiaruje mi służbę wojskową. — Dla jakich powodów odmówiłem. — Krótki rys następnego życia mego. — Zakończenie Pamiętnika.





W S T Ę P.

Na wiosnę 1882 r. poznałem się z ś. p. autorem niniejszego pamiętnika. Z wiejskiego zacisza pod Piotrkowem przybył na ówczas do Krakowa, pragnąc u schyłku życia odświeżyć tu wspomnienia młodości, stare wspomnienia z przed lat przeszło czterdziestu. Przywiodła go tu także myśl o wydaniu tego pamiętnika; pracował nad nim bowiem całe życie, pieścił się nim z uczuciem starego żołnierza, który na tych kartach złożył wspomnienia najpiękniejszych chwil swojego życia, więc spieszno mu było zabezpieczyć los tego ukochanego dziecka, pomimo czerstwego jeszcze zdrowia w starości, jakby w jakimś przeczuciu bliskiego już końca. Dawne wspomnienia wiązały go prawie z murami Krakowa, nie z ludźmi. Bo chociaż tu się urodził, przyszedł na świat jakby na popasie żołnierskim, gdy los na chwilę w pamiętnym roku 1809, rzucił był do Krakowa jego ojca, dawnego legionistę, naówczas pułkownika a późniejszego generała wojsk polskich.

Żadne węzły bliższe nie łączyły go zatem z miastem rodzinnym; wspomnienia, które go tu ciągnęły, datowały się z dwukrotnego pobytu w Krakowie po upadku listopadowego powstania. Wówczas generał Sierawski bawił w Paryżu na emigracyi, zostawiwszy żonę i dzieci w kraju; pani generałowa zaś, pozbawiona nagle środków utrzymania, założyła w Krakowie pensjonat, który wkrótce nabrał zasłużonego rozgłosu, dzięki zwłaszcza zabiegom jej córki, panny Heleny Sierawskiej, wdzięcznie do dziś dnia

wspominanej przez niejedną żyjącą jeszcze wychowanke tego zakładu. U matki zatem bawił podówczas w Krakowie po dwakroć młody oficer, wykolejony z zawodu, do którego z dziedziczną namiętnością był przywiązany, nie mogąc się jeszcze opamiętać po świeżej katastrofie narodowej, rozglądając się naokół, co począć z młodem życiem, które pełnąć trzeba było na nowe tory. Tu w domu matki, poznał jej wychowanke a przyszłą swoją żonę Miłość ku niej stała się dla żołnierza złamanego narodowem nieszczęściem, silną dźwignią do rozpoczęcia nowego życia, do pogodzenia się z życiem przez zamianę zwiecznych rycerskich natchnień i nadziei na żmudną pracę dla chleba. Kraków miał jeszcze dla starca nad grobem rzewny urok kolebki tego uczucia, jak do ostatniego technienia nie zatarła się w nim żywa, pełna miłości pamięć tej ukochanej, do której tęsknił przez całe życie, straciwszy ją w siódmym roku po ślubie.

Z Krakowem wiązało go także wspomnienie siostry, owego ducha opiekuńczego rodziny, owej — jak jego i innych wspomnienia świadczą — niepospolitej kobiety, którą, młodą, piękną, i przez wszystkich kochaną, pochował tu w r. 1834 na ementarzu krakowskim.

Pamiętkom więc Krakowa, murom jego i wspomnieniom dawno zmarłych drogiej osób poświęcone były te odwiedziny po 42 latach, ta prawdziwa pielgrzymka, o której starzec marzył od dawna, składając na jej cel mozolnie drobne oszczędności, pielgrzymka tem bardziej rozrzewniająca, im trudniej mu było zdobyć się na tę podróż. Z ludzi znalazł tylko jednego starego druha, towarzysza broni w gwardyi strzelców konnych za księcia Konstantego i w r. 1831 — i rodzinę, pozostałą po drugim starym przyjacielu, moim ś. p. teściu Józefie Kremerze, którego pamięć chował tak wdzięcznie, jak wogóle umiał ludzi kochać i pamiętać. Nikogo z nas nie znał i nam był nieznany, ale przeniósł przyjacielną swoją na dom przyjaciela i przylgnął do nas tak w tym krótkim czasie, który z nami przepędził, że choć późno poznany i niedługo znany, nierychło się zatrze w pamięci.

W rok po tej pielgrzymce do Krakowa, pożegnał się stary żołnierz z tym światem w 74 roku życia, 19. sierpnia 1883 r., krótko przed śmiercią pisał jeszcze do mnie, silną chorobą złamany, powierzając mojej opiece los swego pamiętnika. Z prostotą

i skromnością, która go cechowała na każdym kroku, upoważnił mnie do poczynienia poprawek, skróceń i opuszczeń, jakiebym uważał za stosowne. Skorzystałem z tego pozwolenia o tyle, iż w pierwszych rozdziałach wykreśliłem kilka obszerniejszych ustępów o wojnach Napoleońskich, które opierały się przeważnie na znanych źródłach, nie zaś na osobistych wspomnieniach autora.

Stary żołnierz, zwłaszcza u schyłku życia, w zaciszu wiejskim przebywając, dużo bawił się piórem. Mając jednak, w pół wieku po chrzcie bojowym, odbyć chrzest literacki i wystąpić po raz pierwszy w szranki piśmienniczego zawodu, lękał się, czy praca jego nie potrzebuje literackiego wygładzenia, czy mu nie wypada prosić na chrzestnego ojca — młodszego dużo ale doświadczeńszego na tem polu przyjaciela. Od usługi takiej nie byłbym się z pewnością uchylał, gdybym uważał, że jest potrzebna, a nie obawiał się, iż więcej z pewnością mógłbym popsuć, niżli naprawić. Mam zaś wszelką nadzieję, że tą wstrzemięźliwością zjednam sobie uznanie łaskawego czytelnika, który w tych wspomnieniach starego żołnierza, takich właśnie, jakie wyszły z pod jego pióra, znajdzie wszystko, czego się szuka w najlepszych pamiętnikach. Sumiennosc i dokladnosc w opisie, zwłaszcza tych spraw, w których brał udział czynny; jedyny i prosty wyklad, przejrzyste ugrupowanie; styl barwny i pełen życia, ilekroć autor dotyka wspomnień, które całą istotą jego wstrząsają i przenoszą w ubiegłe lata; oto zalety, które tej książce wśród pamiętników o r. 1831 zjedną poczesne miejsce. A przytem wszystkiem, trzeźwy, o jasnym umyśle świadczący sąd autora, zasługuje na prawdziwe uznanie. Gdzie o chwale wojennej pisze, na którą patrzył i z orężem w ręku pracował, tam znać, jak silnie biło mu gorące, zacne serce przy kreśleniu tych wspomnień, jak każde drgnienie nerwów z odległości lat pięćdziesięciu wtórowało dźwiękom bojowej pobudki, przed połową wieku przebrzmiałej. Ale nie maći to w nim sądu, gdy spoglądając na długie lat pasmo, ocenia spokojnie minione dzieje, z którymi zrosł się na zawsze, których wspomnieniem karmił się i podnosił przez całe życie. Zdanie jego o wielu ludziach i wypadkach ówczesnych, jak w każdym pamiętniku, nie zawsze wolne od uprzedzeń, często jest trafne i wytrawne, zwykle wyrozumiałe a w każdym razie z silnego przekonania płynie; sąd ogólny o powstaniu r. 1830, jak na starego

żołnierza, żyjącego wspomnieniami tej wojny, niezwykle trzeźwy i rozumny.

Oddaję więc depozyt zmarłego autora w ręce czytelnika, z tem przeświadczeniem, iż szanowni nakładcy dobrą usługę oddają naszemu piśmiennictwu, podejmując się wydania tej książki, w chwili, dla publikacyj tego rodzaju tak mało korzystnej.

Chciałem poprzedzić ten pamiętnik obszerniejszą przedmową, a w niej dać wizerunek ś. p. autora, którego każdy musiał pokochać, kto się zbliżył do niego; pragnąłem pamięci jego oddać tę skromną usługę. Ale sądzę, że sam pamiętnik wierniej go odmaluje, niż obca ręka, a zwłaszcza ostatnie karty tej książki, takie rzewne a tak pełne prostoty, zdobędą mu więcej serca u każdego, kto te wspomnienia weźmie do ręki, niż jakakolwiek charakterystyka u wstępu przeczytana.

Stanisław Smolka m. p.



ROZDZIAŁ I.

Moje przyjsięcie na ten świat. — Niedoszli ojcowie chrzestni. — Lata 1812 i 1813. — Koleżeństwo moje z Pawłuszką, synem W. Księcia Konstantego. — Księżę Adam Czartoryski podejmuje się mego wychowania i edukacyi. — Wyjazd do Krzemieńca na Wołyń. — Międzybórz, majątek księcia Czartoryskiego. — Czuda i troskliwa opieka nademną p. Piotra Puchalskiego. — Opis Krzemieńca. — Wspomnienia z tamiecznego Liceum. — Bunt więźni w Krzemieńcu. — Przepowiednia końca świata na rok 1821. — Powrót do Polski. — Pobieźny opis Puław ówczasowych. — Przyjazd do Warszawy. — Przesuwam się krótko przez Uniwersytet. — Jestem nakoniec żołnierzem. — Wspomnienie o Czarnomskim pułkowniku, dowódcy szkoły Podchorążych Jazdy naszej. — Czem był ten zakład i jakie oddał usługi kawaleryi wojska polskiego.

Urodziłem się w Krakowie dnia 17. września 1809 roku, z ojca Jana Kantego Juliana trzech imion Sierawskiego, ówczasowego pułkownika, dowódcy 6. pułku piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego, kawalera krzyża wojskowego polskiego oraz Legii honorowej francuskiej i Elżbiety z Dietrichów, córki Marszałka dworu króla Maksymiliana Bawarskiego. — Urodziłem się, mówię, wolnym człowiekiem, wśród najpiękniejszych dni istnienia Księstwa. Wojna r. 1809 chwalebnie dla oręża polskiego skończona, — Kraków oswobodzony, — część znaczna Galicyi z Wieliczką przyłączona. — Słowem: nad kolebką życia mego i nad jego

zaraniem, pogodne słońce świeciło — a matka moja, powiwszy mężowi pierworodnego, a tyle pożądanego syna, spełniła wszystkie jego życzenia.

Przyszedłem na świat na Kanonnej ulicy, w obszernej kuryi kanonika Bystrzanowskiego, gdzie mój ojciec miał kwaterę. — Datę i godzinę mego urodzenia zapisał na drzwiach sypialnego pokoju mej matki, i ten napis własnoręczny ojca widziałem w r. 1836, kiedym Kraków odwiedził, na tem samym miejscu, tyle go uszanowano.

Miał mię trzymać do chrztu książe Antoni Sułkowski, potem dopominał się o to książe Adam Czartoryski — nie przyszły jednak do skutku zamiary znakomitych tych osób, bo ich oddalenie temu przeszkodziło. — Stało na tem, że ojcem chrzestnym miał być Kościński, brat stryjeczny mej babki, właściciel pięknego majątku w Hrubieszowskiem, kawaler — obiecujący zapisać dobrą swemu chrześniakowi, ale i to się nie spełniło — więc trzymał mnie do chrztu dziad mój Antoni Sierawski z żoną — chrzczył biskup Gawroński — metryka złożona w kościele Wszystkich Świętych w Krakowie. — A ów Kościński, rozżalony zawodem, majątek swój Saworzno, w braku sukcesorów, zapisał inieniowskiemu swemu, oficerowi naszych ułanów. — Mogłem być bogatym. — Tym to sposobem, ranek mego życia był jasny i pogodny... Wieczór zaś obecny chmurny i ciemny. — Tak to bywa na tym świecie.

Dano mi mamkę, Czeszkę rodem — była to kolos nie ko bieta, o piersiach jak u mitologicznej Latony — wyglądałem więc jak pączek. — Halszka karmiła mnie całe dwa lata, potem wyszła za mąż za grenadyera z pułku mego ojca — jako wiwandyerka poszła na wojnę r. 1812 i biedna w przeprawie Berezyny od kuli armatniej zginęła.

Rok 1812 przebyłem z matką w Warszawie; w 1813, gdy pojechała do Bawaryi, zostawiono mnie we wsi Stawnie pod Radomiem. — Tu już nieco pamiętam przechód wojsk rosyjskich do Saksonii, mianowicie prawdziwego kałmuka, z kołczanem strzał na plecach, z płaskim nosem i skośnemi oczami, — dano mu wódki, chleba i odszedł spokojnie. — Od końca 1814 do 1817 r. znów przepędziłem młodziutki wiek w Warszawie, a potem w twierdzy Modlinie; wreszcie roku 1818 wróciliśmy do naszej stolicy. — Guwernerem miałem Francuza pana Gérard, — walny to był

młody człowiek — odbył kampanię francuską r. 1814 jako ochotnik, bił się pod Waterloo, cesarz był jego ideałem. — Nauczył mnie Marsylianki i nieraz zdala od ludzi śpiewaliśmy tę pieśń.

Miał on zajście z W. Księciem Konstantym, — nie zdjął kapelusza przed nim w alejach, i odsiedział za to 24 godzin na odwachu.

Księżę miał syna z Joanią Frydryks.. nosił imię Pawłuszka. — W krótkim czasie łask, któremi obsypywał mego ojca, i tak ściślejsz z nim zażyłości, dowiedziawszy się, że jestem rówieśnikiem Pawłuszki, zlecił mnie przywieźć do Brühlowskiego pałacu, tamżeśmy się poznali — kontent był Księżę, że był ubrany w grenadyerskim mundurze, kazał zaraz zrobić mundur gwardyi wołyńskiego pułku. — W pałacu Brühlowskim doskonale bawiliśmy się tysięcznymi zabawkami. — prócz tego rossyjski grenadyer uczył nas maszerować, małą bronią musztrować, dobosz znów bębnić. — Łakoci było do zbytku, — czasem W. Księżę za uszy wytargał, godząc nasze sprzeczki niby żartami, a chociaż bolało, umiałem zamilczeć. — W domu też miałem same wojskowe zabawki, mnóstwo konnych i pieszych cynowych żołnierzy, cały arsenał małej broni. — Ordynansi ojca, starzy żołnierze, ustawiali mi szeregi na posadze — staczaliśmy bitwy, wyprawialiśmy podjazdy. Wieczorem zaś, gdy zeszli się oficerowie do ojca, na wykład taktyki i regulaminu wojskowego, wkręcałem się zawsze do pokoju i nadśluchiwałem z uwagą tak dalece, że rozumiał i pojmował zasady manewrów i te potem ołowianymi żołnierzami wykonywałem.

Wzrastałem więc w otoczeniu żołnierzy i oficerów, — mundur był jedynem mem ubraniem, broń zabawką — na odgłos bębnow lub muzyki wojskowej, serce mi drgało z rozkoszy — ale to wszystko należało przerwać, dla rozpoczęcia prawidłowego nauk.

Księżę Adam Czartoryski tyle wyjednał, że mu ojciec mnie oddał, odprowadził do Puław, uściskał, ucałował, a pan Puchalski, generalny plenipotent i administrator dóbr Księcia, zabrał mnie i wywiózł na Podole. — Było płaczu z mej strony co nie miara, bom miał dopiero rok dziewiąty życia; kazano, pojechałem. — Podróżowaliśmy pocztą wygodnym powozem na Łuck i Dubno, zatrzymaliśmy się w Krzemieńcu. — Któż nie słyszał

o nim i jego sławnem niegdyś Liceum? ale później opis jego zamieszczę.

P. Puchalski zaprowadził mnie do profesora literatury greckiej i łacińskiej Jurkowskiego, po naradzeniu się postanowiono, że u niego mieszkać będę i do miejscowych szkół uczęszczać. abym się zaś przygotował do egzaminu, ugodzono korepetytora pana Nielepca, człowieka dojrzałego i z tym pojechaliśmy do Międzyborza, dóbr księcia Czartoryskiego, a głównie do folwarku Stawnica, gdzie zamieszkiwał p. Puchalski. Do Międzyborza jechaliśmy przez Jampol i Mikołajów, mil jakie 20 już w sam środek Podola.

Międzybórz, miasteczko w powiecie Latyczowskim, jest jednym z najdawniejszych na Podolu; leży nieco na wzgórzu, przy ujściu rzeczki Bożku do Bohu, który wpadając o kilkadziesiąt mil niżej do morza Czarnego, zasilany innemi dopływającemi wodami, jest już wielką rzeką splawną i tworzy pierwszorzędny port wojenny Nikolajew. Miasteczko liczy wiele wieków swej przeszłości; kroniki nasze nie dają wiadomości, kiedy i przez kogo było założone, wspominając jednak o niem w początkach XII. wieku, jak również o najazdach tureckich i tatarskich, nawet kozaczych, którym opierał się obronny zamek miasta. Nieopodal zaś widać jeszcze ruiny zamku Rakoczego, na wyspie wśród błot rozległych niegdyś pobudowanego. Tu także w r. 1657 przed połączonemi siłami Revery Potockiego, Pawła Sapielhy i Stefana Czarnieckiego, Rakoczy uległ był zniewolony i Rzeczypospolitej zupełną ugodą 23. lipca, dać zadosyć uczynienie i cofnąć się z swemi wojskami do Siedmiogrodu.

Rządził wówczas obszernemi temi dobrami, jak wspomniałem, p. Piotr Puchalski, człowiek w sile wieku, administrator wzorowy, posiadający nieograniczone swego pana zaufanie. Mieszkał na folwarku Stawnica, pod samem miastem położonym. — Dwór był obszerny, murowany, za nim rozległy ogród owocowy i spacerowy, w nim pasieka pszczół o kilkuset pniach z chałupką dla starego pasiecznika. W dworskim dziedzińcu, po jednej stronie wielka oficyna, na kancelaryę i mieszkanie oficyalistów przeznaczona — z drugiej lamusy, spichrz, stodoły, stajnia, obory, potężna gorzelnia, browar, wszystko murowane. Na lewo dworu, za niewielką pochyłością, spokojnie pły-

nał Boh ku miastu, a przez trzykrotne jego załamanie, prowadziła żwirowa grobelka dla pieszych do miasta, na niej trzy mosty na palach, — nad Bohem nakoniec, koszary i stajnie nadwornych kozaków.

Nie długi to przeciąg czasu, lat sześćdziesiąt!... O ile się jednak zmienił pozór polskiego pana czasów dzisiejszych! Stawnica wyglądała z murami swymi jak miasteczko w Saksonii. Wszędzie bujna zieloność drzew wszelkiego rodzaju, — ruch służby całodzienny i nieprzestanny, — w stajniach ogiery i klacze orientalne, — w oborach rasowe bydło, — stada koni hulające po nieprzejrzanym odłogach i pastwiskach, — dostatek i zamożność widoczna, obok wzorowego porządku w każdym szczególe gospodarstwa. A ziemia — ta podolska ziemia! która w polowych grządkach rodziła pyszne arbuzy i melony, jak u nas wątle ogórki — gdy latem ozłociła swe plony, dawała obraz jakiegoś wybranego i ubłogosławionego kraju.

Wspomniałem o nadwornych kozakach. Była ich sotnia cała, dowódczą Ataman. Chłopy jak dęby, siłacze wybrani, dostarczały ich wsie na dziesięcioletnią służbę, a ojciec takiego kozaka już pańszczyzny nie odrabiał, — dawał żywność i obrok dla konia, dwór ubranie: a było takie: kurtka sukienna, jasno zielonego koloru, z amarantowymi wyłogami, przepasana w biodrach pasowym wełnianym pasem, szarawary granatowe z lampasem tak szerokie, że się plątały między nogami. Czapka wysoka czarna barania, z wylotem jak wyłogi, na bok spuszczone, buty juchtowe, od święta czerwone lub żółte, z obcasami kutyini, — głowa ogolona, od czoła tylko warkocz zostawiony, długi, oseledcem zwany, zaplątany i założony za prawe ucho: uzbrojenie: koń dobry i biegus, kulbaka pod czaprakiem, w olstrach pistolety, w ręku lanca bez chorągiewki, przez plecy przewieszona nahajka ostra jak drut, postrach winowajców.

Połowa tej sotni, stała ciągle gotowa w koszarach na roznoszenie rozkazów generalnego plenipotentą, do czterech rządów tyłuż kluczy, każdy z sześciu najmniej folwarków składających się — druga połowa kwaterowała po wsiach, utrzymując porządek policyjny. Kiedy kasa dóbr szła do Kijowa lub Dubna na kontrakty, a przy niej konie wierzchowe i powozowe na sprzedaż, co się corocznie zdarzało, był to tabor prawdziwy, przez zbroj-

nych kozaków eskortowany, za którym ciągnęły liczne powózki z furazami i zapasami. Jeździli też kozacy z posyłkami w dalekie strony, a wypróbowanej wierności, zawsze się wzorowo z danych poleceń wywiązywali. W roku 1812, kiedy komunikacye z Księstwem Warszawskiem były zupełnie przerwane, nadworny kozak Dubyna 5000 dukatów złotem przewiózł z Międzyborza do Puław, za co go książę z rodziną zupełną wolnością z poddaństwa obdarował i posiadany grunt z budowlami na wieczność oddał.

W Krzemieńcu, miałem dodanego sobie do posługi starego osmdziesięcioletniego wysłużonego kozaka dworskiego, inię mu było Sosna — był to też kolos nie człowiek; gdy nadział na głowę swój kołpak barani, miał przeszło ośm stóp wysokości. Pamiętał sławnego Wernyhoreę i opowiadał, że mu kozackiem służył, pamiętał hajdamaków, rzeź humańską szlachty i żydów, a niejednokrotnie tuląc mnie na kolanach, nucił piosnki i dawne dumy kozackie.

Na Świętki Bożego Narodzenia r. 1820 przysłano mi pocztową podróżnię. Sosna wnet tłumoczek upakował, wyjechaliśmy z Krzemieńca pod wieczór, mróz był silny, sanna doskonała, woźnica rusin wyjechawszy za miasto trójką koni, leciał wiatrami, ja otulony futrem siedziałem obok mego bat'ka, bo tak Sosnę nazywałem. — Zapadła noc, gwiazdy tysiącami światel się iskrzyły, wyjechaliśmy w lasy ku tak zwanym Dębowym karczmom — jedziemy... aż na raz woźnica z trwogą wykrzyknął: wolki!... Obejrzał się Sosna, chmura wilków za nami... „Puskaj łoszaki!“ — wrzasnął. Konie pod silnem uderzeniem batoga, czując niebezpieczeństwo, chrapnęły tylko i poszły co sił im starczyło. Sosna wpuścił mnie całego w głębokie sanie, dobył garłacza,¹⁾ przy nim leżącego, wypalił — jęły wilki, ale jeszcze trzy dogania... dał ognia z dwóch pistoletów. — Uszliśmy do nieodległej już stacji pocztowej. Nie powiem, abym co widział w tej nocnej scenie, Sosna jednak przysięgał, że z garłacza powalił trzy wilki,

¹⁾ Garłacz. była to staroświecka broń ognista, karabinek krótki, z ogromnym wylotem, że pięć weń wchodzić mogła, stąd garłaczem zwany. Nabijany kilkunastu grubemi loftkami. Sławny Pułaski za Barskiej Konfederacyi, woził go przy sobie u łęku siodła, a lubił osobście ścierać się z kozakami i jazdą nieprzyjacielską.

a jednego z pistoletu. Na stacyi przepędziliśmy już noc, bo do Jampola było mil trzy, a droga wiodła prawie lasami.

Kto z nas nie był studentem?... Kto z nas z prawdziwą radością nie jechał na świętki do swoich... kto nie przybywał wy-czekiwany, a przybyły wyściskany, wycalowany, obdarzony roz-licznymi przysmakami?... O młodości! o czasy studenckie! Twój to wiek pono jest najszcześliwszy w życiu człowieka!

Wracam jeszcze do Międzyborza. Oblęgali go Turcy w roku 1566, ale nie zdobyli. Dzielnie się bronił Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski, pan zamku i dóbr okolicznych; roku 1672, Turcy podbili całe Podole, Międzybórz uległ temuż losowi. W zamku mieszkał basza turecki i ten go odnowił i wzmoenił. Zamek ten istniał jeszcze w r. 1812 i w następnych, w całej swej staro-żytniej powadze, lecz niezamieszkały. Od Sieniawskich przeszedł w dziedzictwo książąt Czartoryskich, jako wiano Zofii z Sieniaw-skich, która wyszła za Augusta Czartoryskiego. Majątek ten za rządów Puchalskiego składał się z dwudziestu kilku folwarków, w pysznych podolskich gruntach i kilkunastu wsi. Lasy same dębowe ogromnej przestrzeni, pełne były grubego zwierzca. Książę Adam posiadał około Żytomierza drugie tak obszerne dobra, zwane Granów, rządził niemi niejaki Poświatowski.

Kolosalne te fortuny, wartujące wówczas około 60 milionów, a dziś w dwójnasób tyle, po roku 1831 rząd rossyjski skonfisko-wał, za udział księcia w naszej rewolucyi i oddał na tak zwane „posilenie“ czyli kolonie wojskowe, zaludnione i uprawiane przez żołnierzy wszelkiej broni, a głównie jazdy. Właściwi oficerowie i dowódcy na miejscu zamieszkali, kierowali tym zakładem. Co tam dziś jest, nie wiem.

Oboje państwo Puchalscy byli bardzo mili, poczciwi i dobrzy ludzie. Pod ich troskliwą opieką niezego mi nie brakowało, ko-chali mnie zarówno z dziećmi swemi; prowadzili dom na stopę zamożną, szanowani w całej okolicy, odwiedzali chociaż dalekie sąsiedztwo i nawzajem przyjmowali, słowem pomалу odtęskniłem się, została mi tylko miła po rodzicach pamięć.

W końcu wakacyi odwieziono mnie do Krzemieńca, umie-szczono u profesora Jurkowskiego, poczciwego staruszka, z dwoma synami Puchalskich i młodym Eustachym Radwańskim; złożyłem egzamin do klasy II. i zacząłem życie szkolne.

Krzemieniec, miasto powiatowe gubernii Wołyńskiej, przyniosło sobie nazwę od ogromnych skał i pokładów najczystszej krzemienia, jakie się w okolicy miasta znajdują. Za mojej w tamecznych szkołach bytności, nie zwracano na nie żadnej uwagi, było tylko kilku ubogich robotników, którzy wyrabiali miliony skałek do fuzy i karabinów, bo o pistonaach i broni odtylecowej nikt jeszcze nie śnił. Przed niedawnym dopiero czasem archeologowie, szperający wszędzie pierwsze dzieje człowieka, zwrócili swą uwagę na te pokłady krzemienia i znaleźli mnóstwo wyrobów z epoki, którą nauka zowie epoką kamienną. Miasto liczyło do 6.000 ludności, leży w głębokiej kotlinie, jakby w wielkim leju, potężnymi górami okolonym, a te są ostatniem ramieniem Karpat galicyjskich. Naprzeciw miasta sterczy, jakby ciężła nad niem, wysoka góra, o takiej nagłej ku miastu spadzistości, że nie każdy z nas zuchwałych, wprost wdrapać się umiał. Góra ta zwała się Zankowa, od ruin ogromnego niegdyś zamku, którego budowę miejscowi przypisują królowej Bonie. Trochę się wstydzę tego, że mi niewiadome jest jego pochodzenie i koleje historyczne. Wszystkie ulice miasta idą pochyło ku rynkowi a znów z niego pną się w podniesienia. Przy rynku wielki gmach jezuitki, obejmujący w środku pyszny kościół o dwóch wieżach, podobny w architekturze do kościoła Ś.-Krzyskiego w Warszawie. Po bokach długie piętrowe pawilony w klamrę, w nich było mieszkanie dyrektora szkół, prefekta i klasy szkolne; tych zaś ściany freskami ozdobione, z różnemi sentencyami łacińskimi, jak to lubili i mieli w obyczaju OO. Jezuici. Przed tymi gmachami i kościołem, obszerny dziedziniec, zwany galeryą, bo górnem swem położeniem panował nad rynkiem. Słupy wysokie kwadratowe, z ciosu układane, z urnami u wierzchu, związane były piękną żelazną balustradą. Na tej galeryi odbywały się chwilowe wypoczynki studentów w przerwach wśród lekcyi. Starsi przechadzali się rozmawiając poważnie, między malcami gwar, śmiechy, figle, czasem cicha bitwa, bo też Liceum liczyło do 1.200 uczniów. Dyrektorem szkół był Alojzy Feliński, autor tragedyi „Barbara Radziwiłłówna“, tłumacz „Ziemiaństwa“ Dellila i innych poetycznych, dziś jeszcze cenionych w naszej literaturze, utworów.

Liceum krzemienieckie założył wiekopomny Tadeusz Czacki, który wydobył i zgromadził w tym szlachetnym zamiarze, za po-

zwoleniem rządu rossyjskiego, bardzo jeszcze wówczas dla zabranych Polsce prowincyi liberalnego, zaległe fundusze po-jezuickie i edukacyjne, o ile te były lokowane na majątkach tamiecznych gubernii. Obok tego zebrał znaczne fundusze składowe od obywateli, którzy w dobrych jeszcze owych czasach, nie odmawiali podobnych ofiar. Wyrobił u rządu przywileje, dla protegowanej przez się szkoły. Z klasztornych księgozbiorów, pozbiarał znaczną liczbę rzadkich dzieł i ksiąg, skompletował je późniejszymi nabytkami i tym sposobem złożył znakomitą w swej wartości bibliotekę, a obok tego gabinety: fizyczny, chemiczny, mineralogiczny i t. d. Czacki był twórcą i dobrodziejem Liceum krzemienieckiego, a siedł mu z dzielną pomocą książę Adam Czartoryski, jako kurator okręgu naukowego Wileńskiego i prawdziwy protektor nauk, oraz sławny Śniadecki, rektor Uniwersytetu wileńskiego.

Liceum krzemienieckie, było szkołą przeważnie matematyczną, — chociaż obok innych nauk, wszystkich narodów literatury dokładnie wykładane były, — matematyka też do wysokiego stopnia była posunięta. Klas było cztery początkowych, następowały trzy kursa dwuletnie, — tu wykładano całą wyższą matematykę, chemię, fizykę, mineralogię, ekonomię polityczną, historję naturalną, historję staro- i nowożytną i wszystkie literatury obcych narodów, wreszcie botanikę. Była więc to szkoła, która prócz fakultetów prawnego i medycznego, w innych przedmiotach stała na równi z każdym uniwersytetem. Wykład nauk odbywał się po polsku, chociaż uczono i rossyjskiego języka, a nawet ubogiej jego literatury.

Profesorowie byli znakomici, pełni gorliwości i pracy, wybrał ich Czacki i Śniadecki, to dość powiedzieć. Celowali wszakże Osiński kanonik, brat Ludwika, klasyka i literata, Józef Korzeniowski, wykładający literaturę polską, Hreczyna — algebrę, Wyżewski — wyższą matematykę, Choiński — ekonomię polityczną, Uldyński — historję, — ten zwłaszcza, gdy swym grzmiącym głosem i wspaniałym gestem z katedry opisywał początki i związki narodu rzymskiego, porwanie Sabineek, poświęcenie się Mucyusa Scewoli. Koryolana miłość dla matki, wojny Punickie, panowanie cesarów, — cicho było w klasie, że lot muchy byś usłyszał, a mówił zawsze z pamięci, deklamatorsko, głosem sten-

tora. — człek wysoki, barczysty, łysy jak Cycero, brunet, ubrać go było w togę, a miałbyś typ rzymskiego konsula lub trybuna.

Pewnego wieczora Uldyński przyszedł odwiedzić starego Jurkowskiego i został na wieczerzy, a przy niej chwalił mnie, że lubię historję. Ja tem ośmielony, nagle zapytałem go: Na co Rzymianie porwali Sabinki?... Wszyscy obecni w śmiech, a on z powagą: Żeby im koszule prały. — A ja: Kiedy panie profesorze, jeszcze koszul nie znano. — No, mój chłopcze, to aby im jajecznicę smażyły. Na tem poprzestałem.

Przepomniałem powiedzieć, że tuż za gmachami szkolnymi, rozciągał się ogród botaniczny, bardzo rozległy, opatrzone oranżeryą i szklarniami, uprawiany florą krajową i o ile klimat pozwalał, zagraniczną.

Liceum, protegowane przez rząd, księcia Czartoryskiego, Czackiego i Śniadeckiego, to dziecicę powstałe i ciągle karmione funduszami obywateli Wołynia, Podola, Ukrainy, ten świetny i nieledwie pierwszorzędnny zakład edukacyjny, z którego łona wyszło tylu znakomych naszych pracowników na polu piśmienictwa polskiego, który wykształcił zarówno synów wszystkich okolicznych magnatów naszych, całe pokolenie obywatelskie i rodzin uboższych, korzystających z licznych stypendyów, wzrastał w jakiś nieopisany urok i powagę. Pomału wielcy panowie i zamożni właściciele, pobudowali sobie pałacyki i domy wygodne i do nich zjeżdżali na zimowe miesiące. Tym to sposobem ciche i ubogie niegdys miasteczko, stało się nagle ogniskiem i zbornym punktem wyższego towarzystwa, do którego uprzejmie zapraszany uczeń, obok nauki pobieranej, nabywał tego światowego otarcia, jakie później wszędzie Krzemieńczanów odznaczało. Krzemieniec też na kilkadziesiąt mil naokoło, zwano małym Paryżem. Inny to był świat, jak dzisiaj, inni ludzie. Bogacze i zamożni nie nudzili się w kraju lub w domu, nie uciekali za granicę trwonić ojczysty dobytek, nie z tej podróży nie wynosząc, tylko wspomnienia o wzorowych hotelach i restauracyach i o tem życiu bez troski i myśli. Nikt nie słyszał, by ktoś dla zdrowia jechał do wód zagranicznych i pasł Niemców polskim pieniądzem. Rzadki to był magnat, co widział Paryż, Berlin, Wiedeń. Panowie i panie były zdrowe, piękne i czerstwe; o tych chorobach, słabościach, jakie dziś między nami grasują, nikt dawniej nie wiedział, ani

miał wyobrażenia, i można śmiało powiedzieć, że jedynie starość do grobu zapędzała.

Wyznajmy — komuż to się chce dzisiaj pójść na akt uroczysty dorocznego egzaminu szkoły publicznej, do której uczęszcza syn, najbliższy krewniak, sierota pod opieką pozostający?... Z małym wyjątkiem ojcowie dzisiejsi, chcą widzieć skończone swe obowiązki dla swych synów, płacąc stancję i utrzymanie swego potomka u którego z profesorów, płacąc osobno za każdoroczną promocję, czy na nią ów imienia potomek zasłużył lub przeciwnie!...

Inaczej było w Krzemieńcu. Akt publicznego popisu uczniów przed rozpoczęciem wakacji, ścigał z dalekich nawet stron rodziców; był to obowiązek ich przekonań i serc, widzieć postępy swych dzieci, złożyć dziękczynienia profesorom za podjęte trudy. Ogromne sale biblioteki szkolnej zaledwie pomieścić ich mogły. Znakomite mowy dyrektora i profesorów, przenuówienia uczniów, wychodzących z Liceum po ukończeniu nauk na ten świat szeroki, popisy z odebranej wiedzy, rozdawane nagrody, stwarzały akt uroczysty. Nie wstydziła się wówczas matka, wobec tysiąca widzów, zalana łzami szczęścia, uścisnąć swego syna, za trafne i przytomne odpowiedzi, nie wstydził się dorosły młodzieniec, medalem ozdobiony za pilność i moralne prowadzenie się, paść publicznie do nóg ojcu i odebrać od niego błogosławieństwo.

Tak upływały młodociane moje lata, przegradzane wyjazdami ze szkół, na świętki Bożego Narodzenia, Wielkiej Noey i wakacje, do Międzyborza i Stawnicy. Z tych czasów zapiszę tu jeszcze dwa wspomnienia:

Pierwsze: Krzemieniec jako od miasta gubernialnego oddalony, miał Sąd karny i więzienie detencyjne. Więzienie to było przy odwachu głównym na rynku, w budynku drewnianym, palisadą otoczonym; wartę utrzymywała jedyna kompania weteranów rossyjskich — więźniowie okuci w kajdanach, chodzili do miasta na robotę. Mówiono o tem wiele, że ci nieszczęśliwi, oddani na pastwę spekulującego nadzorcy, pozbawieni byli najpierwszych potrzeb życia: żywność obrzydliwa i niedostateczna, za ubiór łachmany, same więzienia ciasne, brudne, pełne zaduchu i robactwa, bez słomy na posłanie. Owoż za uzbieraną jałmużnę przy robotach, więźnie zdołali nabyć sporo spirytusu. Spoiwszy wartę



i stróżów, wprowadziwszy ich w stan zupełnej bezwładności, podnieśli bunt jawny, z zamiarem odzyskania wolności. Było to podczas krótkich dni jesiennych, miasto jeszcze nie spało, kiedy uderzono nagle we wszystkie dzwony; ludność się zbiegła, pytając, gdzie się pali, lecz wnet dowiaduje się prawdy. Postrach wszystkich opanował, bo więźniów było paręset, a miasto oddane być mogło na rabunek. Szczegółów nie umiem opowiedzieć, pamiętam tylko, że trwoga wielka zapanowała, oraz że reszta weteranów, posiłkowana przez starszych uczniów i męniejszych mieszczan, zdołała bunt ten poskromić. Walka jednak trwała godzin kilka — padło kilku zabitych, wielu było rannych, niektórzy więźniowie uciekli.

Drugie: W końcu roku 1820, szczególna wieść zaczęła się rozchodzić po całej okolicy, nawet w dalekich stronach, że dzień trzeci Zielonych świątek następnego roku, będzie końcem świata. Lud dał temu zupełną wiarę i nie dziwnego; historia wspomina, że takich przepowiedni w starożytności było bardzo wiele, a nawet w nowszych czasach się powtarzały, oraz — że strwożeni, prócz modłów i ofiar kościołom dawanych, zapisywali im całe swe majątki bez uwagi, że i te znikną, gdyby nasz świat miał się skończyć. — Zapowiedź tej katastrofy, nie obojętnie w Krzemieniu przyjęto; mijaly dnie i miesiące — strach się powiększał, szczególnież żydzi oddawali się rozpaczy. Krótko mówiąc, nadeszły nakoniec Zielone Świąta r. 1821; pogoda była przesłiczna, lud oblegał kościoły, spowiadał się; — tak minął dzień pierwszy i drugi — trzeciego jasne słońce na ten świat zeszło, ani jednej chmurki na firmamencie, w mieście cicho, tylko dzwony ciągle biją, wszystko się modli, nikt pożywienia nie gotował. Nadeszło południe — pogoda się nie zmieniała, — zaczyna zwolna wracać zaufanie. Jemy skromny obiad u Jurkowskiego, kiedy naraz straszne krzyki z miasta dały się słyszeć, — wybiegamy z domu, co za widok?!...

Powietrze ciężkie i parne, oddech zaduszające, a zupełnie nieruchome, słońce wysoko nad miastem blade, bez promieni, że gołem okiem patrzeć na nie można, — na południu pokazują się złowrogie brzegi najczarniejszej ciężkiej chmury, powoli a nisko postępującej, — z północy druga takż chmura — idą zwolna

jak do szturmowi naprzeciw siebie — w ich łonie głucho przeciągłe grzmozoty okolicznymi górami wstrząsające.

Pani Jurkowska mdleje... córki jęczą i płaczą, tuląc się po kątach, stary nasz profesor stanął jak wryty, błądy, zadumany... my chłopcy zdrętwieli, patrzymy w chmury, a te idą do siebie, zapowiadając zupełne zniszczenie; wiatru nie, tylko straszny szum w górnych niebiosach. Niedługo zaciemniło się słońce i cały widnokrąg, dzwony bić przestały, nie wiemy co się dzieje w mieście, słyhać tylko daleki krzyk.

Była godzina druga po południu; zupełnie się ściemniło, ciągle tylko błyskawice świeciły. Nareszcie starły się z sobą chmury, — Bóg tam wie, wiele naraz waliło piorunów w górę, szczególnie w zamkową, z której kilkanaście sążni murów runęło z ogromnym łoskotem do jej podnóża. Naraz zawył straszny wichler, lecą z dachów gonty i dachówki, nasz dom drewniany prawie się chwieje, drzewa wywracają się obalone. — Cienno zupełnie, na chwilę ucichło. Niedługo potem zerwał się znów wichler szalony, a z nim grad, lód kawałami funtowymi siecze wszystko. Stajnia i obora w naszym dziedzińcu z okrutnym łomotem wali się na ziemię i przygniata biedne zwierzęta. — Biegamy po pokojach prawie bez przytomności, chowamy się w kąty, bo wszystkie szyby wybite. Nareszcie chmury z deszczem nawalnym pękają, nie deszcz, ale strumieniami wody się leją, — w jednej chwili miasto a głównie dolny jego środek zupełnie zalany.

Dom Jurkowskiego stał na końcu Studenckiej ulicy pod górą, usunięty od niej w dziedzińcu, przy ulicy stał budynek kryty, gdzie była studnia z kołem, a spodem lodownia i piwnica. — tą ulicą z gór woda pieniać się w swym pędzie, płynęła do miasta prawdziwą rzeką. Nagle znów trzask wielki... była to skała objętości wielkiego pokoju, oberwana z góry, którą woda popychała i toczyła pochyłą ulicą; dotknęła tylko owego budynku, jęknął i zmiążdżony legł, a belki, słupy i tarcice popłynęły z wodą. Co tylko ta skała natrafiła na swej drodze, gniotła ze szczerem. Tak zniszczyła dom murowany, stojący na zakręcie ulicy Studenckiej na rynek i na jego gruzach w ogrodzie się oparła.

Niepamiętna ta burza trwała przeszło dwie godziny, przebieg ich był prawdziwym męczeństwem, nareszcie pomału wolniała, — o piątej po południu ucichło wszystko. Stary Jurkowski

zebrał nas chłopców, uściskał serdecznie mówiąc: „Stwórca nasz się gniewał, jako ojciec pogroził, a potem przebaczył. — kłęknicie i zmówcie dziękczynne pacierze“. Sam zapalił ulubioną sobie fajkę.

Resztę dnia i nazajutrz, miasto obliczało swe straty: — kilkadziesiąt osób utopionych, zalana wielka liczba bydła, które burza w górach na pastwisku zachwyła, woda wszędzie, w domach, w piwnicach, — fundamenta domów podmyte, dachy kawałami lodu podziurawione lub obalone, słowem prawdziwe zniszczenie; pocieszono się tylko, że świat się nie skończy — może i szkoda, że się nie skończył, — piękny co prawda, ale dzieje się na nim źle.

To pewna, że w długim mem życiu, podobnego gniewu natury już nigdy nie widziałem, a co najdziwniejsze, że owa burza zesła się z dniem przepowiedni.

Kończyłem w Liceum krzemienieckim pierwsze cztery klasy i pierwszy kurs dwuletni: uczyłem się nie wzorowo, ale dosyć dobrze. W roku 1824, ojciec mój zatelegrafował do mnie, 6 lat mnie nie widząc: zażądał, by mnie zwrócono do Warszawy, gdzie miałem wstąpić do Uniwersytetu. Powodowało ojem i to, że książe Czartoryski przestał być kuratorem szkół okręgu wileńskiego, a na jego miejsce mianowano sławnego Nowosileowa, ten zaś zaprowadził zupełną reakcyę w wychowaniu publicznem młodzieży. Ze lżą więc w oku prawdziwej wdzięczności pożegnałem rodzinę Puchalskich, poczciwego Jurkowskiego i szkolnych towarzyszy, — odjechałem z tamtych stron zapewne już na zawsze.

Wjechaliśmy w granicę Królestwa, — była to niedziela, — znaleźliśmy się w miasteczku Krasnymstawie, stał w niem garnizonem nasz drugi pułk ułanów; zagrali trębaczce, wybiegłem na rynek, była to parada wojskowa. Łzy mi stanęły w oczach, nieopisane wrażenie mną owładnęło, — ujrzałem znów żołnierza polskiego, o którym śniłem tylko w ubiegłych latach: los mój się rozstrzygnął...

W Puławach zatrzymano mnie dni kilka, bo książe Czartoryski był nieobecny a chciał mnie widzieć. — Piętnastoletni chłopak z dość rozwiniętym umysłem, użyłem dni kilku zwłoki na oglądanie piękności puławskich.

Dalekobym zaszedł, gdybym zamierzał opisywać Puławy, przed rokiem 1831, rzucę więc tu tylko ogólny ich opis.

Puławy, wieś ludniejsza od wielu miasteczek naszych, osiedlona i pubudowana przez mieszkańców różnej zamożności i włościan, stanowiąca część majątków, wówczas dziedzicznych książąt Czartoryskich, leży na wysokim wzgórzu, panującym nad szerokim rozlewem wód wiślanych, na prawym ich brzegu. Patrząc na to rozkoszne siedlisko z za Wisły, mianowicie z tak zwanej góry Puławskiej, przedstawia się ogromny bukiet potężnych drzew różnego rodzaju, z pomiędzy których wyglądały świecące się blachy i dachy kilku pałaców, kościół z wysoką kopułą, w prawo owa sławna świątynia naszych pamiątek, Sybilla, w lewo białe murowane domy mieszkańców. — Na prawo za Sybillą, długi rząd domów miejskich, drzewami unajonych. Widok to więcej niż piękny, powiem, niezrównany. Sama główna rezydencya książąt, była pysznym pałacem nowszego stylu, o dwóch pawilonach po bokach. Dziedziniec obszerny, osztachetowany wysoko żelazem, ozdabiała dość obszerna sadzawka z fontanną bijącą w środku, zamknięta w około ciosowym kamieniem. Ogród obejmujący, jak się zdaje, ze dwieście morgów, rozkładał się to po piętrzących się górach, to znów łamał się w głębokie wąwozy i doliny. — Wszędzie niebotyczne lipy, modrzewie, jasiony, klony, jodły i dęby, a ich gąszcze, umiejętnie poprzecinane, przedstawiały śliczne widoki, jedno za drugimi odkrywające się. Nie widać tu było sztuki, a jednak stworzyła wszystkie te piękności myśl, z pomocą ręki ludzkiej i prawdziwe piękna poczucie. Szeroka łacha wiślana ogród ten przerywała, na niej kępa w rozkosznym ustroju, również drzewami unajonem i kilka chatek niedbale rozrzuconych, wewnątrz ślicznie umeblowanych, — w nich to odbywały się podwieczorki gościnnej księżny i odpoczynek spacerujących. — a do tej kępy dopływało się włoskimi gondolami. Do każdego widoku, do każdej statuy lub pomnika, a było ich wiele i kosztownych, doprowadzała ścieżyna wygodna. Z tych gęstw zacieinionych, niejednokrotnie wychodziło się na zieleniejące się, otwarte łąki, zasłane aksamitną trawą. Tu spotkałeś parę przepysznych krówek, dozorowanych przez dziecię czysto, malowniczo, ale po swojsku ubrane, — przebiegł czasem daniel o szerokich rogach, lub sarna ze swem cielątkiem, — ptactwo nuciło po drzewach

swe pieśni a w różnych miejscach, niby bez żadnej symetrii rzucone, kląby najpiękniejszych kwiatów. — Obejść to wszystko, widzieć, nacieszyć się, długiego wymagałoby czasu, opisać niepodobna.

Nieopodal od głównego pałacu, w ogrodzie, stała tak zwana Świątynia Sybilli. Była to wielka rotunda z kopułą na wierzchu, wysoka, wsparta na poważnych kolumnach, z gustownymi kapi-telami, — pobudowano ją na stoku góry. W główne i potężne podwoje frontowe wchodziło się po szerokich wygodnych kamiennych schodach, pod którymi drzwi drugie do dolnej świątyni, gdzie były zachowane świeższe i tegoczesne narodowe pamiątki. Ściany pietra ubrano w stare polskie zbroje i broń: tuż dwa sarkofagi: jeden poświęcony pamięci księcia Józefa Poniatowskiego, drugi zmarłemu księciu Czartoryskiemu, mężowi założycielki Świątyni i ogrodu w Puławach.

Górna część Świątyni, zawierająca pamiątki z ubiegłych wieków istnienia Polski, brała światło z góry, z jednej sztuki szklanej. Wprost drzwi wchodowych i nieco głębiej, wielka zasłona aksamitna czerwona, złotymi frendzlami ubrana, a za nią pyszne trofea ze sztandarów, oręży, kopii, łasek marszałkowskich, buław hetmańskich, pastorałów biskupich, wszystko pamiątkowe przedmioty. Na środku Świątyni stała na marmurowym stole wielka hebanowa szkatuła, złotem kuta, zawierająca najcenniejsze narodowe mniejsze pamiątki. Na ścianach zbroje, buńczuki tureckie i znaki najznakomitszych rycerzy polskich ubiegłych wieków: w koło stały szafy i bogate skrzynie inkrustowane, jeszcze bogatsze wspomnienia zawierające.

Ze znaczniejszych tu wymieniam, o ile zapamiętałem:

Miecz Władysława Łokietka.

Stół do pisania króla Kazimierza Wielkiego.

Trzewiczek królowej Jadwigi i jej łańcuch złoty, darowany Akademii krakowskiej.

Owe trzy miecze krzyżackie, które przed bitwą pod Grunwaldem, ciż Jagielle przysłali.

Pastorał Zbigniewa Oleśnickiego, biskupa.

Garstka popiołów naszego Kopernika.

Łańcuch złoty i nłamki zbroi Zygmunta I.

Wachlarz królowej Bony.

Zegar hetmana Tarnowskiego.

Szpada króla Zygmunta Augusta.

Sztuciec koronowy żony jego, Barbary.

Czaszka Jana Kochanowskiego.

Miecz Stefana Batorego i pamiątki po jego żonie, Annie Jagiellonce.

Pomnik Jana Zamoyskiego i jego hetmańska buława.

Zegarek Zygmunta III., jego własnej roboty, i pamiątki po jego żonach.

Buława hetmana Żółkiewskiego i czaszka jego w mozaikowym pomniku.

Tarcza i pierścień Karola Chodkiewicza.

Kość z ręki Stefana Czarneckiego w ślicznym małym sarkofagu.

Pałasz Bohdana Chmielnickiego.

Szabla księcia Józefa Poniatowskiego.

Postrzelany surdut pułkownika Kozietulskiego z pod Somo-Sierra.

Oraz wielką liczbę pamiątek po królach naszych i sławnych wodzach, zebrała Izabella z Flemingów księżna Czartoryska i umieściła w chronologicznym porządku. Za jej pozwoleniem pokazywał te pamiątkowe skarby Gniewkowski, profesor emeryt i najdokładniejsze udzielał objaśnienia przybywającym. To też do tej świętyni, dla oglądania tyle drogich nam pamiątek i dla przedstawienia się samej księżnej, jeszcze wówczas żyjącej, z całego kraju odbywano pielgrzymki. Wszystkie te narodowe skarby, wraz z ogromną biblioteką puławską, wywieziono przed skończeniem naszej wojny do Sieniawy w Galicyi, — i zdaje się, że syn śp. księcia Adama, Władysław Czartoryski, z nich ułożył muzeum pod swem nazwiskiem, istniejące obecnie w Krakowie. W Sieniawie, w bardzo późnym wieku zgasła księżna Czartoryska, — w końcu życia zdziębiała, mówiąc ciągle o swych ukochanych Puławach, sądząc, że jeszcze w nich zamieszkuje. — Będąc wówczas w Puławach, miałem szczęście być jej przedstawionym; sądzą, że liczyła już przeszło lat siedmdziesiąt. Staruszka drobna i szczupła, nadzwyczaj miła i uprzejma, — pani wzorowa, ubogich szczerze

wspierająca, wychowywała panny szlacheckiego urodzenia i te wyposażała. — Zaproszono mnie do jej stołu, — a gościł wówczas w Puławach od dni kilku nasz historyk i poeta, Niemcewicz. Synami jej byli: książę Adam Czartoryski, wojewoda, prezes Senatu kongresowego Królestwa; książę Konstanty, generał wojsk polskich, dziedzic Międzyrzecza i wielu innych dóbr, z których po roku 1831 się wyprzedał i wyniósł do Galicji; Zofia, małżonka ordynata Zamoyskiego, matka współczesnego nam Andrzeja i generała Zamoyskiego, słynna niegdyś ze swej piękności, i druga, niepamiętnego mi imienia, małżonka księcia Württemberskiego.

Puławy i cały ogrom dóbr książąt Czartoryskich, rząd rosyjski po roku 1831 skonfiskował, a księcia Adama skazał zaocznie, — bo emigrował do Francji — na karę miecza. Dziś Puławy, podzielone na majoraty, darowano generałom rosyjskim. W przebudowanym pałacu, przed laty, była rządowa pensya panien, później szkoła politechniczna, — dziś, gdy to piszę — szkoła agronomiczna i leśna.

W bliskości Sybilli, której fronty zdobił napis „przeszłość przyszłości“, znajdował się domek gotycki, — tak go zwano od stylu jego budowy. W zewnętrznych jego murach z czerwonej cegły, wmurowane były trwałe pamiątki z całego świata zebrane, z podpisami, — jedne ciekawsze i rzadsze od drugich. W pokojkach, nadzwyczaj gustownie ubranych, były portrety znakomitych ludzi, po nich pamiątki, oraz autografy, — pamiętam krzesło Woltera, roboty własnoręczne z kości słoniowej Kościuszki, a nawet portret pięknej Ninon de Lenelos, oraz niezliczona liczba innych. — A dziś!...

W roku 1848 i później nawet byłem w Puławach. Ogród zapuszczony, drzew wiele wyciętych, ścieżki i aleje zarosłe. Sybilla stoi jak szkielet bez serca i duszy, bo w niej pustki i upada w ruinie; domek gotycki odrapany, dach w części się zapadł, mieszka w nim jakiś stróż, pamiątki z murów wydłubane, reszta zabilona umyślnie. Książę Adam miał osobny pałac również w ogrodzie, — było to istne cacko architektury i umeblowania; oddzwia, futryny u okien, podwoje rzeźbione, masywne mahoniowe, — wszystko to oderwano, wyjęto, wydłubano, aż do posadzek i marmurowych kominków. Cały pałac bez okien i szyb, wygląda jak stara latarnia.

Pół wieku zaledwie upłynęło, a ten ogrom pracy, nakładów i najszlachetniejszych myśli kobiety Polki i sławnej u nas rodziny, od Jagiellonów pochodzącej, zniknął nam bezpowrotnie, — a dzieci nasze już tych relikwii dotykać nie będą!...

Z Puław odwieziono mnie do Warszawy. Nie umiem wyrazić uczucia, którego doznawałem, wchodząc do mieszkania rodziców, bo tych rysy twarzy słabo w mej pamięci pozostały. Wszedłem, a na widok ojca i matki stanąłem, spojrzałem i zawałem się — naraz natura ze swemi prawami się odezwała. Rzuciłem się do nóg matki, a ta mnie długo do piersi tuliła, aż mnie ojciec oderwał i wziął w swe ramiona. Zbiegły się siostry, bracia, zaczęły się opowiadania bez końca, a jam się ciągle to ojcu to matce przypatrywał.

Dano mi kilka tygodni wypoczynku, ojciec prowadził i pokazywał przyjaciółom. Ale punkt o dziesiątej rano wynikałem się z domu, aby widzieć paradę wojskową na Placu Saskim i cieszyć się widokiem polskiego żołnierza.

Skończyły się wakacje, zaprowadzono mnie do Uniwersytetu, zapisano na wydział matematyczny i zacząłem na prelekye uczęszczać. Niedługo jednak początkowa pilność trwała, — inne były myśli, inne żądze w mej głowie... Prelekye się opuszczały dla parady wojskowej, — tak mijała zima. W końcu lutego 1825 roku, W. Książę Konstanty, co wszystko swem bystrem okiem widział, zauważywszy od dawnego czasu ciągłą bytność młodziana na paradzie i w uniwersyteckim mundurze, posłał nareszcie któregoś z adjutantów z zapytaniem, co jestem za jeden? Odpowiedziawszy właściwie, uciekłem z Saskiego Placu. Na drugi dzień przybył do ojca generał Toliński, szef sztabu głównego, opowiedział zdarzenie i oświadczył wolę W-go Księcia, żebym wstąpił do wojska, bo widać, że się uczyć nie chcę. Ojciec kazał mnie przywołać, zburczał potężnie, a gdym wyznał, że stan wojskowy jest dla mnie jedynym, już się nie opierał.

Wzrostu nad wiek wybijającego, smukły jak trzcina, zaledwie kończyłem lat piętnaście, kiedy ta wielka przemiana losu nastąpiła. Przedstawiono mnie Wielkiemu Księciu na pokojach Brühlowskiego pałacu, — spojrzał na mnie z uśmiechem i po polsku zapytał, w którym pułku życzę sobie służyć; a że to już wprzódy ułożono, odpowiedziałem: iż proszę o przyjęcie do czwartego pułku strzel-

ców konnych. Na to Książę zawołał: Czarnomski, weź go do szkoły podchorążych i zrób z niego kiedyś dobrego oficera.

Z Brühlowskiego pałacu biegłem do domu, ziemi stopami nie dotykając, — w trzy dni mundur uszyto, buty ostrogami opatrzone, głowę bez grzebienia ostrzyżono, zaprowadzono do koszar szkoły podchorążych jazdy, na ulicy Królewskiej, w pałacu Łubieńskich, pokazano salę, gdzie mieszkali przyszli koledzy, pryceć do spania, siennik słomą wypchany, takiż wałek pod głowę, kołdrę welnianą i zostałem od 5. marca 1825 roku żołnierzem.

Jeżeli być może szczęście na tym świecie, to ja go wówczas niezawodnie doznawałem. Mundur palił mnie na skórze. Nowość zajęcia, — tu pałasz, tu karabinek do musztry, kask z polskim orłem, tu wreszcie te brzęczące ostrogi, w szalone mnie ukontentowanie wprowadzały. Dano mi zaraz konia dobrego z kompletnem okulbaczeniem, nowa uciecha!... Nazajutrz wyszedłem już na plac musztry przed koszarę, w lejbiku, czapka z lampasem na bakier na prawe ucho, wyciągnięto mnie z bioder jak strunę, instruktor uczył maszerować, obracać się w prawo i lewo, robienia bronią, potem konno na rajtszule. Podobało mi się to bardzo, bo miałem chęć niezwykłą i pilny byłem.

Kiedym pierwszy raz w niedzielę wyszedł na miasto za urlopem do rodziców, zdawało mi się, że wszyscy przechodzący na mnie patrzą. Trzeba było widzieć, jaką minę zuchwałą nastroiłem, matka przyjęła mnie z niejakąś zadumą, ojciec wesoło.

Namiętnie zapalony do służby wojskowej, wychowany między żołnierzami, nauczony przez nadwornych kozaków w Międzybożu śmiało jeździć konno, w 30 dni byłem zupełnie wyrobionym żołnierzem. Czarnomski, dowódca podchorążych, był ze mnie zadowolony, koledzy z młodego — jak nazywali — kadeta, naśmiewać się nie mieli powodu.

Ale kto był ów Czarnomski?... Wiele by trzeba o nim opowiadać.

Franciszek Czarnomski, podpułkownik drugiego pułku strzelców konnych i dowódca szkoły podchorążych jazdy naszej, łączył w sobie wszystkie przymioty, jakie lubił widzieć w oficerze Wielki Książę Konstanty. Powierzchności pięknej i zgrabnej, elegant w ubraniu wojskowem, siedział na koniu jak przykuty, wodził nim jak prawdziwy berajter. Konie wierzchowe miewał zawsze

dzielne. Nie mówił wprawdzie żadnym językiem prócz rodowitego, ale klął wszystkimi najenergiczniej. Regulamin jazdy: polski, rosyjski, pruski, austriacki i francuski, umiał na pamięć. Ostry ale sprawiedliwy, — demokrat, okrutnie dusił papinkowatych paniczków, którzy mu się w ręce dostali, protegował ubogich, byle byli ochędźni i dobrze musztrę znali. W pasy grubianin nawet, w dobroci poufały i facecyonat. Musiał być odważnym w dawnych bojach, bo posiadał krzyże wojskowe polski i francuski, oraz policzek tego szabłą naznaczony, z czem mu pięknie było. Czasem przechodził na wielką salę koszar, gdzie nam teorię regulaminu wieczorem wykładano, — pomalo zaczął zatracać o wojnie, stąd o odbytych kampaniach, — rozgrzewał się stopniowo, chodził szerokim krokiem po sali, ręką zamierzał się, jakby do cięcia szabłą... Tu dopiero płynęły mu z ust potoki słów, przekleństwami w różnych językach przeplatane, — a były to wysłowienia krótkie, jędrne, typowego żołnierza. Dalejże o bitwach pod Wagram, Austerlitz, pod Berezyną, Lipskiem, — a wówczas improwizował. Zapewne niejednego niegdyś ustrzelił, szabłą dobrze nazaczył, ale w opowiadaniu dziurawił sobą na wylot całe bataliony i szwadrony, brał armaty a nieprzyjaciół walił na ziemię całemi dziesiątkami. — Domyślaliśmy się, że nieco przesadza, ale miło nam było słuchać energicznych opowiadań, bo te ducha nam podnosiły.

Na dowód, jak pojmował stosunki i porządek tego świata, przytoczę, iż raz na defiladzie tak był z nas zadowolony, tak chwalił nieskończenie, iż nie mogąc się już wymowniej wysłowić, zawołał do podwładnego sobie kapitana Wrześniewskiego: „Kapitanie! daję słowo honoru, maszerują jak kortezy hiszpańskie!...“ — Innym znów razem, dowiedziawszy się o znakomitym figlu któregoś z podchorążych, wypowiedział w pasy te pamiętne słowa: „to już jest ostatnia kokieteria z infamią połączona!“

Nie byłoby końca, gdybym zamierzał tu przytaczać wszystko, com przez lat przeszło cztery mej służby pod nim usłyszał. Zresztą człek najpocziwszy, oficer wzorowy i mężny, Polak dobry. W wojnie r. 1831 mianowano go generałem i we właściwym miejscu jeszcze o nim wspomnę, bo mu się to należy.

Dziś, gdy widzę wynokłego młodziana, któremu nie dogadza, owiniętego flanelami, otulonego w potężne futro, że mu

nosa nie widać, na nogach buty futrzane po same kolana, szukającego wykwintnej strawy, miękkiego łóżka, — wielkiego rycerza przy zielonym stoliku. w duchu stęknę i mówię sobie: O cieniu dzielnego Czarnomskiego!... weź go za ten łeb kudłaty, ufrzyzowany i wyperfumowany — i wytargaj doskonale, potem kopnij nogą, jak pęk zgniłej słomy.

Szkoła podchorążych jazdy nie miała na celu żadnego umysłowego wykształcenia młodzieży jej oddanej, bo to uważano jako już poprzednio skończone. Wielki Książę Konstanty ani lubił ani wymagał naukowych we fronce oficerów. zostawiał te przymioty korpusowi artylerji, inżynierom i sztabom kwatermistrzostwa. Pułkownikowi Skrzyneckiemu, dowódcy 8. pułku piechoty liniowej, który istotnie nauki posiadał, raz publicznie powiedział: „bądź tak głupi, jak mój Strandmann. a pułkiem musztruj tak dobrze, jak on.“ Ow Strandmann był dowódcą pułku gwardji grodzieńskich luzarów. To też nie uczyliśmy się nie więcej prócz regulaminu musztry, manewrów, konnej jazdy i powinności dobrego żołnierza i oficera. — Osobno istniały szkoły artylerji i szkoła aplikacyjna, gdzie wykładano matematykę, taktykę, fortyfikację, miernictwo wojskowe, rysunek topograficzny i t. d. Do tych nauk brano nauczycieli z Uniwersytetu i zdolnych na tem polu oficerów. Był i korpus kadetów w Kaliszu; tam młodzietkie chłopcy — a było ich paruset — kosztem rządu pobierali wszelkie nauki. Stąd dorodlejsi i zdolniejsi wychodzili do szkół artylerji i aplikacyjnej; inni do szkół podchorążych jazdy i piechoty.

W szkole podchorążych jazdy nie szło tak łatwo, jak się zdaje; prowadziliśmy życie czynne i nadzwyczaj pracowite. W sali, gdzie z innymi stałem, a było nas dziesięciu, kolejny służbowy miał obowiązek przynieść konewkami tyle wody, ile jej koledzy zapotrzebowali, salę zamieść kilka razy na dzień. Wstawaliśmy do dnia na odgłos trąbki, zaraz potem do stajen pomódz ordynansom czyścić konie, nawóz wyrzucić, być przy rozdawaniu obroku i pojeniu. Po powrocie do sali następowało drobiazgowo około siebie ochędostwo, następowała na placu koszarowym musztra i to naczczo; o dziewiątej ranej śniadanie posilne ale proste, bośmy w ogólnym żyli menażu za 19 groszy dziennie na jedną głowę; po śniadaniu ciągnęła musztra piesza lub konna; o czwartej obiad, poczem godzina spoczynku; następowało drugie czyszczenie koni

i obroki, nakoniec od 6 do 8 wieczorem teoria regulaminu. Oficer służbowy ściśle tego porządku pilnował. Co niedziela, w pełnym ubraniu paradnym, występowaliśmy do defilu przed Wielkim Księciem przy zmianie wart; również w każdą niedzielę ośmiu podchorążych z tyłuż pułków jazdy występowało na ordynans z innymi pułkami polskimi i rossyjskimi; — tymi Książę rajtshulował na placu Saskim, ile mu się podobało, a chwalił nas zawsze z uniesieniem. Po południu i po tych paradach niedzielnych, puszczano nas na urlopy do miasta i było nas znać w Warszawie — służbowi zostawali w koszarach.

Służbę w stajniach odbywaliśmy w kasku i przy pałaszach i to 24-godzinną; mieliśmy swój odwach, warty nasze stały dniem i nocą, zarówno w zimie jak latem: ślota, śnieg, mróz — wszystko trzeba było wytrzymać. Słabsi chorowali, kilku umarło, ale ci, co przetrwali, cieszą się dotąd żelaznem zdrowiem. Karność była wielka; kary: areszt na miejscowym odwachu, niezłuzowana w stajni służba, od dni 3—14; drugi stopień, zamknięcie w lochu pod odwachem; trzeci — na odwachu na Saskim placu, o czem już W. Księciu meldowano; czwarty: odesłanie do pułku, z utratą na zawsze awansu na oficera. Najpierwszych magnatów synowie, jak Radziwiłłowie, Sanguszkowie, Zamoyscy, Stadniccy i t. d. jednemu i temu samemu rygorowi ulegali.

Pomiędzy tak wielką liczbą młodzieży, bo było nas około 200, musiały czasem zajść sprzeczki i ubliżenia osobiste, wtedy następowało wyzwanie, z terminem wymarszu z Warszawy, na manewra dywizyi w letnich miesiącach. My, strzelec konni, takiego rodzaju rozprawy honorowe załatwialiśmy zawsze w Sochaczewie na dniówce, i to w stajni zajezdnej, bardzo obszernej. Oficer nas dozorujący, zawsze był przytomny spotkaniu: biliśmy się na pałasze nieszlifowane, do pierwszej krwi; głowy bijącym się sekundanci szablą zasłaniali. Mimo tego nie jeden porządnie oberwał po policzku lub ręce: w takim razie ранnego obandażowano, mógł jechać konno na dzień drugi, to dobrze; jeśli nie — wrzucili go na furę i odwieźli do Łowicza do szpitala wojskowego. Bił się w mojej obecności synowiec generała Siemiątkowskiego z Neymarkiem, a był zadziwiającej siły, w pierwszym złożeniu jednym cięciem urąbał Neymarkowi klingę pałasza przy samej gardzie; podano drugi — Neymark stanął, ale już zmię-

szany i nieprzytomny; naciśnięty, cofając się, rzucił palasz na Siemiątkowskiego tak nieszczęśliwie, że mu rozciął pulsowe żyły u prawej ręki. Obaj musieli wziąć dymisję — jeden jako kaleka, drugi jako nieprawidłowo broniący się.

Widoczna rzecz, że z takich trudów, wyrobienia i honorowego prowadzenia młodzieży, musieli wychodzić dzielni oficerowie kawaleryi; to też cała jazda nasza miała młodszych oficerów, których usposobił na jej zaszczyt i późniejszą chlubę, podpułkownik Czarnomski, bo około lat czterestu był dowódcą Szkoły podchorążych.

Podchorążowie piechoty, mieli swe koszary w Łazienkach królewskich; dowódcą ich był pułkownik Olędzki, zaś szkoły aplikacyjnej na Miodowej ulicy, wstawiony później pułkownik Sowiński.



ROZDZIAŁ II.

Pobieżny pogląd na sprawy nowo-ukonstytuowanego Królestwa Polskiego od roku 1815. — Podział statystyczny jego. — Skład Senatu i Ciała prawodawczego w roku 1829. — Wymienienie władz rządowych. — Wojsko polskie i jego dowódcy. — Administracya wojskowa. — Umundurowanie i uzbrojenie wojska. — Duch jego i poważanie mu oddawane.

Zniewolony jestem cofnąć się z mem opowiadaniem.

Ukonstytuowało się Królestwo Polskie po roku 1815. I wdzięcznym był Polak cesarzowi Aleksandrowi, że z tych gruzów wielkiego niegdyś gmachu, choć część jego ocalił, boć nie wiedział, jakie układy i przeciwności na Kongresie Wiedeńskim, były niby tego wspaniałego czynu powodem. Cieszył się, że był Król Polski i Polskie Królestwo, i mówiono: Król Polski, to prejudykat do panowania kiedyś nad całą Polską i jej zjednoczenia.

Aleksander nadał nowemu Królestwu konstytucyę, a wskutek niej, Senat z dawnymi tytułami jego członków, senatorów, wojewodów i kasztelanów, składający się z osobistości pierwszych rodów w kraju, a doświadczonych w jego rządzeniu. Ustanowił Reprezentacyę narodową w ciele prawodawczem — Sejmy — Radę Stanu — Radę administracyjną — Ministerya: sprawiedliwości, spraw wewnętrznych, skarbu i wojny. Zgromadził resztki niedobitków naszych, które wróciły z Francyi po abdykacyi Napoleona. Z nich utworzył wojsko polskie, z sztandarami i godłami narodo-

wemi. — Z Litwy, z Podola, Wołynia i Ukrainy, nie dochodziły skargi, bo tam obowiązywały dawne prawa Statutu litewskiego; nam zostawił Kodeks cywilny Napoleona. Namiestnikiem u nas mianował polskiego generała, Zajączka. Słowem, jak nowy gospodarz, utytułowany królem, bawił się w konstytucjonalizm i liberalizm, szukał popularności. To też kraj, podniesiony z zaguby, cieszył się z swego bytu.

Po ciężkich wojnach i przechodach przez Polskę wojsk, które żyły kosztem mieszkańców, po wysiłkach, jakie czyniło Księstwo Warszawskie, by odpowiedzieć rozkazom Napoleona, zdawało się, że kraj długie lata chromać będzie w swem nowem istnieniu. Dochody Królestwa w pierwszych latach nie przynosiły 40,000.000 złotych polskich, pochłaniały je utrzymanie wojska i zaprowadzona administracja. Skarb cesarstwa przychodził z pomocą. Od wycienionych ofiarami właścicieli ziemskich, a nawet mocno obdłużonych, niepodobna było żądać podwyższenia podatków. Zbliżało się przesilenie, a było tak groźnem, że cesarz Aleksander zawiadomił namiestnika Zajączka, że taki stan finansów może spowodować zmianę politycznego bytu Królestwa. Wówczas to projektem utworzenia instytucji kredytowej, przez monarchę zatwierdzonym, windykacją różnych funduszów prawie za przepadłe uważanych, suppressją dóbr duchownych, utworzeniem Banku polskiego w Warszawie, podniesieniem górnictwa krajowego i handlu wewnętrznego, minister skarbu, książę Lubecki, położył nieocenione krajowi zasługi. Dochody Królestwa corocznie się zwiększały, wydatki wyrównywały; fabryki różnych wyrobów się podnosiły, górnictwo zakwitło, rolnictwo przy nader taniej produkcji przynosiło właścicielom intraty, mimo że ceny targowego ziarna były bardzo niskie, lecz wzajemnie z temi równoważyły się przy kupnie wszelkie inne potrzeby.

Młodziutki, jak wówczas byłem, nie więcej o tej epoce powiedzieć nie umiem; dodam tylko, że bez podnoszenia podatków, bez narzucenia mieszkańcom żadnych innych ciężarów, dnia 29. listopada 1830 r. sto ośmnaście milionów złotych znalazło się oszczędności w skarbie Królestwa. Aby jednak zostawić potomnym bliższy ślad ówczesowego składu Rządu kongresowego Królestwa, oraz jaey ludzie postawieni byli na jego czele, mam obowiązek wymienić wszystkie władze nim kierujące.

Królestwo Polskie składało się z ośmiu województw:

Krakowskiego	Płockiego
Sandomierskiego	Mazowieckiego
Kaliskiego	Podlaskiego
Lubelskiego	Augustowskiego.

W tych: 38 obwodów — 76 powiatów — 54 gminnych okręgów.

Ludność ogólna przeszło cztery miliony dusz.

Z Warszawy wszystkie ważniejsze interesy szły do rąk ministra sekretarza Stanu, generała polskiego, Stefana hr. Grabowskiego, rezydującego w Petersburgu, a ten je przedstawiał cesarzowi.

Senat r. 1829.

Arcybiskup warszawski i Prymas Królestwa. Jan Paweł Pa-
weża Woronicz.

Biskup Płocki	Adam Prażmowski
„ Sandomierski	Prosper Burzyński
„ Kujawsko-Kaliski	Józef Koźmian
„ Lubelski	Marcelin Dziecielski
„ Augustowski	Mikołaj Manugiewicz
„ Podlaski	Jan Marcel Gutkowski.

Wojewodowie.

Stanisław hrabia Ordynat Zamoyski, Prezes Senatu
Piotr hrabia Bieliński
Walenty hrabia Sobolewski
Wincenty hrabia Krasiński, generał
Tadeusz hrabia Mostowski
Stanisław hrabia Grabowski

Feliks Czarnecki
 Franciszek Grabowski
 Ignacy Miączyński
 Maksymilian książę Jabłonowski
 Adam książę Czartoryski
 Michał książę Radziwiłł, b. generał.

Kasztelani.

Antoni Gliszczyński	Michał Kochanowski
Kajetan hrabia Sierakowski	Stanisław hrabia Małachowski
Stanisław hrabia Wodzicki	Jan hrabia Tarnowski
Wojciech hrabia Męciński	Wincenty Rulikowski
Maciej Wodzyński	Antoni hrabia Ostrowski
Aleksander Walewski	Stanisław Tymowski
Tadeusz Tyszkiewicz	Jan hrabia Poletyło
Aleksander hrabia Bniński	Szymon Wiśniewski
Adam Bronikowski	Aleksander hrabia Potocki
Dawid Oebshelwitz	Jan hrabia Wielopolski
Wiktor Rembieliński	Stanisław Sołtyk
Ludwik hrabia Pac, generał	Jan hrabia Bieliński
Antoni Bieńkowski	Franciszek Lewiński

Franciszek Nakwaski

Sekretarz Senatu: Julian Ursyn Niemcewicz.

Razem biskupów 7, wojewodów 12, kasztelanów 29.

Ciała prawodawcze roku 1829.

Województwo Krakowskie.

Z powiatu	Posłowie
Miechowskiego	Walenty Zwierkowski
Pileckiego	Michał Taszycki
Szydłowskiego	Andrzej Waleńkowski
Kieleckiego	Teodor Śląski
Skalmierskiego	Michał Walewski

Z powiatu:

Posłowie:

Jędrzejowskiego	Jan hrabia Ledochowski
Krakowskiego	Józef Gostkowski
Olkuskiego	Jan Bukowski
Lelowskiego	Jan Szymczykiewicz
Stobnickiego	Stanisław Nowakowski

Deputowani:

Michał Gostkowski	Władysław Sołtyk
Franciszek Jabłoński	Jan Olrych Szaniecki

Województwo Sandomierskie.

Z powiatu:

Posłowie:

Sandomierskiego	Józef Jasiński
Kozienickiego	Andrzej Deskur
Szydłowieckiego	Jan Żochowski
Staszowskiego	Józef hrabia Ledochowski
Soleckiego	Antoni Suchodolski
Opoczyńskiego	Konstanty Świdziński
Radomskiego	Franciszek Sołtyk
Konieckiego	Roman hrabia Sołtyk.

Deputowani:

Eugeniusz Czaczkowski	Ludwik Łempicki
Jan Pusztynika	Ignacy Żeleński
Jan Gratkowski	Franciszek Chomentowski

Województwo Kaliskie.

Z powiatu:	Posłowie:
Wartskiego	Bonawentura Niemojowski
Pyzdrowskiego	Piotr Tokarski
Ostrzeszowskiego	Stanisław Mielęcki
Częstochowskiego
Piotrkowskiego	Salezy Malczewski
Kaliskiego	Teofil Morawski
Szadkowskiego	Rafał Pstrokoński
Wieluńskiego	Alojzy Biernacki
Konińskiego	Jan Gliszczyński
Sieradzkiego	Stanisław Kaczkowski
Radomskiego	Ignacy Morzkowski

Deputowani:

Ernest Faltz	Stanisław hrabia Miączyński
Kasper Tarczałowski	Antoni Jasiewicz
Stefan Złotnicki	Ksawery Biedrzycki
Antoni Rembowski	Sebastyan Szymoński

Województwo Lubelskie.

Z powiatu:	Posłowie:
Lubelskiego	Władysław Rulikowski
Tomaszowskiego	Stanisław Nowakowski
Tarnogrodzkiego	Józef Jabłonowski
Lubartowskiego	Jan Raczyński
Krasnostawskiego	Ignacy Bielski
Chelmskiego	Alojzy hrabia Poletyło
Kazimirskiego	Leon Dembowski
Hrubieszowskiego	Józef Świrski
Zamojskiego	Tomasz baron Wyszynski
Kraśnickiego	Feliks Doliński

Deputowani:

Dominik Boczarski	Paweł Cieszkowski
Jan Kaczewski	Andrzej Mazurkiewicz
Wincenty Wydźga.	

Województwo Płockie.

Z powiatu:

Ostrołęckiego
 Mławskiego
 Pułtuskiego
 Lipnowskiego
 Płockiego
 Prasnyskiego

Posłowie:

Stanisław Barzykowski
 Maciej Rościszewski
 Paweł Grąbczewski
 Maryan Cisowski
 Jan Turski

Deputowani:

Filip Laskowski	Tomasz Trzciniński
Kajetan Kozłowski	Klemens Witkowski

Województwo Mazowieckie.

Z powiatu:

Czerskiego
 Sochaczewskiego
 Kowalskiego
 Radziejowskiego
 Błońskiego
 Siennickiego
 Gostynińskiego
 Brzezińskiego
 Łęczyckiego
 Warszawskiego

Posłowie:

Wincenty Dobiecki
 Onufry Cielecki
 Augustyn Przyborowski
 Feliks Biesiekierski
 Konstanty Jeziński
 Stanisław hrabia Jeziński
 Rudolf Wieszczycki
 Antoni Plichta
 Franciszek Dąbrowski
 Aleksy Szymanowski

Z powiatu:	Posłowie:
Stanisławowskiego	Szczepan Świdorski
Rawskiego	Jan Okęcki
Zgierskiego	Ignacy Starzyński
Orłowskiego	Franciszek Trzeiński
Brzeskiego	August Słubicki

Deputowani:

Walenty Skorochoł Majewski	Jan Kuźniczew
Adryan Łuczynski	Daniel Roesler
Ignacy Szymanowski	Kazimierz Swiniarski
Józef Brinken	W. Książę Konstanty z Pragi
Antoni Zawadzki	Walenty Żwan
Józef Lubowidzki	Jakób Piotrowski
Wojciech Chodecki	Bogumił Wilhelm.

Województwo Podlaskie.

Z powiatu:	Posłowie:
Włodawskiego	Ignacy Słubowski
Łukowskiego	Wojciech Kunicki
Łosieckiego	Franciszek Obniski
Garwolińskiego	Jan hrabia Jeziernski
Radzyńskiego	Józef hrabia Małachowski
Siedleckiego	Feliks Markowski
Węgrowskiego	Ludwik Bieniecki
Żelechowskiego	Joachim Leleweł
Białskiego	Władysław Zawadzki

Deputowani:

Antoni Kuszel	Kalikst Mierzejewski
Feliks Gumnowski	Michał Dunin Borkowski.

Województwo Augustowskie.

Z powiatu :	Posłowie :
Biebrzańskiego	Rajmund Rembéliński
Sejneńskiego	Kajetan Gawroński
Marjampolskiego	Józef Kulwiec
Łomżyńskiego	Antoni Bykowski
Tykocińskiego	„
Dąbrowskiego	Jan Augustowski
Kalwaryjskiego	Wincenty Gawroński

Deputowani :

Antoni Budziszewski	Jakób Klimontowicz
Antoni Kruszewski	Wincenty Kruszewski.
Józef Wiśniewski	

Taki był skład ostatniego Sejmu Królestwa Kongresowego w roku 1829. Ciż sami posłowie i deputowani obradowali na Sejmie rewolucyjnym roku 1831. Spis ten jest rzetelny; potomkowie wymienionych, mogą się z niego legitymować. Pomiędzy wojewodami i kasztelanami znajdujemy pierwsze nazwiska w kraju; pomiędzy posłami i deputowanymi, treść inteligencyi powiatów i miast.

Posiedzenia Senatu i Ciała prawodawczego odbywały się w zamku królewskim.

Rada Stanu

stosownie do artykułu 65 ustawy konstytucyjnej, dzieliła się na Radę administracyjną i Ogólne Zebranie Rady Stanu; posiedzenia swe odbywała w pałacu namiestnikowskim.

Rada administracyjna.

Prezydujący: Walenty hrabia Sobolewski, minister Stanu.
Zasiadali w niej wszyscy ministrowie i sekretarz Stanu.

Ogólne Zebranie Rady Stanu.

Brali udział w sprawach członkowie Rady administracyjnej i 32 radnych Stanu, prócz tego 10 radców Stanu nadzwyczajnych, między nimi wszyscy prezesi województw. Oprócz nich 17 referendarzy Stanu i 2 vice-referendarzy. Skład tej władzy był: kancelarya ogólna, wydział korespondencyi zagranicznej, kancelarya przyboczna namiestnika, komisya emerytalna.

Najwyższa Komisya egzaminacyjna.

Prezydujący: Stanisław hrabia Grabowski. Członkowie: czterej ministrowie, ośmiu radców Stanu, kilku sędziów Najwyższej Instancyi i Sądu apelacyjnego, profesorowie Uniwersytetu i przybrani uczeni.

Konsystorz generalny wyznań ewangelickich.

Samuel Bogumił Linde, przewodniczący.

Komisya wyznań religijnych i oświecenia publicznego.

Minister prezydujący: Stanisław hrabia Grabowski.

Przy tej władzy: Sekeya duchowna rzymsko-katolicka pod prezydencyą arcybiskupa. Zasiadali w niej kolejno biskupi dyecezyjalni. Tu był oddział wyznań nie-katolickich. Należeli do składu Komisyi: wizytatorowie generalni szkół, Sekretaryat generalny, Dyrekeya ogólna wyznań, Dyrekeya wychowania publicznego, Dyrekeya funduszków duchownych i edukacyjnych, Kasa ogólna religijna, Wydział cenzury, Towarzystwo ksiąg elementarnych, Kuratorya generalna instytutów naukowych, Władza dozorcza Uniwersytetu, przy niej Szkoła Politechniczna, Instytut pedagogiczny, Dozór pensyi wyższych szkół płci żeńskiej, Szkoła rabinów, wreszcie wszystkie szkoły wojewódzkie i podwydziałowe.

Komisya rządowa sprawiedliwości.

Minister prezydujący: Ignacy hrabia Sobolewski. Członkowie stali: 3 radców Stanu, sekretarz generalny, 3 szefów wydziałów.

Trybunał Najwyższej Instancji.

Sędzili: Dwóch senatorów, dwóch kasztelanów, 9 sędziów.

Sąd apelacyjny.

Prezes: Onufry Wyczehowski i 24 sędziów.

Sądy kryminalne.

Było ich cztery na całe Królestwo, a każdy rozciągał się na dwa województwa; pod ich jurysdykcyą były wszystkie sądy poprawcze.

Trybunały cywilne I. instancji.

Siedm województw miało po jednym trybunale; województwo Augustowskie dwa. Trybunał handlowy jeden na całe Królestwo w Warszawie. Po województwach, sprawy handlowe rozstrząsały Trybunały cywilne.

Sądy pokoju.

W każdym powiecie był jeden Sąd pokoju, dzielący się na Wydział pojednawczy i sporny. Sądów takich było 76. przy nich rejenci kamelaryów hipotecznych.

Komisya rządowa spraw wewnętrznych i policyi.

Minister prezydujący: Tadeusz hrabia Mostowski, Senator wojewoda. Dyrektorowie: policyi i poczt, administracyi ogólnej, przemysłu i kunsztów, obok tego biuro polityczne. Dyrekeya generalna Towarzystwa ogniowego, Korpus królewski inżynierii dróg i mostów. Dyrekeya generalna stad królewskich. Dyrekeya teatrów; Instytut muzyczny, Rada ogólna lekarska, Rada dozoreza szpitali. Szkoła agronomiczna w Marymoncie.

Komisye wojewódzkie.

Pod prezydenyą Prezesa dla każdej z osobna, składały się z wydziałów: administracyjnego; oświecenia publicznego, przy czem sekeya wyznań: skarbowego, tu sekeya skarbowa dóbr rządowych i lasów; sekeya stempla. — kasa — podległe jej były wszystkie komory celne, komisarze obwodowi, a z każdego powiatu wybrany właściciel, jako członek rady wojewódzkiej. Wydział wojskowy i policyjny. Sekeya fabryczna. Rada nadzoreza szpitali. Wszyscy prezydenci miast i burmistrze, oraz nadzorecy więzień zależni byli od komisyi wojewódzkiej.

Miasto Stołeczne Warszawa.

Miało wyłącny zarząd. Prezydentem był Karol Woyda, rada Stanu. Wydziały: policyi, administracyjny, skarbowy, wojskowy, biuro kontroli służących, policya lekarska, Izba handlowa i rzemieślnicza, dozór bożniczy.

Administracya wojenna.

Komisya rządowa wojny.

Maurycy Hauke, generał artyleryi, minister prezydujący; Józef Rautenstrauch, generał dywizyi, dyrektor generalny; takież generał Antoni Darewski; Józef Nowicki, generał, sekretarz generalny.

Przy prezydym: Biuro korespondencyi, archiwum, drukarnia wojskowa. W dyrekeyi materyalów: biuro artyleryi, biuro inżynieryi, biuro komisaryatu, wydział zdrowia, dyrekeya osób, wydział ruchu, biuro odmian, biuro zaciągu, audytoryat generalny, dyrekeya rachunkowości, wydział funduszów i wynagrodzeń, biuro rachunkowości artyleryi i inżynieryi, biuro rachunkowości komisaryatu, biuro rachunkowości służby zdrowia. Kontrola generalna, kasa generalna wpływów, kasa wypłat, kasa komitetu artyleryi i inżynierów, komisaryat ubiorezy, administracya głównego szpitala wojskowego, przy nim główna apteka.

Wojsko polskie.

Naczelný wódz: Jego Cesarzewiczowska Mość Wielki Książę Konstanty.

Generałowie broni: Roźniecki Aleksander, generał jazdy, Krasieński Izýdor — piechoty, Hauke Maurycy — artyleryi, Krasieński Wincenty hrabia, dowódzca korpusu rezerwowego, Potocki Stanisław hrabia — piechoty.

Gwardya królewska.

Dowódzca gwardyi i korpusu rezerwowego, generał jazdy Wincenty hrabia Krasieński.

Pułk strzelców konnych gwardyi.

W tym pułku służyłem, wymieniam wszystkich oficerów. Pułkownicy: Dagmin Bonifacy, Zielonka Benedykt, Turno Karol, Miller Józef; podpułkownik Wyleżyński Tadeusz.

Kapitanowie: Rędzina Jan, Skarzyński Feliks, Turno Zygmunt, Terlecki Dominik, Dunin Seweryn, Oborski Leopold, Bülow Gebhard, Całkowski Gabryel, Kosko Celestyn, Moniuszko Karol, Popławski Ignacy, Narbutt Józef, Jasiński Wincenty, Kotkowski Antoni, Wołowski Jan, Gotardowski Fabian.

Porucznicy: Łaskiewicz Jan, Skarszewski Aleksander, Józef Adam, Tomkowicz Henryk, Kruszewski Ignacy, Krzęciewski Antoni, Nowodworski Wincenty, Osmólski Mikołaj, Laudański Wincenty, Choromański Józef, Giżycki Stanisław, Łukasiewicz Stanisław, Rusoeki Aleksander, Kleczkowski Bernard.

Podporucznicy: Gierhard Ewald, Grabowski Józef, Szamowski Kazimierz, Ciechanowski Feliks, Żelechowicz Karol, Szemiota Augustyn, Bobrownicki Józef, Zamoyski Władysław, Tys Edward, Kurnatowski Apolinary, Bareikowski Alojzy, Psarski Wojciech, Krassowski Antoni, Wrzosek Feliks, Beyer Ludwik, Kęszycki Paweł, Męciński Franciszek, Sierawski Napoleon, Jełowicki Marcin, Stępkowski Józef, Wielogłowski Aleksander, Pienkowski Ignacy, Trębicki Bolesław, Woroniecki Józef, Ostrowski Tomasz.

Dowodził tym pułkiem generał dywizyi, Zygmunt Kurnatowski.

Pułk grenadyerów gwardyi.

Dowódzca generał brygady, Franciszek Żymirski.

Podpułkownicy: Franciszek Borakowski, Olędzki Ksawery, Noffok Antoni, Kolberz Aleksander, Daszewski Franciszek, Niewęgłowski Jerzy, Kiwerski Andrzej, Braun Jan.

Bateria pozycyjna artyleryi konnej gwardyi.

Dowódzca — Piotr Horzewski, pułkownik — Ignacy Ledochowski.

Piechota.

Dowódzca piechoty, Stanisław Potocki, generał piechoty.

Dywizya I.

Krukowiecki Jan, dowódzca generał dywizyi: Mroziński, generał brygady, szef sztabu piechoty.

- Brygada I. generał Antoni Giełgud.
 Pułk 1. liniowy, dowódzca pułkownik August Radwan.
 „ 5. „ „ „ Franciszek Górski.
 Brygada II. Dowódzca
 Pułk 2. liniowy, dowódzca pułkownik Kazimierz Słupecki.
 „ 6. „ „ „ Julian Górski.
 Brygada III. Dowódzca generał Antoni Pawłowski.
 Pułk 1. strzelców, pułkownik Piotr Szembek.
 „ 3. „ „ „ Julian Bieliński

D y w i z y a II.

- Dowódzca generał Edward Żółtowski.
 Brygada I. generał Franciszek Morawski.
 Pułk 3. liniowy, pułkownik Walenty Andrychewicz.
 „ 7. „ „ „ Franciszek Rohland.
 Brygada II. Dowódzca generał Ignacy Blumer.
 Pułk 4. liniowy, pułkownik Ludwik Bogusławski.
 „ 8. „ „ „ Jan Skrzynecki.
 Brygada III. Dowódzca generał Józef Czyżewski.
 Pułk 2. strzelców, pułkownik Wincenty Wolski.
 „ 4. „ „ „ Ignacy Zawidzki.

J a z d a.

- Dowódzca jazdy, generał Aleksander Roźniecki.
 Szef sztabu, podpułkownik Jakób Lewiński.

Dywizya strzelców konnych.

- Brygada I. Dowódzca generał Konstanty Przependowski.
 Pułk 1. dowódzca pułkownik Antoni Jankowski.
 „ 3. „ „ „ Maciej Dembiński.

Brygada II. Dowódzca generał Antoni Potocki.

Pułk 2. dowódzca pułkownik Kazimierz Skarzyński.

„ 4. „ „ Józef Kamiński.

Dowódzca dywizyi, generał Klicki.

D y w i z y a u ł a n ó w.

Dowódzca dywizyi generał Jan Weyssenhoff.

Pułk I. Dowódzca pułkownik Jan Tomicki.

„ 3. „ „ Michał Korytowski.

Dowódzca I. brygady, generał Tadeusz Suchorzewski.

Pułk 2. dowódzca pułkownik Józef Dwernicki.

„ 4. „ „ Andrzej Rutic.

Dowódzca II. brygady, generał Adam książę Württemberg.

K o r p u s ż a n d a r m e r y i.

Dowódzca podpułkownik Antoni Strażyński.

K o r p u s a r t y l e r y i i i n ż y n i e r ó w.

Dowódzca generał artyleryi Maurycy Hauke.

Brygada artyleryi lekko konnej, dowódzca podpułkownik Tomasz Konarski.

Bateria I. dowódzca ten sam.

Bateria II. „ kapitan Józef Kosiński.

A r t y l e r y a p i e s z a.

Brygada I. dowódzca pułkownik Płoneczyński.

Bateria I. pozycyjna — dowódzca pułkownik Jan Lepigé.

Bateria II. lekko piesza, dowódzca Antoni Płonezyński.
 Bateria III. lekko piesza, „ kapitan Franc. Łapiński.
 Brygada II. dowódzca pułkownik Karol Wejsflog.
 Bateria I. pozycyjna, dowódzca podpułk. Franciszek Piętka.
 Bateria II. lekko piesza „ „ Karol Wejsflog.
 Bateria III. „ „ „ kapitan Krzysztof Koryzna.

Korpus rakiетników.

Dowódzca — generał Piotr Bontemps.
 Pół-bateria konna — dowódzca kapitan Józef Jaszowski.
 Pół-bateria piesza „ „ Karol Skalski.

Artylerya garnizonowa.

W twierdzy Zamościu — kapitan Kazim. Werpechowski.
 W „ Modlinie „ Jan Skąpski.

Do administracyi całą artylerya ustanowiony był komitet artyleryi, Dyrekeya materyałów tej broni, Dyrekeya arsenału budowniczego i składowego, Kompania rzemieślnicza, Dyrekeya fabryki pocisków, pracownia ogniów wojennych.

Korpus inżynierów.

Dowódzca — generał Jan Maletski de Grandville.
 Pułkownicy: Antoni Sałacki, Filip Męciszewski, Wilhelm Minter.
 Podpułkownicy: Klemens Kołaczkowski, Józef Koriot, Henryk Rosmann, Bernard Engbrieh.

Batalion saperów.

Dowódzca — podpułkownik Edward Majkowski.

Korpus kadetów w Kaliszu.

Komendant — generał Ignacy Mycielski.

Szkoła aplikacyjna w Warszawie.

Komendant — pułkownik Józef Sowiński.

Korpus pociągu.

Dowódca — podpułkownik Wojciech Łaszewski.

Bataliony weteranów czynnych.

Dowódca I. podpułkownik Bartłomiej Lanckoroński.

„ II. „ Franciszek Szerceł.

„ III. „ Ignacy Rozmysłowski.

Korpus inwalidów i weteranów.

Dowódca, pułkownik Józef Sejditz, podpułkownicy: Józef Czerniecki i Mikołaj Ronget.

Nie zapisałem imiennie dowódców batalionów, szwadronów jazdy, oficerów niższych, bo lista byłaby za długa. Ogółem było oficerów czynnych wszelkiego stopnia, i użytych przy binrach wojenno-wojskowych 1953.

Generałowie świty cesarskiej.

General dywizyi Stefan hrabia Grabowski.

„ „ Ksawery Kosecki.

„ „ Julian Sierawski.

Zabranie siły wojennej wojska polskiego r. 1829.

I. Piechota:

Pułk grenadyerów gwardyi, batalionów	3
Ośm pułków liniowych	16
Cztery pułki strzelców	8
Batalion saperów	1
	<hr/>
Czynnych batalionów	28
Cztery bataliony weteranów i inwalidów	4
	<hr/>
Razem batalionów	32

2. Jazda:

Pułk strzelców konnych gwardyi.	szwadronów	4
Dywizya strzelców konnych	"	16
Dywizya ułanów	"	16
Rezerwowych szwadronów		9
Żandarmeryi		2
	<hr/>	
Razem szwadronów		47

3. Artylerya:

Bateria konna artyleryi gwardyi.	armat	12
Dwie baterye lekko konne	"	24
Dwie baterye pozycyjne piesze	"	24
Cztery baterye lekkie piesze	"	48
	<hr/>	
Razem dział		108

4. Rakietników lawet 12.

Armat i moździerzy po twierdzach nie liczę.

Ogół oficerów i żołnierzy 33.600, według najściślejszego obliczenia.

Z takimi to siłami, acz doskonale zorganizowanymi, porwali się na Rosyę w roku 1830/1. Nim rok 1830 ubiegł, Rząd Narodowy powołał wszystkich dymisjonowanych żołnierzy, wszelkiej broni, którzy wysłużyli lat dziesięć, — z tych uformowano trzecie i czwarte bataliony każdego pułku piechoty, przybyło więc 24 batalionów — oraz piąte i szóste szwadrony jazdy, które dały szwadronów 18. Nadto województwa dostawiły swoim kosztem po jednym pułku lekkiej jazdy. Właściciele dóbr sami je ubrali, w broń i konie zaopatrzyli, — każde pięćdziesiąt dymów dało jednego jeźdźca. Prócz tego ordynat Zamoyski własnym kosztem ubrał i uzbroił dwa szwadrony ułanów: Galicya dostawiła tyleż pod nazwą Legii galicyjskiej i nieco Księstwo Poznańskie. Były i inne mniejsze oddziały, pod nazwą pułku Księcia Józefa Poniatowskiego, Złotej wolności, wreszcie przeszło tysiąc wolnych a celnych strzelców pieszych, złożonych z rannych ochotników i służby leśnej rządowej i prywatnej. Ci wszyscy stanowili korpusy partyzanckie.

Arsenał warszawski zapasnych armat nie posiadał, wzięto więc w rek wizycją mniej potrzebne dzwony z kościołów parafialnych i z nich lano armaty w ludwisarni. W ogólności, w wojnie roku 1831, wojsko polskie liczyło najwięcej 80.000 żołnierza i armat polowych 130. Przeciwno tym Rosya wystawiła w Królestwie, na Litwie, Wołyniu i Podolu przeszło 200.000 i armat może więcej jak 500. Mężnie się biło nasze wojsko, dopóki dawnych kapitanów i poruczników Rosyianie nie wystrzelali.

Każdy batalion piechoty, pierwsze i trzecie szwadrony jazdy, miały sztandary, a sztandar ten był polski: w środku, w polu czerwonem błyszczał Orzeł biały, od niego w samej chorągwi, z ciężkiej jedwabnej materyi utkanej, rozchodziło się sześć promieni, w kolorach amarantowym, białym i niebieskim, frendzlą złotą obszytych, w czterech rogach chorągwi cyfra wielka A., to jest Aleksander I., otoczona złotym laurem; od żełżeza sztandaru wisiały grube srebrne kutasy.

Umundurowanie wojska polskiego.

Pułk gwardyi grenadyerów i ośm pułków piechoty liniowej, miały mundur z granatowego sukna, kołnierze

rze, rabaty, łapki u rękawów z żółtego kanarkowego koloru, przypominające barwą niegdyś mundur naszych Legii nadwiślańskich, we Włoszech ustawionych, spodnie granatowe z żółtą wypustką, kaszkiet średnio wysoki, sukienny, dno u niego, obszywki i daszek czarno lakierowane, od czoła błyszczał na nim orzeł biały z blachy białej, spodem numer pułku. Grenadyerzy gwardyi i grenadyerskie kompanie każdego pułku, miały na kaszkietach wysokie kity czarne włosiane, inne ozdoby u żołnierzy włóczkowe, u oficerów srebrne. Cztery pułki strzelców pieszych, również ubrane były w mundur z sukna granatowego, rabaty, kołnierze i kłapy ckałały jedynie żółte wypustki. Na piersiach żołnierza krzyżowały się pasy średnio-szerokie, białe, w liniowych pułkach — czarne, woskowane u strzelców; na jednym z tych pasów wisiała z tyłu ładownica, na drugim krótki tasak obosieczny. Na osobnych węższych pasach z ramion na piersiach spiętych, miał żołnierz na plecach umieszczony tornister, z cielecej kosmatej skóry wyprawionej, w nim koniecznie para nowych butów, trzy koszule, spodnie płócienne i wszystkie porządki ochłodostwa żołnierskiego. Co dziesiąty żołnierz nosił kociołek miedziany u tornistra do gotowania jada w obozie, a każdy manierkę blaszaną na wodę.

J a z d a. Pułk strzelców konnych gwardyi — mundur spięty o jednym rzędzie guzików, z sukna zielonego jasnego, kołnierz, łapki, ubranie z tyłu żółte, na kołnierzu jedna belka biała włóczkowa, u oficerów srebrna, na guzikach granat pękający. Na ramionach szlify stalowe w łuskę, z lewego ramienia do prawego boku dwa pasy białe, na jednym wisiała ładownica, na drugim karabinek, kaszkiet, jak u piechoty, ubrany w kordon biały włóczkowy, na przodzie jego orzeł biały, nad nim takąż kokarda.

D y w i z y a s t r z e l c ó w k o n n y c h. Mundury zielone, wyłogi różniły się pułkami. Pułk 1. koloru amarantowego, 2. białego, 3. żółtego, 4. niebieskiego. Spodnie z lampasami podwójnymi właściwych kolorów, opatrzone skórzanymi karwaszami do wysokości kolana. Pułki strzelców konnych, jak gwardya, miały na pasach ładownice i karabinki. W pasie żołnierz był spięty białym pendantem, na nim u lewego boku wisiał pałasz w żelaznej pochwie. Konie były maściste; gwardya siedziała na koniach kasztanowatych, pułk 1. konie gniade, 2. — siwe, 3. — kasztanowate, 4. — kare. Muzyki na koniach srokatych. Ubranie koni:

siodło na wzór węgierskiej kulbaki, nakryte czaprakiem z czarnego baranka, oblanowanym lampasem koloru właściwego pułku. U tylnej kuli siodła przypięty mantelzak, obejmujący resztę żołnierskiego ubrania i porządki jego, przy nim sakwy z płótna białego, obejmujące około czterech garncy owsa, pod czaprakiem z przodu olstra na pistolety, nad nimi płaszcz ściśle zwinięty i torba skórzana na dwie zapaśne podkowy. Koń jeźdźca prowadzony był na munsztuku i trzgli; na jego nagłówku łańcuszek żelazny, chroniący konia od cięcia pałasza. Na guzikach munduru numer pułku, na czapraku pierwsza litera imienia panującego monarchy. Szlify stalowe, jak u gwardyi, na kaszkiecie orzeł biały i kokarda.

Ułani. Dywizya cała, mundur z granatowego sukna z rabatami, wyłogi pułkami, jak u strzelców konnych, to jest amarantowe, białe, żółte, niebieskie; także czapki ułańskie kwadratowe, z orłem białym i kokardą, noszone na prawe ucho, szlify stalowe, ubranie konia jak u strzelców konnych; do mantelzaków cała jazda miała przypięte kociołki miedziane do gotowania jada w obozie.

Uzbrojenie. Gwardya piesza i wszystkie inne pułki piechoty uzbrojone były w karabin z bagnietem i krótki tasak w skórzanej pochwie. Strzelcy konni: karabinek, pistolety w olstrach, pałasz w pochwie żelaznej, z gardą mosiężną. Gwardya konna, w której służyłem, miała broń palną i sieczną po dawnych naszych szwoleżerach gwardyi Napoleona, fabryki francuskiej Charleroi, a była to broń doskonała. Ułani mieli lance długości do siedmiu stóp, okute w drzewcu na dwie stopy, grot żelazny, chorągiewki właściwego mundurów koloru, a pół białe. Skrzydłowe roty w plutonach, karabinki jeszcze krótsze jak u strzelców konnych. Te roty wywoływano w razie potrzeby na flankiery; w olstrach pistolety, u boku pałasz.

Artylerya. Gwardya tej broni — mundur jasno zielony, kołnierz i rabaty z czarnego aksamitu, na kołnierzu dwie belki, szlify w łuskę na ramionach, spodnie z lampasami czerwonymi i karwasze, na kaszkiecie orzeł biały, pod nim dwie lufy armat na krzyż, kordon z włóczki pasowej, pasy u ładownic białe, konie w działach, w jaszczykach i pod wierzeh gniade, ubranie ko-

nia jak w jeździe, lampas u czapraka czerwony, w olstrach pistolety.

W konnej artylerji i pieszej, do gwardji nienależącej — mundur jak wyżej, rabaty sukienne. Baterje pozycyjne o ciężkich dwunasto-funtowych działach, każda armata ciągniona była przez sześć koni; w baterjach lekkich, cztery; przy każdej lawecie było sześć szpadli, do fortyfikowania się polowego; do każdego działła przeznaczone były trzy trzykonne jaszczyki na pociski. W konnej artylerji żołnierz uzbrojony był w pałasz i w pistolety, w pieszej w krótki tasak; oficerowie mieli wszelkie ozdoby złote.

Sapery — mundur do artylerji podobny, uzbrojenie: karabin, tasak, kilof; opatrzenie jak u piechoty.

Żandarmerja konna — mundur jasno niebieski, szlify stalowe, akselbanty nieciane białe na piersiach, kask kirasyerski, wyłogi amarantowe, pałasz i pistolety; konie gniade.

W ogólności cała jazda polska i artylerja, zaopatrywała się w konie nabywane u hodowców stadnin na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, oraz kupowane na tamiecznych jarmarkach. Każdy pułk wysyłał corocznie oficera znawcę z kilku żołnierzami, z kupnem tej remonty; przychodziły konie dzielne chociaż tanie. Dla gwardji przeznaczono na konia 350 zł., do innych pułków po 300 zł. najwyżej. W. Książę Konstanty zawsze nadchodzące konie oglądał; wyranżerowane sprzedawano. Dla zadziwienia czytelnika przytoczę, że w pułku, w którym służyłem w r. 1830, było jeszcze kilka koni, które odbywały wojny lat 1813 i 1814, przyszły z Paryża, a jeszcze jako użyteczne poszły na wojnę r. 1831.

My, oficerowie dawaliśmy naszym remontierom od 800 do 1000 złp. na konia, a był już piękny, młody, zdrowy, dał się łatwo ujeździć. Co za różnicą z dzisiejszemi cenami koni. Średni koń fornalski dziś kosztuje do 600 złp., powozowy dobry 1.500 złp. i więcej, a nawet rzadko go widzieć można.

Zapytasz mnie czytelniku, dlaczegom się wdał w tak drobiazgowie opisanie umundurowania i uzbrojenia wojska polskiego?... Odpowiem ci na to, abyś miał wyobrażenie, jakie ono było, ty, coś go nie widział i bodaj czy oglądać już będziesz!...

Kiedy pułk polski przechodził ulicami Warszawy, poprzędzany muzyką, która na marsz i takt kroku podwójnego wygrywała najmlsze i tyle popularne ludowi śpiewki, paręset malców ulicznych go poprzędzało, uformowanych w sekiye lub plutony, z twarzą wesołą, uśmiechniętą, w ruchu swobodnym dumnie i hardo przed siebie patrzących. I były to młode kadry przyszłych ochotniczych wojaków naszych... Zatrzymywał się przechodzień, przypatrzeć się tym dzielnyim hufcom, chociaż ten widok był codziennie powtarzany. Przed sztandarem, na którym świecił dziewięciowiekowy nasz orzeł biały, cywilny uchylał kapelusza, bo serce w nim się rozgrzewało, na widok godła narodowego. W oknach kamienie błyszczały śnieżne twarze ślicznych Warszawianek i dzieci w rączęta klaskających — był to widok nieporównany. Kto go dziś pamięta?! Kto go sobie odtworzyć zdoła? Powtarzam: dumny był Polak z wojska narodowego — i może, może, ta duma w zbyt nie zrozumienie zamieniona, spowodowała, żeśmy się ślepo rzucili w walkę z Rosyją po 29. listopada 1830 r.

Po pięćdziesięciu ubiegłych latach, mało już zapewne jest u nas żyjących, pamiętających owe dawne czasy i jak ja z bliskim im przypatrujących się, bo ze stosunków ojca mego i sam oficer z roku 1829, miałem sposobność je uważać. Widziałem wszystkich naszych ministrów owej epoki, nieomal wszystkich członków Senatu i dygnitarzy, i wyższych dowódców polskiego wojska: pamiętam ich dobrze, wielu byłem przedstawiony; do roku bieżącego 1882 wymarli wszyscy, wspomniani przez kilku, jak ja starców, a ci niedługo za nimi pójdą. I zgaśnie ich pamięć w czasie pomroce. Do rządów cywilnych garnęli się przedstawiciele najpierszych rodzin, a byli to ludzie zdolni, wytrawni w zdaniu, poważni dawną zasługą, nazwiskiem i imieniem. Nie odsuwali się od pracy, nie gnuśnieli w swych majątkach, nie szukali rozrywek za granicami kraju. Czuli się w obowiązku służyć rodzinnej ziemi, dbać o ogólną pomyślność. Szanował ich naród, to też cywilna administracya szła wzorowym biegiem; sądownictwo istotną, bezinteresowną wymierzało sprawiedliwość; Uniwersytet przysposabiał ludzi biegłych we wszystkich gałęziach nauki i długie lata po roku 1831 kraj się nimi zaślaniał. O wojsku już wspomniałem — dodam: żołnierz prosty czuł swą godność, wiedział, że jest polskim żołnierzem, w szeregu, w kolumnie, był machiną

obracającą się z zadziwiającą dokładnością; za frontem był wesół, głowę wysoko trzymał, odznaczał się jakąś przyjemną fantazyą, jaka żołnierzowi przystoi. Lubił się zabawić, trochę czasem po-
bałamucić, bo to rzecz wojskowego. Żywiony i płatny dobrze; ubrany pięknie, wygodnie, błyszczaco wyglądał. Służył lat dzie-
sięć, poczem wracał do ogniska domowego i opowiadał wiejskiej
młodzieży, co widział, co używał, dlatego też wojsko to, miano-
wicie jazda, a głównie nasze pułki ułanów, składały się prawie
z ochotników. Wreszcie rekrut konskrypcyonista szedł wesoło do
wojska, a ten chłopak wzięty do szeregu, najdalej w sześć tygo-
dni stawał się wyrobionym żołnierzem. Wielu było takich, co
wysłużywszy swe lata, ukocharali swój sztandar, z bronią rozstać się
nie chcieli i dobrowolnie nadal w froncie pozostawali. Jeszcze
w r. 1825, to jest, kiedym wszedł do wojska, w każdym pułku
byli żołnierze ozdobieni krzyżami polskimi i francuskimi. Była to
ozdoba szeregów; takiemu żołnierzowi dowódzca pułku płacił żołd
podwójny, nawet potrójny, dawał młodszego jako ordynansa, ten
mu konia, rekwizyta, mundur, obuwie czyścił, a stary siwy wąż-
sacz opowiadał dawne boje, marsze przez różne kraje i stolice,
mrozy w kampanii r. 1812 i rejtarađę z Moskwy, nakoniec
o Wielkim Cesarzu; a młode żołnierstwo go słuchało jak księdza
z kazalnicy. Podczas jednej z bytności cesarza Aleksandra w War-
szawie, na paradzie Saskiego placu, meldował się na ordynans
siwiutki wiarus z konnego pułku gwardyi; na piersiach miał
krzyż polski i francuski. Cesarz przypatrując mu się, odezwał:
„Ten był chwata, co ci twarz rozrąbał...” — „Najjaśniejszy Pa-
nie! — odpowiedział — On mi twarz rozrąbał, ale ja go za-
biłem.”

Słowem ponad tym małym kraikiem polskim wiał jakiś
wzniosły i potężny duch narodowy, czuć go było w powietrzu,
owładwał on nawet samego W. Księcia Konstantego. Zły był, gdy
go wzywano do Petersburga; raz, gdy powracał, a do granicy
odprowadzały go rossyjskie władze, gdy rogatkę podniesiono, na
pożeganie ino powiedział: „praszczajcie duraki!...”

Dzisiaj wszyscy ci cywilni dygnitarze dawno snem wiecznym
zasnęli. Z wyższych dowódców wojska, żaden już nie żyje. Kolegi
oficera, nawet żołnierzy z owych czasów dawno już nie spotka-
łem. Czybym miał przeżyć ich wszystkich? i po co?...

Wymieniłem tu nazwiska ludzi, stojących niegdyś na czele administracji kraju i wojska naszego, aby pozostawić pamiątkę rządu Królestwa Kongresowego od 1815 do 1830 r. Sama organizacja tego rządu, wszystkich jego części i gałęzi, dowodzi wielkich zdolności jego kierowników. Urządziliśmy się sami, wzorów nie potrzebując. Nie tu nie brakowało, wykonanie szczegółów poszło łatwo, bo machina zbiorowa doskonale złożoną była.



ROZDZIAŁ III.

Zgon cesarza Aleksandra I. w Taganrogu. — Jego testament polityczny i wskazanie następstwa tronu. — Akt przysięgi wojska polskiego cesarzowi Mikołajowi I. — Obrzęd pogrzebu Aleksandra odbyty w Warszawie. — Zgon generała Zajączka, namiestnika w Królestwie. — Sąd o nim historyka Teodora Morawskiego. — Akt egzekucyi wojskowej na majorze Łukasińskim, spiskującym przeciwko rządowi. — Sąd sejmowy przeciwko innym politycznie skompromitowanym i ich wymienienie. — Awans na oficera.

W miesiącu grudniu r. 1825 umarł cesarz Aleksander I. w Taganrogu; odległość to ogromna od Warszawy a rzecz szczególna, że w owym czasie, gdy nie było jeszcze dróg żelaznych ani telegrafów, wiadomość ta jakimś tajemniczymi drogami, prawie trzeciego dnia doszła do naszej stolicy. Cesarzowa była przy zgonie jego, oraz liczna świta, na czele której stał generał adjutant Dybicz; ten wysłał kuryera do W-go Księcia Konstantego, adresując „do Władzcy Wszech Rossyi“; drugi kuryer podobną depezę zawiózł do ministerstwa w Petersburgu.

Powiadano, że W. Książę doznał wielkiego wzruszenia, po przeczytaniu tego raportu, oraz wezwania z Petersburga, by przybywał objąć tron osierociał, raz, że kochał istotnie brata, powtóre, że berło najpotężniejszego mocarstwa z prawa starszeństwa i bezdzietności Aleksandra mu przypadające, omijało go dla tajemnicy, którą zaraz objaśnił. W. Książę zamknął się i odosobnił.

Co rozmyślał, ile się nawahał w tych samotnych godzinach, wiedzieć niepodobna. Wieść tak ważna piorunem po Warszawie się rozbiegła. Żałowano Aleksandra, to pamiętam i przyznaję, ale również poświadczam, że robiono sobie wielkie nadzieje z podobnego następstwa, bo Wielki Książę postępując w lata, już był ochłódl z swych burzliwych gniewów, srogości i namiętności, a przytem wiedziano, że lubił nawet Polaków, że miał nawet słabość do nas.

Gdy to się dzieje, archimandryta petersburski i przewodniczący w Synodzie objawia, iż istnieją dwa równobrzmiące egzemplarze ostatniej woli zmarłego cesarza: jeden w miejscu, drugi w Moskwie złożony. Nikt o nich nie wiedział prócz cesarza Aleksandra, Księcia Konstantego i archimandrytów petersburskiego i moskiewskiego. Oba egzemplarze w żelaznych skrzynkach były tajemnie zamknięte.

Dokumenta tak wielkiej wagi wydobyto, porównano, a po sprawdzeniu ich autentyczności, odczytano w Synodzie i na Radzie ministrów. Znaleziono w nich stanowcze zrzeczenie się następstwa tronu Księcia Konstantego, na rzecz brata młodszego, Mikołaja Pawłowicza Romanowa. Ten również żadnej o tem nie posiadał wiadomości, tak dalece, iż wysłał pismo do Księcia Konstantego oświadczając swą wierną poddańczą uległość, a te skrzyżowało się w drodze z listem Konstantego, deklarującym posłuszeństwo Mikołajowi I. jako cesarzowi Wszech Rossyi. W. Książę Konstanty, tem pismem powtórnie i własnoręcznie zrzeczenie się tronu uprawomocnił; Mikołaj je przyjął. Wkrótce też nadeszły do Warszawy rozkazy odbycia solennej ceremonii i pogrzebu zmarłego cesarza.

Nie pewniejszego, jak to, że cesarzewicz Konstanty zrzekł się tronu rosyjskiego, za udzielone sobie pozwolenie ożenienia się z Joanną Grudzińską. W skutek bezdzietności cesarza Aleksandra, był donniemanym następcą tronu, polityka zaś niepozwalająca, aby Polka była koronowaną cesarzową rosyjską.

Joanna Grudzińska była bliską krewną wielkiego marszałka dworu cesarza Aleksandra, jako króla polskiego, Bronca. Wzorowo wychowana, pełna dobroci, słodyczy, i pobożności, chociaż ledwo przystojną nazwać się mogła, zjednała sobie serce Konstantego, a nowy to dowód wysokich zalet naszych Polek. Majątku

nie miała prawie żadnego. Jako żonę Konstantego, rodzina cesarska lubiła ją, szanowała, kochała nawet. Widziałem na własne oczy, jak w wielkiej landarze zaprzężonej cugiem angielskich koni, siedziała z cesarżową w głębi powozu, zaś cesarz Mikołaj na przodzie z Konstantym. Jak wiadomo, dano jej tytuł Księżnej Łowickiej; pobierała dochody z tych dóbr, w większej części rozdając je ubogim zebrac się wstydzącym. Lubiła zupełnie *incognito* jeździć prawie codziennie do kościoła Św. Jana, i w nim rannej Mszy słuchała. Nie wdawała się w żadną politykę ani w protekcyę. kochał ją też bardzo Konstanty, a jak się zdaje, słodycz jej charakteru i kobiecego wpływu, ułagodziła wiele jego temperament; potomstwa mu nie dała.

Oprócz pewności, że cesarz Aleksander zakończył życie doczesne, całą ludność Warszawy i kraju nie miała żadnej wiadomości o okolicznościach wyżej opisanych. Nie gubiono się w domysłach, bo była pewność, że W. Książę Konstanty Rosyją rządzić będzie; dziwiono się tylko, że zwleka swój odjazd do Petersburga. Nagle wyznaczony został dzień złożenia uroczystej przysięgi nowemu monarsze, wierności wojsk polskich i rossyjskich, konsystujących w Warszawie i władz cywilnych. Wskazano place zebrania się dla piechoty, za rogatkami Mokotowskiemi; dla konnej Gwardyi kiryssyerów, ułanów i huzarów, oraz konnych strzelców naszych na placu Ujazdowskim; dla 4. pułku naszych ułanów, będącego na służbie w Warszawie, szkoły podchorążych jazdy, szkół artyleryi i aplikacyjnej na placu Kraszińskich. Nam podchorążym nakazano wystąpić konno. Rozkaz był tak niespodziewany, że go ogłoszono dziś wieczorem na jutro godz. 8. ranną. Władze cywilne zebrały się w zamku królewskim. Noc cała zeszła nam na przygotowaniu się. Pytaliśmy jeden drugiego, komu przysięgać będziemy, któryś odrzekł, a naturalnie Konstantemu... a Siweczyński, podchorąży, wykrzyknął: „hurra Konstanty, król polski!“ my za nim, a on za jego pomyslnie panowanie zjadł jedną z palących się świec łojowych, poczem popił potężnym haustem wódki. Co prawda, lubiliśmy W. Księcia, bo nas zawsze chwalił. Młodzi, nie wdawaliśmy się w politykę.

O oznaczonej godzinie, stanęliśmy na placu Kraszińskich, w całym paradnym rynsztunku. Było jeszcze prawie szaro na świecie, wiatr silny, mroźny, z mrzącym deszczem przenikał do

żywego, mundury marzły na nas, uszy i ręce trzeba było co chwila pokryjomu rozeierać. Inne też oddziały wkrótce się zebrały. Na środku placu, wojskiem otoczonym, wznosił się ołtarz, z przygotowaniami dla duchowieństwa. Dowódcy wszyscy konno, stali przed frontem wojska, milczenie panowało zupełne.

Wyznam, że obecność przy tak znakomitym obrzędzie, nowość widoku, wojskowa jego postać i uroczysta powaga, wskrósł mnie przejmowały, ale zimno dokuczało niesłychanie. Staliśmy na koniach nieporuszenie i mijały godziny tego oczekiwania. Duchowieństwo otoczyło ołtarz, w krótkich po sobie odstępach, adjutanci polscy i rosyjscy od Miodowej ulicy pędem wpadali na plac, jakieś wyższe rozkazy dowódzcom objawiali i znów odbiegali. Minęła godzina 10. nawet 11. przed południem. Położenie stawało się prawie nie do wytrzymania, stać tak nieruchomo tyle godzin, boć to był miesiąc grudzień. Zziąbnęłam tak, że ledwo z konia zsiąść był wstanie. bo też czas był fatalny; kilkunastu podchorążych mocno się rozchorowało, jeden umarł i nie dziwnego, staliśmy na koniach pięć godzin, w mundurach płótnem podszytych: mnie nie nie było.

Młodość wojskowa wówczas nie rezonowała; tak byliśmy zdumieni tem co zaszło, iż mało kto się odzywał. Nie znaleźmy bliżej Mikołaja, jakaś niepewność przyszłości nas ogarnęła... któryś po cichu wyszeptał „szkoda naszego Konstantego!“... inni potwórzyli potakując.

Tak więc od 25. grudnia 1825 roku rozpoczęło się nowe panowanie, w którym, w niedługich potem latach, miały się odezwać rosyjskie działa, u stoku gór Bałkańskich aż pod Adryanopol, w wojnie tureckiej lat 1828 i 1829. A ten ostatni, Opatrzność przeznaczyła, jako przedświt Lipeowej francuskiej rewolucyi, upadku starszej linii Bourbonów, a dalej pamiętnej dla nas nocy 29. listopada 1830 r. w Warszawie.

Liczyłem rok szesnasty życia; służyłem drugiemu cesarzowi, byłem więc starym żołnierzem.

Niedługo potem 24. maja 1826 r. odbył się w Warszawie obchód pogrzebu cesarza Aleksandra. Gwardye polskie, którym na ten raz i dzień dano pierwszeństwo, gwardye rosyjskie, cały warszawski garnizon, rozstawiono długimi po ulicach szeregami, po których paradny i żałobny pochód miał postępować. Otwierały

go dwa szwadrony naszego pułku konnej gwardyi z muzyką, dalej wszystkie cechy z chorągwiami, ubodzy Towarzystw dobroczynnych, magistrat, urzędnicy wyżsi komisyi rządowych i sądownictwa, Rada stanu, Rada administracyjna, reprezentanci Izby poselskiej, Senat, całe duchowieństwo stolicy, na którego czele postępował arcybiskup warszawski, z wszystkimi kraju biskupami; generałowie polscy i rossyjscy, na aksamitnych amarantowych poduszkach, bogato frendzlami złotymi obszytych, pokrytych czarną krepą, nieśli orderzy cesarza. Ojciec mój niósł Orła białego. Wysocy urzędnicy dworu nieśli miecz królewski, berło i jabłko. Następował dopiero sam karawan, przez ośm koni ciągnięty, w pióropuszcach osłoniętych kirem i czarną krepą wiszącą do ziemi. Konie prowadziło ośmiu dworskich lokai; karawan bardzo wysoki, okryty był cały czarnym aksamitem z herbami. Na piętrowem jego podniesieniu, pod wyższym jeszcze baldachimem, wspartym na sześciu słupach, o osłonie z aksamitu amarantowego, z piórami strusiem nad każdym słupem, spoczywała wspaniała trumna, aksamitem koloru, jak wyżej, obita, złotem ozdobiona, z herbami państwa; na niej płaszcz królewski rzucony, podbity gronostajami. Za trumną szedł koń wierzchowy cesarski, w zupełnem ubraniu, cały do ziemi czarną krepą okryty; prowadził go koniuszy cesarski. Tuż jechał konno W. Książę Konstanty, za nim ogromna świta postępowała pieszo. Zamykały pochód znów dwa szwadrony naszej konnej gwardyi, a za tymi ludność Warszawy pojazdami i pieszo.

Kondukt wyszedł z zamku królewskiego, postępował wolno i wypełnił kilka godzin, dążąc przez główne ulice miasta, przy ciągłych pieniach duchowieństwa katolickiego i prawosławnego, zanim doszedł do kościoła św. Jana. Podehorążowie szkoły jazdy, jako przedstawiciele wszystkich pułków polskiej kawaleryi, oraz potomstwa krajowego obywatelstwa, otrzymali w tym wspaniałym obrzędzie bardzo zaszczytne miejsce. Zwarta masą, otaczaliśmy wokoło sam karawan cesarski, z dobytymi pałaszami, mając ostrze ich na dół spuszczone. Miałem więc sposobność dokładnie przypatrzeć się wszystkiemu. Przed świątynią karawan się zatrzymał. Generałowie polscy przystąpili, zdjęli trumnę i na ramionach wnieśli ją w mury kościoła. Już tam nie byłem, rzuciłem tylko okiem do wnętrza; widziałem cały kościół wybity kirem, okna

były zasłonięte, katafalk niezmiernej wysokości, otoczony tysiącami świec jarzących. Organy się odezwały, potem następowały nowe śpiewy duchowieństwa i chóru.

Przez cały przeciąg marszu konduktu po ulicach, od minuty do minuty działa się odzywały, dzwony były na wszystkich wieżach, przy zdjęciu trumny z karawanu, cała piechota, po ulicach rozstawiona, po trzykroć dała ognia z karabinów, kilkanaście tysięcy szyb z okien wyleciało. Pogoda nie sprzyjała, mały, ale ciągly deszczyk padał nieustannie.

Co szczególna!... gdy kondukt mijał nasze odwachy, te do broni występowały, a dobosz i freiter, ten bębnił, a ów wygwizdywał ten sam żałobny werbel, jaki służył prostemu żołnierzowi, gdy go do grobu prowadzono.

Sic transit gloria mundi!...

* * *

Dnia 28. lipca 1826 r., zakończył życie w Warszawie, generał broni, Józef Zajączek, namiestnik Kongresowego Królestwa, senator, wojewoda, kawaler orderów rosyjskich św. Andrzeja, Aleksandra Newskiego, św. Anny I. klasy; zagranicznych: Orderu Orła Czarneho, Orła Czerwonego; komandor Krzyża wojskowego polskiego i takież Legii honorowej francuskiej, księciem przez cesarza Aleksandra mianowany. Zgon jego żadnego w kraju nie uczynił wrażenia.

Prócz tego, że był u nas żyjącem przypomnieniem sławy cesarza Napoleona, bo mu towarzyszył w wojnach włoskich, w wyprawie do Egiptu, a później dowodził dywizją francuskiej piechoty, w wojnach cesarstwa, aż do kampanii r. 1812 włącznie, w której nogę utracił, żadnemi osobistemi zaletami się nie odznaczał. Starzy wojskowi przyznawali mu męstwo i waleczność i niejakie wojskowe zdolności, kraj nasz nie był wiele z niego zadowolony.

Kondukt żałobny i pogrzebowy dobrze pamiętam, bom był na nim obecny. Ciało Zajączka odprowadzał do Łowicza szwadron pułku naszego strzelców konnych gwardyi, od Łowicza konne na-

sze strzelcy pułków 2. i 4. do Opatówka pod Kalisz. Majątek ten, dawniej rządowy, znakomitej rozległości, darował cesarz Aleksander Zajączkowi i tu mu żona wystawiła kaplicę, w której podziemiach pochowany został. Że był bezdzietny, Opatówek odziedziczył siostrzan jego, Radoszewski, a ten obciążwszy go długami wskutek nierządu, odsprzedał tajnemu radcy, Rossyaninowi, Fonduklejowi, w którego rękach dotąd pozostaje.

Zajączek jako namiestnik Królestwa, pobierał rocznej płacy zp. 200.000; było to sowite wynagrodzenie i szcudra zapłata za podpisywanie dokumentów, do których rękę przyłożyć mu rozkazywano. Mieszkał w pałacu, zwanym namiestnikowskim, na Krakowskiem przedmieściu, gdzie później były biura Rady administracyjnej, przed którym dziś stoi posąg felmarszałka Paskiewicza. Był wysokiej postawy, poważnego oblicza, siwe zupełnie włosy fryzował, jak to było w modzie w początkach bieżącego wieku. Nogę miał amputowaną wyżej kolana, chodził więc o kulach. Ubiarał się w mundur generalski, piersi zdobił licznymi orderami.

Księżna, żona jego, średniego wzrostu, brunetka, nadzwyczaj zgrabna, o ślicznej figurze, posiadała wyraz twarzy nadzwyczaj ruchliwy, więcej zalotny niż piękny. Od swej młodości nie odznaczała się moralnem prowadzeniem, umiała jednak dźwigać wysoki tytuł i godność swego męża. Zbytównisia w swych toaletach, do bardzo późnej starości, sztucznymi sposobami starała się utrzymać swe powaby. Po zgonie męża, pobierała zp. 100.000 pensyi aż do śmierci, przed którą na lat kilka zdzieciinniała i pod kuratelą rodziny, która z jej uposażenia korzystała, resztki życia spędziła.

* * *

W niedługim potem czasie, byłem świadkiem jednego z tych strasznych dramatów wojskowych, które, jeśli nie są wykonywane na prostym zbrodniarzu, lecz pastwią się nad ludźmi honoru i niejakiego znaczenia, do gruntu wstrząsają tymi, którym na nie patrzeć rozkazano.

Od roku, może i więcej — wiedzieliśmy, że kilku oficerów wojska polskiego i tyluż cywilnych oddano pod sąd wojenny. Tu i ówdzie dosłyszane wieści, doniosły, że istniał jakiś polityczny

spisek; należący do niego schwytni, w więzieniu u Karmelitów osadzeni i tam są badani.

Nagle nakazano nam wystąpić na dzień 1. października. Staliśmy na placu Krasińskich. Zebrały się też cząstkowe oddziały, reprezentujące polskie pułki garnizonu Warszawy. Po jakimś czasie, od Długiej ulicy, silnym kłusem w ten wielki czworobok wojska wjechały dwa furgony odkryte, otoczone silną eskortą konnych żandarmów. Z pierwszego wysiedli oficerowie w swych mundurach, z drugiego cywilni. Ustawiono ich pod strażą na środku placu. Wystąpił audytor wojskowy, czytał długo, jak domyślaliśmy się, wyrok sądu wojennego, bo go usłyszeć było niepodobna, a przez ten czas wojska broń prezentowały. Poczem uderzono w bębny... Więźniowie stali szeregiem w odstępach, przy każdym stało dwóch żandarmów z dobytą bronią. Następnie przystąpił jakiś człowiek wysoki, barczysty, czarno ubrany; później dowiedzieliśmy się, że to był kat. Ten nad głową oficerów łamał ich szpady, szlify siłą im z ramion obrywał, a o ile się zdawało, cywilnych po policzkach uderzał. Zjawili się też inni oprawcy; zdjęto ze skazanych ich ubiory a włożono grube więzienne, wzdłuż połowy czarne, w drugiej — siwe; kazano im usiąść na bruku, okuto w kajdany, te do tacek przymocowano. Nareszcie podnieśli się więźniowie i na dany rozkaz wzięwszy taczki w ręce, przechodzili pojedynczo w odstępach po przed front wszystkich wojska oddziałów; bębny były nieprzestannie.

Więźniami tymi byli: Waleryan Łukasiński, major 4. pułku piechoty liniowej, oficer Dobrogoyski. Cywilni: Dobrzycki i Koszucki (Koszutski?).

Drżały im ze wzruszenia kolana. Kiedy przechodzili przed linią naszego frontu — powiedziałem sobie, że nie będę na nich patrzył... ale jakąś niepokonaną siłą otworzyłem źrenice i spojrziałem tylko... tylko na Łukasińskiego, ten szedł pierwszy — a szedł wolno, płatając nogi w kajdanaach, silnie pchał taczkę przed sobą — był nieco blady, ale śmiałem okiem prowadził po szeregu, i oczy moje z jego oczyma się spotkały... Zrobiło mi się zimno w całym ciele, zapewne i serce na chwilę bić przestało — już więcej nie widziałem... Słyszałem tylko brzęk kajdan, które, mijając nas, za sobą wlekli, i głuchy turkot tacek po bruku.

Wsadzono ich później do furgonów i odwieziono, gdzie?... na razie nie wiedziałem.

Gdym opisywał ojeu tę egzekucję i jej szczegóły, smutno spojrział na mnie i wyrzekł: pamiętaj chłopcze nazwiska tych nieszczęśliwych do zgonu!..

Rodzony brat Łukaszińskiego, kapitan naszej artylerji, przed kilku laty umarł w niedostatku w Piotrkowie. Znałem go i żyłem z nim dobrze.

Zaledwie rok upłynął, znów cesarz Mikołaj powołał Sąd Sejmowy do wybadania i ukarania dawnych i nowo odkrytych politycznych spisków. — Obwinieni byli: Krzyżanowski Seweryn, podpułkownik pułku strzelców konnych gwardji naszej, kawaler krzyża wojskowego polskiego i Legji honorowej; kasztelan hrabia Stanisław Sołtyk; wyżsi urzędnicy Senatu Królestwa: Załuski, Plichta i Grzymała, ksiądz Dembek, Zabłocki, Majewski, Pawlikowski, Sabiński i pułkownik Tarnowski. Cidwaj ostatni w więzieniu życie sobie odebrali. Ksiądz Dembek i Pawlikowski także zmarli z cierpień i wieku. W czasie posiedzeń Sądu Sejmowego, ulice przyległe strzeżone były przez oddziały wojska naszego.

O co byli obwinieni podsądni?... jakie mieli zamiary?... My młodzi ludzie w koszarach, oddani ciągłej mustrze i obowiązkom naszego powołania, nie nie wiedzieliśmy. Pamiętam jednak, że Sąd ten ciągnął się długo, bo aż do maja 1828 r.

Tak więc w lat cztery i tyleż miesięcy od wejścia do służby wojskowej, postąpiłem na oficera; to przekonywa, jak trudne były awanse w wojsku naszym. I nie dziwnego: świetny mundur, wielkie prerogatywy w społeczeństwie przez wojsko używane, ścigały pod sztandary narodowe ochotników, z pośród najdzielniejszej młodzieży w kraju; w każdym pułku wielka była liczba. Szlify oficerskie były marzeniem i dumą młodego człowieka.

Dobroczyńca mój, książe Adam Czartoryski, kazał mi wypłacić sto dukatów na kupno wierzchowca.

Byłem więc oficerem w dwudziestym roku życia mego. Cieszył się mój ojciec, jam był istotnie szczęśliwy. Świat ten piękny, pełen nadziei w przyszłości, stał otworem przedemną.

Koledzy moi w pułku gwardji, w których poczet wszedłem, stanowili wybór oficerów dzielnych, miłych i uprzejmych; chętnie przyjęli mnie do swego grona, pokochołem ich jak braci.

Pięćdziesiąt trzy lat mija od tej epoki. — Ze łzą w oku i głębokim smutkiem tu wyznaję, że przeżył ich wszystkich!... Rozproszeni po różnych miejscowościach Królestwa, w Galicyi, w Księstwie Poznańskiem, w emigracyi, pomarli z przekonaniem, że wiernie służyli Ojczyźnie, i do zgonu utrzymywali pamięć o honorze pułku swego i o swych towarzyszach broni.

Pokój im wieczny!



ROZDZIAŁ IV.

Ranek, południe i wieczór 29. listopada 1830 roku w Warszawie. — Skład garnizonu w stolicy. — Spisek odkryty, przyspiesza wybuch rewolucyi wojskowej. — Alarm w koszarach konnego pułku gwardyi polskiej. — Pułk wychodzi za Złote Krzyże. — Rekonesans jego z tego punktu do zamku królewskiego. — Wiadomość, że to jest rewolucya przeciw rządowi rossyjskiemu. — Deputacya oficerów żąda, aby pułk nie był czynnym przeciw powstańcom. — Niedostatek wiadomości z Warszawy. — Późniejszy przebieg rewolucyi. — Księżę Konstanty zwalnia wojsko polskie od posłuszeństwa. — Powrót konnego pułku gwardyi do miasta. — Straszna scena przed gmachem Banku polskiego. — Narada i postanowienie oficerów pułku w koszarach. — Pogląd na ulice Warszawy. — Generał Chłopicki ogłasza się dyktatorem. — Poddanie się twierdzy Modlina. — Konie cesarskiej stajni. — Pierwsze wiadomości, jak był prowadzony ruch rewolucyjny.

Przystępując do opisu rewolucyi polskiej, a raczej do wypadków nocy 29. listopada 1830 roku i dni następnych w Warszawie, podzielę me opowiadanie na dwa oddzielne ustępy.

Opisuję to, com widział naocznie, osobno zaś streszczam dokumenta wiarogodne i badania historyczne różnych autorów, później zebrane, a to dziwne, niespodziewane, zupełnem powodzeniem uwieńczone powstanie opisujące.

Zacznę od pierwszego założenia.

Chmurno zeszło słońce; mroźny wiatr wiał silnie po ulicach Warszawy. na siwych niebiosach słabo rysowały się wieżycy kościołów i dachy naszej stolicy; tunany mialkiego i suchego śniegu wieher silnie podnosił. — Taki był świt dnia 29. listopada 1830 roku.

Zwolna rozbudzało się miasto, zwykły ruch się rozpoczynał: rzemieślnik spieszył do codziennej pracy, kramy z żywnością się otwierały, ulice się zaludniały, dorożki uwijać się zaczęły, dzwony kościołów zwoływały wiernych na ranne nabożeństwo.

O dziewiątej rannej godzinie, zbierały się na Saskim placu oddziały piechoty i jazdy, przeznaczone na obłuz wart dnia tego. — Polski pułk na służbę zaciągał; konny pluton naszego pułku strzelców konnych gwardyi, pod dowództwem podporucznika Franciszka Męcińskiego przybył i stanął na brukach przed Saskim pałacem. Zaczęła się zgromadzać publiczność na ulubiony a codzienny widok parady wojskowej. Pozór miasta był zupełnie spokojny.

Oficerowie różnych stopni gromadkami się schodzili. Wielki Książę Konstanty, o wpół do dziesiątej, pędem swoich czterech kasztanowatych koni, w poręcz zaprzężonych, z Belwederu wpadł na plac, minął go i zajechał, jak zwykle, do Brühlowskiego pałacu. Za nim w powozach świta, adjutańci, generałowie, dowódcy polscy i rossyjscy.

Punkt o 10 godzinie, W. Książę wyszedł z pałacu pieszo, otoczony swym sztabem: uderzono na placu w bębny, a muzyka zabrzmiała hymnem „Boże zachowaj króla“. Książę szybkim krokiem przeszedł wszystkie szeregi oddziałów, wrócił na codzienne swe stanowisko naprzeciw odwachu pod Białym Orłem, parada i defilada wart się rozpoczęły.

Ustępowały pojedyncze oddziały podwójnym krokiem przy odgłosie muzyki, jak struna wyrównane. Ordynanse konni i służbowi oficerowie odmeldowali się, przyjęli hasło i odzew na ten dzień przeznaczony; powóz księcia podjechał. Wtem nagle chrapliwym swym głosem Wielki Książę zawołał: „Panowie oficerowie pułku strzelców konnych gwardyi!“

Zbiegliśmy się wszyscy z naszym dowódcą, generałem Kurnatowskim. W. Książę wszedł pomiędzy nas i przemówił częścią po francusku, częścią po polsku, oświadczając pułkowi zadowolenie cesarskie z jego postawy i wzorowych manewrów ostatniego lata,

w dowód czego oznajmił, że cesarz przysłał pułkowi w darze srebrne dla muzyki jego trąbki. Podał następnie rękę Kurnatowskiemu, wsiadł do powozu i odjechał.

Blisko stojąc Wielkiego Księcia, uważałem, że uprzejme słowa, jakie usiłował wypowiedzieć, nie zgadzały się z wyrazem jego oblicza. Był nieco blady, bynajmniej nie gniewny, ale surowy, marszczył czoło i rzucał niespokojnie po nas oczyma.

Później zebrane wiadomości przekonały, że w późny wieczór, ten dzień poprzedzający, tajny radea Mornheim, dyrektor kancelaryi dyplomatycznej przy boku Księcia, przedstawiał mu usilnie, aby swe mieszkanie w Belwederze otoczył gwardyami rosyjskimi, rozwinął siły wojskowe i wszelkie ostrożności, w obec tajnego a w skutkach przewidzieć się nie dającego, rewolucyjnego ducha Warszawy. Nie zgodził się na to cesarzewicz, ufając wierności garnizonu, o której go zapewniali nasi i rosyjscy generałowie. Prosił więc Mornheim o pozwolenie zabrania ważniejszych papierów i o wydalenie się ze stolicy, czego mu nie odmówiono. Teżże nocy 28. listopada pocztą wyjechał, a następnego wieczora był już w Kownie.

Neogłębność ta cesarzewicza tem się tłumaczyć daje, że lubo kilkunastu cywilnych, akademików i podchorążych szkoły piechoty, już było aresztowanych i badania ich ciągle się odbywały w politycznem więzieniu klasztoru Karmelitów na Lesznie, stałość jednak uwieczonych w tłumaczeniu się, do tego dnia i godziny zdołała jeszcze pokryć tę rozległą sieć spisku już rozwiniętego, oraz nazwiska w nim działających.

Jednakże przyznać winienem wielką siłę unysłu a nawet osobistą odwagę Księciu Konstantemu. Nic on nie przedsięwziął, by zasłonić swą osobę od prostego i łatwego napadu na pałac Belwederski, którego zwykła straż składała się tylko z dwunastu weteranów rosyjskich i jednego podoficera. Bliskimi wprawdzie były koszary konnych gwardyi rosyjskich, mianowicie kirysyerów, ułanów i huzarów, zawsze jednak dość odległe, aby natychmiastowa pomoc daną być mogła, tem więczej, że dowódcy tych pułków, nawet komendanci szwadronów, mieli kwatery na mieście, z łatwością przeto mogli być odcięci od swych komend, a służbowi oficerowie szwadronów w koszarach, nie mieli prawa ruszyć bez wyższego rozkazu tych zbrojnych sił. Zresztą, jazda rosyjska

w poszytej gęstemi drzewami pozycyi ogrodów Belwederskiego, Łazienek i Botanicznego, nie miała miejsca ani do rozwinięcia się, ani do skutecznego ataku.

Garnizon warszawski składał się wówczas w najściślejszem przybliżeniu z wojsk, jak poniżej:

Gwardye rossyjskie.

Pułk wołyńskiej piechoty	żołnierzy	2.600
„ litewski	„	2.600
„ kirysyerów	„	700
„ ułanów imienia Konstantego	„	700
„ huzarów grodzieńskich	„	700
Żandarmerya konna, kozaki lejbgwardyi, weterani		1.000
<hr/>		
Razem żołnierzy		8.300

Dwie baterye artyleryi gwardyi, konna i piesza, pod generałem Gersztentzweigiem, armat 24 — stały o pięć mil od Warszawy w Górze Kalwaryi. Zauważmy, że W. Książę nie miał do rozporządzenia ani jednego działła.

Wojsko polskie.

Pułk grenadyerów gwardyi	żołnierzy	3.000
Batalion saperów	„	1.000
4. pułk piechoty liniowej	„	2.000
12 kompanij wyborczych piechoty	„	3.000
Baterya artyleryi konnej gwardyi, armat 12	„	350
Pułk strzelców konnych gwardyi	„	700
Korpus weteranów czynnych	„	1.000
Żandarmerya konna	„	200
Szkoły podchorążych jazdy i piechoty	„	350
Pociągi i niefrontowi	„	1.000
<hr/>		
Razem żołnierzy		12.600.

Z tego wykazu pokazuje się, że garnizon polski w Warszawie przewyższał liczbę rosyjskiego żołnierza o 4.300 ludzi; przewyższał głównie siłą piechoty, artylerią, gdy przeciwnie — jazda rosyjska w ulicach czynną być nie mogła.

Piechota gwardyi rosyjskiej, grenadyerów polskich, batalion saperów, pułk nasz 4. liniowy, miały swe koszary w bliskości placu Marsowego, za Muranowem, oddzielone jedne od drugich ulicami. Wyboreze nasze kompanie stały na Pociejewie przy ulicy Marszałkowskiej i około pałacu Dynasowskiego. Konni strzelcy gwardyi, w koszarach Mirowskich za Żelazną Bramą. Artylerya nasza pod Arsenalem, naprzeciw ogrodu Krasińskich. Jazda gwardyi rosyjskiej, za Łazienkami Królewskimi, prawie nad Wisłą. Siły więc rosyjskie były rozrzucone bez łatwej z sobą łączności, głównie zaś piechota rosyjska oddzielona od Belwederu, to jest mieszkania W. Księcia, całą długością miasta; podać więc sobie nie mogły ręki, w razie jakiegobądź wypadku.

Od czasu aresztowań i pierwszych śladów rewolucyjnego spisku, wszystkie poszczególne pułki wojska miały wyznaczone swoje place alarmowe. Pułkowi strzelców konnych gwardyi, w którym służyłem, wskazano punkt zborny za Złotymi Krzyżami i kościołem św. Aleksandra. Tamże miały się zbierać konne pułki gwardyi rosyjskiej.

Aresztowania odbywały się cicho, nocami, i nikt prawie o nich nie wiedział. Denuncyantami byli, jak się później okazało, Franciszek Kruszelewski, uczeń Uniwersytetu, do spisku należący: ten objawił zamiary jego wice-prezydentowi miasta, Lubowidzkiemu i tego zeznania datują dnia 10. listopada. Jednocześnie Tomasz Zagrobiński, podoficer 3. pułku strzelców pieszych, przy raporcie codziennym, składanym ze Szkoły podchorążych piechoty generałowi Kurucie, wydał temuż spisek. Śledztwo jego prowadził asesors Sądu kryminalnego, Błeszyński. — Co do wojskowych, w obecności generałów: Roźnieckiego, hr. Stanisława Potockiego i Rautenstraucha; co do akademików: przy asystencyi kuratora Uniwersytetu, hrabiego Fredry i inspektora tegoż, Krzyżanowskiego. Śledztwo to przerwały wypadki nocy 29. listopada, w której spiskowi siłą przez powstańców uwolnieni zostali z więzienia.

Po paradzie wojskowej, zaraz po 11 godzinie z rana udałem się do mego ojca, któremu zawsze o tej godzinie odwiedzał. Zastałem go w łóżku. Na zapytanie, czy chory? odpowiedział, że czuje się zdrowym. — Wspomniałem o darze, jaki pułk otrzymał i o przemowie W. Księcia, reszta rozmowy była potoczną. Podano śniadanie, ojciec się ruszył i... z zadziwieniem dostrzegłem, że leżał w botfortach nakryty i przy ostrogach, ale o tem żadnej wzmianki nie uczynił. Około godziny 1 z południa, wychodzącemu zlecił mi ojciec, abym się widział z bratem moim, Władysławem, podoficerem wyborczej kompanii 2. pułku piechoty liniowej, kwaterującym na Pocejowie i zapowiedział mu, aby się stawił o 6 wieczorem ciepło ubrany i przy pałaszu.

Idąc z powrotem Marszałkowską ulicą, poczęłem się zastanawiać nad wszystkim; mocno mnie dziwiło to pół-ubranie ojca w łóżku, oraz wydany rozkaz dla brata. Ojciec długich butów nigdy nie używał, jak tylko do wielkiego munduru i niedzielnej wojskowej parady; to był poniedziałek, a w dzień powszedni nie bywał na obluzie wart na Saskim placu. Wstąpiłem więc do brata, wziąłem go na bok i zapowiedziałem życzenie ojca. I on się zdziwił najmocniej, tłumaczył się, że wieczór wyjść mu z koszar nie wolno, wreszcie obiecał, że przyjdzie, jeśli to będzie możebne.

Po obiedzie dnia tyle pamiętnego, wykladałem w szkole pułkowej podoficerom matematykę, której byłem profesorem. O godzinie 4, gdy się zmierzchało, miał miejsce zwykły imienny apel żołnierzy w koszarach, poczem, odbywszy rewizję sal mego plutonu i stajen, poszedłem do pokoju służbowego oficerów pogadać z kolegami.

Tu, między innymi rozmowami, wspominaliśmy o więźniach u Karmelitów badanych, o plakatach rozwieszanych w nocy po gmachach rządowych, których nikt z nas nie czytał, bo je politycy natychmiast zdzierała. Nikt z nas powodów podać nie umiał, pułk nie wiedział, nie przypuszczaliśmy, co się stać miało za kilka godzin!...

Koledzy zaproponowali partyę wista. Żem był zawsze wesół i od nich lubiany, uprosili, bym z nimi został; zdecydowałem się i nie żałowałem tego później. Graliśmy więc wista; herbata, fajki i pogadanka przegradzały, i tak godziny upływały.

Zaraz po siódmej wieczorem, zagrzmiał silny tętent konia po bruku koszarowej ulicy. Wnet z odwaehu trąbią alarm!... Zerwaliśmy się z krzesel, jakby iskrą elektryczną uderzeni... Trębacze szwadronowi groźny ten sygnał powtarzają, zbiegamy na dół, już nasze szassery mrowiem się sypią z pawilonów koszarowych do stajen, konie kulbaczą. Posłałem do mojej kwatery na ulicę Elektoralną po kaszkiet, ładownicę i pistolety. Nie upłynęło kwadransa, już szwadrony zaczynają się formować, oficerowie pieszo i dorożkami z miasta przybywają; któryś szepnął mi do ucha: „Coś się dzieje w mieście!“ Daleka słaba łuna pożaru nad miastem zawidniała. Cicho, nie słychać nawet zwykłego ruchu i turkotu pojazdów.

W tem wzruszeniu nikt z nas czasu nie liczył, to jednak pewna, że w jakie dwadzieścia minut po pierwszym sygnale alarmowym, pułk uzbrojony już stał na koniach. Przybył też generał rossyjski, Pęcherzewski, dowódca naszej brygady, którą składaliśmy z pułkiem huzarów grodzieńskich gwardyi; nieco później generał nasz dywizyi, Kurnatowski, obaj konno. Przejechali front pułku, pytali, czy oficerowie są w miejscu?... odpowiedziano, że wszyscy. Istotnie brakowało tylko podporucznika Józefa Stempkowskiego. Pułkownik Jagmin zakomenderował, ruszyliśmy szóstkami ku Żelaznej Bramie.

Wojskowy zwyczaj nakazywał, że trębacze przy wyruszeniu pułku z koszar, uderzali w trąby tak zwany „generał-marsz“. Po pierwszych taktach ucichli, zapewne z rozkazu generałów. Nowe z naszej strony zdziwienie.

Za koszarami Mirowskimi, czoło pułku prowadzili dowódcy silnem stępem, w prawo ku ulicy Grzybowskiej, dalej przez plac Grzybowa, zaułkami koło szpitala Dzieciątka Jezus, potem dalszemi tylnymi ulicami, za Złote Krzyże i kościół św. Aleksandra. Wówczas to Warszawa prawie się kończyła u wstępu alei Mokotowskiej. Cichą komendą rozwinięto pułk we dwie linie po dwa szwadrony, zostawując lukę, jak szeroką była aleja. Rzuciłem okiem w głąb Nowego Świata, uważałem, że rewerberzy się nie palili, ulica była ciemną. Godzina 8 wieczór dochodziła.

Stałem w drugiej linii, jako należący do drugiego dywizyonu, którym dowodził pułkownik Zielonka. W krótkim czasie wielki ruch powstał za nami, rossyjskie komendy, silny tętent koni

i szcęk broni, zwiastowały, że konne rossyjskie gwardye ustępują na plac Ujazdowski. Od miasta luką naszą konno, dorozkami, cwałem przebiegali w tył po za nas w wielkiej liczbie oficerowie rossyjscy.

Niedługo okrzyki Rossyan za nami, zdawały się witać kogoś... Był to Wielki Książę Konstanty, objeżdżający konno pułki. Z kolei przyjechał i do nas, przejechał obie linie, otoczony świtą, eskortował go półszwadron kirysyerów. Przed każdym szwadronem odzywał się: „dziękuję panom oficerom — dziękuję żołnierzom!...” Po odjeździe Księcia, pułk schował pałasze do pochw.

Nam oficerom, stojącym przed swoimi oddziałami, wszelka sposobność porozumienia się z sobą i zamieniania uwag, zupełnie odjęta została. Staliśmy murem, zdumieni, z bijącym sercem, z unysłem niezdolnym do żadnego zastanowienia się. Tymczasem strzały karabinowe, to pojedyncze, to zbiorowe w głębi miasta słyszeć się dawały. Nie zadługo łysło. Ciężki grzmot wystrzału z działa jęknął gdzieś w dali, a za nim drugi. Ciągłe okrzyki słychać. Cienno, wietrzno, zimno; w szeregach naszych cichość grobowa. — Tak mijaly godziny.

Pamiętam, iż nie uprzytomnić sobie nie byłem wstanie: przeczucie mi mówiło, że jakiś wielki, straszny dramat się odbywa... Wspomniałem bezwłasnowolnie ojca, jego jakąś tajemniczą gotowość... Bierne posłuszeństwo oficera i żołnierza, nakazywało mi stać nieruchomym w miejscu i wyczekiwać rozkazu. Stałem więc i czekałem.

Jakoś po północy, pułkownik Zielonka stanął przed dywizyonem, zakomenderował. dobyliśmy pałaszy i szóstkami od prawego, poszliśmy stępa naprzód. Że prowadziłem pierwszy pluton 3. szwadronu, postępowałem więc przy pierwszej szóstce u jego czoła, przedemną na długość dwóch koni Zielonka, przed nim sześciu trębaczy. Weszliśmy na Nowy Świat.

Nadmienię, że pułkownik otrzymał rozkaz wykonania rekonasansu naszymi dwoma szwadronami i dotarcia do zamku królewskiego. — Idziemy.

Na Nowym Świecie wszystkie okna były oświecone, bramy domów pozamykane. Od rogu Chmielnej ulicy, zaczęliśmy spotykać garstki ludzi cywilnych, z których niektórzy byli uzbrojeni w karabiny i pałasze. Cześć ich nie była trzeźwą. Za naszym zbli-

zaniem, zapytywali się gromko: „kto idzie?“ — odpowiadaliśmy: „Gwardya szasserów“; nowe z tłumu okrzyki: „Wiwat gwardya!...“ „Wiwat szassery!...“ Tak ich mijaliśmy; pod Kopernikiem uważałem kilka szynków wyłamanych, oblegał je lud.

Skorośmy się zrównali z ulicą Świętokrzyską, dopadł nas z boku nasz pluton służbowy z Saskiego placu. Męciński przykroczył do Zielonki, ja się nieco zbliżyłem i słyszę zdawany mu raport. Opowiada Męciński, że na odgłos strzałów w mieście siadł z oddziałem na koń i stanął po lewej stronie odwachu pod Białym Orłem, którego warta również pod broń wystąpiła. Niedługo od Królewskiej ulicy wystąpił jakiś zbrojny oddział i zaczął strzelać do niego i warty odwachowej, rozsypał się przeto flankierami na placu i zaczął się odstrzeliwać. Ale, gdy tłum zbrojny coraz się zwiększał, zebrał pluton, puścił się całym pędem koni, tłum rozbił i stratował, nakoniec przez ulicę Mazowiecką i Świętokrzyską idąc na plac alarmowy, z nami się połączył.

Zielonka zapytał, czy żołnierze mają jeszcze ostre ładunki? na twierdzącą odpowiedź, rozkazał plutonowi Męcińskiego iść na czele dywizyonu.

W tem miejscu uroczyste składam zapewnienie, iż ten jeden tylko pluton służbowy miał w ładownicach ostre naboje, jako i wszystkie codzienne warty naszej stolicy, a to od czasu, jak rząd dostrzegł w niej jakiś ruch niespokojny. Pułk nasz, do alarmu stawający, ich nie miał, karabinki i pistolety opatrzone były jedynie skałkami rogowemi. Tymczasem oczerniano nas później, iż lud bezbronny rąbaliśmy i do niego strzelali, i ta oszczerza wieść zupełną wiarę w Warszawie znalazła.

Naprzeciw Trębackiej ulicy, czoło 3. szwadronu przyjęte zostało z boku silnym karabinowym ogniem, zważyło się z koni kilku żołnierzy... Dywizyon się zatrzymał, Zielonka wykrzyknął: „Artylerya naprzód! skartaczować tych rozbójników!“ (Artyleryi nie było wcale). Tłumy zbrojne zaraz się rozpierzchły ku Marywilowi dawnemu. Znów postępujemy, dochodzimy do kościoła Bernardynów, druga salwa strzałów od kolumny Zygmunta, kule świsnęły nam nad głowami... Zamek i jego wieżycę już widać w ciemności: przed nim ogromny gwar... cofamy się więc nazad stępo i wracamy pod Złote Krzyże do pułku. W tym marszu przystaje nieco, łączę się z Kazimierzem Szamowskim, prowadzą-

cym drugi pluton i zapytuję po francusku: „Co to jest?“ odpowiada mi: „Nie wiem — ale domniemywan, że nie dobrego.“ Żołnierze nasi cicho szeptali do siebie; pułkownika Zielonkę wzywano, aby złożył raport cesarziewiczowi.

Były jedne po drugich godziny na Świętokrzyskiej wieży, noc ta pomału się usuwała, a zdawała się nie mieć końca. Niepokój duszy nas ogarniał, zimno okrutnie dokuczało, nie zsiadaliśmy wcale z koni, dalekie tylko krzyki, a czasem strzały w różnych częściach miasta się odzywały. Mróz nad ranem się zwiększał, zeszała nakoniec zorza na wschodzie... Witamy dzień nadchodzący, z nadzieją otrzymania wyjaśnień i wiadomości. Około ósmej rano, z okolicznych szynków, w rekwizycję wziętych, rozdano żołnierzom po czarce wódki.

O dziewiątej rano, porucznik Gerhard odebrał polecenie udać się na patrol z 30 ludźmi na ulicę Solec i postępować ile się da. Nie wrócił jak około 11, zdał raport pułkownikowi. Wracającego, nie czekając pozwolenia, kołem otoczyliśmy, żądając wiadomości. Opowieść jego była krótka: na ulicy Solec, poprzecinanej przez cznicami, trafił na wedety naszej piechoty, które groziły strzałami, jeśliby się poważił dalej postępować. Zatrzymał się więc, zsiadł z konia, doszedł do łańcucha wedet i kazał się zaprowadzić do komendanta placówki. Oddział ten należał do 4. pułku liniowego, dowodził nim Sweniarski i ten objaśnił Gerharda, że to jest rewolucya wojskowa i ludowa, dążąca do obalenia rossyjskiego rządu i wybicia narodu na niepodległość; że polski cały garnizon powstał, pułki rossyjskie Wołyńców i Litewski rozbite, Arsenal zdobyty, lud uzbrojony przystąpił do powstania, generałowie: Hanke, Trembicki, Potocki, Nowicki, Siemiątkowski, Blumer — zabici, polityczni więźniowie z Karmelitów uwolnieni. Dodał wreszcie: „hańba wam szassery, że trzymacie stronę Moskali i Księcia Konstantego, który o mało co nie wzięty, potrafił uciec przed wczorajszym napadem.“

Długo milczeliśmy pod gromem tych wiadomości. Zbliżyli się też nasi sztaboficerowie, powtarzano opowiadania Gerharda, naradzano się, głos powszechny twierdził, że ze swoimi bić się niepodobna, stanęło więc na tem: że wysłano zaraz z miejsca deputację do generała Kurnatowskiego z żądaniem, aby u cesa-

rzewicza wyjednał zupełną pułku w tych wypadkach przeciwko miastu bezczynność.

Jak generał Kurnatowski wywiązał się z tego życzenia oficerów?... nie wiem. Jednakże po południu dnia tego, pułk nasz cofnięto z pierwszej linii, to jest z pod kościoła św. Aleksandra, po za konne gwardye rossyjskie. Stanęliśmy w kolumnie pod rogatkami Mokotowskiemi, żołnierze zsiadli z koni, dano im owsa z sakiew. Wiarusy i my od 30 godzin nie jedli; rzucono się do ogrodów w Alejach i w pobliskości, rozerwano płoty, sztachety, parkany, rozpalono ognie, rozgrzewaliśmy się przynajmniej.

Pod wieczór nasz kwatermistrz, okalając całe miasto od Wolskich rogatek, przywiózł w furgonach chleb i furazę. Był to pierwszy nasz posiłek po tylu godzinach, na nim musieliśmy poprzestać. 1-go grudnia rano przywiózł kwatermistrz pułkowi kotle do gotowania, krupy, groch, słoninę, sól, chleb, wódkę; dla koni owies i nieco siana. Żony oficerów przysłały nam gotowaną strawę w rondlach do ogrzania i tytoń. Ciało nakarmione, energia w nas wstąpiła.

Wiadomości z Warszawy były następujące:

Książę Czartoryski, książę Lubecki i Lelewel, układają się ciągle z cesarzewiczem.

Warszawa uzbrojona — cała jej ludność na ulicach, jak również wojsko polskie, gotowe przyjąć rozpaczny bój, w razie, gdyby W. Książę atak na miasto rozpocząć zamierzał.

Forpocztę polskie stoją zaraz u wejścia na ulicę Nowy Świat.

Mnie Ciechanowski szepnął do ucha: „Twój ojciec całym wojskowym ruchem kieruje“.

Zimno mi się zrobiło... łatwo było przewidzieć skutki, w razie stłumienia powstania.

Nad wieczorem 1. grudnia nadeiagnęła z góry Kalwaryi gwardya artyleryi pieszej i konnej rossyjskiej. Generał Gersztenzweig przyprowadził 24 armat pozycyjnych, cztery ich postawiono z wylotami obróconymi na Nowy Świat, inne u wejścia równoległych ulic. W asekuracyi ich stanął pułk gwardyi Wolyńców.

Obok naszej kolumny stanął pułkownik Czarnomski ze Szkołą podehorążych jazdy, a nieco opodał, kilka kompanii gwardyi grenadyerów naszych, których oficerowie nie poddali się rewolucyi.

2-go grudnia znów Ciechanowski przywiózł nam żywność i wiadomości.

Układy z cesarzowiczem trwają nieprzerwanie.

Bank polski ocalony i strzeżony przez batalion piechoty.

Radość i ukontentowanie ludu nie mają granic.

Wyparowane pułki gwardyi pieszych rossyjskich, okrążyły miasto po chybionej obronie Arsenалу, połączyły się z Wielkim Księciem.

Zupełne bratanie się ludu z wojskiem naszym. Kasa Skrybickiego, generalnego intendentu wojsk rossyjskich, zrabowana.

Generał nasz Szembek z pułkiem 1. strzelców pieszych przybył z Sochaczewa pod Wolskie rogatki; zatrzymał go i sam udał się do W. Księcia po rozkazy; wrócił, lecz zastał już pułk zrewoltowany, wszedł więc z nim do Warszawy, łącząc się z rewolucją.

Sztafety poszły do garnizonów Pułtuska, Łowicza, Łęczycy, Radomia, wzywając dowódców, aby z wojskami przybywali.

Nasze miejscowe wiadomości były prawie żadne. Stałiśmy przy kolumnie pułkowej, nie oddalając się od szwadronów, bo to było wzbronione. Głuche tylko wieści donosiły, że generałowie rossyjscy błagali bezskutecznie Konstantego, aby ze swemi siłami, jakie miał pod ręką, uderzył na Warszawę i stłumił rewolucję.

Sądzę, że W. Książę miał słuszność za sobą, w unikaniu daremnej krwi rozlewu. Garnizon polski był, jak udowodniłem, o wiele liczniejszy od wojsk, któremi dowodził, przybył pułk 1. strzelców pieszych. Biłby się więc rozpaczliwie, a za nim stała uzbrojona ludność Warszawy, jeśli niezupełnie bitna, to liczebnie bardzo groźna. Kwestya się jeszcze nasuwa, czy wojska rossyjskie w tak nagłym z koszar wystąpieniu, zaopatrzyły się w dostateczną amunicję. Przypuścimy, że żołnierz pieszy miał po 60 ładunków w patrolaszach, to by wystarczało na kilka godzin, a potem... mógłby być w pień wykluty lub wystrzelany. Jaki zaś był duch żołnierza polskiego, dowodzi to: że jakkolwiek wyżsi dowódcy usiłowali powstrzymać poruszenie swych komend, pokazało się, że żołnierz bez namysłu i rażno na pierwsze wezwanie poszedł za głosem oficerów niższych stopni. Nie bratał się on nigdy z Rossyanami. Przypuściwszy więc, że w silnym i energicznym ataku, mógł Książę Konstanty odnieść niejaki korzyści; skoroby

jednak krew raz rozlaną została, za nadejściem innych pułków, po województwach konsystujących, srogi odwet mógłby nastąpić.

Dnia 3. grudnia, około 10 godziny rano, generał Kurnatowski przybył do pułku naszego, zwołał oficerów i zawiadomił, że Wielki Książę postanowił ustąpić z granic Królestwa, oraz że pozwala nam wrócić do Warszawy. Nakazał nakoniec utrzymywanie karności, porządku i posłuszeństwa przyszłym rozkazom. Wróciliśmy przed szeregi, zawiadomiliśmy o tem żołnierzy: zadowolenie było wielkie, ale bez żadnej demonstracji.

Sławny ten piśmienny dokument, który cesarzewicz doręczył adjutantowi swemu, Władysławowi Zamoyskiemu, dla zrobienia z niego właściwego użytku, podam w innem miejscu.

Pułk siadł na koń, ruszyliśmy z miejsca, za nami kilka kompanii grenadyerów gwardyi i Szkoła podechorążych jazdy.

Mijając kolumny wojsk rossyjskich, generałowie, dowódcy, oficerowie, żołnierze nawet, wybiegali do nas, chwyтали za ręce z uściskiem i pożegnaniem, do „lepszych, jak się wyrażali, czasów“. Generał artyleryi, Gersztenzweig, przystąpił do pułkownika Zielonki, uściskał mu rękę serdecznie i po francusku powiedział te słowa, które pamiętam: „Jeżeli przyjdzie do wojny, nigdy moje armaty do was strzelać nie będą! Bywajecie zdrowi! Z prawdziwym smutkiem was żegnam!“ I spełnił generał obietnicę, jak później opowiem.

W Warszawie, ową deklarację cesarzewicza już wydrukowaną, w pismach publicznych ogłoszoną, rozlepiono po ulicach. Zbrojna ludność wyległa na Nowy Świat na nasze spotkanie, a w miarę naszego pochodu, szła trotoarami, wydając niezmierne i ciągle okrzyki. Tłumy się z każdym krokiem zwiększały: pułk postępował wolno, poważnie, w milczeniu Krakowskim Przedmieściem a od kolumny Zygmunta. Senatorską ulicą. Mimo zimna, okna wszystkich kamienic i balkony były otwarte, kobiety i mężczyźni wykrzykiwali: „wivat szassery!“ Powiewano chustkami, rzucano nam kokardy białe. Na placu Zamkowym, niezliczona masa ludu ścisniętego; jedni witali nas przychylnymi okrzykami, drudzy kłatwą i złorzeczeniem, za tak późne połączenie się z rewolucją. Ciasno już było zupełnie na ulicy Senatorskiej, lud tłoczył się przy samych naszych koniach, potrząsał karabinami, wywijał pałaszami, padło kilka strzałów, szczęściem nikogo nie

raniły, prowadzono nas jakby niewolników... Uściski, pozdrowienia, znów groźby nieprzesłanne... Tłumy te szczególnie i dziwnie w swej masie wyglądały; zdawało się, że to nie jest ten poczciwy lud warszawski, o któryśny się przed kilku dniami ocierali. Zasmolony, obrzękły w twarzach, niby radośnie i wesoło spoglądał, ale jakaś dzikość z oczu mu lyskała... Szły gdzieś niedziedzie i kobiety, z jakichś zaułków Starego Miasta i Mariensztadu wywiezione, namiętne, pięściami wygrażające, to znów od ust ręką nam pocałunki przesyłały... A nad tą masą głów, nakrytych Bóg wie jakimi czapkami, to znów kaszkietami wojska naszego i rossyjskiego, wznosił się jeden ciągły i nieprzesłanny krzyk, prawie nieludzkie głosów.

Nareszcie doszło czoło pułku do gmachu Bankowego: pułk się zatrzymał, bo mu drogę zagrodzono. I tu wspaniały, ale zarazem straszny przedstawił się widok tej masy ludu, który literalnie plac Bankowy zalewał. Jak płacz i kwilenie dziecka litość w nas wzbudza, a łzy starca do głębi serce wzruszają, jak pułki zbrojne i liczne podnoszą dumę i ducha męskiego, gdy na nie patrzymy; tak przeciwnie — tysiączne i w jedno miejsce zgromadzone tłumy zbrojnego i gniewnego ludu, najodważniejsze piersi przerażają... Powtarzam — był też to widok zarazem wspaniały i straszny. Burza żywiołów, morska nawałnica, nie przedstawia takiego obrazu... Burza bije w jedną stronę, pieni się morze i szumiąc podnosi głębokie swe odmęty..., ale w tej rozłukanej, rozszalałej naturze, jest jeszcze jakiś system. Tu nie było żadnego. Falowały tłumy na wsze strony, groźba była na wszystkich czołach... Polacy złorzeczyli rycerstwu swemu.

Lud ten gniewny, rozłukany, siłę swą czujący, rozpychał się na wsze strony, sam się kaleczył, by osiągnąć swej bezrozumnej zemsty... nie rozumiał się... wył i krzyczał, a cel miał jeden: krwią się napoić.

Pod takim to peregierzem trzeba było stać nieruchomie. I wnet najsmutniejsza nastąpiła scena: generałów Krasinińskiego i Kurnatowskiego siłą ściągnięto z koni, podniosły się nad ich głowami pałasze, bagnietami ich piersi otoczono... a z tyłów wołano: „Bij! zabij! morduj! zdrajców Ojczyzny!”

W tej chwili, Szyrma, profesor Uniwersytetu z akademikami, zdołał otoczyć te dwie ofiary, których krew miała być przelana.

Podniósł w górę sztandar wojenny Tadeusza Kościuszki, wzięty z gabinetu Towarzystwa Przyjaciół Nauk; rzucono obu generałów na kolana, zerwano im kapelusze z głowy... i ci powtarzali rotę przysięgi, dyktowaną im przez Szyrmę, na wierność Ojczyźnie.

Kiedy się to dzieje, ojciec mój z silnym oddziałem piechoty Banku strzegącej, groźny ten zastęp zdołał rozerwać i Krasińskiego oraz Kurnatowskiego uprowadził do dolnej sali pod zegarem, którą zaraz zatarasowano.

I znów tłumy bryzgały błuznierstwami na nas. Bledli żołnierze z gniewu... niektórzy dobyli pałaszy i jeżeli nie rzucili się w swej rozpacz na ten lud bezrozumny i nie dopuścili się okropnej rzezi, zasługa w tem pozostaje przy nas oficerach, błagających nieprzestannie rozjątrzonych o cierpliwość i umiarkowanie.

Pułk stał ciągle w miejscu, bo dalsza droga do koszar była mu przez pospólstwo zamknięta. Zwróciło się ono znów z tysiącnymi okrzykami do Banku, wołając: „Krasiński! Kurnatowski!...” I po chwili otworzyły się podwoje od balkonu pod zegarem. Wyszli obaj, stając przed sądem ludu. Padły dwa strzały z tłumy, lecz chybiły. Krasiński dał znak ręką, że chce mówić, uciszono się. — I mówił długo, przypominając zasługi swych przodków krajowi położone, przypominał wojnę hiszpańską, Samo-sierę, wojnę roku 1812, Berezynę, Lipsk i kampanię r. 1813 i 1814; przeprowadzenie resztek wojsk polskich do Warszawy z Francji, lecz przerywano mu ciągle wołając: „A potem!... A później!... jakim to byłeś synem Ojczyzny... zaprzedałeś się Moskalom!... a Sąd Sejmowy!... sam jeden wotowałeś karę śmierci na naszych patriotów!”

Tak to ten człowiek, tyle niegdyś ukochany, tyle popularny w kraju i w stolicy, stał złamany pod tym nieubłaganym sądem.

Potem przemówił śmiało i energicznie Kurnatowski; wołał: „Niczem nie zawiniłem Ojczyźnie... nic nie mam sobie do wyrzucenia...” Temu już nieprzerywano, głuchem milezieniem to usprawiedliwienie przyjęto. Ustąpili nakoniec obydwaj.

Któs w naszych szeregach zawołał: „Niech żyje Ojczyzna!” Żołnierze powtórzyli. A ten lud, dopiero tyle groźny, zapalczywy i mściwy, znów się rzucił do nas, powtarzając ten okrzyk tysiącami głosów, rozerwał nam szeregi, ścisnął ręce żołnierzy i ofi-

cerów, całował konie, odpinał swe białe kokardy i nam je rozdawał.

Takie to nagłe bywają zwroty w zrewoltowanych masach, które w jednej chwili, od największej zapamiętałości i żądy krwi rozlewu, przechodzą do rzewności i najwznioślejszych uczuć, oraz pobratymstwa z tymi, na których życie i honor przed sekundą nastawały. Wszędzie lud jest ten sam, historia to poświadcza. Takie duszy wstrząśnienia, pobudza tylko miłość Ojczyzny — we wszystkich też rewolucjach też same były ich przykłady.

Otworzono nam drogę, udaliśmy się do koszar Mirowskich.

Pomału zgromadziliśmy się w sali służbowej oficerów. Nieopisany smutek nas opanował. Zelzenie pułku przez pospólstwo, wypadki niesłychane tych kilku dni i nocy, usunięcie się Wielkiego Księcia i wojsk jego, tej władzy, tyle dotąd silnej, a jak się zdawało niewzruszonej, rewolucya tak nagła i niespodziewana — przechodziły możność skupienia zdania i myśli naszych. Byliśmy odurzeni... O następstwach tego, co zaszło, jeszcze mowy nie było.

Kapitan Fabian Gotardowski podniósł pierwszy głos: „Koledzy! — odezwał się — pułk szambiony został... Jesteśmy ofiarami wypadków, których przewidzieć nie zdołaliśmy. Zapytuję się przedewszystkiem was, pod świętem honoru wojskowego zakleciem, czy który z was wiedział o nastąpić mającej rewolucyi i jej terminie na ubiegły poniedziałek naznaczonym? Proszę przystępować po kolei, podawać mi rękę i swe zeznanie“.

I stało się zadosyć temu wezwaniu: jeden po drugim uroczystą składaliśmy deklaracyę, że nikt z nas o niczem nie wiedział. Podporucznika Stempkowskiego między nami nie było: brakowało go we froncie przez te dni i noce.

„A więc przed Bogiem i Ojczyzną — zawołał Gotardowski — jesteśmy niewinni!“

Wyrok ten, wyszły z ust starego Napoleońskiego żołnierza, ozdobionego krzyżem Legii honorowej, rozjaśnił nam czoła. Rzuciliśmy się wzajemnie w objęcia i uściskali serdecznie.

„Nie dosyć na tem — zawołał kapitan Celestyn Kosko — wyznajmy: czy wiedząc o nastąpić mającym wybuchu rewolucyi, poszlibyśmy z Księciem Konstantym za rogatki? czy przeciwnie, połączylibyśmy się z powstaniem?...“

Twarde i srogie to było zapytanie. Nastąpiło też długie milczenie i skupienie ducha obecnych. Słabe przedstawiano argumenta za bezwiednem i ślepem połączeniem się z powstaniem. I w tym względzie stawiano warunki, mianowicie: czy naród je podziela? czy podniesiona rewolucya miała cel zbawienia ojczyzny? czy, przeciwnie, była dziełem frakcyi malkontentów nam niewiadomej?

Pułkownik Miller przemówił:

„Koledzy! — Zapewnienie pod przysięgą honoru wojskowego dopiero co złożone, przekonało nas, żeśmy o mającej się pokonać rewolucyi, ani o jej zamiarach nie wiedzieli. Na głos trąbki, udaliśmy się na plac alarmu nam wskazanego — to była nasza powinność, a czyniąc jej zadosyć, spełniliśmy obowiązek żołnierza.

„Kto zawiązał spisek? kto nim kierował? kto nim obecnie kieruje?... to nam niewiadomo. Należać więc do spisku, podnieść broń przeciw władzy, dotąd szanowanej, nie słuchać rozkazu naszych dowódców nie mogliśmy, bo honor zabrania żołnierzowi za lada wezwaniem, rzucić swój sztandar i przejść pod inne znaki...; gdyby tak być mogło, wojsko, ta siła każdego narodu, samo w sobie siły by nie miało!...

„Spiskowi, dzięki im, oszczędzili nam wahania się między spełnieniem powinności naszej a przywiązaniem do Ojczyzny. Dzięki im, powtarzam! W tej godzinie jesteście wśród braci naszych. Cokolwiek nastąpi, nie odstępimy ich i podjętej sprawy, na to zapewne się zgodzicie. ...Jestem jednak zdania, że w tem, w jakim znaleźliśmy się położeniu, postąpiliśmy, jak nam honor munduru i sztandaru nakazywał. Poszliśmy w nocy 29. listopada pod rozkazy Księcia Konstantego — prawda — ale przez ten czyn, nie uwłaczając sprawie narodowej i rewolucyi stałością naszą, zwolnieni od posłuszeństwa naczelnemu wodzowi przynależnego nie wojskom, co spisek poparły, ale nam i innym pułkom po kraju rozrzuconym. Jeżeli więc spiskowym zawdzięczamy, że dla niewiadomych nam przyczyn, nie wtajemniczyli nas w swe zamysły, niech i oni nam zawdzięczają wyjednanie tyle ważnego dokumentu, jaki nam wydał cesarzewicz!... Jesteśmy dziś zwolnieni od złożonej mu na wierność przysięgi.

„Podnieśmy więc czoła koledzy!... nie mamy sobie nic do wyrzucenia. A teraz nie wchodząc w to, jakie będą skutki powstania Warszawy, wykrzyknijmy: „Niech żyje Ojczyzna!“ bo do niej krew nasza i życie należy...”

I jakby jedną piersią, jednemi usty, okrzyk ten powtórzyliśmy.

Rozbiegliśmy się po salach żołnierskich, każdy oficer swemu oddziałowi wiał otuchę i nadzieję. Wkrótce też po pawilonach odezwały się okrzyki: „Niech żyje Polska!... Niech żyje Ojczyzna nasza!...”

Lat trzydzieści sześć przedtem, w powstaniu Warszawy roku 1794, gwardya konna królewska Mirowczyków, siadając na koni w tych samych koszarach, ten sam okrzyk wydawała. Przyszłajmy, że niektóre echa, po długim nawet lat biegu, jeszcze się powtarzają.

Zgromadziliśmy się na nowo. Postanowiono:

Oficerowie, wszyscy bez wyjątku, sprowadzą się natychmiast z kwater miejskich do koszar.

Skrzywdzony niesłusznie honor pułku, zrehabilitowany będzie w przyszłym boju o niepodległość kraju.

Oficerowie nie przyjmą żadnych do innych pułków awansów: na życie i śmierć pozostaną nierozłączeni.

Badać podporucznika Stempkowskiego, gdzie się znajdował od wieczora 29. listopada? A jeśli wiedział o nastąpić mającej rewolucyi, za odmówienie zaufania swoim kolegom, żądać, aby się oddalił z korpusu oficerów.

Zatwierdzono jednomyślnie.

Noc cała zesła nam bezsennie; nasze patrole chodziły po ulicy koszarowej, warta na odwachu czuwała. Nazajutrz jako oficer służbowy, udałem się o zwykłej godzinie na plac Saski. Dziwny mi się przedstawiał widok, zdumiałem.

Pułk 4. liniowy zaciągać miał na warty. Broni stała w kolumnach różnemi nieregularnemi grupami, żołnierze zmieszani z ludem, ubiór ich nie paradny, lecz po obozowemu, pełnemi doróżkami oficerowie i żołnierze na plac przybywali, ciągle okrzyki... słowem, był to dla mnie widok tak nowy i niepojęty, jakbym śnił na jawie. Bo jakże porównać paradę wojskową, której zaledwie przed kilku dniami świadkiem byłem, ów karny i metody-

ezni obłuz wart, pełen ceremonii wojskowej, z tym tłumem zmieszczonym, burzliwym, namiętnym! Uczucie zdziwienia mnie ogarnęło, posmutniałem bez wyrozumowania sobie przyczyny. Ta wolność, to rozprężenie swawolą mi się być wydawało. Zdaje się, że widok obalonego porządku zwykłego, karności wojskowej i swawoli ludu, której nigdy przedtem nie widziałem, wpływał na mnie i był tego wzruszenia powodem.

Ile tam razy dowódcy wzywali, aby żołnierz już nareszcie stanął do broni i frontu, a lud się usunął, nie pamiętam, ale długa chwila minęła zanim porządek przywrócony został. Odezwały się nakoniec bębny, złamał się pułk w oddziały i przy odgłosie muzyki, wygrywającej dawną pieśń Legionów włoskich: „Jeszcze Polska nie zginęła“, bez żadnego defilu, w odstępach rozchodził się w miasto. A każdy oddział z przodu prowadził lud, potrząsając w górę karabinami, w Arsenale zdobytymi i krzesząc pałaszami po bruku, przy nieprzerwanych okrzykach.

Zbierając me myśli, rzekłem sobie w duchu: To rewolucya!... może to tak być powinno!...

Z Saskiego placu, po odebraniu odzewu i parolu, na ten dzień przeznaczonego, Krakowskim Przedmieściem i ulicą Senatorską okalając, szedłem do koszar Mirowskich. Silne patrole jedne za drugimi postępowały; przed Zamkiem batalion piechoty obozował i paliły się na bruku ogniska, żołnierze jeść gotowali. Drugi taki posterunek przed Bankiem, trzeci przed Ratuszem. Ulice ludem przepelnione; spotykający się znajomi i nieznajomi, podawali sobie ręce, ściskali się, całowali. Niekiedy okrzyk: „Nie-masz Moskali!“ rozlegał się, powtarzany; wszyscy mieli kokardy białe u piersi. Szynki pełne, zewnątrz obłożone, wrzało wszędzie życie, jakieś niepojęte — naprężone.

Wielki Książę Konstanty z swemi wojskami już ustąpił z pod Warszawy.

W koszarach zastałem bilet mego ojca pod datą nocy ostatniej. Donosił w krótkich słowach, że wyjeżdża natychmiast objąć dowództwo twierdzy Zamościa. Zalecał w końcu opatrzenie koni, w stajni jego mieszkania znajdujących się. Zdziwiłem się niepo-mału, bo ojciec koni nie utrzymywał; jakież mogły być te, o których wspominał? Pojechałem natychmiast do jego kwatery. Gospodyni mi opowiadała, że ojciec z mym bratem wyszedł w pa-

miętny wieczór 29. listopada, wrócił zaś dopiero dnia wczorajszego i to bardzo późno. Nogi miał do kolan spuchnięte, że ledwo botforty zdjąć mu zdołano; był najmocniej zmęczony, trzy dni i noce prawie z konia nie zsiadał: kazał się upakować, powóz pocztowy zaszedł i pojechał. W jego nieobecności, od czasu do czasu żołnierze przyprowadzali konie wierzchowe i te są w stajni.

Łatwo zrozumiałem wszystko. Ojciec przeszło pięćdziesiąt godzin nie zsiadał z konia. Co robił?... co działał?... jeszcze nie wiedziałem... a mnie nic przedtem nie powiedział!.. Zastanowiwszy się, łatwo dostrzegłem w tem jego postąpieniu prawdziwe ojcowskie uczucie — i w głębi serca podziękowałem mu za to. Dobrowolnie oddawał swe życie, a w razie stłumienia powstania — ocalał syna.

Gdy w wszedł do stajni, trzy jakieś konie zwalane, sterane, nierozkubaczone, o najeżonej sierści, z dzikim wzrokiem, rzuciły się do mnie z bolesnem rżeniem... Biedne! cztery dni i tyleż nocy nie jadły ani piły.

Wróciłem natychmiast do koszar, skąd posłałem wachmistrza i żołnierzy, by je przyprowadzono. Gdy przybyły, skoro się ujrzały między innymi końmi, w stajni cieplej, ochędźnej, znów się odezwały biedne stworzenia.

Rozkubaczono je w jednej chwili, nakryto derami, a mój stary wachmistrz poradził, aby zgłodniałym owsa i siana na razie nie dawać, tylko ciepłą i gęstą polewkę z mąki. Usłuchałem go. Trzeba było widzieć, jak nieboraki pożywały, jak się oglądały, by im tego poić dać jeszcze.

Dnia 5. grudnia, generał Chłopicki ogłosił się dyktatorem. Miastu podały to postąpienie do wiadomości rozrzucone proklamacje; województwom gazety; wojsko to obwieszczenie przyjęło z największym zapalem.

Kto z nas nie znał Chłopickiego?... jego dawnych wojennych czynów, stałości charakteru i energii? Odetchnęliśmy, pełni teraz zaufania w przyszłość. Nazwisko jego, okryte sławą, stało się dla nas sztandarem zjednoczenia i przyszłych poświęceń.

Tegoż dnia powołano mnie do pułkownika dowódcy: wydał mi rozkaz wziąć 30 żołnierzy jako eskortę, cztery furgony czterokonne i iść zaraz do twierdzy Modlina po ostre ładunki. W godzinę potem już byłem za rogatkami.

W marszu, a było dobrych mil cztery, wiarusy szli wesoło, choć czas był zimny i mroźny. Niejednokrotnie mnie pytali, czy będzie wojna? Ducha niepotrzeba było im dodawać, mieli go zbytek i dobrego.

W Modlinie dwa dni przebyłem, zanim mi ładunki wydano, bo cały garnizon warszawski wysłał po nie furgony. Tu dowiedziałem się od oficerów, co następuje:

W fortecy wiedziano o wybuchłej rewolucyi; wiadomość tę przywiózł rano 30. listopada kuryer, wysłany przez W. Księcia Konstantego. Zaraz po jej otrzymaniu, pułkownik rossyjski, komendant wałowej artyleryi, Grochotkin, odebrał dowództwo twierdzy naszemu pułkownikowi Gugenmusowi. Fortecę zamknięto, warty zdwojono.

4. Grudnia pod zachód słońca, szyldwachy na wałach stojące, dojrzały dwie kolumny wojsk nadeciągających; jedną dążącą na most na rzece Narwi od Nowego Dworu, drugą, która się gdzieś przeprawiła w górze tej rzeki, idącą na bramę północną. Niedługo potem parlamentarz nasz od strony mostu się otrąbił. Puszczono go i przyjął w mieszkaniu Grochotkina, gdzie byli zgromadzeni wszyscy oficerowie rezerwowych szwadronów konnych gwardyi rossyjskich i część naszych. Parlamentarzem tym był Władysław Zamoyski, były adjutant W. Księcia, wojska zaś nasze, działające przeciw fortecy, składały się z czterech kompanii saperów i tyłuż wyborezych piechoty, ogółem 2.000 żołnierza, oraz kilkudziesięciu akademików na koniach, wziętych z cesarskiej stajni, dorożkarskich i innych.

Zamoyski wszedł, odczytał list cesarzewicza, zwalnający wojsko polskie od posłuszeństwa i wezwał do oddania fortecy.

Stary, siedmdziesięcioletni Grochotkin oniemiał, błędnem okiem powiódł po obecnych i odpowiedzieć nie umiał. Wtenczas rotmistrz od kirysyerów, Mazurkiewicz wystąpił i oświadczył: Że w liście W. Księcia widzi wprawdzie jawnie, iż tenże ustępuje z wojskami cesarskimi z Warszawy, ale nie znajduje w nim wzmianki o twierdzy Modlinie, a że punkt to bardzo ważny dla cesarstwa w bieżących wypadkach, przeto garnizon oddać go nie może. Dodał wreszcie, że forteca nie poddaje się bez obrony i szturm.

Zamoyski odpowiedział: fortyfikacye Modlina są w najgorszym stanie obrony, z każdej strony wziąć je można siłą i opanować, a ta siła, którą dowodzi pułkownik Kicki, jest dostateczną. Twierdza jest z dwóch stron otoczona, oblegających jest 2.000 piechoty, przeciw 400 żołnierza garnizonu, uzbrojonego jedynie w pałasze. Obrona więc byłaby daremną. Poczem powtórnie wezwał o kapitulacyę, zagrażając natychmiastowym nocnym atakiem.

Oddalono Zamoyskiego do innego pokoju, rada trwała około godziny, nakoniec podpisano akt kapitulacyi.

W akcie tym warunkowano:

Oddziały rossyjskie w przeciągu trzech godzin, z bronią, bagażami i honorami wojskowymi, wynaszerują na całą noc z twierdzy, kierując się na Nasielsk.

Do dnia przejścia granic Królestwa, zapewniono im zupełne bezpieczeństwo, wolny pochód bez rozbrojenia, według wskazanej marszruty.

W pochodzie — żywność i furazę, płacić będą z własnych funduszów.

Duplikat kapitulacyi doręczono pułkownikowi Grochotnikowi.

I tak się stało. Około 9 godziny wieczorem, oddziały rossyjskie, przy odgłosie swych trąb, wyszły z fortecy północną bramą. Nasi bramami od Narwi i od północy weszli i zajęli Modlin przy wielkich okrzykach. Ważny to był nadzwyczajnie nabytek, twierdza bowiem posiadała w swych prochowniach gotowej amunicyi i pocisków wszelkiego rodzaju najmniej na pięć miesięcy spodziewanej wojny; zresztą był to punkt strategiczny, chociaż natychmiastowego ulepszenia wymagał.

Powiedziałem wyżej, że w pierwszych dniach rewolucyi karność w wojsku naszym prawie zniknęła. Marsz pospieszny do Modlina mil przeszło cztery, zimno, brak posiłku, powodowały, że nasza piechota, po zajęciu fortecy, literalnie się rozproszyła, szukając po szynkach pożywienia i rozgrzywki. Daremne były rozkazy, upominania, próśby naszych oficerów, nic nie pomagało.

Wtem ktoś zauważył, że ustępujący Rossyianie, mogą podłożyć ogień pod pięć potężnych prochowni, wśród twierdzy znajdujących się. Rzucili się oficerowie wyciągać żołnierzy z szynków i po nadludzkich usiłowaniach, zdołali ustawić warty przy prochowniach.

Tym to sposobem zdobyła rewolucya twierdzę Modlin, którą w krótkim czasie do stanu poważnej obrony przyprowadzać zaczęto.

Pułkownik Kieki, na całą noc pocztą wyjechał do Warszawy z raportem o tem powodzeniu. Za miasteczkiem Nowy Dwór wywrócono go i złamał nogę. Niedługo jednak wyzdrowiał, aby nas nieprzestannie w czasie następnej wojny zadziwiać swem męstwem i tą wesołością, oraz wytrwałością wśród obozowego życia, która wlewa tam nawet odwagę, gdzie ona chwiejną i wątpliwą się być okazuje.

Powróciłem z Modlina. Konie ze stajni mego ojca sprowadzone, odżywione, oczyszczone, wesole, zaledwie poznać zdołałem. Były to wierzchowce z cesarskich zamkowych stajen, które kolejno ojcu podawano, w owych nocach i dniach tyle pamiętnych. Konie piękne, dzielne, wielkiej wartości, mianowicie też koń gniady, wysoki, a lekki, czystej rasy, doskonale wyjeżdżony; nosił drugi numer cesarskiej stajni, z imieniem Bułhak. Napisałem zaraz do ojca, prosząc o rozkazy, co z nimi zrobić. Odpowiedział, zostawując mi wolność rozporządzenia nimi. Tym to sposobem zostałem doskonale umontowany na nadechodzącą wojnę. Jednego z nich dałem bratu Maksymilianowi, podchorążemu naszego pułku, który też wkrótce postąpił na oficera w szwadronach, które własnym kosztem formowała Ordynacya hrabiów Zamoyskich.

W pierwszych dniach rewolucyi, my oficerowie pułku konnej gwardyi, prawie nie wydalaliśmy się z koszar, tyle bowiem jeszcze było niewzględne dla nas usposobienie ludu, że nam ciągle wymawiano po ulicach niebranie udziału w powstaniu. Zresztą, przewidując nastąpić mającą wojnę, bez uwagi nawet na tę porę zimową, gotowaliśmy się na nią z przyborami, idąc za wskazówkami starszych oficerów. Dnie nam upływały w ciągłym zetknięciu się z żołnierzami, utworzył się stąd silny stosunek braterstwa, wiarusy ukochały nas, posłuszeństwo nastąpiło wzorowe. Umysły nasze pomału wracały do równowagi, wśród Warszawy żyliśmy jak na wyspie. Zbierały się jednak wiadomości z ubiegłych dni i wypadków, wyjaśniało się to i owo. Radząc ciągle o nich w wolnych chwilach, ułożyliśmy sobie bieg ich mniej więcej dokładny; oto jego opisanie.

Zanim na hasło alarmowe zdążyliśmy w wieczór 29. listopada stanąć za Złotymi Krzyżami, już Belweder, a tem samem mieszkanie W. Księcia, zaatakowali podechorążowie piechoty z akademikami. Kilku weteranów rossyjskich straży pałacowej zabito. Śmiały ten oddział, wyłamał drzwi wehadowe pałacu i rozbiegł się po pokojach. Lubowidzki, wice-prezydent miasta, broniący wejścia do gabinetu cesarzewicza, padł skłuty bagnetami. Gabinet znaleziono oświecony, ale już próżny. Książę Konstanty, uprowadzony przez swego kamerdynera, Kochanowskiego, zdołał się schronić, jak się zdaje, tajemnem wyjściem. Wracając — napadający spotkali na dziedzińcu generała rossyjskiego Żandra, zarządzającego pałacem i stajniami Księcia. Był to oficer przez Rosyan nielubiony, nasi nim pogardzali. dla wielu brudnych wad jego. Ten legł na miejscu, skłuty bagnetami. Rzucili się potem spiskowi do koszar konnych gwardyi rossyjskich; tam po stajniach dali kilkadziesiąt wystrzałów, nareszcie zaczęli się cofać ku mostowi Sobieskiego w Łazienkach, zdziwieni, że umówiona pomoc im nie nadechodzi. Tu część gwardyi, która zdołała już sięść na koń, zaczęła ich doganiać i otaczać; silnym karabinowym ogniem wstrzymano ją, ubito kilku żołnierzy. Znow kirysery zastępują drogę — nadbiega Szlegiel, porucznik naszej gwardyi grenadyerów z oddziałem innych podechorążych, gromadzi zachwianych, przerzyna się z nimi przez kiryserów i około Wiejskiej Kawy i dalszą ulicą wpada do miasta.

W tym pochodzie zabito generała Stanisława Potockiego, usiłującego odwrócić podechorążych od buntu. Zabito generała Trembickiego, jadącego konno do Belwederu, który mimo próśb i błagań podechorążych, by się z nimi połączył, stanowczo im tego odmawiał. Dano ognia z karabinów wzdłuż Saskiego Placu, do grupy oficerów, siadających na koń, przed pawilonem sztabu głównego; tu poległ generał Siemiątkowski. Spotkano generała Nowickiego, jadącego karetą; sądząc, że to generał rossyjski, Lewicki, gubernator Warszawy, rozstrzelano go. Zwrócił się potem ten oddział ku pałacowi namiestnikowskiemu; stąd ruszał konno, z pułkownikiem Męciszewskim, generał, minister wojny, Hauke. Męciszewski strzelił z pistoletu do napadających: skłuto ich obydwoh na śmierć bagnetami.

Pułk 4. liniowy, zrewoltowany przez swych oficerów, ubiegł w tym czasie Arsenal: bramy kolbami wywalono, lud gromadzący się rzucił się broń rozbierać.

Równocześnie nasz generał Blumer nadciąga z gwardyą rosyjską Wołyńców, której objął dowództwo, bo ich komendant stracił głowę w tem zamieszaniu. Jechał konno na czele, tu pułk 4. przyjął go z boku i frontu tak morderczym ogniem, że Wołyńcy pierzchli, Blumer kulami przeszyty.

Artylerya konna naszej gwardyi, rozwinęła się na placu Krasińskich: z któregoś działa wyrzuciono, a granat, przeleciawszy wzdłuż ulicy Miodowej, pękł przed poprzecznym domem Senatorskiej ulicy, po odbiciu się od muru.



ROZDZIAŁ V.

Szczególne opisanie działań wszystkich oddziałów wojsk polskich, zrewoltowanych w nocy 29. listopada. — Śmierć generałów, odmawiających przystąpienia do powstania. — Ogólne uwagi nad brakiem ostrożności W. Księcia Konstantego, posiadającego dowody już istniejącej zmywy. — Bezprzykładna śmiałość spiskowych rzucenia się w rewolucyę. — Duch żołnierza polskiego. — Czy mogła być rewolucyę w swym zarodzie stłumiona? — Dlaczego polska konna gwardya nie należała do ruchu.

Opisałem te wielkie wypadki, tak, jakem je widział naocznie, łącząc opowiadania na razie wówczas zebrane. Są to ogólniki, które ciekawego czytelnika jeszcze zadawalniać nie mogą, wejść więc w szczegóły działań spiskowych nocy 29. listopada 1830 r.

Nie mogę tu dokładniejszego przedłożyć materiału, z którego czerpał poniższe opowiadanie, jak następujący.

Po uśmierzeniu rewolucyi polskiej, cesarz Mikołaj rozkazał wyprowadzić dokładne śledztwo czynów i działań osób, udział w niej mających. Śledztwo to trwało prawie dwa lata; prowadził je Pokłękowski, prokurator przy Najwyższym Sądzie kryminalnym Królestwa. Rząd ogłosił je drukiem w r. 1834. Jest to dokument nadzwyczajnie dziś rzadki; mało go upowszechniono, odbito też w nielicznych egzemplarzach. Zeznawali w nim ci z obwinionych, których w kraju przyaresztować zdołano, oraz powołani przez nich świadkowie. Wyszli za granicę, lub polegli w boju, są w nim wymienieni. I oto jest streszczenie tak zwanego „Aktu oskarżenia“ pomienionego prokuratora.

I. Pogląd ogólny na działania spiskowych.

Dnia 15. grudnia 1828 r. w mieszkaniu podporucznika pułku grenadyerów gwardyi wojska polskiego, Piotra Wysockiego, a inspektora Szkoły podchorążych piechoty, znajdujący się podchorążowie z tegoż pułku, Karol Paszkiewicz i Aleksander Łaski, z batalionu saperów, Karol Karsnicki, z pułku piechoty liniowej, Józef Dobrowolski i Józef hrabia Gurowski, obradowali nad możebnością i sposobami wyjarzmienia kraju z pod doznawanego ucisku i niedotrzymania Karty konstytucyjnej, Królestwu nadanej.

Nazajutrz dnia tego. Wysocki zawiadomił o tych naradach podchorążych grenadyerów gwardyi: Stanisława Ponińskiego i Seweryna Cichowskiego, oraz z batalionu saperów, Kamila Mochnackiego.

To był zawiązek spisku — sprzysiężeni związali się uroczystą przysięgą. Wnet też przystąpili do niego: Kazimierz Paszkowicz, kapitan grenadyerów, porucznicy saperów: Wojciech Przedpełski i Feliks Nowosielski; z pułku strzelców pieszych: Leopold Koszutski i inni. Gurowski poznał Wysockiego z swym bratem Adamem. — Walenty Zwierkowski, poseł powiatu miechowskiego, porozumiał się z Wysockim; Karsnicki z Gustawem hrabią Małachowskim.

Chodziło o wybadanie zdania i opinii obywateli ziemskich; tym końcem ciż zeszlisi z wojskowymi. Zwierkowski i poseł powiatu gostyńskiego, Franciszek Trzebiński, postanowili: że podadzą petycyę do tronu na nastąpić mającym Sejmie, żądając przywrócenia jawności jego posiedzeń, wolności druku i uchylenia komitetów śledczych. Co gdyby odmówiono, wojskowi wówczas poprą te żądania z bronią w rękę.

Proponowana petycyja, istotnie złożona Sejmowi była, nie wzięła jednak żadnego skutku.

Wybuchła rewolucya lipcowa w Paryżu, następnie w Belgii — wypadki te podniosły ducha wojskowych. W zebrany obozie pod Warszawą, w letniej porze roku 1830, przeszło 200 oficerów do zmowy przystąpiło.

Piotr Urbański, porucznik grenadyerów, zobowiązał się Wysockiemu dostarczyć kilkanaście tysięcy ostrych ładunków, na każde wezwanie.

Spisek się rozszerzał; przystąpili do niego: Bolesław Ostrowski, aplikant sądowy, Maurycy Mochnacki, urzędnik cenzury, Ksawery Bronikowski, patron Trybunału, Ludwik Nabelak i Żukowski, redaktorowie gazet, Michał Dembiński, sekretarz Komisji skarbu, poeta Seweryn Goszczyński, Anastazy Dunin, obywatel z Wołynia, Franciszek Grzymała, autor dzieł, Włodzimierz Kormański, dymisyonowany podoficer, Józef Zaliwski, poręcznik piechoty i inni, bo tylko znaczniejszych tu wymieniłem. Wysocki związał wszystkich w jedno ogniwo. W kompaniach wyborezych nazaczył przewodnikiem Zaliwskiego; w gwardyi pieszej — Urbańskiego; sam wszystkim kierował.

Pod koniec września i w początkach października 1830 roku, pierwsze porozlepiano plakaty na rogach ulic, między innymi: „Belweder do najęcia od Nowego roku 1831.“

Nakoniec spiskowi postanowili wywołać powstanie; naznaczono termin na dzień 18. października, po naradzie jednak Wysockiego, Urbańskiego i Zaliwskiego, zamierzony ruch wstrzymano. Cywilni z tej przyczyny objawili wyraźną niechęć.

Kiedy się to dzieje, rząd trafia na ślady sprzysiężenia. Aresztowano akademików Szejcera i Mejznera, podchorążego Gauceza. — Spiskowi strwożeni, czynności swe podwajają; jedne po drugich schadzki następują. W bibliotece Towarzystwa Przyjaciół Nauk, 21. listopada, Wysocki, Zaliwski, Bronikowski naradzają się z Joachimem Lelewelem, posem powiatu żelechowskiego, do związku przez Bronikowskiego i Mochnackiego skłonionym. Lelewel wszystko, co dotąd działo się, pochwalił. — Wybuch rewolucyi naznaczono na dzień 28. listopada, odroczone go jednak do dnia następnego, to jest do poniedziałku. Ostateczna narada odbyła się w koszarach Aleksandryjskich 28. listopada o godzinie 7 wieczorem, w mieszkaniu Borkiewicza. Postanowiono na niej:

1. Zapewnić bezpieczeństwo osoby cesarzewicza.
2. Zmusić gwardye rossyjskie do złożenia broni.
3. Opanować Arsenał, broń ludowi rozdać.

Szkoła podchorążych piechoty, miała odciąć od miasta konne gwardye rossyjskie.

Bronikowskiego przeznaczono do przewodniczenia ludowi, do pomocy mu dodano, Kormańskiego, Dunina, Żukowskiego, Mochnackiego, Dembińskiego i Józefa Kozłowskiego, patrona.

Napadu na Belweder podjęli się podchorążowie Trzaskowski i Kobyliński z 4. pułku piechoty i inni cywilni.

Zdobycie Arsenалу poruczono Zaliwskiemu, przy współdziałaniu batalionu 4. pułku piechoty i kilku kompanii wyborczych.

Urbański z naszymi grenadyerami, miał rozbroić pułk Wołyńców gwardyi.

Inne kompanie wyborcze piechoty przeznaczono do zajęcia magazynów prochowych na Pradze.

Batalion saperów miał rozbroić pułk gwardyi litewskiej.

Po uwięzieniu cesarzewicza, zlecono Trzaskowskiemu i cywilnym, pod dowództwem Nabelaka, zawieść go do Arsenалу, jako zakładnika przyszłych układów z cesarzem.

Hasłem tego wszystkiego miało być zapalenie browaru na Solcu, o godzinie 6 wieczorem 29. listopada.

Taki jest rys ogólny przygotowań do rewolucyi Warszawy i jej wykonania. Pomieniony akt oskarżenia prokuratora Pokłękowskiego, wymienia jeszcze znaczną liczbę osób, w związek spisku wchodzących; te jako pośrednio działające, tu wypuszczam.

Po tym koniecznym wstępie, objaśniającym zawiązany spisek w Warszawie, po wymienieniu głównych jego działaczy, przechodzę do opisu, w jaki sposób powstanie wykonane zostało.

II. Działanie pojedynczych oddziałów.

Szkoła podchorążych piechoty.

W dniu 29. listopada liczyła 247 ludzi dorosłych, wyboru piechoty polskiej. Wytrąciwszy trzydziestu podchorążych rosyjskich gwardyi pułków wołyńskiego i litewskiego, mogła liczyć około dwustu kilkunastu Polaków, młodzieży dzielnej i odważnej. Na przypadek alarmu, miała rozkaz stanąć na dziedzińcu pałacu Belwederskiego i zasłaniać mieszkanie Wielkiego Księcia Konstantego.

Porucznik Wysocki o godzinie 6 wieczorem dnia tego podpalił zabudowania na Solcu. Nie czekając rozniecenia się pożaru, udał się do koszar, przez Szkołę zajmowanych, wpadł do jednej z sal,

do innych Szlegiel i Dobrowolski, i ci energiczną przemową ogłosili rewolucyę, oraz fakt podniesienia broni przeciw rządowi. Dodał Wysocki, że cały garnizon powstał i posilkuje, wreszcie, że ostre ładunki znajdują się w sali jadalnej.

Podchorążowie rzucili się do broni; zjawili się też i cywilni. Ci uzbroili się w karabiny, należące do podchorążych rossyjskich pułków. Ostre ładunki rozebrano w jednej chwili, przywiózł je z obozu Szlegiel; broń nabitą. Wysypała się młodzież na dziedzińce koszar, sformowała się w szeregi, kilku wystrzeliło z karabinów jako sygnał dla spiskowych w mieście działających. poczem rzucono się do koszar rossyjskiej konnej gwardyi, tu zabito sztydłwacha, dano ognia do stajni, usiłowano je zapalić. Zbiegały się gwardye, lecz przyjęte strzałami, zaczęły się mieszać... Cofają się nieco podchorążowie, ułani gwardyi siadają na koni i opór im stawiają. W koszarach kirysyerów i huzarów trąbią na alarm.

Wysocki nakazuje odwrót, z obawy, aby go nie otoczono, tem więcej, że mające przyjść w pomoc kompanie wyborcze, nie pokazywały się. Podchorążowie połączyli się z niemi dopiero po wtargnięciu do miasta, co nim nastąpiło, Wysocki prowadzi swoich na most Sobieskiego, tu nadbiegło kilkunastu cywilnych, wracających z napadu na Belweder.

Dążącym w górę pod Lazaret ujazdowski, zabiegł szwadron kirysyerów; po wystrzale, danym całym szeregiem, rzucili się ścieżkami w lasek, dążąc do ulicy Wiejskiej. Znow ich dopędził silny oddział ułanów gwardyi, nie doszedł jednak do starcia, przyjęty rotowym ogniem. W tych utarczках zabito kilkunastu żołnierzy kirysyerom i ułanom, kilku oficerów, koni też rannych było wiele.

Wtargnięto do miasta.

W bliskości kościoła św. Aleksandra, oddział podchorążych napotkał jadącego konno do Belwederu generała Stanisława Potockiego; nie zdoławszy go nakłonić do przystąpienia do rewolucyi, uwolnili. Generał pojechał dalej.

Biegąc Nowym Światem, wołali: „Do broni! kto kocha Ojczyznę!“ — spotykanym cywilnym oddawali swe pałasze.

Dochodząc do kościoła Świętokrzyskiego, zachwiali się podchorążowie, nie widząc nadchodzącej pomocy. Wysocki przemową

podniósł ich upadającego ducha. Ruszyli naprzód. Spotkano generała Trembickiego, za którym jechał posyłkowy kozak, obaj byli konno. Prowadzono go aż do rogu ulicy Bielańskiej i Długiej, wśród ciągłych prośb i nalegań, by podjął sprawę powstania; ten stale odrzucał, powtarzając: „nigdy przysięgi nie złamię“ i tu padł śmiertelnie ugodzony Trembicki.

Przy sztachetach pałacu namiestnikowskiego, groźny ten zastęp naszedł na generała, ministra wojny, Haukego, konno jadącego z pułkownikiem Męciszewskim. — Poznawszy go, kilkunastu strzałami obu na miejscu zabito. Haukemu zostawiono na piersi krzyże polski i francuski; trzy gwiazdy rossyjskie i szlify generalskie obdarto.

Rzucono się dalej przez ulicę Kozią, Senatorską i Bielańską, dążąc do Arsenału. Na Senatorskiej spotkano jadącego w karetce generała Nowickiego. Na zapytanie: „kto jedzie?...“ lokaj, siedzący na koźle, odpowiedział: „generał Nowicki“. Niedosłyszano, sądzono, że to generał Lewicki, rossyjski gubernator Warszawy. Strzałami zdruzgotano karetę i w niej siedzącego Nowickiego; poległ najniewinniej; lokaj Laskowski również zabity.

Przybyli podchorążowie do Arsenału. Ten już był zdobyty... lud broń z okrzykami wynosił.

Napad na Belweder.

W poprzedzającej relacji nadmieniałem, że spiskowi w głównym zarysie ruchu rewolucyjnego, między innymi zamierzili owdądnąć osobą W. Księcia Konstantego i uprowadzić go do Arsenału.

W śledztwie swoim prokurator Poklękowski usiłuje udowodnić, że postanowienie spiskowych co do osoby cesarzewicza dalej sięgało. Odnawiając sobie wszelkiego w tym względzie sądu, przechodzę do faktów śledztwem udowodnionych.

Wyprawa i napad na pałac Belwederski, cywilnym była poruczona. Uzbrowili się oni w broń, wziętą w koszarach podchorążych, mianowicie z sali, zajmowanej przez junkrów rossyjskich. Dowódcami jednak byli wojskowi.

Oddział ten o godzinie 6 wieczorem 29. listopada, na dany sygnał przez podchorążych wystrzałami, rzucił się do bramy Belwederu. Przy trzech bramach pałacu, stali na warcie, po jednym przy każdej, weterani rossyjscy. — Napad prowadzili: Konstanty Trzaskowski, podchorąży 4. pułku strzelców pieszych, Stanisław Poniński z grenadyerów gwardyi, Karol Paszkiewicz, z tegoż pułku, Waleryan Rottermund, były wojskowy rossyjski, Ludwik Nabelak, redaktor „Dziennika powszechnego“, Seweryn Goszczyński, poeta, Nikodem Rupniewski, magister prawa, Zenon Niemojowski, aplikant sądowy, Ludwik Orpiszewski, Walenty Nasiorowski, Edward Trzeiński, Ludwik Jankowski, Walenty Witkowski, wszyscy uczniowie Uniwersytetu. Roch Rupniewski, cywilny. Razem osób czternaście.

Za ogrodem ustawili się: Karol Kobyliński, podoficer 4. pułku strzelców pieszych, podchorąży Seweryn Cichowski z grenadyerów gwardyi, Aleksander Świętosławski, Walenty Krosnowski, Leonard Retel, Antoni Kosiński — akademicy; Wiktor Tylski, podoficer 6. pułku piechoty, stał z innymi w odwodzie.

Tu wypisuję z protokołu śledczego dosłownie co następuje:

„Stojącemu w głównej bramie szyldwachowi, zagrożiwszy śmiercią, napadający nakazali mileżenie. Pozem część wtargnęła do korpusu pałacowego, reszta pozostała przy bramie; w sieni jeden wystrzelił, niemniej rozbito palącą się lampę, dalej dwóch wpadło do pierwszego pokoju, po prawej stronie na dole położonego, bagnetem stłukli zwierciadło, lecz natychmiast przybiegł trzeci i krzyknął: „Panowie na górę!“ — gdzie też wszyscy rzeczywiście się udali. Paweł Posternikow, furyer dworu W. Księcia, znajdujący się wówczas w rzezonym pokoju, pod przysięgą słuchany świadek, poznał po głosie, iż tym, który swych towarzyszy na górę wzywał, był Walenty Witkowski, uczeń Uniwersytetu, a brat pierwszej żony Jana Kochanowskiego, kamerdynera W. Księcia Konstantego, który bywając często u swego szwagra, znał dobrze rozkład pokoi w Belwederze.

„Istotnie W. Książę wówczas znajdował się na pierwszym piętrze, śpiąc w swym gabinecie. W przedpokoju oczekiwali na jego przebudzenie: generał-lejtnant wojsk rossyjskich z sztabu Księcia, Żandre, Mateusz Lubowidzki, wiceprezydent miasta i jego policyi, kamerdynier Kochanowski i kamerlokaj Bartolomejow. —

W tem usłyszeli łoskot na dole; Lubowidzki zbliżył się do szklanych drzwi, prowadzących na schody i spostrzegł posuwające się w górę bagnety; chcąc więc donieść W. Księciu o grożącym niebezpieczeństwie, udał się do przyległego pokoju, zwanego garderobą, którą od gabinetu Księcia dwoje drzwi przedzielało. W. Książę już nie spał, stojąc za kamerdynerem Fryze, znajdującym się w drugich drzwiach. Lubowidzki, słysząc coraz więcej zbliżający się hałas, a obawiając się, aby rokoszan za sobą do gabinetu nie poprowadził, ostrzegł tylko W. Księcia, sam zaś, zamknąwszy drzwi pierwsze, do gabinetu wiodące, w garderobie pozostał, co zaledwie skuteczniff. odebrał dwa silne pchnięcia bagnetem w plecy, upadł na ziemię, gdzie jeszcze trzymaście zadano mu razów.

„Lubowidzki w garderobie nie widział więcej jak czterech napastników z karabinami w rękę i patrontaszami wojskowemi, przez plecy przewieszonemi; byli to cywilni. W ciągu tej chwili, W. Książę, przy pomocy kamerdynera Fryze, usunął się do bocznych pokoi, Lubowidzki zaś, odzyskawszy przytomność, spostrzegł, że go rokoszanie opuścili. Przy największych więc wysileniach, zdołał zawlec się przez kawiarnię do izby lokajskiej. lecz co tylko tam przybył, na nowo w garderobie usłyszano hałas. Obecny służący mniemając, iż powtórnie będą napadnięci, wyszedł oknem na dach, dokąd także Lubowidzkiego za sobą pociągnął i dopiero, skoro widział, że kirysyerzy do Belwederu się zbliżają, napowrót go stantąd sprowadził.

„Co do generała Żandre — ten z Kochanowskim i Bartolomejowem, z przedpokoju udał się do kawiarni, następnie na ganek, należący do pokojów księżny Łowickiej, gdzie Kochanowski radził mu pozostać; lecz on, chcąc zapewne wezwać więcej ludzi na pomoc W. Księciu, pobiegł przez dziedziniec ku stajniom za główną bramą, atoli przez buntowników, tam zatrzymujących się, dwa razy pchnięty bagnetem, poległ. Posternikow, znajdujący się wówczas na dziedzińcu, słyszał, iż skoro Żandre padł, jego zabójcy po trzykroć wołali: „już krótki nos nie żyje!“ (istotnie Książę miał bardzo mały nos, i zadarty). — Na ten okrzyk ich towarzysze, jedni z korpusu pałacu, inni z prawej oficyny wybiegli, i za branę pospieszyli. Według podania Kochanowskiego, wszystko

to krótko trwało i nie więcej jak pięć minut. Z Belwederu, oddział ten powracając, połączył się z podechorążymi na moście króla Jana III.“

III. Działania pułku 4. piechoty liniowej.

Sławny ten pułk z doboru ludzi, zręczności w obrotach, z piękności żołnierzy go składających, pieszczoney i ulubiony przez W. Księcia Konstantego, dowodzony przez pułkownika Ludwika Bogusławskiego, okryty sławą swego męstwa w bojach roku 1831, zajmował koszary, zwane Sapieżyńskimi, przy ulicy Zakroczymskiej. Plac Broni był dlań zbiorowym w razie alarmu. Dnia 29. listopada, 2. batalion tego pułku zajmował odwachy i warty w mieście. Batalion 1. był w koszarach.

Około 6 godziny wieczorem, podporucznik Józef Krzysztoporski wpadł do sal, wołając: „do broni!“ „Kompanie mają iść do Arsenалу!“ Oficerowie dyżurni rozbiegli się po salach, rueli i zamieszanie się rozpoczęło. Niżsi oficerowie: Lubowidzki, Aleksy Kosicki, Przeradzki, Ludwik Chrzastowski, Wincenty Słubicki, Gaspar Dziewicki, Seweryn Wyszpolski, Franciszek Stypułkowski, Marcełi Siciński i inni, ogłaszając rewolucyę, z stosownymi okrzykami naglili żołnierzy do wzięcia broni i formowania się na dziedzińcu koszar. Na tę wiadomość pułkownik dowódzca pułku natychmiast przybył, zgromił żołnierzy, że bez jego rozkazu występują i zawrócił do mieszkania ubrać się stosownie. Żołnierze też zaczęli powracać do koszar: lecz oficer Wyszpolski wołając, że w mieście się pali, przy pomocy innych kolegów, powtórnie zwrócił żołnierzy na plac zbiorowy. Już nie pomogły przedstawienia wracającego przed front Bogusławskiego: oparli się im oficerowie¹⁾. Skazani przez dowódzcę na areszt, takowego nie przyjęli. Lubowidzki zakomenderował... Batalion ruszył za bramę koszar... Na ulicach już się snuły tłumy z okrzykiem: „do broni!... Moskale naszych wyrzynają!...“

¹⁾ Porucznik Józef Krzysztoporski, który był siostrzanem pułkownika Bogusławskiego, odsunął go na bok i zagroził utratą życia na miejscu.

Podporucznik Adam Przeradzki, przy pomocy żołnierzy, rozbił jaszczyk z anunicyą, ładunki rozdał w kompaniach.

Batalion szybkim krokiem postępował przez ulicę Franciszkańską, zajął stanowisko za ogrodem Krasiniskich, uszykowany w kolumnie. W tej to chwili pokazało się czoło pułku wołyńskiego piechoty gwardyi. Do zbliżającego się Lubowidzki krzyknął: „Złóćcie broń!“ — nie doczekawszy skutku, kapitan Roślakowski rozkazał batalionowi dać ognia, a w tej chwili podporucznik Siciński krzyknąwszy: „hurra!“, uderzył na Wołyńców, odebrał im dwa prowadzone działa i zrąbał dowodzącego nimi oficera artyleryi rosyjskiej.

Zmieszani Wołyńcy oprzytomniawszy, rozsypali się w tyraliery, ogień silny szedł z obu stron, nakoniec cofnęli się, straciwszy wielu ludzi.

Biegiem nasz batalion, pod dowództwem kapitana Roślakowskiego, dopadł Arsenału, lecz ten już był zdobyty. Lud broń rozbierał i wynosił.

Oficer Zajączkowski komenderował odwachem przy kościele Bernardynów, na Krakowskim Przedmieściu, miał 40 żołnierzy. Zrewoltował ich w jednej chwili, nabito broń, odwach opuszczono, oddział ruszył pod ówczesny teatr na placu Krasiniskich. Dobrowolski, oficer, w tem miejscu z żołnierzami swymi z Zajączkowskim się połączył. Wpadł na parter z dobytym pałazem i mownym głosem zawołał do publiczności: „Nie czas bawić się... panowie do broni! Damy do domów!...“

W teatrze, tylko co odegrano sztukę, pod tytułem „Bankructwo partacza“¹⁾ W krzesłach siedział generał Chłopicki w cywilnem ubraniu, bo był dymisyonowany. Przystąpił do niego Dobrowolski i rzekł: „Rosyianie mordują Szkołę Podehorążych w Łazienkach!...“ a oddając mu pałasz, dodał: „Generale, teraz czas!...“ Chłopicki odparł: „Dajcie mi pokój.. idę spać!...“ Wy rzekł jeszcze: „Zastanów się pan, co robisz?“ Na co Dobrowolski: „Generale! już nie czas się zastanawiać“, a widząc, że rosyjscy oficerowie dobyli szpad i pałaszy, rzucił się na nich z swymi żołnierzami i rozbroił, a uprowadzając ich, jeszcze raz wykrzy-

1) Dziwny zbieg tytułu sztuki z podniesioną rewolucyą.

knął: „do broni bracia!... naszych Moskale wyrzynają w Łazienkach!...“

Wysypała się z teatru publiczność... a na odgłos: „do Arsenalu! po broń!...“ ruszyła w tamtą stronę.

Owego dnia i wieczoru, trzymał wartę w Arsenale podporucznik Karol Janowicz: ten nie był jeszcze zdobyty. Oficer ten opierał się nadbiegającemu ludowi i odmawiał otworzenia bramy, lecz wnet nadszedł Zajęczkowski z swą komendą. Gdy obaj się spierają, odezwały się strzały boju batalionu drugiego 4. pułku piechoty, toczonego z Wołyńcami za ogrodem Krasińskich. Lud tysiącami otaczał Arsenal; Janowicz go oddał... toporami drzwi wchodowe wyrąbano, rzucono się do zbrojowni.

Żołnierze z ludem zmieszani, różnemi ulicami przyprowadzali jeńców: generałów Essakowa, Buturlina, adjutanta cesarskiego, naszego Bontemps; osadzono ich z wielu innymi na odwachu w Arsenale.

Na placu Pragskim za Wisłą, trzymał straż podporucznik Mateusz Łosowski. Usłyszawszy strzały w mieście, opuścił posterunek, kazał nabić broń, most przeszedł, połączył się z poczem odwachu mostowego, dowództwa Prokopowicza: obaj sformowali oddział 58 żołnierza. Z Pragi też, gdzie był skład prochu, zabrano wielką liczbę ładunków.

Zawidniało tymczasem na wschodzie. Zebrany I. batalion stanął na straży Banku Polskiego. Postąpienie innych wart tego pułku było toż same. Opuściły one wszędzie swe posterunki, ruszając na miasto.

IV. Działania batalionu saperów.

Batalion ten stał w koszarach Aleksandryjskich — plac alarmowy miał przeznaczony na placu Broni.

Śledztwo udowodniło, że niespokojny duch zapanował między oficerami tego batalionu od r. 1821. Wezwanie rzucenia się do broni w wieczór 29. listopada, uczynił podporucznik Hasfort, wydając rozkaz dobozom uderzenia w bębny na alarm. Jakoby na unówione hasło, zjawili się z miasta, gdzie mieli kwatery, pod-

porucznicy: Malczewski, Przedpeński, Norbert Izbicki, Ksawery Cerner i kapitan Gawroński; rozbiegli się po salach, naglili żołnierzy do uzbrojenia się i wyjścia przed koszary. Przedpeński z pomocą innych rozbił jaszczyk prochowy, wyrzucano paczki z ostrymi ładunkami, żołnierze je rozbierali.

Batalion już stał pod bronią, gdy przybył dowódca podpułkownik Edward Majkowski i poprowadził go na plac Broni. W tym marszu Malczewski zbliżywszy się do Majkowskiego, zażądał, aby żołnierzy prowadził do miasta; gdy ten odmówił, Malczewski dobył pistoletu, wystrzelił, lecz chybił swego dowódcę, poczem zatrzymanemu batalionowi kazał broń nabić; zlecenie to powtórzyli inni oficerowie. Szyndler, podchorąży wykrzyknął: „Wolność i Niepodległość!”

Majkowski zmiészany odsunął się na bok po strzale nań wymierzonym. Otoczyli go oficerowie, wymawiał im brak zaufania dla siebie, przyrzekł iść wszędzie z nimi, rozkazał żołnierzom wziąć broń na ramię i z placu Broni w kierunku miasta ich poprowadził.

W tym pochodzie, na ulicy Franciszkańskiej, spotkał się z idącym naprzeciw batalionem rosyjskiej gwardyi Wołyńców; po wzajemnem rozpoznaniu się, wolno ich saperzy puścili. Chybione więc zostało w wykonaniu dane saperom zlecenie rozbrojenia pułku Wołyńców, a objęte ogólnym planem powstania.

Na placu za ogrodem Krasieńskich saperzy niejaki czas się zatrzymali, poczem ruszyli naprzód, minęli Arsenał już zdobyty, puścili się ulicami Bielańską, Senatorską, na Krakowskie Przedmieście, zatrzymując się przed domem Dobroczyńności, tu się połączyła z nimi kompania 8. grenadyerów gwardyi pod dowództwem podporucznika Leona Czechowskiego. Stąd silne w okoliczne ulice rozesłano patrole.

Patrol, prowadzony przez podporucznika Karsnickiego, do którego Czechowski się przyłączył, udał się ku Saskiemu placowi, przez Trębacką, kierując się na odwach pod Białym Orłem. W tej chwili, generał Siemiątkowski, szef sztabu głównego, już siedzący na koniu, zbliżył się i rozkazał oddziałowi iść za sobą. Padły z szeregu strzały, Siemiątkowski poległ na miejscu.

Patrole wróciły do batalionu; Majkowski znów prowadził go Krakowskim Przedmieściem, ulicą Senatorską pod Bank i tu go

ustawił w kolumnie ściśniętej, czołami do ulicy Żabiej i Senatorskiej. W tem też miejscu rozstrzelano pułkownika rossyjskiego Zassa i kozaka za nim jadącego. Inny oddział kozactwa wzięty i rozbrojony został.

Na tem stanowisku batalion saperów resztę nocy przepędził.

V. Działania kompanii wyborezych 5. pułku piechoty liniowej.

Dwie kompanie wyboreze, czyli grenadyerskie pułku 5-go liniowego, miały kwatery rozrzucone po ulicy Leszno i innych pobliskich. Rozkazano im, w razie rozruchu, zebrać się na placu Krasińskich. Komenderował niemi major Paweł Maruszewski.

Około 7 wieczorem dnia tyle razy wspomnianego, przybył podporucznik Józef Zaliwski i podburzył żołnierzy do zbrojnego powstania. Z przyniesionych za nim ostrych ładunków, rozdał żołnierzom po 20 sztuk, broń nabitą, kompania pierwsza zajęła pozycję przy ulicy Nalewki, druga przy gmachu Komisji spraw wewnętrznych. Z rozkazu Zaliwskiego podpalono dom na Nalewkach.

Oficer Antoni Czarnecki rozkazał chwycić przejeżdżających oficerów rossyjskich a nawet polskich, jeśliby nie odpowiadali umówionem hasłem, a tem był wyraz „wolność“.

W niedługim czasie nadjechał generał Ignacy Blumer. Usiłującego naprowadzić ten oddział na drogę porządku i wierności, rozstrzelano.

Aresztowano przejeżdżających generałów rossyjskich: Engelmana i Essakowa, pułkownika Takieczyna, kapitana Jana Nosowa i naszego Abramowicza.

Od Franciszkańskiej ulicy nadszedł I. batalion 4. pułku piechoty. Zaliwski naglił jego dowódcę, aby z nim pod Arsenał pospieszał. Lecz już pokazywały się pierwsze sekeye pułku Wołyńców. Podporucznik Czarnecki zakomenderował „plutonami ognia!“ Obie kompanie wystrzeliły, pułk Wołyńców się cofnął. Wkrótce przybył przed front tych kompanii generał piechoty, Stanisław hrabia Potocki i pytał żołnierzy, do kogo strzelali? —

odpowiedziano mu, że do Wołyńców. Zalecił więc kapitanowi Smiechowskiemu odprowadzić kompanie do kwater. Zgromadzony już w tem miejscu lud zaczął generałowi czynić pogróżki. Jakiś podchorąży zawołał: „Stasiu, co robisz!... opamiętaj się... trzymaj z nami, bo inaczej źle wyjdiesz na tem!...“ Czarnecki przypadł do kapitana Smiechowskiego i groźnie zawołał, przykładając mu pistolet do piersi: „kapitanie! jeśli chcesz być Polakiem, to nim bądź. bo inaczej życie twoje jest w mojem ręku!“

Z tego miejsca znaczna liczba żołnierzy, ludu i około 30 uczniów Uniwersytetu ruszyła do politycznego więzienia Karmelitów na Lesznie. Bronił wejścia dowódca warty, Tadeusz Niewodowski, kapitan. Na strzały odpowiedzieli oblegający strzałami; wyrąbano nakoniec bramę wchodową siekierami, jak również wszystkie drzwi cel więziennych, aresztowanych uwolniono. Z obłożonych jeden żołnierz zabity, Niewodowski ranny.

VI. Działania części pułku grenadyerów gwardyi.

Pułk ten stał w koszarach Aleksandryjskich, wraz z kilkoma kompaniami wyborezemi. Zajmował również te koszary pułk rosyjski gwardyi litewskiej, brygadujący z grenadyerami. Silny liczebnie był to pułk, składał się bowiem z dwunastu pełnych kompanii.

29. listopada o 7 wieczorem, żołnierze niewiadomo z czyjego rozkazu, ubrawszy się w lederwerki, z bronią wystąpili przed koszary. Przybył komendant miasta Warszawy, generał rosyjski Lewicki, i obu pulkom, to jest polskiemu i rosyjskiemu, rozkazał szybko się formować. Podoficerowie rozdali naboje, żołnierze nabili broń. Nadjechał generał nasz Żymirski, dowódca grenadyerów; w tem jeden karabin przypadkowo wypalił. Żymirski rozkazuje zrzucić proch z panewek, co uskuteczniono, pomimo sprzeciwiania się młodszych oficerów, poczem pułk wyszedł na miejsce zbiorowe, to jest na plac Broni.

W tym marszu, podporucznik Leon Czechowski, wydawszy właściwą komendę, odwrócił na miasto kompanię 8. a za tą poszły kompanie 9., 10., 11. i 12. Wojska te szły przez ulicę Franciszkańską, Nowiniarską, plac Krasiniskich i Długą. Od ulicy Bie-

łańskiej, kompanie te rozdzieliły się. I tak: 8. pod Czechowskim, poszła na Krakowskie Przedmieście i stanęła przy batalionie saperów. Kompania 9. zatrzymała się przy Bielańskiej, tu ją dopadł komendant jej kapitan Szymanowski i mimo groźb nadbiegłych kilku podchorążych, zdołał uprowadzić żołnierzy na plac Broni, a stamtąd z resztą pułku poszedł na Mokotów połączyć się z Wielkim Księciem. Kompanie 10. i 11., pierwsza pod dowództwem podporucznika Franciszka Klemensowskiego, druga — kapitana Aleksandra Roguskiego, zajęły stanowisko przy ulicy Przejazd.

12. kompania pod kapitanem Bortkiewiczem, została pod Arsenalem, rozciągając się skrzydłem aż do ulicy Bielańskiej. Tu się złączyły cztery kompanie; Bortkiewicz wykrzyknął: „Wiara! Niech żyje Ojczyzna!“ Żołnierze powtórzyli okrzyk.

Wojska wyżej wymienione, prócz przyjęcia udziału w opisanym ruchu rewolucyjnym, bez kroków zaczepnych przeciwko Rosyjanom, na miejscach wspomnianych pozostały.

VII. Działania kompanii wyborczych piechoty pułków 3. i 7.

Dowodził nimi major Franciszek Chrzanowski. O godzinie 7 wieczorem, podporucznik Ludwik Michałowski i Józef Czarnocki, rozkazali żołnierzom ubrać się, skalki krzemienne do karabinów założyć, z bronią występować. Michałowski przywiózł ostre ładunki i rozdał je; żołnierze broń nabili; tenże odezwał się do nich: „Dziś jest powstanie nasze!... przez lat kilkanaście Moskał nas męczył i gnębił musztrami. Nie miejcie nam za złe, żeśmy wam naprzykrzać się mogli, gdyż i nas dręczono. Każdego Moskała zabijajecie, palec do niego!...“

Wtem przybywa major Chrzanowski i usiłuje zwrócić żołnierzy do koszar; pomienieni oficerowie temu się sprzeciwiali, oświadczając, iż na ulicach już się biją, krew się leje, a oni na to obojętnymi być nie mogą.

Major Chrzanowski wydał rozkaz do pochodu, zastrzegając, iż się stosować będzie do ruchów pułku grenadyerów gwardyi.

Poszły więc kompanie za grenadyerami, gdy zaś część ich się odłamała i poszła w miasto, kompanie te poszły za nimi,

minęły Arsenal już zdobyty i przez Bielańską i Senatorską stanęły przed domem Petyskusa, na rogu placu Ratuszowego. Od tego oddziału zginął pod strzałami generał Stanisław Potocki. W pomoc mu w niedługim czasie przybyły dwa działa, skierowano je na gmach Banku. Wahanie się majora Chrzanowskiego jeden z podehorążych chciał śmiercią ukarać, Czarnocki wystrzelić jednak z broni nie pozwolił. Kompanie poszły na plac Saski i połączyły się z oddziałem 4. pułku piechoty, stąd nad ranem ruszyły na Nowy Świat i na końcu jego rozstawiły forpoczty, przeciw wojskom W. Księcia Konstantego.

VIII. Działania kompanii wyborezych pułku 4. piechoty liniowej.

Dowodził niemi major Piotr Kiekiernicki. W razie alarmu oficer ten miał obowiązek zająć most na Wiśle i zabezpieczyć magazyn prochu na Pradze znajdujący się. Spiskowi, do których Kiekiernicki należał, nie odmienili danego mu rozkazu, owszem nakazali ściśle jego wykonanie.

Podporucznicy: Maciej Jabłkowski, Jan Łazowski, Mikołaj Czarnomski, o godzinie 7 wieczorem nakazali kompaniom uzbroić się i wystąpić. Czarnomski, przy pomocy żołnierzy, wyniósł z koszar dwie skrzynie ładunków; Kiekiernicki kazał broń nabić, oddział ruszył do mostu. — Tu major przemówił w tych wyrazach: „Nadszedł dzień, w którym każdy Polak winien być gotów przełać krew dla Ojczyzny. Najdroższe skarby od dni trzech na Syberyą nam zabrali. Bądźcie wytrwali, miejcie się na ostrożności; gdy będą do was strzelać z armat, wyrwane luki zamykajcie i nie puszczaćcie nieprzyjaciela. Dziś jest rewolucya, trzeba się bronić, nie uważać, czy kto zginie, gdyby bowiem nieprzyjaciel znów nas ogarnął, większe zło nas czeka. Dzisiaj jest krwi rozlanie, będziemy się bronić do ostatniej jej kropli, będziemy bić Moskali, a gdy litewska gwardya pójdzie na most, będziemy do niej strzelać i pójdziemy na bagnety!...”

Pierwszej kompanii rozkazał iść na Pragę do składu prochu, druga została na straży mostu.

W tym czasie znaczna liczba ludu biegła przez most, mając karabiny w rękę, udając się na Pragę po ładunki, przybył też Kiekiernicki i swoimi skład prochu otoczył, dozorcę magazynu Jurkowskiego zniwolił do pokazania, gdzie są ładunki, rozkazał wynosić je i żądającym rozdawać.

Jednocześnie nadeignął Janusz książę Czetwertyński, oficer konnej artylerii gwardyi, z eskortą i jaszczykami, zabrał około 15 skrzyń pocisków armatnich, poczem wrócił do miasta.

Kompanie te nie więcej nie przedsięwzięły.

IX. Działania kompanii wyborezych 1-go i 3-go pułku strzelców pieszych.

Zajmowały one koszary na placu Ordynaekim. Cztery te kompanie, dowodzone przez oficerów: Feliksa Michalskiego, Ignacego Przyborowskiego, Franciszka Kuczewskiego i Mikołaja Sieroczyńskiego, wszystkich w stopniu kapitanów zostających, o godzinie 7 wieczorem stanęły pod broń, ruszono z miejsca na Nowy Świat. Z wozu, prowadzonego przez włościanina, rozdano żołnierzom ostre ładunki; kompanie stanęły pod Trzema Złotymi Krzyżami.

Wkrótce generał Kurnatowski, ścigający z ułanami gwardyi rossyjskiej cofających się z Łazienek podehorążych, doszedł z wojskiem do powołanych kompanii, które już podehorążowie minęli, zdołał to wojsko do posłuszeństwa przywrócić i zaprowadził je pod rozkazy W. Księcia Konstantego.

Sledztwo prowadzone nadmienia, z opowieści wprawdzie niedowodnionych, że w chwili, kiedy cesarzewicz przybył przed front kompanii przyprowadzonych przez generała Kurnatowskiego i wyrażał im swe podziękowanie, Ignacy Wołoszyński, podporucznik, trzykrotnie przykładął się do karabina, mierząc do W. Księcia, broń jednak nie wypaliła.

X. Działania baterji pozycyjnej artylerji konnej gwardyi.

Z tyłu za Arsenalem i ogrodem Krasińskich, baterja ta miała swe oddzielne koszary, Dowodził nią podpułkownik Piotr Chorzewski; w razie alarmu miała rozkaz stanąć na placu Broni.

O pół do siódmej wieczorem 29. listopada, służbowy oficer Sachnowski oznajmił dowódczy, że przed koszarami stanęła kompania 5-go pułku piechoty, a oficer nią komenderujący oznajmił, że lada chwila wybuchnie rewolucya, a hasłem jej będzie podpalenie domów w kilku miejscach miasta.

Zanim Chorzewski zdołał coś postanowić, już dały się słyszeć strzały karabinowe. Pomieniony oddział piechoty zmienił swe stanowisko. Do koszar wpadł nieznamy oficer i rozkazał trąbić do wystąpienia. Rzucili się żołnierze do koni i zaprzęgów. Baterja uszykowała się na dziedzińcu.

Po kilku godzinach zupełnej bezczynności, w której nadjeżdżali rozmaici oficerowie i cywilni, nagłąc Chorzewskiego do wystąpienia, gdyż zgromadzony lud tego się domagał, skoro dwie kompanie piechoty jeszcze nadeszły, wyszedł z koszar. Baterja się rozdzieliła.

Pierwszy pluton podporucznika Orłowskiego, zajął stanowisko przy pałacu Komisji Spraw Wewnętrznych, działa odprzodkował, skierował jedno na ogród Krasińskich, drugie na ulicę Dziką. Orłowski ogłosił żołnierzom, że to jest rewolucya-powstanie narodu.

Drugi pluton Aleksandra Ekielskiego, stanął pod domem Petyskusa a nad ranem pociągnął na nową drogę do Wisły prowadzącą.

Trzeci pluton Maurycego Hauke, syna poległego generała, otrzymał rozkaz stanąć pod Arsenalem i bronić go. Pluton ten o świcie z uzbrojonym ludem i wyborczemi kompaniami pułków 3-go i 7-go piechoty, pociągnął do pałacu Brühlowskiego, zatoczył działa przeciw zatarasowanej bramie i tym sposobem zdecydował podporucznika 4-go pułku, Żychlińskiego, do poddania pałacu i odwachu jego dziedzińca.

Czwarty pluton Jana Łabanowskiego, przez Długą ulicę skierował się na plac Krasińskich, nad ranem kazał dać strzał armatni wzdłuż ulicy Miodowej.

Bateria, wychodząc z koszar, nie miała w jaszczykach żadnej amunicji; dostarczył jej porucznik Janusz Czetwertyński, po owładnięciu magazynu prochowego na Pradze.

XI. Działania Szkoły zimowej artylerji.

Powołał ją do broni Feliks Nowosielski, podporucznik batalionu saperów, wymieniony już pod pozycją IV.

Szkoła ta miała dwa działa do musztry i wprawy przy obsłudze armat. Zaprzężono je końmi dorozkarskimi, wyprowadzono na Nalewki; tu Szkoła stała bezczynna przez całą noc.

Opuszczam działania różnych osób cywilnych i uczniów Uniwersytetu, które, chociaż uczestniczyły w powstaniu, postępowaniem swem się nie odznaczały. Imiona ich i nazwiska akt oskarżenia wymienia, liczbą ich jest znakomita.

Z treściwego tego wyciągu protokolarnego śledztwa, prowadzonego przez prokuratora Pokłękowskiego, wypływa przekonanie:

Że spisek rewolucyjny nadzwyczaj był rozgałęziony w wojsku polskiem, pomiędzy uczniami Uniwersytetu, oraz cywilnymi osobami rozmaitego zatrudnienia i stanowiska społecznego.

Ruchem rewolucyjnym kierowali tylko oficerowie niższych stopni rozmaitych broni, skłaniając dowódców do współdziałania siłą lub groźbą — opornych karząc śmiercią.

Żołnierze pułków i oddziałów garnizonu warszawskiego, powiadomieni byli o nastąpić mającej rewolucji dopiero w chwili jej wybuchu. Poszli jednak za głosem i rozkazem niższych oficerów, nie słuchając upomnień starszych swych dowódców. Duch wojska naszego był zawsze polski — ani oficer, ani żołnierz nigdy się nie bratał z wojskowym rosyjskim.

Godnem jest uwagi, że aresztowania kilku podchorążych i akademików, dokonane w pierwszych dniach listopada owego roku, ich badania i zeznania — acz jeszcze niedostateczne — wywieszane plakaty rewolucyjne po ulicach, odkrycie spisku przez akademika Kruszelewskiego i podchorążego Zagrobińskiego, przedstawienie pułkownika Bogusławskiego, dowódcy 4-go pułku piechoty, uczynione generałowi Kurucie, potrzeby wydalenia jego

pułku z Warszawy z powodu dostrzegać się dającego w korpusie oficerów niespokojnego ducha, o czem śledztwo Pokłękowskiego wspomina. i inne ważne wskazówki — nie skłoniły W. Księcia Konstantego do rozwinięcia istotnych środków ostrożności, mianowicie też do osobistego zasłonięcia się od możebnego napadu na pałac Belwederski, pozbawiony wszelkiej obrony. Owszem, nie można się dość temu nadziwić, że W. Książę, mając pod bokiem trzy pułki konnej gwardyi rossyjskiej, zawsze jednak konsystujące w koszarach od jego mieszkania oddalonych — nie im, lecz Szkole podehorążych piechoty polskiej, którą o niespokojność umysłów mógł posądzać, wskazał punkt zebrania alarmowy w dziedzińcu Belwederu!...

Domniemywać można — że W. Książę bardzo mało lub nie wierzył w ruch wojskowy, owszem zupełnie ufając w wierność wojska polskiego i wyższych jego dowódców, w oczekiwaniu może jedynie ruchu ludowego, rozstrzelił punkta alarmowe sił wojskowych po różnych placach miasta, aby ono w danym razie z wszystkich stron zaatakowane być mogło.

Żołnierz prosty poszedł na pierwsze wezwanie, pojął sprawę narodową, nie namyślał się ani chwili. Z tego się pokazuje, że wówczas świeże jeszcze wspomnienia niedawnych bojów o niepodległość Ojczyzny nie były w umysłach żołnierza zatarte. W szeregach służyli jeszcze wojaacy z przed r. 1814, ci widzieli Napoleona, Berezynę, Lipsk, Paryż i o tych wiekopomnych bojach na służbie, w bezsennych nocach na odwachach lub w koszarach, młodszym opowiadali. W kraju, po wsiach i miasteczkach, żyli jeszcze weterani z owych czasów. Dziady o kulach chodzący, lub bez ręki, tułali się po okolicy, opowiadając chwałę polskiego oręża. Przysłuchiwał im się chłopiek, gościnnie ich pod swą strzechą przyjmujący, a jego wyrostek, powołany później do wojska, szedł doń wesół i z ochotą. Miał prawda za sobą porzuconą rodzinę, ale nabywał licznych braci w szeregach i tu kończył żołnierskiego umysłu wychowanie.

Lud warszawski, że się bez wahania ruszył, i to nie dziwnego — byli to synowie lub wnuki tych, którzy porwali się w roku 1794 przeciw wojsku rossyjskiemu, w Warszawie stojącemu, i zgromili je.

Z ojca na syna, — tradycya podobnych wypadków jest łatwa.

Z kolei zastanowić się wypada, jakie liczebne siły postawiła rewolucya warszawska, przeciwko wojskom W. Księcia Konstantego, a w tym rachunku zapiszę tylko te oddziały, które przystępując do ruchu, istotnie czynnymi były — i tak:

1. Zrewoltowany 4-ty pułk liniowy piechoty	żołnierzy	2.400
2. Batalion saperów	"	1.000
3. Dwie kompanie wyborcze pułku 5-go	"	600
4. Cztery kompanie wyborcze pułków 3-go i 7 go	"	1.200
5. Sześć kompanii grenadyerów gwardyi, bo inne poszły pod rozkazy W. Księcia	"	1.800
6. Dwie kompanie wyborcze 1-go pułku	"	600
7. Cztery kompanie wyborcze strzelców	"	1.200
8. Szkoła podechorążych piechoty	"	230
9. Szkoła artyleryi	"	80
10. Bateria artyleryi konnej gwardyi	"	350
		Razem żołnierzy 9.460

Naszego pułku strzelców konnych gwardyi nie liczę, bo ten przeszedł na stronę W. Księcia.

Liczbę wojsk rossyjskich podałem wyżej:

z tej wytrącając nieczynną żandarmerję, kozaków i weteranów, zostanie

7.300

Różnica na korzyść wojsk rewolucyjnych żołnierzy 2.160

Potęźna jednak pod względem ducha żołnierza i jego dowódców, którzy w rozegraniu powstania stawiali swe życie, a w przegranej Sybir lub wiekiwiste więzienie widzieli — przytem wojsko polskie wyższe było liczebnie w pieszym żołnierzu, zdolnym przeważnie się bronić po ulicach i z okien kamienic — oraz, że posiłkowała je bateria artyleryi armat 12, kiedy w pierwszych 24 godzinach powstania W. Książę ich nie miał.

W. Książę Konstanty znów dowodził jazdą 2.100 wyborowego żołnierza; jazda ta na pierwszą wiadomość o rozruchach puszczona w całym pędzie koni po równoległych ulicach Nowego

Świata i Krakowskiego Przedmieścia, mogła znieść wszystko przed sobą; kwestya jednak, czy poszłaby do tego rozpaczego ataku z istotnem męstwem. Resztę dokończyć by mogła rosyjska piechota tuż za nią idąca, licząca 5.200 żołnierza. Powodzenie zależało, jak powiadam, od męstwa atakujących i dzielnych rozporządzeń dowódców.

Tak sobie bezstronnie rezonuję. Inaczej się stało. Rewolucya warszawska dokonana została z bardzo małym rozlewem, głównie dla tego, że Wielki Książę, jak to niżej opowiem, stracił przytomność i ocenienie położenia, w jakim się znajdował. Może też nie chciał dopuścić do takiej rzezi po ulicach; może się zawahał, nie mając pod ręką artyleryi; podejrzewam wreszcie, jak już przytoczyłem wyżej, że wojska jego nie miały dostatecznej amunicyi, tak nagle z koszar wyprowadzone, — może i tam jej nie było...

Czy lud warszawski, chociaż zbrojny, w razie ataku wojsk rosyjskich na miasto, skutecznie posiłkowałby wojsku naszemu?... to dziś trudno rozwiązać. Taki opór, obok istotnego męstwa, wymaga zawsze organizacyi w samym sobie. Tłum dobrze nieprowadzony, zawsze się rozpierzchnie.

Śledztwo prokuratora Pokłękowskiego udowodniło, że żaden oficer pułku strzelców konnych gwardyi, w którym służyłem, nie należał do powstania; pułk ten nie był zawiadomiony, że ono nastąpi. Później wyjaśnione zostało, że spiskowi pamiętając, ile ten pułk był skompromitowany współudziałem w poprzedniej znowie swego podpułkownika Krzyżanowskiego, stawionego przed sądem Sejmowym, nie przypuścili go do zwierzenia, pozostawiając je do ostatniej chwili wybuchu rewolucyi, a to zwierzenie chybiło, bo Wysocki, który się tego podjął w sam dzień 29. listopada, już dla braku czasu, zlecenia swego dokonać nie mógł.



ROZDZIAŁ VI.

Co się działo w nocy 29. listopada i dni następnych w Alei Mokotowskiej i pod Ujazdowem. — Działania Władysława Zamoyskiego, adjutanta W. Księcia. — Rada generała Potockiego, podana W. Księciu. — Jego odpowiedź. — Zamoyski zbiera członków Rady administracyjnej. — Deputacya jej do W. Księcia. — Rada wydaje dwie proklamacye do wojska i ludu Warszawy. — Odpis wierzytelny głośniejszej. — Zamoyski żąda od cesarzewicza ogłoszenia niepodległości Polski. — Co odpowiedział? — Ojciec mój gubernatorem Warszawy. — Generał Chłopicki zjawia się. — Generałowie rossyjscy radzą Księciu uderzyć na Warszawę. — Powtórna deputacya Rady do W. Księcia. — Co wyjednano i co postanowiono? — Klub zbrojny rewolucyjny. — Jego żądania Radzie przedstawione. — Deklaracya W. Księcia. — Deputacya Rady do Chłopickiego, oddająca mu naczelne dowództwo wojska. — Chłopicki ogłasza się dyktatorem. — Ocenienie działań Zamoyskiego. — Opis osobistości W. Księcia Konstantego. — Rys jego charakteru. — Anegdoty o nim. — Wojska rossyjskie powinny być rozbrojone. — Czy można było to dokonać? — Korzyści, jakie odniosłaby rewolucya z ich rozbrojenia. — Słabość i wahania się Rady administracyjnej i przybranych kierowników rewolucyjnego rządu.

Gdy wielki pożar pustoszy miasto lub wieś całą i stanie się powodem niewynagrodzonego nieszczęścia, na razie nikt nie bada jego przyczyny, bo ogrom klęski odsuwa wszelkie zastanowienie. Dopiero później na zgłiszczach ruin naszego dobytku, rachując się

z poniesionemi stratami, badamy szczegóły, jakie tę katastrofę wywołały. Długie też lata mijały, zanim my, mieszkańcy Królestwa, któremu jedynie ten tytuł pozostawiono, pokryjomo zbierając rozmaite opowiadania, porównywując je z tem, co wyjaśnić mogła nasza po roku 1831 emigracya, wreszcie co udowodnili zgodnie ogłoszonymi swemi pismami nasi rodacy, zdołaliśmy, o ile się dało, zebrać rzetelny obraz minionej już od lat pięćdziesięciu krajowej burzy, w następstwie zupełny przewrót ustroju narodowego powodującej.

Opisałem, com widział naocznie 29. listopada 1830 roku i kilka dni następnych. Streściłem działania różnych oddziałów wojska polskiego w rewolucyi warszawskiej, a udowodnione śledztwem drobiazgowem, przez rząd po jej uśmierzeniu przeprowadzonym, a temu dokumentowi, opartemu na zeznaniach osób badaniu ulegających i niezliczonych świadków, zupełną wiarę przyznać należy. Teraz z notat, jakie powziąłem, z rozważnego czytania różnych dzieł za granicą drukowanych, które usiłowałem chwilowo mieć sobie powierzone, odkryję odwrotną stronę i zasłonę ulicznego ruchu Warszawy, mianowicie: co się działo w tych kilkudziesięciu godzinach w Alei Mokotowskiej i na placu pod Ujazdowem, słowem w otoczeniu W. Księcia Konstantego i wojsk rosyjskich, w około niego zebranych.

Przed północą 29. listopada, Władysław Zamoyski, adjutant W. Księcia, przez niego wysłany został do miasta z pod rogatek Mokotowskich po wiadomość. Ruszył pędem swego konia i spotkał generała Stanisława Potockiego; ten radził, aby Książę rzucił całą swą jazdę w ulice Warszawy, wszystko po drodze rozbijając. To zdanie Zamoyski podał Księciu, lecz ten, straciwszy rozwagę swego położenia, istotnie trudnego, odpowiedział tylko: *„Je ne me méte de rien... que les Polonais s'arrangent entre eux“* (do niczego się nie mieszam..., niech Polacy załatwią się sami między sobą). Przed godziną nadszedł polski pułk konnej gwardyi, którego plac alarmowy był pod Żłotymi Krzyżami, u końca ulicy Nowy Świat. Na powyższe słowa niezdecydowanego Księcia, Zamoyski wskazał pułki jazdy rosyjskiej, w kolumnach ustawione; zrozumiał Książę Konstanty to spojrzenie, i dodał: *„Ceci sont des Russes... et pas un Russe, à moins qu'il ne soit forcé pour sa propre défense, ne donnera un coup de sabre dans toute cette*

affaire...“ (to są Rosyianie... a żaden Rosyjanin nie da ani jednego cęcia pałaszem w całej tej sprawie, chyba zniewolony własną obroną), a na zdziwienie Zamoyskiego dodał: „*Cependant, voici des Chasseurs* (pułk polski) *prenez les — menez les au général Potocki, qu'il en fasse ce qu'il voudra...*“ (Jednakże, oto są polskie szasery, weź ich i prowadź do generała Potockiego, niech ich użyje według swej myśli). Wkońcu rozkazał iść temu pułkowi do miasta: poszły tylko dwa szwadrony, doszły prawie do zamku królewskiego, a w tym pochodzie wytrzymały kilkadziesiąt wystrzałów z bocznych ulic od uzbrojonego pospólstwa, poczem powróciły na dawne swe stanowisko.

Zrozumiał dobrze Zamoyski smutne następstwa ulicznego ruchu, acz posiłkowanego częścią wojska polskiego. Gdy napróżno usiłował rozbudzić upadłego ducha Wielkiego Księcia, nie udał się za pułkiem strzelców konnych, przeciwnie rzucił się pędem w ulice miasta, z postanowieniem zebrania członków Rady administracyjnej na radę w tem rzeczy położeniu, gdy Książę nie wpadł na myśl, żądania od niej upoważnienia do stłumienia powstania siłami, jakie pod ręką posiadał. Udał się Zamoyski przedewszystkiem do księcia Adama Czartoryskiego, którego był rodzonym siostrzeńcem; po krótkiej rozmowie, pobiegł do ministra Sobolewskiego, ten złożony chorobą zażądał, aby Rada w jego mieszkaniu się zebrała. Przybyli więc za staraniem Zamoyskiego: minister Lubecki, Czartoryski, generałowie Pac i Radziwiłł, Kochanowski, Niemcewicz; generała Chłopickiego Zamoyski odszukać nie zdołał. Rada powyższych osób, nie przysłała do stanowczego postanowienia. Zamoyski powtórzył wyrzeczone wyżej wyrazy W. Księcia Konstantego i radził wysłanie deputacyi do niego, któraby stwierdziła jego zeznanie i nadała mu charakter urzędowy.

Pojechali więc Czartoryski i Lubecki. Lud, snujący się po ulicach, groził, a przepuszczał jedynie na prośby Zamoyskiego. W. Książę, zarzucając i wymawiając im przyczyny tego co się stało, znów powtarzał: „*Je n'ordonne rien, je n'autorise rien... ça ne me regarde pas... faites ce qu'il Vous plaira, je ne me mêle de rien... je ne reponds de rien*“ (Nic nie rozkazuję... do niczego nie upoważnian... to się mnie nie dotyczy... róbcie co wam się podoba... do niczego się nie mieszam... za nic nie odpowiadam...) Obaj delegowani, widząc Księcia znartwiałego ze stra-

chu, oświadczyli mu: „Że widzą się zmuszeni stanąć na czele ruchu i przy pomocy osób, posiadających zaufanie mieszkańców, spróbować, czy się nie uda nim ovladnąć“.

Po ich odjeździe Zamoyski z woli W. Księcia Konstantego, znów udał się w miasto parlamentować z powstaniem. Mało lub nie słuchać go nie chciano. Przybył więc powtórnie do ministra Sobolewskiego, zastał wymienionych naradzających się, z stanowczym zdaniem przywrócenia porządku. Lecz nie było człowieka czynu, ani go wynaleść nie próbowano. Chłopi, domyślając się, że go postawią na czele rewolucji, schował się w obcym mieszkaniu.

Nie pozostawało jak odezwać się z proklamacją do ludu — wydano ich dwie.

Pierwsza w imieniu cesarza i króla Mikołaja, oznajmiała wejście, z powodu nagłych obecnie okoliczności, do Rady administracyjnej księcia Czartoryskiego, generałów Paca i Radziwiłła, Kochanowskiego, Niemcewicza, a nawet generała Chłopińskiego, bez pytania nawet jego, czy — jako nieobecny — przyjmuje to powołanie.

Druga do Polaków w tych słowach:

„Równie smutne jak niespodziewane wypadki wczorajszego „wieczora i nocy, spowodowały rząd, do przybrania do swego „grona obywateli z zasług swych znanych, i odezwania się do was.

„Wielki Książę Cesarzewicz wojskom rossyjskim wszelkiego „działania zabronił, gdyż rozdwojone umysły Polaków, sami Polacy „skojarzyć powinni.

„Czy Polak w bratniej krwi ma broczyć rękę swoją?... Cheie- „liżbyście dać światu widok największego w kraju nieszczęścia „i domowej niezgody?... Własnem umiarkowaniem jedynie ocalić „możecie od pogrążenia się w przepaść, nad którą stoicie!... Wróć- „cie przeto do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech „przemina z nocą, która je pokrywała. Pamiętajcie na przyszłość „drogiej, a tylu nieszczęściami skołatanej Ojczyzny!... oddalcie „wszystko, coby mogło narazić samo jej istnienie. Do nas będzie „należało dopełnić naszej powinności, w zabezpieczeniu bezpie-

„czenstwa ogólnego, w poszanowaniu praw i konstytucyjnych „swobód krajowi nadanych.“

Odezwa ta, zapewniająca, że W. Książę Konstanty nie użyje wojsk swoich do stłumienia powstania, ośmieliła je do dalszego działania.

Proklamacye te wydrukowano natychmiast w tysiącnych egzemplarzach, w drukarni Banku polskiego; rozrzucił je Zamoyski. Obie były z tytułem: „W Imieniu Najjaśniejszego Cesarza i Króla“; przyjęto tę, która powiadała o wejściu nowych członków do Rady administracyjnej, — drugą darto i deptano. Lud strzelał i do strzelców konnych gwardyi, Zamoyski ledwie uprosił zaprzestania, wołając: Zgoda!... Zgoda!...

Zamoyski za pośrednictwem konsula pruskiego, Schmidta, proponował W. Księciu wejść w układy z powstaniem, zaś sam przez się, opierając się na przyrzeczeniach cesarza Aleksandra, wniósł, aby „niepodległość Polski“ była ogłoszona. Na ten wyraz „niepodległość“ W. Książę groźnie odpowiedział: „*Comment osez vous m'insulter ainsi!..*“ (Jak śmiesz mi tak ubliżać). Lecz wkrótce go przeprosił i znów wysłał po wiadomości do miasta.

Tymczasem lud się niecierpliwił, wojsko szemrało. Chłopicki się nie pokazywał. Generał Pac przyjął dowództwo, ale tylko na 24 godzin. Od Sobolewskiego Rada przeniosła się do Banku; użyć musiano dla niej eskorty... Pac szedł na czele w czerwonej czapce. Tu Zamoyski opowiedział, propozycyę uczynioną cesarzewiczowi „ogłoszenia niepodległości Polski“, Lubecki odrzucił tę myśl, trzymając się w granicach legalności i wierności dla cesarza. Rada słabła w swem zdaniu. Radaby odwrócić burzę wyjednanem małych koncesyi, lecz nie posiadała siły odporu powstańczemu ruchowi, a ten już się zanadto naprzód posunął. Szukano ludzi wpływu, tych albo nie było, inni mniej pewni przyszłości i powodzenia, usuwali się. Generała Sierawskiego nominowano gubernatorem Warszawy, jako wielką popularność w wojsku posiadającego, bo mu lud ufał a wojsko wysoce poważowało. Węgrzecki wrócił na prezydenturę municypalności. Piotra Łubińskiego zamianowano naczelnikiem straży bezpieczeństwa. Barykady zaczęły się wznosić, lud fraternizował z wojskiem, wkrótce też zjawiał się Chłopicki.

Do W. Księcia w nocy 30. listopada, przybyły dwa pułki piechoty gwardyi rossyjskiej, okalając swym marszem miasto, oraz większa część polskich grenadyerów. Pod wieczór dnia tego generał Gersztenzweig przyprowadził z Góry artylerję gwardyi rossyjskiej. I on doradzał wziąć szturmem miasto, lecz chwila możebnego powodzenia już minęła. Zamoyski z konsulem pruskim znów nawiązywał układy z W. Księciem, by nie uderzał na miasto.

1-go grudnia W. Książę posłał deklaracyę Radzie administracyjnej, że nie wystąpi z krokami nieprzyjacielskimi przeciw Warszawie i żądał wzajemności.

Niektórzy posłowie, obecni w stolicy, zgromadzili się na Radę administracyjną w Banku. Żądali:

1. Natychmiastowego zwołania obu Izb sejmowych.
2. Aby W. Książę cofnął się z swem wojskiem z granic Królestwa.

Ostatniego tego wniosku wszyscy nie potwierdzali.

Z powstania wysłano deputacyą do Rady administracyjnej; ta oświadczyła, że jej proklamacya wzbudziła ogólne niezadowolenie; że działanie Rady zbyt powolne, nie jest w duchu rewolucyi; żądano zwołania obu Izb sejmowych, żywności dla wojska, oczyszczenia Rady z członków na zaufanie niezasługujących. Usunięto też natychmiast Grabowskiego, generałów Rautenstraucha i Kosseckiego, oraz Fredrę. Przybrano: Leona Dembowskiego, Władysława Ostrowskiego i Lelewela. Lubecki pozostał na żądanie księcia Czartoryskiego i Niemcewicza; weisnął się jeszcze Gustaw Małachowski.

Dnia 1. grudnia, frakcyą gorącą, założyła Klub zbrojny rewolucyjny, a takim był w istocie, bo przychodzono z karabinami i kolbami od tychże vota przybijano.

Nazajutrz, nowa deputacya udała się do W. Księcia, który założył główną swą kwaterę w Wierzbnie. Pojechali: książę Czartoryski, minister Lubecki, Ostrowski i Lelewel — ten ostatni uspokoił lud grożący, który nie chciał przepuścić deputacyi. Pięć godzin trwała ta narada; proszono usilnie Konstantego, aby ustąpił z wojskiem, dla uspokojenia wzburzenia; skłaniał się do tego, obiecywał pośredniczyć u cesarza w udzieleniu ogólnej amnestyi,

wcieleniu Litwy do Królestwa, rozszerzeniu konstytucyi. Spisano punkta przedugodne, a te były:

1. Zawieszenie kroków nieprzyjacielskich.
2. Przedstawienie cesarzowi żądanych zmian w konstytucyi i stosunków Polski z Rosyją.
3. Przyłączenie zabranych prowincyi do Królestwa lub nadanie im instytutcyi narodowych.
4. Wielki Książę przyjął obowiązek wyjednać u cesarza zupełne zapomnienie przeszłości i zatwierdzenie tej przedwstępnej umowy.

Jednocześnie w ratuszu Klub postanowił:

- a) Aby natychmiast uderzono na wojska rossyjskie i wzięto cesarzewicza w niewolę.
 - b) Uwięzienie ministrów.
 - c) Obwołanie zdrajcami Ojczyzny tych dowódców wojskowych, którzy nie połączą się z powstaniem.
- Przy debatach nad tymi punktami dodano:
- d) Aby generał Chłopiński odebrał rozkaz zniszczenia lub rozbrojenia nieprzyjaciela.
 - e) Aby powstanie w kraju było ogłoszone.
 - f) Ministrowie pod strażą i obserwacją.
 - g) Żony wojskowych rossyjskich aby otrzymały straż.
 - h) W. Księcia zatrzymać jako zakładnika, nie wchodzić z nim w układy, negocjować wprost z Petersburgiem.

Z temi żądaniami udano się do Banku: Rada administracyjna obiecała wziąć je pod rozwagę.

W tych godzinach generał Szembek przyszedł z 1-szym pułkiem strzelców pieszych z Sochaczewa do Warszawy i przystąpił do powstania.

Zamoyski z deputacją wysłaną do Wierzbna, powrócił do Rady po ratyfikacją zawartej umowy, lecz ta już upadła pod potokiem wypadków.

Lubecki i Czartoryski posłali list W. Księciu Konstantemu, radzący, by się poddał lub uchodził.

Wojsko zrewoltowane i lud zbrojny, już ciągnęło przeciwko W. Księciu, aby go pojmać i pułki polskie sprowadzić do miasta,

jakie przy nim pozostały. Zamoyski wyjednał u dowódców, że do południa, a była godzina 10 z rana, nie przekroczą placu św. Aleksandra.

W. Książę pod tym naciskiem na wszystko był gotów; pozwoił oddziałom polskim wrócić do Warszawy, sam się zdecydował Królestwo opuścić, i wydał proklamacyę, którą poniżej dosłownie przepisuję:

„Je permets aux troupes polonaises, qui sont restées fidèles jusqu'au dernier moment près de moi, de rejoindre les leurs.

„Je me mets en marche avec les troupes Impériales, pour m'éloigner de la Capitale — et j'espère de la loyauté Polonaise, qu'elles ne seront pas inquiétées dans leur mouvement, pour rejoindre l'Empire. Je récommande de même tous les établissemens, propriétés, et les individus, à la protection de la Nation Polonaise, et je les mets sous la sauvegarde de la foi la plus sacrée.

(Podpisano) *Constantin.*“

Czyli po polsku:

„Pozwalam wojskom polskim, które przy mnie do ostatniej chwili pozostały wiernymi, powrócić do swoich.

„Oddalam się ze stolicy z wojskami cesarskimi i pokładam nadzieję w szlachetności Polaków, że wojska te nie będą niepokojone w swym marszu do cesarstwa. Oddaję zarazem wszelkie zakłady, własności i osobistości pozostałe, protekcyi Narodu polskiego i oddaję je pod najświętszą jego pieczę.

(Podpisano) *Konstanty.*“

Dokument ten nosi datę 3. grudnia 1830 roku.

Istotnie wojska rossyjskie rozpoczęły odwrót od Warszawy. O parę wiorst za ostatnimi ich strażami, szedł szwadron naszego pułku strzelców konnych gwardyi, popychając maruderów, aż do przeprowadzenia się wszystkich wojsk na drugą stronę Wisły pod

Górą. Marsz ich był smutny, pełen dla Rosyan wszelkiego niedostatku; dokuczliwy, bo oficerowie równie jak żołnierze poszli w jedynem ubraniu, jakie mieli na sobie, stawając do alarmu. Pułkownik nasz Turno, długoletni adjutant W. Księcia, towarzyszył mu aż do granicy rossyjskiej; opowiadano, że Konstanty miał łzy w oczach, żegnając go. Rewolucyoniści nie wyrzucali tego postąpienia pułkownikowi, uznali je być słusznem.

Dnia 5. grudnia, książę Czartoryski, Niemcewicz i Władysław Zamoyski, udali się do mieszkania generała Chłopickiego, niosąc mu nominację na dowodzącego naczelnie wojskami polskimi, z władzą nieograniczoną. Długo się opierał, na koniec zerwał się z miejsca mówiąc: „Wezmę dyktaturę — innej władzy nie przyjmę — nią wrócę karność...“ Ubrał się w mundur, w krzyże francuskie i polskie, wpadł jak piorun do sali rządu, rozdarł nominację, rzucił jej kawałki na stół i wyrzekł krótko: „Biorę władzę... oddam ją Sejmowi!...“ poczem siadł na koniu, pojechał do wojska i sam się dyktatorem ogłosił.

Tegoż dnia wydał do ludu i wojska proklamację:

„Gdy krytyczne dzisiejsze położenie nasze wymaga jak największej we wszystkim energii i pośpiechu, gdy wszystko, co tylko działania tamować może, fatalnem dla rzeczy publicznej stać by się mogło, — nie z ambicyi i chciwości władzy, bo te są dalekie odemnie, ale ze względu na okoliczności, idąc nadto za przykładem Rzymian, którzy w niebezpieczeństwie Ojczyzny, dyktatorowi jednemu powierzali najwyższą władzę — ja dziś Wam Polacy, Wam mężne rycerstwo polskie oświadczam: iż na dnie krótkie, to jest do zebrania Izb Sejmowych, biorę na siebie urząd dyktatora, za otworzeniem się zaś Sejmu, urząd ten w jego ręce złożę. Wiercie mi Polacy, iż władzy tej jedynie na dobro Wasze użyję.

(Podpisano) *General Chłopicki.*“

Książę Czartoryski, Niemcewicz i inni — inaczej pojmowali położenie sprawy i jej następstwa. W ich rozumieniu, dyktatura znaczyła tylko władzę nieograniczoną nad wojskiem i w tej myśli

doręczyli jej nominacją Chłopickiemu. Ze wzgardą ją odrzucił mówiąc, że jej nie potrzebuje, bo sam władzę bierze. Jest to jeden z godnych uwagi rysów charakteru tego człowieka.

Jeżeli się dziwić można śmiałości i odwadze podchorążych Szkoły piechoty i uczniów Uniwersytetu, ślepo w kilkunastu rzucających się na mieszkanie W. Księcia Konstantego w Belwedrze, bez przekonania, czy inni spiskowi w ostatniej chwili nie cofną się w podniesieniu rewolucyi, czy wojsko pójdzie za ich wezwaniem, pomimo spodziewać się dającego oporu wyższych oficerów i dowódców, a lud warszawski da się pociągnąć do ogólnego ruchu?... jeżeli, mówię, zadziwiająca jest jednolitość działania przywódców zrewoltowanych oddziałów i posunięcie się ich aż do morderstwa tylu generałów, jakby ta walka o życie lub śmierć powodowana była ostateczną rozpaczą w obronie ich osobistości, — to wzajemnie godną jest uwagi energia i wmieszanie się tyle śmiałe w niepewną tę sprawę młodego Zamoyskiego.

Władysław Zamoyski, syn Ordynata i Zofii z księżat Czartoryskich, adjutant W. Księcia Konstantego, jak go osobiście znałem, nie liczył w roku 1830 jak 25 do 26 lat swego wieku. Wysoki, umiarkowanie szczupły a zgrabny, blondyn o niebieskich oczach, podobny był do swej matki, słynącej niegdyś z urody, — był pięknym młodzianem. Miał stopień podporucznika i liczył starszeństwo w konnym pułku naszej gwardyi. Wziął go do swego boku W. K. Konstanty, dla jego rodu i nazwiska; lubił go, ale utrzymywał w podrzędnym stanowisku, odpowiedniem jego wojskowemu stopniowi. Nikt z nas, cośmy go z bliska znali jako kolegę, nie mógł spodziewać się ani przewidzieć, aby w danej epoce i w tych pamiętnych dniach naszej rewolucyi, okazać zdołał tyle energii, śmiałości, ducha silnego w czynach i słowach, trafnego sądu o położeniu tyle nagłem wypadków, i postawienia się w roli jedyne go pośrednika między W. Księciem i chwiejącym się w tej burzy naszym rządem. Jak wspominałem, on to w nocy 29. listopada, z własnej myśli i popędu, zdołał zebrać członków Rady administracyjnej w mieszkaniu ministra Sobolewskiego. On wniósł, by wysłana została deputacya do W. Księcia Konstantego; on odważył się takiemu despotcie, jakim był cesarzewicz, proponować, by natychmiast ogłosił „niepodległość Polski“. On,

niestrudzony, prawie przez trzy dni i tyleż nocy był jedynym węzłem prowadzonych układów. On na koniec przywiózł ową sławną deklarację W. Ks. Konstantego, zwalniającą wojsko polskie od posłuszeństwa wtedy, gdy przy boku Księcia nikogo z naszych ministrów nie było, co pozwala domniemywać, iż wpływał na jej wydanie a nawet redakcję, a może pisał ją, bo historia milczy, czy W. Ks. Konstanty własnoręcznie ją skreślił, lub po-przesłał na jej podpisaniu.

Przynajmy więc, że to był dzielny młodzian, godzien wspomnienia w historii owego czasu, bo dał istotne i znakomite dowody wielkiego umysłu i siły charakteru.

Chciałbym z kolei sportretować tu W. Księcia Konstantego; nie podołam temu w zupełności — to pewna, przedstawię go jednak czytelnikowi, jak go z powierzchowności pamiętam, bom go widywał codziennie od początku roku 1825 do końca prawie 1830. Opowiem zresztą, com o nim słyszał za owych czasów od osób blisko jego stojących.

W. Ks. Konstanty był nadzwyczajnie silnie zbudowany, jak wszyscy z rodziny Romanowych, plecy szerokie, kark gruby, mięsisty, chodził zwawo. na koniu dobrze wyglądał, ale słabo na nim siedział; nigdy go też śmiało nie używał. Zwykle jeździł na ulubionej karej swej kłaczy bardzo łagodnej; za to, że mu na pewnym przeglądzie wojsk zgrymasiła i mało co z siodła nie wysadziła, za powrotem kazał ją związać i wyliczyć kilkadziesiąt kozackich nahajów. Cokolwiek łysy, miał włosy jasne, rzadkie, nieco w czerwone wpadające. Twarzy okrągłej, czoła wysokiego, wąsów nie nosił. Nos, a raczej nosek tak mały, tyle zadarty, że nawet o kilka kroków widać w nim było szerokie nozdrza, w czem miał być bardzo podobny do swego ojca, cesarza Pawła. Nad tym noskiem brwi krzacaste; nie były to włosy, ale jasna, gęsta i twarda szczecina, układająca się w łagodny zarys, gdy był w dobrym humorze, przeciwnie sterząca pod namiętnością gniewu. Oczy siwe — rzucały iskry, gdy był zły, a to mu się często zdarzało — łagodne w dobrem usposobieniu. Temu, z którym rozmawiał, patrzył bystro w oczy, i przybliżał swą twarz tak blisko, że czuć było powiew jego oddechu. Czoło zawsze marszczył, z bardzo małym chwil wyjątkiem; otyłym nie był, lubił w biodrach się ścisnąć, by pokazać zręczny tok swej postaci;

głos, acz donośny, jako i mowę miał dziwnie gardłową, chrapowatą, mówił płynnie po francusku, wyuczył się również polskiego języka, i tem się do żołnierzy odzywał. Pamięć nazwisk, fizyognomii, miał do najwyższego stopnia posuniętą, żołnierzy, swych ulubieńców w każdym pułku, wołał po nazwisku, szczypał, targał za uszy, czasem i całował. Zwykle się ubierał we frak vice-munduru pułku kirysyerów gwardyi podolskiej. W niedzielę w wielki mundur rossyjskiego generała, w białych obeisłych kaźmirkowych pantalonach, wpuszczonych w botforty, do kolan sięgające, z srebrnymi ostrogami. Stosowany kapelusz z wielkiem szuniastem piórem o kolorach rossyjskich nosił cokolwiek na bakier. W wielkie święta dworskie i polskie występował w polskim generalskim mundurze, z lentą i gwiazdą orderu Orła Białego. Takiż a nie inny mundur nosił zawsze, gdy przybył do Petersburga, a towarzyszyli mu tylko polsey adjutanci. Zdrowie miał bardzo silne, żył skromnie, trunków nie pijał, przy obiedzie używał parę kieliszków Chambertina.

Jeździł w popołudniowych godzinach codziennie po Warszawie, a często w nocy lustrując odwachy i bez żadnej eskorty. Biada była oficerowi od warty, gdy dostrzegł jaki nieporządek, a oko miał bardzo bystre, dojrzał guzik źle zapięty, odwrotnie lub krzywo co do numeru pułku przyszyty. Wpadał nagle do koszar, przechodził sale, kosztował jedzenie żołnierzy. Ciężkim powozem odkrytym, petersburskiej roboty, którego głuchy turkot wszyscy znaleźmy, zaprzężonym zawsze w cztery kasztanowate ogniste rumaki w poręcz, z woźnicą brodaczem bez lokaja, trzymając w ustach cygaro, latał po ulicach szalonym pędem. Oficerowie, przechodzący wtedy, stawali, wyciągali się jak struny i salutowali.

Za młodu ożeniono go z którąś księżniczką z panujących domów niemieckich. Żle z nią żył i oddalił, później z panią Frydryks miał syna Pawła, ten gdy dorósł, był oficerem pułku kirysyerów podolskiej gwardyi. Ów syn po roku 1831 i po zgonie Księcia, który niedługo nastąpił, odziedziczył po nim wielkie dobra w Rosyi, zwane Strelna; dobrowolnie, czy przymusowo od dworu się oddalił, w nich osiadł i zniknął zapomniany.

Panią Frydryks, zamieszkałą kilka lat w Warszawie, odsunął, poznał Joannę Grudzińską i istotnie ją pokochał. Zamierzał

z nią wejść w podobny stosunek, jak z panią Frydryks, miała mu jednak odpowiedzieć: „po ślubnym kobiercu, albo nigdy“; pojął ją więc za małżonkę i wzorowym był mężem. Gdy zmarł, mawiała ze łzami w oczach: „do zgonu mego aniola opłakiwać będę“, nie przeżyła go też jak rok niecały. Uposażona przez cesarza Aleksandra księstwem Łowickiem, przyjęła ten tytuł. Testamentem wielkie te i rozległe dobra zapisała wyrażając się: „Królom Polskim“. Siostra jej rodzona poszła za naszego generała, Chłapowskiego, właściciela dóbr Turnia w Księstwie Poznańskim. Jaki był stosunek między oboma szwagrami, to mi niewiadomo.

Księżna Joanna nabożna, bardzo litościwa, hojnie i po kryjomu wspierała warszawskie ubóstwo. Pozwolę sobie tu opowiedzieć o niej małą anegdotę: na egzaminie Szkoły podchorążych piechoty w r. 1827, postąpił na oficera jeden z podoficerów, młodzian ubogi, nieposiadający żadnego funduszu na sprawienie dość kosztownego munduru podporucznika — cóż robi?...

Wiedząc, że księżna Łowicka, bo tak ją zwaliśmy, udaje się codziennie *incognito* na ranną Mszę do kościoła św. Jana, wypatrzuje jej przybycie, a że zawsze w bocznej kaplicy klęcząc się modliła, klęknął również tuż za nią, bije się w piersi, modli się tyle głośno, że go dosłyszeć mogła, i mówi między innymi: „Boże miłosierny! awansowałem na oficera... jestem ubogi... nie mam żadnego funduszu na mundur... Cóż zrobić!... jestem w rozpacz!... Jeśli Stwórco cudem mnie nie opatrzysz, zastrzelę się niezawodnie!...“ Tu bił się czołem o kamienną posadzkę. Gdy wstał i powoli się oddalał, księżna rozkazała kamerdynerowi pójść za nim i dowiedzieć się o jego nazwisko. Tego też tylko ów dowcipniś żądał: pod wieczór jakiś nieznajomy go wyszukał i zapytał wiele potrzebuje na oficerskie ubranie?... niby zdziwiony odpowiada: „najmniej sto dukatów“ — a ów wysłaniec na to: „kiedy najmniej, to panu ich wyliczam sto dwadzieścia“ — i odszedł.

W łeb sobie nie strzelił, zyskał mundur, w pięć dni świecił oficerskimi szlifami.

Wojskowi rossyjscy, konsystujący w Warszawie, oburzali się mocno na ożenienie się W. Księcia z Polką; porucznik Panow od kirysyerów, przejeżdżającą księżnę samą w powozie Nowym Światem zatrzymał, siadł przy niej i kazał woźnicy obwozić się po

mieście. Księżna mdlała ze wzruszenia. Ublżenie było okropne, ale i surowa nastąpiła kara. Tej samej nocy porwano Panowa, znikł nam zupełnie, co się z nim stało, niewiadomo.

W dnie wielkiego tygodnia naszego kalendarza każdego roku, adjutanci Księcia obchodzili nasze kościoły i kwestarkom na tacy składali w jego imieniu po piętnaście rubli. W samą zaś Wielkanoc, ordynansi meldujący mu się z pułków polskich, suto przez niego ugaszczani bywali, każdemu też dawano jajko porcelanowe malowane, wewnątrz którego znajdował się dukat w złocie.

Po ruskiej znów rezurekcyi, przy której asystowali i nasi generałowie, zaraz zapraszał wszystkich do siebie i wspaniale przyjmował. Obiadów proszonych nigdy nie dawał, bywał na balach, ale tylko wtedy, gdy je Warszawa dla cesarza wydawała. Niemców nie lubił, Francuzów nienawdził.

Za młodu miał być bardzo burzliwym a nawet niezwykłych dopuszczał się czynów. Opowiadano, że jadąc na Kongres do Wiednia roku 1815, gdy w Austrii poczytliwno wolno jechał i nie usłuchał nalegania pospieszniejszej jazdy, zastrzelił go na miejscu z pistoletu. Podczas samego Kongresu, gdy wobec niego książę Metternich, konferujący z cesarzem Aleksandrem w jego mieszkaniu, z nim się sprzeczał w jakimś dyplomatycznym układzie, dał mu silny policzek. Znaglił go też brat do natychmiastowego wyjazdu z Wiednia.

Instruktor wojsk i organizator ich znakomity, posuwał na tem polu swą czynność niezmordowaną aż do drobiazgowości. Zrobił też z pułków naszych, brygad i dywizyi, nie wojsko, ale zadziwiającą machinę, która się posuwała frontem, zwiżała to w kolumny to czworoboki z bezprzykładnem wyrównaniem, na jedną jego komendę lub sygnał trąbki. Tego dziś może nikt nie uwierzy, aby linia dwunastu batalionów, tyleż tysięcy żołnierza zawierająca, mająca strażę sztandarową naprzód o kilkadziesiąt kroków wysunięte, maszerowała jednym, — mówię jednym krokiem — a ja to widziałem. Wojenna historia Rossyi nie poświadcza, aby przeciwko Napoleonowi samodzielnie korpusem dowodził, aczkolwiek w bitwie pod Austerlitz 2. grudnia 1805 r. prowadził konne gwardye rossyjskie, które, jak wiadomo, napezdzone na niedość zamarzę wielkie jezioro, pod załamanyimi lodami w większej części śmierć znalazły.

Jeżeli cesarzewicz naszym generalom niekiedy słownie ubliżał, chociaż zawsze ich tytułował „*Votre Excellence*“, dla rosyjskich był straszliwym impertynentem, bryzgając ostatnimi wyrazami. General Żandre, którego zabito w Belwederze w nocy 29. listopada, zarządzał jego pałacem, stajniami i powozami, a kradł go niemilosiernie; miał też tak brudną reputację, że nie wolno mu było pokazywać się, gdy cesarz do Warszawy przyjechał. Wielki Książę dostrzegł u naszego generalnego dyrektora poczt. parę dzielnych angielskich powozowych koni, zamierzając z nich zrobić podarunek, posłał Żandra do Sumińskiego z propozycją ich odstąpienia. Ten nie mógł opierać się życzeniu Księcia. żądał za konie 8.000 zł. i te Żandre zapłacił. W niedługim czasie, gdy się nasi dygnitarze Konstantemu w jakiejś uroczystości przedstawiali, Książę przystąpił do Sumińskiego i mówi: „dzielne! dzielne konie!..“ a ten odpowiada: „Mości Książę, zaręczam, że wzięłem za nie tyle, ile mnie samego kosztowały“. „Jako — 12.000 złotych?“ — „Zaprzeczam temu, general Żandre zapłacił mi tylko 8.000 złotych, bo tyle żądałem...“ Skoczył Książę... wezwał Żandra do tuż będącego gabinetu, drzwi za sobą zamknął przepomniał, zelżył go od ostatnich słów a w sali przedwstępnej obecni wyraźnie słyszeli klask jakby policzka danego.

Przytoczę tu jeszcze, jak Książę zmusił przestępcę do wyznania prawdy i skrzywdzonemu sprawiedliwość wymierzył.

Około roku 1826 pewien obywatel z Podlaskiego przybył do Warszawy przywożąc w szkatule znaczną sumę pieniędzy, którą miał płacić swemu wierzycielowi. Stanął w hotelu na Podwalu, z którego właścicielem był w zażyłości, i oddał mu szkatułę do czasowego przechowania; gdy przyszedł dzień wypłaty, obywatel żąda swej szkatuły od gospodarza; ten udając nadzwyczajne źdźwienie, odpowiada, że o niej nie wie... i zapiera się stanowczo. Następuje kłótnia i spór bezskuteczny. Obywatel udaje się do prawników z żądaniem rady i pomocy. Ci oświadczają, że sprawa jest bardzo zawiła, świadka powierzenia depozytu nie było, proces może być długi, skutku przewidzieć trudno, a właściciel, jeśli się posunął do takiego czynu, to i przed przysięgą się nie cofnie.

Obywatel zdesperowany nie wie co począć, lecz wpada szczęśliwie na myśl udania się do W. Księcia i temu ze łzami w oczach opowiada swój wypadek. Książę na to: „przysiężesz, że prawdę

mówisz?“ Szlacheć idzie do kąta gabinetu, gdzie wisiał obraz św. Mikołaja z pałacą się przed nim lampą, kłęka i przysięga.

Książę dzwoni — kamerdyner wpada, rozkazuje mu szlachećca przechować w pałacu i zawołać służbowego adjutanta. Gdy ten się zjawił, zleca mu natychmiast jechać na Podwale i przywieźć właściciela hotelu w taki sposób, aby się z nikim odjeżdżając nie mógł porozumieć. Przywieziono go w godzinę, stawiono zmieszanego przed Księciem, i tu podlec zapierać się usiłuje. Książę rozkazuje przywołać czterech kozaków; gdy ci weszli, mówi do zdrajcy: „każę cię ćwiczyć nahajami póty, póki prawdy nie wyznasz“. Winny poddaje się i opowiada, że szkatułka jest zachowana w hotelowej piwnicy przez niego i jego żonę.

„A więc siadaj i pisz co ci podyktuję“ — rzekł Książę: „żono! oddaj szkatułkę z pieniędzmi, bo się wszystko wydało... jak nie oddasz, poszlą nas oboje w Sybir...“ — podpisał.

Z tą kartą adjutant pojechał na Podwale i szkatułkę przywiózł. Cesarzewicz przywołanemu szlachećcowi ją wręczył; ten padł mu do nóg wdzięczny i wybawiony szczerze dziękując. Właściciela zaś hotelu odprowadzono na odwach, gdzie o chlebie i wodzie cztery tygodnie odsiedział. Sądom go nie oddano, ale hotel mu zamknięto. Słowem — charakter W. Księcia Konstantego — był to zbiór nieustannych porywów gniewu namiętnego, czasem srogości nawet, obok dobroci i wspaniałości serca. On miał enotę, że pochlebstw nie lubił, ale wymagał uszanowania prawie do płaszczenia się. Gdy się uprzedził do kogo, nie przebaczył już nigdy; gdy polubił, to aż do słabości. Używał nędzników mu zaprzędanych w swoich widokach i zamiarach, to pewna jednak, że nimi pogardzał. Wkońcu rządów swoich w Warszawie mocno złagodniał — wojsko polskie ukochał, Polaków lubił.

W późnym mym wieku, zastygły starzec, jakim jestem, oglądając się na tę półwiekową minioną przeszłość, z sumienną bezstronnością, daleki od wszelkiej namiętności, oceniam wypadki 29. listopada nie jako zapamiętały rewolucjonista, lecz jako człowiek, który radby widzieć konieczną logikę, czy konsekwencję w ich kierunku. Pod naciskiem takich to myśli, zapisuję co poniżej, tak, jakbym wyrażał zdanie o sprawie mego narodu zupełnie niedotyczącej. A jeżeli Rosssyanin ten ustęp kiedykolwiek czytać

będzie, przyzna mi zapewne słuszość zdania, pozwalam mu nawet powiedzieć. „dobrze się stało, że wówczas Polacy zbłądzili.“

Należy przyznać, że w wielkich podobnych wstrząśnieniach, rodzimy rozsądek mas ludowych wyradza i żąda energicznych środków, aby dojść do istotnego powodzenia.

Wspomniałem wyżej, że zawiązany Klub rewolucyjny wtedy, gdy jeszcze W. Książę stał z wojskami pod rogatkami Mokotowskiemi, domagał się ich zgromienia i rozbrojenia, wzięcia W. Księcia w niewolę, jako zakładnika układów z cesarzem prowadzić się mających. Deputacya Klubu, którą lud swą masą popierał, udała się wprost z ratusza, na nieustające wówczas posiedzenia Rady administracyjnej z takowem żądaniem, a ta przestała na obietnicy wzięcia go pod rozagę, do wykonania jednak tego koniecznego przedsięwzięcia przystąpić się nie ośmieliła. Był to błąd więcej niż wielki. Wadą jest naszą, że unosimy się w podobnych wypadkach niewyrozumowaną szlachetnością, zgubne skutki za sobą pociągającą.

Wielki Książę i jego wojska, powinny były być wzięte — można je było zmusić do złożenia broni, z najpewniejszym skutku powodzeniem. Rozważmy to bliżej.

Zrewoltowany garnizon wojska polskiego w Warszawie liczył:

piechoty żołnierzy	8.500
pulk strzelców konnych gwardyi	700 koni
bateria artyleryi konnej gwardyi	350
Łącznie żołnierza	9.550

Mogły przybyć forsownymi marszami w trzy dni najdalej:

pulk pieszy stojący w Sochaczewie	2.000
„ „ „ w Pułtuskui	2.000
„ „ „ w Radomiu	2.000
dywizya strzelców konnych, szesnaście szwadronów, rozrzuconych po garnizonach równie bliskich, jak w Piotrkowie, Kutnie, Radomsku, Łowiczu i innych miasteczkach	2.800
cztery baterye artyleryi (armat 32)	1.400

Pod ręką i z lewej strony Wisły razem żołnierzy 19.750

Nadto:

dywizya ułanów, szwadronów szesnaście, konsystująca w województwach lubelskiem i podlaskiem, w miastach: Radzyń, Łuków, Żelechów, Krasnystaw, Lubartów, Chełm i innych, w kilka dni skoncentrowana, mogła cofającym się Rossyanom na Brześć Litewski, gdyby się zdołali przeprowić przez Wisłę, zastąpić — żołnierzy 2.800
 dwie baterye artyleryi tej dywizyi 700

Rozporządzalne siły . 23.250.

Przeciwno tym W. Książę Konstanty mógł postawić, jak wyżej powiedziałem:

żołnierza pieszego 5.200
 jazdy 2.100
 artyleryi (armat 24) 700

Łącznie . 8.000 ludzi.

Kozaków, żandarmeryi nie liczę.

Wojska zupełnie zdemoralizowanego, idącego bez zasobów żywności, furazów i zapewne z bardzo niedostateczną amunicją. Wojska te musiałyby się przeprować w jakimś punkcie górnej Wisły, w tej przeprowie bez mostu mogły być dognane; przeciwnie część wojska polskiego, mając most pod Warszawą, zdołałaby zabiedz drogę na prawym brzegu Wisły. Zniwolenie podania się wojsk rossyjskich, było pewnem i niezawodnem.

Rewolucya zyskałaby:

- 5.200 karabinów, tyleż tasaków i przyborów pieszego żołnierza;
 2.100 wyborowych koni trzech pułków gwardyi rossyjskiej;
 2.100 pałaszy kawaleryjskich, tyleż par pistoletów;
 2.100 karabinków. ładownie, ubrań na konie;
 700 dzielnych koni artyleryjskich z zaprzęgami;
 nakoniec 24 armat polowych, jaszczyków, furgonów etc.

Nabytek ten wart był całe miliony, podniósłby wojenne nasze przygotowania, postawiłby rewolucyę od razu na wysokości jej zadania, ułatwiłby układy z Petersburgiem, wstrzymał może rozlew krwi nadechodzącej wojny, a w ogólności byłby krokiem śmiałym, a nawet legalnym, skoro podniesiony sztandar rewolucyjny, uważał Rossyan jako nieprzyjaciół. Należało go więc poprzeć czynem wielkim, energicznym i decydującym; oddziaływającym na cesarza Mikołaja, a nawet na gabinety Austrii, Prus, Francyi i Anglii. Jeżeli mówię: uważaliśmy wojska rossyjskie za nieprzyjacielskie, wypuścić je z tej matni było błędem.

Dlaczego się tak nie stało?... Bo była energia w niższych warstwach rewolucyi, kierownicy jej natomiast nie posiadali. Bez zapędu do ruchu przystąpili, rządzi się półśrodkami, a te w podobnych razach nie tylko są błędem, ale nadto reakcyą, zagubą i wstrzymaniem popędu, jaki sobie nasza rewolucya nadać zamierzała. Kierownicy ci, nie mieli środków wstrzymania tyle jednomyślnego ruchu wojska i ludu stolicy, byłaby to sprawa gardłowa dla nich: należało przeto im albo nie brać w ręce wodzów rewolucyi, albo, jak Francuzi się wyrażają, rzucić się „*tête baissée*“ w jej otelhań. Rozbrojenie wojsk rossyjskich, uchodzących z Warszawy, wzięcie jako zakładnika W. Księcia Konstantego, równoważyło trzem bitwom w otwartym polu wygranym. Czyn taki, niezliczone echa rozniosłyby po Europie, podniosłyby go jak sądzę, dyplomacye państw zagranicznych. Od samego początku do końca nie umieli Polacy powstania prowadzić!

W taki to sposób od swego zawiązku spełniła się listopadowa rewolucya: prócz generałów, Stanisława Potockiego i Trębickiego, którzy używali powszechnego szacunku, a zginęli, stawiając na stawkę życia honor żołnierski i przysięgę, złożoną królowi konstytucyjnemu, nie mogąc się poddać na razie poruszeniu, które tylko prostym rozruchem być uważali, padli jeszcze: nienawistni wojsku, generał Hauke, minister wojny i Bluner; Nowickiego zabito przez prostą pomyłkę, Siemiątkowskiego, nie pytano nawet o zdanie. Innego rozlewu krwi prawie nie było.

Generał Wincenty hrabia Krasiński zdołał ujść do Petersburga, generał Zygmunt Kurnatowski pozostał w Warszawie, nie był w wojnie czynnym, ale go w spokoju pozostawiono.



ROZDZIAŁ VII.

Rewolucye francuska i belgijska r. 1830. — Cesarz Mikołaj zamierza iść uśmierzać te powstania. — Wojsko polskie otrzymuje rozkaz przejścia na stopę wojenną. — Ustęp uwag z tego powodu z historyi Teodora Morawskiego. — Rząd tymczasowy w Warszawie. — Chłopi dyktatorem. — Sąd o nim Morawskiego. — Proklamacya dyktatora do narodu. — Formacya sił wojskowych powstania. — General Szebek. — Regimentarze wojskowi. — Zbrojenie się narodu. — Opinia ogólna żąda, aby wkroczyć na Litwę. — Misya Lubeckiego i Jezierskiego do Petersburga. — Groźby cesarza Mikołaja. — Chłopi odkrywa się z swem usposobieniem. — Sejm uznaje powstanie za narodowe. — Nasi agenci dyplomatyczni. — Skład rządu tymczasowego. — Manifest cesarza. — Wiadomości z Petersburga. — Smutna kolizya dyktatora z członkami Rządu. — Chłopi usuwa się od wszelkiego działania. — Książę Michał Radziwiłł obrany naczelnym wodzem wojska. — Pierwsi kosynierzy z Krakowskiego. — Nie ma Mikołaja! — Mowa księcia Czartoryskiego jako prezesa Rządu narodowego. — Uwagi nad nią. — Hołd oddany jego pamięci. — Legiony polskie w Poznańskim i Galicyi. — Koniec miesiąca stycznia 1831 roku.

W owym czasie, powtarzam, i zaledwie przed kilku miesiącami, spadły dwa gromy na politycznym horyzoncie Europy. Wybuchła rewolucya francuska i druga zaraz w Belgii. Pierwsza obaliła tron starszej linii Bourbonów, druga oderwała Belgię od Holandyi, pozostającą w tym samym stosunku do niej co Króle-

stwo Polskie do Rosyi. Okazały się zaburzenia w Niemczech i we Włoszech: cesarz Mikołaj odmawia uznania nowej dynastyi francuskiej, w osobie Filipa Orleańskiego, wzywa Austryą i Prusy do utworzenia koalicyi; nakazał postawienie wojska polskiego na stopie wojennej, 2. lutego 1831 mieliśmy iść z Prusakami przeciw Belgii w pomoc królowi holenderskiemu, a może i przeciw Francyi.

„Wśród tych okoliczności (pisze nasz znakomity historyk, Morawski) niejeden w kraju pomyślał, co się stanie z Królestwem?... Skłonność Polaków ku Francyi i zakorzeniona wiara w jej pomoc, nie mogły być tajne cesarzowi Mikołajowi. Sejm ostatni objawił jasno panujące w kraju niezadowolenie, z niedotrzymanych najuroczystszych zaręczeń. Zostawiż cesarz broń w ręku nieukontentowanemu narodowi?... nie użyje tej sposobności do naprawienia błędów swego poprzednika, któremu wskrzeszenie Królestwa Polskiego wyrzucił? Okazyi braknąć nie mogło, w potrzebie umięją carowie sami ją sobie nastęczyć, wywołać, wiedząc to dobrze, iż nie pomyślniejszego dla zdobywcy, jak bunt podbitego ludu, kiedy ten się nie uda. Nie było też nikogo, coby sobie nie przypomniał, jak za dawniejszej rewolucyi francuskiej chorągiew trójkolorowa odprawiała wędrówkę po całej Europie, jak dumna swą dawną sławą, na nowo we Francyi powiewa. Przybyło więc żaru do rozognionego naszego ducha narodowego — obudziła się w kraju ochota do korzystania z okoliczności, a nie tylko rachowano na pomoc Francyi, lecz i na odnowienie powstania w Petersburgu. Sądy wojenne, komisye śledcze, czujność policyi rozproszyły wprawdzie dawne tajne związki, ale już potworzyły się nowe, młodsze, popędliwsze“ etc.

Do tego określenia ówczasowego usposobienia kraju, to tylko dodam z mej strony, że na wiadomość o umawiającej się koalicyi. na odgłos, że wojna nastąpi, my, młodzi oficerowie zapytywaliśmy się wzajemnie: „Jak to będzie, gdy przyjdzie bić się z Francuzami?...“

Kiedy Wielki Książę Konstanty cofa się z pod Warszawy, wydział wykonawczy Rady administracyjnej przyjmuje nazwę „Rządu tymczasowego“ i powołuje zebranie Sejmu. Tłum rozhułkany i zbrojny, obnosi po ulicach czapkę wolności (frygijską), rzuca się na salę obrad Rządu. Ojciec mój staje w podwojach wchodowych, nadstawia piersi, wołając: „po trupie moim chyba

tu wejdziecie!..." Gurowski i Mochnacki krzyczą, że „bruk rewolucyjny, koniecznie krwi potrzebuje". Umiarkowani okrzykami domagają się porządku i karności, żądają dyktatury; pomalutka wszystko się uspokaja, na wezwanie lud broń oddaje. Rząd nieograniczoną władzę generałowi Chłopiickiemu powierza, 5. grudnia tenże ogłasza się dyktatorem, wojsko, lud, mieszkańcy wszelkich klas jednym okrzykiem witają go: „Niech żyje!" Młodzież akademicka Klub patriotyczny rozpędza; nazajutrz tysiąc tej młodzieży utworzyło straż honorową dyktatorowi.

„Generał Chłopiicki (pisze historyk), dzielny żołnierz, ale tylko żołnierz, nie wyrzał podobno nigdy po za zakres rzemiosła swojego. Myśl wyswobodzenia Ojczyzny, wzniosłe uczucie, że mógł — i w danym przypadku powinien stanąć na czele narodu, pewnie go w życiu na chwilę nie zajęły.“

Dał się pochłonać Lubeckiemu, uradzili nie zrywać z cesarzem. Myśl ta odbiła się w proklamacyi dyktatora, ogłoszonej 8. grudnia.

„Zamiast wolności narzucono nam kajdany — powstanie nasze jest usprawiedliwione. Nie może tego i serce króla nie uznać, gdy się dowie, jak go zwodzono. Do nas należy wszystko poświęcić, dla postawienia się w możności utrzymania swobód konstytucyjnych.“

Wyznać należy, iż myśli i wyrażenia w tej odezwie zamieszczone, nie zgadzały się z rozpowszechniającą się opinią, nie wzniosły się do wysokości podniesionej rewolucyi i jej zamiarów.

Chłopiicki, żeby ubiedz fortecę Zamość, przed cofającym się Księciem Konstantym, któremu sprzyjał tameczny komendant, generał Hurtig, posłał tam mego ojca. Generała Szembeka mianował gubernatorem Warszawy i jemu powierzył formację trzecich i czwartych batalionów piechoty do każdego pułku, do których dymisjonowani żołnierze zebrać się mieli. Gdy Szembek przejeżdżał przez plac Krasin'skich, lud obozujący tam zatrzymał go wołając: „powiedz! powiedz! nam co..." Że był małego wzrostu, wsadzono go na wyniesioną ze sklepu beczkę. Przemówił energicznie, kończąc słowami: „wiercie Szembekowi, Szembek was nie zdradzi!" Nastąpiły okrzyki na cześć jego.

Dyktator regimentarzami postanowił: Sołtyka na prawym, Małachowskiego na lewym brzegu Wisły. Wybór mniej trafny,

bo ci nie odpowiadali swemu zadaniu. Pod nimi po województwach dowodzili również nieodznaczający się zdolnościami: okazało się to mianowicie, gdy im nakazano w każdym województwie uorganizować po dziesięć batalionów piechoty, i to oddzielnej, bo dyktator nie chciał, jak się wyrażał: „mieszać ruchawki z starymi pułkami“, w czem bardzo błędził, bo do tych pułków można było weielić na całe ich trzecie szeregi ludzi nowego powołania, a owymi trzecimi szeregami wyrównać czoła nowych pułków.

Mimo mniej energicznego działania dyktatora, jak się po nim spodziewać należało, mimo, że w ostatniej jego do narodu proklamacyi, widocznie upatrywać było można skłonność do układów z cesarzem, naród jednomyślnie przyjął sprawę powstania. Starzy, doświadczeni a dotąd w dynisyi pozostający generałowie, wracali do czynnej służby. Młodzież szlachecka siadła na koń, i całe pułki jazdy z swymi pacholkami formowała. Głos opinii publicznej żądał natychmiastowego wtargnięcia z siłą zbrojną za Bug i Niemen, i podania ręki korpusowi litewskiemu, rozłożonemu między Grodnem i Dubnem, a wątpliwemu w swej wierności. Królestwo mogło zaraz wystawić 40.000 wyborowego żołnierza i 100 armat.

Gotowy był materiał do ubrania nowych pułków, bo dawne posiadały potrójny ich komplet w zapasie: takż znalezione w koszarach gwardyj rossyjskich. W arsenale znalazło się kilkanaście tysięcy karabinów i tyleż pałaszy. W Modlinie i w Zamościu wielkie były zapasy amunicyi. W skarbie publicznym leżało przeszło sto dziesięć milionów gotowizny. Dodajmy: że cesarstwo, w dwuletniej wojnie tureckiej straciło do dwukroć stotysięcy żołnierza, nie mogło więc na razie wystawić sił wielkich. Pułkownicy, Chrzanowski i Prądzyński, którzy tę wojnę odbywali, pełni zdolności oficerowie, przedstawili projekt wtargnięcia do dawnych naszych prowincyj. Nie przyjął dyktator tych wskazówek tyle dotykalnych i pewnych skutków — owszem: obydwóch odesłał na podkomendantów twierdz Modlina i Zamościa. Nie dość na tem: bez wiedzy Rady, która go otaczała, wysłał gońca do dowódcy korpusu litewskiego z upomnieniem, aby kroków nieprzyjacielskich nie rozpoczynał, bo: „on, Chłopicki spodziewa się sprawę zgodnym załatwić sposobem“.

W tej też myśli i zamiarze, wysłał 10. grudnia księcia Lubeckiego i Jana Jezierskiego, posła garwolińskiego do Petersburga. Misyą ich było, zdanie sprawy cesarzowi o tem, co się dzieje w Warszawie i w Polsce; dopominanie się o dotrzymanie wszelkich praw i przywilejów konstytucyjnych, traktatem wiedeńskim roku 1815 zastrzeżonych; nadanie instytucyj narodowych zabranym prowincyom polskim.

Ufny w działaniach swoich, które mu zręcznie poddawał Lubecki, ufny w możebność układów z Petersburgiem, ani chciał, ani już nie mógł Chłopicki przedsięwziąć jakich bądź środków do zatrzymania W. Ks. Konstantego z wojskami, któremi dowodził i tę znakomitą sposobność podniesienia sprawy rewolucyjnej dobrowolnie z rąk wypuścił.

Jednakowoż należało coś działać. Zdecydował się dyktator na wydanie rozkazu dostawienia jednego jeźdźca, już ubranego i uzbrojonego z każdych 50 dymów posiadłości dóbr ziemskich. Nakazał rozwinąć pracę w arsenał warszawskim, dozwolił fabrykantom prywatnym broń wyrabiać. Zgodził się również na wysłanie młodego margrabiego Aleksandra Wielopolskiego do Londynu, Konstantego Wolickiego do Paryża, obaj wyjechali tajemnie. Instrukcyje ich były: zawiadomienie tamecznych rządów, że jedynym celem powstania jest zniewolenie cesarza Mikołaja do ściślejszego wykonywania konstytucyi traktatami zawarowanej — oznajmienie: że kraj do dawnego stanu uległości i gwałtów powrócić nie może.

Wolicki powiózł do Paryża papiery, zabrane w Belwederze, świadczące o usposobieniach wojennych Rossyi przeciw Francyi. Do Berlina wysłano hrabiego Edwarda Raczyńskiego.

Groźnie stawił się cesarz; przez adjutanta swego Haukego, brata zabitego generała, przysłał rozkaz prezesom komisyj wojewódzkich, aby pod karą śmierci, uważając Petersburg za stolicę Królestwa, tam raporta swe składali. Było to 16. grudnia. Zachwiany temi wiadomościami Chłopicki, nazajutrz zbiera deputacyę sejmową i tej oświadcza, że „sumienie nie pozwala mu, owszem przymusza do ostrzeżenia onejże, iż nic innego podjąć się nie może, jak utrzymania Królestwa i wyjednania mu ściśłego dochowania konstytucyi“.

Zapytany, co spodziewa się wyjednać dla Litwy i innych zabranych prowincyj? — odpowiedział: „że przyszedł z wyznaniem wiary, nie do rozpraw“ i dodał: „że wojska narodowego na oczywiste jatki nie powiedzie i... przysiędze królowi wykonanej, pozostanie wiernym!“

„Zadrżeli przytomni na takie oświadczenie“ — mówi historyk. — „Można było nie porywać się do powstania, ale po tem, co się stało, wszelki krok wstecz był niepodobnym. Rozwój powstania podniósł cele jego. — Czego ono żądało, tego cesarz przez układy, dobrowolnie ustąpić nawet nie mógł.“

Wojna więc dawała się przewidywać... była nieuniknioną... a tu ten Chłopicki, jedyny dowódzca, uwielbiany przez wojsko, naród, otoczony zupełnem zaufaniem, tak przemawiał!... wszystko paraliżował!

Ofiarowano mu naczelne wojsk dowództwo bez dyktatury i tego przyjąć odmówił. Zatajono owe smutne wyznanie wiary, a znając ruchliwy charakter dyktatora, spodziewano się w następnym biegu wypadków, innego z jego strony usposobienia.

18. grudnia zebrał się Sejm, w którym wyborów nie odmieniono. Uznał on powstanie narodowem, były nawet wnioski nadania Chłopickiemu władzy królewskiej, złożone przez tych, którzy wiedzieli o zachwianiu się jego przekonai.

„Odpowiedzialność ministrów (historja) osłoniłaby go za sprawy, które go przerażały; zostałyby tem, czem go mieć chciał naród, to jest wodzem naczelnym wojska. Słabo poparli ten wniosek posłowie, nie wiedzący o owem jego wyznaniu wiary. A był koniecznym, niezbędnym w owym czasie. Chłopicki posiadał zapal niesłychany w narodzie i w wojsku. Akademicy grozili rozniesieniem na szablach występujących przeciw niemu.“

Izby w swem połączeniu wyznaczyły komisję do redakcyi manifestu, wywodzącego przed Europą zgwałcenia prawa narodu.

Dyktator zachował Rząd tymczasowy pod nazwą Rady najwyższej. Składali ją: Czartoryski, jako prezydujący, Michał Radziwiłł, kasztelan Dembowski i Barzykowski, poseł ostrołęcki. Rozdał ministerya; pułkownika Wyleżyńskiego, swego adjutanta, wysłał znów z depezbami do Petersburga; generałowi Dwernickiemu dał upoważnienie do formacyi 5-tych i 6-tych szwadronów

jazdy do starych pułków, z dymisyonowanych żołnierzy kawaleryi. Rozkazał umontować pięć nowych bateryj artyleryi.

Tymczasem doszedł do Warszawy manifest cesarski. datowany 17. grudnia. Przywracał on władzę Radzie administracyjnej; rozkazywał, aby wojsko polskie poszło pod Płock i złożyło broń. Feldmarszałkowi Dybiezowi powierzał nad niem dowództwo. Zaś 24. grudnia ogłosił cesarstwu, że z pogardą odrzuca podane mu warunki przez buntowników.

Wyleżyński powrócił z Petersburga, przywiózł depesze — te składały się:

„z listu sekretarza stanu i ministra, do prezesa Rady administracyjnej, surowo naganiającego jego postępowanie, oświadczając w imieniu cesarza, że każdy członek Rady, powinienby umrzeć na miejscu, albo przybyć do Petersburga;

„z listu do generała Chłopickiego — z zadowoleniem jego uczuć, którym monarcha wtenczas da wiarę, jeśli się zastosuje do manifestu 17-go grudnia:

„z listu do Czartoryskiego i dyktatora, od Lubeckiego, wzywającego ich: aby dołożyli starań, iżby naród zastosował się do woli cesarskiej.“

Pisma te odczytano wobec dyktatora i pięciu członków Rady najwyższej. Nastąpiła gwałtowna scena:

„Wszyscy członkowie — pisze nasz historyk — jednogłośnie odepchnęli myśl prostego zastosowania się do woli monarcha i manifestu cesarskiego; dwóch głosowało za układami, trzech: ksiązę Czartoryski, Ostrowski i Barzykowski przeciw. Rozjątrzony Chłopicki wystawiał z gniewem niepodobieństwo prowadzenia wojny z Rosyją. „Ani na dwie bitwy nie mamy prochu, a jak pobici zostaniemy, oto — zawołał z uniesieniem — nazwaj mnie zdrajcą, jak Poniatowskiego i Kościuszkę!“

— „A czemże będziesz, opuszczając sprawę narodową?“ — zapytał Radziwiłł.

Chłopicki odwrócił się do Czartoryskiego.

— „Mojem zdaniem — oświadczył ksiązę — manifesty cesarskie wystarczają do przeświadczenia każdego, że niczego od układów spodziewać się nie powinniśmy. Nie pozostaje nam, jak z bronią w ręku szukać niepodległości lub skonu“.

„Dyktator w niepohamowanym gniewie uderzył pięścią w stół i postanowił niezwłocznie oddać władzę Sejmowi.“

Ważne to starcie, zdania i słowa je decydujące, echa powtórzyły i pomału rozgłosiły. Warszawa w różnych odcieniach dowiedziała się o tej smutnej kolizji między dyktatorem a najwyższą Radą powstałej. Przeobrażano ją w opowiadaniu, ale prawda leżała na dnie. Sprzysięgają się oficerowie przeciw Chłopickiemu, wyżsi swem stanowiskiem potakują tej konieczności. Dyktator, powiadomiony, zamierzył zwołać sąd nadzwyczajny, uciszył burzę księżę Czartoryski i minister sprawiedliwości Bonawentura Niemojowski.

Lubeckiego cesarz zatrzymał w Petersburgu jako swego ministra i poddanego; Jezierski więcej jak oględnie powstanie mu tłumaczył; zrzucił je na nierozwagę młodzieży i podoficerów. „Uzbrojenie narodu usprawiedliwia potrzebą obrony własności przeciwko wzburzeniu pospólstwa“. Mikołaj domagał się, aby winni byli ukarani, trwał przy swoim manifestcie, prowincyj zabranych przywrócić do Królestwa stanowczo odmówił, oświadczył się zresztą być wolnym od przysięgi konstytucyjnej, skoro naród bunt podniósł, a w końcu wyrzekł, że „pierwszy strzał powali z gruntu Polskę...“

Śmiało też przemawiał, bo wskutek wzajemnego porozumienia się, Austria i Prusy ściśle zamknęły swoje granice od Polski i rozciągnęły tuż przy nich kordon wojskowy. Wysłał swego ambasadora do Paryża, a król Filip tem uznaniem swego panowania przejęty, odsunął się od sprawy naszej. Ambasadorowi temu lud paryski wprawdzie wytłukł okna, to jednak nie przeszkadzało wzajemnemu monarchów porozumieniu się.

Na żądanie Rady, Chłopicki zdał jej sprawę z misji Jezierskiego. Znow podniosła się gwałtowna dyskusya. Chłopicki chciał układów, do których prowadzenia nie miał zdolności. Zaprzeczano im skutku wobec manifestu cesarskiego i listów z Petersburga przywiezionych przez Wyleżyńskiego. Nakoniec wybuchnąwszy znow gniewem, zawołał: „niech sumienia zapaleńców lekceważą przysięgę wykonaną monarsze... ja inaczej o moich obowiązkach trzymam“. Żądano, aby piśmiennie podał, pod jakimi warunkami zachowałby władzę? Odpowiedział: „aby jemu samemu zostawiono środki uratowania Ojczyzny“.

Odsuwał więc Radę od siebie, na to zezwolić było niepodobieństwem.

Cierpiano w głębokim smutku, rzeczy szły dawnym porządkiem. Cierpiano, aby nie stracić jedynego wodza dla wojska. On tymczasem sześć tygodni najdroższego czasu zmarnował, a nareszcie od wszystkich obowiązków się uwolnił.

Poruczono tymczasowe dowództwo wojska generałowi Wejzenhoffowi, wyprawiono gońca do Paryża do pełnomocnika polskiego, aby się starał o biegłego generała, posiłki w broni i piekiarach, wreszcie o pośrednictwo do sąsiednich dworów, aby przynajmniej wyraźnie sprawie nie przeszkadzały.

Sejm rozpoczął narady 19. stycznia 1831 roku. Morawski zdał sprawę o biegu i położeniu rzeczy. Izby wyznały komisję do obrania naczelnego wodza. Roman Sołtyk przedstawił wniosek usunięcia rodziny Romanowych od tronu polskiego; dał się w tem użyć Towarzystwu patriotycznemu i chęci uzyskania popularności, którą przedkładał nad wszystko — w przekonaniu: że uchwała detronizacyjna „niezmiernie siły powstania pomnoży“.

Lecz Izby pilniejszym być osądziły wybranie wodza. Wymówili się generałowie Pac, Szembek i Chłopiński, którego przejednać nie było sposobu. Gdy jednak dał do zrozumienia, że gotów pomagać generałowi Michałowi Radziwiłłowi, ten zyskał cztery piąte głosów.

24. stycznia Sejm przepisał atrybucyę i władzę wodza. Obok zwyczajnych prerogatyw, „przyznał mu głos stanowczy w rządzie co do spraw wojennych i zawierania układów o zawieszenie broni“. Minister wojny złożył doniesienie, że trzecie bataliony w pułkach są zupełnie gotowe, czwarte w połowie, piąte i szóste szwadrony miały już ludzi zebranych, koni część jedna trzecia. Województwa formowały szesnaście pułków piechoty, co dać miało około 34.000 żołnierza; artylerya pomnożona o dział 40. Kaliszanie formowali osobny pułk jazdy. Ordynat Zamoyski drugi własnym kosztem. Warszawa organizowała pułk piechoty i drugi jazdy; tworzyły się oddziały strzelców celnych po powiatach ze służby leśnej i dworskiej. Twierdzę Modlin postawiono w stanie obrony. Okopywano Pragę, formowały się magazyny żywności i furazów. Kraj dostarczył 100.000 par obuwia, ambulanse i laza-

rety polowe urządzone. Słowem, po ustąpieniu Chłopickiego, rozwinęła się czynność niesłychana.

Zgromadzały się zapasy, rynsztunki wojskowe, materiały wojenne, prędko i dobrowolnie bez przymusu. Liczne też składki pieniężne do skarbu wpływały. Książę Czartoryski wniósł 100.000 złotych, inni po dwadzieścia, dziesięć tysięcy i mniej. Kobiety ofiarowały ślubne swe złote pierścionki i srebra stołowe do mennicy. Ochotników do wojska nie brakowało. Chłopek szedł swobodnie i wesoło, nie odstręczała go musztra, bo dano mu w rękę morderczą kosę, której umiał użyć i dobrych oficerów, a ci łatwo go nauczyli rozwijania się w szereg batalionowy, zjednoczenia w kolumnę atakową.

Pamiętam, w jakie 15 dni po wybuchu powstania, znalazłem się na Krakowskim Przedmieściu około Bernardynów. Wtem lud zaczął biedz co żywo ku Nowemu Światu, a stamtąd niesłychane krzyki dochodziły; przystanąłem więc... aż tu zdała nagle czerwieni się głąb ulicy czapkami krakowskimi a nad niemi las prawdziwy kos, któremi Krakowiaczy trząsali, nieśli i chorągiew kościelną; było ich ze dwa tysiące, biegiem szli ku kolumnie Zygmunta z okrzykiem: „Wiwat Ojczyzna!... Niech żyje Polska!...“ Przed kolumną wszyscy padli na kolana i zaśpiewali jakiś hymn uroczysty na cześć Matki Boskiej. Pierwsi to byli powstańcy z łona ludu wybrani. Doznałem niepokonanego wzruszenia. We trzy dni, już widać ich było na odwachach warty trzymających.

Od granic naszych nadchodziły wiadomości, że feldmarszałek Dybiez wkrótce wkroczy z wojskami do kraju; to przyspieszyło w Izbach sejmowych rozprawy nad wnioskiem Sołtyka. Nie podzielał go książę Czartoryski, sam Lelewel słuszności mu odmawiał.

„Ale ciżba rządzi się raczej uczuciem — pisze nasz historyk, — aniżeli rozumem, — sercem, niżeli głową. Zagaił obrady w połączonych Izbach marszałek, poparł go brat, dowódzca gwardyi narodowej warszawskiej. Zrywali pierwsi związki narodu z carem synowie męża, który odebrał z rąk Aleksandra tę konstytucję, co go uwiecznić miała. Przemawiającemu za wnioskiem deputowanemu warszawskiemu, Wołowskiemu, przerwał głos Adam Łuszczewski, poseł sochaczewski. „Niema Mikołaja! — zawołał —

niema!...“ „Niema!...“ — powtórzyły jeszcze mocniej Izby, za niemi galerye... Akt detronizacji ułożył Niemcewicz“.

I stało się!...

Dnia następnego komisya sejmowa oświadczyła się za rządem, złożonym z władzy rządzącej, wykonawczej i dozorczej. Izby wniosek przyjęły.

„Władzę rządzącą (królewską) powierzono Rządowi narodowemu, złożonemu z prezesa i czterech członków; wykonawczą — odpowiedzialnym ministrom; czuwającą Rząd zachował przy sobie. Zastrzeżono wybór naczelnego wojsk wodza“.

Nastąpiło głosowanie — obrano prezesem Rządu narodowego księcia Adama Czartoryskiego, członkami: Wincentego Niemojowskiego, Morawskiego, Barzykowskiego i Lelewela. Czartoryski, dziękując za wybór i zaufanie, kończył temi słowy:

„Wspierajcie Rząd, bo w jego sile i dzielności zawarta jest przyszłość kraju... Niech celem waszym będzie sama tylko istność i niepodległość Ojczyzny. nie zaś przewrócenie wszystkich zasad towarzyskich i rozkrzewienie zarodków anarchii. Wolność nawet, ten najdroższy skarb człowieka, poświęćmy na czas dla istności i niepodległości. Bądźmy gotowi znosić przeciwne wypadki. Po przegranej zwolna ustępować kroku a zawsze odierać napady, jest największem męstwem żołnierza: po przegranej nigdy nie rozpaczać jest największą enotą obywatela. Do żadnego miejsca los kraju nie jest przywiązany; póki piędź ziemi wolną pozostanie, póty istność narodu bronić powinniśmy...“ „Niech żyje Ojczyzna!“ za prezesem powtórzyły Izby.

Przepisując tu dosłownie przemówienie księcia Adama Czartoryskiego, jak przed laty, tak i dzisiaj schylam mą siwą głowę przed jego wspomnieniem.

Mąż w sprawach krajowych doświadczony, świadek upadku swej Ojczyzny, a później częściowego jej wskrzeszenia, magnat polski, posiadający fortunę przeszło pięćdziesiąt milionów wartującą — nie wahał się w ciężkiej chwili wstrząśnienia w kraju stanąć na jego czele, chociaż rozległy jego rozum i przenikliwość przewidywać mu pozwalały bezsilność porwania się czteromilionowej ludności na olbrzyma Półnoey, wspartego sojuszami państw

ościennych. Stał na wyłomie tej burzy w szczytnem pojęciu obowiązku syna polskiej ziemi; poświęcił się, by z honorem wielkiego swego rodu z nią do grobu zstąpić, jeśli tak wyższe wyroki rozkażą.

Mowa księcia Czartoryskiego, pełna uczuciowej rzewności, mimowolnie stawia czytelnika w jego osobistym położeniu. Z ust jego płynęły słowa smutnej prawdy, nieszczęścia i klęski przepowiadające, ale zarazem ojcowskie rady, jak w nich wytrwać Polakom należy. „Do żadnego — mówił — miejsca los kraju nie jest przywiązany“. Tem wyrzeczeniem przewidywał nawet wzięcie i upadek Warszawy... Lecz sam, jeśli podnosił się do najwyższej potęgi odwagi cywilnej, chciał ją rozlać, wpoić w przekonania swych współobywateli. Dając zaś wskazówki rycerstwu narodowemu, jak waleczyć, jak bronić kraju powinno, szedł sam śmiało i odważnie na tę walkę krwawą, która, gdyby się powiesć nie miała, zdala pokazywał mu się miecz katowski i rusztowanie!...

Wyznajmy — księżę Czartoryski wszystko poświęcił, by honor narodu i swój własny ocalić. Nigdy dotąd poświęcenie pojedynczego człowieka szczytniejszem nie było, a tem ono jest wznioślejsze, im wyższe on stanowisko zajmował.

Księcia Adama za mej młodości niejednokrotnie widziałem, jako tego, który łożył na me wychowanie. Dotykałem ustami jego ręki, a ta pamięć jest błogą sercu meinu. Posiadam medalion z cynku ulany jego popiersia, modelowany przez francuskiego rzeźbiarza, Dawida; podobizna jest znakomitą.

Skończył żywot z wielu innymi na francuskiej ziemi — pokój jego popiołom. Z trybuny Izb deputowanych francuskich, z trybuny Izby lordów w Londynie, wygłaszano pochwały trudów i poświęceń jego żywota i ubolewania nad stratą, jaką wielbiciele w jego zgonie ponieśli.

A jednak mimo wysokich zasług Czartoryskiego, część burzliwa wychodźstwa naszego po roku 1831, nie wiedząca na kogo złożyć upadek rewolucyi, boleśnie mu go za życia wyrzucała. Błędniestw tych nie odpierał nigdy, sąd o swych czynach zostawiając potomności. W Paryżu wspierał rodaków swoich, staraniami swemi wyjednał pozwolenia rządu francuskiego na założenie szkół niższych i wyższych dla synów i dziewcząt wychodźców i te hojnie wspierał; hotel jego, Lambert, był ogniskiem, w którym gro-

madzili się prawdziwi patrioci polscy; chlubię się tem, że był przyjacielem ojca mego, wychodźtwa z nim dzielącego.

Jeszcze dotychczas są ślepi zatwardziali szkolownicy. chcący zbeszcześcić popioły i pamięć tego zacnego Polaka. Czytałem w „Dzienniku literackim“, we Lwowie wychodzącym, artykuł pod tytułem: „Dyplomacya polska“, odsadzający księcia od czci, jaką każdy prawdziwy i rozsądny Polak przyznać mu jest obowiązany. Plują więc w własne gniazdo pismaacy tego rodzaju, może za rossyjskie pieniądze, by zawahać opinią obecnego pokolenia, w szczytne usiłowania jego ojców. Ale to są marne wrzaski. Historia wyda o księciu sąd sprawiedliwy.

Urządzono ministerya i agencye dyplomatyczne za granicą; urzędnicy cywilni rzekli się jednej trzeciej części swej płacy, biskupi połowy swych pensyj, najwyżsi zobowiązali się służyć bezpłatnie. Urządzono w Warszawie redakcyę gazet w językach francuskim i niemieckim, aby świat wiedział o kierunku spraw polskich. Generał Kniaziewicz pojechał do Paryża, ogłosić manifest rządu i narodu. Niedowierzając pocztom pruskim i austryackim, wszelkie depesze odwozili z rąk do rąk, obywatele do Lwowa i Poznania, a stamtąd szły dalej. Na adres podany do Sejmu, dwustu przeszło obywateli ziem zabranych założyło Komitet litewsko-ruski. Upoważniono tamte prowincye do formowania legionów. Jakoż w niedługim czasie, stanęły na linii bojowej legie poznańska i galicyjska. Na Wołyniu i Podolu ruszać się poczęto — o czem później opowiem.

Na tych działaniach Rządu i Sejmu, oraz wysileniach narodu zeszedł czas aż do końca stycznia 1831 roku. Zbliżała się chwila stanowcza, w której orężem sprawę popierać należało. Za Niemnem i Bugiem rozlegały się okrzyki wojenne, gromadzących się korpusów rossyjskich. U nas — z siłami, jakie miał, naród wyczekiwał z pełną wiarą i ufnością rozpoczęcia tej nierównej walki.



ROZDZIAŁ VIII.

Co zawiera w sobie wyraz „wojna“? — Wymarsz mego pułku z Warszawy. — Smutne wiadomości ze stolicy. — Przyjęcie wysłańców do pułku w Pułtusk. — Założenie opisu wojny roku 1831. — Marsz do Wyżkowa. — Rozłożenie wojsk naszych. — Dowódca wysłał mnie po wiadomości na granicę do Ciechanowa. — Jak postąpiłem. — Powtórny marsz do tego miasta z oddziałem. — Wkroczenie Rosyan do Królestwa. — Pierwsze spotkania i potyczki zwycięskie pod Stoczkiem i Dobrem. — Środek i skrzydła wojsk naszych cofają się ku Warszawie. — Noc spędzona z dnia 18. na 19. lutego, na polach pod Wawrem. — Opowieści przy ognisku obozowem. — Wigilia bitwy. — Krajobraz jej położenia. — Antoni Dobrzelewski, oficer artyleryi. — Bitwa pod Wawrem. — Pięć dni przerwy boju. — Krytyka rozporządzeń sztabu głównego polskiego. — Potyczka pod Nową Wsią. — Opis bitwy pod Grochowem. — Mordercza walka o lasek Olszyny i jego obrona. — Generał Żymirski zabity. — Chłopski ranny. — Generał Krukowiecki pod Białą Łęką. — Atak kirysyerów rosyjskich na nasz środek i ich zgromienie. — Wojsko polskie w nocy na 26. lutego opuszcza plac boju. — Załoga ufortyfikowanej Pragi. — Generał Skrzynecki mianowany naczelnym wodzem przez Sejm. — Feldmarszałek Dybicz cfa się z główną swą armią z pod Warszawy. — Biorę udział w korpusie partyzanckim. — Co z tego wynikło.

Mowa ludzka, ten dar Boży człowiekowi dany, wiekami przezeń uprawiany, powtórzony w piśmie, które on wynalazł, posiada najrozleglejszą w każdym wyrazie obrazowość. Kiedy więc

powiem lub wyrzeknę „wojna“, to w tem wymówieniu wyobrażam na raz jeden, dwa nawały ludów sobie nienawistnych, idące przeciw sobie, by się mordować wzajemnie. Całe pobojowiska zasłane trupami, zalane krwią ludzką... Zgliszczą miast i siół spalonych... stratowaną pracę rolnika... a potem długie lata usiłowań, by zatrzeć skutki tej zjadłości.

Ten to wyraz „wojna“ rozległ się od połowy stycznia 1831 roku po całej Polsce, aż do ostatnich jej granic i wstrząsnął sercami garstki jej obrońców. Wychodziły z Warszawy za Wisłę pułki za pułkami, z wesołym okrzykiem i pieśnią... a nad tą masą ludzi zdrowych i silnych anioł śmierci rozwinął rozległe swe skrzydła. rachując tych, co już wrócić nie mieli.

Dnia 19. stycznia pułk strzelców konnych gwardyi, w którym służyłem, otrzymawszy numer 5-ty jazdy polskiej, wyszedł z Warszawy — i dobrze przygotowany. Broń opatrzona, konie świeżo okute, przy każdym siodle para podków zapaśnych, żołnierze dostali pod płaszcze krótkie półkożuszki, do ładowni po trzydzieści ostrych ładunków. Pierwszy etap był w Seroeku, na dzień drugi sztab pułku stanął w Pułtusk, szwadrony w okolicy. Pluton, którym dowodziłem, zajął kwatery we wsi Czarnostawiu.

Mnie przyjął we dworze staruszek Pomianowski, właściciel tego majątku, którego zwano szambelanem, i był nim podobno za czasów króla Stanisława. Czas był mroźny, śniegi wielkie, zima się srożyła.

Przyszły gazety a z niemi wiadomość o usunięciu się generała Chłopickiego od sprawy publicznej, i złożeniu dyktatury w ręce zebranego już Sejmu. Natychmiast pojechałem do Pułtuska dowiedzieć się bliżej co się dzieje. Zastałem oficerów naszych w rynku przed odwachem zebranych, trzymanym przez naszych szasserów, smutnych, gniewnych, zrozpaczonych nawet. Oddalenie się Chłopickiego przypisywali burzliwości zapaleńców, a głównie Klubowi patryotycznemu, wielowładnemu wówczas na bruku warszawskim. Dziwiliśmy się, że go nie rozpedził, wystrzelać nie rozkazał. Trudno nam było na razie inaczej sobie tę katastrofę wytłómaczyć. Chłopicki tak naszym jako i wojska był bożyszczem; nie wiedzieliśmy o jego bezwzględnem postępowaniu.

Kiedy tak radzimy i rozprawiamy, od warszawskich rogatek pędzi bryczka pocztowa, staje nieopodal od nas, a z niej wysia-

dają dwaj młodzi ludzie, niby wojskowi, dziwacznie ubrani. Zbliżają się hardo do nas, a jeden z nich biorąc się pod bok zapytuje: czy tu kwateruje dawny pułk strzelców konnych gwardyi? Kapitan Gotardowski odpowiada, że tak jest... a wskazując mieszkanie pułkownika Jagmina, oświadcza: że jeśli przybywają z jakimkolwiek rozkazem, mogą się do niego udać.

— Nie — mówi jeden z nich. — nie mamy żadnych rozkazów... przybyliśmy jako wysłańcy, ducha wam naprawiać!...

Oniemieliliśmy wszyscy, wzruszeni dopiero co prowadzoną rozmową, i mimowolnie otoczyliśmy tych zuchwalców. W tem Gotardowski rzuce się jak wściekły na śmiałka, porywa go wpół, a że był silny, jednym zamachem przerzuce go przez baryerę odwaehu. „Pięćdziesiąt płażów w plecy wyliczyć temu durniowi!“ — zawołał. Jeszcze nie skończył, już go szassery wzięli pomiędzy siebie... a mszcząc się za ublżenia w Warszawie doznawane, sy-pali mu razy jedne po drugich. Wił się, jak wąż, nieborak, jęczał w niebogłosey; drugiemu, blademu ze strachu, że się nie odzywał, przebaczone. Wrzucono obu na bryczkę, pocztylon zatrąbił i umknął z miasta.

Użyliśmy przynajmniej jednego zadowolenia. Odtąd już nikt nie przybywał ducha nam naprawiać.

Wzmiankuje o tem zdarzeniu, aby dać miarę o bucie i zrozumiałości tej rozhukanej młodzieży, która umiała szumieć po brukach stolicy, a później, gdy przyszło bić się z nieprzyjacielem, w większej części prochu wachać nie chciała. Ale zawsze są tacy!

Przystępując do sprawozdania o wojnie roku 1831, zastrzegam sobie głównie opis działań pułku, w którym służyłem, a tem samem opis tego, com widział naocznie. Nie pomnę obrotów korpusów i oddziałów naszych, jakie w innych punktach tego teatru walki operowały: wszystko zaś czerpać będę z pamięci i notat, jakie w różnych zbierałem czasach. W krytykę strategiczną mało się będę wdawał, nadmienię jednak o tem, jaki sąd ogólny o prowadzeniu tej wojny, doświadczeni oficerowie, z którymi żyłem, wydawali, oraz jak ja dziś ją pojmuję.

Jeżeli zaś targnę się z osobistem zdaniem, będzie to wynik obecnego mego zapatrywania się. Zamierzałem opisy bitew i ich następstwa poprzeć raportami, jakie wódz naczelny Rządowi na-

rodowemu składał, które ten Rząd w pismach publicznych ogłaszał; nie zdołałem jednak nigdzie ich odszukać. Z boleścią wyznam, iż ich nie uszanowano, ułamki więc tych wspomnień są dziś dla nowego pokolenia zupełnie zatracone.

Niedłgie były nasze kantonamenta w okolicach Pułtuska. Pułkowi dano rozkaz posunięcia się do Wyżkowa. Marsz ten był utrudzający, mróz dokuczliwy, śniegi głębokie. Wiarusom soople lodu u wąsów wisały, dla rozgrzania się często schodziliśmy z koni i postępowali pieszo. Starsi oficerowie mówili: „to coś podobnego do odwrotu z Moskwy w roku 1812“. W Wyżkowie pułk ciasno się rozłożył; mnie z półszwadronem dostała się karczma pusta z zajazdem o wytłuczonych oknach za miastem położona. W niej odbyłem pierwsze próby mego kucharstwa, gotowałem pożywienie dla kolegów, sypialiśmy na gołej podłodze, paląc całe noce na kominie.

Spodziewając się najścia wojsk rosyjskich od granic obwodu Białostockiego, wojska nasze rozciągnęły się od Narwi do rzeki Liwiec. Na tej długiej linii generał Krukowiecki trzymał lewe skrzydło, Żymirski prawe od Liwea, Skrzynecki środek. Liczyliśmy pod bronią 44 batalionów piechoty, 60 szwadronów jazdy, armat 140 — ogółem przeszło 50.000 żołnierza, ożywionego najlepszym duchem! W górze Wisły, w niejakiej odległości, obserwował na lewym brzegu tej rzeki mały korpus, składający się z sześciu batalionów piechoty, w większej części z nowo zaciężnego żołnierza, i z 28 szwadronów jazdy dobrej, do których powołano dymisyonowanych z przed roku 1830. Tu dowodzili generałowie Sierawski (mój ojciec), Dwernicki i Dziekoński. — W twierdzy Zamościu, były cztery bataliony piechoty starej, w Modlinie trzy. Pułk nasz należał do wojsk dowodzonych przez generała Skrzyneckiego; wysunięto go naprzód środka, jak już powiedziałem, do Wyżkowa.

W parę dni wezwany do mego pułkownika, odbieram rozkaz udania się sam i bez eskorty, przez miasteczka Brok i Nur do Ciechanowca, mieściny nad samą granicą położonej. W przejeździe uważać na stan dróg i mostów; wszędzie zbierać wiadomości o położeniu i siłach wojsk rosyjskich tuż za granicą obozami stojących; gdyby się dało, zlecił mi pułkownik wysłać szpiegów do Ciechanowca, na ich wynagrodzenie doręczył mi złotych 300.

W owym czasie w każdej wsi i miasteczku stały gotowe furmanki dniem i nocą, które podawane depesze lub rozkazy jadącymi oficerami odwoziły; takimi to podwodami na saniach ośm mil jednego dnia ujechałem. Pod Nurem, zmieniając konie u właściciela wsi, dowiedziałem się, że w tem mieście jest burmistrzem dymisyonowany nasz oficer i dobrze myślący. Udałem się do niego — mało co on wiedział, ale oświadczył mi, iż nazajutrz pojedzie ze mną do Ciechanowca, że tam ma związki i znajomości, tem samem będzie można o czemś się dokładniej dowiedzieć. Zgodziłem się na to; na dzień drugi odmieniwszy naboje w pistoletach, z burmistrzem uzbrojonym w dubeltówkę i szpadę, dzielną trójką podlaskich koni wnet przelecieliśmy dwumilową drogę do Ciechanowca.

Miasteczko to właściwie składa się z dwóch części — jedna na naszej stronie, druga już za granicą, przedzielona rzeczką Nurzec, na której rzucony most łączy je obiedwie. Wjeżdżamy na rynek przed mieszkanie burmistrza, gdzie zarazem i poczta była. Na widok oficera polskiego, w kasku z orłem białym, wnet zbiegli się w znacznej liczbie mieszczanie, a głównie ciekawi żydzi. Wchodzimy do kancelaryi, zrywa się z krzesła stary jakiś burmistrz, a załamując ręce zmieszany mówi: „na miłość Boską! Co tu pan robisz?... wszakże tu Moskale stoją ztąd o kilkanaście kroków za mostem!“ — „Czy wchodzą do miasta?“ — pytam. — „Wchodzą — mówi — pojedynczo po tytoń i chleb, mogą pana zabrać, jak kilka dni temu schwycili ztąd niedaleko jakiegoś oficera od ułanów“. — „No... może w tej chwili nie przyjdą“ — odrzekłem. Biorę go do drugiej izby i badam, ale tylko wiedział, że wielkie wojska rossyjskie są wyciągnięte na samej granicy, obozują na polach, i lada dzień wkroczą. Po powrocie do kancelaryi uderzył mnie widok młodego człowieka, z jakimś nieopisanem uwielbieniem na mnie patrzącego; był to pisarz miejscowy. Znow z burmistrzem z Nura i tym pisarzem osobną naradę odbyliśmy, a po przekonaniu się, że granica nie jest ściśle strzeżona, stanęło na tem, że obaj wyszukają szpiegów, wyszłą ich w nocy za Nurzec. Że ich znalezienie i namowa wymagała czasu, burmistrz radził mi natychmiast wracać do Nura, obawiając się, aby mnie nie schwytano, zapewniając, że niedługo za mną powróci.

Nie było co dłużej robić w mieście; siadam do sań, stary burmistrz mnie wyprowadza, tłum żydowstwa wokoło stoi, ruszam z miejsca całym pędem koni, w dobrą godzinę już byłem w Nurze. W nocy burmistrz powrócił i zapewniał, że dowiemy się coś pewnego, szpiegi poszli do obozów rosyjskich z tytoniem na sprzedaż.

Nazajutrz raniutko znów z moim gospodarzem jedziemy do Ciechanowca, pisarz mnie już oczekiwał i doniósł, że szpiegi powrócili. Badani osobno, a był jeden żyd, drugi szewe, zeznali: że za miastem stoi generał Glazenapp, z wojskiem przeszło 25.000 liczącem; armaty wyciągnięte w dwóch liniach około 50-ciu. Inne wojska obozują pod Brańskiem, Sokołowem, Siemiatyczami, Drohiczyńnem — tych liczba wielka; wkroczenie do Polski naznaczone na dzień 5. lub 6. lutego.

Wynagrodziwszy szpiegów po złotych sto srebrem, umykamy z miasta. W Nurze nim się posiliłem, nim konie zaprzężono, dogania mnie ów pisarz z Ciechanowca z małym węzełkiem w rękę, prosi i błaga, aby go wziąć z sobą, bo chce iść do wojska. — „A umiesz konno jeździć?“ — pytam... — „A, panie, przecieżem Podlasiak... a strzelam w lot kuropatwy i jaskółki...“ — „No, to jedź ze mną“ — mówię. Tak więc przywozłem do pułku wiadomość i ochotnika.

Opowiadał memu dowódcy, com się dowiedział, kazał mi usiąść i napisać raport. Po przeczytaniu pułkownik Jagmin rzekł do mnie: „Poruczniku, dobrze zaczynasz, urodziłeś się, jak widzę, na dobrego oficera“. Raport mój tej godziny w oryginale posłano generałowi Skrzyneckiemu.

4-go lutego w wieczór, znów mnie wzywają do pułkownika; oświadczył mi, że generał Skrzynecki rozkazał powtórnie wysłać mnie pod Ciechanowiec na rekonesans, tym razem z oddziałem dla bezpieczeństwa. Kontent z tego zaufania, w nocy ruszyłem, wzięwszy ze sobą 18 żołnierzy. Postępowaliśmy ostrożnie, co wieś dowiadując się o nowiny. Tak uszliśmy ze 3 mile; w lasach niedaleko Broku słychać daleką trąbkę za nami; sądziłem, że ktoś pocztą jedzie — ale ten głos coraz się przybliża... poznaję w końcu, że to nasz sygnał: „Stój!.. stój!..“ Wkrótce też dopada trębacz pułkowy na spienionym koniu, oddaje mi karteczkę a w niej napisano: „wracać natychmiast — Rosyianie już wkroczyli“.

Wracamy więc małym truchtem oglądając się; w Wyżkowie zastajemy pułk zebrany i gotów: — w nocy wymaszerowaliśmy, cofając się ku naszym liniom; Bug pod Wyżkowem przeszliśmy po moście, zniszczywszy go za sobą. Pod Jadowem, należało przebyć rzekę Liwiec, most był bardzo słaby, odwilż lody osłabiła, trzeba było sznurem po koniu rzekę przechodzić, o kilkanaście łokci poniżej już woda się sączyła. W Radzyminie znaleźliśmy kilka batalionów piechoty naszej i baterię artylerji, z tem wojskiem poszliśmy ku Warszawie.

Wojska rossyjskie istotnie kilkoma punktami wkroczyły do Królestwa 6. lutego. Generał książę Szachowski z korpusem grenadyerów przeszedł Niemen pod Kownem, Manderstern pod Grodnem, Pahlen z pierwszym korpusem litewskim przebył Narew pod Tykocinem, Rosen pod Surazem, generał Witt z całą jazdą za Pahlenem, Wielki Książę Konstanty z rezerwami za Rosenem. Krentz i Gejsmar przebyli Bug pod Uściługiem, Krentz zajął 9. lutego Lublin i przepawił się przez Wisłę pod Puławami wkraczając w województwo sandomierskie, Gejsmar posunął się aż do Siennicy, jakie mil siedm od Warszawy. Tak Dybiez, ruszywszy z Białegostoku, gdzie miał główną kwaterę, gromadził pod Warszawą przeszło 90.000 żołnierza i więcej jak 200 armat. Postanowił nie czekać na nadejście korpusu grenadyerów pod Szachowskim, stoczyć z nimi jedną walną bitwę, wziąć Warszawę i skończyć od razu z polskim powstaniem.

Pierwsze kroki wojenne rozpoczęły się na dalekiem naszym prawem skrzydle; przeciwko wysuniętemu naprzód generałom Kreutzowi i Gejsmarowi, nasi generałowie Sierawski i Dwernicki stanęli; ten ostatni przepawiwszy się pod Magnuszewem, w kilka batalionów piechoty, sześć dział i sześć szwadronów Krakusów, oraz siedmnaście starej jazdy, pod miastem Stoczkiem, rozbił zupełnie Gejsmara, ubił mu i wziął do niewoli przeszło 1.000 żołnierza, uchwycił jedenaście armat, poczem wrócił za Wisłę, pod Górą Kalwaryą połączył się z Sierawskim, by iść na Kreutz.

Jednocześnie generał Skrzynecki pod Dobrem, w ośm batalionów piechoty wstrzymał następującego Rosena i również do tysiąca ludzi mu położył. Żymirski na bitym trakcie, do Kałuszyna wiodącym, dwa dni mężnie ścierał się z korpusem Pahlena. 18. lutego podali sobie ręce z swemi dywizjami Skrzynecki i Szem-

bek. Krukowiecki zajął pozycję pod wsią Kawenczynem już pod Warszawą, reszta wojsk naszych stanęła pod Miłosną, linia druga pod Grochowem.

Pierwsze więc spotkania poszły szczęśliwie. Żołnierz mężnie dotrzymywał placu, szedł w ogień odważnie, cofał się pomału, bo mu tak kazano. Ścieśniał się plac boju pod samą stolicą. Rossyanie, ufni w swą liczbę i przewagę artyleryi, w jednej bitwie spodziewali się nas pokonać, ale na ten raz się omylili.

W marszu pułku naszego pod Okuniew, dowódzca zawiadomił mię, że za ów rekonesans z Wyżkowa do Ciechanowca, wódz naczelny mianował mnie porucznikiem.

Noc dnia 18. na 19. lutego, pułk nasz spędził na pierwszej linii, obozując na polach, prawie na prawem skrzydle wojsk naszych. Przed temi polami szeroko się rozpościerały lasy Miłosnę zasłaniające, przy nas obozowała bateria artyleryi pieszej. Od naszego lewego, obszernym łukiem wojska przecinały trakt bity do Mińska i w dali łączyły się z dywizją Krukowieckiego pod Kawenczynem. Mieliśmy tę korzyść, że mniejszy łuk koła zajmując, zagnaliśmy nieprzyjaciela do szerokiego przed nami rozwinięcia się, a tem samem siły się równoważyły.

Noc była ciemna i mroźna — ziemia zmarznięta, świeżo ucięte drzewo z okolicznych zarośli palić się nie chciało, — bitwa na dzień następny była zapowiedziana.

A wiesz ty, czytelniku, co to jest wigilia, noc ostatnia niezawodnej bitwy, w której pierwszy raz masz wziąć czynny udział?... Jeśliś kiedy był wyzwany lub wyzywający do osobistego starcia z przeciwnikiem, to coś podobnego doświadczałeś, ale w małym rozmiarze. W takowej pojedynczej rozprawie wiąże cię twój honor. Tu idzie o honor i sławę twej Ojczyzny, o sprawę twych rodaków; jeśli pojmujesz ten obowiązek, w zimnem skupieniu ducha twego potęgujesz go w sobie. Miłem ci jest wprawdzie to życie, przypominasz sobie daleką swą rodzinę, przyjaciół, miejsce urodzenia, przeszłość swą całą. Niepewny, czy jutro obaczysz zachód słońca, żegnasz wszystko co ci drogiem było... wolno ci zatęsknić za twymi ukochanymi. Ale pomału, jeśli w twej piersi chrobre bije serce, górować zaczyna pojęcie powinności dla kraju i gotowość spełnienia najszczytniejszej z twej strony ofiary, bo życia. — Podniesiesz siłę moralną do potęgi, i powiesz sobie.

„będę mężnym, bom powinien — a jeśli Bóg mnie powoła do siebie po upływie tych kilkunastu godzin, krew moja rozlana będzie jedną kroplą więcej do tej strugi, jaką ojcowie moi w tej świętej sprawie wytoczyli — i wsiąknie ona w tą rodzinną ziemię moją!“ — I zmęźniejsz sercem, wzmocnisz się duchem i ciałem... a pamięć, że ktoś z bliskich wyleje łzę po tobie, będzie ci pociechą.

Owej nocy byłem na służbie w pułku; po obejściu kilkakrotnem szwadronów w kolumnie ściśniętych, po spożyciu skromnej strawy w kociołku sporządzonej, siadłem przy ognisku mego oddziału, tuż moi żołnierze to leżąc to siedząc, drzemali lub rozmawiali. Konie chrupały owies w sakwach, cisnąc się łbami do ognia, bo mroźny wiatr dokuczał. Wedety nasze zdala się odzywały, w lasach Miłośny szeroka łuna ognisk obozów rosyjskich świeciła.

— „Poruczniku! — odezwał się jeden z moich wesóło — będziemy się bić jutro?“

— „Będziemy — odpowiadam. — Rachujcie chłopcy na nas oficerów, pojedziemy przodem, zobaczycie... jeśli rozkażą iść do szarży na kawaleryę, pamiętajcie trzymać konie w cuglach, a ostróg nie żalować... jak ją dojdziemy, szablami młynka gęstego w lewo lub prawo; odbijesz cięcie lub lancę ułana, to przez łeb przeciwnika, a głównie nie rozpraszajcie się, szlusujeie do siebie kolano do kolana. W pojedynczem starciu, zawsze przeciwnikowi zajężdżajcie z lewej jego strony, cięcie jego będzie trudniejsze, a ty łatwiej mu krwi dobiedziesz. A może na piechotę lub armaty, nachylić się wtenczas nad karkiem koni — wystrzelą... wpaść na nich całym pędem, stratować... a jak wywierem w nich dziurę, skoczyć w nią tłumem, a rąbać co sił po łbach i bagnietach — pchać się głębiej — rozbijem ich niezawodnie!... tak uczą starzy nasi oficerowie.“

Słuchały wiarusy z największem zajęciem, a wąsate ich oblicza, ogniskiem oświecone, istotnego męztwa obraz przedstawiały; któryś się odezwał znowu: „już spać nie będziemy... zapalmy fajki“ — i zaczęli sobie opowiadać to i owo, a skończyli jak to zwykle bywa na swoich romansach z Warszawiankami. Mnie przy ognisku zaczęły się sklejać powieki, zdrzemnąłem chwilkę, ale się ocknął natychmiast... „Ot, bajecie bzdury chłó-

pey — rzekłem. — Abym nie spał, ja wam co opowiem“. Zapowiedziało milczenie, a ja po namyśle zacząłem:

„Za dawnych bardzo czasów, bo lat temu czterysta — królową u nas była przesłiczna dziewczyna — a mówię dziewczyna, bo była młodziutką panną — na imię jej było Jadwiga. Polska nasza nie posiadała jeszcze tak obszernych krajów, jak później, a graniczna Litwa zostawała w pogaństwie. O rękę Jadwigi starało się wielu niemieckich książąt, kochała z nich nawet jednego, ale naród swój więcej. Gdy się zgłosił książę i władca całej Litwy, Jagiełło, a obiecał z całym swym ludem przejść na naszą wiarę, poszła za niego, i został naszym królem — a Polska wzbijała się w siły. Z Litwą wojowali ciągle Niemcy rycerze, pod pozorem niby jej nawrócenia na chrześcijańską wiarę, a w istocie dla zaboru jej krajów i ciemnienia ludu; broniła się Litwa, ale Niemcy mieli przewagę. Jagiełło zostawszy królem polskim, poszedł na nich z wojskiem polskim, a pomagał mu Witold, brat jego z Litwinami. Oba wojska stanęły naprzeciw siebie, na ziemi nam przez Prusaków zabranej pod Grunwaldem. Gdy nasz Jagiełło słucho Mszy świętej, błagając Boga, by mu dał zwycięstwo, Niemcy przysłali mu jakby na pośmiewisko trzy miecze mówiąc, że mu ich brakuje; król je przyjął i rozkazał swoim szykować się do boju. Ruszyli Polacy i Litwini, śpiewając pieśni nabożne, Niemcy hardo i z urąganiem. Bitwa trwała dzień cały, a lubo Niemcy okryci byli pancierzami i w żelaznych hełmach na głowie, rozbił ich zupełnie Jagiełło, położywszy im trupa 40.000 rycerstwa a z nimi ich najstarszego wodza. Odtąd już Niemcy nie tylko nas szanowali, ale się i bali. A Litwa połączyła się z Polską i wierną nam dotąd pozostaje.“

— „I to prawda, panie poruczniku?“ — odezwał się któryś?...

— „Taka prawda, jakbyś tam był... w katedrze krakowskiej wiszą dotąd sztandary na tych Niemcach zdobyte — a ja widziałem jeden z tych trzech mieczów, jakie oni królowi naszemu przysłali.“

Nastąpiło krótkie milczenie, poczem ogólna rozprawa, jak to było, jak bitwa szła, czy mieli Niemcy armaty — to wszystko należało im tłómaczyć. Nareszcie jeden krzepko zrywając się od ogniska na nogi, ze ściśniętą pięścią zawołał: „Będziemy się bić

i z Rossyanami, ale wolalbym z Prusakami... oj kiereszowalbym im pyski niemieckie, azby zębami pluli...“

Gdy się dosyć nagadali... „Ej poruczniku! jeszcze prosimy nam co opowiedzieć. Łakomi jesteśmy słuchania...“

— „Dobrze chłopcy — jutro bitwa — o bitwach wam opowiadać będę, ale przyłóżcie gałęzi do ogniska“ — spojrzalem, i oto zgromadziło się ze trzydziestu żołnierzy na słuchanie — zapalili fajki, a ja dalej:

„Dawno, dawno, bo już temu będzie lat ze sto pięćdziesiąt, Polska miała nietęgiego króla, ale dzielnego hetmana, jak by dzisiaj generała wojsk swoich. Bił okrutnie Turków, którzy nam kawał kraju zabrali i odbił to wszystko. Król umarł a naród polski owego hetmana królem przez wdzięczność obrał. Turcy, nie mogąc z nami poradzić, obrócili się na Austryaków. Zwyciężali ich wszędzie i podstąpili krociami wojsk pod stolicę Wiedeń — z tej cesarz austriacki uciekł, wyblagał u papieża, aby namówił naszego króla przyjść mu w pomoc i chrześcijaństwo bronić. Król się skłonił i poszedł w trzydzieści kilka tysięcy Polaków pod Wiedeń i tu się z nim połączyły resztki wojsk austriackich. Wojska polskie rozłożyły się obozem niedaleko Turków. Król z generałami austriackimi wyjechał na pagórek znaczny, by rozpoznać, jak się wziąć do tych pogan; za nim stała chorągiew, a po naszymu szwadron polskich husarzy. Była to sama szlachta, na dzielnych koniach, w pancierzach i hełmach żelaznych, a w rękę dzidy na cztery łokcie długie z ostrym grotem i chorągiewką.

Król długo się przypatrywał tureckim obozom — a widząc po twarzach obcych generałów, że wątpią, aby im dał radę, zawołał na rotmistrza owej chorągwi husarskiej i mówi: widzisz waść ten wielki i wysoki namiot w tureckim obozie z półksiężycem na chorągwi?

— Widzę, Najjaśniejszy Panie — odpowiada.

— Ruszaj waść z swymi i obal mi ten namiot.

Zdumiali obcy dowódcy — rotmistrz skoczył do swoich i zakomenderował: Ławnego mości panowie! skrócić cugle! pójdzim z rozkazu króla na Turków! i poszli kłusem; — kiedy się zbliżyli na paręset kroków, wypuścili konie całym pędem, nachylając dzidy rozbijali jedne po drugich te tłumy, mordując wszy-

stkich po drodze — dotarli do owego namiotu — i potem wracali... i czy uwierzycie, w tej strasznej szarży padło ich tylko kilkunastu!... a co pogan wykłuli, tego nikt nie zliczył...“

— „A to chwaty! a to dzielni ludzie! — wołało całe otoczenie... Chyba tego rotmistrza król zrobił generałem i dał mu krzyż?“

— „Nie chłopcy — krzyżów wówczas nie rozdawano, rotmistrz nie został generałem — król mu tylko podziękował, a pokręciwszy sumiastego węża, spozjrzał wesoło na niemieckich generałów.“

— „A oni co na to?“

— „Oslupieli ze zdziwienia“.

— „Cóż się potem stało?“

— „Król zbił Turków zupełnie, odpędził od Wiednia — cesarz austriacki prawie mu nie podziękował, a Polacy powracając do Ojczyzny, żywność sobie kupować musieli.“

— „Ale jak się nazywał nasz król?“

— „Jan Sobieski — pamiętajcie o tem.“

I długo jeszcze szła gorąca gawęda o Sobieskim i o owym rotmistrzu — jam wstał, obszedł szwadrony. Że dopiero północ była, a do dnia daleko, położyłem się na zagonie; żołnierze z głową derami mnie nakryli — zasnąłem twardo.

Dziś, gdy sobie przypominam ten obrazek obozowy, z dumą wołam: „to był jeszcze żołnierz polski“.

Po długich tej nocy godzinach, jaśnieć niebo na wschodzie zaczynało, poprawiono ognisko, mój ordynans nabrał śniegu w kociołek z pobliskiej bruzdy, przystawił do ognia, by mi herbatę przygotować. Wstałem, poszedłem rozbudzić pułkowych trębaczy; niedługo też zabrzmiała pobudka, której głosy szeroko popłynęły po dolinie.

Odezwali się też innych pułków trębacze i bębny piechoty za nami stojącej; obozy zaczęły się ruszać, placówki rozpoczęły swą ranną zmianę, zluźowane ziębnięte, wracały do obozu.

W miarę, jak się rozjaśniało, pomału rozpoznawaliśmy kraj-obraz, przed nami się rozciągający. Obszerne pole w prawo i lewo roztaczało się, na strzał armatni naprzód, czernił się pas lasu, a w nim luka wyrębu mgłą w głębi zasłonięta; przed naszą ar-

tyleryą, jakieś pieńki dość gęsto po polu rozsiane, za nimi pod lasem wzniesienia gruntu o piaskowych łysinach.

W tem miejscu, godnem być uważam wspomnienia, znalezienie się jednego z oficerów artyleryi tuż przy nas stojącej, którego w długie potem lata tu w Piotrkowskiem bliżej poznałem.

Antoni Dobrzelewski, dowódzca skrzydłowego plutonu pomienionej bateryi, równo ze świtem dojrzawszy owe piaszczyste wzgórza pod lasem, powiedział sobie, że na tych wyniosłościach rozwinie się artylerya nieprzyjacielska. Rozkazał przeto podoficerowi swemu ściśle odmierzyć krokami od nich odległość. Podoficer to uskutecznił — zaraz zobaczymy skutki tego trafego pomysłu.

Około 9 rano, forpoczty nasze pod lasem stojące, zaczęły się w miejscu ujeżdżać, co znaczyło, że nieprzyjaciel się zbliża. Siadamy na koni, pułk się rozwija, artylerya odprzodkowała działa, lonty zapalono.

W niedługim czasie rozpoczęło się strzelanie na forpoczach, kozactwo i jakaś lekka kawalerya uciera się z naszymi. W pół godziny, wychylają się z lasu czoła kolumn piechoty rossyjskiej — artylerya ich staje na wspomnianych wzgórzach i pierwsza rozpoczyna bitwę wystrzałami — nasza baterya jej odpowiada. Komendant jej, rekognoskujący lunetą skutki swej działobitni, przyskakuje do Dobrzelewskiego i woła: „Brawo poruczniku, zdemontowałeś im działa!“ — „Będzie tego więcej“ — ten odpowiada... sam działa celuje, pilnuje nabicia, grzmią jego armaty, a naprzeciw druga... trzecia się obala. Nareszcie pocisk z granatnika tego plutonu wyrzucony, trafia w jaszczyk prochowy rossyjski — następuje straszna eksplozja, a za nią zamieszanie... „Vivat Dobrzelewski!“ — wołają oficerowie i kanonierowie naszej bateryi — a ten na to: „tysiąc tyle a tyle kroków dystansu!... mierzyć dobrze!... i salwa całą baterya!...“ i tak postąpiono — jękła ziemia pod jednorazowym gromem bateryi; gdy dym się rozszedł, ujrzeliśmy jak nieprzyjacielska, zbita na miejscu reszta, co pozostała, w tyły odciągnęła. Dostał Dobrzelewski za to krzyż wojskowy oficerski.

Pod ogniem tak zniszczonej bateryi, straciliśmy kilkunastu ludzi i koni. Ciekawie przypatrywałem się skutkom strzałów armatnich, dziwiłem się warczeniu kul działowych, które to nam przelatywały nad głowami, to puszczone rikoszetem, odbijały się

od ziemi, lecąc wściekle w dalszym kierunku. Padła też kula w mój pluton, wyrwała całą rotę... a uderzenie jej w ciało ludzkie lub końskie, podobnem było do plaśnięcia w jakieś ciasto z niezwykłą siłą.

Rossyanie w czworobokach wychodzą z lasu. Nadjeżdża generał Szembek i daje nam rozkaz iść do ataku. Na daną komendę idziemy linią silnym kłusem — dalej galopem, na jakie sto kilkadziesiąt kroków od nieprzyjaciela, rzucamy się całym pędem koni — jeszcze kilka sekund... widzę jak się nachylają ich karabiny... hasło... zagrzmiały strzały, dym chwilę ich zasłonił, aleśmy już dobiegli... pod silnem uderzeniem koni, wywracają się pierwsze szeregi, rąbią nasi... pchają się do środka karabatalionów, broni się piechota bagnietami... jeszcze jedno wysilenie z naszej strony... wdzieramy się w ich kolumny... już rozbici uciekają!... Następuje rąbanina i pogoń, szwadrony nasze się rozsypują — tuż las, który ich zasłania — dalej gonić niepodobna.

Pułk rozbił ze szczerem dwa czworoboki, stracił rannych i zabitych kilkudziesięciu ludzi i koni; porucznik Szamowski, trafiony kulą w twarz, która mu szczękę rozerwała, spadł z konia. Żalany krwią, chociaż mógł iść, bo mu konia zabito, zmylił nieprzytomny drogę, poszedł naprzód i wzięto go do niewoli; podporucznik Ostrowski ranny silnie w bok bagnietem; Edward Tys złamał pałasz na karabinach nieprzyjacielskich.

Na naszej prawej, w gęstych drzewach, gajach i ogrodach Saskiej Kępy, silny rotowy ogień i strzelanina; tam się bije dawny pułk grenadyerów gwardyi naszej, trzymający pozycję, by nas nie flankowano; pułk nasz wraca na swe stanowisko, wprowadzając rannych; na lewo w środku bitwy i w dali gęste strzały armatnie świadczyły, że tam się toczy bój zawzięty. W godzinę rozkazują pułkowi iść w środek bitwy: idziemy szóstkami od lewego, znów wchodzimy na linię strzałów innych rossyjskich bateryj, znów obalają się nasze szasery i konie, docieramy do traktu bitego — z prawej i lewej strony szosy stały nasze baterye, silnie odpowiadając artylerji rossyjskiej; po za naszymi działami należało nam przejść w poprzek szosy, a tu po tej żwirowej drodze, pod krzyżowym ogniem kule przelatowały. Przeszedł czwarty szwadron pułku, zostawiając kupę ludzi i koni; nadechodzę i ja jako prowadzący pierwszy półszwadron trzeciego, widzę ten szła-

chtuz... „Dalej wiara! — krzyknąłem — szpory koniom i galopem w lewo!...“ W mgnieniu oka przeszliśmy oba burty szosowe, mijamy to fatalne miejsce, dochodzimy do asekuracji armat, którą trzymała nasza piechota, stojąca z zimną krwią pod ogniem działowym z bronią u nogi. Zamierzamy obejść ją z tyłu frontu, ale piechota woła: „nie tędy szasery!... po przed nami!...“ Zwrócił czoło pułku pułkownik i stępa idąc przed piechotą postępujemy, a muzyka nasza brzmi: „Jeszcze Polska nie zginęła!...“ Na to piechota, jakby jedną pierśią wykrzyknęła: „Vivat! vivat! dzielne szasery!...“

Bitwa trwała do samej nocy. Utrzymaliśmy się na wszystkich pozycjach, nigdzie nam naszych linii nie przełamano. Ciemno już było, gdyśmy się cofali na pola Grochowa, na te same pola, tyłkrotnie krwią polską w ubiegłych czasach zbroczone. Bitwa ta nazwaną została „pod Wawrem“.

Na noc pułk stanął pod kolumną żelazną przy szosie, na pamiątkę jej usypania postawionej. Pułkownik Jagmin zebrał oficerów, dziękował gorąco, a zwracając się do nas młodych, rzekł: „odbyliście panowie pierwszy chrzest krwi i wojowników. odtąd jesteście starymi żołnierzami“.

W nocy, przy ogniskach, znów gawęda w półszwadronie o dniu ubiegłym, bitwie i opowiadania, żal wreszcie za tymi, którzy tam daleko martwi leżą na ziemi; stary wąż się odezwał: „to darmo... gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecieć muszą; przecież nie wszystkich nas wystrzelali“.

Zbiorowo zebrane wiadomości tej pierwszej walniejszej bitwy objaśniły, że Rosyianie wystawili w niej przeszło sto armat i 60.000 żołnierza różnej broni. Straciliśmy w zabitych i rannych do 3.000 ludzi; dwakroć tyle Rosyianie, bo celniejsze były strzały naszej artylerji i piechoty. Zagwożdżono im dziewięć armat, zdo-
byto jeden sztandar.

Wysłał się wszelkimi siłami nieprzyjaciel, aby nam odebrać lasek olszyny, stanowiący środek wysuniętej naprzód naszej linii obronnej i klucz do opanowania dwóch traktów do Warszawy wiodących. Za tą olszyną były obszerne pola, kończące się lasami, jakie Rosyianie zajmowali, z których wysyłali swe kolumny atakowe. Bronił olszyny z nieopisanem męstwem 4-ty pułk liniowej piechoty, flankowany przez dwie baterje z każdej strony.

Szły rosyjskie pułki do ataku masami; rozbite, luzowały wnet inne; póki starczyło korpusu Pahlena, wdzierały się do lasku, ale zawsze z ogromnemi stratami je odpierano. Po południu ustąpił waleczny pułk 4-ty, zastąpiła go brygada generała Giełguda i posiadanie olszyny utrzymała.

W tej to bitwie, nasi ochotnicy wybiegali naprzód i rzucali Rosssyanom białe sztandary z rosyjskim napisem: „Za naszą i waszą wolność“. Chwytało je nieprzyjacielskie żołnierstwo jako trofea... Karano ich za podniesienie, już ich w następstwie nie ruszało.

Feldmarszałek Dybicz uszanował waleczny opór Polaków; przekonał się jawnie, że temi siłami, jakie miał pod ręką, nie zdoła nas zgromić; postanowił zaczekać na przybycie korpusu grenadyerów księcia Szachowskiego, liczącego 20.000 żołnierza. Cofnął więc znów do lasów swe wojska, wystawił na widok białą chorągiew, porozumiano się, strony walczące zajęły się grzebaniem poległych.

Pięć dni dał nam wypoczynku Dybicz, co przekonywało o jego niemocy. Mieszkańcy Warszawy wysypali się, przywożąc lub przynosząc wojsku swemu obfitą żywność i dziękczynienia; obozy ludnością się zdwoiły, bo sądzę, że z miasta przybyło ze 30.000 kobiet i mieszczan. Obozowaliśmy na prawem skrzydle — od Wisły i Saskiej Kępy generał Szembek, — Żymirski trzymał olszynę, przy nim Skrzynecki — na lewem od Białoleki generał Krukowiecki, niżej ku Warszawie, kawalerya Tomasza Łubieńskiego i Umińskiego, który zdołał uciec z pruskich więzień i przybył walczyć z nami.

Ówczesna krytyka wojenna zarzucała, że należało korzystać z czasu i w oczekiwaniu drugiej walnej bitwy, wzmocnić naszą linię bojową połowemi fortyfikacyami. Mówi ona również, iż koniecznem było nie dopuścić połączenia się korpusu grenadyerów Szachowskiego z Dybiczem, który dopiero nadechodził; zresztą uważano, że wydanie drugiej, a energiczniejszej ze strony Rosssyan bitwy pod Grochowem, mając za sobą szeroką Wisłę już ze słabym lodem i o jednym moście w razie pogromu, mogło zgubić naszą armię. Chłopicki, który był radą naczelnego wodza Radziwiłła i sam nieledwie bezpośrednio wydawał rozkazy, pominął te uwagi, a może też nawet do myśli mu nie przyszły.

Tego samego dnia 19. lutego, połączeni generałowie Sie-rawski i Dwernicki, pobili wojska generała Kreutza pod Nową Wsią, niedaleko Kozienic i zmusili je do cofnięcia się za Wisłę w Lubelskie.

Szedł tymczasem pospiesznym marszem Szachowski, przednie jego straże zajęły Zegrz; Dybiez zamierzył dać mu niejaki wypo-czynek, ale stało się inaczej.

Jaskrawo zeszło słońce zimowe 25. lutego, dopalały się na-sze ogniska obozowe; żołnierz spożył przededniem co miał, konie napasiono, staliśmy przy nich pieszo, oczekując rozkazów; nade-szły też wkrótce, przeszliśmy na zupełne lewe skrzydło naszej linii. Przed nami w dali i w odstępach, czerniały się dachy wsi Ząbki i Kawenczyna, kończyły widok wierzchołki wysokich drzew — tam była Białoleka.

Okolo 9-tej rano odezwały się działa w tamtej stronie: tu-many podnoszących się dymów strzałowych, okazywały bitwę w jednym miejscu toczoną. W pół godziny jednak jedna ich chmura zdawała się ustępować ku pozycyom wojsk rosyjskich, druga ścigając ją, wyraźnie następowała — to Krukowiecki bił się z Szachowskim i parł go dzielnie.

Tak też było w istocie. Szachowski z korpusem grenadye-rów spieszył połączyć się z Dybiezem; pod Białoleką trafił na brygadę naszą generała Małachowskiego; pięć razy silniejszy, znalazł w niej tak silny opór, że się zatrzymać musiał, a gdy nadbiegła brygada Giełguda z Krukowieckim i artyleryą, zniewo-lony został zaniechać dalszego pochodu i tu bój stoczyć. To spo-wodowało feldmarszałka do rozpoczęcia ogólnej walki, bitwa też zawrzała na całej linii.

Od godziny 10-tej rano, przez dzień cały toczącego się boju, staliśmy w miejscu w asekuracyi armat, padali ludzie i konie... silna przeciwnie artylerya przeredzała nasze szeregi. — Co chwila trzeba było postępować naprzód kilkanaście kroków, by wyrównać szwadrony i usunąć się od widoku poległych i ran-nych, których z tyłu zostawialiśmy. Przykrzyła się też najmocniej takowa bezczynność, takie poddanie się rzezi bez żadnego odwetu. W środek plutonu porucznika Bobrownickiego wpada granat...

wierci się i dymi na ziemi... spłoszone konie chrapiąc cofają się nieco, w tem pęka tak nieszczęśliwie, że czerepami siedmiu obala żołnierzy. „Słusuj!... i naprzód równaj się!“ — woła mężny Bobrownicki, któremu koń zwinął się pod tą eksplozyą i wnet wyrównały się wiarusy. Z drugiej linii dopada pułkownik Czarnomski, dowódca 2-go pułku strzelców konnych, z konia uściskał Bobrownickiego i mówi: „Gdybym był władny, przypiałbym ci mój krzyż do piersi! Niech żyje gwardya szaserów!...“

Trzeba być naocznym świadkiem takich zdarzeń, by pojąć, ile w ogniu podnieca żołnierza podobna pochwała! ale chcąc ją odczuć, należy być prawdziwym żołnierzem.

Niedługo potem, kapitan mój, Terlecki, stojący przed szwadronem, obraca się doń dla jakiejś komendy; przychodzi kula armatnia, trafia w zad konia, bryzgnęła krew w górę, wali się koń na ziemię i przyciska sobą Terleckiego. Sądziłem, że zginął na miejscu. Żołnierze dopadają, odciągają drgającego jeszcze konia, podnosi się dzielny kapitan krwią zboczony i woła: „podać mi innego z frontu“.

Stałem na skrzydle mego szwadronu; między nim a drugim w szerokim dystansie usadowiła się baterya nasza artyleryi; o kilka kroków odemnie stał pluton jej, dowodzony przez dobrego mego znajomego, porucznika Chrząszczewskiego. Był to oficer młody, mężny, wesół zawsze w ogniu i w obozie. Biegał od działa do działa, sam celował, zachęcał kanonierów, wołał o szybkie podawanie ładunków z jaszcyków, a strzały jego były celne, bom widział ich skutki. Z najwyższem zajęciem przypatrywałem mu się, czasem zamieniliśmy słów kilka. Gdy tak Chrząszczewski celuje, przychodzi kula armatnia rossyjska, uderza go w piersi i rozrywa na dwoje... Pod tym widokiem zeskoczyłem z konia, pobiegłem do obalonego; zgon był tak nagły, że ani jeden nerw w twarzy, ani jeden muskuł już nie drgał; oczy miał tylko otwarte i pięście ściśnięte. Te resztki dzielnego młodziana zawinęli żołnierze w końską derę i w tył odnieśli, gdzie już kilkanaście trupów leżało. Westchnąłem głęboko, mówiąc sobie: „Zginąć... to tak, jak on...“

Nareszcie około 2-giej z południa rozwija się przeciwko nam szeroko ogromna masa kawaleryi, zapewne w zamiarze złamania nam skrzydła pozycyi; dowódzcy nasi przebiegają front, wydając rozkazy; pójdziemy na nich z miejsca, a było nas szesnaście

szwadronów, druga linia jazdy w pomoc nam się zbliża. W tem silny i ciężki tentent gdzieś z boku słychać... to bateria konnych naszych raketników. Staje rozrzuciona po łukach szwadronów, ustawia swe lawety, race kongrewskie zakłada. Idą Rosyianie — już słychać ich komendy... już są na galopie... kiedy ryknęły kartaczami nasze armaty, race kongrewskie sycząc jak żmije, sypią się na tę jazdę, długie ogony dymów za sobą pozostawiając, palne iskry rozrzucają — zwinęła się jazda nieprzyjacielska pod takim przyjęciem... usiłuje się sformować na nowo, znów ją grad pocisków zasypuje. Nie dotrzymali, cofają się w nieładzie, a nasze wiarusy co sił klaszczą w ręce, szalone: hura! odzywają się z szeregów.

Na naszej prawej wre, jak daleko okiem sięgnąć, najzaciętsza walka: huk nieustanny armat rozlega się, świecą co chwila ogniem wystrzały jak błyskawice, a białe ich dymy, to kłębią się w powietrzu w rozmaitych kształtach, to rozwalają się po ziemi — pyszny, ale zarazem pełen grozy widok!... Na przodku środka naszego frontu czerni się szeroko lasek Olszyny, niby długa wyspa na płaszczyźnie. Tam to nie bitwa, ale istne piekło: od 11 rano, pod osłoną kilkudziesięciu armat, rozkazał Dybicz korpusowi Rosena uderzyć na ten punkt tyle ważny. Broniła go brygada Rolanda, ostrzeliwały flanki nasze baterie: Piętki, Rzepeckiego, Turskiego, Sałeckiego i Rylskiego, a ukośnie strzelając na następujące kolumny, straszną rzeź im sprawiały. Całe dwie godziny Roland w cztery bataliony opierał się szesnastu nieprzyjacielskim; te nakoniec opanowały prawy brzeg lasku. Na rozkaz Chłopickiego, Żymirski idzie ich wygnać z naszymi grenadyerami, lecz pada pod kulą armatnią. Pospiesza Skrzynecki z całą dywizją, uderza z boku lewego, Chłopicki z grenadyerami, w lasku już nie strzelają... Zaczyna się bój bagnetem o zdobycie każdej zasłony, każdego drzewa. Olszyna znów zdobyta, cała w naszym posiadaniu, piechota rosyjska wyparta w pola, nasze działa gonią ją pociskami. Zwycięstwo zupełne w naszym ręku. Aby je wyzyskać, Chłopicki posyła rozkaz Łubieńskiemu iść do szarży z całą jazdą — drugi Krukowieckiemu, aby ze swą dywizją z pod Białoleki i Kawenczyna uderzył z boku... Oba się wahają, nie mając rozkazu od Radziwiłła... i minęła ta szczęśliwa chwila... Chłopicki, który

już trzeciego konia pod sobą stracił, prze przed sobą uciekających Rossyan, lecz ranny w nogę, ustępuje z placu.

Na dalekiej naszej lewicy, Krukowiecki, który wziął Sza-chowskiemu do 2.000 jeńców i kilka armat, strzegąc traktu od Jabłonny, jedną tylko brygadę posunął pod Targówek. Tym to sposobem, chybiony atak naszej kawaleryi, nie wejście na linię bojową i od skrzydła Rossyan całej dywizyi Krukowieckiego, pozbawiło nas sił właściwych, gdy przeciwnie Rossyanie wprowadzają na plac boju świeże i ostatnie swe rezerwy. Ustępują z Olszyny, zasłanej trupami, Skrzynecki i Szembek; Dybiez w przekonaniu, że to jest popłoch ostateczny, puszcza na cofających się dwie dywizye swej jazdy generała Wittta. Na czele czernią się ogromne kare konie i czubate hełmy kirysyerów. Dzielnie idzie ta pancerna nawała, rozbija wszystko przed sobą, zatrzymując się prawie pod samymi okopami Pragi, a z tej wałów sieką ich nasze działa kartaczami. Kirysyery, nie poparte przez inne pułki, powracają... przyjmują ich kolejno morderczym ogniem czworoboki naszej piechoty, padają jak dęby... na tak zmieszanych dopada nasz 2-gi pułk ułanów. „W kark i pod pachy, bo to lud pancerny!“ — wołają oficerowie, — błyszczą zdala długie miecze broniących się kirysyerów, to znów bieleją chorągiewki dzielnych ułanów, któremi zrzucają ich z koni; nareszcie przerzedzają się szeregi, jeszcze chwilę idzie walka to grupami, to pojedynczo... pomału ustaje wszystko, pierzchają niedobitki, ułani spokojnie w szwadrony się formują. Pułk kirysyerów księcia Alberta pruskiego, zniszczony zupełnie, zasłał pole trupami i rannymi; miał on białe mundury, wyłogi jasno-zielone, kirysy żelazne czarno smelcowane, także hełmy z wysokimi kitami końskiego włosienia.

Do schyłku dnia tego, grzmiały już tylko armaty z obu stron. Walczyły dywizye polskie przeciw całym korpusom, jedno nasze działo przeciw trzem nieprzyjacielskim; mimo tego, zupełne zwycięztwo byłoby po naszej stronie, gdyby nie usterki Krukowieckiego i Łubieńskiego. Popłoch u Rossyan był tak wielki, że od godziny drugiej z południa, jak opowiadali niewolnicy, bagaże, parki artyleryi i zapasy obozowe, wszystko to unykało do Mińska.

W bitwie opisaney, którą nazwano „pod Grochowem“, straciłiśmy dział zdemontowanych trzy, rannych i zabitych do 9.000.

Dybiec podał urzędownie swe straty na 15.000 żołnierza; zapewne były wyższe.

Wódz naczelny, z obawy odwilży, która już następowała, z obawy, aby nie był odcięty od Warszawy, z którą jedyny most na łyżwach wojska nasze łączył, nakazał opuścić pobożewisko. Przeszła nasza armia do północy most w porządku. Na Pradze zostawiono 2.000 żołnierza i 35 armat na wałach — dowódcą mianowany został pułkownik Koss. Chłopicki kazał się zawieść do Krakowa.

Tejże nocy o 4 zrana, Rząd narodowy zgromadził na radę wszystkich generałów. Niektórzy oświadczyli się za układami, Rząd jednak temu się oparł. Skrzynecki ostro krytykował prowadzenie bitwy, przekonali się też obecni, że należało oddać w zdolniejsze ręce dowództwo wojska. Umiński zaproponował Skrzyneckiego, zgodzono się na to i nazajutrz Sejm jednoznacznie zamianował go naczelnym wodzem. Urażony Krukowiecki, iż go to powołanie minęło, sarknął, „że i dobosza rozkazów słuhać będzie“.

Nim słońce zeszło, spalono wszystkie budowle za okopami Pragi położone, aby Roszjanom nie dać przystępu do fortyfikacyj. Pod łuną tego pożaru, pułk nasz spędził bez ognia i prawie bez żywności resztę tej nocy na małym placu za koszarami Mirowskimi: oficerowie z własnych funduszów zakupili w okolicznych szynkach dla żołnierzy wódkę i o ile się dało chleba.

26. przed południem ruszyliśmy za Warszawę na kwatery, ja z moim plutonem stanąłem w niepamiętnej mi z nazwiska wsi — był kościół, przyjął mnie proboszcz. Obozując ciągle na mrozach, w zimowych zawieruchach od przeszło pięciu tygodni, pamiętam to dobrze, że nie mógł znieść temperatury ogrzanego pokoju: nimem się przyzwyczył, kilka dni spędzałem na powietrzu, nocami sypiałem w spiechrzu.

Na wstępie swego wyniesienia, Skrzynecki złożył swój sztab z młodych oficerów, którzy zdolności swe już okazali. Pułkownika Chrzanowskiego zamianował szefem sztabu głównego, Prądyńskiego generalnym kwatermistrzem, Kołaczkowskiego dowódcą inżynierów. Zasłużonym za poprzednie bitwy rozdał krzyże wojskowe.

Ze swej strony feldmarszałek Dybiec, w oczekiwaniu właściwej pory roku, cofnął swą główną kwaterę aż do Siennicy,

o przeszło sześć mil od Pragi. Straty armii rosyjskiej miały zastąpić nadchodzące wojska z głębi cesarstwa. W. Książę Michał miał ruszyć z Petersburga z gwardyami, liczącymi 25.000 żołnierza; forpocztę rosyjskie stały tuż za Pragę. W lasach Miłośny obozował korpus generała Gejsmara; inny w borach Wiązowny. Taki to był pierwszy peryod wojny 1831 roku.

Historja przytacza, iż w owym czasie generał Skrzynecki, korzystając z otworzonych stosunków z obozem rosyjskim przy wymianie jeńców, rozpoczął z Dybiczem niejaki układy, określające przedugodne warunki zawieszenia broni. Feldmarszałek odrzucił je stanowczo, domagając się oddania się na łaskę i niełaskę cesarza! Służyło wprawdzie naczelnemu wodzowi traktowanie z nieprzyjacielem o wymianę jeńców, uważał jednak Rząd narodowy, że chwila była źle obrana, bo odkrywała niemoc naszą.

Kiedy główne wojska polskie i rosyjskie, stojąc naprzeciwko siebie i Wisłą przedzielone, pozostają w bezczynności, naczelną wódz wysłał z korpusem czterotysięcznym 1. marca generała Dwernickiego na Wołyń. Otworzył mu drogę pułkownik Łagowski, który z nowymi zaciągami, po większej części kosą uzbrojonymi, zgromił załogę Puław, zabrał jej kasę, sztandar i połowę kaplicę. Dwernicki posunął się do Lublina, 14. marca był w Zamościu.

Pułk nasz zmienił stanowisko: poszliśmy pod Piaseczno i tam w okolicy rozlokowaliśmy się wygodnie.

Kiedy tak przymusowo wypoczywamy na zimowych leżach, przyszło ogłoszenie od naczelnego wodza, dające wiadomość, że zamierzył uorganizować korpus partyzancki, mający w tym czasie bezczynności działać na tyłach nieprzyjaciela; szkodzić jego komunikacyom, dowozom żywności; chwytać kuryerów itp. Odezwa ta energicznie napisana, odwoływała się głównie do młodych oficerów jazdy naszej, obiecując za udowodnione zasługi wyższe stopnie i odznaki honorowe. Za każdą uprowadzoną nieprzyjacielowi armatę 3.000 zł., za zagwożdżoną 500 zł., a w końcu wdzięczność narodu za poniesione trudy i poświęcenie, nie tając, że trudy te będą wielkie, wymagają męstwa, wytrwałości, wreszcie trafnego postępowania. Zapowiedziano oraz, że wyprawa ta miała trwać

tylko do czasu rozpoczęcia na nowo wojny. Że nakoniec na jej czele stanie znany ze zdolności generał Umiński. Wzywała więc odezwa dobrej woli oficerów do natychmiastowego składania deklaracji, upewniając, że każdy z nich będzie miał prawo wziąć z sobą do głównego partyzanckiego oddziału ochotników z pułku, w którym służy.

Zapaliła mi się głowa: miałem zdrowie, konie dzielne, a pewny, że jeśli nie więcej to pluton mego dowództwa pójdzie z ochotą za mną, mimo perswazyi kolegów, prośb ich nawet, podpisałem deklarację, którą pułkownik niechętnie przyjął.

Niedługo przyszedł rozkaz, abym się stawił w Wierzbnie, ochotników z szwadronu mi odmówiono; ledwom uprosił pułkownika, że mi pozwolił wziąć dwóch moich zaufanych żołnierzy. Zacząłem chłódnać i rozmyślać, czym dobrze postąpił.

W Wierzbnie już pod Warszawą zastałem gromadzących się oficerów z innych pułków; znaliśmy się wszyscy, jako koledzy ze Szkoły podchorążych i wyznam, że to był dobór młodzieży chętnej i z poświęceniem. I oni swych ochotników nie przyprowadzili; któryś zawiadomił, że z pułków nowego powstania dadzą nam żołnierzy. Zaczęliśmy szemrać... Gorzej jeszcze było, gdy ta zbieranina nadeszła. Że nie było z kim się rozprawić, jednomyślnie postanowiliśmy zrzucić się z deklaracji, skoro nam jej warunków nie dotrzymano.

Z Wierzbna maszerujemy na pola Mokotowskie; tu nowy zawód i jeszcze smutniejsze wiadomości. Generał Umiński odmówił swego dowództwa temu partyzanckiemu korpusowi, z powodu, że nie tak, jak on żądał, był zorganizowany. W jego miejsce podpułkownik Bardzki przeznaczony... Bardzkiego znaliśmy wszyscy: wychodził on z 1. pułku strzelców konnych, mógł być za dawnych wojen walecznym, bo miał krzyż polski i francuski, ale zresztą oficer we froncie żaden.

Rozpacz nas ogarnęła. Że sztab jazdy stał niedaleko, bo w Górcach, wysłaliśmy deputację z prośbą o uwolnienie i powrót do pułków. Deputację groźnie przyjęto i nakazano posłuszeństwo.

Przybywa do nas Bardzki, formuje cały oddział, składający się z jakich 500 koni, dzieli go na szwadrony i plutony i te rozdaje oficerom. Stawam na swoim miejscu... liczę roty... oglądam szczegółowo ludzi, broń i konie, ledwom zmysłów nie postradał!

Zamiast czterdziestu moich wásaczy, miałem teraz dwudziestu czterech prawie dzieciuchów; konie małe, chude; na cały pluton ledwie kilkanaście pistoletów i to nie kalibrowych. Słowem, byli to jeźdźcy powstania z dymów nakazani i zebrani.

I z takim to żołnierzem mieliśmy iść na partyzantkę!... powiedziałem sobie w duchu, że ja tam nie pójdę.

Wydano rozkaz, idziemy do twierdzy Modlina — odwilż, błoto, deszcz — mój dzielny gniadosz co się oglądnie na chmyzy za nim idące, to rzy i wierzga; przechodzimy fortecę już w wieczór eimny, a na dobitek Bardzki zakłada nam obozowisko pod Zakroczymiem, na jakiejś mokradli. Drzewa nie było, jałowcowe świeże krzaki palić się nie chciały, żołnierz młody nie umie sobie radzić... przestałem noc całą przy koniach, a deszcz jak pada tak pada.

Na drugi dzień melduję Bardzkiemu, że potrzebuję konie okuć i proszę o pozwolenie udania się do Modlina. Gdy mi nie odmówił, zabieram moje konie, obydwóch szasserów i oddalam się. W Modlinie nie było mowy o kuciu koni, bo te były w porządku, ale idę do generała Ledochowskiego, komendanta twierdzy, którego nieco znałem, daję się poznać, opowiadam na jaki niefortunny koniec przyszły moje najlepsze chęci; dodaję, że nie tylko ja, ale wszyscy moi koledzy żadnego zaufania do Bardzkiego nie mamy, a w końcu zaklinam generała na przyjaźń dla mego ojca zachowaną, aby mnie z tego położenia i oczywistej zaguby wybawił. Rad był, jak uważałem, generał mi pomódz, ale po zastanowieniu się oświadczył, że nie ma do tego zasady. Korpus partyzancki, mówił, według regulaminu wojennego, pozostaje na odrębnych prawach, a dowódzca jego ma władzę nieograniczoną; dodał wreszcie: „próbujmy, zostań u mnie, zobaczymy“.

Tak upłynęły dwa dni i dwie noce, które Bardzki użył na ułożenie swych wielkich planów, jak nazywał: szachowania Moskwy. Trzeciego, gdym nie powracał, przysłał swego adjutanta, porucznika Skąpskiego, z konwojem dziesięciu żołnierzy, ze zleceniem aresztowania mnie i przyprowadzenia do obozu. Trzeba było być posłusznym!...

W drodze rozmyślałem nie o tem, jak się wycofać z partyzantki, ale jak się tłumaczyć. bo na pożegnanie generał mi sze-

pnął: „bądź ostrożny i umiarkowany, ten waryat dla przykładu gotów cię kazać rozstrzelać“.

Bardzki fukał, krzychał i groził sądem wojennym, a kiedym mógł przyjść do słowa, tkłomaczyłem się, że byłem chory i doznałem nawet symptomatów cholery. Nie poprzestał na tem, a za karę rozkazał mi iść z plutonem w awangardę, zapowiadając, że ruszymy w nocy.

Rzeczywiście, gdy się ściemniło, siedliśmy na koń, idziemy traktem ku Nasielskowi, tam bowiem miał stać posterunek kozaków. Ja, według rozkazu, w awangardzie, a nawet przy samej szpicie, przy mnie dwóch moich szasserów. Wchodzimy w lasy; porozumiewszy się z nimi, po półgodzinnym marszu walę się z konia na ziemię, zaczynam najpotężniej jęczeć... szpica się zatrzymuje, dochodzi awangarda i staje; nadchodzi korpus, również pytają co to jest? Bardzki nadjeżdża, moje szassery meldują, że cholery dostał... ciemno w lesie, jak w rogu, sprawdzić było niepodobnióstwem. Zaklął Bardzki, odmienił komendanta straży przedniej, korpus partyzancki mnie mija, nareszcie w ciemności zniknął. Gdy ostatnie odgłosy marszu jego ucichły, siadam rześko na mego wierzchowca, zabieram szasserów i służącego z końmi podwodowymi, i tęgim kłusem pojechałem do Modlina. Tu, że noc już była, przyjmują wprawdzie straże, ale musiałem czekać dnia na odwachu w zewnętrznej poternie. Około 8 rano puszczają mnie, udałem się wprost do generała Ledochowskiego. — „A to co! — zawołał — czy znowu kuć konie?“ — Opowiadam moje postąpienie, uśmieł się serdecznie, a dla zasłonięcia mnie od odpowiedzialności, kazał przywołać miejscowego wojskowego doktora, ten mi wydał świadectwo choroby, zapisał krople, te oczywiście moje wiarusy z wódką wypili — dla pozorów zostałem cały dzień w fortecy — na drugi dzień skoro świt ruszyłem, a idąc to kłusem to stępa, upaliłem siedm mil drogi i wieczorem stanąłem w szwadronie.

Spałem, jak zabity po tej przejażdżce; wesół, że jestem jak w domu, bo pułk dla wojaka to rodzina.

Należało zameldować mój powrót pułkownikowi; pojechałem furmanką, oszczędzając mego konia; wyznałem wszystko szczerze, a poczciwy Jagmin, upomniawszy mnie, abym na drugi raz podobnego czynu się nie dopuszczał, obiecał mnie bronić w razie ja-

kich skutków tej dezercyi, bo taką wistocie była, pozwolił nadto odebrać nazad komendę dawnego mego plutonu.

Zebranyim oficerom musiałem niejednokrotnie tę awanturę opowiadać, bo inaczej nazwać jej nie można. Naśmiali się ze mnie dowolnie i odtąd zyskałem u nich miano partyzanta.

A co się stało z Bardzkim i jego korpusem? w Nasielsku zabrał kilku kozaków, a mógł zabrać wszystkich; uciekający dali znać innym komendom swoim, nieostrożnego napadli i rozbili ze szczerem! A w tej nieszczęśliwej klęsce kilku dzielnych oficerów poległo, kilku wziętych zostało do niewoli.



ROZDZIAŁ IX.

Wielkie zwycięstwo i rozbięcie korpusów Gejzmar i Rosena 31. marca. — Atak pułku 2. strzelców konnych i jego dowódca pułkownik Czarnomski. — Potyczka pod Domaniewiczami. — Wojsko polskie forsuje przeprawę przez rzekę Kostrzyn. — Bitwa wygrana pod Iganiami 10. kwietnia. — Niedołęztwo generała Stryjeńskiego osłabia jej skutki. — Pomnik kapitana Hipolita Stokowskiego, poległego pod Iganiami. — Urywek wiersza Godebskiego. — Bitwa pod Wronowem i Kaźmierzem. — Korzyści odniesione przez generała Umińskiego. — Powstanie na Litwie. — Rzeź Oszmiany. — Nieczynność naczelnego wodza. — Moje odznaczenie się pod wsią Trzebuczą na nocnym podjeździe. — Chlubne za powrotem przyjęcie w pułku. — Obraz i widok obozu. — Uwagi. — Naczelnny wódz ozdabia mnie krzyżem wojskowym polskim. — Zajęcie z korpusem oficerów 3. pułku strzelców pieszych zgodnie zakończone. — Generał Dwernicki wpędzony z swem wojskiem do Galicyi austriackiej. — Pułkownik Różycki.

Kończyła się zima, dni następowały dłuższe, nadchodzącą wiosnę czuć było w powietrzu; było to już w końcu marca, w wielkim tygodniu katolickiego Kościoła. Nadeszły rozkazy, pułk nasz się zebrał i ruszył do Warszawy. Dochodząc ujrzeliśmy zbierające się inne pułki jazdy w znacznej liczbie. Nad wszystkimi objął dowództwo generał Umiński. Po przenocowaniu maszerujemy na Modlin, przechodzimy tę twierdzę i zaraz za północną bramą rozkładamy się obozem. Sądziłyśmy, że tu noc przepędzimy,

o dalszym pochodzie nikt nie wiedział. Zaledwie konie napasiono, zaledwie żołnierze spożyli ugotowaną strawę, trąbią na koni i około 9 wieczór znów przechodzimy fortecę, most na Narwi i tym samym traktem wracamy do Warszawy wyciągniętą stępą tak, że ostatnie szwadrony prawie klusowały. Było już dobrze około 3 po północy, gdy stanęliśmy pod Marymontem; kazano dać koniom z sakiew owies, żołnierze stali przy nich. W godzinę potem ruszamy, przechodzimy most na Wiśle, a co szczególna, słomą grubo wysłany... i mówimy sobie: coś tu będzie nowego, taki marsz i kontramarsz forsowny nie bez celu.

Na Pradze ciasno, ile się dało, stanęliśmy, i znów z koni — jeszcze było ciemno. Cichy gwar dochodził, miarkować było można, że tu znaczne siły są zgromadzone.

Świt ledwo się pokazał, przechodzimy opalisadowane fortyfikacye Pragi, wyciągnąwszy się w kolumnach po obu stronach szosy, znów stój!...

Tak upłynęła dobra godzina, widniało pomału. Nagle gdzieś daleko na lewicy grzmi silny i nieustanny rotowy ogień piechoty — łyślało tylko, ale w wielkiej odległości; w małe pół godzinki przed nami gromkie strzelanie wielkiej masy piechoty — trwało to z godzinę i drugą... ogień coraz się oddalał... słońce jaskrawo zeszło zupełnie.

Był to najpiękniejszy dzień wojny r. 1831. Skrzynecki zgodził się nareszcie na plan generała Prądzyńskiego: wyprawił jawnie Umińskiego z znaczną kawaleryą 30. marca na Modlin, jakoby na rozpoznanie nadchodzących gwardyj rossyjskich. Szedł on Powiślem, patrolujący kozacy na prawym brzegu rzeki widzieli nas i rachowali szwadrony — oczywiście o tym ruchu wojsk naszych dali znać korpusowi generała Gejsmara, stojącemu w lasach Wawru. Wróciliśmy, jak powiedziałem, zaraz w nocy. Wojsko nasze, składające się z 30.000 piechoty, dział 116, po moście wysłanym słomą przeszło cicho przez Wisłę i Pragę. Dywizya generała Rybińskiego wyszła rogatkami Żąbkowskiemi, obeszła obozy Gejsmara i uderzyła na nie o pierwszym świetle — i tej to piechoty pierwszy ogień słyszeliśmy. Na jego odgłos ruszyły masy naszej piechoty z pod Pragi, dobrze już naprzód wysunięte i z frontu energicznie Rossyan zaatakowały. Bój trwał ze dwie

godziny, oddalał się coraz dalej — korpus Gejsmara zupełnie został rozbity.

Gdy pościg dywizji Giełguda nie wystarczał, ruszyliśmy z miejsca kłusem wyciągniętym. Zniewoleni byliśmy zejść z szosy, takie masy rossyjskiej piechoty, w niewolę wzięte, niektóre z bronią na ramieniu, małe nasze oddziały ku Warszawie prowadziły. Całe bataliony z sztandarami, muzyką, dobozami, szły w różnych odstępach, wszystko to wystraszone i blade; mijając ich obozowiska już zgasłe. widzieliśmy kupy żołnierstwa wykłutego, leżące tuż przy szosie. Jaszczyki, furgony, bagaże z zaprzęgiem, te stojące, inne wyrócone tamowały nam drogę. Niezliczona liczba efektów wojskowych, kotłów do gotowania, broni, przyborów, rozsiana była wzdłuż traktu. Kłusujemy wciąż... generał Dziekoński wpada do Wiązowny na trakcie do Lublina; korpus Rosena obozujący dalej, na ten huk armat i ręcznej broni, zbiera się pod wsią Dębe Wielkie — wypieramy go ztamtąd — zasłania się lasami. Lecz zanadto wysunęliśmy się przed naszą piechotą, kawaleryi w lasy zapuszczać się nie podobna. Wysyłamy szasserów naszego pułku promieniami po jednym w odstępach, dla namacania, gdzie jest nieprzyjaciel. Nie długo strzały w ich głębi przekonały, że jest. Nasz podporucznik Kiernicki, wysłany brzegiem lasu z jednym plutonem, przyprowadza całą kompanię jęgrów, z kapitanem i trzema oficerami. Nadchodzi nareszcie zziąjana nasza piechota, wchodzi w lasy rozsypana w gęste tyraliery, oczyszcza je zupełnie i znów bierze niewolnika odciętych oddziałów. Kłusem przez las przechodzimy, otwiera się pole, na niem kilka kolumn piechoty rossyjskiej. Władysław Zamoyski porywa idący na przodzie pułk 4. ułanów, trąbią do ataku trębacze, lecą jak chmura ułani, każdy szwadron na osobny czworobok i rozbijają je wszystkie — następuje gonitwa, rąbanina, zabieranie niewolnika.

Stracili Rossyianie w tych walkach przeszło 4.500 żołnierza, więcej jak 10.000 niewolnika, 3 sztandary, 12 armat, do stu jaszczyków z anunicją, furgonów, bagaży bez liczby.

W tym walnym pościgu pułk nasz, idący trzeci z porządku, mało był czynny. Z porozrzucanych rzeczy na szosie, moi żołnierze podnieśli mi poduszkę łośiową i kasserollę miedzianą z pokrywą do usmażenia na przędecie mięsa; zrobiłem z nich wygodny użytek obozowy.

Pod wsią Dębe Wielkie, rozwinięty stał pułk rosyjskich ułanów, w asekuracji armat, jakie zasłaniały odwrót korpusu Rosena; był i batalion piechoty, ale że to była płaszczyzna, na widok naszej rozwijającej się jazdy, uszedł do wsi. Pułk 2. strzelców konnych dowództwa pułkownika Czarnomskiego, z miejsca poszedł w całym pędzie do szarży. Tuż następował nasz pułk z pomocą; jeden tylko wystrzał kartaczami zdołała dać rosyjska artylerya... ułani rozbici, uciekali jak rozsypane po polach ptaki — armaty wzięte — nadechodzimy i my, widzę wyciągniętego na ziemi trupa jakiegoś pułkownika, staję i przypatruję się, przyskoczyli i inni oficerowie — poznajemy, był to Szyndler, któregośmy znali z Saskiego placu. W niewolę wzięci ułani opowiadali nam, że widząc idących szasserów 2. pułku do ataku, Szyndler odezwał się do swoich: „Rabiata!... Chrabro dzierzysia... Carycy połk na was idiot!... mnoho starych sałdatow!...“ Takie przemówienie nie mogło dodać odwagi pułkowi — nie wytrzymał ataku. Szyndler poznał pułk cesarskiej jazdy po siwych koniach, na których siedział; bronił się mężnie, młody żołnierz ustrzelił go z karabinka.

Jeszcze jedno wspomnienie o dzielnym Czarnomskim. W pułku jego było wielu ochotników z uczniów Akademii i innej młodzieży. W bitwie pod Grochowem, gdy pułk ten stał pod tęgim działowym ogniem, owa młodzież w pierwszym szwadronie służąca, za każdym przelotem kuli armatniej, nuż sehyłać głowy i kłaniać się, jakby to co pomódz mogło. Dostrzegł to Czarnomski, wypuszcza z środka pułku swego konia całym pędem, osadza przed pierwszym szwadronem i wykrzykuje: „Smarkacze jakieś!... ..rum tum tum“ nie śpiewałem... u Honoratki nie bywałem...¹⁾ ale tu stoję jak mur... jak który kiwnie jeszcze łbem, to go tak kordem liznę przez pysk, że go reiment dyabłów weźmie... Ostrzegam, stać! a nie — to won z frontu!...“

I rzeczywiście: w późniejszych a tegoczesnych wojnach inna jest taktyka, inna broń — wszystko. Obowiązkiem jest nawet żołnierza w bitwie korzystać z każdej zasłony, kamienia, drzewa, nierówności gruntu; całe pułki pod ogniem armatnim kładą się na ziemię; tyraliery suwają się na brzuchach pod nieprzyjaciela.

¹⁾ Słynna kawiarnia Klubu patryotycznego na Miodowej ulicy.

U nas tego nie było: hańbą było kiwnąć głową, zasłaniać się czemkolwiek. Oficerowie czy w ogniu, czy w ataku, stali lub szli przed frontem, widzialni od żołnierzy; strzelaliśmy się tak blisko, że wasy przeciwnika widać było; dziś strzelają z karabinów o 1.500 kroków; z armat o więcej jak pół mili; bagnet zapomniany — a to jest broń jedyna: karabin to tylko jego rękojeść.

W obozach pod Boimem doczekaliśmy Wielkiej Nocy. Rano dnia tego, kiedy kapelani pułkowi odprowadzali nabożeństwo, Moskwa puściła na nasz obóz kilkanaście granatów, a te skaleczyły kilku żołnierzy. Nie odpowiadaliśmy im nawet, odwet na później zostawiając. Około południa adjutant pułkowy przyniósł pułkowi cztery jaja, jako resztki Święconego, z którym hojnie wystąpiła Warszawa. Zjedli je ci, co stali obozami bliżej stolicy; cóż było robić?... Stańło na tem, że spożyli je w imieniu wszystkich czterech wachmistrze szwadronowi. Wyznam też, że nie było głodu w obozie, bo furgony dla żołnierza, wiwandyerki dla oficerów; pierwsze — potrzeby, drugie — i zbytek nawet załatwiały.

Wrzał żołnierz z niecierpliwości, stojąc bezczynnie w obozie pod Boimem. Zgromadzali się tłumem oficerowie radząc i szukając nadaremnie powodu tego wstrzymania dalszych wojennych kroków wtedy, gdy idąc zwycięzko, jak dotąd, naprzód, można było rozbijać jedne po drugich eszelonami rozstawione korpusy rosyjskie, od Siedlec przez Międzyrzec, Białą aż do Brześcia Litewskiego. Mijał czas drogocenny... wojsko domagało się isć po nowe zwycięstwa. Wstrzymywał ten zapal Skrzynecki, wyprawił nareszcie generałów Chrzanowskiego, Prądyńskiego oraz Skarżyńskiego pod Żelechów i dalej, w celu rozpoznania obrotów armii nieprzyjacielskiej. Prądyński w dziesięć batalionów piechoty, z ośmiu szwadronami jazdy, przechodzi Kostrzyn powyżej jego biegu. Pod Domaniewiczami pułk 2-gi ułanów rozbił dziesięć szwadronów kawalerji rosyjskiej. Atak ten prowadził osobiście generał Kicki, ulubieniec naszych kawalerzystów. Tutaj ranny był niebezpiecznie Tomasz Potocki, adjutant sztabu głównego, który później, jako właściciel dóbr Praszki, długie czasy był ozdobą całego obywatelstwa naszego kraju. Gdy doszły pożądane wiadomości, rozpoczął się po naszej stronie ruch naprzód na całej linii. Na daną godzinę przygotowano materiały drzewne do położenia trzech mostów na Kostrzynie powyżej wsi Boimie. Ciężkie belki

wiozą nasze furgony, drobniejsze sztuki niósł żołnierz na ramieniu; sapery na czele; artylerya nasza cała zebrana, stanęła na pozycyi po obu stronach szosy; rozpoczyna się straszliwy działowy ogień, osłaniający budowę mostów. Idą nasze grenadyery bez strzału z bagnietem w rękę do ataku, przechodzą Kostrzyn po pierwszych belkach, zdobywają pierwszą, drugą, nareszcie trzecią rzeki przeprawę na trzech jej ramionach. Rozwinąć się w prawo i lewo było niepodobieństwem, bo szosa szła środkiem topielisk nieprzebytych, była więc tu długa grobla. I tem to wązkim przejściem idą nasze grenadyery, rozdzierani krzyżowym ogniem nieprzyjacielskim, ale idą — idą ciągle, mijając swych zabitych i rannych — i nareszcie rozwijają się za Kostrzynem na czystym już polu. Z tyłu ledwo pokłady mostów położone, idzie w pomoc piechota nasza, przeprawia się i artylerya — rozpoczyna się bój zażarty na drugiej stronie rzeki, Rossyianie odparci, przeprawa zdobyta... Czemuż nie piętnaście dni wcześniej!...

Kiedy się to dzieje na szosie i nad Kostrzynem, dwadzieścia cztery szwadrony naszej starej jazdy, wcześniej rzucone pod generałem Stryjeńskim o małe pół milki od powyższego boju, przechodzą częścią w bród, częścią wpław Kostrzyn. Pułk nasz szedł pierwszy, spędzamy placówki nieprzyjacielskie, rozległe pola otwierają się przed nami, za niemi lasy w prawo i w lewo. Na widok silnego oddziału piechoty i kilku szwadronów rossyjskiej kawaleryi, pułk się rozwija, dobywamy pałaszy i gdy już kłusem do szarzy idziemy, Stryjeński przysłał rozkaz wstrzymania się — wkrótce też Rossyianie schowali się w lasy.

Stoimy tak całe godziny — generał kazał otworzyć swój furgon i spożywa najspokojniej śniadanie.

Tymczasem, gdzieś daleko w lasach, słyhać bitwę piechoty; około pierwszej z południa za lasami odzywa się grzmot strzałów armatnich coraz silniejszy i gęstszy — tam bitwa wre w całym jej rozwoju, a my tu stoimy... A przecież oczywiście było, że ruch naszej jazdy miał przeznaczenie, przebywszy Kostrzyn, flankować od naszego lewego nieprzyjaciela, wejść w samą porę na linię bojową i potężnym atakiem zgromić go zupełnie — to zrozumieliśmy wszyscy. I jeszcze ten odgłos dalekiej bitwy nie porusza Stryjeńskiego... nakoniec z pod lasu pędzi do nas co koń

wyskoczyć może, kilku jeźdźców... zbliżają się... to adjutant z kilku ułanami. Co powiedział Stryjeńskiemu, nie wiem — wydano rozkazy, siadamy na koń i z miejsca kłusujemy.

Lubo dwie tylko mile oddzielały nas od Siedlec, gdzie się bitwa toczyła, należało iść przekątnią, ale ciasną leśną drogą, marsz więc tylu szwadronów rozciągał się na długi ogon. Wychodzimy nareszcie z lasów, polami zdążamy do szosy, lecz słońce już nisko... ogień armatni pomału na przodzie słabnie. Pod sam zachód, dostajemy się na pole bitwy pod Iganiami: piechota nasza sama Roszjan zmusiła do odwrotu, uciekli do Siedlec i dalej — z krwawego zwycięstwa żadnej korzyści, bo kawalerja nie nadeszła.

Siedlec mogły być tego samego dnia zdobyte, z ogromnymi magazynami i zapasami, jakie w tem mieście Roszjanie nagromadzili. Siedce wzięte: otwarta była droga i możność wyparcia zupełnego Roszjan z naszych granic i przeniesienia wojny w zabrane prowincye. Mimo wszystkie błędy, wzięto im trzy działa, jeden sztandar, narżono na stratę w zabitych i rannych, wreszcie wziętych do niewoli do 5.000 żołnierza — a co główna: godnem jest uwagi i zastanowienia, że rewolucya nasza i waleczne wojsko polskie, zamiast się trzymać odpornie przed nawałą rosyjską, przeszło zwycięzko po dwakroć razy w stan zaczepny.

Bitwa ta datuje 10. kwietnia — nazwano ją pod Iganiami. Zginął w niej jeden z najwaleczniejszych wyższych oficerów piechoty naszej, dzielny pułkownik Karski. Noc tę przepędziliśmy na pobojowisku wsi Iganie, o cztery wiorsty od Siedlec odległej.

W obozie od tuż stojącej naszej piechoty dowiedzieliśmy się o przebiegu bitwy dnia tego i o nieobliczonych rezultatach, jakie można było osiągnąć, gdyby jazda Stryjeńskiego w właściwym nadeszła czasie. Niesłychane oburzenie nami owładnęło: głośno i jawnie wyrzekano na winnego... domagaliśmy się silnie zasłużonej nam kary, cały obóz dyszał jednogódną myślą i życzeniem. Usunięto też zaraz w nocy Stryjeńskiego z wyższego rozkazu i jużemy go potem nigdy nie widzieli — wart był rozstrzelania. Cóż z tego!... jedna więcej fatalność do karty wojennej roku 1831 nam przybyła.

W ten sam dzień bitwy pod Iganiami, generał Umiński, po przeprowianiu się przez rzekę Liwiec, zdobył bronione miasto Węgrów, o mil siedm w lewo od Siedlec położone. Dowodził pięciu batalionami piechoty i dziesięciu szwadronami jazdy, z odpowiednią artyleryą.

Gdyby bitwa pod Iganiami była wygraną w swych skutkach spodziewanych, gdybyśmy poparli Roszyan ku Brześciowi Litewskiemu, Umiński również pod Węgrowem zwycięzca, mając tylko mil sześć lub siedm od granicznego Buga, z łatwością mógłby wpaść w obwód Białostocki przez Drohiczyn i tworzyć dalokę, ale pomocnicze nasze lewe skrzydło, w dalszem wojny przeważeniu.

W trzydzieści dziewięć lat później obowiązki cywilnej mej służby zagnały mnie w r. 1870 do dóbr Iganie. Właścicielem ich był p. Gorzechowski; z nim obchodziłem pola owej bitwy, niegdys stoczonej; widziałem mogiły naszych i Roszyan już zakłęste; w ogrodzie dworskim wybrukowana była cała jedna ulica wyoranemi kulami armatniami. Przy szosie stoi pomnik w lasku sosnowym, krzyżem żelaznym opatrzony; na nim napis:

H i p o l i t S t o k o w s k i

10. kwietnia 1831 roku.

Tu to spoczywają prochy walecznego żołnierza. Stokowski był kapitanem w pułku grenadyerów, poległ od kuli działowej, od tego pomnika o kilkanaście kroków. Pamiątkę tę wystawiły mu żona i siostra. Jeszcze niedługi przeciąg czasu, a miejscowi nawet wiedzieć nie będą, kto był Stokowski i dlaczego tu pochowany!...

Czytając ten lakoniczny napis nagrobkowy, szczerze westchnąłem za duszę poległego; odtwarzałem sobie jego postać, bom go znał z widzenia i mimowolnie przypomniła mi się strofa, ze starej pieśni naszych legionów włoskich, utworu, zdaje się, Godebskiego, pułkownika, poległego również pod Raszynem w roku 1809.

Tam, gdzie ten dąb strzaskany sterczy,
Tam wznosił się Orzeł Biały...

Tam, idąc w ogień morderczy,
Polskie szeregi padały!...

Boże! co z grobów łona
Wskrzesisz ludzi w Sądu chwili...
Ty spamiętasz tych imiona,
Co tu za swój kraj walezyli!...

Kiedy wojska polskie zwyciężały Rosssyan w środku swych działań i na lewem skrzydle, chociaż bez osiągnięcia spodziewać się dających przeważnych korzyści, mniej dobrze się powodziło na wysokiej Wiśle, pod Puławami i miastem Kaźmierzem. Generał Sierawski z nielicznym swym korpusem, składającym się w piechocie z samych prawie kosynierów, których ośm batalionów miało tylko w pierwszym szeregu karabiny, z kilku szwadronami nowego pułku Krakusów i tyłuż jazdy kaliskiej, przeprawiwszy się przez Wisłę pod Solcem, zabrał wprawdzie magazyny przez Rosssyan w Kaźmierzu nagromadzone, ale zanadto zaufany w męstwo nowo zaciężnych, przyjął bitwę z korpusem generała Kreutza w górach miasto Kaźmierz otaczających. Kreutz dowodził szesnastu batalionami piechoty, miał 24 armat, pod tą przewagą cofał się Sierawski, zdołał mimo silnego Rosssyan nacierania, przeprowadzić znaczną część swego wojska za Wisłę, z sześciu armat nie stracił ani jednej. Poległych, ubytych z szeregu, lub wziętych w niewolę było jednak z naszej strony do 1.000 ludzi. Wśród rannej bitwy i silnej mgły, Sierawski na czele jazdy kaliskiej, zamierzył pójść na armaty rossyjskie i takowe zdobyć. Obejrzał się, był sam z jednym adjutantem: rzucili się kozacy, cheieli go pojmać żywcem, uszedł jednak, ale konia tak mu pokaleczyli pikami, że zdechł w dni parę. Straż tylną cofających się w silnej górzystej pozycyi, wstrzymał Juliusz Małachowski: otoczony, nie przyjmując pardonu, leżał na miejscu. Po wojnie, za pozwoleniem rządu, odkopać kazała jego rodzina te szczątki. Przeprowadzono je do Końskich i tam w grobach familijnych są pochowane.

W Kaźmierzu, na miejscu zgonu Małachowskiego, postawiono trzy wysokie krzyże, widne nawet z za Wisły, bo są wzniesione na wysokiej górze. Byłem u ich podnóża. Bitwa ta pod Kaźmie-

rzem, a raczej pod wsią Wronowem, datuje się 13-go kwietnia owego roku.

Generał Umiński, posuwając dalej odniesione korzyści pod Węgrowem, napierał ciągle na Rossyan. Przegnał ich przez Sokółów i Mokobudy 21. kwietnia i tym sposobem zbliżył się do punktu środkowego naszych działań.

Zwycięstwa te, odnoszone przez nasze wojska, rozniosły szybko wieści po kraju i za jego granicami; dowodem ich było do dwudziestu tysięcy wziętego rosyjskiego niewolnika, a tych rząd posłał w województwa na lewym brzegu Wisły położone, w pomoc właścicielom ziemskim do prac rolnych. Żołnierze ci spokojnie się zachowywali, pracowali chętnie za żywność tylko, bardzo mała liczba uciekła do Prus sąsiednich.

Ośmielona naszym powodzeniem, nareszcie pierwsza Żmudź, a następnie Litwa powstała. W początkach kwietnia uderzyła na kilka głównych miejscowości: Matuszewicz zdobył Troki; w Oszmianie powstańcy zabrali 100.000 złotych, 10.000 ładunków i wielkie zapasy. Zemścił się okrutnie po ich ustąpieniu pułkownik Werzylin: z jego rozkazu wyrznięli Czerkiesi do nogi mieszkańców miasta, nawet tych, co z dziećmi i niewiastami do kościołów się schronili.

Gdy tak wojna idzie nam pomyślnie, gdy wojska nasze coraz większego swej wyższości nad Rossyanami nabierają przekonania, gdy nakoniec w Królestwie potęguje się zaufanie i istotne dla sprawy poświęcenie, jakaś odętywość ogarnia naczelnego wodza Skrzyneckiego, oglądającego się ciągle na urojone innych państw pośrednictwo. Po takich korzyściach, po takich zwycięztwach, cofa się z wojskami i daje czas odetchnąć feldmarszałkowi Dybiczowi. Z nadejściem też świeżych posiłków, wyciągnął on swą linię bojową od Siedlec, przez Łuków, aż pod Radzyń, a miał silne rezerwy, bo gwardye, wysłane z Petersburga, stanęły już między Bugiem a Narwią. Postanowił więc przejść w stan zaczepny. Na pierwsze jego poruszenie Skrzynecki głównym naszym siłom nakazuje odwrót ku Warszawie, zastaniając się tylnymi strażami.

Dotąd nie nie wspomniałem o sobie, bom się obawiał, aby czytelnik niniejszego pamiętnika nie zastosował do mnie ustępu sławnej bajki, a raczej nie bajki Krasickiego:

Był

Żołnierz co się nie chwalił, szewc co się nie upijał...

Wychowany wśród legend dawnych wojen, krzepki do konia i szabli, rozwinięty ciałem i umysłem nad wiek posiadany, z wrodzonym instynktem wojskowym czułem w sobie tę odwagę, jaką — dając mi życie — przelał we mnie mój rodzic. Młodość też ma nieograniczone zaufanie w sobie. Stawałem wszędzie ochotczo do walki, biłem się dobrze, a gdy jeszcze dotąd szczęśliwie mnie kule mijały, a w osobistym starciu niejednego tego naznaczyłem, rzekłem sobie, że tak zawsze będzie.

Pomijając przeto opowiadania rozlicznych mych spotkań z nieprzyjacielem, bo na te nie mając dziś dowodu, sądzę, iż mogłyby być poczytywane za próżną chwalbę, mogę jednak śmiało tu przytoczyć jeden z ustępów mej wojaczki, jako wsparty i powagą i sprawozdaniem naczelnego wodza, w raporcie jego Rządu narodowemu złożonym.

Dnia 25. kwietnia pułkownik Dembiński z pułkiem 4. ułanów, jazdą podlaską, 8 szwadronami Mazurów, 2 batalionami piechoty i 4 działami lekkiej artylerji pieszej, przy pomocy nader korzystnego położenia miejscowości, potrafił długi bój utrzymać przeciwko czołu wojsk nieprzyjacielskich, podtrzymywanemu 16 armatami pozycyjnymi, a prowadzonemu przez samego feldmarszałka Dybicza. Na koniec, wskutek otrzymanego rozkazu, ustąpił ku Ceglówu. Nazajutrz 26-go, tylna straż nasza, dowodzona przez generała Giełguda, składająca się z 8 batalionów piechoty, 6 dział pozycyjnych i 16 lekkich, z pułków 2. strzelców konnych i 3. ułanów, wstrzymywała przed sobą cały korpus Pahlena i może przed przewyższającą o trzykroć razy siłą nieprzyjaciela, cofnąć by się musiała, lecz na doniesienie swych rekonesansów, iż główna nasza armia stoi pod Siennicą i posunięciem się naprzód rozgromić może lewe jego skrzydło, wyciągnięte aż pod Ceglów, generał Pahlen wstrzymał dalsze nacieranie.

Potyczki dni 25. i 26. kwietnia, widocznie okazywały jakieś zamiary w manewrach Rossyan. Rozwinęli się oni półkolem przed nami, poczynając od Stanisławowa przecinali szosę między Mińskiem a Kałuszynem, lewem skrzydłem dosięgali Cegłowa.

Nie mieliśmy świeżego niewolnika, nasze patrole na całej linii spotykały Rossyan i z ich podjazdami ciągle się ucierały. Przy wiadomości przeto, że Dybiez jest osobiście na swym froncie, należało się mieć na baczności, co większa: odgadnąć jego zamiary. To powodowało naczelnego wodza, że wzmocił pozycję Mińska. Pod tem miastem postawił w lasku i przy szosie generała Tomasza Łubieńskiego z kilkunastu batalionami piechoty, kawaleryą generałów Skarżyńskiego, Kiekiego, Kamińskiego, oraz silną artyleryą. Mińsk był w naszym posiadaniu, obsadzony tysiącem piechoty; pułki jazdy kolejną służbę forpocztową przed miastem pełniły. W mieście dowodził generał Kamiński. Nakoniec, na naszej prawej, pułkownik Dembiński obserwował Cegłów.

Dnia 29. kwietnia wieczorem nasze patrole doniosły, że Rossyanie, jak się zdaje, odwrotowy marsz poczynają.

30. kwietnia, o godzinie 4 rano, pułk nasz 5-ty strzelców konnych objął służbę w przednich strażach przed Mińskiem. Dywizyon 1. (czyli szwadrony 1. i 2.) zlużował za miastem placówki i grangardy. Szwadrony 3. w którym służyłem i 4. pozostały na rynku w mieście. Słońce zeszło nadzwyczaj pogodnie, o godzinie 9 rano już było dobrze ciepło, wiadomości od forpoczt żadnych, na linii zewnętrznej eicho.

O tym czasie przyszedł rozkaz od generała Kamińskiego, dowodzącego, jak już powiedziałem, w Mińsku, wysłania oficera z oddziałem na podjazd, w kierunku miasta Stanisławowa: że na mnie była kolej, wziąłem z plutonu ośmiu żołnierzy na ochotnika i wachmistrza Bajtarskiego, a otrzymawszy zlecenie dotarcia ile się da do wsi Trzebuczy, po zorientowaniu się na mapie, jaką miałem w olstrze, ruszyłem.

Minąwszy nasze grangardy i wedety, o jakie ćwierć mili od Mińska, traktem szerokim i prostym wszedłem w las a niedługi, bo widać było, jak ten trakt dobiegał do jego końca. Za lasem ukazywały się pola. Uszedłszy tak paręset kroków, ujrzałem w końcu lasu i na trakcie pokazujących się jeźdźców: posłałem więc zaraz kaprala Dziekońskiego z rozkazem wysunięcia się na-

przód galopem, rozpoznania, kto jest przed nami, a jeśli to nieprzyjaciel, dania sygnału wystrzałem z karabinka. Dziekoński kopnął się z miejsca na swej klaczy; ja z ośmiu ludźmi rozwinąłem się na całą szerokość traktu, podnosząc za sobą tuman kurzu, osłaniający słabość mego oddziału i postępowałem truchtem, ściągając okiem Dziekońskiego. Ten, podbiegłszy o jakie kroków sto od ukazujących się jeźdźców, wystrzelił, powrócił i zameldował, że to są kozacy, w liczbie od dziesięciu do piętnastu. Żeśmy kozaków za nic nie uważali, ruszyłem wyciągniętym kłusem i w krótkim czasie ów las przebyłem. Tu się okazały pola w prawo i w lewo, różnemi małemi wyniosłościami pogarbione; trakt stanisławowski biegł prosto przedemną, podnosząc się ciągle pod górę, na której wierzchołku, o jakie paręset sążni, widniał jakiś budynek.

Kozacy cofali się, rozsypani po obu stronach traktu, trzymając się za strzałem. Nie widząc z boków żadnego zagrożenia, wiedząc, że wieś Trzebucza jest pierwszą na drodze od Mińska, żwawo parłem kozaków w zamiarze dostania się na wyniosłość góry, spodziewając się z tej pozycyi rozejrzeć okolicę dokładnie. I tak się stało: dotarłem do owego budynku, a była to pusta karczma, na wpół spalona. Z tego miejsca ukazała mi się nagle rozległa w obie strony dolina, w jej głębi po lewicy traktu wieś dobrze zabudowana, a tuż za nią czerniały obozy licznej jazdy, przedstawiającej siłę kilkunastu szwadronów; dalej dymiały ogniska piechoty.

Zadanie więc moje było skończone i widziałem, co widzieć należało i czas było powracać, gdyż ze wsi gromadkami po trzech, czterech i więcej, kozacy pędem ku mnie cwałowali. Za nim się w kupę zebrali i uradzili, jak się wziąć na pewno do słabego mego oddziału, już uszedłem od karczmy paręset sążni; część kozactwa, wysłana naprzód, rozsypała się, zaczęła z janczarek strzelać, ale po swojemu, to jest, że kulki albo nas nie dochodziły, albo górowały. Ja trzymałem mój oddziałek w kupie. Nagle z prawej strony widniejącego lasu, pokazała się garstka jeźdźców, których po chorągiewkach poznałem, że to są nasi. Posłany mój wachmistrz przyprowadził mi ich, było ośmiu ułanów z podoficerem inną drogą również na patrol wysłanych. Była to słaba, ale zawsze pomoc, miałem razem siedmnastu żołnierzy. Z ułanów zro-

biłem sobie rezerwę, moich szasserów szeroko na flankiery rozsypałem, a wolno odstępując, odstrzeliwałem się. Tymczasem z rezerwy dają mi znać, że od lasu odwrót mój już jest zamknięty... Istotnie, kiedy jakie trzydzieści koni kozaków ucierało się ze mną od frontu, drugie tyle lub więcej, zasłaniając się pochyłościami gruntu i pagórkami, zabiegło mi drogę od lasu.

Na ten widok, moje szassery sami zebrali się do rezerwy; z tyłu do nas strzelają, my kłusujemy na tych, co stoją w miejscu a trakt nam zagradzają. Gdyśmy się na strzał do nich zbliżyli, z tłumu kozactwa wyskoczył jeździec, osadził konia na połowie dystansu i woła po rossyjsku; „kto komandujet wami?“ — odpowiadam: „oficer“ — a on na to: „gaficer, poddajsia brat!... nie tu dieła!“ Odwróciłem się do Dziekońskiego, a był to celny strzelec z myśliwskiej służby ordynacyi Zamoyskich i pytam: „Dziekoński, zwalisz go?...“ zaiskrzyły mu się oczy, jakby się na dzika szykował: „Zwałę, panie poruczniku!“. Poklepał klacz po karku, ta się jak drut wyciągnęła, potarł paznokciem skałkę od karabinka... zmierzył parę sekund... wypalił... a ów dowódca przez zad swego konia nakrył się nogami i padł na ziemię.

Nie było co już wyczekiwać... „hura, wiara na nich!“... kopnęliśmy się z kopyta... wnet pałasze nasze zabrzęczały po spisach kozackich, kilku skiereszowanych po pyskach spadło z koni... tłum ich otworzył się przed nami, a my dalej w nogi.

Silnie nas gnało kozactwo, strzelając na wiatr, ale gdzież sprostać mogli naszym biegunom. Tak dopadamy pod las, tu znajdujemy pluton naszej grangardy, który na odgłos strzałów, wyszedł na rozpoznanie. Osadziliśmy konie zdyszane biegiem i upałem; pluton rozsypał się flankierami, kozactwo przyjął gęstym ogniem, pognał ich silnie, wnet też się cofnęli, a my w las pomału.

Tak szczęśliwie około 2-giej z południa wróciłem do Mińska, raport generałowi Kamińskiemu zdałem, alem dostał porządne napomnienie, za narażenie siebie i żołnierzy na taką awanturę. Zdaje się jednak, że ta bura była formą tylko, bo generał był zadowolony, że dowiedział się, jaka siła Rossyan obozuje już pod Trzebuczą i przy mnie rozkazał swemu adjutantowi, Ludwikowi Schendel, natychmiast dać o tem wiadomość komenderującemu generałowi Łubieńskiemu.

Czy można było w tem posłannictwie inaczej postąpić?... tego nie wiem, bo na wojnie, mianowicie w podjazdach, nie ma czasu do zastanawiania się, a dowódcą patrolu rozporządza konieczność spełnienia swej powinności i pierwsza myśl, jaką uchwyci... Zresztą: krewkość młodego wieku i zaufanie w żołnierzu, któremu przoduje. Kazano mi się przekonać, co się dzieje w okolicy wsi Trzebuczy; dowiedziałem się, nie dałem się wziąć dziesięć razy liczniejszemu kozactwu, nie straciłem ani jednego żołnierza, jeden tylko mój wiarus — a pamiętam, że się nazywał Kaczor — lekko był przez policzek kulką draśnięty, ale i ten po obandażowaniu z frontu nie odszedł.

Gdym przybył do pułku, koledzy mi winszowali wycofania się z tej burdy: napiliśmy się wódki, przekąsili co było na pogotowiu i zdawało się, że temu już koniec. Ale nie... do końca jeszcze daleko... bo te dwadzieścia cztery godzin miały być i zostały epoką w mem życiu.

Po przekąsce, poszedłem do moich koni dojrzeć, aby miały wygodę, położyłem się potem na pęku słomy z zamiarem przespania się, pomnąc, iż na noc pójdę na grangardę: młody, zasnąłem wnet.

Gdym się obudził, słońce już zachodziło, ale jakoś chmurno; luzować mieliśmy pierwszy nasz dywizyon o 7-mej wieczór. Wtem wzywają mnie do kapitana Kosko, komendanta szwadronu. Dzielny to był i mężny oficer, ozdobiony krzyżem Legii francuskiej z Napoleońskich wojen. Pyta mnie, na kogo kolej po mnie iść na podjazd? Odpowiadam, że na podporucznika Woronieckiego. „A to głupio“ — mówi, „to dziecko prawie jeszcze i do tego księżę“. Gdy badam o co idzie? odpowiada Kosko, że przyszedł rozkaz z głównej kwatery wysłać w nocy silny podjazd na wieś Trzebuczę lub jej okolice i kosztem jakiej bądź ofiary wziąć koniecznie Rossyanom niewolnika, a tym sposobem dowiedzieć się: czyli istotnie się z swej linii cofają lub nie?

Pomyślawszy, proponuję kapitanowi, iż, jeżeli Woroniecki zgodzi się dobrowolnie iść za mnie na placówkę nocną, to ja, znając już drogę do Trzebuczy z rannego patrolu, podejmę się tego podjazdu. Uścisnął mnie Kosko, posłano po Woronieckiego, a gdy ten przystał na zamiarę, bo miał wzrok krótki, stanęło na tem, że ja pójdę na tę wyprawę.

Udałem się zaraz do moich żołnierzy, zebrałem ich w kółko, objaśniłem nasze posłannictwo, a gdy te z zapałem przyjęli, kazałem jeszcze konie napaść i napoić, żołnierzom się posilić i czekać rozkazów.

Około 8-mej wieczór, opatrzywszy osiodłanie koni, karabinki i pistolety po ich nabiciu, kazano mi się na koń i udać się po ostateczne rozkazy do generała Kamińskiego. Generał miał kwatery na przodzie miasta, w małym murowanym domku. Dochodząc, ujrzałem stojący oddział piechoty na ulicy. Zatrzymałem moich i udałem się do generała. Zdziwił się mnie widząc, mianowicie, że po owej w dzień rejteradzie, znów idę na podjazd. Gdy go zapewnił, że z dobrej woli, poprzestał na tem uśmiechając się. Adjutant Schendel przywołał oficerów od piechoty; weszli, a pamiętam dobrze ich nazwiska — byli to porucznik Łubieński i podporucznik Ksawery Dobrzelewski. Generał poinformował nas, że trzeba iść cicho i ostrożnie: doszedłszy do nieprzyjaciela, zlecił mi rzucić się nań śmiało, bez zważania na liczbę, bo to noc, a on również nie będzie wiedział kto i w jakiej sile go napada. Rozkazał strzelać mało, rąbać więcej a głównie przyprowadzić niewolnika, bez tego — dodał — wracać ci nie wolno. Oficerom od piechoty zapowiedział, że winni mnie zasłaniać, w razie potrzeby bronić: czynił ich odpowiedzialnymi za całość mojej osoby.

Podczas tej instrukcyi, adjutant Schendel wprowadził do pokoju jakiegoś cywilnego, wzrostu więcej jak średniego, w kapocie. Był to człowiek około 30 lat wieku, barczysty i silny w sobie. Tego nam generał jako przewodnika wskazał, rozkazał mu dać z swej eskorty dobrego konia, nawet pałasz na jego żądanie, pistoletów mu odmówił.

Gdy go wyprowadzono, generał upominał raz jeszcze, abyśmy się gracko sprawili. Tu porucznik Łubieński odezwał się: „panie generale! piechota zrobi swą powinność, chodzi o kawalerję“... Krzywo nań spojrział Kamiński, ja się nie odezwałem zaciśkając tylko pięści. Na koniec, gdy z dat awansów pokazało się, że starszy porucznik od Łubieńskiego, z wielkiem, jak uważałem, jego niezadowoleniem komendę całej wyprawy generał mnie oddał i pożegnał życząc powodzenia. Schendel, którego dobrze znałem, uściskał mnie w sieni mówiąc: „jestem pewny, że zdrowo wrócisz“.

Wyszlśmy — siadłem na koń z moimi, ruszyłem naprzód, trójkami: przewodnik ze mną — piechota za nami a było jej 120 żołnierzy.

Ciemno było, gdyśmy w pola weszli, choć oczy wykol: szliśmy zwolna, by piechota zdążyła: deszczyk drobny zaczął padać, kazałem więc szasserom karabinki u zamków nakryć połami od płaszców. Tak idąc drogą, którą rano postępowałem, z rozmowy z przewodnikiem, dowiedziałem się, że posiada kolonię pod Stanisławowem, że go kozactwo napadło i zrabowało, bydło mu zabrali, żonę skrzywdzili, sam zaś zбитy ledwo z życiem uciekł do Mińska, poprzysięgając zemstę i oddał się na usługi generała. Oświadczył nadto, że zna doskonale każdą drożynę w lasach i na pewno nie zbłądzi.

Pierwszy raz widząc tego człowieka, w którego ręku pozostawało powodzenie wyprawy, a może całość, życie, lub niewola oddziału, zapowiedziałem mu, że mu wierzę, ale przywoławszy dwóch zaufanych mi wiarusów, kazałem go wziąć między siebie, cugle od jego konia odebrać i powiedziałem mu, że za najmniejszym podejrzanym znakiem, jaki by wydał, kulą w łeb na miejscu dostanie. Obiecałem w końcu sowitą nagrodę, jeśli się dobrze i wiernie sprawi. Na tem poprzestał zupełnie. Żałuję najmocniej, że nie pamiętam nazwiska tego człowieka.

Idziemy więc naprzód, mijamy nasze grangardy i wedety, dochodzimy do lasu już w dzień mi znanego. Zatrzymałem oddział, posłałem po oficerów od piechoty i mówię im: „koledzy, póki pole, kawalerya na przodzie, wchodzimy w lasy, wasza rzecz przewodniczyć“. Łubieński chciał oponować, ale musiał uleść, tem więcej, iż zapowiedziałem, iż będę z nim i przewodnikiem szedł u szpic oddziału, tak też się stało. Przewodnik po niedługiej chwili skreślił w lesie z traktu na lewo wązką drożyną. Jeszcze ciemniej się zrobiło, gałęzie drzew co chwila były w oczy, mianowicie mnie, bom na wysokim siedział koniu. Fajek zakazałem palić, postępować wolno i bez rozmowy. Deszczyk mżył ciągle.

Ileśmy czasu tak szli, jakimi drożynami, pełnemi wyboi i korzeni, to obliczyć trudno: pewna jednak, żeśmy maszerowali ciągle jakie godzin trzy, raźnie kołując, nie przed sobą prócz ciemności nie widząc, a uchem tylko chwytając miarowy krok piechoty, a za nią czasami odzywała się podkowa szasserów o ka-

mieni uderzona. Wyznam, że mi się przykrzył ten bezwiedni, ciemny i tak długi pochód, gdy człek do człeka mógł zaledwie zaszeptać, jeden drugiego czuł, a nie widział. Porucznik Łubieński klął na czem świat stoi, półgłosem narzekał, że zziął i przemókł, że go już nogi bolą, potykał się ciągle. Poradziłem mu, aby się trzymał długiej grzywy mego konia, co też uczynił, a w duchu śmiałem się z niego. „Poruczniku, mówiłem, powiedziałaś, że piechota zrobi swoją powinność...” to czyni że ja... Badany przewodnik upewniał, że nie błądzi, zdawał się być pewny siebie w tym labiryncie drożyn leśnych i upewniał, że już niedaleko.

Jakoż, niedługo las zaczął się przersedzać — po chwili weszliśmy w zagaje — nagle przewodnik mnie zatrzymał, oddział doszedł do szpicu, wszystko stanęło.

Rozpatrzywszy się, ujrzałem się na brzegu lasu, a na początku jakiegoś pola. Pole to, ile można było w ciemnościach rozpoznać, podnosiło się w dali. Przewodnik namówił mnie, iż zostawiwszy oddział, wolno i cicho postąpiłem z nim na wzgórze. Jakież widok!...

Oto znajdowałem się na kilka staj wgląd uważając, po za prawem skrzydłem wyciągniętych obozów rosyjskich, tem się odznaczających, że w tej późnej godzinie gdzie nigdzie jeszcze słabe światełka dopalających się ognisk błyszczały. Obeszliśmy więc w koło obozy Rossyan manowcami, a linia ich rozciągała się daleko i szeroko, prostopadle do wzgórza, na którem stałem. Były to obozy pod Trzebuczą. Stanęliśmy u zamierzonego celu.

Kiedym z uczuciem prawdziwego zadowolenia rozpatrywał to położenie, nagle z dala na prawo koń obcy zarżał... Ściągnęliśmy cugle swoim, by się nie odezwały i nas nie zdradziły... Poczuli koń konie, ale choć czujny żołnierz na wedecie stojący, nie pojął instynktu zwierzęcego. Była to po za obozowa tylna straż nieprzyjacielska, o jakie dwieście kroków odemnie stojąca. Na prawo las nieco kolaniem się załamywał; wpatrzywszy się w to miejsce, gdzie się koń odezwał, zdołałem porachować rzadkie już ale jeszcze wysokie drzewa i ich wierzchołki — powróciłem do swoich. Z oficerami nastąpiła krótka narada, przypomniałem hasła nasze na tę noc wydane, któremi były „Wieniec“ i „Warszawa“. Zaleciłem, aby piechota gęsto się rozsypała po nad brzegiem lasu, na który zwycięzca lub pobity cofać się będą. Nakazałem w razie

poznania i pogoni za mną, gęstym ogniem ją przywitać. Nakoniec zaleciwszy żołnierzom cicho dobyć pałaszy, frontem wstąpiliśmy na owe wzgórze pola, a przewodnik przy mnie. Na wzgórzu przystanęliśmy nieco... I znów koń pod krzakami w dali zarżał. Już nie było wątpliwości; cichą stępą posuwamy się pod nieprzyjacielską wedetę — nie upłynęło kilku minut, gromki głos o kilkanaście kroków wykrzyknął: „Kto idiot?“ Odpowiadam „swoj“; „szto za swoj“? — a ja z ruska „patruł“; a on „katoroho połka?“ — nie wiem z kąd mi przyszło na myśl odpowiedzieć: „Oleopolski gusarski połka“ — a coraz bliżej pod wedetę. Ale kozuń, bo to on był, poznał nakoniec zdradę, lecz za późno!... Wystrzelił z janczarki, konia nawrócił, nakrył się burką, głowę schylił na karku swej szkapy i dalej w nogi... Już siedziałem na nim, szassery za mną — dałem mu w tej gonitwie kilka cięć pałaszem, ale go burka zasłaniała. Tyle było dobrego, że uciekając, sam nas zaprowadził na kolumnę obozującą.

Wszystko to się działo wciągu kilkunastu sekund: inne wedety strzał pierwszy w tej chwili powtórzyły, dla zaalarmowania swoich obozów.

Teraz wyobrazić sobie trzeba, jaką być mogła ta nawałnica, ten silny i niespodziewany napad trzydziestu dwóch mężnych, na dzielnych siedzących koniach żołnierzy, na to obozowisko bocznego skrzydła Moskali, a pułku Czarnomorskiego kozaków.

Szwadrony ich stały tyłem do nas napadających, w małych od siebie odstępach; spisy kozackie utknięte w ziemię przed końmi, kozacy pokotem leżeli, śpiąc przy dogorywających ogniskach, z zupełnem bezpieczeństwem, bo obóz był na tyłach i mieli inne wojska przed sobą. Konie z torbami u pysków roztrenzlowane, a uwiązane do palików w ziemię wbitych. Pierwsze nasze uderzenie, wykonane w całym pędzie koni, stratowało głęboko część tej im kolumny, słabe konie kozackie powywracane, rzucały się splątane, jeszcze większy nieład i zamieszanie sprawiały. Kozactwo zgromione i przerażone, chowało się za końmi, unykało pod ich brzuchami... a dzielne moje szassery rąbią, że aż słychać było głucho zadawane cięcia, a za każdym jęk boleśny. Dodajmy: że to była noc, noc ciemna — kozaki nie wiedzieli, gdzie się obrócić, jaka ich siła napada.

Leez przednia część tej kolumny dorwała się janczarek, zaczęła gęsto strzelać do nas bez żadnego skutku; moi żołnierze rozsypują się, to pojedynczo to kupkami, tracę ich z oczu w ciemności; sam z trębaczem Rejehertem stępo po tym pokaleczonym tłumie postępuję. W tem zagrzmiało działo... za niem wystrzał drugi... trzeci gdzieś w dali... na całej linii ognie obozów zgaszzone — słyhać głosy komend, krzyki, trąbki odzywowe... słowem alarm we wszystkich obozach.

Posuwam się naprzód mijając ogniska — napotykam szalas obozowy, przed nim kozak trzyma konia białego, a jakiś oficer nań siada. Schwyciłem go na tej pozycyi, kiedy prawą nogę przekładał górą przez kulbakę, zawieszony lewą na strzemieniu; w tej chwili dałem mu silne cięcie po karku, a mój trębacz wpakował mu w bok pałasz po samą rękojeść: padł na miejscu z jękiem, koń uciekł, a kozak klęknął, oddał mi swój pałasz i pistolet z za pasa. Byłem tak nierozsądny, że z konia wziął go za lufę... on zaś taki głupi, że mogąc, nie położył mnie trupem, ale przelekniony, schwycił się mego strzemienia wołając: „pamiłuj!... pamiłujtie!...“ i już mnie nie odstąpił. Spytałem go, co to za oficer, któregośmy ubili? odpowiedział, że major Pietrassow.

Rzeź ta i rąbanina trwała już od kwadransa, może i więcej, kiedym postanowił ją skończyć. Kazałem trębaczowi zatrąbić zbiór. Kiedy ten sygnał się rozlegał, slysze po mojej lewej stronie silny tentent koni; mocny jakiś oddział wyciągniętym galopem się zbliża, przed nim dowódzca; ten mijając mnie o kilkanaście kroków, pali do mnie raz i drugi z dwururnego pistoletu i umyka naprzód po linii obozów, oddział za nim; mogli mnie wziąć, tylko rękę należało wyciągnąć.

Ale wnet moje wiarusy zaczęły się zbierać, robi się koło mnie tłum ludzi i koni, poznają swoich, otaczających stadko zdobytych koni i pieszego kozactwa co nie miara. Znając moich po nazwisku, wołam: „ten jest?...“ „jest“ — odpowiada — „a ów jest? Obliczcie się!...“ Bóg dał, byli wszyscy.

— „Dalej zuchy za mną, pilnować koni i niewolnika!“ Zjawia się i przewodnik. „Daliśmy im łupnia, tym zbójom, poruczniku!.. ośmiu mię rabowało, ośmiu też zrąbałem!...“ Ruszamy — wchodzimy na jakąś grobelkę wierzbami wysadzana, któryś woła: „a to co?...“ inni przystanęli, a mój wachmistrz: „Panie poru-

czniku! gruszki na wierzbach!...” Spojrzę, coś czernieje między gałęziami, a to kozacy schowani... dalejże sięgać po nich, tu jeszcze siedmiu ich wzięliśmy.

Idziemy pospiesznym krokiem, za nami ciągle krzyki i strzały, niedługo też las zaczerniał, podchodzimy tłumnie, a tu na szerokiej linii błysły strzały, nasza piechota wali do nas z karabinów, kulki tylko świszczą w powietrzu. Wołam: „swój! swój!...” nie pomaga, więc daję ostrogi koniowi i dopadam do lasu. Tu nas poznają, ogień ustaje, moje szassery nadchodzą. „A gdzie oficerowie?” — pytam — nie wiedzą... jadę po linii, nie znajduję!... nareszcie trafiam na sierżanta, i znów: „Gdzie oficerowie?” ten się zbliża do mnie i po cichu odpowiada: „Panowie oficerowie w przekonaniu, żeś porucznik z oddziałem wzięty, rozkazali nam cofnąć się w lasy, jedni ich usłuchali, inni ze mną na ochotnika tu pozostali, a jest nas ze czterdziestu.”

Skląwszy tehorzów od wszystkich rejmentów dyabłów, wołam przewodnika. „Słuchaj, mówię, lasami nam wracać nie podobna, po tej ciemnicy połowa nam niewolnika ucieknie — co robić?...” „Panie oficerze, odpowiada: różnijmy się przez wieś, wiem drogę.” — „Więc naprzód!... prowadź!...” Zebrana piechota, opłotki nam w jednej chwili rozgrodziła, wchodzimy między stodoły i chałupy, skręcamy w prawo, tu drożyna — za kilkanaście kroków most na jakimś strumieniu czy rowie, ale dyle ściągnięte na naszą stronę. Dwudziestu piechurów wnet ułożyło na ligarach pomost, ale kozactwo piesze i konne już nas dogania ciągle strzelając. Ledwie zdążyliśmy ów most przejść, przeprowadzić konie i niewolnika kozaki tuż, ale ów sierżant wiedział co robić, przyjął ich rotowym ogniem, by poznali, że tu jest i piechota — więc się cofnęli — znów z dylami robota — w minucie most zdjęty, dyle rozrzucone, a my naprzód.

W tym odwrocie opatrność boska i znajomość miejscowości dzielnego przewodnika nas prowadziła. Puściliśmy się w pola, ciemność nas zasłaniała, już nie spotkaliśmy nikogo, bo zewnętrzne wedety obozu Rosyianie na ten alarm cofnęli.

W tych kilku kwadransach, trzy razy mogłem być zabity: raz od kozaka, który po zabiciu majora podawał mi pistolet; drugi, przez oficera, który pędząc z swym oddziałem, dwa razy wypalił do mnie o kroków piętnaście; trzeci, od własnej pie-

choty, która strzelała do nas z pod lasu. Trzy dobre szanse, to wiele szczęścia.

Po dobrej godzinie marszu, zasłaniany ciągle przez piechotę, idąc ciągle wolnym krokiem, napotykamy oficerów Łubieńskiego i Dobrzelewskiego z resztą ich oddziału, już na trakcie stanisławowskim. Jak się tłómaczyli z swego postąpienia, już na to nie zwracałem uwagi, powiedziałem tylko Łubieńskiemu: „Kolego, nie wypełniłeś swej powinności!...“ Zaleciłem wzmocnić jeszcze naszą arryergardę i łańcuchem otoczyć nasze boki i niewolników.

Jeszcze jakiś czas marszu... gromki głos odzywa się: „kto idzie!“ — poznaliśmy się wnet. Była to cała kompania piechoty z kapitanem, którą generał Kaniński za las wysunąć polecił dla rozpoznania, boć w Mińsku słyszano dobrze nasz bój i dawane salwy armatnie. Pod taką eskortą, która łącznie z oddziałem Łubieńskiego, przeszło 400 ludzi liczyła, można było być spokojnym i bezpiecznym. Wchodzimy w las i na trakt, którym wczoraj przechodziłem; piechota po obu stronach gęsty łańcuch tworzyła, idziemy więc wolno i wesoło, gwar w szeregach, wiara émi fajki; zdobyć, choć już szarzało, jeszcze nie rachowana.

„No, szassery! — zawołałem na swoich, — zaśpiewać teraz, jak to umiecie!...“ Organizują się śpiewacy, a wiedząc com lubił, głośnem ale rzewnem pieniem rozległa się po lesie owa sławna „Warszawianka“, o której nie nie wie obecne nasze pokolenie!... a w niej te ustępy:

O Francuzi!... czyż bez ceny
Rany nasze dla was są?...
Z pod Marengo, Wagram, Jeny,
Drezna, Lipska, Waterloo?
Świat was zdradzał, my dotrwali,...
Smierć czy tryumf, my, gdzie wy!...
Bracia! my wam krew dawali,
Dziś wy dla nas nie prócz łzy?!...

Grzmijcie bębny, ryczcie działa,
Dalej dzieci w gęsty szyk!
Wiedzie hufce wolność, chwała,
Tryumf błyska w ostrzu pik!

Leć nasz Orle — w górnym pędzie,
 Sławie, Polsce, światu służ!...
 Kto przeżyje, wolnym będzie,
 Kto polegnie, wolny już!...

Hej, kto Polak, na bagnety... etc. etc.

Za lasem pola — już była ranna godzina. bo w dali światła w Mińsku gdzieniegdzie migotały. Poznały nas po hasłach nasze forpoczty i grangardy, przepuszczają winszując powodzenia. Wstępujemy w miasteczko, stajemy przed kwaterą generała Kamińskiego. okna wszystkie oświetlone, wypada adjutant Schendel: „Sierawski jesteś!...” — „Jestem“ — odpowiadam. Skoczył i uściśnął mi rękę. „Wiesz — ani generał, ani my tu wszyscy oka nie zmrúżyliśmy, licząc strzały armatnie i inne za lasem dawane... toć tam chyba istotna bitwa była! Generał był bardzo niespokojny o ciebie, bo jakąż to odpowiedzialność przed twym ojcem, gdybyś zginął, lub cię wzięli!... Ale z konia mój dzielny rycerzu, idźmy do generała.“

Idę — za mną się tłoczy nieodstępny mój przewodnik: generał otworzył ramiona i uściśnął mnie gorąco.

— „Zdrówes? — nie ranny?“ — „Jak mnie widzisz, generale“ — „A wielus ludzi stracił?“ — „Nie straciłem ani jednego żołnierza, koni tylko ranny jeden — niewolników nie rachowałem, koni dosyć zdobyliśmy“.

Zapalono latarnię — generał wyszedł, my z nim, nastąpiło obliczenie; koni było 26, kozactwa 29 — kilku pałaszami poznaczonych.

Generał dziękował moim szasserom, a oni wasy pokręcali. Wachmistrz w ich imieniu prosi, abym kozactwo po kieszeniach pozwoił zrewidować. — „A cóż to, zapominacie, — rzekłem, — że wy gwardya?“ — Zabronilem, a później żałowałem, jak opowiem. — „Konie zdobyte — mówię — są moje, siodła i mantelzaki wasze... podział w obozie... Dziekoński!... ruszaj do pułku, powiedz, że wracamy.“

A panowie Łubieński i Dobrzelewski?... mieli tyle wstydu, że nawet do raportu przed generałem nie stanęli.

Wróciwszy do kwatery, Kamiński kazał mi opowiadać wszystkie szczegóły wyprawy. Wyznam sumiennie, iż chciałem zasłonić od odpowiedzialności dwóch owych oficerów, ale obecny przewodnik, osmielony powodzeniem, wysuwa się z za mnie i mówi:

— „Jaśnie Wielmożny Generale!... udało się, ale za mało się udało. Gdyby oficerowie od piechoty nie stehórzyli, albo bylibyśmy cały pułk kozactwa wzięli, albo ich w pień wyrzneli, ale i tak dosyć mięsa było. Pomściłem się JW. generale!“ — dobył pałasza i istotnie krwią był zboczony.

Tu generał zwrócił się do mnie, a widząc moje zmieszanie, surowo rozkazał prawdę wypowiedzieć, — nie było rady.

Po wysłuchaniu mego raportu, Kamiński rozkazał mi kask zdjąć, pałasz odpiąć i usiąść; przewodnikowi wyliczył na dłoni dwadzieścia dukatów złotem, ja mu jednego konia ze zdobytych darowałem; piechocie zlecono, aby poszła do obozu, moi pozostali otaczając jeńców.

Wnieiono wódkę, jakąś pieczeń zimną, parę butelek czerwonego wina — wnet i samowar zakipiał — ach! jadłem też i piłem... a generał kazał sobie ciągle opowiadać i jedno powtarzać — zrywał się z krzesła, chodził po izbie, brząkał ostrogami, a swoje sławne i ulubione „ramtiti“ co chwila wypowiadał. Było to jego przysłowie, czy w gniewie czy w wesołości. „Panie generale, — kończyłem — gdyby zamiast moich 30 koni, poszedł cały szwadron, sprawilibyśmy kozakom taniec wymieniony.“

Tymczasem już się rozwidniło. Schendel raport do generała Łubińskiego ukończył — pięćdziesiąt koni Krakusów stanęło przed dworkiem, zabielały białe sukmanki jak stado gęsi, wszedł oficer. Generał kazał mu jeńców odebrać, konie mi zostawić, raport oddać generałowi Łubińskiemu, dowodzącemu korpusem pod Mińskiem. Wszedłem z oficerem i w jednej chwili z nim się ułatwiłem. Wszedł jeszcze generał przed dom, jeszcze raz winszował powodzenia, żołnierzom dziękował, coś pokazał na moich piersiach, czego na razie nie zrozumiałem, podał rękę i pozwolił odmaszerować. Na koni więc! konie kozackie zabieramy i idziemy ku rynkowi miasta.

Pułk stał na koniach w kolumnie, bo już go ułany zluzowały. Skorośmy się z ulicy na rynku pokazali, muzyka pułkowa zabrzmiała „generał marsz“ na nasze powitanie, a sześćset wiaru-

sów wykrzyknęło: hurra!... Dreszcz rozkoszny przebiegł po mnie, bo to był honor niezwykle, a może i za wielki. Podskoczyłem do pułkownika Zielonki: salutując, zdaję krótki raport. „Dziękuję, poruczniku, odezwał się głośno — dziękuję w imieniu całego pułku i wam dzielne szassery, dodaliście chwwały więcej naszemu pułkowi. Panie kwatermistrzu Ciechanowski! żołnierzom tego plutonu dać podwójną rację wódki, mięsa i sucharów — koniom podwójny furaz“. A zwracając się do mnie: „porucznika proszę na obiad do mego baraku“.

Nastąpiły uściski oficerów sztabowych i kolegów moich. Przerwał je pułkownik komendą: „szóstkami od prawego! lewe ramię naprzód! stępa marsz!“ Muzyka kopnęła się na czoło, przed nią adjutant Tomkowicz i brzmiały wesoło trąbki!... Minęliśmy miasteczko, dalej po za obozy generała Łubieńskiego, stanęliśmy nad ruczajem, zsiadli z koni, gwar zwykły się rozpoczął pomiędzy żołnierzami, wielu zbiegło się do moich na opowiadanie, a było co słuchać. Po chwili już dymiły się ogniska, szassery wodę nosili kociołkami do gotowania strawy: przyszedł do mnie mój kapitan Kosko, wyczałował, „dobra krew, dobra — wołał — w tobie — chwala ci... godnyś twego ojca.“

Jam padł jak nieżywy ze znużenia, a oparłszy głowę pod krzakiem o terlicę kozacką, zasnąłem twardo.

Żałuję najmocniej tych, co nigdy obozu wojennego nie widzieli, a jeszcze obozu zwyciężkiego wojska. Według mnie, nic więcej uderzającego, wszystkich na raz zmysłów zgromadzić nie można. W dekoracjach ujrzysz żywe i prawdziwe niebo z swym błękitem i lekko przesuwającymi się białymi obłokami — las zielony i wonny, w różnych kształtach rysujący swe drzewa — tu zielona łąka nad wijącym się strumieniem, dalej rozległe pola pagórkami falujące — a nad tą pyszną i prawdziwą naturą, zwolna przesuwa się wspaniała słoneczna gwiazda. To nie płótno malarza krajobraz wyobrażające, to obraz rozległy, perspektywa nieskończona, jak ją tylko okiem dosięgnąć zdołasz. Na ziemi, na szczupłej jej przestrzeni i na pierwszym planie widoku, mrowie ludzi, z twarzy, z ruchów, mundurów sobie podobnych — tu tyśiące koni i łyszczącej się broni, tam armaty w liniach wyciągnięte o zielonych lawetach, ze spuszczoneimi paszczami, wycze-

kujące polknięcia morderczego naboju — wszystko niby bez porządku, a pełne jednej harmonii. W odstępach kurzą się ogniska, dym wznosi się do góry... ten dym, którego dziwne kłębowania się malarz usiłuje wnieść na płótno, aby ożywił widok ludzkiego mieszkania — martwym on jest w obrazie, tu jest on żywy, buja swobodnie pod wiatru powiewem, rozplywa się w przestworzu i wkońcu niknie. Niemasz tu mieszkań, ale jest życie pod jasnym niebem, silniejsze jak gdzieindziej — to nie wieś ani miasto... to obóz ludny, gwarny, wesoły, ruchliwy — stań na jego krańcu... przestrzeń pól niezmiernych przecięta drogami, połamana pagórkami — na ich niskich i wyższych czolach stoją nieruchomie jakieś w dali czarne punkciki niby postacie... to wedety i strażę zewnętrzne.

Gdy ciemna noc zapadnie, odmienny widok zupełnie. Silniejsze ogniska się palą, łuna nad całym obozem — nie pożar, ale wielkie świeczniki bez dachowych mieszkań żołnierza. Już on się nasycił strawą, gromadzi się do ciepłego a tyle wesołego żywiołu — tu wypoczywa, szuka rozmowy z towarzyszami — słucha opowiadań lub je udziela — o czym?... o niczym innym, jak o bitwach, w których był czynnym, a przeżył bez kalectwa... o swych dowódcach, których postępowanie w ogniu, obroty nakazane najtrafniej niekiedy przesądza. Energiczne to są wysłowienia żołnierskie, jędrne, zwięzłe, czasem kłutwą przeplatane. Nie inna jest też treść owych gawęd nocnych, bo żołnierz zapomina o świecie, póki sen ożywecy powiek mu nie zamknie. Wówczas układają się ciasno, głowę jeden na drugim wspiera lub na tornistrze — zasypiają spokojnie, nie myśląc o jutrze.

Niechże wśród tego snu dadzą się słyszeć odległe strzały wedet, powtórzone w obozie trąbą alarmową, wystrzałem z działa: zrywają się te tysiące wnet trzeźwi, przytomni — porywają za broń, tę drugą ich siłę, i wnet na głos dowódców stają w szeregu, stają się machiną posłuszną jednemu głosowi, jednej znanej im woli.

Ileż to razy przechodziłem się rozmyślnie po obozie, aby się napatrzeć tyle dziwnemu ułożeniu się tych tysięcy w jeden obraz, szanujących każdą minutę danego im wypoczynku, a niewiedzących co za jej upływem nastąpi... Tu życie, istnienie jest niczem; rachuje je niewidomy wyrok godzinami, bo każda z upły-

wających jest dla kogoś ostatnią... A mimo tego ten, którego ciało na zawsze już zastygnie przed słońca zachodem, w tej chwili karmi je jeszcze zgłodniały i odcina się żartem temu co mu przeskadza. To inni ludzie, inną naturą obdarzeni od tych, na których co dzień patrzemy.

O panowie filozofowie! którzy dowodzicie, że moje „ja“ jest przedewszystkiem... przyjdźcie tu studyować człowieka, nie tak głęboko rozumującego, nie takiego, z jakim codziennie obcuje, ale takiego, co się zaparł sam siebie i poświęca się dla dobra innych.

O piękne panie!... którym zdaje się, że nam, mężczyznom wasza opieka jest konieczną i niezbędną... Pójdźcie tu zobaczyć, jak ten wąsaty żołnierz strawę sobie gotuje bez waszej pomocy, jak pierze swą białiznę w mule błotnym bez mydła, jak igłą obraca naprawiając usterki munduru, jak pilnuje oczędóstwa około siebie, chociaż nań nie patrzycie!... a widząc to, co tylko w obozie widzieć można, skłoniecie głowy przed mężczyzną wyższością.

Tak, druga połowa rodu naszego!... Dziękujemy Stwórcy, że was obok nas postawił, ale nam tylko waszych uczuć, waszego serca potrzeba.

Idźmy do galeryi obrazów. Tu krajobraz wspinały jasnym słońcem oświecony — tu scena rodzajowa, żywo rodzinę przedstawiająca — dalej płótno wyobrażające młodą dziewczę uroczej piękności, o jasnym oku i włosie, z niezapominajką w ręku, a ta słodko się do widza uśmiecha i napełnia go słodkimi uczuciami. Patrzymy, chwalimy... ale cóż to za tłum tam się ciśnie? idziemy — to obraz srogiej bitwy ze wszystkimi jej fazami, które zdolny artysta schwycił z natury, lub zdołał wiernie sobie wyobrazić. Powiedźcie mi, dla czego ten tłum, co nigdy bitwy nie widział, co nigdy oglądać jej nie będzie, tu się długo wpatruje, wtajemnicza w jej dzieje, rachuje zadawane razy, wnet odróżnia zwyciężcę od zwyciężonych — zapala się, przyklaskuje, a odchodząc, duchem silniejszym się być czuje?

W pułku naszym należał do starszych kapitan January Suchodolski, adjutant generała Wincentego Krasińskiego. Już przed rokiem 1830 prace jego malarskie, mianowicie bitew, zasługiwały na odznaczenie. Ile pamiętam, piękne były płótna: bitwa pod Wielkimi Łukami; dzielna szarża husarzy polskich pod Kirchol-

mem: przedstawił też obraz przejścia Francuzów pod Berezyną; bitwę naszych przy oswobodzeniu Wiednia od Turków; ostatnią szarżę księcia Józefa Poniatowskiego pod Lipskiem i wiele innych. Znałem go z bliska, był tylko ochotnikiem przy naszym pułku w wojnie r. 1831; chodził po obozie z teką i ołówkiem, a gdzie tylko dojrzał grupę żołnierzy i koni (a te dobrze malował), szczególnie ułożoną, chwycił do swego albumu, z czego się utworzył znaczny i śliczny rodzajowy zbiorek. Po wojnie pozwolono mu wyjechać do Włoch. Bawił tam lat kilka i sam mi opowiadał później, że za małe szkice, czerpane z owego albumu, wziął od włoskich amatorów przeszło 30.000 franków, a za większy obraz 6000 fr. Byłem i ja w tem albumie, schwycony w osobistym spotkaniu z Czerkiesem pod Nadborami.

Według mnie, mało jeszcze o wojnie, a głównie o żołnierzu powiedziano i napisano. Obok innych, prawie z gruntu dotkniętych, rozleglejsze myśli i zastanowienia wyczekują właściwej odsłony. W czasie pokoju, nazwano żołnierza pracowitym próżniakiem; trudy jego wojenne i poświęcenia dotąd słabo określono. Pisano wiele o męztwie, o chwale nabytej przez te lub owe wojska, są to tylko ogólniki: nikt tego najszczytniejszego powołania nie zbadał — dlaczego? historycy piszą dzieje wojen w wygodnem swem mieszkaniu, dowódcy o swych czynach, między żołnierzami dotąd pismaka nie było.

Nawet wysłownia i język wojenny, jest inny od zwyczajnego. Kiedy Napoleon w czasie bitwy pod Piramidami w Egipcie rzekł: „Żołnierze!... czterdzieści wieków na was patrzy“!... kilkanaście jego batalionów, spieczonych pod skwarnem słońcem tej sfery, rzuciło się na pięćkroć liczniejszą a sławną jazdę Mameluków i rozbiło ją ze szczerem. A wieleż takich myśli tyle szczytnych, usta innych wodzów już dotąd wypowiedziały!...

Tak — czyny i mowa wojenna, jest inną od zwyczajnej; ta mowa jest krótką jak grom, czyny zdwajają się w sile pod wolą osobistą, przemówienia wodza je potęgują: pierwsze szybkie, jak piorun, drugie — w uroczystych tylko chwilach wywołuje natchnienie.

I znów pytam, dlaczego? Oto dla tego, że są wygłaszane w obec widoku śmierci, tej niszczącej siły nad całą panującą naturą... Wtedy, gdy ona kościatą swą rękę po swe ofiary wyciąga.

A gardzić nią, przyznajmy, że w tem podniesieniu ducha, to heroizm, to szczytność bohatera, nieledwie nadludzka.

Prelekye naszych uczonych, publiczne jakie bądź mowy, takiego wzruszenia, o władnienia nad całym naszym jestestwem nigdy nie wzbudzą.

W czasie bitwy, podnosimy ducha prostego żołnierza słowem, gestem, przykładem. Idzie on i daje się zabijać, przysypia go ziemią, wykreśla z kontroli pułku i na tem koniec jego na tym świecie istnienia.

Zwycięzca, pod którym służył, w swym biuletynie ogłasza: „straciliśmy w zabitych pięć, sześć lub więcej tysięcy“, a nazwiska giną w tych cyfrach zapoznane. Oplakują ich później ojcowie, bracia, siostry, może i żony — a szczątki ich pruchnieją gdzieś daleko od rodzinnej chaty...

Ocalałym w tym szerokim krwi rozlewie, monarcha lub wódz przesyła dziesięć lub więcej krzyżów zasługi; dumni są prawda z ich posiadania ci, co je otrzymali — inni mileżą. Żołnierz taki czynnym był w wielu bitwach, przyłożył się do zwycięstw i chwały swego pułku, dywizyi, lub korpusu — wraca kiedyś kaleką pod swą strzechę, bez żadnej pamiątki swych trudów i poświęcenia! W jednej Rosyi inny jest porządek. Za osobiste odznaczenie się udzielają żołnierzowi krzyż wojenny Świętego Jerzego i niektóre przywileje — wszystkim innym, aż do ostatniego furgonisty, bo i ten jest potrzebny, pamiątkowe medale z odbytej takiej lub owakiej wojny.

I to jest słuszne, nawet sprawiedliwe.

Generał Józef Kamiński, pod którym służyłem od r. 1825 jako żołnierz i podchorąży w 4-tym pułku strzelców konnych do r. 1829, to jest do dnia mianowania mnie oficerem w konnej gwardyi, był wzrostu więcej jak średniego, brunet, o twarzy czerstwej i rumianej, silny w sobie, jeździec śmiały, lubił konie wierzchowe i miał je zawsze dzielne. Ozdobiony był krzyżem Legii honorowej francuskiej. Za bitwę pod Grochowem dostał krzyż polski wojenny; wkrótce posunięto go na generała brygady. Odważny, trochę pasyonat, gdy się rozgniewał, nie było z nim rady ani żartów. Myśliwy, para chartów zawsze biegła przy nim w marszu. Gdyśmy po bitwie wielko-czwartkowej forsowali pozy-

cyę Kostrzyna, piechota biła się na szosie, jazda nasza przeszła w bród Kostrzyn pod wsią Suchą, Kamiński z nami na przodzie, za rzeką kawalerya nieprzyjacielska stała opodal, w tem w polu pomyka zajęę z kotliny... Kamiński woła: hejdz go ha!... i sam za chartami z kopyta. Zajęę biegnie wprost na Moskali — generał tuż — musiano wysłać cały szwadron, by go zasłonić i wycofać, bo już flankiery nieprzyjacielskie go docierały. Postawił na swoim, bo zajęę charty schwytały.

W bitwie pod Grochowem 25. lutego, kiedy, manewrując wśród boju, brygada nasza z Kamińskim znalazła się chwilowo w drugiej linii, pędzi z pierwszej na białym koniu oficer ku nam. Generał sądząc, że z jakimś rozkazem, podskakuje do niego, poznaje Antoniego K...skiego z pułku 2-go szasserów. „Stój! Antosiu — woła — co to jest?“ a Antos, który był nawet jego powinowatym, osadza konia na miejscu i prawie nieprzytomny odpowiada: „Generale!... niech ich milion dyabłów weźmie, jak kulami strzelają!...“ Kamiński koniem natarł na niego: „a ranti! zjadłeś sam milion dyabłów! Cóż to chcesz, aby pierogami strzelali?...“ Zwrócił mu konia, dał kilka płazów po zadzie i zmusił biednego Antosia do powrotu na pierwszą linię. Buchnęliśmy śmiechem na całym froncie.

Zapisuję tu także, że oddział piechoty, który był ze mną na owej nocnej wyprawie, należał do pułku 3-go strzelców pieszych, dowództwa pułkownika Sznięgielskiego. Porucznika zaś Łubieńskiego, nie należy zaliczać do rodziny hrabiów Łubieńskich, z której Tomasz był dowódcą korpusu w r. 1831, brat jego biskupem, trzeci, Piotr znakomite urzędy sprawował w służbie cywilnej Kongresowego Królestwa, czwarty, Henryk był wiceprezesem Banku polskiego. Porucznik Seweryn Łubieński był synem patrona Trybunału w Suwałkach, czy też w Augustowie.

Wracam do przerwane go opowiadania. W czasie snu mojego, szwadrony 1-go i 2-go naszego pułku, odbywały dzienny rekonesans na wieś Trzebuczę, posiłkowane przez pułk konnych Mazurów. W Trzebuczy i na całej linii Rossyianie już się nie znajdowali; zwinęli do dnia swe obozy, cofając się ku Kałuszynowi. Badane włościanki miejscowe, bo wszystkich chłopów zajęli na furmanki, zeznawały, że mnóstwo rannych z nocnego napadu uwięziono podwodami.

Dnia 1. i 2. maja nie zmienialiśmy pozycyi. Dnia 3-go generał Łubieński dawał obiad dla wszystkich dowódców swego korpusu, a to na pamiątkę konstytucyi też historyczną datę noszącej, którą Sejm r. 1791 postanowił. Kiedy i my ten dzień u siebie wedle możności świętujemy, adjutant Łubieńskiego przybywa, szukają mnie i powołują do sztabu; siadam na konia i jadę.

Starszyna nasza już była po obiedzie. Kielichy tylko jeszcze krążyły; dwie muzyki na przemian wygrywały narodowe pieśni. Gwarzono o wojnie, o wielkim cesarzu, o obecnych nadziejach, Sejmie nieustającym, Towarzystwie patryotycznym, któregośmy w wojsku nienawidzili i o jego klubie. Jam wszedł, a wiedząc, że to nie służba, zdjąłem kask i czekam. W tem Kamiński mnie dojrzał, posunął się do generała Łubieńskiego, ten się zbliżył do mnie w towarzystwie jakiegoś smągłego blondyna w okularach, w adjutanckim mundurze sztabu naczelnego wodza, i mówi: „poruczniku: naczelny wódz, w uznaniu twej zasługi, przysłała ci przez księcia Sapiechę (wskazał na adjutanta) krzyż polski i patent nani. Jest to znak pasujący cię na rycerza, a my starzy żołnierze, co go od dawna nosimy, jesteśmy od dziś twymi kolegami!”

Kamiński przypiął mi krzyż do piersi i wetknął patent w rękę. Wyznam, że oniemiał ze wzruszenia... Milczenie przerwał adjutant wódza, odzywając się po francusku, bo w sztabie głównym, gdzie sami książęta i hrabiowie Skrzyneckiego otaczali, nieomal tego języka używano:

„*Monsieur Lieutenant! je Vous félicite... Vous avez bien mérité cette Croix — et même réparé votre faute, que vous avez comise le jour du 30. avril.*“ Widać, że był poinformowany o mojej dziennej w owym dniu burdzie z kozakami.

Lekko skinąłem głową, a zacerwieniwszy się, odrzekłem: „*Merci, mon Prince! dans un cas pareil, faites mieux si Vous le pouvez!...*“

Uśmiechnął się Kamiński; mój pułkownik Zielonka przystąpił z kielichem wina, wypił do mnie. Jam podniósł podany do góry, z toastem na cześć wojska polskiego i naczelnego wodza. Pomału wysunąłem się z pokoju, dopadłem konia i jednym pędem stanąłem u swoich.

Czekali na mnie koledzy — szczerze winszowali... nie mogłem mówić... Ten krzyż, krzyż polski wojennej zasługi, to

ziszczony me marzenie, kołatał mi na piersi z biciem serca mego. Urosłem w jakąś szlachetną dumę.

Dnia 6. maja przybył z furgonami z Warszawy, z żywnością i furazami dla pułku, kwatermistrz Ciechanowski; doręczył mi 1.100 zł. polsk. za sprzedane konie kozackie, które mu powierzyłem i Nr. 120 *Gazety Polskiej* z dnia 5. maja, a w nim raport naczelnego wodza Rządowi Narodowemu złożony. W tym, po opisie bitew z dni 25. i 26. kwietnia, znajduje się ten ustęp:

„Po potyczce pod Mińskiem, zająłem stanowisko pod Dębem, gdzie oczekiwałem nieprzyjaciela i postanowiłem przyjąć bitwę, którą tenże, jak się zdawało, chciał wydać, niepodobna bowiem wytlómaczyć tego zaczepnego poruszenia, które z całymi swymi siłami wykonał, i które pod pozycją Dębego miał nagromadzone.

„Tymczasem z dnia 29. na 30. kwietnia nieprzyjaciel rozpoczął marsz odwrotny. Nasze przednie stráže postąpiły za nim i z różnych stron zabierają niewolnika. W nocy z 30. kwietnia na 1. maja porucznik Sierawski z 5. pułku strzelców konnych, w trzydzieści koni obszedłszy pod wsią Trzebuczą obóz całego pułku kozaków, napadł nań z tyłu niespodzianie, część zabrał w niewolę, część trupem położył, reszta się w lasy rozsypała.“

Numer owej *Gazety* włożyłem do ładownicy; nosiłem go przez całą kampanię, przebył ze mną wszystkie następne życia mego koleje i dziś po pięćdziesięciu latach mam go u siebie, zachowując jako relikwiarz i świadectwo wojskowego mego honoru i odznaczenia się. Bo też był to niezwykle wypadek, aby naczelnny wódz w swym raporcie wspomniał o czynie niskiego stopnia oficera.

Oto jest kopia patentu na krzyż wojskowy:

Nr. 1.151.

Szef Sztabu Głównego

do

Pana Porucznika Sierawskiego Napoleona

Zawiadamiam Pana Porucznika, iż Naczelnny Wódz siły zbrojnej Narodowej, zaszczycił Go ozdobą Krzyża Wojskowego Złotego, na którą patent w zwykłej formie później odbierzesz.

(Podpisano) Generał Brygady *Chrzanowski*.

W nocy z dnia 29. na 30. kwietnia, napadłem obozy rosyjskie; 2. maja w Jędrzejowie, datowany jest patent powyższy. Nie ociągał się więc wódz naczelny z przyznaniem mi krzyża. Tem chlubniej dla mnie.

Kapitał 1.100 zł. pols., wzięty za konie kozackie, z których najlepszego bieguna sobie pozostawiłem, użyłem jak następuje:

Trzydziestu moim wiarusom kupiłem w Mińsku tyleż butelek wina po 5 zpl.; tytoniu paczek 60 i trzy barany na rzeź.

U Czarnej Marysi, naszej pułkowej wiwandyerki, zakupiłem cały furgon prowiantów, który z Warszawy peryodycznie nam przywoziła; były tam szynki, wędzone ozory, pieczenie, porter, wina, wódka, chleb, bułki, a nawet wielka fasa przedniego bigosu. Zapłaciłem jej za to przeszło 500 zpl., a używaliśmy ze cztery dni tego bankietu. Resztę przegrałem w lanc-knechta, który jako nowość, był w modzie w obozie. Żołnierze moi po zrewidowaniu mantelzaków kozackich, znaleźli sporo porządnej bielizny, mundurów i potrzebnych żołnierzowi drobiazgów; w poduszkach u kulbak zaszyte były pieniądze w złocie, srebrze i ruskich bu-mażkach, ale w niewielkiej liczbie, bo pułk czarnomorski odbywał w latach 1828 i 1829 wojnę turecką, a później był na strażach granicznych od Galicyi austryackiej. Najlepiej się jednak obłowili Krakusy, odprowadzający kozaków do Jędrzejowa. Z ich trzósów tyle nabrali pieniędzy w różnej monecie, tak potem pili i dokazywali, iż musiano im tę zdobycz odebrać i częściami wypłacać. Żałowałem, że się to moim nie dostało.

Wyjednałem nakoniec pięć krzyżów żołnierskich dla mego plutonu. Dostali je: wachmistrz Rajtarski, kapral Dziekoński, trębacz Rejchert; dwa ostatnie poszły na losowanie między żołnierzy. Pluton świecił krzyżami, a oprócz tej ozdoby był przywilej, bo żołnierz taki lub podoficer pobierał żołd podwójny; co większa — taką zyskałem reputację między żołnierzami w pułku, że gdybym w potrzebie krzyknął: „hej wiara! kto za mną pójdzie?...“ nie wiem już ilu by gotowych stanęło.

Ale nie koniec temu wszystkiemu. — 6. maja po południu, dobry mój przyjaciel, kapitan Gotardowski, przyszedł do mego baraku z dwoma oficerami pułku 3-go strzelców pieszych, owego pułku, którego oddział był ze mną na nocnej wyprawie. Jeden

z nich, kapitan o szpakowatych już włosach, miał na piersiach krzyż Legii francuskiej; po wzajemnem przywitaniu się zabrał głos:

„Panie poruczniku! — raportem twoim zniesławiliś dwóch naszych kolegów, obraziłeś również honor pułku. Fakt spełniony, cofnąć go nie podobna — przychodzimy więc w imieniu całego korpusu oficerów pułku 3-go strzelców, żądać od porucznika honorowej satysfakcji.“

Spojrzałem na Gotardowskiego, ten mrugnął na mnie oczami, krótko więc odrzekłem: „przyjmuję wyzwanie, zastrzegam tylko, aby o niem wiedzieli nasi dowódcy — wyznaczenia terminu oczekiwać będę.“

Skloniliśmy się sobie grzecznie, oficerowie odeszli, Gotardowski podjął się zawiadomić o tem, co zaszło, pułkownika Zielonkę; upewnił mnie nadto, że jeśli przyjdzie do rozprawy, będzie mi sekundował. Kapitan Kosko również sam się w tej sprawie ofiarował.

Wnet rozeszła się ta wieść pomiędzy naszymi oficerami, głowy się zapaliły: chcieli wszyscy przeciw wszystkim stawać i splantować piechotę. Ale Zielonka ochłodził młodzież perswazyą i postanowił, że chociaż w czasie wojennym nie powinny mieć miejsca podobne rozprawy, jeśli jednak nie będzie można uniknąć spotkania, nie odmówi przyzwolenia.

Czekamy przeto z Gotardowskim i Koską 24 godzin: kartel od piechoty nie nadszedł, siadamy więc dnia trzeciego na koń, bierzemy z sobą trzech szasserów i jedziemy do jej obozu.

Dojeżdżając, widzimy pułk 3-ci strzelców w kolumnach batalionowych, kaszkiety zdjęte, broń u nogi, kapelan przed pułkiem, bo już słońce zachodziło, odmawia wieczorną modlitwę, stajemy więc opodal, zsiadamy z koni i czekamy. Po niedługiej chwili, bataliony cofnęły się do biwaku a oficerowie otoczyli pułkownika Szmigielskiego do odebrania rozkazów. Tu czas było przystąpić — na nasze zjawienie się oficerowie zrobili nam miejsce, weszliśmy w środek a Gotardowski przemówił:

„Panie Pułkowniku! — Kolega mój Sierawski odebrał wyzwanie od korpusu oficerów tu stojących i wyzwanie to przyjął, lecz ja i kapitan Kosko, jako jego sekundanci, przychodzimy wy-

jaśnić tę sprawę, zanim krew tyle dla Ojczyzny droga przelana będzie.“

Szmigielski odpowiedział: „pułk, którym mam honor dowodzić, stał dotąd garnizonem w Zamościu, i na żądanie jego to oficerów, naczelny wódz ściągnął go na linię bojową. Oddział jego pierwszy raz był w ogniu owej fatalnej nocy. Może bezwzględny przestoczeniem, postąpienie jego w innym świetle głównemu sztabowi zostało przedstawione... Cokolwiek bądź, oficerowie Łubieński i Dobrzelewski, wykreśleni zostali z kontroli oficerskiej pułku, z rozkazu naczelnego wodza. Nie jestem za spotkaniem, ale go nie zabraniam, zostawuję to zdaniu korpusu moich oficerów.“

Cheiał się oddalić... Jakaś silna wola mną ogarnęła. „Za pozwoleniem, panie pułkowniku — zawołałem — raz jeszcze powtarzam, że wyzwanie przyjmuję, ale nie chcę być pod zarzutem zdania fałszywego raportu. Mam honor prosić o przywołanie sierżanta z owego oddziału, który mnie oczekiwał w lesie.“

W parę minut stanął młody człowiek o inteligentnym wyrazie twarzy.

— „Jeśli żołnierz honoru, mówię, wyznaj prawdę i powtórz słowa, któreś mi powiedział w lesie, kiedym do ciebie przystąpił — wyznaj, gdzieśmy się połączyli z resztą waszego oddziału?..“

Zawałał się, ale naciśnięty przez Szmigielskiego i przemnie, wyznał wszystko dokładnie — pułkownik skinął ręką, sierżant odstąpił.

Nastąpiło milczenie — nareszcie znów przemówił Szmigielski: „Panowie! Czarna plama zawisła na pułku!.. ale ją w pierwszej bitwie zmażemy... pocieszajmy się tem, że ten podoficer i nasze strzelecy mężnie sobie postąpili, bo zasłonili odwrót szaserów; nie widzę przyczyny ani zasady do pojedynku... Panowie oficerowie, na swoje miejsca!..“

Salutujemy się wzajemnie i rozchodzimy. Innych skutków opisanego nieporozumienia już nie było. Zielonka był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Tegoż dnia doręczono mi list mego ojca. Donosił, że chwilowo jest w Warszawie, oraz że życzył sobie mnie widzieć. Generał Łubieński udzielił mi urlopu na 48 godzin. Dosiadłem mego kozackiego konia, na całą noc pojechałem i nad ranem byłem w Warszawie. Ojciec już wyjechał, wróciłem więc natychmiast:

odbyłem konno przejażdżkę mil 18. W tym czasie pojawiła się w obozie cholera.

Dotąd dobrze się powodziło orężowi polskiemu; z kolei rzeczy tego świata nastąpiły klęski: Wyprawiając generała Dwernickiego na Wołyn, naczelny wódz wyraźną dał mu instrukcję, aby prowadził to, co w technicznym strategii wyrazie nazywamy „małą wojną“. Zalecono mu nie wdawać się w znaczniejsze bitwy, nocami i bocznymi drogami posuwać się w głąb Wołynia, a w głównem zadaniu organizować rozległe w tamtych stronach powstanie. Lecz krewki generał, zaufany w dotychczasowem swem powodzeniu, oglądający się na popularność swego nazwiska, co dzień wzrastającą, popychany namowami licznych ochotników powstańczej młodzieży, szedł ślepo przeciw wypadkom bez rozwagi ich przewidywania. Na wstępie, przeszedłszy Bug, rozbił pułk dragonów rossyjskich pod Poryckiem, pobił generała Rüdigera pod Boremlem, chociaż ten przewyższające miał siły. Lecz gdy temu przyszedł w pomoc Krasowski, gdy zgromadzili 17.000 piechoty i 2.000 jazdy, wyzywającego nierozsądnie do otwartej walki wpędzili do Galicyi. Na otrzymane wiadomości o awanturniczem postępowaniu Dwernickiego, posłał wprawdzie Skrzynecki szefa sztabu głównego, generała Chrzanowskiego, z silnym oddziałem piechoty, jazdy i artyleryi, aby go z trudnego położenia wycofać, lecz już było zapóźno. Klęska to była wielka i niepowetowana. Straciliśmy do 5.000 męznego żołnierza, a co gorsza, upadło stanowczo powstanie Wołynia i Podola, które już się w siły gromadziło, a pobite w kilku miejscach, również do Galicyi wpędzone zostało. Jeden pułkownik Różycki, po trzydziestu dniach marszu ciągle niepokojonego, w których przeszedł sto kilkadziesiąt mil drogi, przyprowadzić nam zdołał trzy szwadrony wybornej jazdy i połączyć się z naszą główną armią. Zapisuję tu, że przy początkowej swej formacyi, jazda ta uzbrojona była jedynie w lance broniakami opatrzone i niemi małe nieprzyjacielskie oddziały gromiła.



ROZDZIAŁ X.

Stagnacya w operacyach wojennych z winy wodza naczelnego. — Wyprawa na gwardye rossyjskie. — Korpus generała Łubieńskiego idzie pod Nur. — Pułk nasz rozbija saperów gwardyi, strzegących mostu na Bugu. — Śmierć kapitana Skarszewskiego w tej rozprawie. — Stanowiska gwardyj rossyjskich. — Dembiński bije Sakena i zdobywa most na Narwi pod Ostrołęką. — Chybiona wyprawa na gwardye. — Potyczka korpusu Łubieńskiego pod Nurem. — Korpus ten w noce otoczony, przeryna się przez środek Rossyan. — Ciągłe jego potyczki w marszu do Ostrołęki. — Miejscowość bitwy pod Ostrołęką. — Bitwa. — Atak naszej artyleryi prowadzony przez generała Bema, na grenadyerów Szachowskiego. — Moja krytyka prowadzenia tej bitwy. — Odeście dywizyi Giełguda i pochód jego przymusowy na Litwę. — Ustępy mych zdań wojskowych. — Pułk odnawia się po swych stratach, kosztem ofiar żołnierzy. — Kolega Miłosz. — Działania generałów Chłapowskiego i Giełguda na Litwie. — Prusy ubocznie pomagają wojskom rossyjskim. — Wypis z dzieła Teodora Morawskiego, objaśniający kolizye Skrzyneckiego z Rządem narodowym, Sejmem i podwładnymi generałami. — Uwagi nad nim. — Niestosowność stosunków Lelewela z Rządem i Klubem patriotycznym. — Wyprawa na korpus Rüdigerera pod generałem Jankowskim i przyczyny jej niepowodzenia. — Ja w obec generała Bukowskiego. — Wrzenie umysłów w Warszawie. — Generałowie Jankowski, Bukowski, Hurtig, Sałacki, areztowani.

Tymczasem, skutkiem niezem nie dającej się usprawiedliwić bezczynności, naczelnny wódz od 26. kwietnia, to jest od potyczki

pod Mińskiem. stoi nieporuszenie pod Siennicą i Jędrzejowem. Dotknięty odezwą Rządu narodowego, zwracającego jego uwagę, że skupienie takie wojsk naszych wyczerpuje magazyny żywności i furaze, osłabia nadzieje narodu, wreszcie niekorzystną wywiera opinię o pomyślnem sprawę prowadzeniu, postanowił nareszcie się ruszyć! Porucił generałowi Umińskiemu osłonę Warszawy z 11.000 wojska, zlecił mu omamienie Dybicza zręcznymi manewrami, sam zaś w 37.000 piechoty, 7.300 jazdy, prowadząc 104 armat, rusza za Bug 12. maja. Feldmarszałek atakuje Umińskiego, ten pięć godzin wytrzymuje ogień 40 dział na niego wymierzonych, wolno cofa się ku Jędrzejowu. Dybicz sądząc, że ma wszystkie nasze siły przed sobą, staje, a wreszcie cofa się za Kostrzyn, nie wiedząc o wyprawie Skrzyneckiego na gwardye rossyjskie.

Przeszły nasze wojska Bug i Narew pod Zegrzem i Serockiem: 16. maja spotkały pierwsze patrole nieprzyjacielskie, pognął je silnie generał Jankowski. Skrzynecki w przewidywaniu, że feldmarszałek nareszcie się dowie o jego poruszeniu, i dążyć będzie na ocalenie korpusu gwardyi nie inną drogą, jak przez most pod Nurem posiadany na Bugu. oddziela korpus 12000 żołnierza pod generałem Łubieńskim, z rozkazem spędzenia wojsk rossyjskich, pilnujących tej przeprawy i zniszczenia mostu.

Zanim opiszę, jak poprowadził naczelny wódz główną na gwardye wyprawę, pójdę z generałem Łubieńskim, do którego korpusu pułk nasz był przyłączony.

Korpus ten, złożony z kilku pułków starej piechoty, kilku nowo zaciężnych, z jazdy, ośmiu dział artylerji konnej, tyluż pieszych, razem 12000 żołnierza, od Serocka rzucił się w prawo i w dwóch dniach uszedłszy przeszło mil dziesięć drogi, stanął w Broku. Trzeciego dnia o wschodzie słońca ruszył i uszedł mil dwie. Upał był wielki, kurz potężnie dokuczał ciągle postępującemu wojsku, W miarę załanków drogi, to widzieliśmy, to tracieliśmy z oczu Bug. Wydano rozkaz chwilowego zatrzymania się, dla odetchnienia koniom i ludziom. Mija mnie generał Lewiński, szef sztabu korpusu, z dwoma adjutantami. pokazuje wioskę od traktu w lewo kilkadziesiąt sążni oddaloną, i mówi: „pójdźmy się umyć z kurzu i co przekąsić“. Daję się namówić i ruszamy w czterech, za nami ułan z powstania do trzymania koni. Ten, zauważyć należy, miał mundur gwardyi ułanów, stojących niegdyś w War-

szawie, bo z zabranych im efektów ubrano trzy szwadrony naszego powstania. Wjeżdżamy do wsi, zsiadamy z koni, oddajemy je ułanowi i wchodzimy do chałupy. Gdy w alkierzu Lewiński się myje, a my coś w izbie przejadamy, słyszymy za oknem głośną kłótnię... Ułan nasz po polsku, ktoś po rosyjsku na niego wymyśla... Patrzmy, przez okopcone szybki mało co widać, ale nakoniec poznajemy kozaka na koniu, sprzecającego się z naszym ułanem..... chwytamy z kąta pałasze... wybiegamy. Kozuń dojrawszy wyłogi amarantowe u adjutantów, w nogi... dopadamy koni, gnamy za nim, uciekł.

Co się pokazało? Była to stracona, jak ją nazywamy, rosyjska pikietą, postawiona we wsi na straży. Kozak, uwiedziony mundurem naszego ułana z pasowymi wyłogami, pozdrowił go po swojemu, ten znów go skłął po naszemu, a był przymusowo bezczynnym, bo trzymał w ręku cugle pięciu koni. Kozak zawsze w błędzie, sądząc, że ułan Polaka udaje, zaczyna go lajać, ale w końcu na nasz widok domyśla się prawdy, i nim siedliśmy na koni, umknął. Nie było chwili do stracenia — ruszamy ewąłem do korpusu z wezwaniem, aby natychmiast szedł pod Nur, bo Roszanie niezawodnie już będą ostrzeżeni. Tak to w wojnie, na pozór małe wypadki, szczęśliwe lub przeciwne wywołują skutki.

Pułk nasz był na służbie — dwa szwadrony szły w awangardzie, dwa drugie na czele marszowej kolumny. Idziemy silnym stępem, mijamy las długi, droga ciągle piaszczysta. Z pierwszego wzgórza za lasem, widzimy na dole o jakie parę tysięcy sążni miasteczko Nur, oblewał je z prawej strony Bug, na nim most rzucony a od naszej strony, silny oddział piechoty rojącej się, bo bębny biją na alarm. Dowódca przedniej straży wysłał z tą wiadomością w tył, z żądaniem artylerji. Nieszczęście mieć chciało, że konna nasza artylerja szła w środku kolumny, piesza bliżej czoła, minęło więc pół godziny zanim zziązana nas doszła — drugie dwa nasze szwadrony stają w jej asekuracji. Wnet działa odprzodkowane, dają kilkanaście strzałów kartaczami... widzimy zamieszanie między Roszjanami, padają ich szeregi. Komenda wydana: idziemy do szarży z naszym zwykłym okrzykiem.

Przed moim szwadronem, na jakie dziesięć kroków, biegł w całym pędzie swego konia, kapitan Aleksander Skarszewski, przy nim trębacz. Dudni głucho ziemia pod kopytami koni. Czwo-

robok rosyjski przypuszcza nas na sześćdziesiąt kroków, daje ognia całym frontem, a ścianami bocznymi ukośnie. Zakotłowało się między naszymi... ale na komendę oficerów, dopadamy Moskali, przybywa jeszcze jeden szwadron od armat naszych, rozpoczyna się walka ręczna — rąbią nasi pałaszami, Moskale bronią się bagnetem... zbijają się w nieforemną kupę, to znów rozerwani cofają; tak pasujemy się z nimi czas jakiś nieobrachowany; jeszcze czwarty szwadron dobiega, bo asekuracya armat potrzebną nie była; tu już otoczony karabatalion rozbity został zupełnie; rozdarci na kupy, jeszcze się bronią, wreszcie z ostatnich szeregów unykają; gnamy ich siekąc, dopóki resztki nie schroniły się w miasteczko.

Legł Skarszewski na miejscu, przeszyty dwiema kulami w piersi, a jedną w gardło, koń jego również zabity; w dwóch pierwszych szwadronach naszych: kapitanowi Narbuttowi ubito konia, dwóch oficerów rannych, żołnierzy straciliśmy kilkudziesięciu. Nieprzyjacielski batalion należał do gwardyi saperów, chłopcy barczyste i silne, broniąc się pojedynczo przyskakowali i cofali się, jak prawdziwi fecht mistrze. Padło ich dosyć od strzałów działowych, zrąbanych było przeszło stu, wziętych ze 200 i cały ich obóz. Oficer jeden tylko nam się dostał, ten pełne kieszenie miał kart i poniterek, oraz trochę pieniędzy, które mu nasi z zegarkiem odebrali. W wziętym obozie żołnierze pułku dobrze się obłowili. Wódki było całe dwie kufy, słoniny kilka centnarów, chleba stopy, krup kilka beczek, kilkanaście kotłów miedzianych etc. i bydła zarzniętego sztuk kilka.

Batalion ten, składający się z 1200 żołnierza, budował most na Bugu, zastaliśmy go na ukończeniu. Stanowił on jedyną a konieczną komunikację Dybicza z gwardyami; podpalony, zgorzał tego samego dnia.

Nie podobna opisać żalu naszego, na widok wyciągniętego i krwią zbroczonego ciała Skarszewskiego. Oblaliśmy je rzewnemi łzami. Był to dzielny oficer, nie liczył lat nad trzydzieści parę, z powierchowności najpiękniejszy z nas wszystkich, wzięcie miał arystokratyczne, dla tego lordem go nazywaliśmy; zawsze wesół, w marszu nucący, kolega wzorowy — od kilku dni prawie zaniemówił i posmutniał — czyżby miał mieć przeczcucie bliskiego zgonu?... ale i to się przytrafia.

Na drugi dzień pochowaliśmy go z honorami wojskowymi przy kościele w Nurze, na akcie zejścia podpisaliśmy się wszyscy. Cześć jego pamięci! Gdy miano zabijać już trumnę, urwałem mu guzik od mundura i mam go jeszcze dotąd.

W podziale pamiątek po nim, dostał mi się jego pałasz. Była to doskonała, jak ją nazywaliśmy, klinga Augustówka, z napisem: „*pro Rege — Lege — et Patria*“; po rozbrojeniu nas po roku 1831, Rossyanie mi ją zabrali.

Utarczka nasza pod Nurem datuje 17. maja. Generał Łubieński natychmiast wysłał adjutanta z raportem do naczelnego wodza, idącego z naszym wojskiem ku Łomży, donosząc o zniszczeniu mostu pod Nurem.

Wstrzymuję się chwilowo z opowiadaniem dalszych działań korpusu Łubieńskiego, do którego się liczyłem, aby przejść do opisu wyprawy na gwardye.

Wielki Książę Michał, brat cesarza Mikołaja, z gwardyami, jakimi dowodził, obozował między drogami łomżyńską i białostocką, które tu są prawie równoległe. Trzymał w swem posiadaniu most na Narwi pod Ostrołęką, którego strzegł wysunięty na prawe jego skrzydło generał Saken. Wojska nasze szły forsownymi marszami, panował w nich duch niezawodnego powodzenia, bo pierwszy też raz idąc na nieprzyjaciela, przewyższaliśmy go liczbą, już nie mówię mężstwem żołnierza. Bo co za chwala, co za odgłos po Europie, rozbić gwardye a z nimi kwiat młodzieży rosyjskiej... Lecz inaczej zapisano było w księdze przeznaczeń naszych.

Na jednym z podjazdów przedniej straży, wzięto nam w niewolę porucznika 4-go pułku ułanów, Kamińskiego i na nim wymuszono zeznania, w jakiej sile i w jakim zamiarze idziemy. Nastąpił przestach między gwardyami, wydano rozkaz skoncentrowania się. Skrzynecki dla uwiecznienia dzieła i zadania gwardyom ostatecznej klęski, wysłał generała Dembińskiego ku Ostrołęce. Ten w 4000 żołnierza uderza na Sakena, opanowuje miasto i most. Generał Giełgud, idzie z swą dywizją drogą łomżyńską, a tem samem w razie pobicia gwardyj, zamyka im stanowczo odwrót!... Szachownica cała tych manewrów wzorowo obmyślana, tak szezęśliwie dotąd prowadzona, spełzła na niczem. Nie śmiał Skrzynecki uderzyć na gwardye, nie odbierając wiadomości, czy

Łubieński opanował pozycję Nura i tam przeprawę na Bugu. Obawiał się być wziętym z flanku przez feldmarszałka, a może i odciętym od Warszawy, ale i to były zbyteczne ostrożności; rozstawione kresy lub małe oddziały jazdy, wiążące Łubieńskiego z naszą armią, wciągu kilkunastu godzin mogły przynieść żądane raporty. Tak więc wyczekiwanie na doniesienia generała Łubieńskiego i o opanowaniu Ostrołęki, oraz jej mostu, zmarnowało dzień jeden i noc całą, kiedy każda godzina tryumf zupełny zapewniała. Użyto tej doby niby na spoczynek strudzonego wojska. Kiedy więc generał Jankowski podstąpił pod Śniadów, gwardye już uciekły i słabe tylko z ich tylnymi strażami prowadzono utarczki. Zrozpaczony nasz żołnierz, mimo nadzwyczajnego znużenia, jeszcze dogania silny oddział gwardyi pod Rutkami i Mężyninem na trakcie białostockim i zadaje mu klęskę. Podstąpiono pod Tykocin. Prowadziła do tego miasta długa grobla, na niej dziewięć mostów, z których Rossyanie bale rzucili. Sypie się grad pocisków nieprzyjacielskich na to ciasne przejście. Pułkownik Breański rzuca się z ochotnikami na tę groblę, przechodzi belki mostowe, uderza tak silnie na Rosyan, że z nimi razem wpada do miasta. Był to dzień 22. maja. Posąg Wielkiego Stefana Czarnieckiego, na rynku stojący, ujrzał raz jeszcze zwyciężki nasze zastępy. Gwardye umknęły.

W Tykocinie czy w Łomży, pułk nasz 2 szasserów zabrał między innymi, wszystkie bagaże generała broni Bystroma, dowodzącego gwardyami pod W. Ks. Michałem; miała to być zdobycz wielka i bogata. Że świadkiem tego czynu był Tomasz Pruszek, adjutant generała Skarzyńskiego, po ukończonej wojnie, gdy ten wrócił do kraju, rząd wygzekwował na znacznym jego majątku 100.000 Zp., które Bystrom odebrał.

Syna generała Bystroma poznałem w lat dwadzieścia później, oddając mu jako delegowany urzędnik majorat Chełmno. Nie mogłem się napatrzeć dziwnemu wyrazowi i rysom jego twarzy: głowa jakaś szpiczasta, czoło w tył rzucone, usta wywrócone, nos płaski, włosy na czaszce kręcone a szpecinowate, cera jakaś niby bronzowa. Dopierom później się dowiedział, że jest potomkiem murzynki czystej rasy a faworyty cesarzowej Katarzyny II., która ją wydała za Bystroma; zrobiła go baronem, obsypała dostojenstwami.

Notuję również, że bogata młodzież, w gwardyach służąca, tak ogromne miała bagaże, że jeden Szeremetiew ciągnął za sobą kilka powozów i kilkanaście furgonów, pełnych najzbytckowniej-szych przedmiotów, a sypiał w nocy w domu, ciągnionym na kołach przez ośm koni.

Niepowodzenie tej wyprawy, tak pewnej w swych skutkach, mogącej rzucić na szalę powstania polskiego niezmiernie korzyści, głębokim smutkiem nasze wojsko ogarnęło. Zaczęto głośno szemrać przeciwko Skrzyneckiemu, boć nie umiał schwytać tej szczęścia wojennego godziny, którą niekiedy los energicznych wodzów obdarza. Generał Prądzyński, twórca całego pomysłu marszu na gwardye, nie zawahał się cierpkie mu czynić wyrzuty. Nieporozumienie do tego nawet doszło stopnia, że zażądał uwolnienia od obowiązków.

Nic o tem wszystkiem nie wiedzieliśmy nad Bugiem i pod Nurem. Ale doszły nas wiadomości od generała Umińskiego, że Dybicz w 40.000 żołnierza, opuścił linię Kostrzyna i idzie dzień i noc w pomoc Wielk. Księciu Michałowi. Most pod Nurem, jak powiedziałem, spaliliśmy — chodziło jeszcze o to, aby powyżej i po niżej Bugu, zniszczyć wszelkie materyały, mogące posłużyć nadchodzącemu nieprzyjacielowi do sporządzenia nowej przeprawy. W tym zamiarze Łubieński wysyłał oddziały jazdy. Z kolei i mnie wykomenderowano z dziesięcioma żołnierzami, poszedłem w górę Bugu aż do ujścia rzeczki Nurzee; spędzani włościanie z siekierami, niszczyli wszelkie statki przewozowe; tratwy z drzewa powiązane puszczałem z wodą. W tej misji musiałem wstępować do kilku dworów obywatelskich. Nigdy nie zdołałem opisać radości i rozrzewnienia, jakie nasz widok sprawiał na ich mieszkańcach, boć nigdy polskiego żołnierza nie oglądali. Feldmarszałek nadchodził, musiał kołować, marsz opóźniać, patrole nasze i szpiegi donieśli, że na pontonach przeprawia się pod Grannem. Nie było podobna, z korpusem 12000 żołnierza, bronić Dybiczowi przejścia Bugu, postanowił więc Łubieński go wyczekiwać i obserwować.

21. i 22. maja, nasze podjazdy gęsto naprzód i na boki wysyłane, raportują, że Dybicz idzie na Ciechanowiec. Od głównego sztabu nadszedł rozkaz obserwowania obrotów Rossyan, ustępowania wolno i cofania się na Ostrołękę. 23. pogodnie zeszło słońce; poprzedniej nocy żołnierz nakarmiony, konie napasione. Stajemy

pod bronią, patrole przed nami. Położenie miejscowości było następujące:

Wysunięci byliśmy cokolwiek w lewo, mając przed sobą miasteczko Nur; roztaczała się przed nami obszerna płaszczyna pól, której kończyny na dalszym widnokregu zasłaniały lasy. przecięte szerokim traktem do Ciechanowca wiodącym. Prawem skrzydłem opieraliśmy się o Bug, panując nad wymienionym traktem, a w lewo nad drogą do miasteczka Czyżewa idącą, którą mieliśmy się cofać; ku tej drodze nachylały się brzegi lasów. Z tyłu za nami i w lewo, rozległe moczary i błota. Posłany podjazd do Ciechanowca, doniósł, że Dybiez tuż nadchodzi; drugi do Czyżewa, dał wiadomość, że Rosyianie tam się nie pokazali.

Mijały tak całe godziny. Zaraz po południu, ogromne tłumy kurzu, podnoszące się nad lasami, ostrzegły nas, że Rosyianie już się zbliżają. Rozwinęliśmy się więc w linię, z właściwą rezerwą. Pułk nasz stanął na samem lewem skrzydle, prawie wzdłuż traktu do Czyżewa; od prawej naszej pułk piechoty kaliskiej pułkownika Krasieckiego; za nim bateria artylerji konnej Kołyski; inne pułki co raz dalej aż do rzeki Bugu, a że jak wzmiankowałem, mieliśmy się cofać na Czyżew, w przewidywaniu przeto napaści od tyłów, od rzeki postawił Łubieński stare pułki piechoty, odwrót zaś pułk mój i lewe skrzydło rozpoczynać miało.

Około 3 z południa wyszła z lasów jakaś kawalerya i rozpoczęła się silna utarczka flankierów. Po jakimś czasie, wytknęły z lasu czola czterech kolumn piechoty, flankiery się usunęły i rozpoczął się obustronny bój artylerji. Trwał on bez końca; że Rosyianie silniej nie nacierali, staliśmy w miejscu. Słońce zaszło i jak zwykle na wiosnę, szybko się ściemniło. Rozkazy wydano — piechota formuje się w kolumny marszowe, postępujemy ku Czyżewu już w zupełnych ciemnościach, pułk nasz na przodzie. Nie upłynęło dwa kwadransy, w tem nagle z prawego boku slychać zbliżającą się trąbkę. Szef sztabu Lewiński, tuż z nami idący, wysłał kilku szasserów na rozpoznanie, wracają i meldują parlamentarza. W istocie zbliża się kilku jeźdźców, a jeden z nich po francusku oświadcza się z chęcią rozmówienia się z generałem Łubieńskim; posłano natychmiast po niego, przybył też w jednej chwili. Parlamentarzem tym był generał Berg, w trzydzieści lat później namiestnik Królestwa, a wówczas zastępca szefa sztabu

głównego Dybiecza. Berg wzywa hardo Łubieńskiego do poddania się i złożenia broni, wyjaśniając, że droga do Czyżewa zamknięta jest dwiema dywizjami jazdy: od prawego, tuż stoi feldmarszałek z piechotą, z lewej, jak wiadomo, nieprzebyte błota, z tyłu droga do Broku zagrodzona... Istotnie położenie było rozpaczliwe; dodam, że generał Łubieński za długo z odwrotem się ociągał, a popełnił błąd wielki przyjąwszy utarczkę pod Nurem, bo wiedząc, że Dybiecz idzie na nas z całą swą armią, wczesnie winien był cofnąć się do Czyżewa. Jeśli chciał tam się z awangardą rosyjską spróbować, zaniedbał postawić silny oddział w Czyżewie. Słabe nacieranie Dybiecza podczas tego dnia, było jedynie zamaskowaniem jego zamiarów; trzymał pod ręką liczną swą jazdę i gdy się ściemniło, zamknęła nam odwrót. Z oburzeniem jednak Łubieński odpowiedział na to poddania się wezwanie, a jak świadkowie poświadczali, czy on czy generał Lewiński miał skonkludować: *nous passerons sur vos ventres!*... to jest: przerzniemy się po brzuchach waszych.

W tej chwili wydał rozkazy: pułk nasz rozwija się na galopie... parlamentarz znika nam z oczu, z jego otoczenia padł strzał z pistoletu, a na ten sygnał i w tym samym momencie, zagrzmiały rosyjskie działa z boku i z przodu na tak bliskim dystansie, że puszkę całe z kartaczami, jeszcze nie rozerwane, zawarczały nam nad głowami.

Pułk nasz rzuca się z miejsca do szarży... pędzimy w tych ciemnościach parę minut... nagle coś się czerni przed nami... olbrzymieje co sekunda... dochodzimy w całym pędzie koni i uderzamy o mur stojących w miejscu kirysyerów. Rozpęd naszych koni był tak silny, że złamaliśmy pierwsze ich szeregi, a sami jakby przez odbicie, cofnęliśmy się o kilka kroków. Ktoś krzyknął ogromnym głosem: „Wiara do karabinków! zapluć im ślepie!“ Ledwie skończył, już nasi dali ognia z pierwszych szeregów, sypiąc w pyski kirysyerów strzały z ładunkami i kulami... Znów komenda: „Teraz na pałasze!“ i zaczęła się rąbanina po ciemku, że gdzie niegdzie aż iskry się z szabel sypały. Każdy ciał przed siebie niezastłaniając się. Jakiś oficer od kirysyerów, nie tęgi widać rycerz, wygiął się w tył na swoim koniu i oganiał się gęsto długim mieczem; spiąłem mego konia ostrogami i uderzyłem jego tak mocno, że siadł na zadzie... Tu któryś z moich przyskoczył,

kiedy go nie płatnie przez twarz, zwałił się od razu na ziemię. Ale prą nas kirysyery własnym swym ciężarem. w cztery szeregi uformowani; nie możemy im podołać... umykamy kołując w prawo i w lewo, dążąc za naszą piechotę. A teraz odsłonięne kirysyery, idą wolnym galopem do ataku, ale już nasza piechota sformowała się w czworoboki i przyjęła ich salwą z karabinów. na jakie trzydzieści kroków. W ciągu może pół godziny, cztery razy wracały kirysyery do szarży, lecz zawsze ich nasza piechota dzielnie odpierała. A w czworobokach grzmią ciągle bębny, dowódcy wołają: „Naprzód! Naprzód! bagnetami otwierać drogę!“ Tu już nie czworoboki regularne, ale tłum ludzi ściśnionych z sobą posuwa się depeząc trupy i rannych Rossyan. Tak noga za nogą posuwamy się. przedzierają się pierwsi, następnie i inni, nie dają się rozierać, chociaż ułany, za kirysyerami stojący, jeszcze dwie szarże przypuścili a ogień karabinowy grzmi promieniami w około. Narreszeie przerzynamy się na wylot, nasze armaty w środku, jazda na tyłach. I Rossyanom sprzykrzył się ten bój. tyle z naszej strony uparty, który drogo zapewne ich kosztował. Trakt do Czyżewa w końcu otworzony.

Pułkownik Zielonka przyzywa mnie. „Weź sto koni, co koń wyskoczy do Czyżewa, przekonaj się czy droga wolna... czy Czyżew nie zajęty“... Ruszyłem z kopyta, w drodze rozbiłem i zrabiałem dwa dość silne rossyjskie podjazdy. Dopadam do Czyżewa, miasteczko nie spało słysząc bój niedaleki; były w niem dwa patrole rossyjskie, ale się cofnęły. Zatrzymałem się, rozstawiłem wedety od strony nieprzyjaciela, dziesięciu szasserów posłałem w tył z raportem.

W dobrą godzinę potem, pospiesznym marszem korpus Łubieńskiego nadszedł. Tylna straż jego jeszcze kilka szarż wytrzymać musiała, ale szyki nasze nie dały się złamać. W Czyżewie na jakiejś rzeczce był most, rozrzućiliśmy go po jego przejściu, a rozstawiwszy gęste łańcuch placówek i wedet, rozłożyliśmy się obozem dla wytchnienia, wieszając sobie naszego ocalenia.

W czterdzieści lat potem, marszałek francuski Bazaine w 80.000 w Metz, marszałek Mac-Mahon w 100.000 w Sedanie z cesarzem Napoleonem, nie próbowali nawet przetrwać się przez otaczających ich Prusaków. Hańba im!... a sława słabemu

korpusowi Łubieńskiego, ale znów biada! że synowie tych, co w ową noc pod Nurem walczyli, o niej nie dziś nie wiedzą...

Przededniem zrobiono we wszystkich naszych pułkach ogólny apel, brakowało we froncie trzystu kilkudziesięciu żołnierzy. Nasz kapitan Moniuszko, ojciec niedawno zmarłego artysty muzycznego, straciwszy ubitego mu konia, rzucił się w błota i nad ranem pieszo połączył się z nami w takim stanie, żeśmy go zaledwie poznali.

24. maja, równo ze dniem zwinęliśmy obóz i ruszyliśmy w kierunku Ostrołęki: mieliśmy dziesięć mil drogi do przebycia. Nasz pułk z 4-tym strzelców konnych i czterema działami artylerji, szedł w tylnej straży. Nie upłynęło godziny, już chmary kozaków, pomieszanych z Czerkiesami, nas dognały. Odtąd utarczki flankierów trwały nieustannie, oba pułki co godzinę się luzowały, aby koniom w tym ciągłym harcu spienionym, dać wypoczynek w drugiej linii: tak kozaki jak i Czerkiesi doskakiwali, osmieleni jeszcze przybyciem im w pomoc całego pułku ułanów. Tego dnia każdy z naszych do stu ładunków wystrzelał. Zsadzaliśmy ich z koni, kozactwo chybiało, ale Czerkiesi położyli nam około dwudziestu żołnierzy.

Podczas tego harcu, gdym objeżdżał linię moich flankierów, gwiznęła mi koło ucha tak blisko kulka, że wiatr jej przelotu uczulem; niedługo przeleciała druga, a byłem na celu, bom szlifami w jasnym świecił słońcu. Uważam więc lepiej i małym galopem ujeżdżam wolty. Aż tu znów podbiega Czerkies, pali do mnie z janczarki, ale chybił: natenczas wypuściłem mego konia co sił i kiedy nabijał swą rusznicę, uderzyłem go taką siłą, że z koniem zwałił się na ziemię, a skrzeczał jak żaba. Na jego upadek zbierają się inni, moi również dopadają. Rozpoczyna się ciasna bójka na szable i szaszki kilkudziesięciu ludzi, ale przybiega nasz pluton z rezerwy flankierów, bierze ich z boku na pałasze. Zrąbaliśmy psiarstwo doskonale, lecz i naszych poznaczonych było kilku.

Pod sam wieczór doszliśmy do jakiejś wsi, w poprzek traktu pobudowanej, pełnej drzew i opłotków. Należało nam ją przejść i w niej się osaczyć. Generał Kamiński posłał rozkaz, by się piechota zatrzymała, co też nastąpiło. Już się dobrze ściemniało. Wchodzimy do wsi, zostawując piechotę w cztery bataliony rozwi-

niętą w ogrodach. Moskale tuż za nami z ogromnymi krzykami, ale przyjęci potężnym ogniem karabinowym, wnet uciekli i cofnęli się.

23. maja, do dnia ruszamy w dalszy pochód. W marszu tym dogania nas jeszcze silniejsza kawaleria z konną artylerją. Pod wsią Nadborani przyjęliśmy istotną i kilkugodzinną potyczkę, zawsze cofając się eszelonami, z widoczną stratą Rosssyan, bo nasza artylerja pozycyjna daleko ich sięgała, a ich piechota nie zdążyła. My mając swoją pod ręką, obawiać się nie mieliśmy powodu. Jazdy rossyjskiej było z 4.000 — szli do ataku kilka razy, zawsze odpędzani. Znow bój straż tylna prowadziła dzień cały, nad wieczorem doszliśmy do obszernych lasów, otaczających brzeg Narwi. W nich to noc przeszła nam w spoczynku, ale wyznam, że głodna — nieprzyjaciel obawiał się nas zaczepiać. Do Ostrołęki była jeszcze mila drogi.

Tegoż dnia naczelny wódz, który przyszedł szosą z Łomży, przeprowadził nasze wojska po moście przez Narew — mianowicie dywizje piechoty: generałów Małachowskiego, Rybińskiego i Kamińskiego, całą jazdę, artylerję i parki: jak obliczam, przeszło 36.000 żołnierza.

26. maja, w lesie, w którym noc przepędziliśmy, już się zaczęły ucierać nasze tyraliery z piechotą rossyjską, której część w nocy nadeszła, ale ta słabo nas napierała. Siadamy na koni. z artylerją idziemy przodem, piechota za nami. Dochodząc do miasta, widzimy na wzgórzu przy trakcie i lewej jego stronie rozwiniętą ciężką baterję Nieszokocia, a przy niej naczelnego wodza z całym swoim sztabem. Jakby jednomyślnie, nie powitaliśmy go żadnym zwykłym okrzykiem. Dążyliśmy rażno do przeprawy za Narew, w przekonaniu, że nas oczekuje niezawodny wypoczynek i że Rosssyanom pokażemy zęby z za rzeki. Nikt o mającej nastąpić wielkiej bitwie nie myślał, nikt jej nie przewidywał. Wszyscy wiedzieliśmy, że most za nami będzie zrzucony, a tem samem feldmarszałek musi się zatrzymać.

Kilku autorów, opisując dzieje nasze roku 1831-go, różnie przedstawiało szczegóły Ostrołęckiej bitwy. Jedni poprzestawali na ogólnikach, drudzy niedokładnie jej przebieg opisywali. Nie zadawałniało mnie jej czytanie. Ja, com ją widział i był jej świadkiem czynnym. spróbuję ją sobie przypomnieć.

Ostrołęka, położona na dość wysokim brzegu Narwi i lewej stronie jej biegu, od strony wschodniej nie przedstawiała żadnego punktu obrony, prócz ogrodów, opłotków i budowli przedmieścia. Wojska broniące miasta, tu jedynie mogły szukać dla siebie osłony, a w takim razie poświęcić musiały miasto na spalenie.

Wojska znowu, których zadaniem byłoby nie dopuścić nieprzyjaciela na prawy brzeg Narwi, w razie wzięcia rzuconego przez nią mostu, pozostałyby na płaszczyźnie zupełnie odkryte. Most szeroki łączył oba brzegi rzeki; do miasta od wschodu dobiegała szosa z Łomży, tuż za mostem skręcała się na lewo, idąc przez Pułtusk, Serock do Warszawy. A przeto: w tem położeniu, w jakim było wojsko polskie, należało most na Narwi koniecznie spalić, bo gdyby go Rosyianie zdobyć potrafili, opanowaliby szosę do Pułtuska prowadzącą i odciełliby nasz odwrót do stolicy, wpędzając w lasy. Tego nie przewidział Skrzynecki — miał małe przed sobą szanse powodzenia, wiele z tych przeciw sobie.

Przed mostem, na płaszczyźnie na strzał działowy, rozciągał się łęg Narwi, przecięty starem korytem rzeki; na prawo, patrząc od miasta, było znaczne wzgórze, na którym stał wiatrak — na lewo, u ujścia rzeczki Omulew do Narwi, w kotlinie młyn wodny. Wprost mostu, kończyły łęg pomieniony małe, nieregularne wzgórza piaszczyste, rozciągające się czołem do Narwi — tuż za nimi młody las sosnowy, a dalej w głębi gęsty starodrzew bez żadnej drogi. Nareszcie, za młynem wodnym spora i długa górzystość. W ogólności, miejsce do stoczenia bitwy ciasne i, jak powiedziałem, zupełnie odkryte, bo nad niem położenie Ostrołęki panowało. Opisałem je zaś dokładnie, jak ten skazany, co się w ostatniej minucie życia rusztowaniu przypatruje. Ocalałem w tym dniu krwawym, ale ten łęg stał się fatalnem rusztowaniem dla wojska naszego.

Była godzina 8 rano — dzień jasny, pogodny, zanosilo się na upał. Jazda nasza przechodziła ulice Ostrołęki: mieszkańcy pootwierali okna i nam się przypatrywali. Przeszliśmy most, skierowaliśmy się na lewo i połączyliśmy się z kawaleryą głównej naszej armii, która z dywizjami piechoty, wyżej wymienionemi, artyleryą i furgonami amunicyjnymi, wcześniej się przeprawiała. Za miastem, za rzeką w ogrodach, zostawiono mężny pułk 4. liniowy i batalion weteranów czynnych o wyborowym i starym

żołnierzu. Wojska te, na samym końcu miały przejść miasto i Narwę, most za sobą spalić lub zniszczyć zupełnie.

Stanęliśmy niedaleko młynka wodnego, zakryci wyniosłą górą — kazano paść konie, tak upłynęła mała godzina, a podczas tej nastąpiła zupełna przeprawa wojsk generała Łubieńskiego, idącego od Nuru.

Nagle około 9 rano, gęsty ogień karabinowy dał się słyszeć — wybiegamy na wzgórze, już nie za miastem, ale w jego ulicach zacięty bój się toczy. Byli to Rosсыяnie korpusu grenadyerów, którzy wyparowali naszych sił z ogrodów, wpędzili ich do miasta. Straż mostu już go nie podpala, bo jakże by nasi go przebyli... ale sapery rzucają się z toporami, rąbią pokład, bale, ile się dało, rzucają w rzekę, a te płyną z jej biegiem; zostają na palach prawie same belki. Broni się mężnie generał Bogusławski w ulicach i po domach, ale walcząc jeden przeciwko ośmiu, traci wiele żołnierza i cofa się do mostu; tu jeszcze silny stawia opór, lecz ulega przewadze. Na tym pozostałym szkielecie mostu, jeszcze idzie zacięta bitwa bagnietem i kolbą, spychają jedni drugich w rzekę... na końcu Moskwa przeprawę zdobywa i tłumem przechodzi na drugą stronę, zabiera nam dwa działa pozycyjne, mostu strzegące i rozsypuje się po bokach w tyralieri. Siły te co chwila przejściem nowego żołnierza zwiększają się. Ośmnaście tysięcy grenadyerów już jest na drugiej stronie. Teraz zerwała się nasza piechota do boju, całe pułki rozsypują się przeciw grenadyerom, a artylerya nasza obsypuje ich pociskami. Lecz wkrótce też odezwały się działa rossyjskie, cały brzeg lewy Narwi, wysoki, jak powiedziałem, zajęła rossyjska artylerya; postawiła tam do stu armat ciężkich, te po nad głowami grenadyerów obalają nasze szeregi.

W chwili wzięcia mostu siadamy na koni i z 2. pułkiem ułanów, tym walecznym pułkiem, co w bitwie 25. lutego pod Grochowem, wytepił kirysyerów księcia Alberta, ruszamy na dalekie nasze lewe skrzydło, nieopodal od wzgórza i wiatraka na nim stojącego, bo tam jazdy nie było — dowodzi nami generał Kicki. Tu i z tego miejsca, ukośnym rzutem oka, widziałem cały ten nieszczęsny plac bitwy, nieomal aż do prawego jej skrzydła. gdzie się biła dywizya generała Kamińskiego — piechota Rybińskiego zdaje się była w środku — Małachowski nieopodal od nas.

Żaden opis nie jest w możności przedstawić obrazu tej bitwy, stoczonej i przyjętej przez nas w najgorzej obranej pozycji, bo zupełnie odkrytej. Dla ciasnoty placu, ani rozwinąć się nie było możliwością, ani manewrować, by z boku wpaść na nieprzyjaciela. Stały murem kolumny naszej piechoty, a kula działała, jeśli je trafiła, przechodziła na wylot, kładąc trupem naraz po kilku i więcej żołnierzy. Nasze tyraliery ucierały się z grenadami na pół strzału karabinowego odległości, tuż kolumny rezerwowe, obok nich my. Od tego wściekłego boju byliśmy tak blisko, że kule ręcznej broni przeciwników, co chwila nam żołnierzy we froncie zabijały i konie kaleczyły — świst ich był nieprzystanny. Bój ten trwał już od kilku godzin, słońce dopiekało: przejeżdża koło mnie generał Jagmin, a widząc manierkę przez plecy u mnie przewieszoną, pyta: czy nie mam co pić? Było w niej trochę wina z wodą. Zdejmuję ją natychmiast z siebie, faworyt generała i ordynans jego za nim jadący, żołnierz Juszczyk, bierze mi z ręki manierkę — w tem kula karabinowa trafia go w samo serce... spadł z konia biedny i ani jęknął, Jagmin łzę po wąsach płynącą otarł.

Gęsto też dochodziły nas kule armatnie; uważałem, że konie istotnie we froncie wzdychały, a co szczególna, jeśli się zwałił z konia jeździec zabity lub ranny, ten unikał, żeby go nikt nie dogonił; przeciwnie ranny koń, lub mocno pokaleczony, pchał się do szeregu, jakby ratunku szukał; nie mogąc go odpędzić, trzeba mu było w łeb strzelić.

Rzeź ta, zdawało się, że końca mieć nie będzie. Skrzynecki, który — jak powiadam — sądził, że grenadyerów przepuściwszy na tę stronę Narwi, będzie mógł zupełnie wytepić, stracił zupełnie głowę. Zamiast pójść na nich całemi siłami swej piechoty, nawet liczbą nieprzyjaciela przewyższającej, bo rezerw nie było potrzeby zostawiać, wysyłał pojedynczo brygady i pułki, które wprawdzie dochodziły grenadyerów, ale wystrzelane, cofając się, siały za sobą zabitych i rannych. Stary generał Kamiński, bijący się na prawem naszym skrzydle, widząc jak nieszczęśliwie bitwa jest prowadzona, zsiadł z konia, poszedł pieszo na pierwszy łańcuch swoich tyralierów, założył ręce na piersiach i tak stał, nie dając się uprowadzić, aż przyszła kula działała i na wpół go rozdarła.

Historya mówi, że w końcu bitwy pod Waterloo, sam pozostał Napoleon za uciekającymi bez otoczenia.

Tak też w owej pamiętnej godzinie, Skrzynecki bez żadnego adjutanta przy boku, przyjechał przed nasz pułk. „Zielonka! — mówi do pułkownika — idźmy umrzeć!“ Ruszył pułk z miejsca z 2. pułkiem ułanów pełnym galopem, ale cóż!... zatrzymać musieliśmy się nad owym głębokiem, acz suchem korytem starej Narwi, a o kroków pięćdziesiąt, z drugiej strony, tysiące strzałów karabinowych sypie na nas grad ołowiu.

Brzęczą i świszczą kule w powietrzu, jak jakiś rój niesłychany, a Skrzynecki stoi przedemną na ośm kroków, błądy jak trup, z żrenicą ócz otwartą. Puścił cugle koniowi, który się rozparł tuląc uszy i tak czekał swej kuli... Ale dopadł Zielonka, porwał za munsztuk jego konia, krzyknął na pułk: „Trzema na prawo w tył zajdź!“ i wyszliśmy z tego piekła, straciwszy w tych kilkunastu minutach do trzystu żołnierzy i koni.

Znów stawamy na owych wzgórkach piaszczystych, jakby na celu Moskali, aż tu niosą kogoś na płaszczach ułani... Pytamy: „kto zginął?“ „Kicki, generał“ — odpowiadają! — Serce mi się ścisnęło, uczułem ból w piersiach niesłychany, bo Kicki był naszym ulubieńcem. W powyższym ataku kula działowa wyrwała mu cały kłęb prawy ciała i wywlekła wnętrzności. — Znów kogoś niosą... to majora Ołtarzewskiego, okropnie rozerwanego. Obu na tyłach, w płaszcze obwiniętych, w wykopany dół piaskowy złożono i zasypano a żołnierze z gałązek choiny uwity krzyżyk, w tę mogiłę wetknęli. Taka to śmierć żołnierza... taki jego obrzęd pogrzebowy!...

Kicki parę miesięcy przed tym chwalebny zgonem ożenił się z panną Bisping, znamienitego rodu na Litwie, sławnej z urody. Co do Ołtarzewskiego, miał mieć, jak opowiadano, w trzosie trzysta dukatów; po ustąpieniu wojsk rossyjskich, żona jego kazała go odkopać, pieniądze wzięła, a szczątki męża obrzędowo w Ostrołęce pochowała.

Nasza piechota, tem nierozsądnem sił jej i męstwa zmarnowaniem, do szczytu się zdemoralizowała. Nie było już komu ją zachęcać ani naprzód prowadzić, tylu oficerów straciła. Cofnęła się zupełnie w lasy. Na linii została tylko nasza jazda i artylerya, szeroko się rozpościerając. Generał Rybiński, uprowadziwszy re-

sztki swej dywizyi, stanął na szosie, by nam odwrót ułatwić i zasłonić. Dzień się kończyć nie chciał — była dopiero 5-ta godzina po południu. Szła bitwa jeszcze, ale tylko na armaty. Rosyjskie grenadyery ściągali za nogi swych poległych, układali z nich kupy i zasłony, i za te się chowając, strzelali — to na własne widziałem oczy.

Ale należała nam się zemsta i jakiś godny pamięci odwet. O powyższej godzinie, od naszej prawej strony pędzi szeroka linia, cokolwiek ukośnie od naszego frontu. To generał Bem, z dwunastu działami ciężkiego kalibru naszej konnej artylerii gwardyi, mając po prawej i lewej asekurację karabinierów pod dowództwem Szejnego.

Rozwija się ta baterya w galopie, staje na pięćset kroków biorąc ukośnie grenadyerów Szachowskiego: w jednej chwili działa odprzodkowane, sypią kartaczami... Trzeba było widzieć skutki tych strasznych strzałów, jakby wachlarzem posyłanych. Każdy z nich w ściśnionych szeregach grenadyerów, jakby całe ulice wycinał... Spieszą się dzielne kanonierzy, idą nieprzestannie strzelać jedne po drugich... Grenadyery już nie strzelają — jedni kładą się na ziemi, drudzy uciekają bezładnie, a śmierć ich dogania... Ale odezwały się naraz wszystkie działa rosyjskie z za rzeki; leją armatnie pociski tak gęsto, jak z frontu batalionu piechoty. W kilka minut robi się ciemno od prochowego dymu na całej płaszczyźnie, bo wiatr, acz słaby, powiewał od miasta. Nie słychać już pojedynczych strzałów, ale ciągły jeden huk i grznot. Trwało to z pół godziny: dzielny Bem ustąpił straciwszy jedynie 19 kanonierów i porucznika Sachnowskiego; karabiniery zostawili także na placu ze trzydziestu ludzi i tyleż koni. Pomysł tego natarcia nie wyszedł z rozkazu Skrzyneckiego... wykonał go Bem bezpośrednio.

Historia nowoczesnych wojen nie przedstawia przykładu tak zadziwiającego ataku artylerii, a mam przekonanie, że ten energiczny atak, który zasłał trupami grenadyerów całe pole przed nami, wstrzymał ostateczne ich natarcie, pod którym jużbyśmy zapewne placu nie dotrzymali. Upartą też wytrzymałość naszej jazdy, która do późnego słońca zachodu dała się zabijać, utrzymując linię bojową i wycofanie się w lasy piechoty, Rosyjanie uważali być rozmyślnem, żeby ich wyciągnąć w głąb pola bitwy i z pod

ostrzeliwującej ich z za rzeki artyleryi, tę zaś przez most, pozbawiony pokładu, przeprowadzić na prawy brzeg Narwi nie mogli.

Już zaszło słońce — jeszcze ogień armatni nie ustawał, dopiero z zupełną ciemnością wszystko uciechło. Po godzinie 10, zaczęliśmy opuszczać plac bitwy nieprzegranej, bo nas z niego nie spędzono, ale ponieśliśmy ogromne straty. Prócz generałów Kiekiego i Kamińskiego, polegli: pułkownicy Gajewski, Kikiernicki; majorowie: Oltarzewski, Czachomski, Koszucki i około 200 oficerów; poległ również dzielny major Szpotański, broniący mostu i może nie byłby on wzięty, żeby go nie ubito. Dowód to nadzwyczajnego męstwa oficerów, bo też szli na czele przodując swym oddziałom, Generałowie Pac, Węgierski, Bogusławski, pułkownik Breański, major Pawłowicz i inni, odnieśli ciężkie rany. Pułkownik Krasiecki wzięty w niewolę. Żołnierzy zabitych i rannych, których na placu zostawić musieliśmy, było przeszło 7000: korpus też grenadyerów rossyjskich do połowy wystrzelany został.

Pułk nasz tak dalece ucierpiał, że niedawszy ani jednego cięcia pałasem, stracił przeszło 250 ludzi i koni. Z oficerów, Miłosz stracił nogę, Kęszycki również ranny.

Schodziłem z pola bitwy ostatni, ile sądzić mogę, o 11-tej w nocy, zostawując za sobą jęki tysięcy rannych: prowadziłem z półszwadronem aryergardę, rozmarzony tem, com widział, w jakimś niezrozumiałym stanie umysłu; głodu nawet nie czułem, choć nie jadłem od 26 godzin.

Postępowaliśmy nadzwyczaj wolno, bo z boków rozbitki nadciągały; Rossyianie nas nie naciskali. Dopiero o wschodzie słońca, gdy most ułożyli, dognąła nas chmura kozaków i kilka szwadronów regularnej jazdy.

Z pułkiem 4-tych strzelców konnych musieliśmy się rozwinąć i ustępować eszelonami — flankiery ciągle się ucierały. Tak doszliśmy pod Rożan mil trzy, a mianowicie na silną pozycyą przed lasem, trakt żwirowy przecinającym, z obu zaś stron drogi były znaczne gruntu wyniosłości, a te już osaczyła nasza ciężka artylerya Rzepeckiego i dywizya Rybińskiego. Zwinął się nasz pułk, wszedł w las, a nacierająca jazda rossyjska, przyjęta ogniem działowym, zupełnie odstępiała i już się nie pokazała.

Opowiadano, że Skrzynecki był zrozpaczony. Ale nie dość tej straszliwej klęski — równie groźna nas spotkała.

Wspomniałem wyżej, że naczelną wódz w pochodzie swym na gwardye, po zdobyciu przez generała Dembińskiego mostu na Narwi pod Ostrołęką, wysłał dywizyę generała Giełguda ku Łomży, w celu odcięcia odwrotu gwardyom, kiedy one z przodu napađnięte będą. Istotnie Giełgud pędził przed sobą generała Sakena aż do tego miasta; odległość jego od Ostrołęki jest mil pięć, jeżeli przeto przed 25. maja, po chybionej wyprawie na gwardye, Skrzynecki koncentrował się pod Ostrołęką, dostateczny przeto był czas ściągnąć nawet w wigilią dnia tego dywizyę Giełguda pod Ostrołękę, i albo po zniszczeniu mostu na Narwi, cofać się z nim ku Pułtuskowi, lub przeciwnie, zdecydowawszy się na bitwę, walczyć z większemi siłami.

Niezawodną jest pewnością, że Giełgud mógł się z nami połączyć, na to 20 godzin z wypoczynkiem wystarczało. Gdyby ruszył z Łomży 23. nawet 24. maja, mógł iść szosą na Miastków do Ostrołęki. nie więcej jak wiorst 33 i dojść, jak przyszedł korpus Łubieńskiego z pod Nura. Gdyby później obawiał się wpaść na następujących Rossyan, należało mu nieco kołować, maszerować prawym brzegiem Narwi na Nowogród, co przysparzało najwyżej mil dwie drogi. Nieposłanie mu rozkazów w dniu 24. nawet 25. maja, dowodnie przekonywa, że tyle zgubna dla nas bitwa Ostrołęcka była dopiero około 10-tej rano 26. — że użyję tego wyrazu — improwizowaną; dopiero około 4-tej godziny tego dnia wysłano podporucznika naszego pułku, księcia Woronieckiego do Giełguda, jako już odciętego od głównych wojsk naszych, z rozkazem, by szedł na Litwę, bo połączenie się jego z nami już było niepodobnem; bezpowrotnie przeto straciliśmy przeszło 10.000 wyborowego żołnierza, armat 20, mniej nawet — jak potrzeba wymagała — w amunicyę zaopatrzonych. Lecz wracam jeszcze do samej bitwy Ostrołęckiej.

Nie będę zarozumiałcem, ani twierdzić się poważę, abym w dniu jej wydania, ja, oficer niskiego stopnia, pojmował wówczas dopuszczone a niesłychane błędy Skrzyneckiego. Stojąc kilkanaście godzin pod kulami armatniami i karabinowemi, nie był to czas do zastanawiania się. Z poddaniem się memu obowiązkwii, stałem w ogniu, pilnując porządku w szeregach ciągle przerzedzających się, zachęcając żołnierzy do wytrwałości. Dziś, żywo

tkwiący w mej pamięci przebieg tej bitwy, pozwala mi sformułować niejaki o niej zdanie.

Nie nowego nie powiem, lecz powtórzę tu tylko, że wielkie są wodza obowiązki. Rozległym swym umysłem, kierując wielkimi wojsk masami, powinien mieć nieprzestannie przed oczyma obroty nieprzyjaciela i do nich stosować swoje ewolucye; posiadać — że się tak wyrażę — jasnowiedzenia, bo gra tego rodzaju, najtrafniej do szachownicy przyrównaną być może. Pion na niej niewłaściwie stracony, figury jej wzajemnie się nie zasłaniające, nie bronione, nie związane, powodują przegranę. W manewrach bitwy, jest zupełnie toż samo. Dopatrzeć najsłabszego punktu w pozycyi nieprzyjaciela, w ten uderzyć, odebrać mu go przeważną siłą, rozdzielić i rozbić jego szyki, mieć gotową jazdę na skrzydłach do poparcia głównego ataku w razie powodzenia, oto krótka i elementarna teorya zwykłego boju, w tych prostych, jak je nadmienilem, warunkach, bo pomnę rozleglejsze manewra znacznych korpusów wojsk, którymi na daną godzinę oskrzydla się nieprzyjaciela, lub kiedy z dawno ułożonych planów, wódz jest wstanie urządzić napad na boki lub tyły tych, z którymi walczy oddzielnemi wojskami. Co zaś najważniejsza, wódz powinien znać najdokładniej teren, czyli miejscowość mającej się stoczyć bitwy.

Czytajmy historję wojen Napoleona, zawsze on osobiście na szerokości i długości całych mil, rozpoznawał z pierwszym blaskiem słońca miejscowość i kontury gruntu przyszłego boju i te dokładnie wystudyował. Bywały nawet wypadki, że słabą eskortą otoczonego, o mało go w niewolę nie schwymano. Pod Ostrołęką wszystko to pominięto.

Już powiedziałem, że Skrzynecki, gromadząc swe wojska pod tem miastem i wyczekując nadejścia korpusu generała Łubieńskiego, wysuniętego pod Nur, jednocześnie miał czas ściągnąć dywizję generała Giełguda z pod Łomży, bo ta już zrobiła swoją powinność. Jeśli nie wydał stosownych w tym względzie rozkazów, jasny dowód, że nie miał zamiaru przyjąć bitwy pod Ostrołęką, bo przeszedłszy most na Narwi i spaliwszy go, most jedyny na rzece bystrej, szerokiej i głębokiej, aż do mostu pod Serockiem, którego był panem, korytem tej rzeki był najzupełniej od wszelkich ataków feldmarszałka zasłonięty. Pytanie jeszcze, co miał za

przeznaczenie Gielgud stać pod Łomżą, gdy polskie wojska cofać się zamierzały?... Błąd więc nie do przebaczenia, że Gielguda nie ściągnięto.

Przyznaję, że nęcącym był projekt powzięty w tej godzinie: zniszczenia całego korpusu grenadyerów w liczbie 18.000 żołnierza, rzuconych na drugą stronę mostu, a bez możności wycofania ich z tego pogromu. Przyznaję, że Dybicz śmiałem tem postąpieniem, wielkie w następstwie odniósł korzyści, ale przypisuję takowe niedołęstwu Skrzyneckiego, bo był to krok awanturniczy. trafem jedynie uwieńczony. A nasze wojska, przewyższające nawet swą liczbą grenadyerów, gdyby były dobrze prowadzone, bo im na męstwie nie zbywało, a tego tyle dotąd dały dowodów, gdyby uderzyły naraz i całemi siłami, można było grenadyerów częścią wytepić, częścią wpedzić w Narew.

Biada wojskom bijącym się, mającym tuż na tyłach głęboką rzekę, jedyny most na niej i jeszcze na wpół zniszczony. Nareszcie wolno domniemywać, iż feldmarszałek, przez dziesięć godzin trwającego boju, dla tego swoich grenadyerów nie posiłkował, że inne jego pułki dopiero nadechodziły.

Niepodobna również przypuszczać, aby naczelnny wódz rozmyślnie przepuścić zamierzył nieprzyjaciela na drugą stronę Narwi; drugim przeto jego błędem jest, że postawił sześć batalionów tylko przed i w samej Ostrołęce, wiedząc, że za korpusem Łubieńskiego dążą wszystkie wojska feldmarszałka, poświęcał więc swoich bezwzględnie i niepotrzebnie.

Dalej — natarcie Rosyjan na Ostrołękę i na bronić się mającego generała Bogusławskiego, nastąpiło dopiero około godziny 9 rano. Mógł Skrzynecki spodziewać się, że Rossyjanie mostu nie zdobędą, ale należało i przewidzieć, że to nastąpić może, jak również, że bitwa toczyć się będzie na prawym brzegu rzeki Narwi i jej łęgu.

Miał zatem obowiązek rozesłać cały swój sztab na dokładne rozpoznanie miejscowości, był na to czas dostateczny od wschodu słońca do 9 godziny rano. Gdyby to proste spełnił zadanie, byłby wiedział, że front nasz, środkiem owego łęgu, oddzielało owe głębokie stare, acz suche koryto Narwi, którego kawalerya nasza, dla stromych jego brzegów, przejść nie mogła, chyba, z pokonaniem najwyższych trudności, a w tych łamać swe szeregi i wstrzy-

mać rozpęd swych koni, pod karabinowym ogniem nieprzyjaciela w samym ataku. Suche to i głębokie koryto rzeki, należało wcześniej zająć; nasza piechota znalazłaby tutaj osłonę, nawet przed ogniem rosyjskiej artylerii, gromiłaby most przechodzących.

Dokładne rozpoznanie miejscowości z naszej strony, sprowadziłoby i te korzyści, że znaleziono by zapewne łatwiejsze przebycie owego starego koryta rzeki, a w takim razie silny opór naszej piechoty, poparty ogólną szarżą jazdy polskiej, mógłby przypisać grenadyerów o zupełną klęskę. Przypominam również, iż przy opisie miejscowości bitwy Ostrołęckiej, naznaczyłem, na naszym lewym skrzydle znaczną wyniosłość gruntu, na której stał wiatrak. Sądzę, że tu postawione kilkanaście armat naszych, wzięłyby Roszjan swymi strzałami w sposób, który Francuzi w wojennym języku zowią „*en echarpe*“, a my moglibyśmy posługiwać się ukośną działobitnią, która nie przechodząc przez środek szyków nieprzyjaciela, lecz wzdłuż ich, jest nad wszystko dokuczliwą i morderczą.

Wzmiankowałem wyżej, jak prowadzony nasz pułk z 2. pułkiem ułanów, nie mógł dojść w szarży grenadyerów z powodu natrafionej przeszkody; dodam jeszcze, że Skrzynecki nie zgromadził swej wybornej jazdy w jeden punkt działania. Generał Skarżyński z 20 szwadronami, stał na dalekim naszym prawym skrzydle i nibyto obserwował kozaków, z drugiej strony rzeki kręcących się, którzy tem samem ani flankować ani nam szkodliwymi być nie mogli. Mówiono w obozie, że przesłano mu rozkaz, by się zbliżył... nie spełnił go... i to jego postąpienie było jedną z naszych fatalności.

Jak później opiszę, zdolny generał Prądzyński, przed Rządem narodowym i Sejmem mocno oskarżał naczelnego wodza o nietrafne prowadzenie bitwy Ostrołęckiej. Wiem, że wydał swoje pamiętniki, tych jednak nigdy nie czytałem, bo u nas były i są wzbronione. Mocno ciekawy jestem, jak on krytykował wyprawę na gwardye rosyjskie i ową zgubną dla nas bitwę Ostrołęką.

W tem miejscu zapisuję, iż nie mieliśmy zdolnego generała jazdy w tej wojnie. Posiadał w tym względzie niejaki przymioty Dwernicki, wszakże daleko większe, a wsparte nieprześcanną nauką, pułkownik naszego pułku, a późniejszy generał Miller. Nie

otrzymał on żadnego znaczniejszego dowództwa. bo była i w naszym wojsku arystokracja, a Miller miał brata bogatego, ale zawsze szewca w Warszawie. Nigdzie też nasza jazda właściwie użytą nie była, ani nie umiano korzystać z tej dzielnej broni, która w pościgu kończy wszystkie zwycięstwa. Kto czytał wojenną historję Francji ostatnich czasów i sławne manewra i szarżę kawaleryi króla neapolitańskiego, Murata, ten przyzna słusność tej mojej uwadze.

Straciliśmy więc stanowczo i bezpowrotnie dywizję Gielguda, przydzieloną do niej jazdę i armat 20. Dołączywszy straty bitwy Ostrołęckiej, stanowiło to więcej jak $\frac{1}{5}$ sił naszych.

Cofamy się do Warszawy — a w tym marszu, rozbitki naszej piechoty z boków od Kołaków i Rożanna, dalej w Pułtusk i Serocku, wszędzie się z nami łączyły; tak wielce nasz żołnierz, pozbawiony nawet swych oficerów, pojmował swój obowiązek. W Serocku mieliśmy niejaki magazyny, zabraliśmy je, ile się dało, resztę rozdano mieszczanom. 29. maja stanęliśmy pod Pragę.

W Warszawie już doszły wiadomości o klęsce przez nas poniesionej, bo niepomysłne lecą szybszym od ptaków lotem. Z placu też bitwy, Skrzynecki złożył Rządowi narodowemu raport, w wyrażach rozpaczliwych. Ten jednak Rząd zataił i nie ogłosił, by ducha kraju nie osłabiać, a podobno nawet mu go zwrócił.

Za ukazaniem się naszych wojsk, co tylko żyło w stolicy, rzuciło się za Pragę. Przybyły żony, matki, siostry, krewni i ojcowie do obozu, dowiadywać się o swoich. Nieszczęśliwi!... wkrótce dowiedzieli się o zgonie ukochanych im wojaków; powstał jeden jęk, krzyk i płacz, oraz narzekania tak boleśne dla żołnierza, że siłą kazano rozpaczających z obozu wydalić — już też nikogo potem strażę nie puszczały. W parę dni gazety ogłosiły długą listę poległych, a w kościołach żałobą osłoniętych, Msze za nich odprawiano. Dybiez w pięć dni dopiero po naszym odwrócie, zbliżył się pod Pułtusk; dowodziło to, jak wielkie poniósł straty, oraz, że bitwa Ostrołęcka była jedynie rzezią obustronną, a zwycięstwem dla Rossyan nazywać się nie może.

W obozie pod Warszawą obliczyliśmy się ściśle! Ten świętny i liczny w żołnierza pułk nasz, wynosił zaledwie trzysta kilkanaście koni i ludzi. W rezerwowym szwadronie było przeszło

stu ludzi, ochotnicy i rekruci mogli go skompletować, koni nie było!... Postanowiono odwołać się do ministerstwa wojny o pomoc pieniężną; pułkownik Zielonka zwołał oficerów na radę: ktoś zaproponował, by uderzyć w pocziwe serca żołnierzy, a to takim sposobem:

Cesarz Mikołaj, za każdą bytnością w Warszawie, sowite rozdawał na manewrach i obluzach warty wojsku pieniężne gratyfikacje, gwardyom podwójne. Fundusze te składały się do Banku polskiego na procent, a wychodzący z frontu z dymisją żołnierz, część swoją odbierał. Pułk nasz takich funduszków posiadał kilkadziesiąt tysięcy złotych. Owóż z owej rady rozeszliśmy się do naszych oddziałów, przedstawiliśmy naszym żołnierzom smutny stan pułku i obawę, aby nas nie rozrzuceno po innych pułkach. Wkońcu powiedzieliśmy im otwarcie i krótko: „dajcie nam swoje pieniądze, a pułk zmartwychwstanie; my oficerowie damy swój żołd miesięczny.“

„Zgoda!... Zgoda!...“ — wykrzyknęli na raz wiarusy. Spisano zaraz po szwadronach upoważnienia, pułkownik je poświadczył, minister wojny zatwierdził i pieniądze odebraliśmy w 48 godzin. Zielonka wyznaczył czterech oficerów, ci natychmiast wyjechali w województwa przez Rossyan nie zajęte i we dwa tygodnie przyprowadzili około dwieście koni, jeśli nie pięknych, to dobrych, silnych i użytecznych. Wyznam tu, że obywatele, dla miłości tej wielkiej sprawy, tanio naszym remontierom konie sprzedawali, kilkanaście też oddali bezpłatnie.

Z obozu pod Warszawą odwiedziłem kolegę Miłosza, który stracił nogę pod Ostrołęką. Leżał gościnnie przyjęty u pani Ufniarskiej, właścicielki domu, stojącego niegdyś na tym placu, gdzie teraz jest dom bankiera Kronenberga, na rogu Mazowieckiej ulicy. Miłosz był jednym z najpiękniejszych młodych ludzi, jakich mi się w życiu widzieć zdarzyło: prawdziwy miłosz. Serce najlepsze, umysł wykształcony, charakter stały i łagodny, nie liczył wówczas jak lat 21 wieku. Amputację nogi pod kolanem szczęśliwie wytrzymał, ale jeszcze z łóżka nie wstawał. Nie mogłem się nadziwić jego opowiadaniu; mówił mi, że jak jest kołdrą nakryty, gotów zaprzysiądz, że mu nogi nie brakuje, że rusza palcami, że go śwędzi pod podeszwą... Dopiero nasz doktor im wytlómaczył,

że to jest gra nerwów, które jeszcze żyją. Miłosz pochodził z bogatej rodziny, posiadającej majątki na Żmudzi. Po roku 1831, wrócił w swoje strony, mógł jeździć konno, nawet polować; i tu miał wypadek, bo własny sztuciec, wystrzelwszy, mocno go okaleczył. Wyjechał później do Włoch, zkąd wracając po kilku latach, wyszukał mnie w Warszawie. Parę dni spędziliśmy z sobą najmilej przy zobopólnych wspomnieniach. Czy żyje dotąd?... nie wiem.

Zapisuję tu, iż w owej epoce, w pierwszej połowie czerwea, we wsi Kleczewie pod Pułtuskim, umarł na cholerę feldmarszałek Dybicz. 27. tego miesiąca Wielki Książę Konstanty, w Witebsku; nie długo po nim księżna Łowicka, jego małżonka, w Gieczynie. Różnie mówiono o tych zgonach, tak szybko po sobie następujących.

Kilkakrotnie już powtarzałem, że pamiętnik niniejszy będzie ścisłym opisem tego, com widział; dotknie wrażeń, które na mnie bieg wypadków oddziaływał. Nie mógłby jednak przedstawiać jakkolwiek użyteczność, gdybym szedł tylko krok za krokiem za działaniami wojennemi, a pominął usiłowania Rządu narodowego w podtrzymywaniu sprawy naszej, ścierania się różnych opinii, a z tych głównie uważać należy: publiczną — naszą obozowo-wojskową i mnóstwa pism peryodycznych, w Warszawie wychodzących, a schlebiających odcieniom i stronnictwom swych czytelników, które łakomo ich zdania chwytając, walczyły przeciw innym. Związkowość tę za konieczną uważając, materyał do niej czerpać będę z dzieł, które czytałem, nieco z pamięci, a głównie z „Dziejów narodu polskiego“ Teodora Morawskiego, naszego ministra spraw wewnętrznych w r. 1831, a przed rokiem lub dwoma zmarłego na wychodźtwie w Paryżu. Zresztą piszę, ile umiem.

Fatalność pociągnęła Skrzyneckiego do wydania mostu na Narwi i przyjęcia bitwy pod Ostrołęką; po tej klęsce, uważał sprawę powstania za straconą.

Nie posiadał on tej mocy charakteru, która podnosić powinna wodza w nieszczęściu; brakło mu daru szukania środków ku zasłonięciu się od nowych przeciwności. Straty nasze były ogromne, równe jednak poniosły wojska rossyjskie, dowód czego

w ich bezwładności po odniesionych korzyściach. Wkrótce, gdyśmy się rozłożyli obozem pod Pragę, Izby sejmowe wysłały deputację z podziękowaniem Skrzyneckiemu i wojsku za okazaną wytrwałość; leżała w tem myśl podniesienia upadającego ducha. Gwardya narodowa warszawska braterską ucztą przyjmowała wybranych z pułków żołnierzy w ogrodzie Krasiniskich. Rząd ogłosił, że Giełgud nie był odcięty, lecz rozmyślnie wysłany na Litwę w celu silniejszego rozwinięcia tam powstania. Zakrywano błędy, tajono prawdę. Postępowanie Rządu było szczytne: u nas w obozie smutek.

Tymczasem ubiegłe wypadki, chociaż groźne, goiło ścisłejsze rozpatrzenie się w położeniu ogólnej sprawy.

Doszły wiadomości, że generał Chłapowski rozbił silny oddział Rossyan w Hajnowszczyźnie 24. maja, a przez puszcę Białowiejską dostawszy się do Niemna, przeszedł tę rzekę pod Zielwielicami 28.

Generalowie Giełgud i Dembiński 29. tegoż miesiąca, gromią Sakena pod Rajgrodem, zabierając mu 2000 niewolnika i również Niemen przebywają. Partyzant nasz Zaliwski zajął Kowno. Chłapowski połączył się z Giełgudem pod Kejdanami i oddał mu pięć dział zdobytych, 1.500 karabinów i tyleż niewolnika, którego trzeba było obdarować wolnością, bo nie było go gdzie odesłać.

Młodzież wileńska rozsypała się po Litwie, rozsiewając wszędzie powstanie, a te zaczęło się organizować: na czele jego stanął kasztelan Tadeusz Tyszkiewicz, a wskutek takiego obrotu wypadków, armia rossyjska, działająca u nas między Bugiem a Narwią, traciła dowóz litewskich zapasów i komunikacye z Petersburgiem. Zauważyć także należy, że armia ta, ponosząc w boju ciągłe straty, gnębiona cholera, o znaczną część już się zmniejszyła, a wreszcie śmierć feldmarszałka, obezwładniła ją zupełnie, w oczekiwaniu nowego wodza. Klęski więc i straty, jakie powstanie poniosło, zaczęły się poniekąd naprawiać, a zatrzymanie się Rossyan pod Pułtuskim po bitwie Ostrołęckiej, dało mu czas do odetchnienia.

Z drugiej jednak strony, moralne położenie sprawy pogorszało się: prawda na wierzch wychodziła... Dowiedziała się Warszawa ze stosunków mieszkańców z obozem, że bitwa Ostrołęcka była istotną klęską; dowiedziała się o wielkich błędach Skrzy-

neckiego w prowadzeniu wyprawy na gwardye i o tem, że Gielgud mógł być ściągnięty z pod Łomży i zrobić potężną dywersyę w czasie samej bitwy, lub po jej ukończeniu; wreszcie, że istotnie był odcięty.

W następstwie czego: „Skrzynecki stracił ufność w siebie i w sprawę, wzajemnie u narodu ją postradał“ (Historya).

Prusy i Austria przyjęły wprawdzie wyrzeczoną przez Francję i Anglię zasadę nieinterwencyi, dziwnie jednak i jednostronnie ją sobie tłómacząc. Zamknęły szczelnie granice od Królestwa, rozciągnęły kordony swych wojsk pod pozorem cholery. W Księstwie Poznańskiem zaprowadzono stan oblężenia. Prusacy przyjmowali nasze listy, raporta naszych agentów dyplomatycznych, schwyтали 16.000 karabinów, jakie paryska nasza agencya tajemnie powstaniu przesłała; zabrali idący transport ryżu dla wojska z Hamburga, wagi miliona funtów; kuryerowie rossyjscy bez kwarentanny puszczani byli przez ich granice, dla Rossyan było wszystko: zapasy żywności, furazów w Prusach się zakładały, wpędzone wojska rossyjskie inną drogą do swoich wracały; nasze przeciwnie rozbrajano natychmiast i internowano.

Jeszcze gorzej szło w Sejmie, w umyśle i sumieniu Skrzyneckiego. Choć współczesny, ale nie świadek wynikłych niesnasek, aby prawdziwy ich obraz przedstawić, wolę dosłownie przepisać wierny ich opis z dzieła Morawskiego, nadmienając, że podobne echa do naszego obozu dochodziły.

„Upoważniony uahwałą sejmową z dnia 24. stycznia do ukła-dów o zawieszenie broni, generał Skrzynecki, rozszerzając nad miarę prawo i rozumienie tej uchwały, wszedł był nieszczęśliwie od chwili objęcia buławy na te same drogi, które uwiiodły Chłopi-pickiego. Gdy go wbiły w dumę odniesione zwycięstwa, nie po-przestał na rozmowie parlamentarnej z Dybiczem w miesiącu marcu, otworzył na swoją rękę samowolnie z głównej kwatery w Jędrzejowie korespondencyę dyplomatyczną na wsze strony. Wpłynęło to niepomału na ówczesną jego bezczynność, a takie wdzieranie się w prawa Rządu, sprowadzić musiało prędzej czy później, szkodliwe z tym Rządem starcie. Już takowe objawiła odezwa, którą odebrał w Jędrzejowie. Po klęsce Ostrołęckiej zwiększyć się oczywiście musiało. Z Jędrzejowa, okryty blaskiem zwycięstw, mógł i odpowiedział z przekazem; teraz trudniejszą

miał sprawę. Otóż, aby sobie uprzętnąć drogi i wolniejsze mieć ręce do układów, w których tem bardziej teraz upatrywał zbawienie, zapragnął generał Skrzynecki zupełnej odmiany w Rządzie. Dawalo mu otuchę, przychylne widokom jego stronnictwo konserwacyjne, o którym wspomnieliśmy: ośmielało wyniesienie na ministra spraw zagranicznych Horodyskiego, którego już niegdyś jako referenta przy boku księcia Poniatowskiego, sam Rządowi w czasie wszechmocy swojej nie bez przyczyny naznaczył; ośmieliło go też pod naciskiem tegoż stronnictwa, usunięcie ministra skarbu, Biernackiego, którego zastąpił kasztelan Leon Dembowski.

„Myśl swoją, wyraźne oskarżenie Rządu, objawił generał Skrzynecki deputacyi sejmowej, która go powitała na Pradze, prawiąc jej o różności zdań w Rządzie i jego składzie, nazwał takowe systemem anarchicznym. Wystawiał, jaka ztąd wyniknąć musiała niemoc w działaniach; winom Rządu, niby niedostatkowi żywności, przymusowi do nieszczęśliwej wyprawy, nie wahał się nawet przypisywać ostatniej klęski. Do wytoczenia wniosku wybrał posła jędrzejowskiego, Jana Ledochowskiego, popularnego detronizacją Mikołaja, a powiązanego owego czasu z stronnictwem konserwacyjnem. Wzmiankował, że — jak na pamiętnem posiedzeniu Sejmu — Ledochowski wytoczył sprawę 1. czerwca, opatrzoną w dokumenta dyplomatyczne, w świadectwa agencji dyplomatycznych zagranicznych, jakoby obce mocarstwa w Rządzie pięciu widziały dawne nierządnicstwo polskie i dlatego traktować z nim nie chciały... Uderzająca była sprzeczność w argumentacjach jego. Wniosek, rzetelnie podawanymi przez niego powodami wywołany, objął by koniecznie rozwiązanie, albo przynajmniej odroczenie Sejmu. Co zatem zwał generał Skrzynecki systematycznym anarchizmem, daleko łatwiej zastosować by się dało do Sejmu nieustającego, wszechmocnego, w którym rozważa śmieiej nierównie dojrzeć by mogła podobieństwa do dawnego nierządnicstwa. O rozwiązaniu zaś czy odroczeniu Sejmu, bynajmniej mowy nie było i owszem: sam autor wniosku oświadczył wyraźnie, że nie wie do czego by się posunął, gdyby kto chciał niegdyś francuski Brumaire (rozegnanie Izb) naśladować!

„Rząd pięciu, każdy o tem dobrze wiedział, że był czasowym, wypływał tylko z bieżących potrzeb. Po Chłopickim nie było nikogo, coby przedstawiał konieczne do dyktatury warunki,

coby mógł ją wziąć, nie czekając aż mu daną będzie. Złożono więc Rząd najodpowiedniejszy okolicznościom. Ale naród, uznawszy raz głośno i jednozgodnie monarchię konstytucyjną, jako jedynie odpowiadającą potrzebom swoim, wcale od tego postanowienia nie odstępował. Usilne starania Rządu o kandydata do korony, nie były tajne Europie; widzieliśmy, jak ją nadstawiał domowi austriackiemu. W tej nawet chwili, rozbierając nasuniętą kwestyę, mówił Niemojowski Wincenty na naradach Rządu: „nie mamyż Jagiellona?”

„Jagiellonowie, odpowiedział prezes Rządu, Czartoryski (do którego to było powiedziane) oddali już wszystko Ojczyźnie, co mieli — od Habsburgów mieć moglibyśmy poparcie, którego nam potrzeba“. Europa więc mogła być zupełnie spokojną, co do spodziewanej formy rządu w Polsce“ etc.

A dalej:

„Stało się gorzej jeszcze. Poważniony z Rządem i Sejmem generał Skrzynecki, nie był w dobrem porozumieniu z podwładnymi swymi; nie umiał sobie zjednać miłości, jaką szczyelił się książę Józef Poniatowski. Starsi generałowie niechętnie mu ulegali. Szembek porzucił czynną służbę zaraz po bitwie Grochowskiej; Krukowiecki nie wstrzymał się od nieprzyzwoitego listu po kłesce Ostrołęckiej i oddalony został. Umińskiemu, któremu dopiero co oddawał pochwały za najmeźniejszy opór, jaki tenże stawiał pod Jędrzejowem, odmówił zasłużonych nagród dla najwaleczniejszych, a nawet za nieco żywe upomnienie się o takowe, odebrał dowództwo, podsuwając tak i na niego podejrzenie o winy kłesk ostatnich, aby takowe od siebie odsunąć! Z młodszych generałów, Chrzanowski porzucił sztab główny po kłótni, którą stoczył przy naleganiu o wydanie walnej bitwy pod Kuflewem (25. kwietnia); z Prądyńskim zapaliła się straszna niechęć w Troszczynie. Jak w Sejmie, tak tworzyć się poczęły stronnictwa w obozie. Prądyński odpychając od siebie winę kłeski Ostrołęckiej, zagniewany o udaremnienie pomysłów i zabiegów swoich w dwóch już wielkich wyprawach, rozpaczą uniesiony, zgłosił się 16. czerwca do prezesa Rządu i marszałka Izby poselskiej, z usprawiedliwieniem swoim, a właściwie z wystawieniem błędów generała Skrzyneckiego. Wyrzucał mu marnowanie czasu,

opieszalność w pogoni po zwycięstwie, odprawianie wojny w pojeździe nie na koniu i co za tem poszło zaniedbanie korzyści z położenia i postrachu nieprzyjaciół podczas wyprawy kwietniowej. Wyrzucał mu kilkutygodniową beczynność (pod Boimem), zabawę z malarzami portretu swego w Jędrzejowie, pomimo codziennych nalegań prezesa Rządu, kiedy można było — dodawał Prądyński — przenieść wojnę aż nad Berezynę. Wyrzucał mu wreszcie odwłokę wyprawy na gwardye, zmarnowanie czasu pod Śniadowem i w końcu błędy bitwy Ostrołęckiej. Wódz — mówił Prądyński — urodzić się musi wodzem; Skrzynecki się nim nie urodził“.

Zastanawiający się czytelnik powyższych ustępów historyi zacnego Morawskiego, zadziwi się zapewne wraz ze mną, nad słabością Rządu narodowego i ówczasowego Sejmu. Składał się on z tychsamych w większości członków, jakimi byli w trzech poprzednich Sejmach i nie wahali się wonezas występować z mniej stosowną opozycją przeciwko wnioskowi Rady stanu, przez cesarza i króla wpieryw rozpoznawanym, aczkolwiek za legalnego króla go uważali; nie wahali się wśród Sejmu rewolucyjnego, jawnie wygłosić detronizację tego monarchy, a na tak jawne dowody niedołęztwa generała Skrzyneckiego, jego samowoli w traktowaniu z nieprzyjacielem i z zagranicą, jakiejs dumy niezrozumiałej, jaką przybierał w stosunkach swych z Rządem, dłaczegoż nie złożyli go natychmiast z dowództwa?...

Następne wypadki przekonały, że jeszcze czas był po temu: wojna mogła się była przeciągnąć, czego pozornie czy szczerze gabinety Francyi i Anglii się domagały i korzystniejszy przybrać obrót. Rząd narodowy przekonał się o niezdolności generała, podniesionego na najwyższy stopień hierarchii wojskowej; wojsko straciło pokładane w nim zaufanie, patrzyło na jawne jego błędy, tyle trudów i krwi je kosztujące, na jego opieszalność; generałowie Prądyński, Chrzanowski, nakoniec ów dumny, ambitny i ostry Krukowiecki, skrycie ubiegający się o naczelne dowództwo, mogliby go zastąpić. Wszyscy wymienieni byli ludźmi czynu, posiadali energię, a — jak twierdzić się poważam — równe lub większe zdolności, a głównie wiarę w siebie i powodzenie wojny.

Czemuż?!... Czemuż?!... do głównego sztabu Rząd narodowy nie wysłał komisarza wojennego, któryby dozierał czynności na-

czelnego wodza, kontrasygnował jego raporta i korespondencye i zdawał Rządowi bezpośrednie raporta, jak to czyniła konwencya w Wielkiej rewolucyi francuskiej?...

Tu było miejsce dla Lelewela.

Oto dalsze wyjątki z dzieła Morawskiego:

„Skazą zapewne była dla Rządu prezydencya Lelewela w Klubie patriotycznym (a był członkiem Rządu), który miał ten Rząd wywrócić. Wszakże prezes Klubu, służył tylko za świadka przeciwko pospolitym podejrzeniom. Obecność jego w Rządzie, nie pociągała za sobą najnniejszego niebezpieczeństwa. Prezesostwo Klubu odejmowało mu owszem wpływ, który inaczej byłby niewątpliwie osiągnął. Uczestnictwo razem w Rządzie i w Klubie, przynosząc ujmę osobistemu charakterowi Lelewela, przydać mu znaczenia nie mogło. Takie było wówczas usposobienie, mające w najwyższym obrzydzeniu sposoby rewolucyi francuskiej. Gdyby wódz naczelny nie przyjmował adresu Klubu, kiedy tenże zwycięstw mu winszował, gdyby obywatel Skrzynecki nie był przyjmował „miałem sercem“ obywatelskich uczuć i życzeń, jakich organem uznawał Towarzystwo patriotyczne, mało ktoby wiedział o istnieniu tego Klubu, zszedłby on do takiego nicestwa, iż sam już widział, iż mu rozwiązać się trzeba było (2. czerwea). Galwanizowała go tylko Lelewela próżność.“

Opis ten, tyle prawdziwy i smutny, rzuca cień na ówczesne usposobienie Skrzyneckiego, niektórych członków Sejmu go popierających i tego nieszczęsnego Klubu patriotycznego. Acz mało o tem wszystkim wiedzieliśmy, pamiętam, iż to, co nas z tych wiadomości dochodziło, było dostatecznem. by zwątpić o powodzeniu powstania. Pisma peryodyczne, przedstawiające tyle różnych opinij, jedne drugim przeciwnych, a wszystkie dalekie od rozsądnego zapatrywania się na sprawę narodową, z gniewem i wzgardą rzucaliśmy w obozowe ogniska.

Nie dosyć jeszcze było tych niepowodzeń na polach bitew i waśni stronnictw głowę podnoszących — nowa klęska tę smutną epokę usiłowań narodu odznaczyła.

Pochód generałów Giełguda, Chłapowskiego i Dembińskiego na Litwę, przeważne operacye ich wojsk na tyłach nieprzyjaciela, skłoniły Rossyan do znacznego osłabienia ich armii nadwiślań-

skiej i wysłania pomocy słabym siłom nad Niemnem działającym. Z granicznego też Wołynia i Podola dochodziły wiadomości, że w tanyeh stronach powstanie gotowe się ruszyć, byle jakakolwiek pomoc nadeszła.

Skrzynecki postanowił wysłać generała Chrzanowskiego, stojącego pod Zamościem, z wojskiem na Wołyn. Przeszkodą temu gruntownie obmyślanemu planowi, był marsz generała Rüdigera z dwunastotysięcznym korpusem, który wpędziwszy Dwernickiego do Galicyi, szedł połączyć się z główną armią i już był w Lubelskiem; prowadził zaś z sobą 3.000 koni remontowych i ogromne pociągi amunicyjne.

Znieść Rüdigera, zabrać mu wszystko, co z sobą prowadził, otworzyć drogę Chrzanowskiemu na Wołyn, podnieść znów chwałę naszego oręża i sprawy, było łatwem do wykonania przy nieruchomości wojsk rossyjskich, stojących pod Pułtuskiem, a wyciekających nowego naczelnego dowódcy.

Była to dotykalna konieczność.

I czemuż Skrzynecki tej sposobności nie uchwycił?! Dlaczegoż osobiście nie poprowadził tej wyprawy, któraby inieniowi jego wróciła pierwszy urok powodzeń na początku wojny osiągniętych!... Chyba, że nie chciał się trudzić!...

Wyprawa ta postanowioną została. Naczelnny wódz przeniósł swą kwaterę główną 15. czerwea do Siennicy. — Generałowi Ambrożemu Skarzyńskiemu zlecił pilnować Rossyan od Serocka; ale właśnie i nieukontentowania obozowe, spowodowały brak dowódcy pomienionej wyprawy. Prądyński przeszedł prawie do bezczynności, Krukowiecki i Umiński oddaleni, generał Łubieński objął szefowstwo głównego sztabu. Sierawskiego wódz trzymał z dala z słabym oddziałem powstania, jako mu ciągle zawistny. Powtarzam: dla czego Skrzynecki nie sięgnął po pewne zwycięztwo?... Czyż dla tego pozostał w Siennicy, by prowadzić pokątnie knowania przeciw Rządowi?

Poruczył dowództwo wyprawy generałowi Jankowskiemu, który nigdy więcej jak konnym pułkiem nie komenderował.

Jankowski nie posiadał żadnego usposobienia do prowadzenia oddzielnego i znacniejszego korpusu. Człowiek łagodny i miękki, słabego zdrowia, schorzały, wygod potrzebujący, pod żadnym względem nie był zdolnym podnieść się do wykonania tyle ważnego

zadania. Mogę to o nim powiedzieć, bom go znał osobiście; znali go oficerowie naszej jazdy, zdziwienie też było wielkie nad tym nieszczęśliwym wyborem.

Pułk nasz odebrał rozkaz należenia do wyprawy; korpus ją składający, donosił 20.000 wyborowego żołnierza; idziemy forsownymi marszami i 18. czerwca stanęliśmy w Łukowie. Rüdiger, lecący na swą zgubę, przeprowił się przez rzekę Wieprz, naprzeciw wsi Łysobyki, zostawił rzekę... nie było wątpliwości, że go schwycimy. Cóż czyni Jankowski? Rozprasza swe wojska na linii: Kocka, Rudy, Syromkomi, jakoby dla otoczenia Rüdigera. Rozkazuje generałowi Turno uderzyć na niego od środka w 3.000 piechoty, jazdy i baterji artylerji, a na odgłos jego boju, skrzydła nasze miały się połączyć, wejść na linię bojową, odnieść zupełne zwycięstwo, zmusić Rosyan do złożenia broni.

Pułk nasz był w oddziale Turny. 18-go wieczorem podsuwamy się pod nieprzyjaciela, ten stoi niewzruszenie... Noc nam schodzi w największej niecierpliwości, ognisk prawie nie zakładaliśmy, bo nie było w obozie oficera, któryby najdokładniej nie wiedział, jakie powodzenie nas oczekuje w dzień następny.

Cóż się dzieje?... Nocy tej, czy przez niedbalstwo służbowego sztaboficera, czy skutkiem jakiejś fatalności, forpoczty nasze dokładnie nie związane, zostawiły znaczny pomiędzy sobą przedział i ten zajęli kozacy. Objeżdżającego linię naszych przednich straży podpułkownika Butryma, podszefa sztabu korpusu, kozacy chwytają, odstawiają Rüdigerowi... Butrym miał pod cebratą czapki spis wojsk całego korpusu Jankowskiego!...

Było już po północy, dzień miał niedługo świtać, nie mógł już umknąć Rüdiger za Wieprz, ale rozpoczął swój odwrót od wysłania w tył licznych swych furgonów; sam postanowił je zaslaniać.

O wschodzie słońca, dzielny Turno, pewny silnej ze wszech stron pomocy, mając sobie wydany rozkaz rzucenia się ślepo na nieprzyjaciela, rozwija swoje 3.000 żołnierza, nie zostawia nic w odwodzie, bo tego potrzeba nie wymagała i silnie naciera na Rüdigera. Baterja naszej artylerji, aby dać Jankowskiemu wiadomość o rozpoczęciu ataku, daje kilka salw ogólnych wszystkiemi na raz działami. Rozpoczyna się bitwa w 3.000 ludzi z naszej strony przeciwko 12.000, mija godzina i więcej, Jankowskiego

z piechotą, Bukowskiego z 24 szwadronami jazdy nie widać a nas tu gniotą Rossyanie... Rozsyła Turno swych adjutantów po pomoc, dopada frontu naszego pułku, a mnie pierwszego zoczywszy, daje rozkaz wyszukania Bukowskiego z kawaleryą. Ruszyłem z miejsca co tylko koń mógł wyskoczyć, dobrą milę tak go parłem, kiędym nakoniec dojrzał w dali nasze chorągiewki. Idą pułki stępą, jak w zwykłym marszu.

— A gdzie generał? — pytam.

— W tyle — odpowiadają.

Mijam szwadrony — cóż widzę?... na boku traktu Bukowski siedzi na pniu drzewa i coś pożywa; konia zdala za nim trzymają, adjutant przy nim.

— Generale, — mówię — słyszysz bitwę?!... to Turno się bije... woła przezemnie o pomoc... kłusem generale, bo dobra ztąd mila... zmiażdżą tam nas...

A on: — Coś śmiało mówisz, poruczniku..., a Jankowski wszedł już na linią?

— Nie — odpowiadam, — ale od dwóch godzin posłano po niego.

— No to jeszcze czas!... i dalej rusza szcęgami.

Stanął mu za plecami jego adjutant, człowiek młody, brunet. Słuchając tej rozmowy, zacerwienił się mocno, łysnął czarnymi oczami; podniósł pięść nad głową Bukowskiego, jakby chciał go uderzyć... Była to dłoń przepowiednia przyszłego a tyle haniebnego jego zgonu.

Nie byłem przeto obecny do końca bitwy pod Budziskami 19. czerwca; szedłem na jej pole z jazdą Bukowskiego, kiedy cała wyprawa już była chybioną. Sześć godzin walczył Turno z przeważną siłą Rossyjan, a nikt mu z pomocą nie przyszedł. Wymknął się Rüdiger, zabrawszy nam jeszcze w Rudzie kasę pułku grenadierów i amunicyjne furgony.

Wrzało nasze wojsko prawie otwartym buntem; poszli w nocy nasi pułkownicy do Jankowskiego z wezwaniem, aby na drugi dzień dosięgnął jeszcze Rüdigera, przez Wieprz przeprawiającego się, lecz zastali go schorzałego. Teżże nocy nadszedł rozkaz Skrzyneckiego, aby wojska nasze czem prędzej wracały na obronę zagrożonej Warszawy. Generał Skarżyński prostą demonstracyę Ros-

syjan od Serocka, wziął za ruch ich ogólny naprzód i tem spowodował nasze odwołanie. Nie dosyć było jeszcze tych nieszczęść: generał Chrzanowski, podsunąwszy się z Zamościa do Lublina, o mało co wziętym nie został przez Rüdigerę, zrzecznym tylko pochodem ocalał.

Mamże smutną prawdę wyznać?... Po zachodzie słońca owego 19. czerwca, wysłał mnie pułkownik do sąsiedniej wsi po bydło na rzeź dla pułku. Wziąwszy konwój, pojechałem. Zabrałem właścicielom trzy krowy i wołu, a według danego mi rozkazu, udałem się do głównej kwatery generała Jankowskiego po fundusze dla zapłacenia tego zaboru. Była może 11-ta godzina w nocy: wchodziłem do jakiegoś dworu, po prawej miał spoczywać chory generał, po lewej otwieram drzwi. Ciemno prawie od dymu fajek... stół na środku długi, na nim świec kilka. naokoło siedzą adjutanci Jankowskiego i sztab; grają w karty... Brat generała i jego pieczęniarz, znany szuler, który nawet nie służył w wojsku przed rokiem 1830, ciągnie bank Faraona. Po skończeniu talii załatwił mnie, płacąc z kupy złota przed nim leżącej.

Trudno opisać, w jakim stopniu rozjątrzenia wracało wojsko z nad Wieprza. W Warszawie błyskawicą rozniosła się wieść o przegranej pod Budziskami i już nie o błędach przez Jankowskiego i Bukowskiego dopuszczonych, ale o ich postąpieniu, zdradą nacechowanem.

Raport generała Prądyńskiego, prezesowi Rządu złożony o nieudolności Skrzyneckiego, który pomału precisnął się w swej treści do wiadomości publicznej, kierunek, jaki nadał wyborowi dowódców wyprawy przeciw Rüdigerowi, wzruszył do głębi opinią stolicy. Jednocześnie odebrał Rząd doniesienie, że pozostawieni w bezczynności generałowie Hurtig i Sałacki, ułatwiają tajną korespondencją jeńców rossyjskich, w Zamku osadzonych, z ich rodzinami w cesarstwie. Wymieniono i Jankowskiego jako w tych matactwach działającego.

Podniósł swój głos burzliwy Klub patriotyczny, wsparty liczną bandą nadliczbowych oficerów, przez regimentarzy mianowanych, a chroniących się od czynnej służby. Bluzgały pisma peryodyczne wyrzutami dopuszczonej hańby i zdrady, drukowały nazwiska zdrajców. W Sejmie, poseł Zwierkowski domagał się, aby wezwano Skrzyneckiego o wyjaśnienie postępowania obwinio-

nych. Zawrzała Warszawa gniewem i namiętnością; rzucono się do Zamku wyrznąć w pień w niewolę wziętych generałów rossyjskich, ocalił ich energiczną przemową książe Czartoryski.

Uległ nareszcie Skrzynecki parciu opinii publicznej i rozkazał uwieźć Jankowskiego i Bukowskiego, oraz podejrzanych generałów Sałackiego i Hurtiga.

Nie wstrzymało to ogólnego na niego oburzenia, domagano się odebrania mu naczelnego dowództwa wojsk. I zachwiała się sprawa powstania, a klęska Ostrołęcka, niepowodzenia wyprawy na gwardye, wypuszczenie nieomal wziętego już Rüdigera, rozniezione po wszystkich krajach, spowodowały, iż już przychylniejsze opinie naszej sprawie gabinetów angielskiego i francuskiego, w parlamentach wygłaszane, ostygły.

W powodzeniu znajdują się przyjaciele — po klęskach zwykle się odwracają.



ROZDZIAŁ XI.

Feldmarszałek Paskiewicz obejmuje dowództwo wojsk rosyjskich. — Postanawia przebyć Wisłę pod samą granicą pruską. — Pomoc mu udzielona przez Prusaków. — Skrzynecki zaniedbuje bronić tej przeprawy. — Działania generała Giełguda na Litwie, która powstała. — Wilno nie wzięte przez jego opieszałość. — Przegrana pod Ponarami. — Różycki w pomoc mu posłany. — W Królestwie Chrzanowski zwycięża Gołowina pod Mińskiem i Kałuszynem. — Dywizya generała Milberga w Płockiem. — Potyczka pod Raciążem. — Paskiewicz przechodzi Wisłę pod Ciechocinkiem. — Na Litwie korpus Giełguda rozdziela się na oddziały. — Giełgud i Chłapowski wpędzeni do Prus. — Zamordowanie pierwszego. — W Królestwie oburzenie i skargi na Skrzyneckiego. — Burzliwa rada wojenna. — Późne ale pomyślne wiadomości od Legacyi paryskiej. — Liczba wojsk naszych pod Warszawą. — Opis jej zewnętrznej i wewnętrznej obrony. — Dembiński przyprowadza 5.000 żołnierza z Litwy. — Nasz partyzant, Wincenty Jurewicz Gedroń i jego wydanie przez zdradę pod Radomiem. — Skrzynecki i inni dowódcy, układy z Moskwą za jedyny ratunek uważają. — Rząd i ludność Warszawy na nie nie pozwala. — Delegacya sejmowa w obozie. — Dembiński naczelnym wodzem. — Postąpienie generała Sierawskiego wobec tych wypadków. — Uwagi. — Posądzenia zdrady. — Dzień i noc 15. sierpnia i opis morderstw zdrajców i szpiegów przez lud warszawski spełnionych. — Uwagi.

Wobec widocznych korzyści, jakie osiągnął cesarz Mikołaj z opisanych wypadków, postanowił on i jego rada wojenna w Pe-

tersburgu, gdy dotąd nie zdołano przełamać linii obronnej Wisły, Królestwo po połowie rozdzielającej, przebyć ją jakim bądź kosztem, przenieść wojnę na drugą jej stronę, odciąć Królestwo od Prus, mianowicie od Księstwa Poznańskiego i wziąć Warszawę od suchej jej ściany. Dowództwo nad wojskami rosyjskimi objął feldmarszałek Paskiewicz i oznaczył, za porozumieniem się z Prusami, punkt przejścia Wisły w miejscu, jak ta wpada w granicę państwa pruskiego, mianowicie za miasteczkiem Nieszawą, przeciwko osadzie wiejskiej Słońsk i warzelni soli w Ciechocinku.

Posiłkując te zamiary, Prusacy począwszy od Torunia i Inowrocławia aż do swej granicy, mimo przyjętej zasady nieinterwencji, zgromadzili berlinki, dubassy, materiały budulcowe i robotnika; przygotowały mosty na Wisłę dla wojsk rosyjskich, wyczekując rozkazu holowania ich w górę rzeki na punkt oznaczony. Aby jednak dojść do postanowionego miejsca przeprawy, należało Paskiewiczowi odbyć ze stanowisk jego pod Pułtuskim i Serockiem marsz długi, niebezpieczny i flankowy przez Płońsk, Raciąż i Lipno

Mieliśmy most na Narwi i Wiśle pod twierdzą Modlinem; byliśmy panami całego brzegu tej szerokiej rzeki do Płocka i dalej, a tem samem jej przebycia. Możliwością było przeciąć ten kolisty pochód Rosyan, który jedną ciągłą kolumną postępować nie mógł, lub wreszcie go powstrzymać; w końcu, zgromadziwszy odpowiednie siły pod Ciechocinkiem, trzema lub więcej bateriami artylerji, bronić z korzyścią przeprawy na Wiśle, która tu się bardzo szeroko rozlewa, i burzyć budowę mostów.

Wiedział o tych Rosyan zamiarach i obrotach Skrzynecki, jak się później pokazało, z przejętych depeesz i rozkazów nieprzyjaciela, lecz takowe zataił; nie zwołał Rady wojennej, by zasięgnąć jej rady i zdania w takim rzeczy obrocie; wbrew oczywistym a koniecznym środkom obrony kraju postąpił.

Ale wróćmy do działań generałów Giełguda, Dembińskiego i Chłapowskiego na Litwie, którzy w ostatnich dniach maja połączyli się pod Kiejdanami.

Na widok polskiego żołnierza, Litwa istotnie powstała. Ogniński przyprowadził 1.200 kosynierów; formowały się dwa pułki piechoty i pięć jazdy; zdobytą bronią miejscowi strzelcy się ubrajali. Liczba wojsk naszych na Litwie, dochodziła do 14 ba-

talionów piechoty, 10 szwadronów jazdy, armat 29. Niedługo potem do tych sił dostarczyła Litwa 4.000 kosynierów i tysiąc kilkaset koni. Wsławiła się hrabianka Emilia Plater uczestnictwem w tem powstaniu, działając czynnie, rozniecając ducha w Żmudzinach, zagrzewając swą obecnością w bitwach. Jej wspomnieniu osobny rozdział poświęcę.

Lecz Giełgud, omamiony owacyami, jakie mu Litwini wyprawiali, traci dni kilkanaście w bezczynności w rodzinnem swem gnieździe w Giełgudyszkach, a tymczasem Rosssyanie gromadzą w tamtych okolicach swe ostatnie siły, dotąd rozproszone. Łączą się Saken, Tołstoj i Kuruta — ubiegają w 24.000 żołnierza Wilno, które mogło być wcześniej wzięte, bo bronione tylko przez 3.000 Rosssyan. Stary Kuruta zwołał dowódców i zapowiedział płaczymym swym głosem, że „tu umrzeć trzeba za cara, ale miasta nie oddawać“.

Giełgud odwłoką opuściwszy tak szczęśliwą sposobność zdobycia Wilna, popełnił drugą nieroztropność i poszedł na litewską stolicę, przeważnemi siłami bronioną; stoczył bitwę 19. czerweca pod Ponarami; odparty zupełnie, stracił 600 żołnierza w zabitych i rannych i ledwo wycofać się zdołał.

W pomoc Giełgudowi, za odebraniem tych wiadomości, posłał Skrzynecki Różyckiego generała z 900 ludźmi, wielając do tego oddziału prawie przymusowo brukowych warszawskich oficerów i krzykaczy Klubu patriotycznego, o ile się to dało uczynić.

Na naszej linii bojowej, w dniach 14. i 19. lipca, generał Chrzanowski bije generała Gołowina między Mińskiem i Kałuszynem. Naczelnny wódz, powiadomiony o marszu feldmarszałka Paskiewicza przez płockie województwo, zamiast w twierdzy Modlinie, stanął główną kwaterą w Łukowcu, a dla niepokojenia flankowego marszu Rosssyan, posłał jedynie dywizyą piechoty Milberga i jazdę generała Turno, a w tej nasz pułk się znajdował.

Doganiamy ich pod Płońskiem 6. lipca i zarywamy potężnie. 14. pod Młynarzami rozbijamy jazdę aryergardę. Uchodzą nam ciągle, forsownymi marszami dopadamy pod miasteczko Raciąż i to z samą jazdą i baterią artylerji konnej, bo piechota nasza już zdążyć nie mogła.

W przednich strażach, szedł świeżo uformowany 2-gi pułk Krakusów; uniesiony zuchwałem męstwem i chęcią odznaczenia

się, nie czekając na nadchodzącą pomoc, rzucił się śmiało na pułk gwardyi huzarów grodzieńskich, ale nie zdołał sprostać regularnemu żołnierzowi. Nim dobiegliśmy, huzary zrąbały kilkudziesięciu Krakusów i wzięli w niewolę przeszło sto ludzi i koni.

Był to korpus generała Gersztenzweiga z piechotą, jazdą i artylerją, donoszący kilkunastu tysięcy, a bokami osłaniający pochód Paskiewicza. Nasz to pułk odparł huzarów, którzy poznawszy nas, bośmy przed r. 1831 jedną brygadę konnej gwardyi składali, cofnęli się natychmiast. Na flankierach rozsypanych, obustronni oficerowie poznawaliśmy się wzajemnie i witali strzałami pistoletowymi. Nadszedł też Turno z resztą dywizyi jazdy i konną artylerją. Rozwijamy się na płaszczyźnie po obu stronach traktu, przed nami rossyjska piechota w czworobokach, po skrzydłach jazda. Zaczął się ogień działowy. Tymczasem z dnia chmurnego i małego deszczu, zgromadziły się czarne chmury i lunął deszcz potokami, a był tak mocny, że prawie zupełnie nam przeciwnika zasłonił; mimo tego, gdy lonty kanonierom zagasły, strzały baterji Kołyski nie ustawały, bo brandtki armatnie rzymskimi świecami zapalano.

Rossyanie również odpowiadają, boj się ciągnie a naszej piechoty nie widać.¹⁾ W tej potyczce generał Gersztenzweig dotrzymał danego nam słowa. kiedyśmy od Wielkiego Księcia Konstantego odchodzili z pod Mokotowa: po prawej stronie naszego pułku stał 4. pułk strzelców konnych; rossyjskie działowe kule obalały mu ciągle ludzi i koni, do nas wcale nie strzelano.

Szczególnem zdarzeniem, jak pod Budziskami w bitwie z Rüdigerem, tak i tu generał Turno wysłał mnie po piechotę Milberga. W tę ulewę pospieszam co mogę; po przebyciu półtorej mili dobiegam go stojącego z piechotą już obozem. Wzywam go w imieniu Turny, by szedł na Raciąż... Spojrzał na zegarek, była 4-ta po południu... pokazuje mi go i mówi: „piechota dziś przeszła więcej jak cztery mile drogi, zmęczona marszem, nie dojdzie jak po godzinie 7 wieczorem, zresztą broń zamokła, iść dalej nie-

¹⁾ Nie przypomniał sobie generał Turno faktu, zdarzonego w bitwie pod Dreznem 1813 roku. Takiż sam deszcz ulewny nastąpił, karabiny piechoty austriackiej zamokły, Napoleon puścił szesnaście szwadronów kirysyerów, te wyrąbały ją prawie zupełnie.

podobna“. Zostałem więc i ja, zmokłem do żywej nitki, nocowałem z moim ordynansem w jakimś chlewie. Milberg zaprosił mnie na wieczorny posiłek. Było to 22. lipca.

Na drugi dzień dopiero doszedł Milberg do Raciąza z swą dywizją. Gdy się połączył z pułkiem, dowiedziałem się, że Rosyianie, mimo ciągłej ulewy i dróg nadzwyczajnie złych, w nocy się usunęli. Turno oczekiwał na piechotę.

Schwytaliśmy kilku jeńców. Ci zeznali, iż silny oddział gwardyi stoi w Płocku. Maszerujemy więc na to miasto, dochodzimy prawie w nocy, uszedłszy mil pięć. Rossyianie przed dwiema godzinami już się oddalili, gnać ich zmordowanym żołnierzom było niepodobna. Deszcz urywkowo padał nieprzestannie, drogi się zepsuły zupełnie. Stanęliśmy obozem pod miastem.

Trzy dni i tyleż nocy trwała ulewa, mokliśmy na niej, że się życie przykrzyło, stojąc na rozmięklej ziemi; w brzdach pełno wody, ani usiąść ani się położyć, bo też nie dokuczliwszego dla żołnierza, jak ulewny i długi deszcz. Jedynie piechota, jak najciaśniej rozłożona w mieście, suszyła się i opatrywała broń. Nadeszły też rozkazy zaprzestania dalszego pościgu i powrotu pod Warszawę; niepodobna opisać trudów w tym odwrocie. Trakty po tych ulewach były prawie nie do przebycia, mosty i mostki wszędzie wody zerwały, piechota brnęła przez nie wyżej kolan, a uchodziła dziennie zaledwie małe dwie mile. Co gorsza, brakło żywności i furazów.

Kiedy z dywizją Milberga, za późno na boki Rosyjan wysłaną, uganiamy się za ich pojedynczymi oddziałami, pruskie władze między 12. i 17. lipca podciągnęły z pod Torunia materiały na mosty, przy przeprawie przez Wisłę Paskiewiczowi służyć mogące. Pięć ich postawiono naprzeciw Ciechocinka, trzy dni i tyleż nocy trwała przeprawa. Feldmarszałek przeprowadził 90.000

¹⁾ Giełgud nie odbywał wojen Napoleońskich. W powstaniu częściowem Litwy nominowany był w r. 1812 szefem pułku, który nawet nie był czynny. Przy organizacyi wojska polskiego w r. 1815, jako pułkownik stanął z innymi do losowania na dowództwo pułku i wyciągnął los sprzyjający. Z kolei awansował na generała brygady. — Wzrok miał krótki; pozbawiony jednego oka, nosił je szklanne, — dekoracyi wojennych nie posiadał.

wojska, 310 armat, 6.500 wozów amunicyjnych. 19. lipca już był na lewym brzegu rzeki. Z naszej strony ani jednym strzałem mu nie przeszkodzono!...

Posuwając jednocześnie opowiadanie wypadków, winienem wrócić do działań ekspedycyjnego naszego korpusu na Litwie.

Pobity Giełgud pod Wilnem, cofnął się za Święte i Wiliją. Uznał sam siebie, uznało go wojsko nieudolnym do kierowania dalszemi działaniami¹⁾, zniewolono więc generała Chłapowskiego do przyjęcia współwództwa. Na bokach wojsk naszych, generał Tołstoj rozprószył powstańców. Giełgud cofa się przed nim do Rosien, dalej przez Szawle; tu było 3.000 Rossyan, przerwano bitwę dla braku amunicyi. W tej ostateczności uradzili nasi dowódcy, podzielić wojsko na oddziały, pomaszerować oddzielnemi drogami i kierunkami, aby rozerwać siły nieprzyjaciela. Dembiński poszedł w głąb Litwy, Chłapowski z Giełgudem ku Niemnowi, Roland ku Połądze.

Nie było już sposobu ocalenia — brakowało zdolnego dowódcy, brakowało amunicyi, wojska straciły też ufność w siebie. Smutny przykład Dwernickiego, przejścia w granicę Galicyi austriackiej, tu się powtórzył. Giełgud z Chłapowskim, ścigani przez generała Krentza, Dellinhausena i Szyrmana, przeszli granicę pruską w okolicach Kłajpejdy. W tej rozpacznej chwili, kapitan Skulski, dopadłszy Giełguda, wystrzałem z pistoletu zabił go na miejscu, o zdradę posądzając. Inne też oddziały, wpędzone do Prus, tamże broń złożyły.

Wiadomości o stłumieniu powstania na Litwie, oraz o przejściu Wisły przez Rossyan, prawie jednocześnie doszły do Warszawy. Nie było w niej magazynów żywności i furazów, jak na dni dwadzieścia, tak dalece wszystkiego zaniedbano. Przewidywano, że Paskiewicz szybkimi marszami podążać będzie pod stolicę, pozostawała więc już tylko jej obrona. Konało powstanie, pod wróżbą tylu świetnych zwycięstw rozpoczęte. W Warszawie rozpacz i zupełne ducha zgnębienie nastąpiło.

W tej ostateczności generał Prądzyński, wystąpił z otwarciem piśmiennem oskarżeniem naczelnego wodza. Izba poselska je przyjęła i uchwaliła zwołanie rady wojennej, złożonej z członków Rządu narodowego i generałów. Pociągnięto na niej Skrzyneckiego

do tłumaczenia z niepojętego oddania Rossyanom przeprawy przez Wisłę bez żadnego oporu.

„Na tej radzie — pisze Morawski — nastąpiła namiętna scena... Skrzynecki nie dopuścił do głosu generała Sierawskiego, dowódcy piątej dywizji piechoty i Prądzyńskiego, gotowych do poparcia skargi, mówiąc: „póki jestem głównodowodzącym, nie wolno podwładnym rozbierać planów moich i sposobów obrony kraju“. Zaręczał, że bez boju posunąć się dalej nieprzyjacielowi nie pozwoli, że w razie potrzeby, z Warszawy zrobi drugą Saragossę... Zapowiedział walkę śmiertelną“.

Świadek tej narady wojennej, a pokrewny mej późniejszej żony, generał Julian Bieliński, tak mi ją opowiadał:

„Na tej radzie zebrało się przeszło dwudziestu generałów, przydywał Skrzynecki. Odczytano naprzód etat czynny wojska wszelkiej broni, z którego pokazało się, że mieliśmy jeszcze przeszło 50.000 żołnierza; potem amunicji i magazynów żywności. Skrzynecki przemówił: przedłożył, że w magazynach jest tylko na 30 dni racyj żołnierskich, furazów jeszcze mniej. Wątpił, czy ludność Warszawy zaopatrzyła się w zasoby na czas oblężenia; dodał, że zamknięci jesteśmy z jednej strony armią Paskiewicza, z drugiej przez korpus Gołowina, stojący o milę za Pragą, zatem żadnego już dowozu spodziewać się nie możemy; że komunikacja z twierdzą Modlinem lada chwila może być przerwana, dowóz więc amunicji prawie niepodobny. Kończył zapytaniem, jakie jest zdanie rady w tem położeniu.

„Zapanowało głucho milczenie; kilka głosów się odezwało za wydaniem Paskiewiczowi ostatecznej i rozpacznej bitwy; inni proponowali układy i ocalenie bytu Królestwa w stanie, w jakim ono było przed 29. listopada. Zdania się krzyżowały. Skrzynecki znów się odezwał: „Nie podołamy — mówił — Paskiewiczowi, weźmie Warszawę, zrabuje ją i spali...“ Tu, dotąd milezący, zerwał się z krzesła generał Sierawski. Był to olbrzym nie człowiek — gęste siwe włosy, zaczesane w tył czoła, zwieszały mu się na kołnierz munduru. Na szerokich piersiach świeciły krzyże polskie i francuskie — przemówił głosem silnym, niekiedy przerywanym:

„Nie należy wodzowi wątpić o sprawie, póki stoi na czele wojsk walecznych i pewien jest poświęcenia życia i majątków mieszkańców kraju... Komu należy przypisywać, koledzy, takie

wojny niepowodzenie?... Gwardye rossyjskie, mogące być zniszczone, wysliznęły nam się z ręki... Rüdiger nie wzięty... Paskiewicz przepuszczony przez Wisłę, lecz bez jednego wystrzału armatniego... Widzimy ztąd dymy jego obozów. Warszawa w żywność, wojsko w amunicję niezaopatrzone...“

„Zmarszczył się Skrzynecki i odezwał się: „do rzeczy! do rzeczy przystąp generale!...“ A Sierawski trząsnął włosami swej głowy, jak lwia grzywą i mówił dalej:

„Stolica, acz sercem jest kraju całego, nie jest wszakże całkowitem ciałem jego... Barykady stoją na ulicach, z grodu naszego zrobimy twierdzę niezdobytą... Może zewnętrzne nasze szaniec zdobyć Paskiewicz, ale z barykad, z okien kamienic położymy mu dwie trzecie części wojsk jego. Rossyjska jazda i jej artylerya, w ulicznym boju czynnymi nie będą... Udajmy pozorną zaczepkę nieprzyjaciela. cofając się do miasta... on za nami... a wtenczas biada mu!...“

„Koledzy — Rossyanie w r. 1812 spalili Moskwę, a ludniejszą i bogatszą była, niż nasza stolica — ocalili Rossyę... Niech padnie w gruzach Warszawa, ale Polska niech istnieje!... Odbudujemy ją... Jeżeli i tym bojem nie uratujemy się, pójdziemy za Wisłę. — Paskiewicz osłabiony, zniewolony silną w Warszawie zostawić załogę, ścigać nas nie będzie... Dzierżymy jeszcze silne i obronne punkta w Modlinie i Zamościu — tam są prochy, amunicye... Znów będziemy bronić zawiślańskich województw, jak broniliśmy lewego brzegu naszej Wisły, most spaliny — a z konieczności pójdziemy na Wołyń, Podole, na Ukrainę, bo i to polskie ziemie!... Za Dniepr, do Turcyi nawet... tego odwiecznego wroga Moskwy... Już raz tam byłem po wojnie Kościuszki. Tu na naszej ziemi broń złożyć, to wieczna hańba!“

„Zamilkł generał — ktoś półgłosem szepnął: „stary zapaleńiec“. „Kto mnie tak nazywa! — gromko zawołał — nie ubliża mi, bo z zapalem kocham mą Ojczyznę!“

„Uwielbiałem w tej chwili twego ojca. — ciągnął dalej Bieliński — mówił stojąc, głową górował nad wszystkimi, mówił z przekonaniem i wiarą w siebie. Groźnie patrzył w oczy wodzowi, rzucając niekiedy wzrokiem po obecnych. Kiedy wspominał o boju na ulicach, a w końcu o złożeniu broni, silnie uderzył po gardzie

swej szabli, że ta aż jęknęła. Takim sobie wystawiałem niegdyś naszego sławnego Rejtana.

„Skrzynecki na twarzy zzieleniał. Cedząc przez zęby, mówił: „Generale! Dotknąłeś mnie wspomnieniem wyprawy na gwardye, bitwy Ostrołęckiej i porażki, jaką nam Rüdiger zadał. Jestem wodzem naczelnym — generał moim podkomendnym. Odbieram ci głos na dzisiejszej radzie...”

„Wstał Sierawski — łysnął siwemi swemi oczami, wolnym krokiem wychodził z sali, przed drzwiami głowę czapką nakrył.“

Wojska nasze z pod Pragi przeprowiły się przez Wisłę, przeszły Warszawę, postąpiliśmy pod Sochaczew nad rzekę Bzurę. „W tem — pisze Morawski — przybywają ważne listy od legacyi paryskiej. Belgijczykowie losem Polaków poruszeni, przyjęli warunki konferencyi londyńskiej. Hrabia Sebastiani (minister wojny w gabinecie francuskim) oznajnił pełnomocnikom polskim o zaproszeniu gabinetu angielskiego, do pośrednictwa między Polską a Rosyją, którego skutkiem byłoby odrodzenie narodowe i polityczne Polaków. Niech jeszcze dwa miesiące opierają się, dodał minister, a Polskę zajmie znowu miejsce w polityce europejskiej.

„Z tą wiadomością, aby orzeźwiła naród i ośmieliła go do oporu, któryby upewnił czas do negocyacyj, przybył goniec z Paryża, opatrzony — co się dotąd nie zdarzyło — paszportem ministra francuskiego, a nawet kosztami podróży.“

Czemż tak późno!...

Natychmiast generał Skrzynecki wstrzymuje swój wyjazd do obozu i zaprasza na nową radę wojenną komisarzy sejmowych do spraw dyplomatycznych.

„Ale nie znano wtedy dróg żelaznych ani telegrafów elektrycznych; wysłanie gońca uprzedziło przeprowę Rosyan przez Wisłę i upadek powstania litewskiego. A jeszcze listy legacyi paryskiej nie doszły do Warszawy, już król Ludwik Filip, otwierając Izby francuskie 23. lipca, mówił o negocyacyach, jako o wypadku, który już przeminął... Książę Talleyrand, ambasador francuski, nie przemógł gabinetu Wielkiej Brytanii, w którym większość głosowała przeciwko wdaniu się do sprawy polskiej; między głosującymi, co później gorzko żałował i sobie wyrzucał, był pierwszy minister lord Grey, ów niegdyś żarliwy Polski przyjaciel, co Kościuszcze w r. 1797 oddawał zaszczytną szpadę w imie-

niu narodu angielskiego. Lord Palmerston oświadczył posłowi francuskiemu (22. lipca), że pośrednictwa nie przyjmie Rosssya; że przeto wypadaloby takowe poprzeć siłą, Anglia zaś zostaje w tak przyjaznych stosunkach z Rosssyą, iż do podobnego kroku nie mogłaby przystąpić. A potem, mówił lord, nie przyszedł jeszcze czas, aby siły skutecznie użyć można przeciwko monarsze, którego prawa zresztą były niezaprzeczone. Anglii trzeba było: aby druga kampania rossyjska spelzła daremnie, jak pierwsza; aby okazało się, że car Polski pokonać nie może. Król więc francuski, opuszczony od Angli. w duchu może zadowolniony z tego, rzekł do Izb swoich: „Usiłowałem przyspieszyć koniec zaciętej i krwawej walki w Polsce, ofiarowawszy moje pośrednictwo; chciałem zapewnić Polsce, której męstwo obudziło dawną przychylność Francyi, tę narodowość, co się oparła czasowi i wszystkim jego odmianom.“ W rozmowach poufanych minister francuski uważać kazał pełnomocnikom polskim na co się zdobył, kładąc w usta królewskie wspomnienie o narodowości polskiej w ogólności, nie zaś o samem Królestwie. Lecz gdy dwa dni wpierv (21. lipca) tylko piętnastu dni było mu potrzeba do doprowadzenia rzeczy do szczęśliwego portu, teraz (24. lipca) zasadał wszystko na spodziewanej bitwie nad Bzurą, niemoc Francyi usprawiedliwiając oziębłością Wielkiej Brytanii, oraz upadkiem powstania litewskiego, wreszcie nieszczęsnem zajęciem lewego brzegu Wisły przez Rosssyan“ etc.

Pod Sochaczewem Skrzynecki zdołał jeszcze, prócz garnizonu Warszawy, zebrać około 50.000 żołnierza i 140 armat. Powołał do czynnej służby generałów Prądzyńskiego i Umińskiego. Praga za Wisłą zasłonięta była ziemnymi fortyfikacyami i palisadami, które nie pozwalały jej wziąć za pierwszym zamachem. W wiosennych i letnich miesiącach, począwszy od Wilanowa i Wierzbna, okrążając rogatki Mokotowskie, Jerozolimskie, Wolskie, Powązkowskie, aż za Marymont usypano szereg lunet, mających bronić stolicę od możebnego szturmu z tej strony. Środkowy punkt, kościółek Woli, najmocniej utwierdzono. Pomienione lunety ostrzeżliwały się wzajemnie; jedyną może ich było wadą, iż zanadto wysunięte po przed wały miasta, szerszej linii obrony i liczniej-szych wojsk wymagały.

Na wiadomość o przeprowadzeniu się Rossyan przez Wisłę pod Nieszawą, gdy już była pewność, że stolica będzie z tej strony atakowana, Rząd ustanowił komitet do czuwania nad jej obroną. Wszystkie ulice, od zewnętrznego promienia fortyfikacyj wewnątrz miasta prowadzące, w odstępach na strzał zabarykadowano. Barykady te, zostawując miejsce dla przejazdu powozów i przechodu pieszych, sięgające wzniesieniem pierwszego piętra kamienie, ułożone były z podwójnych przedpiersiemi, belkami związanych, w środku gruzami i kamieniami na 2½ łokci zasypanych; w każdej były dwie strzelnice na tyleż armat. Na przedmieściach, w budowliach i parkanach wyrąbano strzelnice dla piechoty. Gwardya narodowa była uzbrojona w karabiny, innej ludności chętniejszej, której było 5.000, rozdano piki. Krawiec Tomasz Murawski, stary artylerzysta, zebrał towarzyszów i ochotników, zorganizował korpus artylerji wałowej 300 ludzi wynoszący. Słowem, gotowano się do rozpaczliwej obrony.

Wśród tych niepokojów, jeden promyk przyjazny zaświtał: Dembiński, otaczany na Litwie przez Rossyan nieprzestannie, uszedł tej pogoni i przyprowadził swój oddział do Warszawy.

„Wyszedł on z Kurszan — jak pisze historya — w 3800 ludzi. Miał 6 dział, 450 ładunków i sto złotych gotowizny. W Mieszkuciu zdobył nieco broni i 450 dukatów. Niewiażę przebył w Poniwieżu, gdzie zabrał 70 huzarów i 150 piechoty. — Przez Świętą przepawił się pod Kowarskiem 15. lipca. W Podbrzeziu nad Wilią wpadło mu w ręce 30 ułanów, 150 piechoty, 50.000 złotych, a co mu było najpotrzebniejszem, zapasy saperskie do przeprawy na rzekach. Ale ścigany już zbliżka przez dywizyą generała Savoniego, zwrócić się musiał do Święcian. Wkrótce 19. lipca przeszedł Wilią pod Daniszkowem, Niemen na zbudowanym przez się moście pod Zboiskami. Tu połączyło się z nim powstanie nowogrodzkie Kaszyca, Mierzejewskiego i innych. W Dereczynie już za Szczerą spotkał i przyłączył do siebie 250 strzelców Brońskiego i Szrettera; a około Narewki, pod puszczą Białowiejską, zszedł się z Samuelem Różyckim 28. lipca. Przepawił się pod Drohiczynem przez Bug, gdzie zabrał dwa czworoboki rossyjskie i po kilku szczęśliwych utarczcech, pojmwawszy generała Paniutyna, domierzał na miejsce swego przeznaczenia. Ale gdy już był bez otuchy żołnierz Dembińskiego, zetknięty z nim Różycki ule-

musiał powszechnej chęci nierozłączenia się z braćmi. Dembiński wziął więc dowództwo wszystkich oddziałów i przez Ciechanowice i Nur przywiódł do Warszawy 5.000 żołnierza.

„Sejm obrażony wstrętem Skrzyneckiego do walki, podnosząc wytrwałość Dembińskiego, a na potępienie tych, co w Prusach broń złożyli, wydać rozkazał każdemu z towarzyszków Dembińskiego świadectwo: „Że dobrze się zasłużył Ojczyźnie“.

Mimo danych zaręczeń Rządowi narodowemu i Sejmowi, Skrzynecki nie próbował zająć drogi następującym Rossyanom i stoczyć z nimi bitwy. Opuścił znów jedną z tych szczęśliwych sposobności, które czasem los przyjazny nastęrcza a zdolny wódz korzystać z niej umie. Feldmarszałek Paskiewicz minawszy Łowicz, najnierozsądniej naprzód się posunął; przeszedł rzekę Bzurę i wszedł w klin, zamknięty z drugiej strony rzeczką Rawką. Krytyka wojenna poświadcza, że tu mógł być na głowę pobity. W naszym głównym sztabie zapóźno tę myśl pochwycono; skierowane wojsko na pozycję pod wsią Kaskami, dosięgło już tylko tylnej straży rosyjskiej i takową zgromiło. Paskiewicz błąd swój spozstrzegłszy, spiesznie cofnął się do Łowicza i tam go dochodziły resztki wojsk jego przez Wisłę przeprawione. Byłem w bitwie pod Kaskami, trwała krótko, bo nieprzyjaciel uciekał; w niej Wielki Książę Michał o mało co schwytny nie został.

Równocześnie generał Rüdiger 7. sierpnia przeprawił się przez Wisłę pod Józefowem bez żadnej przeszkody i wszedł do Radomia. Nasze obozy rozłożyły się pod wsią Bolimowem o milę od Warszawy.

Ze zgrozą muszę tu zapisać co następuje:

Po nad lewym brzegiem Wisły, w województwie sandomierskiem kręcił się nasz sławny partyzant, Gedroić z trzystu przeszło celnymi strzelcami: z tym małym oddziałem, łatwo mu było przeprawiać się przez Wisłę, rzucać się furmankami w Lubelskie, chwycać kuryerów, niszczyć transporta nieprzyjacielskie, a potem naciśniętemu cofać się za osłaniającą go rzekę. Gdy generał Rüdiger przeprawił się na lewy brzeg jej biegu, schował się gdzieś umiejętnie, a skoro generał doszedł do Radomia, a za nim szły długim sznurem transporta i furgony, wypadł nagle z lasu, konwój wystrzelał, powózki zabrał. Należało mu to wszystko co prędzej zniszczyć; posłał więc oddział swoich do sąsiedniej wsi, by spro-

wadzić wielką ilość słomy. Właściciel jej opierał się z jej wydaniem; wzięto mu ją gwałtem, zwieziono, furgony i powózki szczelnie zbliżono do siebie, słomą obłożono i podpalono; konie wymordować kazał.

Ów obywatel S., bo nazwiska dla hańby rodziny nie wymieniam, popędził do Radomia, zawiadomił Rüdigerę o bytności Gedroica w lesie pod Skaryszewem; ten wysłał natychmiast dzielnicę szwadronów jazdy i batalion piechoty; las otoczono, Gedroica wzięto. Kiedym zamieszkiwał w Radomiu i jego okolicach od r. 1834 do 1836, dobrze myślący obywatele opowiadali mi ową niecną zdradę właściciela wsi... pokazywano mi go nawet. Poświadczam, że wszyscy się od niego odwracali.

Gedroic był wysłużonym kapitanem z wojen Napoleońskich; w r. 1812 i w nadzwyczajnych mrozach, jakie cofających się Francuzów z Moskwy schwytały, odmroził nos tak mocno, że mu odpadł zupełnie, nosił więc jakiś sztuczny, lakierowany, co go mocno szpeciło. W *Roczniku wojskowym* z r. 1820 zapisany jest: Gedroic Wincenty Jurewicz, a zaliczony do 2-giej kompanii inwalidów, stojącej w Warszawie; widywałem go często. Był bardzo dokuczliwym partyzantem dla Rossyan. Cesarz Mikołaj na wiadomość, że go nakoniec wzięto, kazał go sobie przywieść do Petersburga, a widząc tak podeszłego wiekiem starca, unióśł się szlachetnością i wolnością po wzięciu Warszawy go obdarował, z funduszem na powrót do kraju, żądając słowa honoru, że już przeciw Rossyi służyć nie będzie.

Niepodobna naczelnemu wodzowi i niektórym wyższym naszym dowódcom w tych postępowaniach i ostatecznych manewrach wojsk, nic innego zarzucić, prócz jakiegoś rozpaczliwego poddania się wypadkom i przeciwnościom, które nas zewsząd ścięgały. Nie zastanawiali się, że źródło ich leżało w ciągłych błędach, jakich się dopuszczali. Brak wytrwałości, ta główna wada narodowa, przeważnie tu ciężyła. Jeżeli wśród najświetniejszych powodzeń nie tylko oglądano się na obcą pomoc, ale i na możliwość układania się z obrażonym cesarzem, to w chwilach konania powstania, Skrzynecki i niektórzy generałowie tem silniej przemawiali za układami. Zastanowienie doprowadzało do pewności, że nie po nich spodziewać się nie należało. Zagrożona Warszawa

z oburzeniem opinie te przyjęła; wojsko, niższych stopni oficerowie podzielali to zdanie. Mimo tego generał Chrzanowski, z upoważnienia naczelnego wodza, porozumiewał się z nieprzyjacielem, a z tych rozmów Skrzynecki żadnej Rządowi nie złożył relacji — podejrzenia wzrastały. Rząd i Sejm nie mógł wierzyć w układy, zawsze później łamane! Przewidywać należało, że nawet stan kraju, konstytucya przed rewolucyą używana, powróconą nie będzie. Zatrwożony ich rokowaniem, wysłał deputacyę do obozu. Udzielając jej nieograniczone pełnomocnictwo, Rząd zalecił głównie ściśle rozpoznać stan rzeczy, a gdyby potrzeba wymagała, usunąć nawet z dowództwa Skrzyneckiego.

Jeszcze raz powtarzam: Czemu tak późno!... Czemu nie wcześniej...

Przybywszy na miejsce, delegacya zadała wodzowi zapytania: dla czego nie bronił Paskiewiczowi przeprawy przez Wisłę? Dla czego bez boju pozwolił zebrać się wojskom rossyjskim pod Warszawą? Co czynić zamierza? Czy ufa sobie i wojsku? a w razie przeciwnym, kto go może zastąpić?!...

W odpowiedzi swej Skrzynecki wzmiankując, że magazyny żywności są prawie wyczerpane, dawał do zrozumienia, że walka jest na ukończeniu; na resztę zapytań nie odpowiedział stanowczo. Pojedynczo zapytywani generałowie, różne objawiali zdania. Chrzanowski cierpko się odezwał: „dajcie mi tylu Moskali, ile jest wojsk naszych, to zwyciężę“. Konkludował, że tylko w układach jest zbawienie.

Skrzynecki nie odmawiał złożenia dowództwa, jakoż oddano takowe Dembińskiemu. Szefostwo głównego sztabu objął generał Łubieński; Prądyński wrócił do obowiązków kwatermistrza generalnego. Zmiany te, na które najwyższe względy wpływały, spełniły się w 24 godzin. Głównie usuwano w ten sposób układy, którym dać wiary w ich dotrzymanie było niepodobna. Rossyianie chcieli co prędzej wziąć Warszawę, obiecywali wiele, ale słowami tylko, żadnej rękojmi nie dając.

Jednocześnie — mówi nasz historyk — opuszczały sprawę polską jedne po drugich zagraniczne potencye, które i tak dotąd wysokiego zajęcia się nią nie okazywały. Starania ich, mniej stanowcze w Petersburgu, nie odnosiły żadnego skutku, cesarz Mikołaj odpowiadał: „że wojska jego stoją o dwa dni marszu od

Warszawy, że sam się z buntownikami rozprawi...“ Austria i Prusy przekonane, że Polacy na samej narodowości i odbiciu rossyjskich zaborów nie poprzestaną, odmówiły wszelkiego pośrednictwa. Żył jeszcze i rządził Metternich, który nas nienawdził. W Izbach francuskich pierwszy minister, Kazimierz Perier zapowiedział ostatecznie, że Polska żadnej już pomocy od Francji spodziewać się nie może. Anglia także się odsunęła. Z Wiednia agent nasz donosił, że w układach jedynie leży ocalenie. Chcąc do nich przystąpić, należało na tę chwilę jeśli nie zwycięzko, to przynajmniej bardzo groźnie się postawić. Tak, jak wówczas stała sprawa, spodziewać się należało od Rossyan warunków niepodobnych do przyjęcia i chyba z wieczną hańbą rzucić im broń pod nogi.

Wojsko nasze pod Bolimowem, nie rozwiązując zwykłej karności i posłuszeństwa wyższym rozkazom, wrzało nieopisanym niepokojem. Przyparci pod Warszawą, przeczuwaliśmy, iż zasłaniając ją własnymi pierściami, kosztem nawet życia naszego, obronić jej nie możemy. Bieg też wojny ciągle myślą rozważaliśmy, a jako czynni jej świadkowie, mogliśmy oceniać skutki dopuszczonych błędów. Byliśmy ludźmi i żołnierzami; myśli, mowy, zdania nikt nam wzbronić nie mógł. Silne więc tylko rozbudzało się postanowienie, skończyć tę walkę z honorem, rozlać jeszcze do syta krew nieprzyjacielowi, aby popamiętał, że się bił z Polakami. Gotowaliśmy się do rozpaczliwego oporu.

„A nuż, — mówili niejedni — podolamy im jeszcze?!“

Domniemywaliśmy, że coś się dzieje w sztabie głównym. Przyjazd delegacyi do obozu utajonym być nie mógł, służbowe oddziały ją widziały... Pojechałem do ojca po wiadomości: stał w mizernej stodółce; właśnie po powrocie z rady wojennej siadał na koń, by objechać pułki swej dywizyi — udałem się z nim. Ojciec był bardzo popularnym w wojsku naszym; prześladowania niezasłużone, jakich doznawał lat tyle od Wielkiego Księcia Konstantego, silna opozycya, okazywana przez tak długie lata tyle wysokiej woli, reputacya z dawnych wojen, odsuwanie go przez Skrzyneckiego, który niegdyś był jego podkomendnym, od głównej linii bojowej, energiczna wreszcie jego działalność w pierwszych dniach rewolucyi, wszystko to dawało mu dobre imię

i wspomnienie w wojsku. Zatrzymał się przed jednym z pułków, wnet zgromadzili się oficerowie, z innych też nadbiegli.

„Wodza!... Wodza!... nam potrzeba — jednozgodnie wołali. — Wodza, któryby się nie układał z Rossyanami, ale ich bił... Generale!... przyjm główne dowództwo... okrzyknijemy cię naczelnym wodzem!...“

„Panowie! — przerwał silnym głosem ojciec. — W wojsku, pod bronią sejmikować nie wolno. Mamy rząd i wodza, ten tylko rozkazuje. Na miejsca swe, panowie!...“ Dał ostrogi koniowi, wróciłszy nazad z powrotem.

Jeżeli smutnym ojca znalazł za mojem przybyciem, istotnie był zmartwiony i wzruszony, gdy wrócił; żadnego mi zwierzania nie udzielił.

Dziś, po pięćdziesięciu latach ubiegłych, sięgając myślą do wspomnień owego dnia i godziny, mówię sobie w duchu: Czemu nie przyjął dowództwa?!... Czy w owej rozpacznej dla sprawy chwili, nie wolno było wojsku, jedynej jej obronie, wybierać wodza, złożyć w jego ręce jej kierunek?...

Tak, jak z gruntu ojca znałem, ja pierworodny jego, ponieważ wyrzucam mu obecnie to postąpienie, najszczytniejszą legalnością odznaczające się. W jego miejscu, przy jego wojennem doświadczeniu i wypróbowanem mężwie, przyjąłbym dowództwo... rozpedził zwolenników układów, nawet tych, którzy się jedynie dla honoru wojskowego bili, bez wiary w powodzenie wojny. Przyjąłbym szturm do zewnętrznych szanieców Warszawy, odparty z nich, puściłbym Rossyan w ulice stolicy, tuby grób swój znaleźli...

Padłaby część miasta w gruzach; czas odbudował by ją... ale Polska by istniała!...

Skrzynecki osobiście przedstawiał wojsku Dembińskiego, jako naczelnego wodza: jeździł z nim przed pułki i przemawiał, z kolei przybył do naszego.

Słyszałem, co mówił, ani jednego wyrazu, ani jednej energicznej nie wypowiedział myśli... Ile pamiętam, odgrywał rolę poświęcającej się ofiary. Nie miał odwagi wspomnieć na pierwsze miesiące swego chwalebego dowództwa, bo mógł domniemywać,

że wojsko — co było prawdą — poczytywało odniesione zwycięztwa swej waleczności i planom Prądzyńskiego. Dembiński też z słowami zachęty się nie odezwał; przyjmowały ich obydwóch pułki zimno i bez żadnego okrzyku.

Znaliśmy Dembińskiego jedynie z szczęśliwego odwrotu z Litwy; przed rokiem 1831 nie służył z nami. W takich warunkach nie mógł on wzbudzać zaufania. Wojsko nasze, pełne szczytnego poświęcenia, przyjęło powołanie Dembińskiego, jak powiedziałem, zimno, ale z godną uwielbienia karnością. Skrzynecki nie oddalał się z obozu. Mieliśmy nadzieję, iż jakim świetnym czynem podniesie gasnącą gwiazdę swego nazwiska. Dziś wolno mi się dorozumiewać, iż nie chciał się narażać na ubliżenia, w Warszawie spotkać go mogące.

Lecz nowe trudności wnet nastąpiły. Popędliwy charakter Dembińskiego; dawne jego szemrania przeciwko działalności Sejmu, zamienione w wyraźne niesnaski; nieukontentowanie, jakie okazał z nominacji generałów Łubieńskiego i Prądzyńskiego przy jego boku, wkrótce dały go bliżej poznać, zaczem poszło, że mimo swojej prawości, energii i niejakich zdolności wojskowych, wnet postawił się w „najniekorzystniejszym do Rządu, Sejmu i opinii publicznej stosunku“ (historya). Obrzydłe też wieści rozchodziły się, a pod ich wrażeniem, jakieś rozpaczliwe naprężenie umysłów Warszawą ogarnęło. Zaliwski, jeden z przywódców w nocy 29. listopada, ciągly i namiętny członek Klubu patriotycznego, partyzant na Litwie, niezem w działaniach swoich się nie odznaczający, wypychany ciągle naprzód przez Klub, intrygant, wyniesienie się swoje jedynie na celu mający, puścił zręcznie wieść, iż ma dowody „zdrady i zaprzędania się Rossyanom Skrzyneckiego“.

Przesłuchany przez delegacyę bolimowską, częścią zaparł się wszystkiego, częścią nie udowodnił. Burzliwy Klub zarzucił stronnosc raportowi delegacyi, rozpalał umysły, a gdy mimo oskarżenia, Rząd utrzymał Skrzyneckiego w czynnej służbie, gdy dowiedziano się, jakoby istotnie lub mylnie Dembiński postanowił iść w ślady postępowania oddalonego wodza, wnet mu zarzucono, iż należy do tego samego stronnictwa. — Zdrada!... Zdrada!... wszędzie wołano — podniósł silnie głowę Klub patriotyczny, a Lelewel na nowo mu przewodnicząc, rozpoczął znowu swe matactwa.

Nieudolny do opisania poniższych wypadków, ani też świadek ich naoczny, nie czuję się być w sile właściwie je tu przedstawić. Wypadki te były aż nadto ważne, by je tu pominąć — wywołały one na nieszczęście następstwa, zwykle prawie we wszystkich rewolucjach, mianowicie, gdy rozpalona namiętność ludzi zagorzałych, walczyć się odważy z ostatnim odcieniem rozsądnego umiarkowania.

W tych smutnych dniach rozkładu różnych opinij, zawiści osobistych, niezaspokojonych ambicij, niezgody wreszeie między przewodnikami narodu, a nawet między wyższymi wojska dowódcami, musiała lecieć szybkim pędem do swej zaguby sprawa powstania. Katastrofa zbliżała się tem szybciej, gdy zamiast gromadzenia wszystkich sił do rozprawy z naciskającym nieprzyjacielem i jednością takowe spotęgować, w głównem ognisku działań ducha i czynu, czem była wówczas Warszawa, zapanowała zawiść, niezauwanie i niezgoda. Przepisuję więc tu z historyi Teodora Morawskiego, członka Rządu narodowego, a naocznego świadka wypadków i ich porządku, co następuje:

„Udało się Klubowi patriotycznemu zwerbować zgromadzenie, ile w dniu świątecznym 15. sierpnia bardzo liczne. Na głos swoich vice-prezesów, księdza Puławskiego i Czyńskiego Jana, wyszło całe upomnieć się u Rządu w imieniu ludu o innego wodza, a o zupełne oddalenie ze służby generała Skrzyneckiego. Święto i pogoda, wywołały ludność warszawską na ulice. Tłumy ciekawych pomnożyły tym sposobem grono klubowe — zapełniły się ludem dziedziniec i ulice przed pałacem posiedzeń Rządu na Krakowskim Przedmieściu. Rząd nie otaczał się strażą, deputacya ludu bez trudności przeto weisnęła się do pałacu; dopiero w progach Izby posiedzeń swoich, zatrzymali ją członkowie Rządu. Leleweł schronił się pod okno. Już naznaczonym był wódz naczelny; wiadomo, że Dembiński był tylko zastępcą. Dwa głosy, Czartoryskiego i Barzykowskiego, miał za sobą Dembiński — dwa, Niemojowskiego i Morawskiego, Prądzyński — Leleweł obyczajem swoim ukreślił dwie galki z papieru, popchnął je po stole i wymienił ostatniego. Utrzymał się więc Prądzyński, lecz gdy pomimo najusilniejszych nalegań delegowanego członka Rządu, Barzykowskiego i ministra wojny, którzy się osobiście do obozu udali, dowództwa przyjąć nie chciał, wysłał Rząd przed kilku godzinami

deputowanego Zwierkowskiego z nominacją dla najstarszego z generałów, Kazimierza Małachowskiego. Zasłużona jego popularność, co po upadku Napoleona i Księstwa Warszawskiego, przeniósł domową mierność nad zaszczyty generalskie, zamykała usta najzagorzalszym i ci poprzestać musieli na danej im odpowiedzi. Bez dopuszczenia się większych nieprzyzwoitości, cofnęła się ludowa deputacya — rozeszli się członkowie Rządu. Za deputacyą usunęły się tłumy ku Zamkowi, gdzie strzeżeni byli „owi zdrajcy“, uwięzieni 29. czerwca. Nie chcemy przypuszczać, aby rozbój, który opowiedzieć mamy, wcześniej był ułożonym i umówionym. Ale rozprawy Klubu i jego dzienników, przyspasabiały od dawna siepaczy do naśladowania najgorszych spraw Rewolucyi francuskiej. Uczyły te dzienniki, co mogli we Francyi nieubłagani sędziowie, nie przebacząc ani błędom, ani obojętnej woli. Błędy — mówiły — są rewolucyi zbrodniami. Najgorsi, jakich świat wydał, byli dla nich bohaterami!... Więc też tak zwanych zdrajców, ogłosiły skazanymi, potępionymi przez naród. Wystarczało zatem, że korzystając z zmierzchu, krzyknął ktoś snadź z tych, którzy sądzili, że jątrzyć umysły należało: — Śmierć zdrajcom i szpiegom!... Na to hasło rzuca się do Zamku zgraja oficerów brukowych i klubowych patryotów. Gwardya narodowa dała w powietrze ognia od bramy — jeden z członków krzyknął: Zabijają naszych!... Powiększyła się wrzawa. Zastępca gubernatora Warszawy, Węgierski przywiódł na pomoc gwardyi narodowej dwie kompanie piechoty liniowej; przez otworzone dla nich wrota, weiska się motłoch w dziedziniec zamkowy. Niedawno, parę miesięcy temu, wlekła się sprawa Rafała Cichockiego, dziedzica Czarnej wsi w Mazowieckiem, przekonanego o dostarczanie żywności nieprzyjacielowi; dwie najwyższe władze, Rząd i Sejm, odsyłały sobie nawzajem potwierdzenie wyroku sądu wojennego, nim spadła jego głowa.¹⁾ Tej chwili stać się miało inaczej, nie oparli się należy-

¹⁾ Objazdowy urzędnik, jakim byłem od r. 1839, liczne z obywatelami Mazowsza z obowiązków mej służby posiadając stosunki, badałem w okolicy Czarnej wsi sprawę Cichockiego. To, co mi opowiadano, tu zapisuję:

Wszystkie nasze władze, z rozkazu Rządu narodowego, po wkroczeniu Rossyan w województwa lubelskie i podlaskie, cofnęły się z miejsce

cie dowódcy gwardyi narodowej i wojska, również prezydent municypalności i prezydent policji nie znaleźli się w swoim miejscu. Żadnego nie natchnął przykład Majewskiego, Zakrzewskiego, Wulwersa, Wybickiego z powstania 1794 r. Rozbójnicy więc wyprowadzali nieosądzonych więźniów z komnat zamkowych i jednego po drugim nielitościwie siekali, a porąbanych wiązali na latarnie, snadź przez uszanowanie dla tradycyi!... Najpierwsi legli Jankowski z Bukowskim za wypuszczenie Rüdigerera. Jankowski nie wątpił, że się obroni rozkazami naczelnego wodza. Sąd z wyższego rozkazu czekał z tą sprawą, aż osądzoną będzie ważniejsza o „zdradę“, w którą nikt nie wierzył, do której nie było najmniejszego dowodu; tymczasowo jako zostającego pod zarzutem „zbrodni stanu“, skazywał na destytucyą i poddawał pod dozór policyjny (8. sierpnia).

„Po wyprzątnieniu Zamku, krzyknęła zgraja: do rogatek Wolskich, na szpiegów! — Oszczędzani łagodnością Rządu narodowego, jego uszanowaniem dla prawa, padli przy rogatkach Wolskich pod sprawiedliwością ludu, Makrot, Szlej, Szymanowski i inni. Podobnież nawiedzone były: Prochownia, więzienia franciszkańskie i dominikańskie. Tu na powrozie skończyli życie Birnbaum, Hankiewicz, agent Szleja major Petrykowski. Przerażającym,

swego urzędowania, a okolica tameczna pozostała bez żadnej administracji. Wojska rossyjskie potrzebowały różnego rodzaju dostaw, zabierały więc wszystko w swych pochodach lub w czasowych swych obozowiskach. Był to prawdziwy rabunek zboża, siana, bydła itd. niszczący naraz całe mienie właścicieli. Ów Cichocki miał być niegdyś urzędnikiem; na zażalenia obywateli, dowódcy rossyjscy nakazali mu niejakie prawidłowe paletowanie wymaganych dostaw skutecznie, czem się też zatrudnił i wykonywał. Po odpędzeniu Rossyan z tamtej okolicy, aresztowano go we własnym jego domu na wsi, przywieziono do Warszawy i oddano pod sąd wojenny; ten zawyrokował karę śmierci. Rząd i Sejm ociągały się z zatwierdzeniem wyroku, lecz zagnione opinią publiczną, dopuściły jego wykonania. Cichockiego powieszono publicznie na placu Muranowskim w Warszawie. Już na rusztowaniu miał wykrzyknąć: „powiesicie mnie, ale się nie wybijecie“.

Nie mam zamiaru rehabilitować pamięci Cichockiego, zapisuję tylko, co mi opowiadano. Czy tak jest lub przeciwnie, to pozostało niezbadaną tajemnicą. Motywów sądu wojennego nie pamiętam, by ogłoszono.

lecz nauczającym blaskiem — mówiło jedno z pism demokratycznych — zajaśniało demokratyczne, więc katolickie posłannictwo Polski!... Przeciągała się krwawa przechadzka tłumów. Rząd zebrał się czem prędyj u Niemojowskiego, który mieszkał w pałacu rządowym. Zawiedzionemu od tych, którzy na straży porządku stali, dano znać o zjawieniu się w pośród rozruchów generała Krukowieckiego. Nie byli mu nieprzyjaźni przewodnicy Klubu, znając jego niechęć do Skrzyneckiego za obrazę, której od niego doznał. Sprzyjał mu szczególnie Mochnacki — ten więziony przed powstaniem, biorąc udział we wszystkich owoczesnych spiskach a czując wysokość zdolności swoich, bolał nad oddaleniem swoim od spraw wszelkich! Usunęła go od nich właściwa mu lekkomyślność, jaką w pierwszych dniach powstania objawił oraz chroma sława, właściwie skaza na charakterze, którą odkryły znalezione u W. Księcia papiery, wreszcie wycieczka po bitwie Grochowskiej, pokryta przez rodzinę, ale której zataić zupełnie było niepodobnem. W nadziei własnego wyniesienia, Mochnacki utworzył na wyniesienie generała Krukowieckiego spisek, do którego weszli klubowi: Puławski, Szynclarski, Murawski kapitan artylerji wałowej, a którego przewodnictwo przyjął poseł Zwierkowski. Rozległo się po mieście, że Krukowiecki, napotkawszy w domu swego przyjaciela Lesła między rabusiami czterech żołnierzy, zawiązał pęczek u chustki i podał im do wyciągnięcia; ten, którego los tak oznaczył, natychmiast na rozkaz generała rozstrzelany został.¹⁾ Rząd przypomniał sobie o energii i czujności, jakiej dał dowody generał na gubernatorstwie miasta i upoważnił go o godz. 2 po północy do zajęcia tegoż miejsca! — Krukowiecki powitany został od ludu okrzykiem radości. Uradzono odezwać się do ludu. Zaproszony do napisania odezwy deputowany Morawski, mniemał, że przemówić należało, jak w podobnejże okoliczności przemówił Kościuszko, potępiając surowo wobec świata i narodu tak zwaną „sprawiedli-

1) Różnie opowiadano powody tej egzekucji: twierdzono, że Krukowiecki w żołnierskim płaszczu, miał udział w tym nocnym ulicznym ruchu, a rozstrzelać kazał owego żołnierza za to, że go poznał... Aby owej nocy lud lub żołnierze dopuszczali się rabunku, nie nie wiem. Nadto dumny był generał, by się przyjaźnił z cukiernikiem Saskiego ogrodu, Leslem, przed którego domem ta egzekucya się miała odbyć.

wość ludu". Lelewel przygotował odezwę „na uśmierzenie rozdrażnionych uczuć i rozjątrzonych umysłów". Przyjęta ostatnia wszakże, umiarkowana, przez Wincentego Niemojowskiego zredagowana. Ale wystarczało dnia, aby przy znanem usposobieniu moralnem narodu, krwawa rozpusta większych rozmiarów nie wzięła. Przybliżyło się też do stolicy wojsko, wykonywujące właśnie pod rozkazami Dembińskiego, odwrót swój od Bzury. Wiadomość o tem, co się działo na ulicach Warszawy, nie pozwoliła mu się zatrzymać pod Utratą, jak zamierzało. Przed wieczorem, przybyli dla przywrócenia porządku karabinierowie. Patryoci wykryli właśnie jeszcze jednego szpiega, przebranego w niewieścią odzież. Dowiedziawszy się o tem, generał Sznajde, kazał zsiąść z koni karabinierom i otrzepać się z kurzu. „aż sprawiedliwość ludu dokonaną została". Inne były usposobienia generała Chrzanowskiego, który za Sznajdem pospieszył nazajutrz zrana. Zdepopularyzowany, rozjątrzony odrzuceniem rad, które podawał, gotowy do użycia dział swoich, zatoczył takowe na Krakowskiem Przedmieściu: sam wszelako przeświadczył się zaraz, że nie było tego potrzeby. Przestał więc na uwięzieniu księdza Puławskiego i kilku więcej znanych patryotów.“

W tej ulicznej rzezi, widzieliśmy gwardyę narodową a nawet wojsko liniowe prawie nie broniące Zamku od nawały tłumów. Czyż należało im strzelać ostrymi ładunkami do ludu i swoich, dla ocalenia dwóch podejrzanych generałów?... Widzieliśmy jednego dowódcę, przybyłego z silnym oddziałem jazdy do pilnowania zachwianego porządku i niedopuszczania dalszych gwałtów, nieprzeszkadzającego wieszaniu w jego obecności jeszcze jednego szpiega; drugi znów zatoczył działa, aby kartaczować wzdłuż ulic rozwsieieczonych klubistów. Bierzmy ztąd miarę, jak rozdwojone były umysły i zdania. Umiarkowani boleli nad splamieniem stolicy tak krwawymi czynami.

Toż samo działo się u nas w obozie, ale wyznam, iż przeważna większość przypisywała słusność, nie pobechtywaniom Klubu patryotycznego, ale objawowi tego strasznego gniewu ludu na tych, co dawniej trudniąc się obrzydłem szpiegowstwa rzemiosłem, powodowali tyle nieszczęść i niepokojów rodzinnych, oraz i na tych, co sparaliżowali wyprawę nad Wieprz. zapewnić mogącą zupełnie inny obrót naszej wojny i powstania narodowego.

Dziś, trzeba być współczesnym, jak ja, tych odległych już czasów, aby przypomnieć sobie, co to za zbrodniarze byli ów Makrot, Szlej, Szymanowski, a szczególnie Birnbaum, kat nad katy więzionych — a nawet wyższego stanowiska Rossyanka, Bażanowa, również w nocy 15. sierpnia zamordowana i wielu innych.

Jeżeli wspomniany wyżej Cichocki poszedł za wyrokiem na szubienicę, za dostarczanie żywności nieprzyjacielowi, czyż powinni byli być oszczędzani donosiciele, sprzedający za rządów W. Księcia Konstantego za pieniądze tych i w tej sprawie, którą naród od 29. listopada przyjął za własną? Legalne i publiczne skazanie tej obrzydłej szajki, rzuciłoby konieczny postrach na jeszcze ukryte a podobne żywioły. Wszakże w naszych obozach, wieszano za summarycznymi wojennymi wyrokami schwytyanych szpiegów, przez Rossyan nam nadsyłanych. Sam podpisałem, jako delegowany sędzia, jeden taki wyrok i nie mam dziś nic sobie do wyrzucenia. Żydzi, żyjący między nami, z nas czerpiący swe utrzymanie i dorobek swych bogactw, na naszej ziemi z pradziadów urodzeni, wiernymi byli w r. 1831 Rossyan sprzemierzeńcami: wielu też z nich na postronku żywot podły zakończyło a rodziny ich, po uśmierzeniu powstania, sowite otrzymały wynagrodzenie. Toż samo i koloniści Niemcy, osadzeni na gruntach prawie im darowanych, których nawet zapomogą opatrzone. Wszakże w okolicach miasta Łodzi porwali się do broni na słaby oddział wojsk naszych. Nie było jawnej kary, musiały nastąpić zbrodnie wyżej opisane. Obmierzły jest terroryzm, ale w wojnie, w rewolucyach obojętnych zaledwie tolerować można, winnym zdrady kraju przebaczać nie należy. A wreszcie: w wyrokach przeznaczenia zapisane było, że samorząd stolicy naszej, swoboda kraju, już tylko do dni dwudziestu trzech egzystencyę swoją liczyć miała. Wzięta Warszawa, pozostawieni przy życiu donosiciele, podwójnie by się mścili za dziewięćmiesięczne swe więzienie i obawy. Tak — Rząd powinien był surową karę wymierzyć; nie był w prawie lud warszawski sam kłaść swych dłoni, pastwiąc się nad winnymi, ale jeśli się zastanowimy, że cierpliwość w długim oczekiwaniu wyczerpać się może, a mściwości ludowej pozwolimy się podnieść, dziwić się temu, co się stało 15. sierpnia, niepodobna.

Pułk nasz stał obozem pod Wawrzyszewem, tuż obok tak zwanego psiego pola, na które wywożono padłe bydłota. Widzia-

łem wózek ciągniony przez chudą szkapę w deskach, prowadzony przez oprawcę psów, w nim leżały dwa ciała literalnie porąbane; były to resztki Jankowskiego i Bukowskiego — i przypominałem sobie mą rozmowę z ostatnim, kiedy go wzywał, by spieszył pod Budziska, gdzie się toczył bój z Rüdigerem.

Ginie wszystko i zaciera się w czasie pomroce. W kilka lat po roku 1831, jeszcze przy fortepianie dziewice nasze, acz cicho, zanucić nam umiały pieśni w owej wojnie i w obozach wytworzone, pełne głębokich nezuć i rzewności, bo w obozach mieliśmy poetów natchnionych ówczasową walką. W tych pieśniach odbijały się wszystkie doznawane dawniej cierpienia i dolegliwości... była i wzmianka o donosicielach w tej strofie:

Kryliśmy się z myślą naszą,
Bo wszędy się zdrajca snuł.
Dziś, gdy nas więzy nie straszą,
Mówmy — co z nas każdy czuł!...

Któżby wahał się w tej chwili
Już czas! już czas!

.....
Uderzmy wraz!.....

Cześć i zwycięztwo oczekuje nas!...

Nuta tej pieśni wzięta była z chóru rybaków opery „Nieszpory Sycylijskie“.

Dziewice te, co nam śpiewały te pieśni, albo już nie żyją, albo są babkami — wnuczki ich nie przekażą tych słów swym pokoleniom. Zagasło wszystko, nawet tradycya owych czasów... ja starzec zapisuję ją tutaj... Czy mnie kto w przyszłości czytać będzie?...



ROZDZIAŁ XII.

Wojska rossyjskie ze wszech stron otaczają Warszawę. — Wojsko polskie bez wodza. — Zatargi w łonie Rządu narodowego. — Wichrzenia Klubu patriotycznego. — Lista proskrypcyjna. — Generał Krukowiecki prezesem Rządu. — Rekonesans pułkownika Le Gallois i jego wzięcie przez Rossyan. — Liczebna ilość wojska polskiego. — Rada wojenna 19. sierpnia i jej postanowienie. — Korpus generała Ramorino wychodzi w Podlaskie. — Jazda Łubieńskiego za Modlin. — Nieposłuszeństwo moje życzeniom ojca, odmienia zupełnie przyszły kierunek mego życia. — Zwycięzkie działania Ramoriny. — Jak zakreślono obronę Warszawy? — Parlamentarz rossyjski generał Dannenberg i jego rozmowa z Prądyńskim. — Obietnice jego i groźby. — Rząd narodowy pierwszym nie wierzy, drugich się nie obawia. — Zlecenie posłane Ramorinie, by wracał pod stolicę. — Szturm Warszawy. — Uchybienie generała Bema. — Szturm szanica Woli i jego wzięcie, oraz bohater-ska śmierć generała Sowińskiego. — Krukowiecki jest za układami. — Prądyński jako parlamentarz. — Widzenie się Krukowieckiego z Paskiewiczem. — Zdanie sprawy przed Sejmem Prądyńskiego. — Sejm się chwycie w swych postanowieniach. — Drugi szturm na Warszawę. — Prądyński znów jedzie do obozu Rossyan. — Ich wybiegi przy układach. — Generał Berg w Warszawie. — Krukowiecki swym listem bez upoważnienia Sejmu, zdaje się na łaskę cesarza. — Sejm odbiera mu prezydenturę Rządu. — Wojsko cofa się na Pragę. — Warszawa oddana warunkowo Rossyanom. — Pochód wojska polskiego na Modlin, a za nim tłumy ludzi różnego stanu. — Uwagi, zdania i opisy.

Zwykle ostatnie ciosy każdej zadawane sprawie, są szybkie i najsilniejsze. Za Pragę generał Gołowin pokazywał swe podjazdy — feldmarszałek podstąpił pod samą Warszawę — Rüdiger zajął Radom — żywność i furazę z magazynów naszych usuwały się codziennie — byliśmy ze wszech stron otoczeni, władaliśmy już zaledwie kilku milami kwadratowemi kraju — a wojsko, ta jedyna nadzieja i obrona, było bez wodza!... Nikt z generałów nie chciał przyjąć jego dowództwa, a tem samym związać swe imię i nazwisko z historią konania tej walki. Generał Małachowski wymówił się wiekiem. Prądzyński odpowiedział, że Skrzynecki pod nim służyć nie zechce, a przeto wojsko postrada znakomitego dywizyi dowódcę. Łubieński składał się nieudolnością i słabością zdrowia. Bem również naczelnictwo odsuwał. Skłonił się nareszcie Prądzyński przyjąć ten ciężar pod warunkiem, aby Krukowiecki wziął obowiązek strzeżenia porządku w stolicy. Lecz znów po 24 godzinach złożył dowództwo. W tej ostateczności Rząd pozostawił przy niem Dembińskiego.

W łonie też Rządu nastąpiły najsilniejsze zatargi. Lelewel w upornym, jak zawsze, sporze z prezesem księciem Czartoryskim, bluźnął słowem „zdrady“... porwali się z miejsc swych członkowie i z oburzeniem żądali odwołania obelgi. Książę-Prezes chciał natychmiast złożyć swe obowiązki, ukorzył się wprawdzie Lelewel, zaklinał księcia, aby się nie usuwał od prezydencji, przyznawał jego zasługi i nieograniczone poświęcenie, przyznał niestosowność spisków Klubu, zapowiedział, że z niego wystąpi. Rząd wprawdzie utrzymał się w swem stanowisku, niezgoda ta jednak smutne wywierała skutki. Klub patriotyczny na nowo wicherzyć zaczął; przedstawił wniosek utworzenia Rady najwyższej, z dziewięciu osób złożonej, a w tej zamierzał umieścić najzapaleńszych demokratów. Mochnacki spiskował ze stronnikami Krukowieckiego. Celem ich było, rozpedzenie Izb sejmowych; Chrzanowski się ku temu przychylił... brakło im jednak wszystkim odwagi do targnięcia się na władzę przez naród uznaną. W tej groźnej chwili, kiedy Klub listę proskrypcyjną układał, kiedy głosił, iż pod oknami Sejmu należy szubienice stawiać, Rząd i Izby postanowiły wrócić do dyktatury. Wskazywano na to dostojęństwo Bonawenturę Niemojowskiego — nastąpiło głosowanie.

„Obecnym był w Izbie sejmowej — pisze Morawski — generał Krukowiecki, któremu powszechne mniemanie przypisywało uśmierzenie rozruchów, a obiegała pośród obradujących przygotowana w Klubie lista proskrypcyjna. Składało ją około pięćdziesiąt nazwisk, a na czele, któż temu da wiara?... było nazwisko księcia Czartoryskiego!... Mąż, który życie całe swoje poświęcił Ojczyźnie, szukać musiał w tej chwili schronienia w obozie!... Z drugiej strony: przeciwnik generała Skrzyneckiego, jeden z oskarżycieli jego po klęsce Ostrołęckiej, był tem samem Krukowiecki wielce popularnym i taką zyskał ufność u Klubu, że ten go stawiał na czele swej Rady najwyższej. Złączone kreski reformistów i lelewelistów, dały mu 88 głosów przeciwko 28. Z radosnym okrzykiem widzów, obwołany został prezesem Rządu narodowego.“

Dostał się nareszcie Krukowiecki tyle przez się upragnionej władzy. Skrzynecki skryć się musiał przed zawziętością przeciwników. Książę Czartoryski przebrany, sam jeden udał się do obozu; powiadano nawet, iż w przejeździe przez miasto, gdy jechał konno, strzelano do niego. Nie mam dowodu na to, ale domniemywam, że zacny książę szukał i znalazł schronienie u ojca mego.

Krukowiecki mianował generała Małachowskiego zastępcą naczelnego wodza; gubernatorem stolicy — Chrzanowskiego; dowódcą gwardyi narodowej — Piotra Żubieńskiego. Obsadził ministerstwa; Klub patryotyczny zamknąć rozkazał. Nakoniec nowym okólnikiem dyplomatycznym z dnia 23. sierpnia, jeszcze raz w imieniu Rządu odwołał się do współczucia europejskich gabinetów, przypominając odwieczne narodu polskiego zasługi i spowiadając się niejako z dotychczasowego, a tyle uniarkowanego postępowania.

Był to testament naszej sprawy.

W tych dniach, bo 17. sierpnia, wysłano na rekonesans 1.300 pieszego żołnierza, z dwoma działami i kilku plutonami jazdy, pod dowództwem pułkownika Le Gallois, Francuza. Oddział ten nieostrożnie w otwartych polach prowadzony, gdy kawaleryą zaniedbał przejrzeć, co się dzieje za okolicznymi wsiami, napaźnięty i otoczony ze wszech stron przez nieomal całą jazdę rosyjską, złożyć broń zniewolony został. Przeprowadzonemu przed Wielkiego Księcia Michała dowódcy, miał tenże powiedzieć: „że pierwsze tak znaczne trofea, z rąk Francuza odbiera“. Le Gallois

rozmyslnie tak osadzony został w rossyjskim obozie, że nie ociegał się z ucieczką, ale u nas już się nie pokazał.

Mieliśmy jeszcze pod bronią w załodze warszawskiej 50.000 żołnierza; zakryci fortyfikacyami, mogliśmy śmiało się opierać przeciw więcej jak podwójnej liczbie Rosssyan; w twierdzy Modlinie było 4.700; w Zamościu 3.600; Różycki działał na tyłach nieprzyjaciela z dość silnym oddziałem. Lecz brakowało zapasów żywności i furazów, których wcześniej nie przygotowano. Może też kraj już oddał co miał, a zboża jeszcze na pniu stały.

Na radzie wojennej, zebranej 19. sierpnia, różne były zdania generałów. Chrzanowski chciał iść przeciw nieprzyjacielowi i stoczyć ostateczną bitwę. Myśl tę odrzucono raz dla liczebnej w polu przewagi Rosssyan już skoncentrowanych, powtóre, że spodziewano się z większą korzyścią bronić się w liniach fortyfikacyjnych, za wałami miasta, wreszcie w jego ulicach. Krukowiecki z Rybińskim trzymali z Chrzanowskim; generał Sierawski oświadczył, że w obronie Warszawy, choćby ta wzięta być miała, można Rosssyanom zadać straszliwą klęskę; opuścić ją z konieczności, znieść korpusy Gołowina i Rosena, operujące w Podlaskiem, posunąć się dalej, zdobyć Brześć Litewski, przenieść wojnę za Bug, zrównoważyć się z siłami wojsk rossyjskich, które musiałyby połowę ich zostawić w zajętej Warszawie i część jeszcze oddzielić na obserwację twierdz Modlina i Zamościa.

I ten wniosek, bodaj czy nie najlepszy, upadł. Postanowiono jedno wojsko wysłać na prawy brzeg Wisły, dla odpędzenia Gołowina i Rosena, a zarazem rozszerzenia tem sanem promienia dowozu żywności; drugie, mianowicie znaczną ilość jazdy naszej za Modlin, dokąd jeszcze mieliśmy otwartą drogę, w zamiarze rozległego furazowania. Tak więc, kiedy feldmarszałek stał o pół mili od Warszawy, ze zgromadzonemi swemi wojskami, postanowiono zmniejszyć o połowę załogę stolicy.

Piąta dywizya piechoty dowództwa mego ojca, której pierwotne przeznaczenie było bronić najgłówniejszego punktu, to jest szanica Woli, włączoną została, dla nieznanomych mi powodów, do 20-sto tysięcznego korpusu generała Ramorino, pół Francuza pół Włocha, mającego działać za Wisłą. Dano mu armat 40. Generała Łubińskiego w 4.000 jazdy, wysłano jednocześnie 23. sierpnia

za Modlin, jak wyżej powiedziałem, na furazowanie. W tej ekspedycyi pułk nasz poszedł. Winienem tu zapisać co następuje:

Doświadczenie, jakie mój ojciec posiadał w rzeczach wojennych, łatwość rozejrzenia się w stanie wojska, obecność na radach wojennych, zapewne go stawiały w możności ocenienia położenia dogorywającej sprawy naszego powstania. Oddalając się z Warszawy za Wisłę, zapewne przeczuwał, że już jej nie zobaczy... chciał mnie mieć przy sobie. Wyjednał więc w sztabie głównym nominację dla mnie na swego adjutanta. Czemuż mnie nie zawezwał do osobistego rozmówienia się?!...

Pamięć na uroczyste przyrzeczenie, jakieśmy sobie dali w pierwszych dniach po nocy 29. listopada, nierozłączania się pod jakimkolwiek względem, zła opinia, jaką sobie wytworzyliśmy o adjutantach, spowodowała, żem podał prośbę do sztabu głównego o uwolnienie od tego obowiązku, z życzeniem pozostania w pułku. Srogo mnie za to Opatrzność ukarała. Ojca już do końca życia jego nie widziałem, nie spełniłem obowiązków syna, zламаłem sobie może świetną przyszłość. Jako syn urzędnika Legii honorowej, barona państwa francuskiego, co łatwo było udowodnić, mógłbym być przyjętym we Francyi do wojska, tego jedynego mego zawodu — a jeśli bym nie zginał w Algierze, dosłużył się wysokich stopni. Inną poszedłem drogą... a idąc po niej, kalczyłem tylko serce i najdroższe me uczucia.

Generał Prądzyński poszedł z korpusem Ramoriny. Książę Czartoryski jako ochotnik. Na odgłos tego marszu, cofali się spiesznie Gołowin i Rosen; dognani atoli pod Krynkami za Łukowem, 28. sierpnia pobici zostali; odparci, stanęli pod Międzyrzeczem w zamiarze przyjęcia bitwy. Pozycyę ich obeszła dywizya generała Bielińskiego i gdyby Ramorino nadszedł w porę z głównym korpusem, byłiby obaj rozbici zupełnie. W tem spotkaniu, brygada Rossyan osaczyła się na cmentarzu silnie oparkanionym. Mężny pułkownik Rychłowski poszedł z pułkiem swoim na to stanowisko; mimo silnego ognia nieprzyjaciela, doszedł śmiało z bronią na ramieniu i bez wystrzału. Żołnierze jego bagnietami i siłą rąk parkan obalili, broniących się wykłuli, reszta z generałem Werpachowskim poszła w niewolę. Wzięto przeszło 1.000 Rossyan, kilkunastu oficerów, zdobyto 2.500 karabinów, dwa sztandary i trzy działa — a co główna, Rosen odcięty od Brześcia Litewskiego,

uszedł do Łomazów. Tym ruchem wojsk naszych odbita znaczna część kraju, zaczęła dostarczać ile możności opatrzenia w żywność Warszawie. Pułkownika Rychłowskiego, żołnierze okrzyknęli sami przez się generałem.

Pod rozkazami Krukowieckiego i Małachowskiego zakresłono obronę stolicy w następujący sposób: generała Czyżewskiego postawiono na samem skrzydle w 3.500 żołnierza, a to między Mokotowem i Siedlcami, (wioska pod Mokotowem); Umiński w 17.000 i 30 armat, wyciągnął swą linię od Mokotowa po trakt bity, wiodący do Raszyna. Dembińskiego w 13.000 i dział 16 usadowiono na prawem skrzydle. Prócz tego wszystkie zewnętrzne lunety obsadzone były właściwymi oddziałami, a na ich wałach zaciągnięto armaty. Generał Bem z całą konną artylerją miał obowiązek ostrzeliwać fortyfikacye najbardziej zagrożone; wreszcie z kościoła luterskiego obserwowano ruchy nieprzyjaciela, a postawiony telegraf na szczycie teatru, wiązał komunikacyę z Modlinem.

Nie będąc obecnym przy szturmie Warszawy, bom poszedł z pułkiem za Modlin, gdzie się udał generał Łubieński, nie moge tu prostem wspomnieniem ograniczyć się, że stolica nasza, mimo nadludzkiego męstwa żołnierza ją broniącego, wzięta została. Opis też rokowań przed szturmem i w samej jego grozie, przez generała Krukowieckiego prowadzonych, nader ważnym być sądzę, bym go miał pominąć. A że piszę ten pamiętnik, nie jako historyk wojny r. 1831, lecz dla wiadomości jej szczegółów, przepisuję więc znów dosłownie, co mówi historia owego czasu (Morawski), dorzucając, co mi naoczni świadkowie opowiadali, a te opowieści niejednokrotnie miałem sposobność porównywać i sprawdzić.¹⁾

1) Następuje w pamiętniku wypis, który tu opuszczono. Luźne uwagi autora, zamieszczone w formie przypisków, nie zawierają nic ważniejszego.



ROZDZIAŁ XIII.

Podpisanie kapitulacji Warszawy na Pradze. — Rossyianie na wstępie łamią warunki umowy. — General Rybiński pod Modlinem mianowany naczelnym wodzem. — Rząd i Sejm gromadzi się w Zakroczymiu. — Zliczenie wojsk polskich. — Straty Rossyan w szturmie Warszawy. — Brak wszystkich potrzeb w wojsku naszym. — General Ramorino nie łączy się z wojskiem, jak mu to rozkazano. — 18. września składa broń w Galicyi ze swym korpusem. — Dyplomacya zagraniczna milczy. — Rossyianie otaczają wojsko Rybińskiego. — Zmowa nocna oficerów nie dochodzi do skutku. — Przekroczenie granicy pruskiej i złożenie broni. — Kwarantanna przymusowa pod Brodnicą. — Marsz rozbrojonych wojsk ku Gdańskowi. — Moja kwatery na Żuławach w kolonii Mütgenhall. — Rodzina niemiecka. — Moja choroba. — Ogólny opis Gdańska. — Propozycya mego gospodarza, oddania mi ręki jedynej swej córki. — Stryj mój Sabin. — Deklaracya oficerów naszego pułku, posłana cesarzowi Mikołajowi, prosząca o amnestyę i pozwolenie powrotu do Polski. — Moje w tym względzie postanowienie.

W tych ostatecznościach 8. września złożono radę wojenną na Pradze pod przewodnictwem generała Małachowskiego. Tu podpisano kapitulację Warszawy, wydano Pragę Rossyanom, pod warunkiem czasowego zawieszenia broni.

Rossyianie zajęli Pragę w południe i zaraz złamali warunki przez się podpisane. Wzbronili wywozu reszty potrzeb wojennych

i zasobów do Modlina, oraz połączenia się głównych naszych posterunków z główną polską armią. Małachowski znów wysłał gońca do Ramoriny, z rozkazem, aby nadszedł do Modlina. W tej twierdzy nastąpiła druga rada wojenna 10. września, na niej Małachowski stanowczo odmówił dalszego nad wojskiem dowództwa, mówiąc: „Generał, który podpisał kapitulację Warszawy, nie może już rozkazywać wojsku polskiemu“. Generał Bem również dowództwa nie przyjął, wówczas prezes Rządu Niemojowski mianował wodzem generała Rybińskiego.

Rząd i Sejm zebrał się w Zakroczymiu o pół milki od Modlina. Izba sejmowa liczyła jeszcze kilkudziesięciu członków, posiedzenia odbywały się w miejscowym kościele. W uwiezionym skarbie było z górą siedm milionów w monecie. Zliczone wojska okazywały 25.000 piechoty, 6.000 jazdy, armat 95, z amunicją dostateczną. Z korpusem Ramoriny, którego nadejścia co chwila się spodziewano, wojsko polskie dochodziło do 52.000 żołnierza, prócz garnizonu Zamościa i oddziału Rózyckiego w Krakowskiem województwie. Co do Rossyan, drogo okupili wzięcie Warszawy — ubitych z szeregu, zabitych i rannych było przeszło 17.000, oficerów do 500. Poległo generałów dwóch, dziewięciu pułkowników; ośmiu generałów i dwunastu pułkowników było mocno rannych.

Narady w tem rozpaczliwym położeniu do niczego nie doprowadziły: jedni chcieli napowrót zdobywać Warszawę, inni radzili iść na Litwę, inni znów rozdzielić wojsko i rzucić się na wojnę partyzancką.

Wszystkim tym zamiarom stanął na przeszkodzie zupełny upadek ducha w wojsku, któremu w tyłu krwawych starciach wybito najodważniejszych i najdzielniejszych oficerów — młodzież już ich zastąpić nie mogła. Uprząż też w pociągach artylerji była w najgorszym stanie; w jeździe konie schudzone i słabe; żołnierz w obozach i marszach zdarł mundury i obuwie. Na domiar złego nie zdążono uprowadzić z Warszawy do 20.000 par trzewików, tyleż płaszczy i kilkadziesiąt tysięcy koszul żołnierskich, a to już była połowa września i noce zimne. Żywność wprawdzie była dostateczna, bośmy ją z korpusem Łubieńskiego z okolicy przysposobili, ale ta w miejscu tylko jakiś czas służyć mogła, uwozić ją było niepodobieństwem.

W późniejszych latach niejednokrotnie słyszałem krytyki i wymówki naszych zaściankowych strategików, wyrzucających nam wojskowym, że rozpoczęliśmy wojnę z 30 000 żołnierzami i zwyciężyliśmy, a złożyliśmy broń na obcej ziemi w podwójnej liczbie sił naszych... Zdania takie nie mają racji. Każde wojsko ma tysiączne i niezbędne potrzeby; żywność, furazę, ubiory, obuwie, uprzęż artylerii i furgonów amunicyjnych, fizyczna siła koni — to są kardynalne warunki, inne tu pomiję. Brak tych przymiotów był u nas po wzięciu Warszawy widoczny; ja, com patrzył na to własnymi oczami, dowódców naszych i wojsko pozostałe usprawiedliwiam.

Tymczasem korpus Ramoriny nie doszedł z powrotem dalej, jak do Siedlec i tu powziął wiadomość o kapitulacji Warszawy; rozkaz mu posłany, aby szedł pod Modlin, doszedł go, gdy był w Łukowie. Zawahali się dowódcy co dalej począć; wątpiono, aby Rosyianie pozwolili się połączyć z głównym wojskiem. Skompromitowani, którzy w znacznej liczbie znajdowali się przy tym korpusie, radzi byli pozostawić mu samodzielność bez narażenia się na wypadki, wojsko to uważając jako swoją eskortę. Tak więc Ramorino, pchany przez wojska Rosena, Rotha i Kajzarowa, po krwawej bitwie pod Borownem, 18. września wszedł do Galicji i broń złożył Austryakom.

Zebrany Rząd i Sejm w Zakroczymiu, piętnaście dni wyciekiwał dyplomatycznych interwencji obcych gabinetów, a głównie francuskiego, którą minister Sebastiani przyrzekł — ale i to zawiodło: mocarstwa milczały. W naszym korpusie, rady wojenne następowały jedne po drugich, większość zgadzała się na udanie się pod Płock, według manifestu cesarskiego i na wysłanie deputacji do Petersburga z zupełną submissją; inni wołali za przedłużeniem wojny. Niezgoda zapanowała w obozie; była chwila, że zapaleńcy chcieli w nim powtórzyć rzeź i noc 15. sierpnia. Kilku generałów, których tu nie wymieniam, schroniło się do obozowisk naszego pułku, a energiczna jego postawa ochroniła raz ostatni honor munduru i wojska.

Rosyianie tymczasem zewsząd nas otaczali i przecinali drogi — cofaliśmy się groźnie. Nieprzyjacieli zdawał się nas popychać jedynie. Tak minęliśmy Włocławek, a 29. września Lipno. W Świdziebnie za Rypinem dnia 3. października, ostatnia rada

wojenna naszej starszyny postanowiła, że dalszy opór jest niemożliwy. — „Było jeszcze 24.000 wojska — pisze Morawski — ale ogołoconego ze wszystkich potrzeb, otoczonego ze wszystkich stron. Aby nieprzedawnionych praw narodu, żadnym układem w wątpliwą nie poddać, postanówiono przekroczyć granicę pruską, w obcym państwie broń złożyć. Oddzielny manifest z dnia 4-go października 1831 roku ogłosił to światu.“

Manifest ten Rządu i naczelnego wodza Rybińskiego, jest następujący:

„Nim ojczyzny kraj opuścimy, oświadczamy wobec Boga i świata, że każdy Polak jest jeszcze tak samo przekonany o sprawiedliwości i świętości swej sprawy, jako zawsze był i będzie!... Ma sobie za najświętszy obowiązek w tym manifestcie, interwencji wszystkich ucywilizowanych narodów, a szczególnie tych, którzy na Wiedeńskim Kongresie sprawą Polski się zajmowali, zawezwać. — Im zawiera nieszczęsny naród polski swój los i swoją polityczną egzystencję, której wpływ na cywilizację i utrzymanie europejskiego pokoju jest tak wielkiej wagi! Zawsze byli Grecy, Belgijczycy i wszystkie inne narody, przedmiotami ogólnego zajęcia ze strony panujących i nie może być inaczej. Mająż jedni Polacy być ich opieki pozbawieni?... Nie!... Interes narodów, sumienie i godność panujących, zaprzeczają tej myśli. Do was i do waszych narodów udaje się zatem pełen ufności szlachetny a nieszczęśliwy naród polski. Was zaklina w imieniu Boga, w imieniu praw narodów, w imieniu ludzkości — nie odmówcie mu swej pomocy waszej, do utrzymania praw narodowych i instytucyj, które dla powszechnego szczęścia i dla dobra Polski są potrzebne.

(Podpisano) *General Rybiński.*“

Rozkaz dzienny generała Rybińskiego uwiadomił wojsko, że przechodzimy granicę pruską. Dzień 4. października zeszedł na porozumieniu się z wojskowymi władzami pruskimi, które tak pewne były tej ostateczności, że już nas na granicy oczekiwały. Przyparciu do słupów granicznych, widzieliśmy na drugiej ich stronie obozy pruskie, mianowicie liczną piechotę i dwa pułki

kirysyerów. Z przeciwległej, czerniały na odległość dwóch strzałów armatnich, długie linie wojsk rossyjskich.

W tem rozbiegają się po naszych pułkach oficerowie artyleryi i powiadają nas, że w furgonach amunicyjnych mamy jeszcze około 8.000 pocisków działowych. Że oddać ich bez uwłaczania honorowi, Prusakom niepodobna. — Żądają ostatniej rozpacznej z Rossyanami bitwy, by im jeszcze tęgo krwi upuścić... Zapalają się nam młodym głowy. Umrzeć ze skonaniem Ojczyzny, ledz trupem na własnej jeszcze ziemi, powszechne objawia się życzenie. Zawrzał w jednej chwili obóz żądzą bitwy; idziemy do naszych dowódców, ci odwołują się do generałów, mianowicie do Rybińskiego. Z każdego pułku po kilku oficerów udaje się do niego.

— Prowadź nas generale!... zmiądzemy ich jeszcze! — wołają — kto przeżyje, odda broń Prusakom!...

Zadumał się Rybiński — jakaś rzewność oblała jego oblicze, wkońcu urywanemi rzekł słowy:

— Panowie! — nie wątpię o waszem poświęceniu, ale zastanawiam, czy rozpaczna bitwa, jakiej żądacie, przyniesie Ojczyźnie jakakolwiek korzyść?... Jeśli o chwałę wam idzie, dość jej nabyliśmy — jeśli o zemstę, i tej dosyć dotychczas było. Mojem zdaniem, szkoda przelewu tych resztek krwi naszej. Sprawa nasza się nie skończyła, zachowajmy się na przyszłość, na lepsze czasy. Oceniam wasze poświęcenie, ale szanując życie wasze, Ojczyźnie jeszcze potrzebne, w przekonaniu, że mi posłuszni będziecie, nie zgadzam się na wasze życzenia. Do widzenia we Francyi!... ta nas utuli i przyjmie jak braci!...

Przed północą z dnia 4. na 5. owego miesiąca, utworzyła się zмова między kilkunastu oficerami naszej jazdy, do której i ja należałem, a to na wniosek księcia Sanguszki czy Sapiehy, bo nie pamiętam, adjutanta w głównym sztabie.

Żądał on, abyśmy zebrali po pułkach dwieście lub więcej ochotników na najlepszych koniach, natychmiast nocą obeszl posterunki pruskie, rzucili się w Prusy, forsownymi marszami zgodnie lub siłą usiłovali przedzierać się przez ten kraj i złożyć broń dopiero na ziemi francuskiej. Popierał tyle śmiały swój plan, wyznaczoną drogą na mapie, jaką rozwinął. Rzucił przed nami

odpięty trzos, poręczając, że zawiera parę tysięcy dukatów w złocie — a kończył:

— Koledzy!... trudna to sprawa będzie, ale podolać jej można... nie wszyscy dojdziemy, to pewna — ale choćby nas doszło pięćdziesięciu, trzydziestu nawet, co za chwała dla nas!... Konie nasze nie wystarczą na początek, jak na mil kilkanaście, ale są pieniądze; będziem je Prusakom po drodze dobrowolnie lub przymusowo zabierać, płacąc za nie sownie; będziem chwilowo wypoczywać po lasach, obchodzić większe miasta; będziem przechodzić rzeki po mostach a nie, to wpław. Nim się obejrzą Prusacy, nim pogoń urządzią, nim nam zastąpią drogę, będziem daleko — a w końcu dojdziem, pokażemy, do czego Polak jest zdolny!

Zgodzono się jednomyślnie — podaliśmy sobie ręce i rozbiegliśmy się namawiać ochotników. Ale projekt upadł. Gdy książę z tej narady powrócił, by się przygotować odpowiednio do awanturniczego marszu, Rybiński, za porozumieniem się z pruskim dowódcą, doręczył mu kartę przejazdu i wyprawił kuryerem do Paryża z powiadomieniem: że resztki wojska polskiego przechodzą granicę pruską, pójdą do Francji i oczekują gościnnego jej przyjęcia. Rybiński oddał mu nadto duplikat ostatniego naszego manifestu, wyżej nieco wymienionego, aby go złożył rządowi francuskiemu. Książę musiał być posłusznym i w tej chwili wyjechał.

Że ta myśl, ten projekt upadł, najmocniej żalowaliśmy... Czy dałby wykonać się, nie wiem; w danej chwili nad tem nie zastanawialiśmy się. Zdaje się, że można było go dokonać. Czuliśmy siły w sobie, lud też wiejski w Prusach był za nami; zresztą łatwo mu było usta zamykać płacąc po drodze — nie było też jeszcze telegrafów.

Nazajutrz, dnia 5. października, równo ze świtem zagrzmiały w naszych obozach trąbki głoszące pobudkę. — Mieliśmy ją usłyszeć raz ostatni... Zaczęło się wojsko ruszać. Ze zbliżającą się chwilą tego wielkiego aktu, umysły nasze uginały się, pod jakimś otrętwieniem przygniecione. Rzucić kraj rodzinny, broń ukochaną, te wierne konie, które nas do zwycięstw poprzednich niosły, iść daleko w niewiadomą przyszłość... te to uczucia miotaly nami po kolei.

W tych chwilach przyszła do naszego pułku deputacya innych pułków jazdy. Żądała od nas wiadomości i postanowienia, czy przechodzimy granicę?... czyli, przeciwnie, pójdziemy w tył oddać się tuż stojącemu z wojskiem rossyjskiem generałowi Toll, pogłoska się bowiem rozeszła, że pułk nasz strzelców konnych gwardyi, odprowadzi jedynie wojsko polskie do granicy — a jeśli mam wyznać, sami Rosssyanie byli tego pewni. Pułkownik Zielonka zebrał nas wszystkich: deputacya swe zapytanie powtórzyła. Jednogodnie odpowiedzieliśmy: że, jak przez cały przeciąg wojny, pułk wiernie wykonywał swój obowiązek, tak i w tym dniu, idąc za drogą honoru, nie odłączy się od wojska. A jeśli chodzi o przykład, domagaliśmy się przejść pierwsi za graniczne słupy. Deputacya, po przyznaniu nam pierwszeństwa, oddaliła się.

Około 10 godziny rannej uderzono w bębny — u nas rozkazano wsiąść na koń, Prusacy też na drugiej stronie stali już pod bronią, wyciągnęci w szyku bojowym.

Jak zapowiedzieliśmy, w plutonowym pułkowym marszu, bez dobytka pałaszy, bez żadnego odgłosu muzyki, pierwsi przeszliśmy ten wązki pas graniczny. Przyjął nas zaraz generał pruski z eskortą huzarów i prosił pułkownika, by pułk rozwinął się frontem do granicy Królestwa. Manewr ten skuteczniliśmy w całym pędzie koni i z wzorową precyzją. Generał przejechał pułk po całym jego froncie, salutował wszystkich oficerów — myśmy stali niemi, z zaciśniętymi zębami. Przejście granicy innych pułków trwało dwie godziny i po jego ukończeniu, zasłonili Prusacy ścianę od Królestwa. Nam się zdało, że jakaś czarna zasłona nam na oczy spadła. Rosssyanie też w 20.000 wojska podstąpiwszy, szeroko linię graniczną z drugiej strony zajęli.

Zaledwie godzina upłynęła, generał pruski z swym sztabem i naszymi dowódcami wojsko objechał. Rozkazano nam zsiąść z koni. Zielonka zebrał oficerów, mówił i prosił, abyśmy tę klęskę z wytrwałością przyjęli; wezwał, aby w szeregach spokojność i powaga zachowaną była! Prosił jeszcze, abyśmy w przyszłości w braterskiem a ścisłem pożyciu, honor pułku i pamięć jego zachowali. Zawiadomił, że według ułożonej konwencji, oficerowie broń swoją i konie zatrzymają. Żołnierze mają tylko mantelzaki od siodła odpiąć, życzył sobie, aby zachowali na wieczną pamiątkę orły polskie kaszkiety ich zdobiące.

Splakaliśmy się rzewnymi łzami, i dziś po pięćdziesięciu latach ubiegłych nie wstydę się, że pod wspomnieniem tego dnia i godziny, gorzka łza zwilża me oczy. Poświęcam ją pamięci mych dawnych towarzyszy broni, których przeżyłem wszystkich!...

Nastąpiła ostateczna chwila... Spieszona część jazdy pruskiej przystąpiła i po kilkudziesięciu stanęła przed szwadronami, by nam konie i broń odebrać. Stali nasi żołnierze bez tehu i mowy... bez myśli i nieruchomi. Nareszcie należało wypowiedzieć ostatnie to słowo: „Odpinać pałasze!... zdejmować karabinki!...“ Szmer głuchy dał się słyszeć po szeregach, minęło kilka minut pod tem wahaniem się wiarusów — Prusacy nalegali... nareszcie zaczęto się rozbrajać. Żołnierze powoli odpinali pałasze, całowali je, do piersi tulili, potem pod nogi rzucali je Prusakom. Kilka wystrzałów dało się słyszeć. zmieszali się Prusacy, dopadamy — to kilku naszychswe konie zastrzeliło!...

Wolno szło to rozbrajanie — zdawało się, że ta straszna chwila się nie skończy, ale i to nastąpiło. Rozkazano żołnierzom w tył od koni odstąpić; kiedy się zobaczyli bez koni, bez broni, z mantelzakami na plecach, jeden ich jęk wybuchnął. Z wzorowego tego pułku i tyle mężnego, zrobiła się garstka do dziadów podobna... Co do mnie, z tego wzruszenia nerwowego porwała mnie na miejscu straszliwa febra, która mnie potem pięć kwartałów męczyła.

Jak się odbyło złożenie broni w piechocie i artylerji — nie wiem. Nie widziałem — byłem prawie nieprzytomny.

Godziny jeszcze upływały... nakoniec otoczeni wojskiem pruskim poszliśmy, niedaleko też było miasteczko Brodnica, którą sobie Niemcy Strasburgiem przezwali. Wpędzono nas jak trzodę w jakieś kolano rzeki Drwęcy, na grunt błotnisty, zamknięty z frontu wojskiem pruskim.

Resztę dnia i noc następną spędziliśmy bez ognisk i pożywienia, bo nikt o niem nie pomyślał. Nadedniem wyplacono wojsku całomiesięczny żołd. Cicho było w tym tłumie, jakby wszyscy wymarli. Gdy się rozwidniło, mieszczanie niemieccy z Brodnicy przywieźli nam nieco żywności, za którą kazali sobie drogo zapłacić; ludność polska miasteczka rozdawała ją darmo. Dowódcy nasi dopominali się u generała pruskiego i przybyłego landrata żywności i furazów, obiecując zapłatę; dostarczono takowe, ale

w małej ilości, tak dalece, że głód prawdziwy był u nas! Pod pozorem kwarantanny pięć dni i tyleż nocy trzymano nas w tem niezdrowem miejscu. Nareszcie ruszyły się partyami nasze kolunny pod eskortą wojska pruskiego; poszliśmy ku Gdańskowi.

Skarb nasz, w którym było jeszcze z górą sześć milionów, odprowadził do Warszawy generał Lewiński, szef sztabu korpusu. Twierdza Modlin poddała się po odejściu naszym z pod jej wałów. Zamość w dni czternaście później. Generał Stryjeński, który tak haniebnie postąpił w dniu bitwy pod Iganiami, jeden jedyny z dowódców z swym oddziałem w Krakowskiem, oddał się na łaskę cesarza.

W Brodnicy kupiłem sobie kozuch włociański i w tym, nękany febrą, marsz odbywałem konno. Po drodze, wszędzie ludność występowała, by nas witać i przypatrywać się smutnemu pochodowi; język jej polski, acz już zepsuty, jeszcze nam uszy mile głaskał. Szulcee czyli wójci i sołtysi wychodzili naprzeciwko nas i rozprowadzili po kwaterach, ale ścisłych. Od żołnierza nie nie przyjmowano za życie i nocleg mówiąc, że rząd te wydatki płacić będzie. Gościnność była wielka, w każdej wsi była porządna austerya, a w tej można było wszystkiego dostać, nawet wina, ale już reńskiego.

Kraj okazywał się piękny i w wielkiej kulturze, folwarki murowane pod dachówką.

Szliśmy okolicą prawego brzegu Wisły, za nami posuwały się bandy meklerów pruskich i handlarzy koni, którzy od potrzebujących za bezcen je kupowali. Ja prowadziłem za sobą cztery konie. jednego dzielnego mego wierzchowca bojowego, drugiego powodowego pod juki, dwa wzięte z szwadronu wiedli żołnierze: w tym marszu sprzedałem te ostatnie za 65 talarów na ratunek zdrowia. Tak idąc małymi etapami, minęliśmy Grudziądz, Kwidzyn i doszliśmy do Malborka; tu nam dwa dni udzielono wypoczynku, można też było się napatrzeć starożytnemu miastu, a szczególnie potężnym gmachom Zakonu krzyżackiego. Małom jednak z tego korzystał, leżąc chory bez ducha. Miałem kwaterę u właściciela domu z polskiem nazwiskiem. lecz ani słowa już naszej mowy nie rozumiał. Doszliśmy nakoniec pod sam Gdańsk i rozłożyli się na tak zwanych Żuławach, w tym kraju tyle boga-

tym, że mimowolnie wdychaliśmy smucąc się, że nasza Polska nie ma takiego pozoru.

Dostałem kwaterę u kolonisty nazwiskiem Titz. Niemiec był już siwy, suchy, z wiekiustą fajką w ustach. Żona i jedynaczka córka Malchen, całą rodzinę składały; obok tego dwóch knechtów służących i trzy dziewczyny. Dom murowany pod dachówką, o pięciu czystych izbach, w oknach firanki; stajnia i obora murowane; dwie stodoły z chrustu pod gontem, szopa na wozy. Ogród owocowy otaczał tę porządną zagrodę, która obejmowała z 90 morgów magdeburgskich.

Titz uprzejmie mnie przyjął, przemówił po niemiecku, odpowiedziałem podaniem ręki, bom mało rozumiał, a jeszcze mniej tym językiem władał. Wziął mnie pod ramię, wprowadził do gościnnego pokoju, a wskazując na belkę sufitu, rzekł: „znam Polaków“. Spojrzałem na nią, był wyróżniony napis: „Ignacy Żeliński, kapitan wojsk polskich — rok 1813“. Wytłómaczyłem moim gospodarzom, że Żeliński jeszcze żyje i jest pułkownikiem; cieszył się tem niezmiernie. Po chwili weszła panna Malehen, nakrywszy stół, przyniosła dzban kawy, bułki i masło. Ujrzałem się więc po tem tyle twardem obozowem życiu, wśród jakiejś przyjaznej i pocziwej rodziny, w mieszkaniu eichem — i wyznam, że mi się oczy zwilżyły, bo mnie febra zdenerwowała. Pocięszała mnie pani domu, Malehen się uwijała, a gdym oświadczył, że chory, że mnie już gorączka porywa, wnet posłano łóżko, pełne miękkich i czystych betów. Ordynansi moi wnieśli juki, zapewnili, że konie dobrze ulokowane. Położyłem się przeto do łóżka, przyszła gorączka, a póki trwała, pocziwa gospodyni ciągle mi usługiwała. Na dzień drugi, wzmocniony nieco, obejrzałem się po pokoju; był obszerny, frontowy, o trzech oknach, podłoga lakierowana, kilka sztychów na ścianie; portrety króla pruskiego, Blüchera, i bitwa pod Lipskiem; pod oknem fortepian niewielki, meble czarno lakierowane, wyścielane, z białem jak śnieg nakryciem. Byłem smutny, ale czułem, że mi tu dobrze będzie.

Że febra była czwartaczka, trzeciego dnia wybrałem się do Gdańska szukać rady lekarskiej; pojechałem konno z kilku kolegami. Doktor zapisał mi chinę ordynaryjną, bośmy jeszcze ekstraktu chininy nie znali; trzeba było pełnemi łyżkami ją co godzina zażywać, a była to prawdziwa męczarnia.

Do dziś dnia żywię w sercu mojem wdzięczność dla tej poczciwej niemieckiej rodziny, za ich starania koło mnie, pieczołowitość i doznane wygody. Za dwa złote dziennie, miałem do zbytku kawy, obiad, kolację, opał, świece, nawet pranie; furaz dla koni osobno płaciłem. Na drugi dzień pierwszego mego noclegu przyszedł do mnie mój ordynans Jankowski, umyty, ogolony, wąsy wyczernione i zakręcone, zdając raport, że konie zdrowe, napojone, owies chrupią — i mówi: „niechno pan porucznik wstaje, pokażę coś ciekawego...“

— Cóż tam takiego? — odrzekłem.

— O, to dziwowisko!... sześć krów w oborze za rogi na łańcuchach u żłobu stoi, a wszystkie ogony do góry na blokach i sznurach do sufitu przywiązane. To nie jeszcze, ale te paskudne Niemcy, wychodek dziś szorowali...

Pierwszy raz od wielu dni się roześmiałem.

Kolonia, bo nie wiem, jaką zamieszkałem, nazywała się Müngenhall; budowle w szerokich odstępach wyciągały się w długą linię; że ulica była brukowana i ogrodzona, można było wygodnie kolegów odwiedzać; od Gdańska nie było jak pół mili odległości. Sły mi dnie cicho i spokojnie, febrę zgubiłem; konno w kilku kolegów, wzięwszy mego ordynansa z sobą, pojechaliśmy do miasta w dzień pogodny, a przedewszystkiem do portu.

Gdyśmy minęli ostatnie przedmieście, nagle z za węgła potężnej kamienicy morze Bałtyckie nam się odsłoniło. Wspaniały jego widok zawsze wzrusza patrzącego; mój ordynans Jankowski stanął, jak wryty, otwierając wielkie oczy... w końcu pyta mnie:

— Panie poruczniku! co to jest?...

— Morze — odpowiadam.

— A za niem co?...

— Znów lądy, na których ludzie mieszkają...

A on: Och! chyba nie!... tam już koniec świata!... i wierzyć tem więcej nie chciałem, że mu tłómaczyłem, iż do tych lądów będzie ze trzysta mil, może i więcej.

W porcie ruch wielki — kilkaset okrętów kupieckich ładowało zboże i drzewo budulcowe już obrobione; roje robotników pracowały przy jakimś kadencyjnym śpiewie. Wisła przy ujściu swem szeroko się rozlewała. Odznaczała się w porcie ogromna fregata wojenna angielska z rozwiniętą swą flagą: na prawo cy-

tadela portowa Weichselmünde, głęboko i klinem w morze wysunięta, a to morze lekko się bałwaniło. gdzieś daleko na przodzie, coś jakby mgłą się bielilo — to wyspa Hela. Dobrą godzinę z prawdziwym zajęciem przypatrywaliśmy się temu nowemu dla nas widokowi. Wracając do miasta, jadąc ulicami, odbieraliśmy wojskowe honory od sztyldwachów pruskich — stanęliśmy w hotelu Angielskim. Po dobrym obiedzie, podczas którego Niemcy prawie nas oblegali, poszliśmy oglądać miasto. W pysznym gmachu ratuszowym, w głównej sali, ujrzelśmy wizerunki olejno malowane naszych dawnych królów polskich, ale oprowadzający nas Prusak kilka tylko ich imion wiedział. Tuż ogromny i potężny kościół. Nie będę go opisywał, bo go mało po tylu latach pamiętam, ale nadmieniam, że podziwiałem bogactwo jego ornamentów wewnętrznych. Dwa szczegóły w nim mnie szczególnie uderzyły. Wielkich rozmiarów olejny obraz Sądu ostatecznego — był tam i Stwórca wszechświatów, Archanioł trąbiący i wzywający niezliczoną moc różnych postaci z grobów — byli i dyabli z widłami — w dali ognie piekielne, a co szczególniejsza, w kącie obrazu i jego narożniku, huzar niemiecki spokojnie palący tytoń z krótkiej fajeczki. Trudno się dorozumieć w tem myśli artysty. Malowidło to jednak uderzyło swym ogromem i było istotnie imponującym. W bocznej niszy czy kaplicy był znowu zegar, średnicy najmniej stóp sześciu, bogato rzeźbiony, ale zepsuty; opowiadano nam, że przy każdym wybiciu godziny, wychodziło dwunastu apostołów i kolisty swój pochód odbywało; były i inne podobnego rodzaju, ruszające się pod ukrytą maszyneryą postacie. W mieście ulice ciasne, kamienice bardzo wysokie. Kanały miasto przerzynały, nad nimi olbrzymie spichrze murowane, do których okręty kupieckie dopływały. Całe miasto otoczone silnymi fortyfikacyami i bastyonami, z których paszcze armat wyglądały. W ogólności ruch na ulicach wielki. W cukierni próbowaliśmy sławnych gdańskich marcepanów, a te były wyśmienite, jak również przy obiedzie ryby morskie, szczególniejszej smażone, a tak zwane flondry.

Odwiedziliśmy pułkownika Zielonkę, który mieszkał w mieście; uściskał nas serdecznie i powiadomił, że rząd pruski będzie nam płacił żołd włącznie do stopnia kapitana, po 30 talarów miesięcznie, sztabs-oficerom po 50, żołnierzom złoty na dzień, z któ-

rego potracaną będzie żywność po kwaterach dawana i jakiś „szlafgeld“.

Wyszedszy, wróciliśmy do hotelu na kawę, zastaliśmy kilku-nastu oficerów pruskich, od huzarów gwardyi Kajserlinga, wnet znajomość się znalazła, uderzyliśmy w butelki, trwała gawęda tak długo, że fortecę o godzinie 9 wieczór zamknięto i musieliśmy nocować. Na drugi dzień znów śniadanie z huzarami; wróciwszy do wsi, dowiedziałem się, że byli o mnie niespokojni, panna Malchen pogroziła mi paluszkami po nosie, pocałowałem ją w rękę, z czego była uszczęśliwiona. Z nią jedną mogłem się rozmówić, bo będąc na pensyi w Gdańsku, dość płynnie mówiła po francusku, ale niegodziwym akcentem. Na nieszczęście febrę to gubiłem, to znów wracała — zmizerniałem, schudłem, gorączki mnie trawiły; pocieszała mnie ta niemiecka rodzina, a Malchen była moim opiekunem. Było to dziewczę młode lat ośmnastu, zgrabna, pulchna, o twarzy miłej, włosów i oczu jasnych. Zażyłość nasza z dnia na dzień wzrastała, dostrzegłem w końcu, że mnie pokochała!... nigdy jednak żadnego słowa zachęty jej nie udzielił.

W końcu grudnia pewnego dnia, przyszedł do mnie stary Titz z jakimiś papierami, długo i uroczyście mówił, ilem mógł zrozumieć, wchodził w moje położenie, badał co myślę począć na przyszłość.. a w końcu z papierów wyjmując jakieś druki, pokazywał cyfry tysięcy talarów; dorozumiałem się, że są to kwity depozytowe Banku berlińskiego na jego kapitały, było ich do 40.000 talarów. Wreszcie nagadawszy wiele, wypaliwszy kilka fajek, przyszedł do konkluzyi... wziął mnie za rękę i wypowiedział swe ostatnie słowo: „Herr Leutenant... to, co widzisz, jest pracą moją, ojca i dziada — zostań z nami... dam ci moją Malchen i moją fortunę!...“

Z jego długich kołowań i przemówień domyślałem się o co idzie; słuchając go, rozmyślałem co odpowiedzieć. Wreszcie uściśkawszy go najserdeczniej, powiedziałem, że mam rodzinę w Polsce, że winienem się jej poradzić, że to zaraz uczynię, że nakoniec proszę o czas zastanowienia się. Weszła Malchen, bystro mi w oczy spojrzała. Gdy nakrywała do kawy, rączęta się jej trzęsły. W tej chwili, pod wrażeniem takiego przywiązania, istotnie zmiękłem. Wziąłem jej rękę i uściśnąłem ją... Nie było woli

Bożej — ta sekunda, w której mogło wybić moje przeznaczenie, minęła...

Od tej chwili Malchen spoważniała, stała się rzewną, trudno mi przychodziło ją rozweselić, unikała mnie nieco, wzdragała się śpiewać przy fortepianie, a gdym ją raz uprosił, po smutnym śpiewie, gdym siedział przy niej, oparłszy głowę o piersi moje, krzyż wojskowy, com go zawsze nosił, ucałowała i rozplakała się. Zacząłem się do niej przywiązywać, ale gdy serce już się odzywało, ciało upadało pod ciągłą febrą i gorączką. Nogi zaczęły mi puchnąć, wątroba dokuczać, zwątpilem o życiu — a biedna Malchen chodziła z czerwonemi od płaczu oczyma.

W tym czasie odebrałem odpowiedź od mego stryja, posiadającego majątek ziemski w Opoczyńskim, a bezdzietnego, z rodzinami, aby wrócić do kraju. W tych zdawało mi się upatrywać, że zamierza mi przyszłość zapewnić. Tęskniłem istotnie od ojczyzny, jednak nie jeszcze nie postanowiłem.

Niedługo potem przyszło wezwanie od pułkownika Zielonki, abyśmy się wszyscy stawili. Wolny mając dzień od bolesnej febrы, pojechałem. Oświadczył nam, że nasze oddziały, w Prusach konsystujące, dostały rozkaz od tego rządu zdeklarowania się, co zamierzają począć z sobą w przyszłości? Że wolno wydalić się do Francyi, wolno również, kto będzie chciał, powrócić do Polski, a wracającym cesarz zapewni zupełną amnestyę.

Między nami było kilku żonatych i dzietnych. Ci oczywiście nie zawahali się powrócić do Warszawy. Byli też oficerowie rodem z Galicyi i Księstwa Poznańskiego. Tam mając rodziny, postanowili wrócić do nich, mała liczba nas krajowców, nie wiedziała co z sobą począć, więc prosiliśmy Zielonkę o radę.

Odpowiedział nam: „Znam Francuzów. ogół nam sprzyja i z nami sympatyzuje, ale gdy przyjdzie pomagać jednostkom, odmówią... Do wojska panów nie przyjmą, na to trzeba być rodowitym Francuzem. Legionów polskich tworzyć nie pozwolą dla swej polityki zagranicznej. Chcecie walczyć z niedostatkiem i przeciwnościami życia?... idźcie za Ren. Sądzę jednak, że w kraju naszym znajdziecie współczucie — może też cesarz wojsko polskie przywróci — ja jadę do Polski.“

Postanowiliśmy wrócić do kraju.

Zdaniem Zielonki było, że gdy pułk nasz był gwardyą cesarską, a on sam flügel-adjutantem Mikołaja, znajdowaliśmy się przeto w wyjątkowem położeniu, mogliśmy działać odrębnie i niezależnie od innych oddziałów wojsk naszych. Radził, aby ci, którzy zamierzają wrócić, podali o to prośbę do cesarza. Zgodzono się na to. — Adjutant pułkowy, Edward Tys, zredagował po francusku pełną szlachetności prośbę, a ta we dwie godziny była gotową. Podpisali ją koledzy porządkiem starszeństwa; gdy na mnie przyszła kolej, stanął mi na myśli mój ojeiec, który pewno kraj rzucić postanowił i emigrować do Francyi, stanęła mi w oczach postać pocziwej i kochającej Malchen, rodzina w Krakowie bez opieki i sposobu utrzymania się — zawahałem się pod tylu obowiązkami... Przyszła też wątpliwość, czy przeżyję tę nieszczęśliwą chorobę, przybierającą codzien groźniejsze rozmiary. Umrzeć na swojej ziemi, było ostatniem mojem pragnieniem. Podpisałem. Nazajutrz Zielonka sztafetą wysłał nasze podanie do Petersburga.



ROZDZIAŁ XIV.

Rzut oka na przeszłość Królestwa Polskiego od roku 1815 do 1830 włącznie. — Polityka cesarza Aleksandra I. — Uwagi nad artykułem Kongresu Wiedeńskiego, dotyczącym Królestwa Polskiego. — Uwagi nad rządami jego. — Jak pojmować należy akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego? — Czy było na czasie powstanie roku 1830? — Zdanie Alfonsa de Lamartine. — Wzmianki o księciu Czartoryskim, generałach: Chłopickim, Skrzyneckim, Prądzyńskim, Chrzanowskim, Krukowieckim, Bemie, Szembeku, pułkowniku Zielonce, Lelewelu. — Czy właściwym był projekt wkroczenia do Litwy? — Treściwy przebieg wojny r. 1831 oraz dowodzenia, że Polska mogła Rosyan zwyciężyć.

Dziś, kiedy te karty mych wspomnień odczytuję, pozwalam sobie uogólnić wypadki owych czasów i wypowiedzieć o nich zdanie. Łatwem ono jest do sformułowania, po następstwach, jakie one wywołały. Nie wątpię nawet, że będzie ono przeciwnem niejednej opinii, oddaję je jednak pod sąd opinii publicznej, a ten, jeśli jest błędnem, niech je sprostuje. Zapiszę więc tu, jakie mam przekonania

Przypominając, że od rewolucyi polskiej r. 1830 upłynęło już lat pięćdziesiąt dwa; że dziewięćdziesiąt pięć setnych ludzi, którzy na nią patrzyli i w niej czynnymi byli, już się do grobu pokładło; że dziś z zimnem zastanowieniem możemy rozważać stan kraju od r. 1815 do włącznie 1830; że ostygło nakoniec to

wrzenie krwi i umysłu, pod których naciskiem podnieśli rewolucyą ci, którzy pragnęli wywaleczyć większe dla kraju przywileje — przedewszystkiem zadają sobie pytanie: czy należało podnieść powstanie dnia 29. Listopada, lub nie?

Były to czasy tajnych towarzystw i spisków politycznych; sieć ich pokrywała Włochy, całe Niemcy, Francję — sama nawet Rosya nie pozostawała w tyle, nie dziw więc, że się one w Polsce zawiązywały, naśladowanie leży w naturze ludzkiej. Koalicya obaliła potęgę Napoleona siłami ludów, którym wiele za krew przelaną obiecywano, lecz nie udzielono. Przed laty czytałem gdzieś, iż nawet ów „wściekły“, jak go nazywano, Blücher, gdy się dopominał u króla pruskiego ziszczenia jego przyrzeczeń, a ten mu odmówił, nieukontentowany wydalił się z czynnej służby i umarł w zaciszu domowem.

Uciehły tryumfy zwycięzców Francyi, nacieszono się festywnami, uregulowano osobiste interesy panujących, nakreślono nowe granice krajom, bez względu na narodowości; odwieczne nawyknięcia i zwyczaje ich ludności. Wszystko działo się dla władców świata, nie dla pomysłności ludów. Za pośrednictwem żadnego organu nie miały one prawa, przedstawiać rządowi swe życzenia i potrzeby. Prasa wszędzie uciśniona i pod surową cenzurą pozostająca. Rządy konserwatywne, opierające się na sile, odwiecznej samowoli, solidarnością z sobą połączone. Handel nie protegowany, ograniczony i uciążony cłami i przywilejami mnóstwa państw i państewek w Europie. Wiekowe prawa nikogo zadowolić nie mogące. Wychowanie publiczne nietylko zaniedbane, ale ciągle wstecz się cofające. Przywileje szlachty niewzruszone i nad wszystkimi innymi klasami górujące. Stan średni już myślący, skazany na milczenie. Centralizacya wszędzie — samorządu żadnego. Municypalności rządzone z góry, gminy bez wiadomości o swych siłach i że są podporą krajów. Nie wolno było mówić, co się myśli, bo tajne policye wszędzie nasłuchiwały. Ludy płaciły podatki, rządy bez kontroli rozrzucwały fundusze. Siła panowała wszędzie, a ta nagradzała pomoc jej daną: pieniędzmi, orderami, znaczeniem, tytułami.

Właśnie uczy historia: „Spólnicy świętego przymierza, nie potrzebując już pomocy ludów, oświadczyli się w Karlsbadzie na swym zjeździe r. 1819, za cofnięciem zaręczeń ludom danych

w r. 1813. Wszelkie odmiany — powtórzyli 21. maja r. 1821 — iśe powinny z woli tych, w których ręku Bóg wraz z odpowiedzialnością złożył najwyższą władzę. — Ci, którzy posiali burze, którzy na Kongresie Wiedeńskim, dzieląc się narodami, jak trzodą, a potem gwałcąc najświętsze prawa, przecząc najuroczystsze zapewnienia, gotowali domowe i zewnętrzne wojny — przybierali teraz charakter ścisłych stróżów porządku i prawa, wyłącznych konserwatorów przywłaszczeń swoich. Wypowiadali walkę tym, których zwiedli, burzycielom porządku, rewolucjonistom. Brali się do karania tego, jako zbrodnie, co niedawno enotą nazywali.“

Wszystkie te jednak ludy i kraje, tyle uciśnione, z biegiem czasu cierpliwością, okazaniem sił swoich i wyczekiwaniem w niespełna pół wieku zdobyły sobie wiele ustąpień. Widzimy wszędzie postęp jaśniejący, ciemność dawna niknie — a chociaż jeszcze nie doszła ludzkość do zenitu swych życzeń, wyznajmy, że jest na ich drodze.

Polacy byli w wyjątkowem położeniu. Ojczyzna ich rozdarta w kawały, pomiędzy trzy potężne mocarstwa graniczne, mimo usiłowań jej synów od r. 1794, nie zdołała wywaleczyć sobie niepodległości; ale ich poświęcenia, krew za tę sprawę tak hojnie przelana, niesprawiedliwość rozbioru kraju, nikogo niezaczepiającego, historyczne kraju zasługi — wzbudziły wszędzie współczucie, nawet w zimnych sercach dyplomatów Kongresu Wiedeńskiego.

Cesarz Aleksander chciał posiadać całą Polskę. — Nie mogły się zgodzić na to powiększenie, tyle już straszego kolosu północnego inne potencje, dbające jeszcze o system równowagi europejskiej. Przyjaciele dotąd i sprzymierzeńcy, poróżnili się wkońcu o podział tej wielkiej zdobyczy, o mało co nie przyszło do nowej wojny. Ustąpił Aleksander pod grozą kojarzącej się koalicji przeciw sobie — poprzestawał na dawnych zaborach i części Księstwa Warszawskiego, zamieniając takowe na Królestwo Polskie, z przybraniem dla siebie tytułu króla. Dlaczego?... dlatego — ile domniemywać można — że tym tytułem wywoływał oczywistą atrakcję tych dawnych prowincyj polskich, które dostały się Austrii i Prusom. Jaśniej mówiąc: wyciągał po nie swe ręce. Ale ta atrakcyja mocniej jeszcze przyciągała, gdy za zgodą jego Kongres Wiedeński postanowił, by nowe Królestwo Polskie konstituęą rządzone było, jakiej nie używały wówczas jeszcze ani cała

Austria, ani Prusy, tem mniej prowincye polskie im przyznane. Czyż nie pamiętamy my współcześni, że, nie zazdroszcząc nam, nasi bracia z za Prośny, Bugu, Niemna i z Galicji, szczęśliwymi nas być uważali, jako używających narodowego języka, samorządu, instytucyj, wojska i godeł narodowych?

Przyznać należy, że polityka cesarza Aleksandra była zręczną, rozległe widoki na przyszłość posiadającą. Mogły one być spełnione, z obustronnemi korzyściami Polski i państwa rossyjskiego. Stała na przeszkodzie niecierpliwosc nasza, a więcej nieumiejętnosc cesarza i jego następcy, Mikołaja, w prowadzeniu jednoczesnem rządów samowładnych w cesarstwie a konstytucyjnych u nas.

O artykule Kongresu Wiedeńskiego, stanowiącym Królestwo Polskie r. 1815, już nieco wspomniałem. Nie będę rozbierał, czy ów Kongres i pełnomocnicy obradujących mocarstw nacisk w tym względzie wywarli, aby Królestwo to konstytucyjnie rządzone było, czyli też przeciwnie, cesarz Aleksander sam tę swą wolę wypowiedział. Czy tak jest, czy inaczej — gdy historia nam tej okoliczności nie wyjaśnia, pozwalam sobie twierdzić, że w gruncie rzeczy Kongres w zasadzie przyjął jedynie deklarację cesarza Aleksandra i tę jako obowiązkową do swego protokołu zapisał. Jasnem jest wszakże wyrażenie: „że Królestwo to używać będzie oddzielnego rządu — oraz, że ma łączność z Rosyją, jedynie przez posiadanie jego w osobie panujących monarchów rossyjskich“. Dalej: Udzielenie Królestwu „rozszerzenia (extensité) wewnętrznej“, którą cesarz za potrzebną uważać będzie (Convenable), Kongres wyraźnie zostawił jego woli. Tymczasem my Polacy rozumiemy, że: Aleksander zobowiązał się nadać Polsce konstytucję, a w obietnicy nadania jej potrzebnej „rozszerzenia“, chcieliśmy widzieć przyłączenie do niej zaborów r. 1772.

I to mogło nastąpić, jeśli damy wiarę poświadczeniom ludzi wielkiej powagi, ludziom na naszej ziemi zrodzonym i dobrze jej żyjącym.

Jednakże, jeżeli taką interpretację artykułu Kongresu przyjmujemy, przyjdziemy do wniosku, że wyrażenia się jego, w wysokim dyplomatycznym języku i wysłowieniu skreślone, otwierały cesarzowi rossyjskiemu szerokie furtki do wyjścia na wsze strony; że silniejszy, mógł je sobie tłómaczyć według upodobania

a w konkluzji ów artykuł był martwą literą, a my Polacy, mieszkańcy Królestwa, pozostawieni na łasce lub niełasce cesarza.

Konstytucya nasza obiecana i jak bądź wykonywana od roku 1815 do włącznie 1830, upadła z nocą 29. listopada, a jak widzieliśmy, nikt o rozdarciu artykułu Kongresu, nas dotyczącego, nie upomniał się, pod wygodną zasadą nieinterwencji, to jest nie mieszania się do interesów państw obcych.

Błądzić w mem zdaniu mogę — ale, jeśli ono jest racjonalne, jeśli nasi mężowie stanu z przed r. 1831 tak sobie tłómaczyć mogli artykuł tyle razy wymienionego Kongresu, powinni byli być więcej umiarkowani w okazywaniu opozycji, acz legalnej, w Sejmach. — Należało pomijać ucisk, wprowadzić wielki, W. Księcia Konstantego i jego koryfeuszów, a w tej burzy przejściowej trzymać się silnie rudla nawy narodowej, chociaż burza ta jeden maszt lub dwa z pokładu jej zerwała. Z niejakiem nawet naciskiem dodam jeszcze: lekkośmy sobie traktowali akt koronacyjny cesarza Mikołaja na króla polskiego, nie gdzie indziej, lecz w Warszawie spełniony — ja go zaś uważam za nowe przyznanie i utwierdzenie autonomii, odrębności nawet Królestwa Polskiego od cesarstwa. Izby sejmowe bynajmniej nie występowały z wnioskiem tego obrzędu dotyczącym; wyszedł on z wyraźnej i samodzielnej woli tego monarchy, a miał bardzo rozległe polityczne cele.

Mieliśmy rząd własny, skarb, Senat, Radę stanu, Izby poselskie, wojsko narodowe. Sejmy nasze posiadały atrybucye podawania wniosków do tronu, wyłuszczających potrzeby kraju. Król nawzajem projekty do praw, przez się obmyślanych, pod debaty Sejmu oddawał — z tych pierwsze: jeśliby na czasie zatwierdzone nie były, może przy cierpliwości dałyby się w przyszłości przeprowadzić. Cesarz Mikołaj był autokratą w swem dziedzicznym państwie, u nas był królem konstytucyjnym, musiał więc posiadać dwoistą naturę, myśl, słowo i postępowanie. Nie wdrożył się jeszcze w te podwójne, a tyle sprzeczne z sobą obowiązki. My też początkującymi byliśmy uczniami, po tylu latach upadku ojczyzny, na drogach parlamentarnych. Czas, ten wielki motor i nauczyciel, możeby wszystko do równowagi doprowadził. Toż samo można zastosować i do W. Księcia Konstantego. Już był nieco złagodniał, lubo go podbudzali zawsze Nowosilcow, Moren-

hejm i inni — a wyznajmy z boleścią i ze wstydem, że i wysoko położeni Polacy, których tu nie wymieniam, byli mu więcej jak słuźalcami. Wielki Książę nie był nieśmiertelnym, z doczesnem jego życiem możeby się wszystko odmieniło. W cierpliwości, w takcie, w zmyśle politycznym i przeczekaniu tych lat nieszczęśliwych, leżało zdaje się nasze zbawienie i ziszczenie wielu nadziei. Rozpatrzmy, co sobie od lat już wielu zdobyła nasza Galicya, Węgry i Czechy, pod rządem austryackim — a przecież swobodami, nam w Królestwie nadanemi, wyprzedziliśmy te kraje o lat sześćdziesiąt kilka.

Nie przeczę, że łamano w wielu głównych punktach Kartę konstytucyjną, ale któryż władzca nie łamał podobnego kontraktu, z ludami swymi zawartego? Monarchowie są ludźmi; postawieni tak wysoko, chcą mieć swoją wolę, drażni ich opozycya; my mauluczcy za ostro z nią występowaliśmy. Sejmy nasze zaczęły przybierać, jeśli nie zupełnie, to w przybliżeniu przynajmniej postawę historycznych dawnych obrad Sejmów Rzeczypospolitej. W każdym parlamencie, zdobycie popularności u tłumów, idzie za wygłoszeniem śmiałego słowa przez mowę — galerye przyklaskują. Jest w tym cel dwójaki: głośnym być w narodzie, lub oczekiwać aż rząd zamknie usta datkiem, stopniem lub znaczeniem. Za tymi brudnymi widokami posłowie nasi wprawdzie się nie ubiegali, ale mocno grzeszyli swemi mowami. To co nam z dyaryuszów sejmowych pozostało, chociaż nie wszystko w nich zamieszczono, daje tego jawne dowody.

Pamiętajmy, przypomnijmy sobie, że cesarz Aleksander nadał Królestwu Polskiemu konstytucyę, ale jego następcą, Mikołaj, koronował się na króla naszego, spełnił więc najwyższy akt zaręczenia z swej strony, zaprzysięgając przy tej koronacyi, wobec reprezentantów narodu, wobec Boga i świata całego, dotrzymanie warunków tejże konstytucyi. Czyż to nie była dostateczna gwarancya? Ministrowie nasi niekonstytucyjnie postępowali. mianowicie książę Lubecki, skarbem i finansami zarządzający, ale mimo niektórych ich w czynach samowładności, mimo wielu fiskalnych nadużyć, w gruncie dobro kraju mających na celu, dobrobyt jego widocznie i prędko się podnosił.

Owoż z powodu ucisków policyjno-politycznych Wielkiego Księcia Konstantego, dotykających jedynie gorącą młodzież; z przy-

czyny niejakich pogwałceń Karty konstytucyjnej; niedopuszczenia do obrad Sejmu koronacyjnego jednego z posłów opozycyjnych, który podpisał deklarację niestawienia się na nim, a mimo tego chciał w nin uczestniczyć; skasowania jawności obrad sejmowych, którego to projektu myśl nie wyszła zkaąd inąd, lecz z naszej Rady stanu, co wszystko, prawdę mówiąc, dotykało jedynie stolicę, Senat i Izby sejmowe — podnieśliśmy rewolucję 29. listopada, kiedy kraj cały rósł w zamożność i dobrobyt, kiedy rozwijały się wszędzie jego prace produkcyjne.

Dziś, po tylu ubiegłych latach, po skutkach, jakie nastąpiły — przed Bogiem, własnem sumieniem i przed mymi rodakami wypowiediem me przekonanie, że niewczesnem było nasze powstanie r. 1830.

Nieskończenie wyższą była wówczas Rossya od nas swą siłą materyalną; my znów przodowaliśmy nad nią ogólną naszą inteligencją. Moralny punkt jej ciężenia był u nas; przez nasze to ziemie szła dla niej droga do ucywilizowanej Europy. Ocieranie się więc Rossyan o Polskę konstytucyjną, przodującą całej Słowiańszczyźnie zdolnościami umysłowemi, zbawienne tylko skutki na nich wywierać mogło. Królestwo Polskie, rządzone konstytucją, prawami osłaniającemi osobisty honor każdego mieszkańca, jego mienie, religią, społeczne stanowisko, posiadające reprezentacją narodową — nie brudną zazdrość, ale spokojne dążenie do uzyskania podobnych przywilejów, wzbudzać w Rossyanach było powinno. Rewolucją naszą zatraciliśmy ojczyznę — została nam tylko chwała szczytnego i zadziwiającego oporu przeciw silniejszemu — ale z jej zgnębieniem i Rossya na długie lata, bo po dziś dzień, stanęła na drodze wielkich swych przeznaczeń.

Gdzie się wykłął zamiar podniesienia naszej rewolucyi?... W rozpalonych głowach kilkudziesięciu młodzieży wojskowej i cywilnej: kilku oficerów najniższych stopni, dwóch członków Sejmu: Zwierkowskiego i Lelewela. Byliż oni pełnomocnikami narodu?... Nie! uczniowie Uniwersytetu, do spisku należący, rozwinąć go skutecznie nie mogli bez siły zbrojnej, bez Szkoły podchorążych — ei mieli w rękę broń, w piersiach energię i odwagę. Spisek rozszerzał się przeważnie między wojskowymi; dumnie oni nosili swe znaki oficerskie, ale trwały pokój zatrzymywał ich długo w niskich stopniach, należało na awans wyczekiwać lat sześć i więcej. Woj-

skowy zawsze i wszędzie żąda sławy, honorów i awansów — u nas to wszystko było zamknięte — mieliśmy podporuczników, liczących lat trzydzieści wieku. I sądzę, że gdyby Wielki Książę Konstanty, zgodził się był z życzeniem brata i cesarza, wysłał wojsko polskie na wojnę turecką lat 1828 i 1829, gdyby temu ciału apoplektycznemu dobrze krwi upuszczono, gdyby starzy dowódcy, wiekiem obarezeni, dla samej niemożności odbywania tej kampanii usunęli się i otworzyli młodszemu a silniejszemu wakanse, ruch ten, nużące marsze, widok obcych krajów, zdobyta sława, odznaczenie się, stopnie, krzyże, jeśliby nie wykorzeniły zupełnie z umysłów zamiaru powstania, to przynajmniej dokonanie jego na długie lata odroczyłyby zdołały, a może i na zawsze, bo czas, jak wiadomo, zmienia najsilniejsze postanowienia.

Jakby wieszczym duchem cesarz Aleksander I. przewidywał nasze powstanie w r. 1815. Chciał, by wojsko polskie składało się jedynie z 24.000 ułanów, bez artylerji, korpusu inżynierów, etc. Wielki Książę Konstanty chciał się bawić w organizację wojska wszelkiej broni i stało się, czegośmy doczekali w piętnaście lat później. Dodam, że wojna, wypowiedziana przez Rosyją Austrii, Prusom lub Turcyi, była u nas jedynie popularną i na nią wojsko polskie ochoczo by poszło. Któż zresztą dziś przewidzieć może, czy za niezawodne zasługi tego wojska, w wojnie z Turcyją położone, cesarz Mikołaj nieczułby się w obowiązku przyzwolić na ściślejsze wykonywanie konstytucyi krajowi nadanej?... Czy nie spełniłby obietnicy swego poprzednika, przyłączając do Królestwa Litwę i zabrane prowincye?..

Rewolucya wybuchła. Wielki Książę Konstanty nie śmiał jej czoła stawić. Wzięli jej kierunek ojcowie narodu. Widzieliśmy, w jakim duchu odezwali się do niego. w pierwszej proklamacyi, datowanej 30. listopada. Uniósł ich na tę chwilę nieprzełamany prąd wojska i ludności Warszawy, która za niem poszła, a nawet krew przelana na jej ulicach. Ale gdybym mógł zajrzeć w ich serca i umysły podówczas, przekonałbym się, że podjęli tę sprawę, by ocalić z jej wyniku co się da uratować. Podjęli ją, jak ten, co staje do walki sam przeciw wielu przeciwnikom i życie swe sprzedaje dla ocalenia honoru. Tak też uczuwali i wyżsi nasi dowódcy. — Nie pierwszy to raz dobywali swych pałaszy za sprawę narodową, honor im nakazywał raz ostatni z pochwę je

wyciągnąć. Bili się mężnie, nadstawiali swe piersi, ginęli na bojowiskach z przyznaną im sławą w wojsku i narodzie, ale bili się bez przekonania i nadziei!... Wojskowe ich doświadczenie nie pozwalało im wierzyć, by siłami, czerpanymi z czteromilionowego Królestwa, mogli zwyciężyć olbrzyma Północy. Może ufali nieco interwencji Francji, ale Francja była daleko. Rzuciliśmy się więc w przepaść. Honor wojskowy, honor narodu w tej nierównej walce został ocalony — ale matka-ojczyzna wstąpiła do grobu bodaj czy nie ostatecznie!...

Na poparcie mego zdania, tak śmiało tu przytoczonego, dołączam w ścisłym tłumaczeniu ustęp z listu pisanego w dniu 25. października 1831, a przeto zaraz po stłumieniu rewolucji naszej, przez sławnego autora francuskiego, Alfonsa de Lamartine, do redaktora „Głównego Przeglądu Europejskiego“, w rozbiórce polityki racjonalnej i obowiązkach rządów względem rządzonych przez nie ludów. (Dzieła Lamartina, wydanie brukselskie r. 1844. stronica 785).

„Co do Polski — szczytnymi były jej żądania wskrzeszenia swej narodowości, która nigdy wygasnąć nie może i również bohaterska reklama praw przez Europę pogwałconych. Francja, nieprzeszkadzająca jej rozbiorowi w dawnych czasach, nie nie zyskująca z jej rozszarpania, miała obowiązek jej krwią swój dług wypłacić — tem więcej uznać usiłowania w wywalczeniu niepodległości. Wolno jest zawsze narodom odżyć, bo zbrodnie polityczne nie są prawem dla ofiar tego rodzaju. Nie ma też przedawnienia dla ludu, który chce i może wyjść z tymczasowej, a narzuconej mu niewoli. Lecz jeśli w sumieniu Francji leżał obowiązek wdzięczności i pomocy dla Polski, miała ona prawo i słuszość wybrać do tego odwetu czas i godzinę. Ogólna i narodowa jej sympatya dla bohaterskiej Polski, nie narzucała jej jednak nierozsądnej konieczności rzucenia się ślepo w ogólne nieporozumienia z ościeniami państwami. Rządy są opiekunami rządzonych ludów, a w tych obowiązkach władne są stłumić na razie najszczytniejsze swe współczucia uwielbienia i liłości. Chwila powstania polskiego nie odpowiadała interesowi Francji, zaledwie organizującej się po rewolucji lipcowej r. 1830. Czy mogła być ta sprawa podjęta przez rząd jej chwiejący się jeszcze na swych niepewnych podstawach?... Tu jest właśnie kwestya. My Francuzi nie mogliśmy jej rozwiązać,

bo rząd sam tylko posiada środki działania w swem rozporządzeniu. Prawo takie jest najwyższą siłą! uwielbienie zaś i współczucie są tylko bodźcami w takich razach. Wojny za takie uczucia prowadzone, są najwięcej bohaterskimi. Były takimi wojny Krzyżowe, powstanie Wandej, opór Hiszpanii przeciwko Napoleonowi. Widzieliśmy ludy wybijające się, pod mniej wrażliwymi sympatjami, jakich Polska używała; ale biorąc na uwagę skutki, następstwa i opinię polityczną, którą wywołała rewolucya lipcowa — a tem samem zadanie odpowiedzialności rządu francuskiego wobec interesu rządzonego przezeń kraju — Polska może źle wybrała dzień swego zbrojnego powstania... rok wprzód, trzy lata później... cała Europa podjęłaby jej sprawę i zwyciężyłaby!“

Zdania te życzliwego nam Lamartina, nacechowane są — jak miemam — zdrową i gruntowną polityką. Nie mogła nam przyjść z pomocą Francya w owym czasie. Rok wcześniej... trzy lata później... pisze on, niechby wybuchło powstanie polskie. I prawda!... rok wprzód, była to wojna z Turcyą, wyczerpująca wszystkie siły Rosyi. Trzy lata później, rząd francuski, wzmocony na swych podstawach, nie odmówiłby nam swej interwencji. Pamiętajmy, że zrzucony z tronu Karol X. w owym powszechnym pokoju środkowych państw Europy, zostawił Francję z wojskiem, nie liczącem stu tysięcy żołnierza i z finansami prawie zrujnowanemi.

Przejdę teraz do skreślenia charakterów i działań niektórych osobistości, na widowni naszej rewolucyi stojących.

Generał Chłopicki — to bożyszcze wojska, ulubieniec narodu, chowający się w pierwszych dniach powstania; ogłosił się dyktatorem 5. grudnia 1830 roku — mówię: ogłosił się sam, bo inną władzę, więcej ograniczoną mu oddawano, a na tem stanowisku chwycił nie tylko dowództwo wojsk naszych, ale i rządu kraju. Umysłem jego dzielnym i energicznym na polach dawnych bitew, owładnął natychmiast książe Lubecki, minister skarbu i stał się jego kierownikiem, wlał weń niewiarę w podniesioną sprawę. To przypuszczenie dowodzi proklamacya Chłopickiego z dnia 8. grudnia, już wyżej przytoczona, a odwołująca się do „serca króla, który nie może uznać, gdy się dowie, jak go zwodzono.“ Te słowa publicznej odezwy przekonywują, że dyktator nie miał zamiaru

zrywać z cesarzem Mikołajem. Popiera to twierdzenie wysłanie Lubeckiego i Jezierskiego do Petersburga, w zamiarze złożenia cesarzowi sprawozdania z położenia rzeczy. Zręcznym tym manewrem i namową dyktatora, Lubecki unikał dalszego kompromitowania się przed Mikołajem, unikał również osobistych niebezpieczeństw, bo w stolicy naszej i w kraju wcale popularnym nie był. Wysłańcy ci, mieli tłómaczyć Chłopickiego z faktu pochwycenia władzy, „aby nie stała się pastwą ludzi burzliwych i niespokojnych“.

Postąpienie to ulega najsurowszej krytyce z tego względu, że po zabójstwie tylu generałów polskich, aresztowaniu schwytych rosyjskich, targnięciu się na życie brata cesarskiego w Belwederze — stanowcze zerwanie z Rosyą już niejako nastąpiło, a tem samem porozumienie się z „królem“ było już niepodobne, bo ów król pragnąłby odwetu i srogiej kary za targnięcie się na swych zwolenników i swą władzę. Rewolucya, podniesiona w zamiarze odzyskania niepodległości Polski, nie była uliczną swawolą — był to akt szczytny, jak go pojmowali spiskowi, nie dając się stłumić żadnymi układami. Wstrzymanie zaś ruchu wojkowego, do którego cała ludność Warszawy tak chętnie się przyłączyła, który, jak się spodziewać należało, przyjmie cały naród — było prostem zaparciem się jego głównej zasady, boć cesarz i król na ową niepodległość zgodzić się nie mógł. Jasnym było przewidywanie, że praw swoich dochodzić będzie siłą, przeciwko której również siłę postawić należało.

Nie zdołali na razie pojąć ducha naszej rewolucyi ci, którzy, powodowani chęcią zatamowania tego burzliwego potoku, zamierzali go zwrócić w naturalne jego łożysko. Przyznać należy, że ciemne były tym ludziom przedstawiające się drogi; nie o władnąć tym ruchem — mogła nastąpić anarchia a może i terrorizm; wziąć jego kierunek bez wiary w powodzenie — równym było grzechem. Należało więc pójść z prądem niespodziewanego wypadku, bez oglądania się na skutki i następstwa — przyjąć go dło: „być, albo nie być!...“

Te wahania się kierowników rewolucyi powodowały, że pozwolono cofnąć się z pod Warszawy Wielkiemu Księciu Konstantemu z jego wojskiem, które mogło i powinno było być wzięte. Chłopicki zaniechał szybkiego uzbrojenia narodu, a jeśli wydał

w tym względzie jakowe rozkazy, to jedynie naglony opinią publiczną.

Że nie wierzył w siły powstania, że ani myślał o wyprawie na Litwę, że ciągle się oglądał na układy z cesarzem Mikołajem, dowód w tem smutnem jego wyznaniu, złożonem 17. grudnia przed deputacją sejmową, której powiedział: „że wojska na oczywiste jatki nie powiedzie i przysiedze. wykonanej cesarzowi, wiernym pozostanie“.

Obdarzony nieograniczonem zaufaniem narodu i wojska, mógł być jedynym przewodnikiem powstania. Ale go nie rozumiał, w nie nie wierzył. Nie zatajać więc, jak to uczyniono, lecz natychmiast ogłosić należało to jego wiary wyznanie. Urok, jaki wywierał, upadłby natychmiast, a sprawa by na tem zyskała. Usunął się też niedługo... odepchnął nieśmiertelną sławę, jaką mógł zdobyć; tymczasem wojsko i naród, nie wtajemniczone w jego powody, przypisywało błędnie to oddalenie się kabałom Rządu narodowego i Izb sejmowych. Nie skąpił wprawdzie swej krwi, broniąc Olszyny w bitwie 25. lutego, na którą, gdy szedł, wyraził się w swem otoczeniu: „trzeba się jeszcze raz porządnie wytrześcić“ — ale w dziwaństwie swoim, szedł na czele wojska, jak opowiadano, w cywilnem ubraniu. Nakoniec znając swą wyższość nad księciem Michałem Radziwiłłem, któremu tylko w ostateczności Rząd narodowy dowództwo wojska powierzył, nie przedsięwziął środków, by podwładni dowódcy jego również rozkazom posłuszni byli. Dlatego to generał Krukowiecki w bitwie, jak wyżej, nie poparł Rosssyan należycie pod Białoleką, dumnie wysłanemu adjutantowi odpowiedział: „że rozkazom generała w cywilnym surducie ubranego, posłusznym nie będzie“. Dla tego też generał Łubieński z naszego lewego skrzydła, nie poszedł z jazdą do ataku, na zgromionego już nieprzyjaciela. Rozważając wreszcie pojedyncze pretensye naszych generałów i ich nawyknięcia do uległości tylko wyższej woli, mam przekonanie, iż przed jednym tylko Chłopickim, jako naczelnym wodzem, uchylili by czoła z posłuszeństwem.

Chłopickiego widziałem raz ostatni w r. 1837 w Krakowie, w ogrodzie Strzeleckim. Siedmdziesięcioletni starzec wyglądał czerstwo, głowę wysoko trzymał i zachował to głębokie spojrzenie, które go zawsze odznaczało. Poznałem go natychmiast — przywi-

tałem się z kilku osobami z jego otoczenia, spojrzął na mnie swym orlim wzrokiem, a gdym odszedł bez przedstawienia mu się, spytał: „kto to jest?...“ Na otrzymaną odpowiedź wyrzekł tylko jedno krótkie: „Aaa!...“ W Krakowie utrzymywał się dostatnio, ale bez zbytku — chodził jadać do restauracyi pod różą i tam go zawsze Galicyanie otaczali. Ognisty i namiętny we wszystkim, grał w karty prawie zapamiętale. Dziwak do końca życia, umierając, jak mnie zapewniano, rozkazał do śmiertelnego swego ubrania przypiąć krzyż francuski Legii honorowej. Krzyż polski, również chwalebnie zasłużony, odrzucił. Karyera jego wojskowa, była jedną z najświetniejszych. Odbywał wojnę w Hiszpanii pod marszałkiem Suchet, jako szef batalionu a później pułkownik; długi czas służył w wojsku francuskim. Ciągłe wspomnianego w raportach marszałka, Napoleon, za przybyciem swoim do Hiszpanii, kazał go sobie przedstawić. Zobaczył ogromnego mężczyznę, a w nim zachwałego tylko nieporównanem męstwem żołnierza, nie więcej; polecił mu wypłacić 20.000 franków, wysłał do Paryża, by się ogładził, później posunął na generała, nadał mu wreszcie tytuł barona państwa francuskiego i wiele go cenił — szczegóły te posiadam z opowiadania starych naszych wojskowych.

Książę Adam Czartoryski, potomek naszych Jagiellonów, wzór cnót obywatelskich, pan przeszło pięćdziesięciomilionowej fortuny, sypiący swymi dostatkami na wychowanie i kształcenie młodzieży polskiej. Fundator szkół powiatowych w dobrach swoich, Międzyborzu na Podolu, które utrzymywał własnym kosztem, protektor Liceum krzemienieckiego — nie zrażał się ciąglem odsuwaniem go od spraw publicznych za czasów Księstwa Warszawskiego za to, że był przyjacielem cesarza Aleksandra I-go, za rozmarzonej jeszcze filantropią jego młodości, a później ministrem spraw zagranicznych cesarstwa; usiłując wszelkimi siłami na Kongresie Wiedeńskim utrzymać sprawę polską, nie zrażał się również późniejszą obojętnością, okazywaną mu przez cara Aleksandra jako króla polskiego — owszem: odwołując się do dawnych z nim swych stosunków, w listach mu przesłanych, przedstawiał ciągle potrzeby kraju, przypominał mu dane obietnice a niespełnione.

Gdy nadszedł dzień ostatecznego poświęcenia, mąż ten, pełen politycznego rozumu i przenikliwości, znający gruntownie po-

litykę trzech monarchów świętem przymierzem związanych, nie zawahał się ani na chwilę i przyjął spełnioną rewolucję 29. listopada za narodową i własną. Stał na jej czele, jako prezes Rządu. On, nie wojskowy, kiedy na radach rządowo-wojennych dowódcy nasi nachylali swe zdania do układów z cesarzem, przenikając, że te nigdy żadnego nie wezmą skutku, tem mniej dotrzymane będą, zagrzewał swą mową wątpiących. Już dosłownie zacytowałem jego przemówienie, gdy obwołany został prezesem Rządu — a należało go postawić na tak wysokiem stanowisku, aby przekonać świat polityczny, że rewolucya nasza nie dąży do anarchii, lecz uszanuje społeczny bieg spraw wszelkich. W tem to przemówieniu wskazywał obrońcom kraju niebezpieczeństwa mu grożące, ale i upominał, aby pod ich gromami nigdy nie upadali. On to po bitwie ostrołęckiej, zrozpaczonego Skrzyneckiego podniósł, podsuwając jeszcze niejakię nadzieję. On przemawiał do ostatniej chwili, za wytrwałością i bojem, bo domyślając się, że sprawa na zagubę jest skazaną, chciał przynajmniej honor narodu ocalić i pokazać światu, że godni byliśmy lepszych losów. Podjął rękawicę, jaką młodzież nasza rzuciła cesarzowi — nie przyjął korony, jaką mu ofiarowano, oświadczając, że „Jagiellonowie już wszystko, co mieli, oddali ojezyźnie“. Kto zgłębi wielki charakter tego męża, ten powie ze mną: był to ostatni magnat polski!... Skończył życie na wygnaniu!

Książę był wzrostu dość wysokiego — oblicze wielkiej powagi, krasnął dobotliwy uśmiech — miał wysokie, mądre i myślące czoło — włosy i oczy ciemne, nos ściągły — chodził wolno — wymowę ustną i pod piórem, posiadał znakomitą — pamięć obszerną — naukę nadzwyczajnie rozległą, tę też protegował wszelkiemi siłami i swą możnością.

Jan Skrzynecki — dowódca 8-go pułku piechoty liniowej przed r. 1831. Kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik Legii honorowej francuskiej, człowiek honoru, naukowy, nie narzucający się jak inni W. Księciu Konstantemu. W pierwszych początkach naszej wojny, odznaczał się swemi manewrami, po wejściu wojsk rossyjskich do kraju i w bitwie swej dywizji pod Dobrem. Główny redaktor biuletynów wojennych, pozornie zimny i w sobie zamknięty. W nocy z dnia 25. na 26. lutego po bitwie pod Grochowem, powodowany natchnieniem, wymownem słowem

krytykował błędy w jej prowadzeniu, wobec zgromadzonego Rządu i Izb sejmowych. Chciano w nim widzieć obok zdolności wojskowych, siłę ducha i energię. Obrany naczelnym wodzem, strawił się pod wrażeniem tak wysokiego stanowiska. Chwalono mu to, że zaraz na wstępie powołał do sztabu głównego: Chrzanowskiego, Prądyńskiego i Kołaczkowskiego. Wyprawa wielko-czwartkowa i zniszczenie korpusów Rosena i Gejsmara, uświetniły jego imię — zdobyte trofea zyskały mu podziękowanie Sejmu, krzyż komandorski polski, wdzięczność narodu, ufność wojska. Błędy jego późniejsze już wytknąłem: mógł zdobyć Siedlce i magazyny tam przez Rossyan nagromadzone, następnie bić ich nieprzestannie, znieść zupełnie gwardye, inaczej poprowadzić bitwę ostrołęcką. Zamiast iść osobiście na Rüdigera, podnieść znów swe zasługi i sprawę, powierzył dowództwo ekspedycyjne korpusu nieudolnemu a nawet podejrzanemu generałowi Jankowskiemu. Nie bronił Paskiewiczowi przeprawy na dolnej Wiśle, pod Ciechocinkiem; dopuścił nakoniec nieprzyjaciół pod same okopy Warszawy, nigdzie ich marszu nie wstrzymując. Oglądał się ciągle na pośrednictwo państw obcych — wdawał się bezpośrednio w korespondeneyę dyplomatyczne z zagranicą, a kiedy Rząd narodowy mu to postępowanie zganił, pokątnie spiskował na jego skład osobisty i wyrabiał sobie partye na jego obalenie. Podniósł niezgodę i waśnie w sztabie głównym, gdy Chrzanowski i Prądyński wygadali się, że przeszłe powodzenia były skutkiem ich planów i pomysłów; nie umiał być skromnym, kiedy istotna zasługa nie była po jego stronie, a chwała wykonania zawsze by przy nim pozostała. Nakoniec złożono go z dowództwa. Czemuż nie kilka miesięcy wcześniej?!...

Skończył swą karierę sromotną i tajemną ucieczką z Warszawy i obozów naszych, przed mściwą ręką, jaka go ścigała!

Rys ten treściwy jest wprawdzie powtórzeniem szczegółowego opisu naszej wojny, ale winienem go był tu zamieścić. Obrazuje on niedołęztwo Skrzyneckiego, który nigdy stopnia prostego generała nie powinien był porzucać. Odpowiedzialności przed światem, przed historją narodu i własnem sumieniem, pojąć on nie umiał; podjął władzę, by ją zgubić. Wyprawa na gwardye, bitwa ostrołęcka, nie otworzyły mu oczu na własną nieudolność.

Chybił wyprawę na Rüdigiera, aby zostać pod Warszawą, aby intrzygować przeciw Rządowi i Izbowi sejmowym.

Dorzućmy do tego, że wzbili się w niesłychaną dumę, otaczali się książętami i hrabiami, a ci będąc jego adjutantami, schlebiali jego próżności. Jeździł w marszach powozami cesarskimi, w Zamku zabranymi, w cztery i sześć koni — poprzedzał go półszwadron kawaleryi, za nim drugi. Sumy trwonił na utrzymanie swej obozowej kuchni, bo do stołu jego zasiadał cały sztab jego. Pewnego razu, po Radzie wojennej, ojciec mój z innymi generałami, zaproszony był na obiad czy śniadanie do wodza. Zbytek był prawdziwy w przyjęciu, rozmowy głośne i wesołe. Ojciec milczał — ktoś z obecnych go wezwał jako najstarszego, aby przytoczył jedno z tych wspomnień z czasów wojny Kościuski... Rodzic mój na to odpowiedział, zmarszczywszy czoła: „Posłany byłem przez generała Wodzickiego z raportem do naczelnego wodza po bitwie Racławickiej; zastałem Kościuskę siedzącego na zydlu przed chłopską chałupą... zjadającego z prostej glinianej miski zrazy z jaglaną kaszą i dostąpiłem tego zaszczytu, że się ze mną tem jadłem podzielił...“ Oniemieli wszyscy.

Kiedy nasz pułk z pułkiem Mazurów, szedł połączyć się z generałem Milbergiem idącym z swym korpusem w Płockie, stanęliśmy na dziedzińcu pałacowym w Jabłonie dla wytknięcia koniom; w tem dają znać, że Skrzynecki jedzie. Po niedługiej chwili, pędzą przodem Krakusy, za nimi lando odkryte, w niem rozparty wódz z żoną i z jakimś księciem adjutantem; dalej kilka powozów i znów eskorta. Raczył wysiąść z żoną i tu nastąpiła ceremonialna imienna prezentacya pani wodzowej naszych oficerów. Stała nieopodal i gromada włościan, nam się przypatrująca, a jako ciekawa, zbliżała się pomалу, aż prawie do nas dotarła. Jeden z adjutantów pyta siwiutkiego chłopka, czy pamięta księcia Józefa Poniatowskiego?... ale tak głośno, żeśmy wszyscy ucichli. Chłopiek mówi, że go dobrze pamięta — na to adjutant pochlebca: „Gospodarzu! widzisz tego generała? to taki sam, jak księżę Józef“. A starzec: „o nie, panie oficerze!... nasz księżę był inny!...“

Czy podobna uwierzyć temu co opowiadano; jakie temu maluczkiemu człowiekowi roily się po głowie marzenia?... Wiedział on, że Chłopiickiemu Izby sejmowe ofiarowały najwyższą władzę. On też chciał być Janem IV.!!

W jakiś czas po naszej wojnie, kiedy Belgia wywaleczywszy swą niepodległość, potrzebowała wojskowych organizatorów, z Paryża, gdzie zamieszkiwał, przyjął u niej służbę Skrzynecki z kilkunastu naszymi oficerami. Król Leopold I. przyznał mu stopień generała, ale cesarz Mikołaj dosięgnął ich tam potężną swą ręką. Wydalono wszystkich. Osiadł w Pradze, później w Krakowie i utrzymywał się z pensyi, jaką mu płacił rząd belgijski — nie długo też zmarł.

Nie słyszałem, aby on i Chłopicki zostawili po sobie jakie usprawiedliwienia lub pamiętniki. Był wzrostu średniego — brunet, szczupły, twarz bez wyrazu — zdjąć było z niego mundur i szlify, miał pozór pospolitego człowieka.

Prądyński Ignacy — jako oficer głównego sztabu, był zdolności niepospolitych. Energii miał mało — na radach wojennych nie umiał bronić przekonującą mową swych planów i zdań, chociaż takowe najlepiej były obmyślane.

Bajarz — opowiadał każdemu, co go tylko chciał słuchać, że on jeden zna i pojmuje wyższą taktykę wojenną, on jeden wszystko prowadzi. Ztąd plotki i zazdrości ze strony Skrzyneckiego. Podejrzany jest powrót jego z korpusu Romaryny, wtedy, kiedy z nim go wysłano dla dopilnowania ścisłego wykonania danych temuż generałowi instrukcyj. Widzenie się jego z generałem rossyjskim, Dannenbergiem, z którym parlamentował, kiedy Warszawa już ściśniętą została, poddanie się łechtaniu swej ambicyi w tej rozmowie, zaufanie, jakie w nim pokładał generał Krukowiecki, wysyłając go kilkakrotnie do obozów nieprzyjacielskich, zanadto wymowny obraz sił wojsk stolicę oblegających, jaki złożył przed Izbami sejmowemi — na ostatnie jego czyny i postępowanie przed wzięciem Warszawy, smutną rzucającą plamę, tem więcej, że nie poszedł za wojskiem do Modlina, ale oddał się Rossyanom. Historia dotąd jeszcze nie wszystko wyjaśniła — zapewne wiele tajemnic zostanie na zawsze nieodsłoniętych. Może i lepiej.

Generał Chrzanowski Wojciech — równie zdolny, ambitny, zarozumiały, uparty, szemrzący ciągle, walczył o lepszą z Prądyńskim w waśniach ze Skrzyneckim — w końcu stanowczo przeszedł na jego stronę. Z upoważnienia naczelnego wodza i on parlamentował pod Warszawą z Rossyanami i otworzył sobie nieznajome nam drogi, że go nie kto inny przyjął w przednich stra-

zach, tylko generał Tielmann, z którym się był zaprzyjaźnił podczas wojny tureckiej r. 1828/9, bo tę razem odbywali. Rozmowa ta pozostała tajną. To pewna, że od tej chwili Chrzanowski zupełnie stracił wiarę w powodzenie powstania i bluzgał na radach wojennych mniej przyzwoitymi wyrazami, a naszemu wojsku ubliżającymi. Jak Prądzyński, i on nie poszedł z nami do Modlina po kapitulacji Warszawy.

Generał Jan Krukowiecki. Już w niniejszym pamiętniku wspomniałem o jego intrydze przeciwko generałowi księciu Sułkowskiemu, po bitwie pod Lipskiem w r. 1813. Burzliwego nadzwyczaj charakteru, nie posiadał nigdy miłości swych podwładnych. Długoletnia rutyna wojskowa wyrobiła w nim zdolności do pewnego stopnia. Posiadał męstwo Polakom wrodzone. Dumny, ambitny w najwyższym stopniu, pragnął wszystkich i zawsze wyprzedzać, a w r. 1831 dosięgnąć najwyższej władzy. Kiedy w nocy z dnia 25. na 26. lutego naradzano się, komu naczelne dowództwo wojska powierzyć, bolało go najmocniej, że wybór nie padł na niego, a po mianowaniu Skrzyneckiego, szorstko się odezwał, że i dobosza słuchać będzie.

Jestem przekonania, że gdyby Krukowiecki w dniu bitwy 25. lutego spełnił swą powinność, wykonał rozkaz przesłany mu przez Chłopickiego, bitwa ta byłaby zupełnie wygraną — a wtenczas okryty chwale, obrany byłby niezawodnie naczelnym wodzem. Duma jego, żądza wywyższenia się nad innych raz zaspokojona, może by go doprowadziła do wielkich czynów, mianowanie zaś Skrzyneckiego wodzem, prostego pułkownika z przed r. 1830, kiedy on już był generałem dywizyi, wyrodziło w Krukowieckim najsilniejszą zawiść, zazdrość i niechęć.

Odtąd między tymi dwoma ludźmi, rozpoczęła się jawna, cicha i nieprzełamana wojna, oraz zgubny dla sprawy narodowej antagonizm. Nie uważając wreszcie zdania mego za stanowcze, wolałbym widzieć Krukowieckiego naczelnym wodzem, jak Skrzyneckiego; pierwszy więcej energii posiadał; ostry w słowie i czynie, wzbudzałby uszanowanie i posłuszeństwo w innych dowódcach; nie był zresztą takim wygodnisiem, jak Skrzynecki. Charakter, jaki posiadał, niezaspokojona duma, współzawodnictwo ze Skrzyneckim, rzuciły go na pole pokątnych intryg. Zyskał zaufanie i uwielbienie Klubu patryotycznego, bo go szukał, potrzebował,

o nie się starał — stawiany też był zawsze na przodzie przez Lelewela.

W pamiętnej nocy 15. sierpnia, mocne jest podejrzenie, że bezpośrednio lub pośrednio kierował ulicznym ruchem, a conajmniej nań pozwalał, kiedy go tej nocy, wśród zaburzeń widziano, kiedy jego obecność była skonstatowana. A tak uniał kierować opinią publiczną, że jemu przypisywano uśmierzenie rozruchów.

Po tyle bezwzględnem obaleniu prezydentury Rządu, sprawowanej przez księcia Czartoryskiego, połączonymi głosami w Izbach reformistów i lelewelistów, wybrany został na prezesa Rządu narodowego. Gubernatorem stolicy mianował generała Chrzanowskiego, który tym razem znów przylgnął do niego. On to wskazał mniej stosowny system obrony Warszawy; on złuzował generała Sierawskiego z załogi szańca Woli, a postawił w nim wprawdzie równie walecznego Sowińskiego z 10. pułkiem nowej piechoty, zostawując w tym najważniejszym punkcie jedynie dziesięć arnat i 2.000 żołnierza.

Konferował za pośrednictwem Prądzińskiego z generałem Dannenbergiem; nadstawiał ucha łudzającym warunkom, na których wykonanie żadnej gwarancyi ów parlamentarz nie dawał; na radzie Rządu silnie przemawiał za ich przyjęciem.

W samym szturmie Warszawy, Krukowiecki, prezes Rządu, *de facto* wódz naczelny, wojskowy z powołania, nie kierował jej obroną, nie pokazał się na linii bojowej. On to z Chrzanowskim po pierwszym dniu szturmie i wzięciu szańca Woli, postrachem rozpaczliwego położenia chciał doprowadzić Izby sejmowe do oddania miasta. Znów użył Prądzińskiego do rozmowy z nieprzyjacielem — sam konferował z Paskiewiczem. Sam już będąc pełnomocnym do stawienia przedwstępnych układów, zwał wina na Sejm, że mu nie udzielił właściwego upoważnienia. Wśród tych chwil rozpacznych działał samoistnie, nareszcie bezpośrednio wysłał Prądzińskiego z listem do cesarza, a w tym poddawał się w imieniu narodu, już bez żadnego warunku, w oczekiwaniu zaś powrotu wysłańca, spokojnie siedział w krześle przed pałacem Rządu — w chwili, gdy Rossyanie, wyprowadzając do boju ostatnie swe rezerwy, drugi szturm przypuścili. Jeszcze druga linia fortyfikacyj miasta zdobytą nie została, a nasze wojska cofały się za most na Pragę... Generał Małachowski, zastępca naczelnego

wodza, nie wydał tego rozkazu — o jego wydaniu nie wiedział... Któż go więc wydał?...

Te matactwa skłoniły Rząd narodowy, że złożył Krukowieckiego z urzędu. Istotnie niepojętą jest rzeczą, co w tej epoce wrzało w jego umyśle. Braku honoru wojskowego, przywiązania do kraju, nikt mu zarzucić nie mógł — a tymczasem w owych godzinach nieszczęścia naszego, rozmyślnie pchał do zguby sprawę tak świętą. Zdawałoby się, iż po to sięgał po władzę najwyższą, aby skończyć tę walkę jak najprędzej, chociażby z upodleniem narodu i jego przedstawicieli.

Jakież więc miał powody i widoki do takiego postępowania?... Jeśli mamy wierzyć bardzo upowszechnionej wówczas pogłosce i opinii, działała w nim brudna ambiecia. Widział on koniec powstania i wojny — przyspieszyć go, oddać cesarzowi Warszawę, z jak najmniejszym kwi jego żołnierzy rozlewem, by osiąść jego łaskę, ten jeden miał być jego cel i zamiar... a za to... czekał... pożałował... by go mianowano namiestnikiem uspokojonego Królestwa. Czy mu to obiecano?...

Miał świadków swej rozmowy z feldmarszałkiem Paskiewiczem, ale nie zbyt bliskich, by jej osnowę dosłyszeli — miał ich i Prądzyński, gdy był jako parlamentarzysta wysłany... ale są sposoby na wszystko!...

Broni Krukowieckiego w swem dziele pułkownik Förster, cytując dokumenta i jego listy. Sam Krukowiecki w nich wyrzuca księciu Czartoryskiemu, że ten przy powadze swego nazwiska i położenia, oraz posiadanych wpływach, nie rehabilitował go w opinii publicznej, wtedy, gdy, jak oświadcza: radził się księcia we wszystkim i używał jego zaufania. Ale to wyznanie, ta skarga, właśnie go najsilniej pobija. Nadto wiele posiadał uczciwości i honoru księżę, aby w tym razie mogąc, nie przyszedł niewinnemu z obroną. Milczenie jego aż do zgonu, jest bardzo znaczącem — dodam nakoniec i przypomnę — że księżę Czartoryski poszedł z korpusem generała Ramoriny za Wisłę, więc nie widział szturmowi Warszawy, nie przyłożył ręki ani zdania swego do jej ostatecznego upadku.

Z wojen Napoleońskich Krukowiecki wyniósł stopień generała. Był ozdobiony krzyżem wojskowym polskim, był również komandorem Legii honorowej francuskiej i orderu obojga Sycylii.

O ojeu moim, generale Sierawskim dość już powiedziałem. Dodam tylko, iż bodaj czy on jeden jedyny ze wszystkich wyższych dowódców wierzył niezachwianie w możność wybicia się na niepodległość ojczyzny naszej. Koledzy zwali go zapaleńcem, mimo, że nie wicherzył z Klubem patryotycznym i żadnej z nim nie miał styczności. Skrzynecki go nie lubił, bo był niegdyś jego podkomendnym, dlatego też odsuwał go ciągle od działań głównych wojsk naszych.

Generał Józef Bem — kawaler Legii honorowej francuskiej, dzielny dowódca artylerji — w początkach organizacji wojska polskiego, to jest po roku 1815 był kapitanem artylerji konnej. Nie pomnę, z jakiego powodu oddalił się później ze służby czynnej, nie wiem też co robił do czasu rewolucji. Po jej wybuchu wstąpił zaraz do naszych szeregów — odznaczał się w bitwach, szybko się w stopniach posuwał, został w końcu generałem artylerji. Już opisałem atak jego na grenadyerów Szachowskiego w bitwie pod Ostrołęką; była to myśl genialna, wykonana z nadzwyczajnym męstwem i energią, uratowała nas, a zważmy, że na jego dwanaście armat, biło przez pół godziny stokilkadziesiąt dział rosyjskich.

W szturmie Warszawy, obserwując z kopuły kościoła lutereckiego ruchy wojsk nieprzyjacielskich, nie zdążył dopaść boju i wydać rozkazów swej artylerji bronięcia szaniec Woli, co mu mocno zarzucaliśmy. Emigrował do Francji; w powstaniu węgierskim roku 1848 przyjął służbę, dowodził oddzielnym korpusem i odniósł kilka zwycięstw nad Austryakami. Nie czytałem nigdy dokładnego opisu wojny i powstania węgierskiego, więc szczegółowych czynów jego tu przytoczyć nie umiem. Znałem go tylko z widzenia,

Tomasz hrabia Łubieński, generał kawalerji naszej. Odznaczający się dowódca pułku za czasów wojen francuskich, pod W. Księciem Konstantym nie chciał służyć. W wojnie naszej odznaczył się pod Nurem, com już opowiedział. Jako człowiek, był bardzo miły i uprzejmy, znałem go osobiście; kilka razy był szefem sztabu głównego. Za panowania cesarza Napoleona III., gdy ten ustanowił tak zwany medal „Świętej Heleny“, jakim ozdobił wojskowych, którzy służyli wojskowo pod wielkim cesarzem, przed Łubieńskim to składali nasi dowody swoje i na jego ręce przy-

chodziły dla nich owe medale i dyplomy. Rząd rosyjski pozwolił je nosić: gęsto jeszcze przed laty można było je widzieć na pierśsiach naszych starszków; dziś już ich nie widzę. Medal ten był brązowy z koroną cesarską — na nim z jednej strony: popiersie Napoleona I., z drugiej napis: „*A mes amis et Compagnons d'armes de la Grande armée*“. Wstążka zielona w czarne paski. — Łubieński za trudy poniesione w tym względzie, obdarzony został przez Napoleona III. komandorskim krzyżem Legii honorowej; kawalerem jej już był poprzednio.

Dwernicki Józef, generał, kawaler krzyża wojskowego polskiego, urzędnik Legii honorowej, dowódca 2. pułku ułanów przed r. 1831. Był niepomiernej tuszy, a mimo tego lekko dosiadał konia i żwawo go zażywał. Lubiał dobrą kuchnię i ułańskie hulanki; posiadał wielką miłość swoich żołnierzy! W wojnie r. 1831 winniśmy mu byli pierwsze zwycięstwa, pierwsze zdobyte działa. Miał wiele przymiotów dobrego generała kawaleryi. Śmiały, dał się wciągnąć w bitwę na Wołyniu z przeważającym w siłach nieprzyjacielem, otoczył i wpędził z wojskiem, powierzonym mu, do Galicyi. A co smutniejsza, stał się w tym względzie przykładem innym naszym dowódcom. Emigrował do Francyi, około r. 1840 wrócił do Galicyi i tam obfitemi obywatelskimi składkami zasiłany, dostatnio się utrzymywał. Znałem go osobiście. Brat mój, Władysław, był przy nim adjutantem; ciężko ranny, zmarł we Francyi. — Drugi mój brat, Maksymilian, oficer w szwadronach ordynacyi Zamoyskich, zginął w bitwie pod Iganiami.

Generał Piotr hrabia Szembek, kawaler krzyża wojskowego polskiego i Legii honorowej, sławny z waleczności okazywanej za wojen napoleońskich, dowódca I. pułku strzelców pieszych przed rokiem 1831. W pierwszych dniach rewolucyi listopadowej przeprowadził natychmiast swój pułk pod Warszawę, sam pojechał osobiście oddać się Wielkiemu Księciu. Gdy wrócił do pułku, zastał go już zrewoltowanym i z nim wszedł do stolicy. Był czynny w bitwach 19. lutego pod Wawrem, 25. t. m. pod Grochowem. Gdy mu wódz naczelny odmówił dekoracyi wojskowej dla jakiegoś jego protegowanego, której, jak mówiono, ten nawet nie zasłużył, chwycił tę sposobność i żądał uwolnienia z wojska. Oddalił się w Poznańskie, gdzie jego potomkowie majątności posiadają.

Zielonka Benedykt, pułkownik, urzędnik Legii honorowej francuskiej, adjutant cesarza przed rokiem 1831, dowódzca pułku, w którym służyłem. W naszej wojnie odznaczał się zimną krwią w bitwach — nie przyjął stopnia generała, na który go chciano posunąć, mówiąc, że „będzie walczył za ojczyznę, nie żądając awansów“. Ani razu w bitwach pałasza nie dobył; szedł do szarży z laską w rękę, dla tego też bez jego wiadomości, w takich chwilach żołnierze nasi z bliska go otaczali i zasłaniali; posiadał wysoki szacunek u nas oficerów, miłość u żołnierzy. Zdaje się, że pochodził z Podola, pięknym był mężczyzną. Około roku 1826, ożenił się z wdową po sławnym kościuszkowskim generale, Mokronowskim, z domu, o ile pamiętam, hrabianką Potocką — ta umierając zapisała mu testamentem 500.000 złp. Po wojnie wrócił z nami do kraju z Gdańska, kupił majątność ziemską w Rzeeczypospolitej Krakowskiej i w niej osiadł. Odtąd ciągle chmurny, bolejący nad zmianą położenia kraju, żył samotnie — niedługo też zmarł; daleki po nim krewny i imiennik z Podola, odziedziczył spadek po nim. — Cieszyłem się jego dla mnie życzliwością.

Jeszcze mała wzmianka o Klubie patriotycznym. Przewodniczy jego werbowali sobie w wojsku naszym, co tylko było najdzielniejszego, a chciało im się poddać. Wiceprezesa Klubu, Krępowieckiego znałem, jako guwernera młodego Dąbrowskiego, bom bywał z moim ojcem u generałowej wdowy po Henryku. Po mojem odznaczeniu się pod Mińskiem, które opisałem i ozdobieniu krzyżem polskim, wynalazł mnie Krępowiecki — usiłował zbadać mój sposób myślenia, rozbudzał ambicję, obiecywał poparcie wszechmocnego Klubu, awanse, stopnie, byłem się zaciągnął pod jego chorągiew, a było to zaraz po bitwie ostrołęckiej. Kto wie, może dałbym się nakłonić; ale, gdy w tajnej rozmowie źle się wyrażał o moim dobroczyńcy, księciu Czartoryskim, grzeecznie odmówiłem, odpowiadając, że istotny Klub patriotyczny jest w obozie. — Już go potem nie widziałem. Był to człowiek wielkich zdolności i bardzo wymowny. Emigrował do Francji.

Projekt ruszenia natychmiastowego na Litwę, to jest w grudniu 1830 r. — nie był, według mego zdania, właściwym, chociaż wówczas brukowi strategicy głośno go zalecali, a dziś jeszcze wielu to zdanie podziela. Mogliśmy prócz słabej załogi Warszawy,

fortec Zamościa i Modlina, wystawić w pole zaledwie dawnego wojska 27.000 i 90 armat. Nowe pułki jeszcze się nie zorganizowały. Były więc to siły za małe, żeby wyjść za Bug lub Niemen, w te rozległe płaszczyzny, przecięte zamrzniętymi rzekami. W takim nawet razie, należałoby podzielić wojsko nasze na dwie części, bo idąc masą za Niemen lub Bug, wojska rossyjskie, szeroko w tamtych prowincjach rozrzucone, mogłyby jedne nam czoło stawić, inne wkroczyć do Królestwa i iść na odsłoniętą stolicę.

Oddalenie się też dalekie od wojennej podstawy działań naszych, mogło być zgubnem tem więcej, że środkujące się wojska nieprzyjacielskie łatwo zdołałyby nas otoczyć, odciać od naszych komunikacyj i samej Warszawy. Zresztą, czyż można było liczyć na natychmiastowe powstanie prowincyj litewskich?... a i w takim razie byłaby to pomoc bardzo słaba, bo Rosyianie wszędzie i skutecznie jej organizacyi przeszkadzaliby. Należy się też zastanowić, że idąc naprzód, musieliśmy ciągnąć za sobą liczne parki amunicyjne, przeszkadzające szybkim obrotom wojska, a i do sformowania tych pociągów i parków wcale przygotowani nie byliśmy. Dalej: nie mając za sobą bliskich magazynów żywności, trzeba było żywić się rekvizycjami w kraju, w którym folwark od folwarku, wieś od wsi, całe długie oddzielają mile — a idąc takim systemem, nie tylko ogłodzilibyśmy żołnierza, ale jazdę i konie pociągowe narazilibyśmy na zupełne zniszczenie. Zabór przymusowy nadto żywności i furazów zniechęciłby zupełnie dla nas tamieczną ludność.

Jednakowoż śmiały ten projekt mocno doradzano i dziś jeszcze trzymają się go ci doraźni krytycy, co się na rzeczach wojennych nie znają. Kraj przyjmując powstanie za sprawę narodową, musiał i powinien się być wojennie organizować! Należało mieć wzorowe kadry, osłonięte siłą regularną, instruktorów, a tych tylko dawne wojsko dostarczyć mogło.

Ale idźmy inną drogą. Przypuśćmy, że Skrzynecki, po bitwie wielko-czwartkowej, tyle zwycięskiej, rozbiwszy korpusy Rosena i Gejsmara, nie zatrzymał się nad Kostrzynem, jak to uczynił, lecz sforsował przeprawę tej rzeki — niezawodną jest rzeczą, że już nie obawiając się o swe skrzydła, spokojny o bezpieczeństwo stolicy, mógł iść śmiało naprzód i gromić jedne po drugich kor-

pusy rosyjskie, zeszelonowane aż do Brześcia Litewskiego; wziąć nawet tę twierdzę, a po stratach, jakie zadał nieprzyjacielowi, dopiero wtargnąć na Wołyń i tam przenieść teatr wojny, mając wówczas rozporządzalną armię, przeszło 50.000 żołnierza liczącą i 140 armat. Na samym więc wstępie wojny, mógł Królestwo z wojsk nieprzyjacielskich oczyścić. To, co tu piszę, nie jest żadnem marzeniem: radziliśmy o tym planie nieprzestannie pod Boimem i nad Kostrzynem, w czasie bezczynności, w jaką nas naczelnny wódz pogrążył przez dni kilkanaście, bo wojsko unie również wojnę rozumieć i pojmować. Zresztą strategia uczy, a doświadczenie z wojen Napoleona powzięte przekonywa, że po wielkiem zwycięztwie, tyle stanowczem, jakieśmy odnieśli w bitwach stoczonych w wielkim tygodniu, należy bez wytechnienia ścigać strwożonego nieprzyjaciela i coraz nowe zadawać mu klęski.

Opuściwszy tę jedyną sposobność, Skrzynecki toż samo uderzenie na czoła armii rosyjskiej w kilkanaście dni wykonał. — Kostrzyn przeszliśmy siłą — party nieprzyjaciel, zasłaniając Siedlee, musiał przyjąć bitwę pod Iganiami — wygraliśmy ją zupełnie; jazda Stryjeńskiego, jak opowiedziałem, w porę na prawe skrzydło Rossyan nie nadeszła i wygrana ta pozostała bez rezultatu.

Czyż nie miał wódz innego dla niej dowódczy, nad oficera, który nigdy pojedynczym nawet pułkiem nie dowodził?... Wzięte Siedlee z ogromnymi magazynami, jakie Rosyianie w nich nagromadzili, o cztery tylko wiorsty od Igań oddalone, też same znów by korzyści okazały, jakie się przedstawiały pochodem naprzód, po bitwach wielkiego tygodnia. Gwardye rosyjskie jeszcze były daleko a Kreutz w Lubelskiem, albo mógł być zniesiony, albo by umykał wszelkimi siłami.

Drugi okres wojny, poniekąd naprawiający błędy wyżej wytknięte, zależał na możności, pewności nawet pobicia gwardyj w okolicach Łomży lub Tykocina. Postrach ich pogromu zatrzęsłby samym nawet Petersburgiem. Doścignęliśmy je w sile przewyższającej. Znów Skrzynecki zatrzymał doganiające nasze wojska godzin 30. Gwardye uciekły!... Za wypuszczenie z ręki tego świetnego zwycięztwa ukarani zostaliśmy klęską Ostrołęką i odcięciem dywizyi generała Giełguda.

Dotąd opisywałem możność przejścia z wojny odpornej w zaczepną, z najświetniejszymi jej następstwami. Gdy te się nie powiodły, odporna już tylko walka mogła przedłużyć wojnę, a tego tylko domagały się gabinety francuski, angielski, a podobno i austriacki. Trzeba było nieszczęścia, żeby Skrzynecki powierzył wyprawę nad Wieprz, to jest na pobicie Rüdigerera, idącego z ogromnymi parkami i remontą kawaleryi do 3.000 koni wynoszącą, tyle nieudolnemu generałowi, jakim był Jankowski. Jak postąpił ten dowódzca, jak srogą karę poniósł za swe niedołęztwo, a może i zdradę, opowiedziałem już poprzednio.

Zamiast więc tych wszystkich niepowodzeń, kardynalnymi błędami wywołanych, rzućmy, przeciwnie, na szalę wypadków zwycięstwa wojska polskiego, liczebne straty armii rosyjskiej w tyłu bitwach pokonanej i jej demoralizację, kiedy, przeciwnie, u nas duch mógł się potęgować... Czyż nie zajaśniałoby polskie powstanie pełnym blaskiem chwały i siły?...

Mimo tylu błędów i uchybień, tak prostych i elementarnych, gdy wiadomy był marsz feldmarszałka Paskiewicza przez płockie województwo, a dążącego do przeprawy przez Wisłę, nie dopuścić mu jej wykonania było najłatwiejszą rzeczą. General Milberg z 12.000 korpusem, wysłany również został prawym brzegiem Wisły, by flankowemu Rossyjan marszowi przeszkadzać i ich drażnić — nie zwrócili się nań nawet, mogąc go zniszczyć, ciągnąc za sobą przeszło 100.000 żołnierza i 400 armat — nie tracił czasu Paskiewicz na taką małą korzyść, bo mu pilno było wyższych dopiąć zamiarów. Ale ten sam korpus Milberga, z podwójnie zwiększoną artyleryą, wysłany w nasze Kujawy, z wysokich gór Raciążka, zniszczyłby budujące się mosty rosyjsko-pruskie pod Ciechocinkiem i przez szeroką a opiekuńczą naszą Wisłę feldmarszałka nigdyby nie przepuścił.

Nie mieliśmy wodza. Wojsko cudów waleczności dokazywało — mogliśmy się bić przeważnie jeden przeciwko trzem i jeszcze wyjść z walki zwycięzko. Bohaterami byli oficerowie niższych stopni, ale gdy ich wystrzelano w obronie, a nie w zaczepnem działaniu, duch wojska musiał w końcu osłabnąć.

Rozważał i przeczuwał to wszystko Rząd narodowy. Agencya nasza w Paryżu już skłoniła francuskich generałów do przyjęcia

u nas służby, a może i naczelnego dowództwa. Król Filip, nieuznany przez gabinet petersburski, zwany przywłaszczycielem przez cesarza Mikołaja, a ciągle o to błagający, odmówił nam pomocy dzielnych swoich generałów.

Trzecie pytanie z kolei przychodzi. Pobiliśmy armię Dybicza, jak tego możność usiłowałem udowodnić, przenieśliśmy teatr wojny na Wołyń i Litwę. Rosyja, zmęczona wojnami 1829 i 1828 roku przeciwko Turcyi prowadzonemi, w których straciła do 300.000 żołnierza, widząc ostatnie swe siły pokonane w polskiem powstaniu, czy żądałaby zbrojnej interwencji, Prus szczególnie... Austrii wątpliwie?... na to odpowiadam: „może“, ale bez skutku.

Zwycięzkie powstanie, skłoniłoby Austryę do przyjęcia korony polskiej dla jednego z jej arcyksiążąt; podjął by może też samą politykę cesarz austriacki, jaką prowadził cesarz Aleksander I. od r. 1815. Prusy, jeszcze wówczas słabe i niepewne siebie były, a gdyby zbrojnie ruszyć się zamierzały, zapaliła by się ogólna europejska wojna — wojna dla nas popularna, bo wszystkie ludy aż do Amerykanów, były sercem i duszą za naszą sprawą i życzyły powodzenia — a na tej wojnie tylko skorzystać mogliśmy.

Zdań i opinij, wyżej tu przezemnie przytoczonych, nie narzucam nikomu. Ten, co je czytać będzie i z wątpliwościami przeciw nim wystąpi, niech pomni, że zaocznie nie jest w możności ich przesądzać, bo nie był świadkiem tego, com ja widział, a dziś rozważam z głębokiem zastanowieniem. Przez niepowodzenie wojny r. 1831 postradałem ojczyznę, rodowe w niej stanowisko, uwielbianego rodzica mego, karierę osobistą na polu jedynie mi właściwem. Pamięć tych strat, do dziś dnia mnie nie opuszcza — dla tego, badając ich powody nieprzestannie, przyszedłem do przekonania tu zapisanych. Czyż nie wolno mi być w tym względzie interesowanym?... Krytyk tych przekonania, zarzucić mi tylko może, że maluczka woneczas Polska, nie mogła się mierzyć z potęgą rosyjską — na to już odpowiedziałem.

Pięćdziesiąt dwa lata, więcej jak pół wieku, od tych zapasów minęło. Historya ludów je zapisała, jako ponowione usiłowania nieszczęśliwego narodu wybicia się z niewoli. Rozbitki tej wielkiej sprawy w maluczkiej już liczbie tu i ówdzie ugięci starością dogorywają. Tym, co pomarli, niech Przedwieczny udzieli spokoju i zbawienia duszy, prochom odpoczynku.



ROZDZIAŁ XV.

Dalszy ciąg pobytu pod Gdańskiem. — Ja i Malchen. — Cesarz Mikołaj udziela amnestyi pułkowi i pozwala wrócić oficerom do kraju. — Przybycie do granic Polski. — Bal prusko-rosyjski. — Podróż. — Zajęcie z żołnierzami rosyjskimi w Raciążu. — Przybycie do Radomia. — Co nastąpiło w Królestwie od chwili poddania się Warszawy. — Cesarz udziela dożywotniego zasiłku oficerom polskim. — Stryj mój Sabin i jego żona. — Jak mnie przyjęli w swym majątku? — Ludwik Lewiński. — Odjazd do Radomia i związane w tem mieście oraz w okolicach stosunki. — Rząd rosyjski ofiaruje mi służbę wojskową. — Dla jakich powodów odmówiłem. — Krótki rys następnego życia mego. — Zakończenie Pamiętnika.

W opowiadaniu wypadków osobiście mnie dotyczących, stanąłem na chwili, kiedy w Gdańsku z niektórymi oficerami podpisałem prośbę do cesarza Mikołaja o udzielenie mi amnestyi i pozwolenie powrotu do kraju; idę więc dalej:

Wróciłem smutny do Mügenhall i jakiś niepewny, czym dobrze postąpił. Poczciwy Tietz domagał się odemnie stanowczej na swą propozycję odpowiedzi. — Malchen, pod różnymi pozorami wchodząc do mego pokoju, znacząco patrzyła mi w oczy. Mijały tak dni w smutku moim — pewnego z nich Tietz przyszedł z nowiną dla siebie, ale nie dla mnie, że z wojsk naszych jedni deklarują się iść do Francyi, drudzy wracać do Polski — i pyta, com postanowił? Odpowiedziałem szczerze, że wrócić muszę dla

uregulowania moich interesów, a jeśli przyjdę do zdrowia, powrócę. Powody były słuszne, lecz Malchen zrozumieć ich nie chciała. Przeciwno interesom stawiała kapitały ojca; o wyzdrowieniu mojem nie wątpiła. Żądała już wyraźnie, bym został; w tem małym nieporozumieniu zeszło około dni dziesięciu.

Zwołał nas znowu do siebie pułkownik Zielonka. Zaprezentował nam jakiegoś oficera rosyjskiego z generalnego sztabu, który przybył kuryerem z Moskwy. Oświadczył on nam, że sztafeta, niosąca nasze podanie, nie zastała cesarza w stolicy państwa — był w Moskwie, tam go więc dogoniła. Cesarz kuryerem natychmiast go wysłał do konsula rosyjskiego w Gdańsku, radcy stanu Tęgoborskiego — depesza ta zawierała zupełną amnestyę dla pułku i pozwolenie oficerom, deklarującym się na powrót do kraju! Oficer, który ją przywiózł, zaopatrzone był w fundusze na nasze koszta podróży pocztą. Zlecił nam być gotowymi w 48 godzin.

Ostatnie chwile, spędzone wśród rodziny Tietza, były istotną męczarnią dla mnie. Chciałem złamać me słowo i położony podpis na owej deklaracji. Zwierzyłem się kolegom, ci mi wyperśwadowali. Wiernego mi wierchowca sprzedałem konsulowi belgijskiemu, p. Mathy, za 200 talarów, wart był 1.000. Nareszcie wybiła godzina pożegnania; należało krótko się rozprawić... Uściśnięciem serdecznie starego Tietza i jego żonę — ta popchnęła ku mnie splakaną Malchen, otworzyłem ramiona, rzuciła mi się na szyję... pierwszy i ostatni pocałunek złożyłem na jej ustach — na palec jej włożyłem pierścionek złoty z turkusikami, niezapomnianą wyobrażającymi, a dawszy mój adres do Polski, ze ściśnięciem sercem wskoczyłem na bryczkę, uciekając z tego domu cichego, spokojnego, zostawiając za sobą może istotne szczęście domowe, wierne serce, byt skromny, ale pewny. Poszedłem ślepo na boje z losami, z którymi później walcząc, zawsze pokonywany byłem.

Szybko z nami leciały pruskie pocztowe bryczki. Zielonka swoim powozem, w towarzystwie owego kuryera, nam towarzyszył. Był to człowiek młody, miły, uprzejmy, mówiący po francusku prawdziwym paryskim akcentem. Przybyliśmy tak do ostatniej stacji pocztowej w Prusach, w miasteczku Neumark 13. stycznia 1832 r. w południe.

Gdyśmy zrzucali nasze pakunki na poczeie, przyszedł do nas na powitanie pułkownik pruskiej kirysyerów, niepamiętnego mi nazwiska, z kilku oficerami; wzajemne przedstawienia odbyły się bardzo grzecznie. Po nich Prusak oświadczył, że w dniu dzisiejszym daje bal u siebie i czuje się w obowiązku nie tylko zaprosić nań oficerów dywizyi huzarów rossyjskich generała Bezobrazowa, która kantonowała tuż nad polską granicą, ale i nas. Motywował zaś, że generał Bezobrazów fetował jego oficerów u siebie, winien się być przeto odwdzięczyć, zważając na ścisłe i pokrewne obowiązki dworów pruskiego i rossyjskiego. Wymawialiśmy się co sił, tłómacząc się smutnem naszym położeniem i zmęczeniem podróżą. Zielonka był chmurny, ale w końcu odezwał się do nas po polsku: „przyjmijcie, panowie, zaproszenie — nie drażnijmy Rossyan przy pierwszym wstąpieniu na naszą ziemię...“ Trzeba było uledez.

Paradne mundury, wojną nie zniszczone, mieliśmy w jukach; szlify tylko, pasy srebrne od ładownic i pendenty od pałaszy, były zczerniałe od obozowej poniewierki. Postanowiliśmy pójść na ten niemily nam bal jak najpóźniej i zdjąć zasłużone polskie krzyże, aby nie kłuć nimi w oczy Rossyanom.

Weszliśmy z naszym pułkownikiem do sali — bal wrzał w najlepsze, tańczono zapamiętale. Gdyśmy się pokazali, taniec natychmiast przerwano, pruski pułkownik pospieszył nas witać, zbliżył się i generał Bezobrazów, około czterdziestu oficerów rossyjskich nas otoczyło, między nimi poznaliśmy wielu kolegów ze Szkoły podechorążych. — Powitań, ściskań rąk było co nie miara. Nareszcie po prezentacyi damom, które ciekawie na nas poglądały, wzięto nas pod ręce i zaprowadzono do bufetu. Tu wino, a głównie szampan lał się potokami, w godzinę już w głowach było gorąco.

Damy widząc, że już po balu, odjechały. Nastąpiła dopiero orgia prusko-rossyjska. opowiadania kto z kim się bił, gdzie i kiedy, przypominano rozmaite wypadki wojny. Do mnie przyczepił się jakiś rotmistrz od huzarów, z ogromnymi wąsami, ścisnął, całował, pił do mnie ciągle na połączenie wiekuiste braci Rossyan z Polakami... Serce mi pękało z żalu, nie mógł mnie rozruszać. Nareszcie zaklina na honor, bym wyznał, dlaczegom taki smutny?... Wzruszony do żywego owem naszym położeniem,

odpowiedziałem pukając palcem w jego piersi: „My krzyże polskie, w boju przeciw wam zyskane, przez wzgląd na was do ła-downie schowali... Cheesz, to ci mój zaraz pokażę. — Wy niemi za tę samą walkę, świecicie nam teraz w oczy...” Zerwał się równemi nogami ów rotmistrz, krzyknął ogromnym głosem: „Gaspada! Krzyże polskije won!...” W jednej chwili wszysej je odpięli — zaczęła się szalona pijatyka, a tej należało dotrzymać.¹⁾

Następnego dnia odpoczywaliśmy w Neumarku. Trzeciego, ruszyliśmy do naszej granicy. Czekał nas z honorami wojskowymi szwadron huzarów rossyjskich i odprowadził do wsi. We dworze stał kwaterą szef sztabu obserwacyjnego korpusu, generał Zejdeler; przyjął nas najuprzejmiej i zaprosił na przygotowane śniadanie. Poczem wzywano nas po kolei do zdeklarowania się, w które województwo kto chce się udać. Ja z Stanisławem hrabią Sołtykiem z Kurozwęk, oświadczyłem się w Sandomierskie. Wydano nam karty drożne i bezpieczeństwa, broni nie odebrano, a po wyrachowaniu etapów po mil pięć dziennie, wypłacono po trzy ruble srebrem na każdy etap — furmanek miały dostarczyć gminy.

Pierwsze podwoły już stały gotowe — ze łzami w oczach żegnaliśmy się wzajemnie — ruszyliśmy. Po przeszło dwumiesięcznym pobycie w Prusach, błogi nam był widok ojezystego kraju; cieszyła nas i radowała polska mowa furmanów i ludu naszego. Wsie, acz ubogie, dachy i drogi pokryte śniegiem, wesołe być nam się zdawały.

Po kilku stacyach, ubywało nas z tej gromadki rozbitków, nareszcie z Sołtykiem pozostaliśmy sami. Zajeżdżaliśmy wszędzie do obywateli, a ci przesadzali się w gościnności; niejedną łzę widziałem w oczach ich żon i córek, odsyłano nas własnymi końmi i powozami. W miasteczku Raciążu stanęliśmy przed domem zajezdnym, bo tu dworu nie było; posłałem po pocztę. W austeryi pełno było piechoty nietrzeźwej rossyjskiej; nim się

¹⁾ Za wojnę polską r. 1831 cesarz Mikołaj rozdał wszystkim swym czynnym w niej oficerom i żołnierzom, polskie wojskowe krzyże. Powiadano, że to uczynił na wniosek naszego renegata, generała Różnieckiego. Już ich nie widać; po tylu ubiegłych latach, ozdobieni zapewne już wymarli.

poznali na nas, byli spokojni; dorozumiawszy się, żeśmy Polacy, zaczęli zaczepiać i groźnie nastawać na nas. Nie było rady — usiedliśmy w kątku za stołem z Sołtykiem, a dobywszy z za pasa pistoletów, odwiedliśmy kurki i mówimy im: „gadajcie pijaki co chcecie, ale który nas dotknie, kulą w łeb dostanie...“ Hałas się zrobił, wymyślali nam od buntowników — nie odpowiadaliśmy na to. Gospodarz był tyle przytomny, że przybiegł i sprowadził dwóch oficerów; pokazaliśmy im karty drożne generała Zejdelerą, a ci natychmiast czynnie ukarawszy niesforne żołdactwo, wypędzili pijanych z izby. Zaszła też bryczka pocztowa — po wzajemnych grzecznościach z naszymi zbawcami, odjechaliśmy spokojnie.

Bez żadnego już wypadku, po długiej podróży, zajechaliśmy do Radomia, jadąc wolno dla mojego mocnego osłabienia. Tu był gubernatorem wojennym generał Buschen; zameldowaliśmy mu się natychmiast — był grzeczny, ale zimny — prosił, byśmy po mieście chodzili bez pałaszy i wyjechali w swoje strony, o ile się da jaknajrychlej.

Dwa dni przebyłem w Radomiu, a otrzymawszy nową kartę drożną, drugiego dnia podróży już sam, chłopskim wózkiem w deskach z Gowarczowa, zjechałem do mego stryja, właściciela starostwa Opoczyńskiego.

Co się stało przez ten czas w kraju naszym?...

Ustanowiony został Rząd tymczasowy — składali go: prezydujący, tajny radea Engel, członkowie: Strogonow, Fuhrmann, polski generał Rautenstrauch, który przez cały czas powstania rozmyślnie przeleżał w łóżku, udając chorego tak dobrze, że zwiódł własną żonę, urodzoną księżniczkę Gedroń.

Generałów naszych, czynnych w powstaniu, którzy zostali w Warszawie, wywieziono do Wiatki, z kąd po dwóch czy więcej latach powrócili. Rozpoczęło się badanie sądowo-kryminalne sprawców buntu polskiego; w trybunale zasiedli Polacy: radcy stanu Szaniawski i Wyczehowski, wojewoda Czarnecki; prokurator Poklękowski był oskarżycielem z urzędu. Piotra Wysockiego, po wyleczeniu z rany, wywieziono na Sybir. Innych zaoecnie skazano na główną karę.

Do Rady administracyjnej weszli generałowie Roźniecki i Wincenty Krasiński, obaj przybyli z Petersburga, gdzie się schronili. Jaki następnie skład rządu miał miejsce, może później opowiem. Na resztę rozporządzeń rzuca się zasłoneg; kto chce o nich wiedzieć, niech czyta „Dzieje narodu polskiego Teodora Morawskiego“ Tom 6-ty. Książę Lubecki już do Warszawy nie wrócił. Wojsko polskie ukazem cesarskim z dnia 1. maja 1832 roku rozwiązane zostało; żołnierzy i podoficerów wcielono do armii rosyjskiej, rozproszono po pułkach z przymusową wysługą na lat piętnaście!

Winienem jednak oddać tu wysoką sprawiedliwość cesarzowi Mikołajowi. Nie chciał on, by oficerowie zebrali na swe utrzymanie, nominowanym przed 29. listopada 1830 r. kazał wypłacać zasiłek pieniężny pod tytułem wsparcia do lat trzech, a ten się przedłużał prawie do zgonu. Pobierali go oficerowie wszelkich stopni, którzy się nie pomieścili w służbie cywilnej, a tej im nie wzbraniano, nawet chętnie do niej przyjmowano. Mnie przeznaczono 880 zł. polskich rocznie, miałem więc swój własny fundusz, szczerpły, prawda, ale własny.

O emigracyi naszej we Francyi nie pisać nie będę; nie byłem tam, a chociaż wiem, jaka w niej początkowo zapanowała niezgoda, wzajemne zatargi, zawsze polityczne i skalowania się stronnictw, nadmienię tylko, że z latami przyszło umiarkowanie i kto chciał z Polaków wziąć się do pracy, znalazł chleb powszedni i utrzymanie.

Przyjechałem więc do domu mego rodzzonego stryja; przyjął mnie dość serdecznie, żona jego zimno. To mnie powoduje, iż o nich obojgu muszę tu niejaką uczynić wzmiankę.

Stryj mój, Sabin, dawny kapitan polskiej piechoty, później inspektor popisów wojskowych za Księstwa Warszawskiego, mógł liczyć wówczas lat pięćdziesiąt kilka. Brunet, nieco otyły, łysy, bynajmniej podobnym nie był do swego brata. Charakteru bardzo żywego, nieco pasyonał, serce miał dobre, lecz tę wadę, że nikt i nigdy dogodzić mu nie mógł. Zawołany gospodarz, mechanik pomysłowy, sam sobie toczył i wyrabiał modele, a te stosował u siebie. Posiadał wielką zdolność do wierszowania, ale tylko w okolicznościowych zdarzeniach; poważniejszego nigdy nie napisał. Dał się kierować przez swą żonę, a ta nad nim pano-

wała. Powinien był mieć wielkie obowiązki dla swego brata a mego ojca, bo ten protegował pierwsze jego na świat wystąpienie, a później, kiedy książe Lubecki, minister skarbu, ogłosił sprzedaż dóbr rządowych, wyjednał mu kontrakt wieczysto-dzierżawny na starostwo Opoczyńskie. A był to majątek piękny, 1.100 morgów ornej ziemi, łąki, pastwiska, dwa młyny wodne, dwanaście karczem propinacyi. Za ten kontrakt zapłacił tylko wkupnego 16.000 złp. a potem rocznie uiszcział 4.000 złp. Gospodarstwo to prowadzone było wzorowo i, jak na owe czasy, postępowo. Pod takim zarządem, mimo tanich cen zboża, majątek ten przynosił rocznie więcej jak 25.000 dochodu. Przy stryju od niemowlęctwa chowała się moja siostra, Wanda, bo był bezdietnym — zastałem ją już zamężną.

Wróciłem z Gdańska do kraju raz, że byłem zmarnowany na zdrowiu, powtóre, że mi ten powrót stryj radził. Miałem więc prawo spodziewać się, że stryjostwo przyjmą mnie z współczuciem na me położenie i pomysłą o mej przyszłości. Lecz inaczej się stało, bo stryj — obok najwyższego temperamentu — dawał się swej żonie zupełnie powodować, a ta mego ojca, matkę, całą naszą rodzinę nienawidziła z tego jedynie powodu, że była neofitką i zdawało się jej, iż tę plamę, która nią nie była, ciągle jej wyrzucamy, co nigdy miejsca nie miało. Zresztą posiadała wysokie wykształcenie, to zaś nad jej żółciowem usposobieniem stanowiło nie panowało.

Dzień, w którym przybyłem do stryjostwa, był dniem paroksyzmu mojej nieszczęśliwej febry, która mnie już zaczęła rozbiierać. Prosiłem o spoczynek, a lubo dom był dość obszerny, dano mi pokój przechodni, łóżko parawanem zasłonięte; rzuciłem się na nie jak nieżywy. Przyszła gorączka, straszliwy ból głowy, a tu służba biega, drzwiami trzaska; dano mi rumianku i na tem skończono. Nadeszła noc, obłany trawiącym potem, musiałem tak doleżeć do rana, bom nie wiedział, co z mym tłumokiem zrobiono, a w tych cichych i długich godzinach, w tej ciemności, bolało mnie serce... pytałem sam siebie, czy tu u najbliższych mi krewnych jestem?... westchnąłem za pocziwą i kochającą Małchen!...

Wrażenia, jakich tej nocy doznawałem, były nadzwyczaj bolesne. Obrachowałem się z sobą i z mem nowem położeniem; nie potrzeba było wielkiej przenikliwości, aby poznać, że w tym

domu nie znajdę uczucia, przytulku, opieki. Jakże też gorzko żałowałem, że powróciłem do kraju!... Groźną i ciemną mi się przyszłość ukazała.

Na dzień drugi przybył doktor, przywołany z Opoczna. Obejrzał moje spuchnięte nogi i brzuch rozdęty; znów chinę zapisał. Pytałem go, czy będę żył? Odpowiedział mi, że wątroba już jest zaatakowana; jeśli ona wytrzyma, to może. Smutne to wyznanie przyjąłem z rezygnacją, ale żał mi było umierać w dwudziestym trzecim roku życia mego.

W kilkanaście dni przyjechał brat mojej stryjenki, Ludwik Lewiński z Rzeczyca, powiatu rawskiego — kawaler, wiele od niej młodszy. Ten zlitował się nad moim stanem, bo prawdę mówiąc, byłem jedną nogą już w grobie i sam o sobie wątpiłem. Ofiarował mi gościnność u siebie; chwyciłem się tej myśli natychmiast. W tym czasie nadszedł list od Tietza, pełen serdeczności, z zapytaniem, jak się mam i kiedy wrócę do jego zagrody? — Odpowiedziałem, że majątkowo jestem zrujnowany, pod względem zdrowia umierający — pożegnałem oboje najczulej, błogosławiąc Malchen na drogę przyszłego jej życia. Więcej się już nie odezwali. Dzisiaj, oboje starzy dawno już spoczywają w grobie. Malchen może żyje jeszcze... liczyłaby lat 68 — a jeśli żyje, zapewne czasem o swej młodości i o mnie wspomina.

Pojechałem więc do Rzeczyca — tu mię opatrzone istotną wygodą i staraniem. Doktor, w okolicy bardzo wzięty, Markiewicz, bywał u mnie raz lub dwa tygodniowo, jednak uporeczywa febra mnie nie odstępowała. Radził, by mnie przeniesiono do Rawy. Komisarzem obwodowym był tam Heymans, stary wojskowy, żonaty, bezdzietny, a przyjaciel Lewińskiego — u niego mnie umieszczono. Nic na tej zamianie nie straciłem. Markiewicz bywał codziennie; jego rady, a może i młode siły wróciły mnie do zdrowia. W końcu października r. 1832 byłem zdrow zupełnie.

Powiedziałem wyżej, że ukazem cesarskim wojsko polskie rozwiązane zostało; trzeba było zrzucić mundur. Na to przebranie wydałem resztę mego funduszu, a kiedym się raz pierwszy ujrzał w cywilnem ubraniu, lzy mi stanęły w oczach — zdawało mi się, że ze mnie skórę zdarto, jak przed wiekami z jakiegoś męczennika!... Co tu robić na tym świecie?... sam siebie wielokrotnie pytałem; do niczego nie zdolny, jak do konia i pałasza, chmurno patrzyłem

w mą przyszłość. Na stryja już nie rachowałem — odezwać się do Tietza, duma moja nie pozwalała. Byłem ubogi, czyż mogłem żądać ustalenia mego bytu, szczęścia domowego od niemieckiego włościanina z pruskich Żuław?...

Odwiózł mnie Ludwik Lewiński już zdrowego do stryjostwa. Chciałem im być w czemkolwiek użytecznym, prosiłem o to — oddano mi pod dozór konie stajenne!... Stryjenka zimna ciągle, nie odzywająca się, patrzyła na mnie wielkimi swemi czarnymi oczyma z szczególnym wyrazem, bo straszną jest kobieta, gdy kogo nienawidzi. Stryj po swojemu negował każde moje odezwanie się. Cierpiałem. Wybierali się do wód Maryenbadzkich: wyznam, że się cieszył z projektowanego ich wyjazdu, że zostanę sam z rządcą dóbr, że dosięgnę koniecznego wypoczynku umysłowego. Na odjeździe i przy pożegnaniu, oświadczyła stryjenka, że zostawiła mi zapasy spiżarniane: okazało się, że to było kilkanaście kurcząt podwórzowych i trochę mąki. To już było dla mnie zanadto: ze stu kilkunastu złotymi w kieszeni, po ich odjeździe, ruszyłem w świat szeroki, bezgraniczny, bez innego zamiaru, jak tylko, aby odejść z niegościnnego mi domu. Z małym tłumoczkim, to furmanką, to okazały, nawet pieszo, dostałem się do Radomia, obiecując sobie już nigdy do Opoczna nie wrócić. Jakoż stryjenki już nie widziałem, chociaż żyła jeszcze lat dziesięć.

W Radomiu poznałem się z Franciszkiem Lubienieckim, kasyerem magistratu. Kawaler, miał własny domek na przedmieściu. Człowiek miły, otwarty, szczery — szukał ze mną znajomości, później domagał się przyjaźni. Złote miał serce wdzięczność też moją mu dochował do grobu za podanie mi ręki w tak trudnem mojem położeniu. Wziął mnie do siebie, stołował darmo. Za jego wpływem porobiłem znajomości w mieście, a z kolei poznałem okolicznych obywateli. Rozrywano mnie, nie umiałem się podzielić między tylu życzliwymi. Najbliżej jednak żyłem ze Szczepanem Potkańskim, właścicielem dóbr Malczewa pod Radomiem i Janem Szymanieckim, dziedzicem dóbr Odechowa za Skaryszewem.

Pan Szczepan, był to dawny oficer od huzarów Księstwa Warszawskiego. Człowiek dzielny, prawdomowny, charakteru wielkiego, prawdziwie polskiego. Żona jego, najpoczeiwsza kobieta, córka Terenia i dwóch synów jeszcze w szkołach. Z nim to była nieskończona gawęda o epizodach wojen Napoleońskich, a umiał

obrazować je, że ich nasłuchać się nie mogłem; kochał mnie też jak rodzzonego syna.

Znów Szymaniecki, pułkownik dawnych wojsk naszych, adjutant króla westfalskiego, Hieronima Bonaparte, stary kawaler, filozof, mimo tego dowcipny i wesoły, nawet uczony. Widział dużo świata i dobrze mu się umiał przypatrzeć — miał wiele i ciekawych rzeczy do opowiadania. Wielbiciel pozostałej rodziny Bonapartych, co parę lat jeździł do Włoch ją widzieć i członkom jej się przedstawiać — od wszystkich też posiadał upominki, które czył jak świętość. Żył cicho z książkami, a miał ich zbiór doborowy. W obu tych domach byłem jak u siebie — jesień, zima, z fuzją po lasach całymi dniami — w lecie inne znów myślistwo, trochę gospodarstwa, więcej czytania, bom zawsze czytać lubił — to gawędka o dawnych czasach, bo o lepszych już marzyć było niepodobna.

W tym czasie prezes Komisji województwa sandomierskiego, wezwał mnie z urzędu do zdeklarowania się, czyli gotów jestem przyjąć w wojsku rosyjskiem służbę, mianowicie w jeździe ze stopniem sztabs-rotmistrza i wyborem pułku, z wyłączeniem gwardyj. Bo cesarz Mikołaj zamierzył pociągnąć do swych wojsk, co tylko było najdzielniejszego i odznaczającego się w naszej armii, a listy takich oficerów rozkazał przygotować z biuletynów naszej wojny. Zapytanie to wymagało co do odpowiedzi zastanowienia. Byłem bez majątku osobistego; służbą cywilną brzydziłem się i nie czułem się do niej zdolny; rodzina odepchnęła mnie widocznie. Miałem wprawdzie obcych przyjaciół, lecz ciężarem im być nie mogłem, a życie przed sobą długie...

O istnieniu kraju, jakim był przed r. 1831, o organizacyi wojska polskiego, już mowy być nie mogło. Te uwagi roiły mi się po umyśle. Nie chciałem jednak samoistnie postępować; pojechałem do Warszawy poradzić się zamieszkałych tam kolegów pułku naszego. Zdania były różne — najwięcej przeważały te, jak tu służyć Rosyjanom, kiedy ojciec był w emigracyi?... Generał Kurnatowski najsilniej mnie namawiał, udzielił nawet najchlubniejszego świadectwa. Wyznam, że miałem wielką ochotę podpisać żadaną deklaracyę, bo czułem, że wojskowość jest jedynym moim zawodem, ale chciałem, byśmy poszli służyć w kilkudziesięciu i stanowić w wojsku rosyjskiem jakąś partyę zwią-

zkową, jakieś zjednoczenie, bynajmniej nie polityczne i tam wspierali się wzajemnie. Ale nie udało mi się zebrać ochotników; w Warszawie zamieszkali jedynie żonaci i dietni, szukając chleba powszedniego między rodakami; inni rozprószyli się po kraju, bez wiadomości, gdzie zamieszkują. Wróciłem więc do Radomia niezdecydowany, a gdy mnie później naciśnięto, odmówiłem.

Jeżeli zamykam niniejszy pamiętnik, winienem w krótkości tu zapisać, jakim losom i przeciwnościom ulegałem później od roku 1832 do 1882, to jest w pięćdziesięciu następnych latach.

Po powrocie do kraju z Prus, wyznam, iż lat ośm zmarnowałem w zupełnem próżniactwie. W tych czasach, po wielu staraniach i pokonanych trudnościach, uzyskałem pasport i pojechałem odwiedzić mą matkę, zamieszkującą w Krakowie od roku 1825, a której od tej pory nie widziałem. Tam poznałem jej wychowanicę, prawie dziecko jeszcze, lat trzynaście liczące. Oczarowała mnie swą zaledwie rozwijającą się pięknnością, nieporównaną dobrocią i rozkwitem swego umysłu. Ukochałem ją — powiedziałem sobie, że przyszłość całego życia mego zależy od posiadania jej kiedyś. Aby zaś ten cel osiągnąć, uchwycić to szczęście, postanowiłem sobie wywalczyć pewne stanowisko, jakiś byt pewny i stały w społeczeństwie. Miłość ta prawdziwa i głęboka, jaką miała później odpłacić najczulszą wzajemnością, stanowczy przewrót w mem usposobieniu wywołała; jej to winienem kilka krótkich lat istotnego, nieporównanego ziemskiego szczęścia, które dotąd z rzewnością rozpamiętywam.

Człowiek ucywilizowany podniósł miłość dla kobiety, przez się wybranej, do istotnej ekstazy: Sam silny, butny, pan wszelkiego stworzenia, chętnie i z prawdziwem uwielbieniem zgina przed nią kolano. Drży mu ręka pod jej dotknięciem, szuka jej ciągle wzrokiem, każde słowo, przez nią wyrzeczone, składa do skarbnicy serca swego. Życzenie jej, to rozkaz chętnie spełniany; uśmiech — to ziemskie niebios. Wszystko, czego dotknęła, co upuściła, co zgubiła, to — relikwie dla niego... To też takie uczucie jest potęgą, ideałem, to szczyt dobra ziemskiego. Nie ma poświęceń, przed którymi by się cofnął. Życie poświęcić dla jej obrony, to drobnostka; nie droższego nad odebraną od niej po-

dziękę. Jest to najwyższe dobro, jakim Bóg człowieka obdarzył; to raz uczuwszy, podnosi wszystkie jego szlachetne uczucia! Kobieta wypełnia nasze ziemskie przeznaczenie — po za nią już nic niema, tylko dziękczynna dla Stwórcy modlitwa. Dwoje takich ludzi, związanych z sobą sercem, niepojętymi umysłowi węzłami, stanowią bezwzględną najdoskonalszą całość — reszta świata, to kwiecisty ogród, stworzony dla ich szczęścia. Wysoka jedynie oprawa uczuć sercowych i umysłu — uszlachetnienie charakteru, zupełne pojęcie swej godności i wszystkie duchowe przymioty, jeśli zjednoczyć się zdołają, mogą wytworzyć podobną miłość dla kobiety. Jest to cześć, uszanowanie, uwielbienie. Godną też była Michalina tak silnego mego przywiązania. W jej sercu zlały się wszystkie kobiece przymioty, obok nieporównanej urody. Była dobrą, litościwą; myśl jej wznosiła się w wyżyny natchnieniem oświecane; goniąc tam za nią, z dobrego stałem się lepszym, wyrozumiałym na błędy innych, pracowitym; bo świat mój ona tylko i zawsze upiękniała, prowadząc drogą kwiatami usłanego szczęścia domowego. Był to anioł na tym ziemskim padole.

Jeżeli w ciele naszym uczuwamy jakiś ból ciągły, nieprze-
stannie nam się przypominający — mimo niego jesteśmy w stanie myśleć, mówić, działać w zakresie koniecznych naszych czynów lub zamiarów. Odwrotnie podobnemu uczuciu, czułem w onczas najwyraźniej, że duchowe me jestestwo zupełnie się rozdziwiło. Byłem wesół wesołością młodzieńczą, mogłem zastanawiać się nad wszystkim, co mnie otaczało — mogłem tłumaczyć me myśli słowami i zdania nawet wymownie, co mnie nieraz zadziwiło — zdolny byłem słuchać z uwagą rozmowy innych, czytać poważną lub lekką książkę, ale ponad tem działaniem duchowej mej strony górowało uczucie dla mej ukochanej, na chwilę mnie nie opuszczającej. Czulem ją w sobie, ostatnią była myśl o niej, gdym zasypiał na nocny spoczynek, pierwsza, gdym się z niego budził. Wszędzie i zawsze ona — ona jedna, jedyna!...

I potężniałem sercem i duchem — wewnętrzne zadowolenie, jakie uczuwałem, całą jasnością biło mi z twarzy, z oczu moich. Byłem wymowny, dowcipny, rozpromieniony — ten sam, co dawniej, a inny zupełnie.

Taką to była potęga, pod której ożywczą siłą patrzyłem na świat ten i wszystko przez pryzmat mego ideału. Taką to była ta miłość wierna, tkliwa i czysta, jak kropla rosy niebiańskiej.

W późnym mym wieku, gdy to piszę, po tylu latach ubiegłego czasu, jeszcze te wspomnienia rozgrzewają me piersi. Są one światłem mej starości — widzę jeszcze tę przeszłość, dawno za sobą pozostawioną, w tak jasnym obrazie, jakbym posiadał wzrok silniejszy nad ziemskiego człowieka. Nie nie zgasło... nie się nie ostudziło we mnie...

Niecałe lat siedm używałem tego nieporównanego szczęścia — była żoną moją. Bóg mi ją powołał do Siebie lat temu trzydzieści dwa... silny więcej niż silny jestem, kiedym tę stratę przeżył zdołał.

Aby osiąść moją ukochaną, w roku 1839 wszedłem do służby rządowej cywilnej. W początkach przyszło mi pokonywać niesłychane trudności, łamać hardą naturę, skłaniać się do przyjętych obowiązków. Miałem przed sobą cel wielki, niezłomny — wytrwałem. Wzorowa pilność, niezwykła praca, rozwinięte zdolności spowodowały, że w lat cztery wyprzedziłem mych kolegów. Hojnie mnie władza wynagradzała, posuwała w stopniach — zyskałem byt niezależny, nieledwie dostatek — przyszedł nieszczęsny rok 1863. z nim ogólna klęska i odmiana administracyi krajowej. W tej burzy straciłem syna, pełnego nadziei; oddalono mnie w r. 1867 dla nieznanomości zaprowadzonego urzędowego rossyjskiego języka. Za dwadzieścia dziewięć lat i siedm miesięcy wiernej i użytecznej służby, udzielono mi 200 rubli rocznej emerytury. Jestem więc ubogi, ale spokojny w sumieniu; poprzestając na tym szczupłym dochodzie, nie narzekam, czekam cierpliwie chwili, gdy mnie Stwórca do Siebie powoła. Mieszkam w szczupłej chałupie na wsi, którą z mych oszczędności zdołałem sobie pobudować. Czytam, piszę, myślę, zatrudniam się, jak mogę. Ale człowiek, stworzenie składowe ducha i ciała, ulega różnym i niepojętym wrażeniom; ma naprzemian chwile wesołości, spokoju, poddania się cierpliwego gnębiącym go przeciwnościom, zwątpienia nawet. Czy wolno mu wtenczas narzekać?... Jedyna to według mego zdania ulga — i mnie więc takie czarne godziny czasem nawiedzają.

Dziś obchodziłem rocznicę jedną z bardzo mi bolesnych, rocznicę zgonu ojca mego, zmarłego w emigracyi w Paryżu r. 1849 Skończył życie na panującą wówczas w tem mieście straszliwą cholereę.

Zwłoki mego ojca spoczywały tymczasowo w Neuilly pod Paryżem, pod numerem ementarza 2272 Serya 43/6, ztąd później przeniesione w r. 1856 do grobów polskich na ementarz du Nord, kosztem Polaków. Zgasł w 73 roku swego życia, dzielny wojownik ojczystej sprawy; dziś, gdy to piszę, przeżyłem go lat 33. Nie posiadam po nim żadnej pamiątki, chociaż po nią zgłaszałem się do Paryża; przyjaciele jego wszystko rozerwali: ordery, szlify, nawet pałasz honorowy, jaki mu miasto Besançon ofiarowało, gdy w r. 1831 wstępował na ziemię francuską; mam jedynie zachowany portret jgo olejny i z dumą patrzę na niego, oraz ułamki zaszczytnej jego służby wojskowej.

Pod tem wrażeniem wstałem dziś rano z nocnego spoczynku. Poszedłem w pola daleko, by w samotności odnowić wspomnienia tyle już odległych czasów. Żyłem pamięcią moją. Wróciłem, wziąłem w rękę Rocznik oficerów wojska naszego z r. 1830. Wczytywałem się w te nazwiska, a gdzieś trafił na znajomego, odtwarzałem sobie jego postać, rysy twarzy, głos mowy... i to mi zajęło godzin kilka. Zamykając ten Rocznik, wyszeptalem: Boże, daj im wieczny odpoczynek! Smutek mnie ogarnął, bo z tych dwóch tysięcy oficerów wszelkiego stopnia, któryż jeszcze żyje w dniu dzisiejszym?!...

I ci, co polegli w krwawej wojnie r. 1831, i ci, co się potem rozproszyli po całej kuli ziemskiej, już zapewne zasnęli snem wiecznym w tej długich lat kolei. A ja — żyję jeszcze, by ich wspominać, by oddać cześć zasłużoną ich pamięci...

Potem — usiadłem naprzeciw portretu ojca mego i wpatrywałem się weń bez obrachowania nawet ubiegłego czasu, jakbym pierwszy raz go oglądał. Piękny to portret, malowany w Monachium, kiedy rodzic mój liczył zaledwie lat 36 wieku. Żywe kolory na nim błyszczą z generalskiego munduru, grubych srebrnych szlifów jego i krzyżów: wojskowego polskiego, Legii honorowej, oraz wielkiej gwiazdy orderu św. Stanisława. Głowa okolona czarnym włosom, czoło białe i myślące; nad niebieskimi oczami czarna i gęsta brew się zaokrągła, nos orli, pod nim długie, cie-

mne i strzępiaste wąsy, z pod nich wyglądają usta karminowe. W jego wzroku schwytał malarz wyraz męskiej odwagi, siły charakteru i rozlał po policzkach rumieniec zdrowia.

Pięknym i imponującym był mój ojciec — wysokiego wzrostu, rozrosły w piersiach, prosto się trzymający, odznaczał się wszędzie swą postacią. Nie kłamię, iż równego mu powierzchownością rzadko widywałem. Stworzony był, ukuty — że się tak wyrażę — na rycerza polskiego, — był to posągowy człowiek.

W końcu wyszeptalem... śpij i odpoczywaj drogi mój ojeze daleko... tam na francuskiej ziemi, którąś ukochał jak drugą swą ojczyznę. — Odpoczywaj po trzydziestu sześciu latach ciągłych wojennych trudów, prawdziwy Polski synu. Trudy twe i twych towarzyszy broni były daremne, aleś chlubnie oddał dług swojej krwi rodzinnemu krajowi i ten opisała nasza historia. A jeśli ci wolno z górnych niebios nieśmiertelnym duchem spojrzeć w serce twego pierworodnego, błogosław mi na resztę niedługich tu już dni moich. Zapewne wiesz o dniu mego przyszłego skonania... Czekaj mnie ojeze i przyjm ducha mego z rodzicielską radością, zem ten świat już zdołał porzucić... I cicha łza spłynęła po mej twarzy — nie otarłem jej, bo była czystą i świętą.

Wstałem — długo chodziłem po mej szczupłej izbie — przypadkiem w lustro spojrzałem... włos biały jak mleko na głowie — długie i bujne wąsy również ubielone — łzawe spojrzenie pod doznaniem wzruszeniem... czy to ten sam, mówiłem sobie, ów dzielny młodzian, z przed pięćdziesięciu dwu lat?!...

Skończyłem dumanie dziękczynną modlitwą do Stwórcy mego, za to długie życie, acz pełne zawodów i srogich boleści — za żywą pamięć mych wspomnień, za zdrowie, jakiego jeszcze używam.

Wybiło południe — weszła moja poczciwa gospodyni — nakryła stół białem płótnem i wniosła miskę barszczu, talerz ziemniaków i kapusty. Pożywając ten skromny posiłek, pomyślałem: z górą lat trzydzieści pracowałem ucziwie i na starość cóż wywalczyłem?... Oto przytułek w wiejskiej chałupie i to pożywienie, tyle dla mnie dostateczne, że z niego zadowolniony jestem. Upadłem niśko, ale nie z mojej przyczyny — za słaby jest człowiek, by mógł pokonać losy mu przeznaczone. Siłą charakteru i ducha przyszedłem do poddania się dzisiejszemu położeniu. Niepotrzebny już krajowi, ani społeczeństwu polskiemu, które od ubogiego wo-

jaka się odsunęło — życzę, by jego jednostki, w razie swych niepowodzeń, zachowały tę trzeźwość umysłu i poddanie się, jakie ja posiadam.

A teraz, jakim byłem?... jakim jestem?...

Żwawe i ładne chłopię o jasnych włosach i oczach, za dzieciństwa mego szybko się umysłowo rozwijałem, przestając ciągle z nym ojcem i jego wojennymi towarzyszami. Namiętnie wysłuchiwałem opisu tych krwawych wypraw, w jakich wojska nasze brały udział pod wodzą wielkiego cesarza. W wolnych chwilach od nauki, ustawiałem całe pudła ołowianych pieszych i konnych żołnierzy, w marsze z bocznemi strażami, w regularne obozy i wojenne szyki. Od najmłodszych lat, ile pamiętam, ubierano mnie w mundur; posiadałem cały arsenał broni, memu wiekowi odpowiedniej. Ojciec mój, dowódzca dzielnego pułku grenadyerów gwardyi, który miał swe koszary w Ujazdowie, brał mnie często z sobą na musztrę tego pułku, a wtenczas przy pierwszym plutonie pierwszego batalionu, obracałem się z żołnierzami, stosownie do wydanej komendy — a umiałem maszerować, a nawet bębnić, bo mnie nauczono. Kiedym zaczął czytać i pisać, nie pomnę — musiało to być dawno i przyszło bez żadnej trudności. Ojciec mój, dobry matematyk, w ósmym roku życia mego już mi tę naukę wykładał. Wyznam jednak, że ta natężona uwaga młodociany mój umysł i jeszcze nierozwinięty zmordowała; temu też przypisuję, że nigdy dobrą pamięcią nie odznaczał. Mając lat dziewięć, rozpocząłem nauki w Krzemieńcu — tam skończyłem je zaledwie w połowie. Po sześciu latach niewidzenia rodziców, gdy mnie wywieziono na wakacje do Warszawy, w Krasnymstawie zobaczyłem polskich ułanów; serce mi zadrzało na ten widok, już się uczyć odmówiłem. 5. marca 1825 roku, już byłem frontowym żołnierzem, licząc lat 15 i miesięcy 6 wieku. Edukacya więc moja nie była skończoną i nader szczupłe umysłowe wykształcenie. Doszedłem wzrostu stóp sześciu, jak mój ojciec, zdrow i silny, wytrwały na wszelkie trudy, zręczny w ruchu. Wszystkie rycerskie ćwiczenia były mi miłe, to też dzielnie władałem szablą, celnie strzelałem z pistoletu, pływałem jak ryba. Wisłę przepłynąć pod Warszawą, jak była szeroka, to były dla mnie fraszki i niejednokrotnie tego próbowałem; narowistego konia śmiało dosia-

dałem. Mimo tej pewności siebie, nigdy nie byłem zaczepiającym awanturnikiem, ale silniej dotknięty, zapraszałem obrażającego w honorowy taniec i w kilku tego rodzaju spotkaniach wychodziłem zawsze bez szwanku. Energię miałem przez całe życie wielką — odwagę osobistą wzięłem po ojcu. Kochałem tylko dwie kobiety i obiedwie były mojami żonami; ucuwałem dla nich nie miłość, ale jakieś nieograniczone uwielbienie. Obie umarły nie dochodząc 28 lat swego życia, w całej a rozwiniętej piękności ciała, umysłu i sere anielskich — kochały mnie tyle, ile kobieta kochać może. Dziś, po trzydziestu latach od chwili ich zgonu, obrazy ich skryształizowały się w mym mózgu i pamięci; postacie ich, ruch, mowę, w każdej chwili zmysłami mymi przywołać, odtworzyć, widzieć, ucuwać mogę duszą moją. Po nocy, kiedym śnił o nich i z niemi rozmawiał, długie dni jestem szczęśliwy i chcę wierzyć, że z nieznanym mi światów, rozmyślnie do mnie zstępują, by mnie pocieszyć i dodać odwagi na resztę życia.

Wiele czytałem — i acz mało mi dla słabej pamięci z tego czytania pozostało, czuję jednak, iż brak szkolnego wykształcenia ile możności zastąpiłem. Dla tego, ktokolwiek czytać będzie ten pamiętnik, niech raczy być na mą nieudolność wyrozumiałym. Pisałem go dla rozrywki w mej starości i pozostawienia śladu czasów, w których żyłem.

Dziś w późnym mym wieku, dosyć jeszcze zdrów i silny jestem, bom nie nadużywał życia w młodości; podobien jestem do pięknej ruiny, która wyczekuje silniejszych, jak doznanych dotąd, wstrząśnień, by się obaliła! Trzymam się prosto, każdy też pozna, że służyłem wojskowo -- żadnej zmarszczki na twarzy — gdybym uczernił mą siwiutką głowę, wyglądałbym na lat trzydzieści kilka. Chrześcianin, po części filozof, jakim jestem, przyjmuję schyłek mego życia z przekonaniem, że usiłowałem spełnić wszystkie me obowiązki. Umierać będę spokojnie, z wiarą w Boga Stworzyciela wszechświatów, w połączenie ducha mego z tymi, których tu kochałem — z przebaczeniem nakoniec dla tych, co nie rozumieli mych uczuć i serea. Wspomnę jeszcze, że miałem kilku przyjaciół prawdziwych; przeżyłem ich wszystkich.

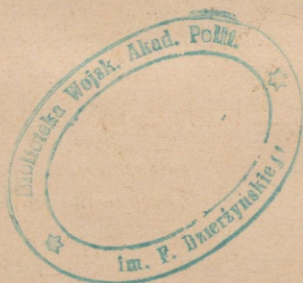
Na tem kończę ten pamiętnik. Losy, jeśli je tak nazwać można, rzuciły mnie na ten świat, zwiastując od zarania życia mego wszelkie pomyślności na przyszłość. Mogłem być poniekąd

dumny z mego rodu i widzieć przed sobą drogę spodziewanych powodzeń. Ustęp mego życia, jaki tu opisałem, tę mi nastęcza uwagę: że rodziny, oddające się całą swą duszą i przekonaniem i usługom sprawom krajowym, jeśli pomina starania około podniesienia materyalnego swego bytu, nisko upadną, gdy runą podstawy ojezystej ich ziemi i zamkniętą im zostanie droga wysługi dla niej; poświęcili się jej przodkowie moi, czcigodny mój ojejec. i ten skończył swój żywot tułaczem. Jam również nie zdołał oprzeć się dwom burzom, jakie nad Polską zawisły; zmartwiały pod ich uderzeniem, długi czas nie mogłem dość wzmoćnić ducha mego. Jednakże podniosłem się później z upadku po r. 1831 — stanąłem na wyżynie niejakiej pomysłności; ale na starość znowu mnie obaliły klęski i przeciwności... Gdybym miał przynajmniej jednej rodzinę!...

Cóż mi pozostało z tej przeszłości?... oto niezgasła i ilość dla mego kraju — krzyż wojennej zasługi — pamięć tego, com widział i groby tych, com ukochał.

Kwiecień. roku 1882.

K O N I E C.



30. STY 1909

WYDAWNICTWA I KOMISA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	K h.
Borkowski Sewer Jerzy hr. Dunin. Spis nazwisk szlachty polskiej, 8vo	12 —
Bronikowski. Jan III. Sobieski i dwór jego, czyli Polska w XVII. wieku, 2 tomy	8 40
Gubrynowicz Br. Dr. Kazimierz Brodziński. Przyczynek do biografii i charakterystyki	1 20
— Malarze na dworze Jana III. Szkic historyczny	— 80
— Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta	4 —
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne. Serya VII. Zbrodnia kamieniecka; Beatrice; Zakładnicy lwówscy; Fatyma; Babka; Spuścizna po księciu Nassauskim; Spuścizna po Humieckich	6 40
— Nowe opowiadania historyczne: 1. Pod krzyżem. 2. Losy kresowego miasteczka. 3. Wartabiet. 4. Zemsta kozacza. 5. Porwanie króla	6 —
Hirschberg. Dymitr Samozwaniec	10 —
— Maryna Mniskówna z ilustracyami	12 —
Jokay Maurycy. Bielica Liwocka. Powieść histor. z węg. 2 tomy	6 40
— Złote czasy Siedmiogrodu. Powieść, 2 tomy	6 80
— Od Wisły do Gangesu. Powieść, 2 tomy	6 40
Kitowicz A. X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III. 2 tomy. Wydanie z przedmową Wład. Zawadzkiego	7 20
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński, 2 tomy	15 20
Lemcke Dr. K. Estetyka. Wydanie trzecie znacznie uzupełnione, tłum. p. B. Zawadzkiego z 67 rycinami w tekście	12 —
Łoziński Wład. Nowe opowiadania Pana Wita Narwoja	6 —
Małecki A. Dr. Studya heraldyczne, 2 tomy	12 —
— Grochowy wieniec, czyli Mazury w Krakowskiem. Komedia, wydanie drugie, 1897	2 60
— Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnej epoki, 3 tomy, trzecie popr. i pomn. wyd. Dra Br. Gubrynowicza	13 —
Pamiętniki Jana Ch. Paska. Nowe wydanie krytyczne według rękopisu z biblioteki Cesarskiej w Petersburgu, przygotował i wstępem opatrzył Dr. Bronisław Gubrynowicz	5 —
Rehman Ant. Dr. Echa z południowej Afryki. (I. Szkic z podróży po Natalu i Transwalu)	5 20
Rojan K. Dusze artystyczne. Powieść	3 60
— Szczeście. Powieść, 2 tomy	5 60
Rolle M. Z przeszłości. Okręg Rawski — Starostwo Barskie do r. 1779	5 20
Sapieha Xiążę Paweł. Podróż na wschód Azji. Japonia. Chiny. Z ilustracyami w tekście	10 —
Sas Berlicz. Mozajka. Gawędy szlacheckie z lat ubiegłych, 2 tomy	7 60
Sass. Pamiętnik znaleziony. Opowiadania historyczne	5 20
Urbanowska Z. Wszecchności. Kartka z kroniki miasta powiatowego, 2 tomy	7 —
Wilczyński Alb. Nowe fotografie społeczne, zebrane przez autora „Kłopotów starego komendanta“, 2 tomy	7 20
— Wycieczka na Krzyżne	4 20



55405/

12